

PHILIP JOSÉ FARMER

**MROCZNY
WZÓR**

PRZEŁOŻYŁ ROBERT WALIŚ

Tytuł oryginału: *The Dark Design*

Choć niektóre z nazwisk
wymienionych w powieściach o Świecie Rzeki
są fikcyjne, ich bohaterowie to postaci faktycznie istniejące.
Być może o Tobie nie wspomniano, ale z pewnością tu jesteś.

*Samowi Longowi
oraz mojemu chrześniakowi Dawidowi,
synowi doktora Doctera*

Wciąż w ruch wrzeczono puszcza ktoś, aby tkąć
Człowiekowi świat,
Tak mroczny tworząc na nim wzór, że wątpisz,
Aby istniał plan.

The Kasidah of Haji Abdu al-Yazdi

„Najpierw niech wydadzą wyrok, a potem niech się zastanawiają!”.

Alicja w Krainie Czarów

(wg przekładu Antoniego Marianowicza)

PRZEDMOWA

Oto trzeci tom serii o Świecie Rzeki. Pierwotnie miał on się stać zwieńczeniem trylogii, jednakże maszynopis składał się z ponad 400000 słów i jego opublikowanie w jednym tomie uczyniłoby książkę niewygodną dla czytelnika.

Dlatego też wspólnie z wydawcą postanowiliśmy podzielić tekst na dwie części. Kontynuacja niniejszej książki znajdzie się w tomie czwartym pt. „Czarodziejski labirynt”, który ostatecznie zakończy tę część serii, wyjaśniając tajemnice zawarte w poprzednich trzech tomach i wiążąc wszystkie wątki w jeden węzeł, być może gordyjski.

Następne powieści traktujące o Świecie Rzeki nie powinny być postrzegane jako część głównej serii, ale jako historie „poboczne”, których fabuła nie będzie bezpośrednio związana z przygodami bohaterów pierwszych czterech książek. Postanowiłem kontynuować pisanie powieści, których akcja rozgrywa się w Dolinie Rzeki, uważam bowiem, podobnie jak wiele innych osób, że świat ten zasługuje na dokładniejsze zbadanie. W końcu mówimy o planecie, którą przecina rzeka, bądź bardzo wąskie morze, o długości 16090000 kilometrów, nad brzegami której mieszka ponad trzydzieści sześć miliardów ludzi pochodzących ze wszystkich zakątków historii, od epoki kamienia do epoki komputerów.

W pierwszych czterech tomach nie znalazłem miejsca na opisanie wielu wydarzeń, które mogłyby zainteresować czytelnika. Pamiętajmy, że wskrzeszone osoby nie zostały umieszczone nad brzegami Rzeki zgodnie z chronologią swojego przyścia na świat. Na każdym z tysięcy wycinków lądu znalazła się mieszanka ludzi odmiennych ras i narodowości, pochodzących z różnych okresów historycznych. Jako przykład weźmy obszar dziesięciokilometrowej długości zamieszkały w 60 procentach przez Chińczyków z trzeciego wieku, w 39 procentach przez siedemnastowiecznych Rosjan i w 1 procencie przez mężczyzn i kobiety ze wszystkich miejsc i czasów.

Jak ci ludzie poradziłoby sobie z przekształceniem anarchii w sprawnie funkcjonujące państwo? W jaki sposób staraliby się zbudować zgodną wspólnotę zdolną do obrony przed wrogami? Jakie napotkaliby problemy?

Na kartach niniejszej książki Jack London, Tom Mix, Nur Ed-din El-Musafir i Peter Frigate żeglują w górę Rzeki na pokładzie *Zawrotu Głowy*. W tomach III i IV dość szczegółowo zapoznajemy się z postaciami Frigate'a i Nura. Niestety, nie wystarczyło miejsca

na dokładniejsze przedstawienie pozostałych bohaterów. Liczę, że pozwolą mi na to historie „poboczne”, w których załoga *Zawrotu Głowy* spotka na swej drodze całą gamę mniej lub bardziej znanych postaci historycznych. Będą to m.in. da Vinci, Rousseau, Karol Marks, Ramzes II, Nietzsche, Bakunin, Alcybiades, Mary Baker Eddy, Ben Jonson, Li Po, Nichiren Daishonin, Asóka, kobieta z epoki lodowcowej, Joanna d'Arc, Gilgamesz, Edwin Booth, Faust i wielu innych.

Niektórym czytelnikom Peter Jairus Frigate wyraźnie skojarzył się z autorem niniejszej powieści. To prawda, że jestem pierwowzorem tej postaci, jednak Frigate przypomina mnie w ten sam sposób, w jaki Dawid Copperfield przypomina Karola Dickensa. Przeniosłem na Petera swoje cechy fizyczne i psychiczne, po czym pozwoliłem mu żyć własnym, powieściowym życiem.

Pragnę przeprosić czytelników za trzymające w napięciu zakończenia pierwszych trzech tomów. Struktura serii nie pozwoliła mi na wykorzystanie modelu wypracowanego przez Isaaca Asimova w jego powieściach o Fundacji, gdzie wydawało się, że każdy tom ma ostateczne zakończenie, które jednak w kolejnej odsłonie okazywało się fałszywe.

Mam nadzieję, że uda mi się dokończyć serię, zanim nadejdzie mój czas, aby udać się na spoczynek w oczekiwaniu na przybycie najwspanialszego parostatku.

Philip Jose Farmer

1

Sny nawiedzały Świat Rzeki.

Sen, Pandora nocy, był tu jeszcze bardziej hojny niż na Ziemi. Tam co noc sprawiedliwie rozdzielał swoje dary między ludzi. Tutaj, w bezkresnej dolinie przeciętej niekończącą się Rzeką, szeroko otwierał swą skrzynię ze skarbami, bez umiaru zasypując wszystkich najróżniejszymi podarkami: trwogą i rozkoszą, wspomnieniem i oczekiwaniem, tajemnicą i objawieniem.

Miliardy drżały, szeptały, jęczały, szlochały, śmiały się, wydobywały ku jawie z otchłani snu, po czym ponownie w nią spadały.

Potężne maszyny tłukły w ściany, a nocne wizje wydostawały się na powierzchnię. Często nie znikwały wraz z nadejściem świtu, niczym widma nielekające się wschodu słońca.

Z jakiegoś powodu sny powtarzały się tu częściej niż na ojczystej planecie. Aktorzy w tym nocnym Teatrze Absurdu z uporem powtarzali przedstawienia, nie potrzebując zgody swych mecenasów. Publiczność pozbawiono prawa do gwizdów lub braw, do rzucania jajkami i kapustą lub wyjścia z teatru, do rozmowy z sąsiadem lub drzemki.

Wśród tej zniewolonej publiczności znajdował się Richard Francis Burton.

2

Szara kłębiąca się mgła tworzyła scenę i horyzont. Burton stał pod sceną niczym ubogi widz w elżbietańskim teatrze, niemogący sobie pozwolić na miejsce siedzące. Powyżej niego trzynaście postaci siedziało w fotelach unoszących się w powietrzu. Jedna była zwrócona twarzą do pozostałych, ustawionych w półokręgu. Był to główny bohater przedstawienia - on sam.

Znajdowała się tam także czternasta postać, lecz stała za kulisami i widział ją tylko Burton, dlatego że stał pod sceną. Wyglądała mrocznie i groźnie i od czasu do czasu głucho chichotała.

Podobna sytuacja już kiedyś zaistniała, raz na jawie i wielokrotnie we śnie, choć któż był w stanie odróżnić jedno od drugiego? Oto on, człowiek, który umarł siedemset siedemdziesiąt siedem razy, na próżno usiłując uciec swym prześladowcom. A przed nim siedziało dwanaście postaci nazywających siebie Etykami.

Połowę grupy stanowili mężczyźni, a połowę kobiety. Poza dwojgiem, wszyscy mieli mocno opaloną lub naturalnie ciemną skórę i czarne bądź ciemnobrunatne włosy. Dwaj mężczyźni i jedna kobieta mieli lekko skośne oczy, co sugerowało eurazjatyckie pochodzenie. Oczywiście zakładając, że pochodzili z Ziemi.

Podczas krótkiego przesłuchania tylko dwóch przedstawicieli dwunastki zostało nazwanych po imieniu - Loga i Thanabur. Imiona te nie kojarzyły się Burtonowi z żadnym ze znanych mu języków, a znał ich co najmniej setkę. Jednakże języki się zmieniają, a ludzie ci mogli pochodzić z pięćdziesiątego drugiego wieku. W końcu jeden z ich agentów zdradził, że pochodzi z tego okresu. Choć z drugiej strony, Spruce'owi grożono torturami i mógł kłamać.

Loga był jednym z dwóch mężczyzn o stosunkowo jasnej karnacji. Jako że siedział, a w pobliżu nie znajdował się żaden obiekt, z którym można by go porównać, równie dobrze mógł być wysokiego, jak niskiego wzrostu. Miał muskularne ciało, a klatkę piersiową porastała mu gęstwina zmierzwionych rudych włosów. Czaszkę także pokrywały mu włosy w podobnym lisim kolorze. Miał nieregularne i silnie zaznaczone rysy: wydatny podbródek z głębokim dołkiem, masywną szczękę, duży zakrzywiony nos, gęste jasnożółte brwi, duże pełne usta oraz ciemnozielone oczy.

Drugi z mężczyzn o jasnej skórze, Thanabur, bez wątpienia pełnił rolę przywódcy.

Budową ciała i twarzą tak bardzo przypominał Logę, że mogliby być braćmi. Miał jednak ciemnobrunatne włosy, a jedno z jego oczu co prawda także było zielone, lecz w rzadko spotykanym odcieniu przypominającym kolor liści.

Drugie oko mężczyzny zdumiało Burtona, gdy Thanabur po raz pierwszy odwrócił ku niemu twarz. Zamiast gałki ocznej Anglik ujrzał lśniący klejnot o wielu ściankach, przypominający wielki błękitny diament.

Burton czuł się nieswojo za każdym razem, gdy klejnot był zwrócony w jego stronę. Czemu służył? Co takiego widział, czego nie było w stanie dostrzec zwykłe oko?

Tylko troje Etyków się odzywało: Loga, Thanabur i szczupła blondynka o dużych piersiach i błękitnych oczach. Ze sposobu, w jaki rozmawiała z Logą, Burton wnioskował, że mogła być jego żoną.

Patrząc spod sceny, Burton ponownie zwrócił uwagę na to, że tuż ponad głowami wszystkich postaci, wliczając jego samego, znajdowały się wirujące kule. Kule wciąż zmieniały kolor i wydobywały się z nich zielone, niebieskie, czarne i białe sześciokątne promienie. Co jakiś czas promienie chowały się do wnętrza kul, by po chwili zastąpiły je nowe.

Burton próbował dostrzec jakiś związek między obracającymi się kulami i zmieniającym się układem promieni, a osobowością, wyglądem, tonem głosu, wypowiedziami czy aktualnym stanem emocjonalnym trojga znanych Etyków i siebie samego. Nie zaobserwowano żadnej korelacji.

Kiedy ta scena rozgrywała się po raz pierwszy, na jawie, mężczyzna nie widział swojej aury.

Wypowiadane słowa różniły się od tych, które padły podczas prawdziwego spotkania. Wyglądało to tak, jakby Twórca Snów napisał całą scenę od nowa.

Odezwał się rudowłosy Loga.

- Wysłaliśmy za tobą swoich agentów. Było ich żałośnie mało, zważywszy na to, że nad Rzeką mieszka trzydzieści sześć miliardów sześć milionów dziewięć tysięcy sześciuset trzydziestu siedmiu kandydatów.

- Kandydatów do czego? - spytał Burton na scenie. Podczas pierwszego przedstawienia nie zadał tego pytania.

- Tego musisz się sam dowiedzieć - odparł Loga, po czym błysnął nieludzko białymi zębami.

- Nie mieliśmy pojęcia, że uciekasz przed nami poprzez samobójstwa. Mijały lata. Musieliśmy się zająć innymi sprawami, więc wycofaliśmy wszystkich agentów ze Sprawy

Burtona, jak ją nazwaliśmy. Wszystkich poza kilkoma rozmieszczonymi na obu krańcach Rzeki. Skądś dowiedziałeś się o polarnej wieży. Potem odkryliśmy, w jaki sposób.

Ale nie dowiedzieliście się tego od Tajemniczego Przybysza, pomyślał Burton-widz.

Spróbował przedostać się bliżej aktorów, aby dokładniej się im przyjrzeć. Który z nich obudził go w dziwnym miejscu pełnym unoszących się ciał? Który odwiedził go podczas tamtej burzliwej nocy? Kto zaoferował mu pomoc? Kto był renegatem, którego Burton nazwał Tajemniczym Przybyszem?

Zmagał się z mokrą, zimną mgłą, równie eteryczną i równie silną jak magiczne łańcuchy krępujące potwornego wilka Fenrira do chwili nadejścia Ragnarok, zmierzchu bogów.

Znów usłyszał głos Logi.

- I tak byśmy cię złapali. Każda przestrzeń w bąblu odtwarzającym, czyli miejscu, w którym się niespodziewanie przebudziłeś przed zmartwychwstaniem, jest wyposażona w automatyczny licznik. Każdy kandydat o ponadprzeciętnej liczbie zgonów wcześniej czy później zostaje poddany dokładniejszej analizie. Zwykle później, zważywszy na to, jak jest nas niewielu. Nie mieliśmy pojęcia, że to właśnie ty osiągnąłeś oszałamiającą liczbę siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu zgonów. Twoja przestrzeń w bąblu była pusta, gdy się jej przyglądaliśmy podczas naszego śledztwa statystycznego. Dwaj technicy, którzy cię widzieli, gdy się obudziłeś przed zmartwychwstaniem, rozpoznali cię na... fotografii. Ustawiliśmy system wskrzeszający w taki sposób, aby twoje ponowne pojawienie się w bąblu odtwarzającym wywołało alarm i umożliwiło nam przetransportowanie cię tutaj.

Ale przecież Burton nie umarł ponownie. W jakiś sposób zdołali go zlokalizować za życia. Choć znów im uciekł, to został złapany. A może nie? Być może uciekając po tamtej nocy został zabity przez piorun. A oni czekali na niego w bąblu odtwarzającym - rozległej komorze, która znajdowała się gdzieś głęboko pod powierzchnią tej planety bądź w wieży nad polarnym morzem.

- Dokładnie przebadaliśmy twoje ciało - rzekł Loga - a także każdą część twojej... psychomorfy. Bądź też aury, jeśli to słowo bardziej ci odpowiada.

Etyk wskazał na błyskającą i wirującą kulę nad głową Burtona siedzącego na scenie.

Po czym zrobił coś dziwnego.

Odwrócił się, spojrział poprzez mgłę i wskazał palcem na Burtona-widza.

- Nie znaleźliśmy żadnych wskazówek.

Mroczna postać za kulisami zachichotała.

Burton pod sceną zawołał:

- Myślicie, że jest was tylko dwunastka! A naprawdę jest was trzynaścioro! Pechowa liczba!

- Nie liczy się ilość, ale jakość - odparła postać spoza sceny.

- Nie będziesz pamiętał niczego, co się tutaj dzieje, gdy poślemy cię z powrotem do Doliny Rzeki - rzekł Loga.

- Jak możecie sprawić, abym zapomniał? - zapytał Burton siedzący w fotelu.

- Odtworzyliśmy twoje wspomnienia jak taśmę - odpowiedział Thanabur. Mówił w taki sposób, jakby wygłaszał wykład. A może ostrzegał Burtona, bo to on był Tajemniczym Przybyszem?

- Oczywiście, odtworzenie twojej ścieżki pamięci z siedmiu lat, jakie tu spędziłeś, zajęło dużo czasu. Wymagało też ogromnych nakładów energii i wykorzystania wielu materiałów. Jednak komputer, na którym pracował Loga, został ustawiony w taki sposób, aby odtwarzać twoje wspomnienia w przyspieszonym tempie i zatrzymywać się tylko przy tych momentach, w których odwiedzał cię ten parszywy przestępca. Tak więc wiemy, co się wtedy działo, równie dobrze jak ty sam. Widzieliśmy to, co widziałeś, słyszeliśmy to, co słyszałeś, czuliśmy to, czego dotykałeś i co wahałeś. Nawet doświadczaliśmy twoich emocji. Niestety, byłeś odwiedzany w nocy, a zdrajca działał w skutecznym przebraniu. Nawet jego, lub jej, głos został przefiltrowany przez urządzenie deformujące, które uniemożliwiło komputerowi identyfikację. Mówię „jego lub jej”, gdyż widziałeś jedynie bladą postać bez żadnych charakterystycznych cech, płciowych ani jakichkolwiek innych. Głos wydawał się męski, ale kobieta mogła użyć transmutera, żeby osiągnąć taki efekt. Zapach ciała również został sfalszowany. Analiza komputerowa wykazała, że zmieniono go chemicznie. Mówiąc w skrócie, Richardzie Burtonie, nie wiemy, kto spośród nas jest renegatem ani dlaczego działa przeciwko nam. To niemal niewyobrażalne, by ktoś, kto zna prawdę, chciał nas zdradzić. Jedynym wytłumaczeniem pozostaje to, że ta osoba oszalała, choć to również jest nie do pomyślenia.

Burton pod sceną wiedział, że Thanabur nie wypowiedział tych słów podczas pierwszego, prawdziwego, przedstawienia. Wiedział też, że śni i że czasem sam wkłada nowe słowa w usta Etyka. Przemowa mężczyzny składała się z myśli Burtona, spekulacji i powstałych później fantazji.

Burton siedzący w fotelu podzielił się kilkoma z nich.

- Jeśli potraficie czytać ludziom w myślach i nagrywać ich wspomnienia, to czemu nie zastosujecie tej metody wobec siebie? Z pewnością tego próbowaliście? W ten sposób powinniście byli odkryć, kto spośród was okazał się zdrajcą.

Loga wyglądał na zakłopotanego.

- Oczywiście poddaliśmy się czytaniu myśli, ale...

Uniósł ręce i skierował otwarte dłonie w górę.

- Tak więc osoba, którą nazywasz Tajemniczym Przybyszem, musiała cię okłamywać - odparł Thanabur. - Nie należy do naszego grona, lecz jest agentem. Obecnie wzywamy ich na badanie pamięci. Wymaga to czasu, ale tego mamy pod dostatkiem. Renegat zostanie złapany.

- A co, jeśli żaden z agentów nie jest winny? - spytał Burton siedzący w fotelu.

- Nie bądź śmieszny - odpowiedział Loga. - Wszystkie twoje wspomnienia dotyczące przebudzenia w bąblu odtwarzającym zostaną wymazane. Także wspomnienia o wizytach renegata i o wszystkim, co się wydarzyło od tamtej pory, spotka ten sam los. Jest nam bardzo przykro, że musimy się uciec do tak brutalnego sposobu działania, ale to konieczność. Mamy nadzieję, że kiedyś będziemy ci to w stanie wynagrodzić.

- Ale przecież... pozostanie mi wiele wspomnień dotyczących czasu przed zmartwychwstaniem - odparł Burton. - Zapominacie, że często myślałem o tych wydarzeniach pomiędzy moim przebudzeniem na brzegu Rzeki a spotkaniem z Przybyszem. Poza tym, mówiłem o tym wielu ludziom.

- Tak, tylko czy oni naprawdę ci uwierzyli? - spytał Thanabur. - A jeśli nawet, to co mogą zrobić z tą wiedzą? Nie, nie chcemy usuwać wszystkich twoich wspomnień dotyczących życia w tym świecie. To by ci zadało zbyt wiele bólu. Rozdzieliłoby cię z przyjaciółmi. A także... - tu Thanabur na chwilę zawiesił głos. - ...mogłoby spowolnić twój rozwój.

- Rozwój?

- Nadejdzie czas, kiedy się dowiesz, co to oznacza. Szaleniec, który twierdzi, że ci pomaga, tak naprawdę wykorzystywał cię do swoich celów. Nie powiedział ci, że realizując jego plan, odrzucasz szansę na wieczne życie. Ten zdrajca, ktokolwiek nim jest, to zło wcielone. Zło!

- Spokojnie - wtrącił Loga. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani obrotem spraw, ale nie możemy zapominać, że ten... nieznany jest chory.

- Bycie chorym oznacza w pewnym sensie bycie złym - odparł mężczyzna z klejnotem zamiast oka.

Burton siedzący na krześle odrzucił w tył głowę i głośno się zaśmiał.

- A więc nic nie wiecie, sukinsyny?

Wstał i postąpił kilka kroków po szarej mgle.

- Nie chcecie, żebym się dostał na koniec Rzeki! - krzyknął. - Dlaczego? Dlaczego?!

- *Au revoir*. Wybacz nam przemoc - odpowiedział Loga.

Jedna z kobiet skierowała w stronę Burtona stojącego na scenie krótki, cienki błękitny cylinder i mężczyzna upadł. Z mgły wyłoniło się dwóch ludzi ubranych tylko w białe kilty. Podnieśli ciało i je zabrali.

Burton ponownie spróbował przedostać się do postaci na scenie. Gdy mu się to nie udało, potrząsnął w ich kierunku pięścią.

- Nigdy mnie nie dostaniecie, potwory! - krzyknął.

Mroczna postać za kulisami złożyła dłonie do oklasków, ale nie rozległ się żaden dźwięk.

Burton oczekiwał, że znajdzie się w miejscu, z którego został zabrany przez Etyków. Zamiast tego obudził się w Theleme, małym państwie, które sam założył.

Jeszcze bardziej niespodziewane było to, że nie pozbawiono go wspomnień. Pamiętał wszystko, nawet przesłuchanie przed dwunastką Etyków.

W jakiś sposób tajemniczy Przybysz zdołał przechytryć pozostałych. „„

Później Anglik zaczął się zastanawiać, czy Etycy go nie okłamali i tak naprawdę wcale nie mieli zamiaru modyfikować mu pamięci. To nie miało sensu, ale przecież nie znał ich intencji.

Kiedyś Burton potrafił równocześnie rozgrywać dwie partie szachów, i to z zawiązanymi oczami. To jednak wymagało jedynie talentu, znajomości zasad oraz dobrego opanowania szachownicy i figur. W obecnej grze nie znał ani reguł, ani siły poszczególnych przeciwników.

Ten mroczny wzór nie zdradzał żadnego zamysłu.

3

Burton ocknął się z jękiem.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Otaczał go mrok, równie gęsty jak ten, który wypełniał jego wnętrze.

Znajome dźwięki go uspokoiły. Statek ocierał się o nabrzeże, a woda uderzała z chlupotem o kadłub. Obok spokojnie spała Alicja. Burton dotknął jej miękkich, ciepłych pleców. Z góry dobiegł go odgłos cichych kroków - to Peter Frigate pełnił nocną wartę. Być może właśnie zamierzał obudzić swojego kapitana. Burton nie miał pojęcia, która może być godzina.

Słyszał też inne znajome odgłosy. Zza drewnianego przepierzenia dobiegało go chrapanie Kazza i jego kobiety, Besst, a z kajuty za jego plecami głos Monata. Obcy mówił w swoim ojczystym języku, ale Burton nie mógł rozróżnić słów.

Zapewne Monat śnił o odległej Athaklu, swojej planecie o „dziwnym, dzikim klimacie”, okrążającej olbrzymią pomarańczową gwiazdę, Aktura.

Przez chwilę leżał nieruchomo, rozmyślając. Oto ja, stuletni mężczyzna w ciele dwudziestopięcioletka.

Etycy uleczyli ciała kandydatów, ale nie byli w stanie nic poradzić na choroby duszy. Przeprowadzenie tej kuracji najwyraźniej należało do samych pacjentów.

W snach Burton coraz bardziej cofał się w przeszłość. Ostatnio pojawiła się wizja przesłuchania przez Etyków. Teraz jednak śnił, że ponownie doświadcza sennego marzenia, które nawiedziło go tuż przed przebudzeniem na Sąd Ostateczny. Obserwował samego siebie wewnątrz snu, będąc jednocześnie jego uczestnikiem i widzem.

Burton leżał na trawie, słaby jak niemowlę, a nad nim stał Bóg. Tym razem był pozbawiony długiej czarnej rozwidlanej brody i nie miał na sobie stroju angielskiego dżentelmena z pięćdziesiątego trzeciego roku panowania królowej Wiktorii. Stwórca miał jedynie błękitny ręcznik owinięty wokół bioder. Nie był wysoki, jak w pierwotnym śnie, ale niski i silnie umięśniony. Klatkę piersiową porastała mu gęstwina kręconych rudych włosów.

Za pierwszym razem Burton ujrzał w twarzy Boga swoją własną. Bóg miał wtedy takie same czarne proste włosy, arabskie rysy, ciemne, głęboko osadzone oczy przypominające groty włóczni wylatujące z jaskini, wystające kości policzkowe, pełne usta oraz sterczący

podbródek z głębokim dołkiem. Jednakże jego twarz była pozbawiona blizn od somalijskiej włóczni, która przebiła Burtonowi policzek, wybiła zęby, poharatała podniebienie i wyszła drugim policzkiem.

Twarz wyglądała znajomo, ale nie potrafił jej rozpoznać. Z pewnością nie należała do Richarda Francisa Burtona.

Bóg wciąż dzierżył żelazną laskę, którą teraz kłuł Burtona w żebra.

- Spóźniasz się! - zawołał. - Już dawno minął termin spłaty długu!

- Jakiego długu? - spytał mężczyzna leżący na trawie. Burton-widz nagle zauważył, że wokół niego kłębi się mgła, co jakiś czas tworząc zasłonę między dwiema obserwowanymi postaciami. Za nimi dostrzegł szarą ścianę, rozszerzającą się i kurczącą niczym klatka piersiowa oddychającego zwierzęcia.

- Jesteś winien za ciało - wyjaśnił Bóg, po czym ukłuł laską mężczyznę na trawie. Burton-widz poczuł ból. - Jesteś winien za ciało i duszę, które są jednym i tym samym.

Mężczyzna z trudem podniósł się na nogi.

- Nikt nie będzie bezkarnie dźgał mnie w żebra - wydyszał.

Ktoś zachichotał i Burton-widz zdał sobie sprawę z obecności wysokiej, niewyraźnej postaci kryjącej się we mgle.

- Płać. W przeciwnym razie będę zmuszony cię wykluczyć - zagroził Bóg.

- Przeklęty lichwiarz! - krzyknął mężczyzna na trawie. - Spotkałem takich jak ty w Damaszku.

- To jest droga do Damaszku. Lub raczej powinna nią być.

Mroczna postać ponownie zachichotała. Mgła pochłonęła wszystko i Burton obudził się złany potem, słysząc własne jęki. Zaspana Alicja odwróciła się do niego.

- Męczą cię koszmary, Dick? - spytała.

- Nic mi nie jest. Śpij.

- Ostatnio często ci się to zdarza - zauważyła.

- Nie częściej niż na Ziemi.

- Chciałbyś o tym porozmawiać?

- Wystarczy mi, że rozmawiam przez sen - odpowiedział.

- Ale sam ze sobą.

- A któż zna mnie lepiej? - Zaśmiał się cicho.

- I kto może cię skuteczniej okłamywać - odrzekła cierpko.

Nie odpowiedział. Po kilku sekundach kobieta już spała. Jednak nie zapomni tego, o czym rozmawiali. Anglik miał nadzieję, że rano nie przyniesie kolejnej klótni.

Lubił się spierać, pozwalało mu to bowiem na wyładowanie emocji. Jednak ostatnio ich kłótnie nie dawały mu satysfakcji i od razu miał ochotę na dalszą walkę.

Niełatwo było urządzić porządną awanturę tak, żeby nie usłyszeli tego wszyscy pasażerowie niewielkiego statku. Alicja bardzo się zmieniła w ciągu lat, które spędzili razem, ale niczym prawdziwa dama wciąż zachowywała głęboką niechęć do, jak to nazywała, publicznego prania brudów. Wiedząc o tym, Burton jeszcze mocniej ją naciskał, krzyczał i wrzeszczał, odczuwając przyjemność, gdy się poddawała. Potem zwykle żałował tego, że wykorzystuje swoją przewagę i robi jej wstyd.

Wszystko to wprawiało go w jeszcze większą wściekłość.

Kroki Frigate'a rozbrzmiewały na pokładzie. Burton postanowił wcześniej zmienić go na warcie. I tak już teraz nie zaśnie. Cierpiał na bezsenność przez większość dorosłego życia na Ziemi, a w tym świecie nie było dużo lepiej. Frigate z pewnością chętnie wróci do łóżka. Zawsze z trudem walczył z sennością podczas warty.

Zamknął oczy. Mrok zastąpiła szarość. Teraz widział siebie w tej gigantycznej komorze pozbawionej ścian, podłogi i sufitu. Był nagi i unosił się w pustce w pozycji horyzontalnej, powoli się obracając, jak na niewidzialnym różnie. Zobaczył, że ze wszystkich stron otaczają go inne nagie ciała. Podobnie jak on, wszystkie miały ogolone głowy i łona. Niektóre ciała były zdekompletowane. Mężczyzna obok niego miał prawe przedramię pozbawione naskórka. Obracając się, Burton ujrzał innego człowieka - któremu brakowało skóry i wszystkich mięśni twarzy.

W oddali dostrzegł szkielet i płataninę narządów wewnętrznych.

Wszystkie ciała w komorze były oddzielone od siebie czerwonymi metalicznymi prętami, wznoszącymi się od niewidzialnej podłogi ku niewidzialnemu sufitowi. Między nimi Burton widział ciągnące się w nieskończoność pionowe i poziome rzędy powoli wirujących śpiących ludzi.

Obserwując to wszystko, na nowo poczuł oszołomienie i przerażenie, które towarzyszyło mu w chwili przebudzenia.

On, kapitan Richard Francis Burton, konsul Jej Królewskiej Mości w Trieście, w Cesarstwie Austro-Węgierskim, umarł w niedzielę dwiętnastego października 1890 roku.

Teraz obudził się w miejscu, które nie przypominało żadnego nieba ani piekła, o jakich kiedykolwiek słyszał.

Z milionów ludzi, których mógł dostrzec, tylko on był żywy. Lub przytomny.

Burton w komorze zastanawiał się, czemu został w ten sposób wyróżniony.

Burton-widz już to wiedział.

Obudził go Etyk, którego nazywał Tajemniczym Przybyszem. Zdrajca.

Teraz unoszący się w pustce mężczyzna dotknął jednego z prętów. Przerwało to jakiś rodzaj obwodu i wszystkie ciała zawieszane między prętami zaczęły spadać, także Burton.

Patrząc na to, Anglik odczuwał niemal tak samo intensywne przerażenie jak za pierwszym razem. To był pierwotny koszmar, uniwersalny ludzki sen o spadaniu, który zapewne pochodził z czasów pierwszego człowieka, małpoluda, dla którego groźba upadku z dużej wysokości była jak najbardziej realna. Małpolud przeskakiwał z jednej gałęzi na drugą, myśląc z pychą, że potrafi w nieskończoność zwiększać pokonywany dystans. Spadał właśnie przez tę pychę, która zakłócała zdolność prawidłowej oceny rzeczywistości.

Zupełnie jak Lucyfer - jego pycha przywiodła do upadku.

Teraz Burton w komorze chwycił się jednego z prętów i wisiał, podczas gdy inne ciała, wciąż lekko wirując, spadały obok niego, tworząc ludzki wodospad.

Spojrzał w górę i zobaczył latający pojazd, przypominający zielone canoe, opuszczający się między pobliskimi prętami. Pojazd nie miał skrzydeł ani silnika. Zapewne napędzał go jakiś rodzaj urządzenia nieznanego nauce w czasach Burtona.

Na dziobie pojazdu znajdował się symbol: biała spirala, której koniec wskazywał w prawą stronę. Z końca spirali wychodziły białe promienie.

Za pierwszym razem z canoe wyrzało dwóch mężczyzn. Spadające ciała nagle zwolniły, a niewidzialna siła pochwyciła Burtona i oderwała go od pręta. Anglik uniósł się, cały czas się obracając, minął pojazd, po czym się zatrzymał. Jeden z mężczyzn skierował w jego stronę metalowy przedmiot rozmiarów ołówka.

- Zabiję was! - wrzasnął Burton. - Zabiję! Zabiję!

Była to pusta groźba, równie pusta jak ciemność, która zakończyła jego wybuch gniewu.

Tym razem tylko jedna twarz wyrzała zza burty pojazdu. Choć Burton nie mógł dokładnie się jej przyjrzeć, wydała mu się znajoma. W każdym razie na pewno była to twarz Tajemniczego Przybysza.

Etyk zachichotał.

4

Burton gwałtownie usiadł i chwycił Przybysza za gardło.

- Na miłość boską, Dick! To ja, Peter!

Burton rozluźnił uścisk. We wpadającym przez otwarte drzwi świetle gwiazd, równie jasnym jak światło ziemskiego Księżyca w pełni, rysowała się sylwetka Frigate'a.

- Czas na twoją wartę, Dick.

- Czy moglibyście nie robić tyle hałasu? - mruknęła Alicja. Burton wstał z łóżka i wymacał w ciemności ubranie wiszące na kołku. Choć cały był zlany potem, dygotał. Powietrze w małej kajucie, nagrzane przez ciała dwóch śpiących w nim osób, zaczynało się ochładzać. Do środka wdzierała się zimna mgła.

Alicja zatrzęsała się z zimna i dokładniej nakryła grubymi ręcznikami. Burton przez chwilę widział jej białe ciało, zanim zniknęło pod nakryciem. Spojrzał na Frigate'a, ale Amerykanin już się wspinał po drabinie. Mógł mieć inne wady, ale nie był podglądaczem. Choć z drugiej strony Burton nie mógłby mieć do Petera pretensji, gdyby ten przyglądał się Alicji. W końcu był w niej zakochany. Co prawda nigdy się do tego nie przyznał, ale to było oczywiste dla Burtona, Alicji i Loghu, z którą Frigate dzielił koję.

Jeśli ktoś tutaj był winny, to na pewno Alicja, która już dawno utraciła swą wiktoriańską skromność. Choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała, mogła podświadomie drażnić się z Amerykaninem, przez chwilę pokazując mu swoje nagie ciało.

Burton postanowił do tego nie wracać. Choć był zły na Frigate'a i Alicję, wyszedłby na głupca, gdyby skomentował całą sytuację. Podobnie jak większość ludzi, Alicja kąpała się nago w Rzece, najwyraźniej nie zwracając uwagi na przypadkowych obserwatorów. Frigate widział ją bez ubrania setki razy.

Nocny strój Anglika składał się z kilku grubych ręczników połączonych magnetycznymi klamrami umieszczonymi pod materiałem. Burton rozpiął zatraski i ułożył z ręczników szatę z kapturem. Założył pas ze skóry rogacza, do którego przymocowane były pochwy z krzemiennym nożem, toporkiem z czertu i drewnianym mieczem. Krawędzie tego ostatniego zostały wzmocnione odłamkami krzemienia, a na czubku przymocowano ostry róg ryby. Wziął ze stojaka ciężką jesionową włócznię z rogowym grotem i wspiął się po drabinie.

Gdy wyszedł na pokład, odkrył, że ma głowę tuż powyżej poziomu mgły. Frigate był

podobnego wzrostu i jego głowa jakby unosiła się w powietrzu ponad kłębiącą się szarością. Świat Rzeki był pozbawiony księżyca, ale niebo rozświetlały gwiazdy i wielkie chmury kosmicznego gazu. Frigate uważał, że planeta znajduje się blisko środka Drogi Mlecznej. Jednak równie dobrze mogła to być jakaś inna galaktyka.

Burton zbudował wraz z przyjaciółmi okręt i wyruszył z Theleme. W odróżnieniu od swego poprzednika, *Hadzi II* był jednomasztowym kutrem zaopatrzonym w skośny żagiel. Na pokładzie znajdowali się Burton, Hargreaves, Frigate, Loghu, Kazz, Besst, Monat Grrautut oraz Owenona. Ta ostatnia pochodziła ze starożytnej, przedhelleńskiej Pelagii i nie miała nic przeciwko dzieleniu koi z Arkturiańczykiem. Wraz z tą barwną załogą (Burton miał talent do gromadzenia wokół siebie bardzo zróżnicowanych grup ludzi) płynął w górę Rzeki już od dwudziestu pięciu lat. Jeden z mężczyzn, z którym Burton uczestniczył w wielu przygodach, Lev Ruach, zdecydował się pozostać w Theleme.

Hadzi II nie dotarł tak daleko, jak Burton oczekiwał. Jako że na statku było mało miejsca i członkowie załogi stale pozostawali ze sobą w zbyt bliskim kontakcie, niezbędne okazały się długie przerwy w podróży, by uspokoić rozpalone temperamenty.

Burton postanowił, że nadszedł czas na kolejną taką przerwę, gdy łódź dotarła w te okolice. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie Rzeka się rozszerzała, tworząc jezioro o długości ponad trzydziestu i szerokości prawie dziesięciu kilometrów. Na zachodnim krańcu jezioro się zwężało, a powstała w ten sposób cieśnina miała szerokość trzystu dwudziestu jeden metrów. Przeciwny prąd był tu bardzo silny, ale na szczęście okręt płynął z wiatrem. Gdyby *Hadzi II* musiał się zmagać z przeciwnymi podmuchami, załoga miałaby bardzo mało miejsca na halsowanie.

Po przyjrzeniu się cieśninie Burton doszedł do wniosku, że da się ją pokonać, choć nie bez trudu. Teraz jednak przyszła pora na dłuższy odpoczynek. Zamiast przybijać do brzegu, postanowił zacumować przy jednej z kamiennych formacji wznoszących się ponad powierzchnię wody na środku jeziora. Były to kamienne iglice, a przy ich podstawach rozciągał się płaski teren, na którym Burton dostrzegł kilka kamieni obfitości oraz ludzkie zabudowania.

Obok iglicy znajdującej się najbliżej cieśniny unosiło się na wodzie kilka platform cumowniczych. Byłyby one dużo wygodniejsze, gdyby znajdowały się po stronie wyspy osłoniętej przed prądem Rzeki, ale, niestety, tak nie było, więc ustawili okręt wzdłuż platformy. Przywiązali *Hadziego II* linami do słupków i przyciągnęli go do ochronnych buforów wykonanych ze skóry ryby-aligatora wypchanej trawą. Mieszkańcy wyspy ostrożnie się do nich zbliżyli. Burton szybko zapewnił ich o pokojowych zamiarach i grzecznie spytał,

czy załoga może skorzystać z kamienia obfitości.

Na wyspie mieszkało tylko dwudziestu tubylców - niskich, ciemnoskórych i posługujących się językiem nieznanym Burtonowi. Na szczęście porozumiewali się oni także uproszczoną odmianą esperanto, co w zasadzie usunęło barierę językową.

Kamień obfitości był masywną budowlą w kształcie grzyba wykonaną z szarego, czerwono nakrapianego granitu. Sięgał Burtonowi do piersi, a na jego szczycie znajdowało się siedemset okrągłych zagłębień tworzących rozchodzące się koncentrycznie kręgi.

Na krótko przed zachodem słońca wszyscy umieścili w otworach wysokie pojemniki z szarego metalu. Osoby posługujące się językiem angielskim nazywały je rogami obfitości, pandorami (lub w skrócie dorami), karmicielami, chlebakami, świętymi naczyniami itp. Najpopularniejsza nazwa została wymyślona przez misjonarzy Kościoła Jeszcze Jednej Szansy. Było to słowo pochodzące z esperanto: *pandoro*. Choć poza podstawą pojemnik miał grubość kartki papieru, nie dało się go wygiąć, rozbić czy zniszczyć w jakikolwiek inny sposób.

Właściciele rogów obfitości cofnęli się o około pięćdziesięciu kroków i czekali. Nagle ze szczytu kamienia wystrzeliły z głośnym hukiem błękitne płomienie, wznosząc się na sześć metrów w górę. W jednej chwili wszystkie kamienie stojące nad brzegami jeziora ryknęły i plunęły ogniem.

Minutę później kilku niskich ciemnoskórych tubylców wspięło się na kamień i podało rogi obfitości czekającym. Ludzie usiedli pod bambusowym daszkiem przy ognisku i unieśli wieczka pojemników. W środku znajdowały się pierścienie przytrzymujące kubki i głębokie talerze wypełnione alkoholem, jedzeniem, kawą lub herbatą w kryształkach, papierosami i cygarami.

Róg Burtona zawierał potrawy kuchni słoweńskiej i włoskiej. Za pierwszym razem Anglik zmartwychwstał pośród ludzi, którzy umarli w okolicach Triestu, a ich rogi obfitości zwykle wypełniały się potrawami, które zwykł jadać na Ziemi. Jednak co około dziesięciu dni w pojemniku pojawiała się coś zupełnie odmiennego. Zdarzało się, że były to potrawy kuchni angielskiej, francuskiej, chińskiej, rosyjskiej, perskiej albo też inne narodowe przysmaki. Od czasu do czasu Burton znajdował w pojemniku coś obrzydliwego, na przykład mięso kangura, spieczone na wierzchu i surowe w środku, lub żywe larwy. Anglik już dwukrotnie natrafił na ten posiłek australijskich Aborygenów.

Dziś jego kubek z alkoholem zawierał piwo. Burton nie znosił piwa, więc zamienił się z Frigate'em, jego bowiem kamień obdarzył winem.

W rogach tubylców pojawiły się potrawy kojarzące się Burtonowi z kuchnią

meksykańską, choć taco i tortilla zamiast wołowiny zawierały dziczyznę.

Podczas posiłku Burton rozmawiał z mieszkańcami wyspy. Z ich słów wywnioskował, że ma do czynienia z Indianami sprzed czasów Kolumba, którzy zamieszkiwali szeroką pustynną dolinę w południowo-zachodniej części Ameryki. Ich społeczność składała się z przedstawicieli dwóch plemion porozumiewających się spokrewnionymi lecz wzajemnie niezrozumiałymi językami. Mimo to obie grupy żyły w pokoju i tworzyły wspólną, dość jednolitą kulturę.

Burton doszedł do wniosku, że jest to lud, który Indianie Pima w jego czasach nazywali Hohokam - „Starożytnymi”. Plemiona te zamieszkiwały obszar ochrzczony przez białych osadników Doliną Słońca. To tam założono wioskę Phoenix należącą do terytorium Arizony. Wioska ta podobno stała się miastem, w którym pod koniec dwudziestego wieku żyło ponad milion osób.

Tubylcy mówili o sobie Ganopo. Na Ziemi wykopali za pomocą krzemienych i drewnianych narzędzi długie kanały nawadniające, dzięki którym zamienili pustynię w kwitnący ogród. Powody ich nagłego zniknięcia pozostawały tajemnicą dla amerykańskich archeologów. Wysunięto wiele teorii, a najszerzej akceptowana z nich mówiła o ataku wojowniczego plemienia z północy, choć brakowało na to jakichkolwiek dowodów.

Nadzieje Burtona na rozwiązanie tej zagadki szybko się rozwiały. Ludzie zamieszkujący wyspę żyli i umarli na długo przed końcem swojej cywilizacji.

Tego wieczoru siedzieli do późna, paląc i pijąc alkohol pędzony z porostów pokrywających kamienną iglicę. Snuli opowieści, w większości nieprzyzwoite lub absurdalne, i tarzali się ze śmiechu. Co prawda, opowiadając arabskie baśnie, Burton musiał powstrzymać się przed stosowaniem niezrozumiałych aluzji bądź tłumaczyć niektóre motywy, ale reszta nie miała problemów ze zrozumieniem opowieści o Aladynie i jego magicznej lampie czy historii o tym, jak Abu Hasan puścił wiatry.

Ta druga historia bardzo się podobała Beduinom. Burton często siadywał z nimi wokół ogniska z suszonego wielbłądziego nawozu i zawsze doprowadzał słuchaczy do ataków śmiechu, choć przecież słyszeli tę opowieść już tysiąc razy.

Abu Hasan był Beduinem, który porzucił koczowniczy żywot, aby zostać kupcem w mieście Kaukaban w Jemenie. Stał się niezwykle bogaty, a gdy został wdowcem, przyjaciele gorąco namawiali go do ponownego ożenku. Początkowo nie chciał się na to zgodzić, ale w końcu uległ ich namowom i poślubił piękną młodą kobietę. Odbędzie się wielka uczta, podczas której obficie raczono się różnokolorowym ryżem i barwnymi sorbetami, koźlętami nadziewanymi orzechami i migdałami oraz pieczonymi młodymi wielbłądami.

W końcu pan młody został wezwany do komnaty, gdzie czekała jego wybranka, odziana w bogate szaty. Wstał powoli i z godnością ze swej sofy, ale, niestety, brzuch miał tak wypełniony mięsem oraz napitkiem, że idąc do komnaty przeznaczonej dla nowożeńców, zaprawdę, straszliwie pierdnął.

Słyszac to, goście weselni zaczęli głośno rozmawiać, udając, że nie słyszeli tego towarzyskiego afrontu. Ale Abu Hasan bardzo się zawstydził i pod pretekstem udania się za potrzebą zszedł do stajni, osiodłał konia i odjechał, porzucając bogactwo, dom, przyjaciół i młodą małżonkę.

Następnie wsiadł na pokład statku płynącego do Indii, gdzie został kapitanem straży królewskiej. Jednak po dziesięciu latach opanowała go tak silna tęsknota za ojczyzną, że prawie oddał ducha, więc wyruszył w drogę powrotną, przebrany za ubogiego fakira. Po długiej i niebezpiecznej podróży dotarł w pobliże swego rodzinnego miasta i spojrzął ze wzgórz na jego mury i wieże, a oczy wypełniły mu łzy. Postanowił jednakże nie wchodzić do miasta, zanim się nie upewni, że jego wstydlivy uczynek poszedł w zapomnienie. Błąkał się więc po okolicy przez siedem dni i siedem nocy, słuchając rozmów na ulicach i rynku.

Po siedmiu dniach, przygotowując się do powrotu do miasta, usiadł przypadkiem przed drzwiami małej chatki. I wtedy usłyszał głos małej dziewczynki.

- Matko, powiedz mi, kiedy się urodziłam, gdyż jeden z moich towarzyszy chce mi powróżyć.

A matka odpowiedziała:

- Urodziłaś się, moja córko, tej nocy, gdy Abu Hasan pierdnął.

Gdy tylko Abu Hasan usłyszał te słowa, wstał i uciekł, mówiąc sam do siebie: „Zaiste, twoje pierdnięcie stało się wydarzeniem, o którym pamiętać się będzie na wieki”.

I podróżował dotąd, aż powrócił do Indii, gdzie żył na wygnaniu aż do śmierci. Panie, świeć nad jego duszą.

Opowieść bardzo się wszystkim spodobała, ale Burton musiał ją poprzedzić wyjaśnieniem, że Beduini żyjący w tym okresie uznawali pierdzenie w towarzystwie za hańbę. Każdy, kto stał się świadkiem takiego wydarzenia, musiał udawać, że nic się nie stało, gdyż pohańbiona osoba mogła zabić każdego, kto zwrócił uwagę na jej uczynek.

Burton, siedzący po turecku przy ognisku, zauważył, że historia podobała się nawet Alicji. Kobieta pochodziła z epoki wiktoriańskiej i została wychowana w głęboko religijnej anglikańskiej rodzinie. Jej ojciec był biskupem i bratem barona, potomkiem Jana z Gaunt, syna króla Jana, a matka wnuczką hrabiego. Jednak życie w Świecie Rzeki i długotrwały związek z Burtonem pozbawiły ją wielu zahamowań.

Następnie Anglik opowiedział historię Sindbada Żeglarza, choć musiał dostosować ją do doświadczeń Ganopo, którzy nigdy nie widzieli morza. Morze stało się więc rzeką, a ptak roc, który porwał Sindbada, został zastąpiony wielkim złotym orłem.

Ganopo zrewanżowali się mitami o stworzeniu świata oraz sprośnymi opowieściami o przygodach swojego bohatera ludowego, sprytnego Kojota Staruszka.

Burton spytał Indian, w jaki sposób zaadaptowali swoją religię do rzeczywistości tego świata.

- O, Burtonie - odezwał się ich wódz. - Nie są to do końca zaświaty, jakie sobie wyobrażaliśmy. Nie jest to kraina, w której kukurydza w jeden dzień rośnie wyższa od człowieka, a jelenie i króliki zapewniają radość polowania, lecz nigdy nie umykają przed włóczyniami myśliwych. Nie spotkaliśmy także naszych kobiet i dzieci, naszych rodziców i dziadków. Nie towarzyszą nam i nie przemawiają do nas duchy gór i rzeki, skał i krzewów. Nie skarżymy się jednak. Tak naprawdę, jest nam tu dużo lepiej niż w świecie, który opuściliśmy. Mamy więcej jedzenia, i to lepszego, na które nie musimy pracować, choć początkowo musieliśmy o nie walczyć. Mamy więcej wody niż nam potrzeba, możemy do woli łowić ryby i nie martwimy się chorobami, które nas zabijały i okaleczały. Nie znamy też bólu starości i jej ograniczeń.

5

Nagle wódz spochmurniał, a jego następne słowa położyły się cieniem na słuchaczach i starły im uśmiech z twarzy.

- Powiedzcie mi, przybysze, czy słyszeliście coś o powrocie śmierci? Mam na myśli wieczną śmierć. Mieszkamy na małej wyspie i nie mamy zbyt wielu gości. Jednak od tych, którzy do nas przybyli, i których spotkaliśmy podczas wizyt na brzegach rzeki, usłyszeliśmy dziwne i niepokojące opowieści. Mówi się, że już od jakiegoś czasu nikt, kto umarł, nie został ponownie wskrzeszony. Człowiek ginie, ale nie budzi się następnego dnia w odległym miejscu, w pełni zdrowia i z rogiem obfitości przy boku. Powiedz mi, czy jest to prawda, czy też jedna z tych opowieści, które ludzie lubią wymyślać, aby martwić innych?

- Nie mam całkowitej pewności - odpowiedział Burton. - Jednak przemierzyliśmy tysiące kilometrów... to znaczy, minęliśmy niewyobrażalną liczbę kamieni obfitości i w ciągu ostatniego roku rzeczywiście zauważyliśmy to zjawisko, o którym mówisz.

Zastanowił się przez chwilę. Już od drugiego dnia po wielkim zmartwychwstaniu zaczęły następować tak zwane małe zmartwychwstania. Ludzie ginęli w wypadkach, z ręki innych osób lub sami się zabijali, a następnego ranka budzili się w pełni sił. Nigdy jednak nie byli wskrzeszani w miejscu śmierci. Zawsze pojawiali się w dużym oddaleniu od tego miejsca, często nawet w innej strefie klimatycznej.

Wielu przypisywało to działaniu nadprzyrodzonego czynnika. Inni, wśród nich był Burton, uważali, że mają do czynienia z zaawansowaną technologią. Nie było potrzeby odwoływania się do zjawisk nadnaturalnych. Cytując nieśmiertelnego Sherlocka Holmesa: „Po co nam jakieś upiory”¹. Wystarczyło całkowicie fizyczne wytłumaczenie.

Burton wiedział z własnego doświadczenia, najwyraźniej dość wyjątkowego, że ciało martwej osoby może zostać powielone. Widział dowody w wielkiej komorze, w której ocknął się przed zmartwychwstaniem. Ciała były odtwarzane na podstawie jakiegoś rodzaju zapisu, a wskrzeszeniu towarzyszyły uleczenia ran, zregenerowanie tkanki, przywrócenie utraconych

¹ Na podstawie opowiadania „Wampir z hrabstwa Sussex” Arthura Conan Dolye’a w tłumaczeniu Lecha Niedzielskiego (Muza, 2003).

członków i odmłodzenie.

Gdzieś pod ziemią znajdował się olbrzymi konwerter energii w materię. Zapewne zasilało go gorąco rdzenia planety, a sterowano nim poprzez system kamieni obfitości, których korzenie sięgały bardzo głęboko, tworząc obwód tak złożony, że trudno go było objąć myślą.

Czy zapis komórek martwej osoby był dokonywany przez same kamienie? Czy też może, jak zasugerował Frigate, przez niewidoczne satelity, które z orbity obserwowały wszystkie żywe istoty, tak jak Bóg, który miał znać los nawet pojedynczego wróbla?

Nikt tego nie wiedział, a jeśli nawet ktoś poznał sekret, to go nie wyjawiał.

Konwersją energii w materię za pośrednictwem systemu kamieni obfitości tłumaczono także pojawianie się darmowych posiłków, które każdy mieszkaniec Świata Rzeki trzy razy dziennie znajdował w swoim rogu obfitości. Podstawa każdego z pojemników musiała zawierać mikroskopijny konwerter i elektroniczny jadłospis. Energia była przekazywana przez system kamieni do rogów. W nich elektryczność stawała się złożoną materią: wołowiną, chlebem, sałatą i innymi potrawami, a nawet takimi towarami luksusowymi jak tytoń, marihuana, alkohol, nożyczki, grzebienie, zapalniczki, szminki czy guma snów.

Przypominające ręczniki stroje także były dostarczane przez system kamieni, ale nie przez rogi obfitości. Pojawiały się w formie równej kupki obok wskrzeszonej osoby i jej pojemnika.

Korzenie systemu musiały tworzyć jakiś podziemny mechanizm, który był w stanie przekazać poprzez wielometrową warstwę gruntu niezwykle skomplikowaną kombinację cząsteczek tworzącą ludzkie ciała, rogi obfitości oraz ubrania i zmaterializować je dokładnie centymetr ponad powierzchnią ziemi.

Ludzie i przedmioty dosłownie powstawali z powietrza.

Burton czasem się zastanawiał, co by się stało, gdyby wskrzeszona osoba pojawiła się w miejscu zajmowanym przez inny obiekt. Frigate twierdził, że doszłoby wtedy do straszliwej eksplozji. Jak dotąd nigdy się to nie wydarzyło, a przynajmniej Burton o niczym takim nie słyszał. Z tego wynikało, że system „wiedział” jak unikać przemieszania molekuł.

Jednak, jak zauważył Frigate, nowo wskrzeszone ciało musiało zastąpić pewną objętość powietrza. W jaki sposób unikano fatalnych skutków wymieszania jego cząsteczek z cząsteczkami tworzącymi zmartwychwstałe ciało?

Tego nie wiedział nikt. Ale mechanizm najwidoczniej w jakiś sposób usuwał powietrze, tworząc próżnię, w której mogły się pojawiać ciała, pojemniki i ręczniki. Przy czym musiała to być idealna próżnia, której nie potrafili uzyskać naukowcy końca dziesiątego

wieku.

Co więcej, cały proces zachodził w ciszy, bez eksplozji gwałtownie usuwanego powietrza.

Wciąż nie było satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie o sposób zapisywania ciał. Wiele lat temu pochwycony agent Etyków, mężczyzna nazywający siebie Spruce, wyjawiał, że chronoskop, przyrząd umożliwiający spoglądanie w przeszłość, dokonał zapisu komórek wszystkich ludzi żyjących na Ziemi między rokiem 2000000 przed naszą erą, a 2008 naszej ery.

Burton w to nie wierzył. Nie wydawało się możliwe, by cokolwiek mogło cofnąć się w czasie, czy to cieleśnie, czy wizualnie. Frigate także wątpił w tę wersję wydarzeń, stwierdzając, że Spruce prawdopodobnie użył słowa „chronoskop” jako przenośni. Albo po prostu skłamał.

Niezależnie od odpowiedzi na te pytania, samo zmartwychwstanie, jak również pojawianie się jedzenia w rogach obfitości można było wytłumaczyć na gruncie naukowym.

- Co się dzieje, Burtonie? - spytał wódz. - Opętał cię duch?

- Nic, zamyśliłem się tylko - odparł z uśmiechem Anglik. - My także rozmawialiśmy z wieloma osobami, które twierdziły, że od roku nikt nie zmartwychwstał w ich stronach. Oczywiście może to jedynie świadczyć o tym, że w miejscach, które odwiedziliśmy, nie pojawiły się żadne wskrzeszone ciała. Możliwe, że w innych rejonach nic się nie zmieniło. W końcu Rzeka może mieć...

Przerwał. Jak może opowiedzieć o Rzece długiej na co najmniej dziesięć milionów kilometrów ludziom, którzy nie rozumieli liczb większych od dwudziestu?

- Może być tak długa, że z jednego jej końca do drugiego trzeba by żeglować tyle czasu, ile na Ziemi trwało życie twojego dziadka, ojca i twoje - wyjaśnił. A jednak, choćby nastąpiło tyle śmierci, ile rośnie ździebeł trawy między kamieniami obfitości, to wciąż niewielka liczba w porównaniu z populacją ludzi żyjących nad Rzeką. Chociaż podróżujemy od dawna, nie dotarliśmy zbyt daleko, zważywszy na długość Rzeki. Może istnieć wiele obszarów, na których zmarli zostali wskrzeszeni. Ponadto, obecnie nie umiera tylu ludzi, co w czasie pierwszych dwudziestu lat. Powstało wiele małych państw, z których tylko niektóre stosują niewolnictwo. Ludzie założyli państwa, w których panuje porządek i bezpieczeństwo. Żli ludzie, którzy pragnęli władzy oraz jedzenia i przedmiotów należących do innych, zostali zabici. To prawda, że pojawili się w innych miejscach, ale tam już nie znaleźli zwolenników. Sytuacja w miarę się ustabilizowała, choć oczywiście nadal zdarzają się wypadki, głównie podczas połowu ryb, oraz pojedyncze morderstwa, zazwyczaj w afekcie. Teraz umiera mniej

ludzi niż kiedyś. Możliwe, że w rejonach, przez które płynęliśmy, po prostu nie pojawili się żadni wskrzeszeni.

- Czy naprawdę w to wierzysz? - spytał wódz. - Czy starasz się nas pocieszyć?

Burton znów się uśmiechnął.

- Nie wiem - odpowiedział.

- Być może jest tak, jak mówią szamani Kościoła Jeszcze Jednej Szansy - rzekł wódz. - Ten świat jest jedynie przedsionkiem innej, jeszcze lepszej rzeczywistości. Szamani powiadają, że kiedy ktoś tutaj staje się bardzo dobrym człowiekiem, dużo lepszym niż na Ziemi, przechodzi do świata, który zamieszkują wielkie duchy. Choć szamani utrzymują, że istnieje tylko jeden wielki duch. Nie wierzę w to, bo wszyscy wiedzą, że jest wiele duchów, wyższego i niższego rzędu.

- Tak właśnie mówią - zgodził się Burton. - Ale skąd mieliby wiedzieć więcej niż wy czy ja?

- Mówią, że jeden z duchów, które stworzyły ten świat, ukazał się założycielowi Kościoła i wyjawiał mu prawdę.

- Być może człowiek, który tak twierdzi, oszalał lub kłamie - odparł Burton. - Tak czy inaczej, musiałbym sam porozmawiać z tym duchem. I najpierw musiałby mi udowodnić, że rzeczywiście nim jest.

- Nie kłopotuję się takimi sprawami - rzekł wódz. - Lepiej pozostawić duchy w spokoju, cieszyć się życiem i być dobrym w oczach plemienia.

- Być może to najmądrzejsza ścieżka - zgodził się Burton.

Nie wierzył w to, co powiedział. Gdyby tak było, nie byłby tak zdeterminowany, by dotrzeć do krańca Rzeki i do morza za górami otaczającymi biegun północny. Morza, z którego wód podobno wznosiła się olbrzymia wieża, w której mieszkali tajemniczy stwórcy i władcy tego świata.

- Nie obraż się, Richardzie Burtonie - odezwał się wódz - ale potrafię zajrzeć do wnętrza drugiego człowieka. Uśmiechasz się i opowiadasz zabawne historie, lecz wciąż się czymś martwisz. Jesteś pełen gniewu. Czemu nie przerwiesz podróży na tym małym okręcie i się nie ustatkujesz? Masz dobrą kobietę, a to wszystko, czego potrzeba mężczyźnie. To przyjemne miejsce. Panuje tu pokój i nie ma kradzieży, poza sporadycznymi incydentami z udziałem gości z zewnątrz. Nie ma kłótni i przemocy, poza sytuacjami, gdy jeden mężczyzna chce udowodnić drugiemu, że jest silniejszy, lub gdy kobieta i mężczyzna nie mogą ze sobą wytrzymać. Każdemu rozsądnemu człowiekowi by się u nas spodobało.

- Nie czuję się urażony - odpowiedział Burton. - Ale, żeby mnie w pełni zrozumieć,

musiałbyś poznać historię mojego życia, tutaj i na Ziemi, a nawet wtedy mogłoby ci się to nie udać. Zresztą ja sam siebie dobrze nie rozumiem.

Burton umilkł, przypominając sobie innego wodza prymitywnego plemienia, który skierował do niego podobne słowa. Było to w 1863 roku, gdy Richard Burton, konsul JKM na obszarze afrykańskiej wyspy Fernando Po i zatoki Biafry, odwiedził Gelele, króla Dahomey. Misja Anglika polegała na przekonaniu władcy do zaprzestania składania corocznych krwawych ofiar z ludzi oraz handlu niewolnikami. Zadanie nie zostało wykonane, ale Burton zebrał wystarczająco dużo informacji, żeby zapisać dwa opasłe tomy.

Zapijaczony, krwiożerczy i lubieżny król traktował go arogancko, w odróżnieniu od władcy Beninu, który ku czci Burtona ukrzyżował człowieka. Mimo to, mężczyźni całkiem dobrze się porozumieli. Do tego stopnia, że podczas jednej z wizyt Burton został mianowany honorowym kapitanem królewskiej straży amazońskiej.

Gelele także twierdził, że Burton jest dobrym człowiekiem, lecz zbyt przepełnionym gniewem.

Przedstawiciele prymitywnych ludów potrafili sprawnie czytać ludzki charakter. Potrzebowali tej umiejętności, by przetrwać.

Monat, czując, że zachowanie Burtona popsło ogólny nastrój, zaczął opowiadać historie ze swojej macierzystej planety. Arkturiańczyk początkowo wprowadził tubylców w osłupienie swoim pozaziemskim pochodzeniem. Jednakże bez trudu przełamał lody, wiedział bowiem, jak sprawić, aby ludzie dobrze się czuli w jego towarzystwie. Musiał wykorzystywać tę umiejętność od pierwszego dnia życia w Świecie Rzeki.

Po chwili Burton wstał i stwierdził, że jego załoga powinna się udać na spoczynek. Podziękował Ganopo za gościnność, ale poinformował ich, że rozmyślił się co do pozostania na wyspie przez kilka dni. Zrezygnował z pierwotnego planu odpoczynku połączonego z badaniem życia Indian.

- Bardzo byśmy chcieli, żebyście z nami pozostali - rzekł wódz. - Kilka dni lub wiele lat, jak wolicie.

- Dziękuję za propozycję - odparł Anglik, po czym zacytował słowa jednego z bohaterów „Baśni z tysiąca i jednej nocy”: „Allah dotknął mnie miłością podróży”.
Następnie zacytował samego siebie:

Następnie zacytował samego siebie:

- „Podróżnicy, podobnie jak poeci, to w większości rasa pełna gniewu”.

To go przynajmniej rozbawiło i udał się na statek w nieco lepszym nastroju. Przed zaśnięciem rozstawił strażę. Frigate próbował protestować, twierdząc, że nie jest to konieczne w tak odizolowanej krainie, której mieszkańcy wydają się uczciwi. Został jednak

zignorowany, co go zresztą wcale nie zdziwiło. Wiedział, że według Burtona żądza posiadania jest głównym motywem ludzkiego działania.

6

Paląc cygaro, Burton rozmyślał o wydarzeniach ostatniej nocy wliczając swoje sny. Obok niego stał Frigate i wspólnie w ciszy przyglądali się blednącym gwiazdom i obłokom gazu. Do świtu pozostało około pół godziny. Jego światło zetrze z nieba większość ciał niebieskich i powoli rozleje się po świecie, w końcu wydobywając z mroku północne pasmo gór.

Widzieli mgłę, okrywającą niczym wełniany koc Rzekę i równiny na obu brzegach. Obmywała porośnięte drzewami wzgórze, na zboczach których można było dostrzec kilka świateł. Za wzgórzami piętrzyły się skaliste góry o gładkich jak lustro ścianach do wysokości około trzystu metrów nachylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a potem wznoszących się całkowicie pionowo na ponad trzy kilometry.

Podczas pierwszych lat pobytu w Świecie Rzeki Burton ocenił, że góry mają około sześciu tysięcy stu metrów wysokości. Nie tylko on się tak pomylił, w końcu wszyscy mogli polegać jedynie na własnych oczach. Po skonstruowaniu pierwszych, dość prymitywnych, przyrządów mierniczych Anglik ustalił, że góry są mniej więcej dwukrotnie niższe niż początkowo sądził. Ich błękitno-szare i czarne ściany stwarzały złudzenie ogromu. Być może iluzję wzmocniał fakt, że dolina była bardzo wąska i wznoszące się po jej obu stronach masywy sprawiały, że w porównaniu z nimi mieszkańcy czuli się liliputami.

Był to świat złudzeń: fizycznych, metafizycznych i psychicznych. Podobnie jak Ziemia.

Frigate palił papierosa. Rzucił palenie na rok, ale teraz, jak to ujął, znów „wpadł w szpony nałogu”. Wzrostem Amerykanin niemal dorównywał Burtonowi. Miał orzechowe oczy, a jego włosy, choć prawie równie czarne jak włosy Anglika, w świetle słońca zdradzały czerwonawy odcień. Jego rysy były nieregularne: wystające łuki brwiowe, prosty nos średnich rozmiarów, lecz o dużych nozdrzach, pełne usta z długą górną wargą i podbródek z dołkiem. Z powodu nienaturalnie krótkiej szczęki, ten ostatni sprawiał wrażenie cofniętego.

Na Ziemi Frigate należał do tej nielicznej, lecz energicznej grupy ludzi, którzy gromadzili wszelką literaturę dotyczącą Burtona lub przez niego stworzoną. Ponadto napisał biografię Anglika, którą w końcu przekształcił w powieść pod tytułem „Nieokrzesany rycerz królowej”.

Podczas ich pierwszego spotkania Burtona bardzo zaskoczyło, gdy Frigate przedstawił się jako pisarz science fiction.

- A cóż to takiego, na Gehennę?

- Nie każ mi definiować science fiction - odparł Frigate. - Nikomu nigdy nie udało się stworzyć w pełni satysfakcjonującej definicji. Jednakże jest to, a raczej był, gatunek literacki, w którym fabuła większości opowieści rozgrywała się w fikcyjnej przyszłości. Nazywano go science fiction, gdyż nauka, po angielsku „science”, odgrywała w nim dużą rolę. A dokładniej - rozwój nauki w przyszłości. Nie chodziło jedynie o fizykę i chemię, ale także o zmiany na gruncie socjologii i psychologii. Tak naprawdę każda historia rozgrywająca się w przyszłości należała do tego gatunku. Przy czym książka napisana w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku i opowiadająca o świecie w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym po upływie tych dwudziestu czterech lat wciąż była traktowana jako science fiction. Co więcej, fabuła opowieści science fiction mogła się rozgrywać w teraźniejszości bądź przeszłości. Jednak podstawowym założeniem było to, że opowiedziana historia jest możliwa, autor bowiem oparł ją na wiedzy naukowej swoich czasów, i przewidział, mniej lub bardziej szczegółowo, w jaki sposób nauka się rozwinie. Niestety, ta definicja objęła także utwory, w których element nauki nie był obecny, lub mieliśmy do czynienia z nauką błędnie rozumianą przez pisarza. Jednakże (to częste słowo w przypadku science fiction), powstało wiele opowieści o wydarzeniach, które w rzeczywistości nie mogły nastąpić, i które nie zostały oparte na naukowych podstawach, jak choćby podróże w czasie, światy równoległe, loty szybsze od prędkości światła, żyjące gwiazdy, Bóg odwiedzający Ziemię w ludzkiej postaci, owady wielkości budynków, ogólnoswiatowe powodzie, zniewolenie telepatyczne i wiele innych.

- Skąd wzięła się nazwa science fiction? - spytał Burton.

- Cóż, tak naprawdę podobne książki powstawały na długo, zanim człowiek nazwiskiem Hugo Gernsback wymyślił ten termin - odrzekł Frigate. - Zapewne czytałeś powieści Juliusza Verne'a i „Frankensteina” Mary Shelley. Je także uznano za science fiction.

- Dla mnie to zwykła fantazja - odparł Anglik.

- Owszem, ale wszelka fikcja to fantazja - wyjaśnił Frigate. - Różnica między tym, co nazywaliśmy literaturą głównego nurtu, a science fiction polega na tym, że w przypadku tej pierwszej mieliśmy do czynienia z historiami, które mogły się wydarzyć. Ponadto, ich fabuła zawsze rozgrywała się w przeszłości lub teraźniejszości. Literatura science fiction opowiadała o wydarzeniach, które nie mogły zaistnieć lub ich zaistnienie było bardzo mało prawdopodobne. Niektórzy chcieli nazwać te opowieści literaturą spekulacyjną, ale ów termin

nigdy się nie przyjął.

Burton nigdy do końca nie zrozumiał, czym była literatura science fiction, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Frigate też nie potrafił tego dokładnie wyjaśnić, choć był w stanie podać wiele przykładów.

- Tak naprawdę science fiction to jedna z tych rzeczy, które nie istnieją, a pomimo tego mają nazwę - rzekł Amerykanin. - Lepiej porozmawiajmy o czymś innym.

Ale Burton nie zamierzał zmieniać tematu.

- Czyli pracowałeś w zawodzie, który nie istniał?

- Ależ nie, zawód pisarza science fiction jak najbardziej istniał - sprzeciwił się Frigate.

- Chodzi jedynie o to, że nie istniało samo science fiction jako takie. To zaczyna przypominać dialog z „Alicji w krainie czarów”.

- Czy pieniądze, które zarabiałeś na pisaniu, także nie istniały? - spytał Burton.

- Prawie - odparł Frigate. - No, trochę przesadzam. Nie umierałem z głodu na ulicy, ale także nie jeździłem złotym cadillakiem.

- Co to jest cadillac?

Kiedy Burton się teraz nad tym zastanawiał, wydało mu się dziwne, że kobieta, która z nim śpi, to ta sama Alicja, która stała się inspiracją dla dwóch arcydzieł Lewisa Carrola.

Nagle wyrwał go z zamyślenia głos Frigate'a:

- Co to takiego?

Burton spojrział na wschód w stronę cieśniny. W odróżnieniu od obszarów po jej obu stronach, gdzie rozciągały się łatwo dostępne brzegi, sama cieśnina wiodła między wysokimi i stromymi ścianami. Teraz z tamtej strony nadciągały jakieś dwa obiekty, które wydawały się zawieszony powyżej poziomu mgły.

Anglik wspiął się na drabinkę sznurową, żeby mieć lepszy widok. Dwa obiekty wcale nie płynęły w powietrzu, ich dolne części były po prostu skryte we mgle. Bliżej znajdowała się drewniana konstrukcja, na wierzchu której Burton ujrzał kształt przypominający ludzką postać. Drugi obiekt znajdował się znacznie dalej. Był duży, czarny i okrągły.

- Pete! - zawołał Anglik w stronę pokładu. - To chyba tratwa! Bardzo duża! Płynie z prądem i kieruje się dokładnie na nas! Ma wieżyczkę z pilotem, ale on się nie porusza, tylko stoi w miejscu. Ale na pewno...

Nie, nie na pewno. Człowiek na wieżyczce nawet nie drgnął. Gdyby nie spał, spostrzegłby, że tratwa znajduje się na kursie kolizyjnym.

Burton objął linę, złożył dłonie przy ustach i wykrzykiwał ostrzeżenia. Postać opierająca się o barierkę pozostała nieruchoma - Burton przestał do niej wołać.

- Obudź wszystkich! - ryknął do Frigate'a. - Migiem! Musimy przestawić okręt!

Zręcznie szedł na dół i zeskoczył na platformę. Tutaj jego głowa znajdowała się poniżej poziomu mgły i nic nie widział. Jednakże idąc wzdłuż kadłuba, dotarł po omacku do słupków cumowniczych. Gdy odwiązał dwie liny, usłyszał resztę załogi krzątającą się na pokładzie. Krzyknął do Monata i Kazza, żeby zeskoczyli na platformę po drugiej stronie statku i odwiązali liny.

W zamieszaniu zderzył się ze słupkiem i przez kilka sekund skakał wkoło, trzymając się za kolano. Potem wrócił do pracy.

Odwiązawszy wszystkie liny po swojej stronie, po omacku wrócił wzdłuż kadłuba aż do trapu, który ktoś zdążył spuścić. Wszedł na pokład, przesuwał dłońmi po barierkach. Teraz widział czubki głów kobiet i twarz Amerykanina.

- Co się dzieje? - spytała Alicja.

- Wyjąłeś żerdzie?! - zawołał do Frigate'a.

- Tak.

Znow wspiął się na sznurową drabinę. Oba obiekty nadal płynęły wprost na nich. Człowiek na wieżycze się nie poruszał.

Burton usłyszał głosy dobiegające z wyspy. Ganopo się obudzili i wykrzykiwali w stronę załogi rozmaite pytania.

Głowa i ramiona Monata wynurzyły się z szarej mgły. Arkturiańczyk wyglądał jak potwór rodem z powieści gotyckiej. Jego czaszka przypominała czaszkę człowieka, ale rysy twarzy nadawały mu nieludzki wygląd. Gęste czarne brwi opadały wzdłuż twarzy aż na wystające kości policzkowe, gdzie się rozrastały, pokrywając skórę. Z boków nozdrzy wyrastały cienkie membrany, które bujały się wraz z ruchami głowy. Koniec nosa rozdzielała głęboka bruzda. Wąskie, czarne i skórzaste usta kosmity przypominały wargi psa. Uszy pozbawione konch uzwojeniem przywodziły na myśl muszelki.

W pobliżu Monata rozległ się ryk Kazza. Burton nie widział neandertalczyka, gdyż był on jednym z najniższych członków załogi, mierzącym jedynie około półtora metra. Dopiero po chwili obaj towarzysze zbliżyli się do niego i Burton zauważył we mgle zarys przysadzistej postaci.

- Łapcie za żerdzie i odepchnijcie statek od platform! - wrzasnął Burton.

- A gdzie one są, do cholery?! - zawołała Besst.

- Zdjąłem je z półki - odpowiedział Frigate. - Leżą na pokładzie tuż pod nią.

- Za mną - rozkazał Burton, po czym potknął się o coś i runął na twarz, głośno przeklinając. Błyskawicznie wstał, tylko po to, by się z kimś zderzyć. Po masywnej posturze

wnioskował, że była to Besst.

Po chwilowym zamieszaniu odnaleziono żerdzie i ustawiono się z nimi wzdłuż burt statku. Na rozkaz Burtona członkowie załogi oparli końcówki żerdzi o platformy cumownicze, nie mieli bowiem wystarczająco dużo miejsca przy burtach, aby móc odepchnąć się od kamiennej półki znajdującej się pod statkiem. Musieli walczyć z prądem, najsilniejszym na środku jeziora, więc przemieszczali się bardzo powoli. Gdy odbili od platform, opuścili końce żerdzi do wody i odepchnęli się od dna. Żerdzie ześlizgnęły się po gładkich kamieniach.

Burton rozkazał obrócić dziób okrętu. Gdy tak się stało, wszyscy członkowie załogi przeszli na sterburtę, by nie dopuścić do zdryfowania statku w kierunku wyspy. Minęli plażę i podwodną półkę i teraz musieli trzymanymi poziomo żerdziami odpychać się od kamiennej iglicy.

Burton obejrzał się, słysząc nieznamy głos. Mroczna postać na wieżycy poruszała się i wykrzykiwała coś w stronę pograżonej we mgle tratwy. Odezwały się też inne głosy, mniej wyraźne od głosu pilota.

Duży czarny okrągły obiekt stał się jeszcze większy. W świetle gwiazd wyglądał jak głowa olbrzyma. Burton oceniał, że znajduje się on w odległości około stu metrów od wieżyczki, co oznaczało, że niosąca go tratwa była gigantyczna. Nie miał pojęcia, jak jest szeroka, i miał nadzieję, że się o tym nie dowie, dopóki jego statek nie znajdzie się po drugiej stronie wyspy.

Zanim wrócił do swoich obowiązków, zobaczył, że na wieżycy pojawił się drugi człowiek. Machał rękami, a jego przenikliwy głos zagłuszał wołanie pilota.

- Uwaga! - krzyknął Frigate.

Burton wcale nie miał Amerykaninowi za złe, że ten panikuje. Sam był przerażony. Setki, a może tysiące rozpędzonych bali drewna płynęły w stronę *Hadziego II*.

- Pchajcie z całej siły! - wrzasnął. - Inaczej nas zmiażdży!

Bukszpryt, długie drzewce na dziobie statku, już minęło kamienną iglicę. Jeszcze dziesięć pchnięć i statek minie wyspę, a wtedy porwie go prąd i uniesie z dala od niebezpieczeństwa.

Krzyki dobiegające z tratwy stawały się coraz głośniejsze. Burton zerknął na wieżyczkę. Była oddalona o jakieś sto dwadzieścia metrów. Co więcej, lekko się obróciła. Zaklął. Załoga tratwy skręcała, żeby uniknąć uderzenia w sam środek wyspy. Niestety, skręcali w lewo, a nie w prawo.

- Pchać! - krzyknął.

Zastanawiał się, gdzie umieszczono wieżyczkę. Może na samym dziobie tratwy, a może dalej? W tym drugim przypadku część tratwy wystawałaby przed wieżyczką, co by oznaczało, że znajduje się już bardzo blisko *Hadziego II*.

Tak czy inaczej, tratwa nie uniknie zderzenia z wyspą. Burton nie dbał o to, jeśli tylko kolos nie staranuje jego okrętu.

Człowiek na wieżyczce wykrzykiwał rozkazy w nieznanym języku.

Dziób *Hadziego II* minął iglicę, ale silny prąd spychał okręt w stronę skał, a żerdzie ślizgały się na kamieniach.

- Pchajcie, sukinsyny, pchajcie! - wrzeszczał Burton.

Rozległ się ryk, po czym pokład nagle się uniósł i przechylił w stronę skały. Burton spadł w twardą jasność, która z kolei pchnęła go w objęcia ciemności. Wiedział, że runął na pokład, leży na plecach i stara się wstać. Wokół niego ludzie zaczęli krzyżeć. Ostatnim, co usłyszał, był trzask miazdzonego drewna i eksplozja spowodowana uderzeniem przedniej części tratwy w skałę.

7

Mgła oślepiła Jill Gulbirę.

Trzymając się blisko prawego brzegu Rzeki, ledwie mogła dostrzec kamienie obfitości. Wyglądały złowrogo, jak olbrzymie muchomory wyrastające na ponurym pustkowiu.

Następny powinien zakończyć jej odyseję. Liczyła mijane kamienie przez całą noc.

Posuwała się naprzód niczym duch w widmowym canoe. Nie było wiatru, ale sama tworzyła jego namiastkę, płynąc pod prąd. Ciężkie wilgotne powietrze ocierało się jej o twarz jak zasłona z ekto plazmy.

Obok jednego z kamieni zauważyła ognisko, które zapewne stanowiło cel jej wędrówki. Z oddali widziała jedynie niewielką iskrę, teraz jej oczom ukazały się wysokie blade płomienie, widmo ognia. W pobliżu usłyszała ludzkie głosy, lecz nikogo nie widziała.

Pomyślała, że sama musi przypominać ducha zakonnicy. Ciało miała owinięte białymi ręcznikami, pod spodem połączonymi za pomocą magnetycznych klamer. Jeden z kawałków materiału tworzył kaptur, dzięki któremu jej twarz wyglądała jak ciemniejsza plama na tle mrocznej szarości.

Na dnie canoe leżał jej skromny dobytek. W mokrej wełnistej mgle przypominał dwa niewielkie stworzenia, białe i szare, skulone u jej stóp. Bliżej znajdował się wysoki szary metalowy cylinder, jej „karmiciel”. Za nim leżało szmaciane zawiniątko zawierające różne przedmioty: bambusowy flet, pierścień z dębowego drewna z jadem, podarunek od jej ukochanego, który umarł tylko w jednym znaczeniu tego słowa. Torba ze skóry rzecznego smoka wypełniona przedmiotami i wspomnieniami. W ciemnościach krył się skórzany futerał przywiązany do zawiniątko, zawierający cisowy łuk i kołczan ze strzałami.

Pod siedzeniem leżała bambusowa włócznia z rogowym ostrzem, a obok niej dwa ciężkie, dębowe wojenne bumerangi oraz torba z dwiema skózanymi procami i czterdziestoma kamieniami.

Wraz ze zbliżaniem się do ogniska, coraz wyraźniej słyszała głosy. Do kogo należały? Do strażników? Pijanych hulaków? Handlarzy niewolników czyhających na takich wędrowców jak ona? Rabusiów liczących na łup?

Uśmiechnęła się ponuro. Jeśli szukają walki, to dobrze trafili.

Jednakże głosy sugerowały raczej pijacką kompanię. Jeśli to, co jej powiedziano w dole Rzeki, było prawdą, to znajdowała się w spokojnej okolicy. Ani Parolando, ani sąsiadujące z nim państwa nie stosowały niewolnictwa rogów obfitości. Według informatorów mogłaby śmiało płynąć w świetle dnia. Zostałaby przyjęta z otwartymi rękami i nikt nie starałby się jej zatrzymać siłą. Słyszała też, że mieszkańcy Parolando budują olbrzymi sterowiec.

Ale nieufność była częścią jej natury i nie można jej było za to winić, zważywszy na straszliwe doświadczenia. Dlatego podróżowała nocą. Wymagało to większego wysiłku i było mniej wygodne oraz znacznie wolniejsze, musiała jednak dokonać wyboru między szybkością a przetrwaniem. W ostatecznym rozrachunku najbardziej liczyło się zachowanie życia.

Śmierć przestała być jedynie chwilową niedogodnością. Wszystko wskazywało na to, że wskrzeszenia ustały i wśród ludzi na nowo zagościł odwieczny strach.

Podpłynęła już na tyle blisko, że w blasku płomieni widziała wielki grzybopodobny kształt. Ognisko znajdowało się bezpośrednio za nim, a obok poruszały się cztery postaci. Poczula dym z palonego bambusa i sosny oraz zapach papierosów. Czemu Tajemniczy Darczyńcy dostarczali ludziom coś równie ohydneho?

Ludzie przy ognisku rozmawiali bełkotliwą angielszczyzną. Albo sporo wypili, albo angielski nie był ich ojczystym językiem. Nie. Głos, który teraz zabrzmiał we mgle, zdecydowanie należał do Amerykanina.

- Nie! - krzyknął mężczyzna. - Na święte ogniste pierścienie cholernego Saturna, nie! To nie tylko kwestia ego i zwykłej pychy! Chcę zbudować największy i najwspanialszy sterowiec w historii, prawdziwego króla przestworzy, olbrzyma, lewiatana! Sterowiec, jakiego nie widziano na Ziemi i w Świecie Rzeki! Powietrzny okręt, dzięki któremu wszyscy poczują się dumni, że są ludźmi! Wcielenie piękna! Cudownego latającego behemota! Jedyne w swoim rodzaju! Jakiego nikt nigdy nie oglądał! Co? Nie przerywaj mi, Dave! Mam natchnienie i ono zaprowadzi nas do celu! A na tym nie koniec!

- Ale Milt!

- Żadnych ale! Potrzebujemy czegoś wielkiego, największego, z czysto logicznych i naukowych względów. Mój Boże, człowieku, musimy się wznieść wyżej i polecieć dalej niż jakikolwiek sterowiec w historii! Musimy mieć zasięg szesnastu tysięcy dziewięciuset kilometrów, a może i większy, w zależności od tego, gdzie się znajduje statek! A tylko Bóg raczy wiedzieć, jakie napotkamy wiatry! To będzie wielkie jednorazowe przedsięwzięcie! Słyszycie, Dave, Zeke, Cyrano? Jednorazowe!

Serce tłukło się jej w piersi. „Dave” odezwał się z niemieckim akcentem. To muszą

być ludzie, których szuka. Co za szczęście! Nie, szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Dobrze wiedziała, ile kilometrów musi przepłynąć, i liczyła kamienie na brzegu. Powiedziano jej też, gdzie dokładnie znajduje się siedziba Milтона Firebrassa. Wiedziała, że jednym z jego pułkowników jest austriacki inżynier, David Schwartz.

- To zajmie za dużo czasu i pochłonie zbyt wiele materiałów - odezwał się głośno jeden z mężczyzn.

Mówił jak rodowity mieszkaniec Maine. W brzmieniu jego głosu było coś z krzyku wiatru w takielunku, trzeszczenia lin i drewna w płynącym okręcie, huku fal i łopotania żagli. A może to tylko jej wyobraźnia? Pewnie tak.

Przestań, Jill, skarciła się w myślach.

Gdyby Firebrass nie zwrócił się do tego człowieka imieniem Zeke, nie kojarzyłyby teraz jego głosu z otwartym morzem. To musiał być Ezekiel Hardy, kapitan statku wielorybniczego New Bedford, zabity przez kaszalota u wybrzeży Japonii w... 1833? Przekonał Firebrassa, że znakomicie sprawdzi się w roli sternika lub nawigatora na jego sterowcu. Oczywiście po przejściu odpowiedniego szkolenia. Firebrass musi naprawdę desperacko potrzebować załogi, skoro przyjął szypra z początków dziewiętnastego wieku, człowieka, który zapewne nigdy nie widział balonu, a może nawet parostatku.

Plotki głosiły, że jak dotąd Firebrass miał duże problemy ze znalezieniem doświadczonej załogi. Oczywiście szukał jedynie mężczyzn. Zawsze potrzebni byli tylko mężczyźni. Przyjmował więc kandydatów, którzy mogli najwięcej zyskać dzięki przeszkoleniu. Pilotów. Baloniarzy. Marynarzy. W promieniu sześćdziesięciu, a może nawet stu tysięcy kilometrów wzdłuż Rzeki rozeszły się wieści, że Firebrass poszukuje ludzi lżejszych od powietrza. Oczywiście mężczyzn.

Co Firebrass wiedział o budowaniu i pilotowaniu sterowców? Owszem, był na Marsie i Ganimedesie, orbitował wokół Jowisza i Saturna, ale co to miało wspólnego z lataniem wielkimi workami wypełnionymi gazem? Co innego David Schwartz, który zaprojektował i zbudował pierwszy w pełni sztywny sterowiec o szkieletcie i powłoce w całości zbudowanych z aluminium. Było to w roku 1893, sześćdziesiąt lat przed jej urodzeniem. Potem Schwartz rozpoczął budowę jeszcze lepszego sterowca, w Berlinie, bodajże w 1895 roku, ale śmierć przerwała ten projekt. David umarł chyba w styczniu 1897 roku.

Nie była pewna dat. Trzydzieści jeden lat na Rzece zatarło wiele wspomnień z Ziemi.

Zastanawiała się, czy Schwartz wie, co się wydarzyło po jego śmierci. Zapewne nie, chyba że spotkał tutaj jakiegoś zapalonego miłośnika sterowców. Wdowa po Davidzie kontynuowała pracę męża, ale w żadnej z książek nie wspomniano jej imienia lub nazwiska

panieńskiego. W końcu była tylko *Frau Schwartz*. Zbudowała drugi sterowiec, mimo że była tylko kobietą. A potem jakiś dupek wzniósł się w powietrze aluminiowym zeppelinem (który kształtem najbardziej przypominał termos), napotkał silny wiatr, stracił głowę i się rozbił.

Z marzenia Schwartza i poświęcenia jego żony pozostała tylko pogięta sterta srebrzystego metalu. Tak kończą się marzenia, gdy za sterami zasiada połączenie wielkiego fallusa, mikroskopijnego mózgu i mysiej odwagi. Oczywiście, gdyby zamiast tego dupka sterowiec rozbiła kobieta, jej imię znalazłoby się we wszystkich książkach do historii. Widzicie, co się dzieje, kiedy kobieta wychodzi z kuchni? Gdyby Bóg chciał...

Jill Gulbirra zadrzała i poczuła w klatce piersiowej gorące ukłucie bólu. Weź się w garść, wyszeptała. Jeśli się nie uspokoisz, wszystko popsujesz.

Wyrwała się z zamyślenia. Śniąc na jawie o marzeniach *Frau Schwartz*, pozwoliła, aby prąd zniósł canoe w dół Rzeki. Nawet nie zauważyła, kiedy oddaliła się od ogniska, a głosy stały się mniej wyraźne. Uważaj, do cholery, bo inaczej nigdy nie przekonasz kogo trzeba, że nadajesz się do załogi sterowca. Na stanowisko kapitana.

- Mamy mnóstwo czasu! - grzmiał Firebrass. - Nie mówimy tu o krótkoterminowym, kiepsko finansowanym kontrakcie rządowym! Sam dotrze do krańca Rzeki za co najmniej trzydzieści siedem lat. Zbudowanie sterowca zajmie dwa, najwyżej trzy lata. W tym czasie wykorzystamy mniejszy sterowiec do ćwiczeń. A potem wzbijemy się w przestworza i polecimy prosto na Północ, nad mgliste polarne morze, gdzie mieszka ktoś, kto obdarował nas tak szczerze, że przy nim Święty Mikołaj to największy sknera na świecie! Prosto do Wieży Mgieł, największego kamienia obfitości!

Teraz odezwał się czwarty z mężczyzn. Mówił przyjemnym barytonem, ale od razu dało się wyczuć, że angielski nie jest jego ojczystym językiem. Jakiej mógł być narodowości? Wydawało się, że ma francuski akcent, ale... No tak, oczywiście. To mógł być Savinien de Cyrano de Bergerac, jeśli wierzyć plotkom, Jill wydawało się niemożliwe, by wkrótce miała rozmawiać z kimś tak sławnym. Choć przy takiej liczbie oszustów nad brzegami Rzeki być może wcale się tak nie stanie.

Mężczyźni przestali rozmawiać i na chwilę zapadła cisza, jakiej doświadczyć można jedynie w Dolinie Rzeki. Żadnych ptaków, żadnych zwierząt (zwłaszcza szczekających psów), żadnego ryku, warkotu czy brzęczenia mechanicznych bestii, wycia klaksonów, jęku syren, pisku hamulców, hałasu wydobywającego się z głośników. Tylko delikatny szum wody i od czasu do czasu plusk ryby wyskakującej ponad powierzchnię i spadającej w fale. No i trzask ogniska.

- Taaak! - odezwał się Firebrass. - Cudownie! Na Ziemi nigdy nie miałem takich

warunków! I wszystko za darmo! Ale kiedy pojawi się załoga? Potrzebuję większej liczby ludzi z doświadczeniem, prawdziwych speców od sterowców!

Schwartz mlasnął. Jill zauważyła, że podniósł do ust butelkę.

- No proszę! - rzekł do Amerykanina. - A więc jednak masz jakieś zmartwienia!

Jill przybiła do brzegu i wysiadła, starając się nie przewrócić canoe. Woda sięgała jej do pasa, ale za pomocą magnetycznych klamer zabezpieczyła strój, chroniąc się przed zamoknięciem. Wyciągnęła długie, ciężkie canoe na brzeg, który wznosił się zaledwie na trzydzieści centymetrów ponad poziom Rzeki. Przez chwilę stała w miejscu, planując wielkie wejście. Postanowiła iść bez broni.

- Och, w końcu ich znajdę - rzekł Firebrass.

Podeszła bliżej, szorując stopami po krótkiej trawie.

- To mnie szukacie - powiedziała głośno.

Cała czwórka gwałtownie się odwróciła. Jeden z mężczyzn musiał się chwycić ramienia towarzysza, żeby nie upaść. Bez słowa patrzyli na Jill, a ich usta i oczy wyglądały jak ciemne otwory na bladym tle. Oni również byli ubrani w połączone ręczniki, lecz ich stroje miały jaskrawe barwy. Gdyby była ich wrogiem, mogłaby przesyć każdego strzałą, zanim zdążyliby sięgnąć po broń - zakładając, że ją mieli. Wtedy zobaczyła, że na szczycie kamienia obfitości leży kilka pistoletów.

Pistolety! Wykonane z żelaza! Zatem to była prawda!

Nagle w ręku najwyższego mężczyzny ujrzała długi rapier o ostrym końcu. Mężczyzna drugą ręką zdjął kaptur, odsłaniając podłużną, ciemną twarz z dużym nosem. To musiał być słynny Cyrano de Bergerac.

Cyrano zaczął mówić w siedemnastowiecznej francuszczyźnie, z której rozumiała zaledwie kilka słów.

Firebrass również zdjął kaptur.

- Prawie narobiłem w spodnie. Czemu nas nie ostrzegłeś, że się zbliżasz?

Teraz Jill odsłoniła twarz.

Firebrass podszedł bliżej i przyjrzał się jej z uwagą.

- To kobieta! - wykrzyknął.

- Tak czy inaczej, to właśnie mnie szukacie - odrzekła Jill.

- Co takiego?

- Nie rozumiesz po angielsku? - warknęła.

Wściekła była głównie na siebie. Tak pochłonęło ją maskowanie podekscytowania, że odezwała się w swoim ojczystym dialekcie z Toowoomba. Równie dobrze mogłaby mówić

do nich szekspirowską angielszczyzną. Powtórzyła te same słowa w środkowozachodnim amerykańskim angielskim, którego uczyła się z taką pieczołowitością.

- Tak czy inaczej, to właśnie mnie szukacie. Nazywam się Jill Gulbirra.

Firebrass przedstawił siebie i pozostałych.

- Muszę się napić - powiedział.

- Ja też chętnie skorzystam - odrzekła Jill. - To nieprawda, że alkohol rozgrzewa, ale dzięki niemu przynajmniej wydaje się nam, że jest cieplej.

Firebrass wziął do ręki butelkę, pierwszy kawałek szkła, jaki Jill widziała od lat, po czym podał ją kobiecie, a ona pociągnęła łyk szkockiej, nie wycierając szyjki. W końcu w Świecie Rzeki nie ma zarazków. Nie miała też nic przeciwko picciu z tej samej butelki co Mulat, przecież miała babkę Aborygenkę. Oczywiście Aborygeni to nie to samo co Murzyni. To archaiczni Biali, tylko o czarnej skórze.

Czemu o tym myślała?

Zbliżył się do niej Cyrano. Szedł z pochyloną głową i lekko zgarbiony, uważnie się jej przyglądając.

- *Mordioux*, ma włosy krótsze od moich - rzekł, kręcąc głową. - Żadnego makijażu! Jesteście pewni, że to kobieta?

Jill przeplukała usta szkocką, po czym połknęła alkohol. Whisky była pyszna i rozlewała się ciepłem po całym ciele.

- Sprawdźmy - odezwał się Francuz. Położył dłoń na jej lewej piersi i lekko ścisnął.

Jill z całej siły uderzyła go w brzuch, a kiedy Cyrano zgiął się w pół, kopnęła go kolanem w podbródek. Runął na ziemię.

- Co, do diabła? - wykrztusił Firebrass i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- A jak ty byś zareagował, gdyby złapał cię za krocze, żeby sprawdzić, czy jesteś mężczyzną? - spytała.

- Po prostu pięknie, kochanie - odparł Firebrass i zaczął się zanosić śmiechem i zataczać. Pozostali mężczyźni patrzyli na niego jak na szaleńca.

Cyrano uklęknął, podpierając się rękami, po czym powoli wstał. Był czerwony na twarzy, a usta wykrzywił mu wściekły grymas. Jill chciała się wycofać, zwłaszcza kiedy wziął do ręki rapier, ale się nie poruszyła.

- Czy zawsze jest pan tak bezpośredni w stosunku do obcych kobiet? - spytała spokojnym głosem.

Francuz drgnął. Jego twarz odzyskała normalny kolor, a grymas wściekłości zmienił się w uśmiech.

- Ależ nie, madame. Proszę o wybaczenie za moje paskudne maniery. Zwykle nie piję, gdyż nie chcę, aby alkohol mącił mi umysł i zmieniał mnie w zwierzę. Jednak dziś świętujemy rocznicę wypłynięcia parostatku.

- Nie ma sprawy - odparła Jill. - Tylko nie rób tego więcej.

Uśmiechała się, ale w duchu przeklinała samą siebie za taki początek znajomości z człowiekiem, którego podziwiała. To nie była jej wina, wątpiła jednak, aby kiedykolwiek jej wybaczył upokorzenie na oczach towarzyszy. Ego żadnego mężczyzny tego nie zniesie.

8

Mgła się przerzedziła. Już nie potrzebowali światła ogniska, by nawzajem widzieć swoje twarze. Jednak przy ziemi wciąż unosiły się gęste szaro-białe kłęby. Niebo się rozjaśniało, choć trzeba było jeszcze kilku godzin, by słońce wynurzyło się zza górskich szczytów na wschodzie. Wielkie białe chmury gazu pokrywające jedną szóstą nieboskłonu rozplynęły się w świetle nadchodzącego dnia wraz z mniejszymi gwiazdami. Tysiące kosmicznych gigantów wciąż płonęło im nad głowami na czerwono, zielono, biało i niebiesko, lecz także największe gwiazdy stopniowo traciły blask, niczym powoli przykręcane płomienie gazowej kuchenki.

Na zachodzie wyłonił się z mgły tuzin potężnych budowli. Choć Jill słyszała o nich dzięki poczcie pantoflowej i bębniącemu telegrafowi, i tak zaniemówiła z wrażenia. Przed nią wznosiło się kilka cztero- i pięciopiętrowych budynków z cienkiej blachy stalowej i aluminium. Fabryki. Między nimi stał prawdziwy gigant - aluminiowy hangar.

- Nigdy nie widziałam większego - wyszeptała.

- To jeszcze nic - odparł Firebrass i zamilkł na chwilę. - A więc chcesz się zaciągnąć? - spytał, zdumiony.

- Już mówiłam.

To on był tutaj szefem. Mógł ją zatrudnić i zwolnić. Jill jednak nigdy nie potrafiła ukryć poirytowania głupotą, a niepotrzebne powtarzanie informacji to właśnie głupota i strata czasu. Przed nią stał doktor astrofizyki i inżynier elektroniki w jednej osobie. Astronauci nie musieli być geniuszami, ale Stany Zjednoczone nie wysyłały w kosmos idiotów. Być może to alkohol niekorzystnie wpłynął na intelekt Firebrassa. Tak się zwykle działo w przypadku mężczyzn. Kobiety też, szybko się poprawiła. Bądź uczciwa.

Stał blisko, zionąc jej w twarz oparami whisky. Był od niej o głowę niższy, a szerokie ramiona, umięśnione ręce i obszerna klatka piersiowa zabawnie kontrastowały z długimi, chudymi nogami. Miał duże piwne, przekrwione oczy i dużą głowę z wypukłym czołem. Brunatne włosy kręciły się tak mocno, że prawie się ze sobą splatały. Jego skóra miała brązowawo-czerwony odcień. Był Mulatem, ale jak widać dominowała w nim mieszanka genów białego człowieka i Indianina Onondaga. Mógłby uchodzić za mieszkańca Prowansji lub Katalonii bądź jakiegokolwiek południowoeuropejskiego regionu.

Zmierzył Jill wzrokiem od stóp do głów. Czy to śmiałe spojrzenie miało ją sprowokować do tego, by postąpiła z nim podobnie jak z Cyrano?

- Nad czym się zastanawiasz? - spytała Jill. - Nad moimi kwalifikacjami? A może nad tym, jakie ciało kryje się pod tymi ręcznikami?

Firebrass wybuchnął śmiechem.

- Nad jednym i drugim - odparł po chwili.

Schwartz wyglądał na zakłopotanego. Był niski i drobny, miał niebieskie oczy i brunatne włosy. Odwrócił się speszony, gdy Jill rzuciła mu ostre spojrzenie. Ezekiel Hardy, podobnie jak Cyrano, niemal dorównywał jej wzrostem. Miał wąską twarz, wystające kości policzkowe i czarne włosy. Patrzył na nią surowymi bladoniebieskimi oczami.

- Powtórzę, żeby wszyscy zrozumieli - rzekła Jill. - Jestem równie dobra jak najlepszy mężczyzna i chętnie to udowodnię. Poza tym jestem dla was darem niebios. Mam tytuł inżyniera i potrafię zaprojektować sterowiec od A do Z. Mam także wylatane osiem tysięcy trzysta czterdzieści dwie godziny na czterech różnych typach sterowców. Poradzę sobie na każdym stanowisku. wliczając funkcję kapitana.

- Skąd możemy wiedzieć, że to prawda? - odparł Hardy. - Równie dobrze możesz kłamać.

- A gdzie ty masz swoje papiery? - prychnęła Jill. - Nawet jeśli rzeczywiście byłeś szyprem na statku wielorybniczym, to co z tego? Nie daje ci to kwalifikacji do latania sterowcem.

- Spokojnie - przerwał jej Firebrass. - Nie rzucajmy się sobie do gardeł. Wierzę ci, Gulbirra. Nie wydaje mi się, żebyś należała do szerokiego grona oszustów, z którymi musiałem się tu wielokrotnie borykać. Ale wyjaśnijmy sobie jedną sprawę. Masz o wiele lepsze kwalifikacje niż ja, by dowodzić sterowcem, przynajmniej w tej chwili. Ale to ja tutaj jestem kapitanem i szefem! To ja dowodzę tą eskapadą, od początku do końca, na ziemi i w powietrzu. Nie po to zrezygnowałem ze stanowiska głównego inżyniera na łajbie Clemensa, żeby teraz stać w drugiej linii. Jestem kapitan Firebrass, dobrze to sobie zapamiętaj. Jeśli ci to nie przeszkadza, z radością powitam cię na pokładzie. Możesz nawet zostać pierwszym oficerem, choć tego nie mogę ci obiecać. Jeszcze nie zakończyliśmy naboru.

Przerwał, przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

- Pierwsza sprawa - kontynuował po chwili. - Musisz przysiąc na swoje dobre imię i na Boga, jeśli w jakiegoś wierzysz, że dostosujesz się do praw panujących w Parolando. Bez żadnych wyjątków.

Gulbirra się zawahała. Zwilżyła językiem wysuszone usta. Ponad wszystko pragnęła

znaleźć się w załodze sterowca. Nawet w tej chwili go sobie wyobrażała - olbrzymi kształt unoszący się w powietrzu, rzucający cień na nią i Firebrassa, lśniący w promieniach słońca.

- Nie zrezygnuję z moich zasad! - odrzekła tak stanowczo, że mężczyźni aż podskoczyli. - Czy mężczyźni i kobiety mają tutaj równe prawa? Czy istnieje tu jakakolwiek forma dyskryminacji ze względu na płeć, rasę, narodowość i tak dalej? Zwłaszcza ze względu na płeć.

- Nie - odpowiedział Firebrass. - Teoretycznie i prawnie rzecz ujmując, nie. Oczywiście w praktyce wygląda to nieco inaczej. Poza tym, tak jak zawsze i wszędzie, istnieje dyskryminacja ze względu na umiejętności. Mamy tu wysokie standardy. Jeśli myślisz, że komukolwiek należy się praca tylko ze względu na przynależność do dyskryminowanej grupy, to równie dobrze możesz zabierać dupę w troki.

Przez chwilę Jill się nie odzywała. Mężczyźni na nią patrzyli, zdając sobie sprawę z toczonej przez nią wewnętrznej walki.

Firebrass znów się uśmiechnął.

- Nie tylko ty czujesz się rozdarta - rzekł. - Zależy mi na naszej współpracy równie mocno, jak tobie. Ale podobnie jak ty, mam swoje zasady.

Wskazał kciukiem Schwartz'a i Hardy'ego.

- Popatrz na nich. Obaj z dziewiętnastego wieku. Jeden to Austriak, a drugi mieszkaniec Nowej Anglii. Nie tylko zaakceptowali mnie jako swojego kapitana, ale zostali moimi dobrymi przyjaciółmi. Być może w głębi duszy wciąż uznają mnie za bezczelnego czarnucha, ale przyłożą każdemu, kto mnie tak nazwie. Prawda, panowie?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

- Trzydzieści jeden lat na Rzece zmienia człowieka, jeśli tylko jest on się w stanie zmienić. I co ty na to? Chcesz usłyszeć konstytucję Parolando?

- Oczywiście - odparła Jill. - Nie podejmę decyzji, dopóki się nie dowiem, w co się pakuję.

- Napisał ją wielki Sam Clemens, który prawie rok temu wypłynął stąd na swoim statku, *Marku Twainie*.

- *Marku Twainie*? To trochę egocentryczne, nieprawdaż?

- Imię wybrano na drodze głosowania - wyjaśnił Milton. - Sam protestował, choć z niewielkim przekonaniem. Tak czy inaczej, przerwałaś mi. Istnieje niepisane prawo, że kapitanowi się nie przerywa. A więc: „My, mieszkańcy Parolando, niniejszym oświadczamy...”.

Firebrassowi ani razu nie zadrzał głos podczas recytowania długiego dokumentu.

Niemal całkowity brak pisma zmusił ludzi do polegania na własnej pamięci. Umiejętność niegdyś rozwijana jedynie przez niepiśmiennych i aktorów, teraz cechowała wszystkich.

Słowa wznosiły się w niebo, które coraz bardziej się rozjaśniało. Mgła sięgała już tylko do kolan. Dno doliny wciąż wyglądało na pokryte śniegiem, jednak pogórze znajdujące się poza równiną było dobrze widoczne. Długie trawy, krzewy, drzewa żelazne, dęby, sosny, cisy i bambusy już nie wydawały się zamglone, nierealne i odległe, jak na japońskim obrazie. Olbrzymie kwiaty, które porastały pnącza oplatające gałęzie drzew żelaznych, zaczynały nabierać kolorów. Gdy zaświeci na nie słońce, zapłoną czerwienią, zielenią, błękitem, czernią, bielą oraz żółcią i zajaśnieją na nich różnokolorowe paski i plamki.

Ogromne, błękitno-zielone plamy porostów pokrywały granatowo-czarne kamienne urwiska na zachodzie. W niektórych miejscach ściany zdobiły wąskie srebrzyste katarakty.

Jill Gulbirra dobrze знаła te widoki, ale każdego ranka patrzyła na nie z takim samym uczuciem zachwyty i zdumienia. Kto stworzył tę niekończącą się Rzekę w dolinie? I po co? W jaki sposób ona i trzydzieści cztery do trzydziestu sześciu miliardów innych ludzi zmartwychwstali na tej planecie? Każdy, kto żył na ziemi między rokiem 2000000 przed naszą erą, a 2008 naszej ery, został wskrzeszony. Jedyny wyjątek stanowiły dzieci, które zmarły przed ukończeniem piątego roku życia, oraz ludzie upośledzeni umysłowo, a także, zapewne, ludzie beznadziejnie pogrążeni w szaleństwie, choć definicja słowa „beznadziejnie” budziła wątpliwości.

Kim byli ludzie, którzy to wszystko uczynili? I jaki mieli w tym cel?

Pojawiały się plotki oraz dziwne i niepokojące opowieści o ludziach, którzy od czasu do czasu w tajemniczy sposób na krótko pojawiali się między „łazarzami”. Nazywano ich Etykami.

- Słuchasz mnie? - spytał Firebrass. Jill uświadomiła sobie, że wszyscy na nią patrzą.

- Mogę powtórzyć, słowo w słowo, wszystko, co do tej pory powiedziałaś - odparła.

Mijała się z prawdą. Ale jednym uchem wylapywała najważniejsze informacje, niczym radar nastawiony na określoną częstotliwość.

Ludzie wychodzili z chat. Przeciągali się, kasłali, zapalali papierosy, udawali się w stronę bambusowych latryn lub szli w stronę Rzeki z rogami obfitości w dłoniach. Najwytrzymalsi mieli na sobie jedynie pojedyncze ręczniki, jednak większość była ubrana od stóp do głów. Beduini Doliny Rzeki. Widma w fatamorganie.

- Dobrze - odezwał się Firebrass. - Chcesz zostać zaprzysiężona? A może masz jakieś wątpliwości?

- Nigdy ich nie mam - odpowiedziała Jill. - A ty? Nie masz wątpliwości co do mojej

osoby?

- To i tak nie miałyby znaczenia - rzekł z szerokim uśmiechem. - To tylko wstępna przysięga. Czeka cię trzymiesięczny okres próbny, po którym ludzie zagłosują w twojej sprawie. Ale ja mogę zawetować wynik głosowania. Wtedy przyjdzie pora na złożenie ostatecznej przysięgi. W porządku?

- W porządku.

Wcale jej się to nie podobało, ale jakie miała wyjście? Na pewno nie zamierzała się wycofać. Poza tym, choć mężczyźni o tym nie wiedzieli, oni także przechodzili u niej okres próbny.

Powietrze stało się cieplejsze. Niebo na wschodzie coraz bardziej się rozjaśniało, wygaszając już niemal wszystkie gwiazdy. Odezwały się trąbki sygnałowe. Najbliższa zabrzmiała ze szczytu sześciopoziomowej bambusowej wieży ustawionej na środku równiny. Sygnalistą był wysoki i chudy czarnoskóry mężczyzna, owinięty w pasie szkarłatnym ręcznikiem.

- Prawdziwy mosiądz - odezwał się Firebrass. - Niedaleko stąd w górze Rzeki znajdują się niewielkie złoża miedzi i cynku. Mogliśmy je odebrać ludziom, którzy tam mieszkają, ale zamiast tego postanowiliśmy z nimi handlować. Sam pozwalał nam używać siły tylko w ostateczności. Na południu, gdzie kiedyś znajdowało się Soul City, były duże złoża kriolitu i boksytu. Mieszkańcy miasta nie dotrzymali umowy (wymienialiśmy stalową broń na rudy metali), więc popłynęliśmy do nich i sami wzięliśmy, co do nas należało. - Zatoczył ręką koło. - Parolando rozciąga się teraz na przestrzeni sześćdziesięciu czterech kilometrów po obu stronach Rzeki.

Mężczyźni zdjęli wszystkie elementy garderoby poza ręcznikami na biodrach. Jill pozostała w kilcie w zielono-białe paski i cienkim, niemal przezroczystym kawałku materiału osłaniającym piersi. Przedtem wyglądali jak pustynni Arabowie teraz jak Polinezyjczycy.

Mieszkańcy równin i podnóży gór zbierali się nad brzegiem Rzeki. Niektórzy zrzucili ubrania i wskoczyli do wody, pokrzykując i ochlapując się nawzajem.

Jill przez chwilę się wahała. Pociła się przez cały dzień i noc, intensywnie wiosłując. Musiała się wykapać i wcześniej czy później będzie zmuszona całkowicie się rozebrać. Zrzuciła ręczniki i pobiegła w stronę Rzeki, po czym w niej zanurkowała. Po chwili wróciła na brzeg, pożyczyła kawałek mydła od jednej z kobiet i umyła górną część ciała. Wyszła z wody, dygocząc i energicznie się wycierając.

Mężczyźni patrzyli z zainteresowaniem na wysoką, szczupłą, opaloną kobietę o długich nogach, niewielkich piersiach i szerokich biodrach. Jill miała krótkie proste

rudobrunatne włosy i duże oczy w tym samym kolorze. Jej twarz nie wzbudzała zachwyty i Jill dobrze o tym wiedziała. Była w miarę ładna, jeśli nie liczyć dużych wystających zębów i odrobinę zbyt długiego i zakrzywionego nosa. Zęby odziedziczyła po czarnoskórej babce. Nie było na nie sposobu, ale z drugiej strony nie miała zamiaru niczego w nich zmieniać.

Spojrzenie Hardy'ego zatrzymało się na jej włosach łonowych - nadzwyczaj długich i gęstych, w rudym kolorze. Cóż, przejdzie mu. A poza tym i tak nigdy nie zapozna się z nimi bliżej.

Firebrass na chwilę zniknął za kamieniem obfitości, po czym wrócił, trzymając w ręku włócznię. Tuż poniżej stalowego ostrza Jill zobaczyła dużą kość kręgową rogacza przywiązaną do drzewca. Mężczyzna wbił włócznię w ziemię obok jej canoe.

- Ta kość oznacza, że to włócznia kapitańska - rzekł. - Wbiłem ją w ziemię obok canoe, aby pokazać wszystkim, że nie wolno go pożyczać bez pozwolenia. Musisz się zapoznać z wieloma podobnymi zwyczajami. Tymczasem Schwartz pokaże ci twoją kwaterę i oprowadzi cię po okolicy. Zameldujesz się w samo południe pod tamtym drzewem żelaznym.

Wskazał na drzewo rosnące około dziewięćdziesięciu metrów od nich w kierunku zachodnim. Wznosiło się w niebo na około trzysta metrów. Miało grubą, szarą, sękatą korę, gałęzie rozrastające się na dziewięćdziesiąt metrów w każdą ze stron i olbrzymie liście przypominające uszy słonia, ozdobione zielonymi i czerwonymi paskami. Korzenie kolosa z pewnością zagłębiały się w ziemię na co najmniej sto dwadzieścia metrów, a jego drewno opierało się zarówno ogniewi, jak i najtwardszym ostrzom.

- Nazywamy je Szefem. Tam się spotkamy.

Znów odezwały się trąbki sygnałowe. Tłum ustawił się w szyku wojskowym, słuchając rozkazów wydawanych przez oficerów. Firebrass wspiął się na szczyt kamienia obfitości i stamtąd obserwował przebieg apelu. Kaprale składali raport sierżantom, sierżanci pułkownikom, a ci adiutantowi. Następnie Hardy meldował o wszystkim Firebrassowi. Wkrótce ludziom pozwolono się rozejść, tłum jednak pozostał na miejscu. Firebrass zszedł z kamienia, a jego miejsce zajęli kaprale, którzy powkładali rogi obfitości w zagłębienia na powierzchni głazu.

Stojący obok Jill Schwartz odchrząknął.

- Zajmę się twoim rogiem obfitości, Gulbirra.

Wyjęła pojemnik z canoe i podała go mężczyźnie. Był to szary metalowy cylinder o średnicy 45,72 centymetra, wysokości 76,20 centymetra i wadze około 0,55 kilograma. Był wyposażony w wieczko, które mógł otworzyć jedynie właściciel rogu. Na wieczku znajdowała się zakrzywiona rączka, do której Jill przywiązała sznurkiem z włókna

bambusowego swój znak rozpoznawczy, mały gliniany sterowiec. Po jego obu stronach zapisała swoje inicjały.

Schwartz polecił jednemu z ludzi, aby umieścił jej róg obfitości na kamieniu. Mężczyzna szybko wykonał polecenie, nerwowo zerkając na górskie szczyty na wschodzie. Dwie minuty po tym jak skończył słońce wyłoniło się znad gór, a po kolejnych kilku sekundach z kamienia wystrzeliły błękitne płomienie, wznosząc się na wysokość dziewięciu metrów. Grzmot towarzyszący wyładowaniu zmieszał się z rykiem pozostałych głazów ustawionych na obu brzegach Rzeki. Wszystkie lata spędzone w tym świecie nie uodporniły Jill na ten dźwięk ani widok. Mimo że ich oczekiwała, i tak lekko drgnęła. Huk powrócił, odbijając się echem od gór, po czym ustał.

Wszyscy zasiedli do śniadania.

9

Stali u podnóża góry. Porastającą ten obszar wysoką trawę niedawno skoszono do wysokości około półtora centymetra.

- Mamy do tego specjalne maszyny, choć sporo prac i tak wykonujemy za pomocą sierpów - wyjaśnił David Schwartz. - Z trawy robimy liny.

- Tam, skąd przybywam, nie mieliśmy żadnych maszyn - odrzekła Jill. - Używaliśmy krzemienych sierpów. Ale oczywiście także wyrabialiśmy liny z trawy.

Miejsce było chłodne i zacienione. Gałęzie drzewa żelaznego osłaniały niewielką wioskę złożoną z okrągłych bambusowych chat. W wielu z nich dachy wykonano ze szkarłatnych i zielonych liści drzewa. Z najniższej gałęzi giganta, wyrastającej z pnia na wysokości trzydziestu trzech metrów, zwieszała się sznurowa drabinka, prowadząca do chatki stojącej na platformie opartej na dwóch konarach. Jill zauważyła też inne drabinki, platformy i chaty zbudowane na drzewie.

- Być może przydzielą ci jedną z nich po zakończeniu okresu próbnego - odezwał się Schwartz. - Na razie będziesz mieszkać tutaj.

Kobieta weszła we wskazane drzwi. Przynajmniej nie musiała się garbić. Wielu mieszkańców Parolando było niewielkiego wzrostu i w związku z tym często budowano niskie wejścia.

Położyła róg obfitości i zawiniątka na podłodze. Schwartz wszedł za nią do chaty.

- Ten dom należał do pary zabitej przez rzeczno smoka - wyjaśnił. - Bestia wyskoczyła z wody, jakby ją ktoś wystrzelił z armaty, i odgryzła jeden koniec statku rybackiego. Niestety, ci ludzie stali właśnie w tym miejscu i zostali połknięci razem z balami drewna. Pech chciał, że stało się to wkrótce po ustaniu wskrzeszeń, więc tej dwójki już prawdopodobnie nie zobaczymy. Słyszałaś może o jakichkolwiek nowych zmartwychwstaniach?

- Nie, nie słyszałam - odpowiedziała. - W każdym razie nie z wiarygodnego źródła.

- Jak myślisz, czemu po tych wszystkich latach wskrzeszenia ustały?

- Nie wiem - odrzekła ostro. Nie lubiła o tym rozmawiać. Czemu tak nagle odebrano im dar nieśmiertelności?

- Do cholery z tym wszystkim - powiedziała głośno.

Rozejrzała się po wnętrzu chaty. Podłogę porastała trawa sięgająca kobiecie niemal do pasa. Żdźbła szeleściły w zetknięciu z jej nogami. Będzie musiała ściąć trawę blisko przy ziemi, a potem przysypać ją piaskiem. Ale nawet to może nie wystarczyć, aby się jej pozbyć. Korzenie sięgały tak głęboko i były tak silnie połączone, że trawa mogła wzrastać nawet bez światła, czerpiąc potrzebne składniki z korzeni żdziebeł wystawionych na działanie słońca.

Na kołku wbitym w ścianę wisiał stalowy sierp. Stal była tu tak powszechna, że narzędzie, bezcenne w innych krainach, nie padło łupem złodziei.

Chodziła powoli, żeby nie pokaleczyć nóg o ostre żdźbła. W trawie znalazła dwa gliniane kubki. Słoik na wodę pitną stał na bambusowym stoliku, który jakimś cudem jeszcze się nie przewrócił pod naporem rosnącej trawy. Na drugim kołku wisiał naszyjnik z ości. Dwa bambusowe łóżka oraz poduszki i materace, wykonane z kawałków materiału połączonych za pomocą magnetycznych klamer i wypchane liśćmi, były częściowo schowane w zielonym gąszczu. Obok nich leżała harfa zrobiona ze skorupy ryby-żółwia i rybich jelit.

- Cóż, nie jest to wiele - skomentowała. - Ale rzadko kiedy można liczyć na więcej.

- Przynajmniej masz dużo przestrzeni - odparł Schwartz. - Bez problemu pomieścisz się tu razem ze swoim mężczyzną, gdy już jakiegoś znajdziesz.

Jill zdjęła sierp ze ściany, zamachnęła się na najbliższe żdźbła trawy i położyła je pokotem. Wydała okrzyk triumfu.

Schwartz spojrział na nią tak, jakby się zastanawiał, czy to nie on będzie następny.

- Czemu zakładasz, że potrzebuję kochanka? - spytała.

- Bo... bo każdy, to znaczy, każdy kogoś potrzebuje - wydukał Austriak.

- Nie każdy - odparła, po czym zawiesiła sierp z powrotem na kołku. - Jaki jest następny etap naszej wycieczki?

Oczekiwała, że kiedy zostaną sami, zaproponuje jej pójście do łóżka. Wielu mężczyzn tak czyniło. Teraz miała pewność, że chciałby to zrobić, ale brakuje mu odwagi. Poczowała ulgę przemieszaną z pogardą. Potem pomyślała, że te uczucia sobie przeczą. Czemu miałyby nim gardzić dlatego, że zachował się tak, jak tego chciała?

Być może była trochę zawiedziona. Gdy mimo jej ostrzeżeń mężczyźni stawali się zbyt napastliwi, uderzała ich kantem dłoni w szyję, mocno ścisnęła za jądra, a gdy wili się z bólu na ziemi, kopała w brzuch. Nieważne jak byli wielcy i silni, zawsze dawali się zaskoczyć. Byli bez szans, przynajmniej dopóki trwał piekielny ból w kroczu. A potem... cóż, większość dawała jej spokój. Niektórzy próbowali ją zabić, ale była na to przygotowana. Nie wiedzieli, jak dobrze posługiwała się nożem czy jakkolwiek inną bronią.

David Schwartz nie zdawał sobie sprawy z tego, jak blisko był kalectwa i trwałego

uszkodzenia ego.

- Można tu bezpiecznie zostawić dobytek - poinformował kobietę. - Jeszcze nigdy nie mieliśmy przypadku kradzieży.

- Wezmę róg obfitości ze sobą - odpowiedziała Jill. - Wolę go mieć na oku.

David wzruszył ramionami i ze skórzanej torby, którą niósł na ramieniu, wyjął cygaro - jeden z darów znalezionych dzisiejszego ranka w rogu obfitości.

- Nie tutaj - odezwała się cicho Gulbirra. - To mój dom i nie chcę, żeby w nim śmierdziało.

Wyglądał na zaskoczonego, ale ponownie wzruszył ramionami. Jednak gdy tylko wyszli na zewnątrz, zapalił cygaro, po czym ustawił się pod wiatr, tak że kłęby dymu poleciały w jej stronę.

Jill powstrzymała się od komentarza, który miała na końcu języka. Nie leżało w jej interesie obrażanie Schwartza. Trafiłaby na jego czarną listę, a w końcu przechodziła okres próbny. Była kobietą i nie mogła sobie pozwolić na niepotrzebne narażanie się mężczyźnie o tak wysokiej pozycji, w dodatku bliskiemu przyjacielowi Firebrassa. Ale to jedyne ustępstwo, na jakie sobie pozwoli.

Czy aby na pewno? Na Ziemi znosiła wiele upokorzeń, tylko dlatego że zależało jej na oficcerskim stanowisku w załodze sterowca. Uśmiechała się, po czym wracała do domu, gdzie tłukła naczynia i wypisywała wulgaryzmy na ścianach. Dziecinne, ale skuteczne. A teraz znajdowała się w podobnej sytuacji, choć jeszcze kilka lat temu nawet by jej się to nie śniło. Nie mogła odejść, bo nie miała dokąd. To tutaj powstawał jedyny sterowiec na planecie, i to przeznaczony do jednorazowego lotu.

Schwartz zatrzymał się na szczycie wzgórza i wskazał alejkę utworzoną między sosnami za pomocą poprzecznych tyczek. Prowadziła ona do długiej szopy stojącej w połowie drugiego zbocza.

- Oto latryna dla mieszkańców tej okolicy - wyjaśnił. - Co rano opróżniaj do niej nocnik. Mocz do jednego otworu, a ekskrementy do drugiego.

Przez chwilę milczał, po czym się uśmiechnął.

- Osoby przechodzące okres próbny z reguły mają za zadanie co drugi dzień opróżniać latrynę i zanosić ekskrementy do fabryki prochu na wzgórzu. Karmimy nimi specjalne dżdżownice, w efekcie otrzymując azotan potasowy i...

- Wiem - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Nie jestem głupia. Ten proces wykorzystuje się wszędzie tam, gdzie znajdują się złoża siarki.

Schwartz bujał się na piętach, z rozkoszą zaciągając się cygarem skierowanym w górę.

Gdyby nosił szelki, z pewnością by teraz nimi strzelił.

- Większość kandydatów co najmniej przez miesiąc pracuje w fabryce - poinformował kobietę. - Nie jest to zbyt przyjemne, ale uczy dyscypliny. Poza tym pozwala pozbyć się osób mniej oddanych sprawie.

- *Non carborundum illegitimus* - odrzekła.

- Co takiego? - rzucił półgębkiem.

- Jankeskie powiedzenie - wyjaśniła. - Kuchenna łacina. W swobodnym tłumaczeniu: „Nie daj się zgnoić”. Mogę znieść wszelkie upokorzenia, jeśli tylko cel jest tego wart, potem moja kolej. Święte słowa. Muszę być twarda, żeby przetrwać w świecie rządzonej przez mężczyzn. Miałam nadzieję, że tutaj będzie inaczej. Co prawda nie jest, ale kiedyś z pewnością będzie.

- Wszyscy się zmieniamy - rzekł powoli z pewnym smutkiem w głosie. - Nie zawsze na lepsze. Gdybyś mi powiedziała w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, że z ust kobiety, i to damy z wyższych sfer, a nie dziwki lub szwaczki, usłyszę wulgaryzmy i buntownicze...

- Zamiast słów grzecznych i pokornych? - przerwała mu szorstko.

- Pozwól mi skończyć. Buntownicze emancypacyjne brednie. Gdybyś mi coś takiego powiedziała, to wcale bym się nie przejął. Uznałbym, że kłamiesz. Ale życie, a raczej śmierć, może nas bardzo zaskoczyć.

Przerwał i spojrzał na Jill. Patrzyła na niego spod przymrużonych powiek i lekko drgał jej prawy kącik ust.

- Mogłabym ci powiedzieć, gdzie masz sobie wsadzić te opinie, ale muszę żyć z tobą w zgodzie - odrzekła. - Jednak moja tolerancja ma swoje granice.

- W ogóle nie zrozumiałas tego, co mówiłem - odparł. - Powiedziałem przecież, że teraz mi to nie przeszkadza. Nie jestem już Davidem Schwartzem z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. I mam nadzieję, że ty także nie jesteś Jill Gulbirrą z...kiedy umarłaś?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim.

W milczeniu schodzili ze wzgórza. Jill niosła swój róg obfitości na końcu włóczni opartej na ramieniu. Schwartz jeszcze raz się zatrzymał, aby pokazać kobiecie strumień, którego źródłem była katarakta w górach. Po chwili dotarli do małego jeziora położonego między dwoma wzgórzami. Na jego środku unosiła się łódka, a siedzący w niej mężczyzna łowił ryby bambusową wędką. Spławik dryfował w stronę krzewów porastających jeden z brzegów. Jill wydawało się, że mężczyzna ma japońskie rysy.

- Twój sąsiad - poinformował ją Schwartz. - Nazywa się Ohara, ale woli, żeby go nazywać Piscatorem. Ma świra na punkcie Izaaka Waltona, potrafi go cytować z pamięci. Twierdzi, że w tym świecie człowiek potrzebuje tylko jednego imienia i on przybrał imię Piscator, czyli po łacinie „rybak”. Jak widzisz, jest fanatykiem wędkowania. Dlatego właśnie stoi na czele grupy zajmującej się połowem rzecznych smoków. Dziś ma wolne.

- Ciekawe - odrzekła Gulbirra. Czowała, że zaraz usłyszy od Schwartza coś nieprzyjemnego. Jego uśmiezek sprawiał sadyistyczne wrażenie.

- Prawdopodobnie zostanie pierwszym oficerem - rzekł Austriak. - Służył w japońskiej marynarce wojennej, a podczas pierwszej wojny światowej został przydzielony jako obserwator do brytyjskiej marynarki i szkolił się tam na sterowcach. Potem praktykował na sterowcu we włoskiej armii i uczestniczył w bombardowaniu austriackich baz wojskowych. Jak więc widzisz, ma dostateczne doświadczenie, by znaleźć się na szczycie listy kandydatów.

- No i jest mężczyzną - odpowiedziała z uśmiechem, mimo że w środku prawie się gotowała. - Choć ja mam znacznie większe doświadczenie, on jest mężczyzną.

Schwartz lekko się cofnął.

- Jestem pewien, że Firebrass mianuje oficerów jedynie na podstawie ich kwalifikacji - odparł.

Nie odpowiedziała.

Schwartz pomachał mężczyźnie na łódce. Tamten wstał i uklonił się z uśmiechem. Potem usiadł, ale przedtem popatrzył na Jill w taki sposób, jakby ją prześwietlał, badając jej miejsce w świecie i konstrukcję psychiczną.

Oczywiście było to tylko złudzenie. Jednakże kobieta przyznała Schwartzowi rację, gdy nazwał Piscatora „niezwykłym człowiekiem”.

Gdy się oddalała, czuła się tak, jakby czarne oczy Japończyka wierciły jej dziurę w plecach.

10

Na zewnątrz ciemność. Wewnątrz noc i blade, niewyraźne błyskawice, wijące się w niej niczym węże. Chwilę później, w miejscu gdzie czas nie istnieje, pojawił się jasny promień, przypominający snop światła z kineskopu. W powietrzu światło było szeptem; w jej głowie krzykiem. Film wyświetlano za pomocą oscyloskopu emitującego promienie katodowe. Obraz składał się z ciągów liter, niekompletnych słów, znaków i symboli tworzących tajemniczy kod, być może niemożliwy do rozszyfrowania.

Co gorsza, wydawało jej się, że film jest wyświetlany od końca, jakby ktoś ponownie nawijał go na szpulę. Był to dokument nakręcony dla telewizji, skierowany do tępego masowego odbiorcy, a mimo to sposób projekcji robił wrażenie. Szybko następujące po sobie obrazy sugestywnie przywoływały wspomnienia. Przypominało to przerzucanie od końca stron książki z obrazkami. Tylko gdzie się podział tekst? I skąd przyszły jej do głowy obrazy? Nie było żadnych obrazów. Żadnej akcji. Trzeba by ją dopiero poskładać z wielu elementów. Ach, jakże wielu elementów. Prawie jej się udało, ale ostatecznie to, czego szukała, wyślizgnęło jej się z rąk.

Obudziła się z jękiem. Otworzyła oczy i wsłuchiwała się w odgłos deszczu bębniącego o dach chaty.

Teraz przypomniała sobie pierwszą część snu. Śniła w niej o innym marzeniu sennym, a przynajmniej tym się jej owa wizja wydawała, nie miała pewności. Padał deszcz, a ona była w połowie rozbudzona. Chata, w której przebywała, znajdowała się dwadzieścia tysięcy kilometrów stąd, ale była niemal identyczna jak jej nowy dom, a okolica, widoczna od czasu do czasu w świetle błyskawic, także niezbyt się różniła od krajobrazu Parolando. Odwróciła się i wyciągnęła rękę, ale zamiast oczekiwanego ciała, napotkała jedynie pustkę.

Usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Gdzieś niedaleko uderzył piorun, sprawiając, że drgnęła. W świetle błyskawicy zobaczyła, że Jacka nie ma w chacie.

Wstała i zapaliła lampę tranową. Teraz zauważyła, że zniknęło też jego ubranie, broń i róg obfitości męczyzny.

Wybiegła z chaty, by go poszukać.

Nigdy nie znalazła Jacka. Odszedł, lecz nikt nie wiedział dokąd i dlaczego.

Jedyny człowiek, który mógł znać odpowiedź, uciekł tej samej nocy, również

pozostawiając swoją towarzyszkę bez słowa wyjaśnienia. Dla Jill było jasne, że mężczyźni odeszli razem, choć przecież, z tego co wiedziała, ledwie się znali.

Czemu Jack od niej odszedł, ukradkiem i tak bezdusznie?

Co takiego zrobiła?

Czy stwierdził, że nie ma ochoty męczyć się z kobietą, która nie chce grać drugich skrzypiec w ich związku? A może znów opanowało go pragnienie wędrówki? Czy te dwa motywy sprawiły, że po prostu się spakował i wyszedł?

Niezależnie od powodów, Jill miała już dosyć mężczyzn w swoim życiu. Co prawda Jack był najlepszy, ale jak widać nie dość dobry.

Wciąż zmagала się z uczuciem odrzucenia, gdy spotkała Fatimę, drobną Turczynkę o migdałowych oczach. Fatima była jedną z setek konkubin Mahometa IV (władcy Turcji w latach 1648-1687), ale nigdy nie poszła z nim do łóżka. Mimo to, nie cierpiała zbytnio z braku miłości fizycznej. W Seraglio więziono ją wraz z wieloma kobietami, które wołały własną pleć, z wrodzonego upodobania lub z przyzwyczajenia. Została ulubienicą Kosem, babki Mahometa, choć w ich związku nie było niczego otwarcie homoseksualnego.

Jednak Turhan, matka Mahometa, pragnęła pozbawić Kosem kontroli nad rządem. Pewnego dnia kobieta została schwytana przez bandę zabójców nasłanych przez Turhan i uduszona sznurkiem od własnego baldachimu. Pech chciał, że Fatima przebywała wtedy z Kosem, więc musiała podzielić jej los.

Jill zamieszkała z atrakcyjną Turczynką, gdy ta pokłóciła się ze swoją kochanką, francuską baletnicą (zmarłą w 1873 roku). Nie była zakochana w Fatimie, ale dziewczyna bardzo ją podniecała i w końcu Jill zaczęło na niej zależeć. Fatima jednak okazała się głupia, a co gorsza, nie dało jej się niczego nauczyć. Pozostała samolubna i dziecinna, więc już po roku Jill miała jej serdecznie dosyć. Mimo to, bardzo ciężko to przeżyła, gdy Fatima została zgwałcona i pobita na śmierć przez trzech pijanych Sikeli (urodzonych około tysięcznego roku przed naszą erą). Jej smutek pogłębiała wiedza (a może wiara, gdyż nie było na to żadnych dowodów), że kobieta ostatecznie umarła. Wskreszenia ustały i martwi już nie budzili się rankiem w pełni sił w innym miejscu nad brzegiem Rzeki.

Jednak zanim Jill pogrążyła się w smutku, przeszła strzałą każdego z morderców Fatimy. Oni też już nie powrócą do krainy żywych.

Wiele lat później usłyszała plotki o budowie wielkiego sterowca w górze Rzeki. Nie wiedziała, czy to prawda, ale istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Dlatego właśnie tu przybyła, choć zajęło jej to tak wiele czasu.

11

Zamieszczono na łamach *PRZECIEKU*, pięciostronicowej gazety codziennej. Właściciel i wydawca: państwo Parolando. Redaktor naczelny: S.C. Bagg. W lewym górnym rogu powyżej nagłówka znajduje się standardowe powiadomienie:

OSTRZEŻENIE DLA CZYTELNIKÓW

Zgodnie z prawem czytelnik jest zobowiązany do umieszczenia niniejszego dziennika w publicznej beczce przetwórczej w ciągu jednego dnia od daty jego otrzymania. W szczególnym przypadku egzemplarz może zostać wykorzystany jako papier toaletowy. Do tego celu zalecamy użycie strony z *Listami do redakcji*. Kara za pierwsze naruszenie powyższego przepisu: publiczne pouczenie. Kara za drugie naruszenie przepisu: tygodniowa konfiskata alkoholu, tytoniu i gumy snów. Kara za trzecie naruszenie przepisu: wygnanie.

Najważniejsze w dziale *Nowo przybyli*:

JILL GULBIRRA

Mimo zastrzeżeń licznych mieszkańców, witamy w naszych szeregach najnowszą kandydatkę do obywatelstwa. Ostatniej niedzieli ta wysoka niewiasta wyłoniła się z porannej mgły i zaczęła czterech spośród naszych najbardziej prominentnych obywateli. Pomimo upojenia alkoholowego i lubieżnych myśli krępujących im umysły, czterej Parolandczycy w końcu pojęli, że ich gość na drodze do naszego państwa przebył około 32180 kilometrów (lub 20000 mil, dla tych z was, którzy lubią okrągłe liczby). Jill Gulbirra dokonała tego sama w swoim canoe (przez całą drogę skutecznie unikając gwałtu i zamoczenia), a celem odysei było upewnienie się, że budowa naszego sterowca przebiega zgodnie z planem. Choć nie zażądała powierzenia jej stanowiska kapitana na gotowym podniebnym okręcie, dała do zrozumienia, że taki rozwój wydarzeń opłaciłby się wszystkim.

Po kolejnych kilku głębszych boskiego kaledońskiego trunku czterej mężczyźni częściowo otrząsnęli się z szoku. (Oto jak jeden ze świadków opisuje kobietę: „Amazonka o stalowych nerwach i równie twardych jajach, coś niespotykanego u kobiety”).

Słynna czwórka spytała nowo przybyłą o kwalifikacje. Te zaś, jeśli prawdziwe,

okazały się imponujące. Roger „Nellie” Bligh, jeden z poważanych mieszkańców Parolando, w rozmowie z dziennikarzem potwierdził, że kobieta faktycznie jest tym, za kogo się podaje. Choć nigdy nie spotkał jej podczas ziemskiego żywota, Bligh czytał o Gulbirze w wielu różnych periodykach, a raz widział ją w telewizji (dwudziestowiecznym wynalazku, którego niżej podpisany nie doczekał, z czego, w świetle usłyszanych relacji, bardzo się cieszy).

Jeżeli nie jest to kobieta w niezwykle sposób przypominająca Jill Gulbirrę, to wydaje się, że tym razem nie mamy do czynienia z jednym z licznych oszustów nawiedzających Świat Rzeki.

Biuro Ewidencji przekazało nam następujące dane. Gulbirra, Jill (brak drugiego imienia). Kobieta. Nazwisko rodowe: Johnetta Georgette Redd. Urodzona 12 lutego 1953 roku w Toowoomba w Queensland w Australii. Ojciec: John George Redd. Matka: Marie Bronze Redd. Pochodzenie: szkocko-irlandzkie, francuskie (żydowskie), aborygeńskie. Niezamężna na Ziemi. Uczęszczała do szkół w Canberze i Melbourne. W 1973 roku ukończyła Instytut Technologii w Massachusetts, uzyskując dyplom inżyniera aeronautyki. Zdobyła licencję pilota komercyjnego na samoloty czterosilnikowe, a także licencję pilota balonowego. W latach 1977-78 inżynier-nawigator na zachodnioniemieckim sterowcu transportowym latającym w służbie nigeryjskiego rządu. W roku 1979, pilot sterowca dla Goodyear, Stany Zjednoczone. W latach 1980-81 pilot sterowca w służbie szejka Kuwejtu. W roku 1982 instruktorka w British Airways Systems. W 1983 roku została jedyną wykwalifikowaną kobietą-kapitanem sterowca w zachodnim świecie. Ma na koncie 8342 godziny lotu.

Zginęła 1 kwietnia 1983 roku naszej ery w wypadku samochodowym niedaleko Howden w Anglii, tuż przed objęciem stanowiska kapitana na nowo zbudowanym sztywnym sterowcu *Willows-Goodens*.

Zawód: oczywisty w świetle powyższych informacji.

Umiejętności: gra na flecie, łucznictwo, szermierka, kendo, walka kijem, sztuki walki, niewyparzona gęba.

Najwyraźniej niezła w walce wręcz, zważywszy na to, że powaliła szanowanego obywatela, Cyrano „Nochala” de Bergeraca, uderzając go w kałdun i poprawiając kolanem w szczękę, czyniąc go *hors de combat* i odbierając mu mowę. To niezwykle zdarzenie nastąpiło na skutek położenia ręki przez wspomnianego obywatela na piersi Jill Gulbirry. W normalnych okolicznościach porywczy Francuz wyzwałby na pojedynek na śmierć i życie (oczywiście poza granicami Parolando, gdyż pojedynki są zabronione w naszym sprawiedliwym państwie) każdego, kto odważyłby się postąpić z nim w tak niecny sposób.

Jednakże, jak stwierdził Cyrano, będąc osobą staroświecką, poczułby się „*comme un imbecile*” potykając się z kobietą. Co więcej, czuje, że postąpił niewłaściwie narzucając się Jill bez wyraźnej zachęty „słownej” lub „wizualnej”.

Wczoraj, godzinę po kolacji, wasz dzielny i zaradny dziennikarz zapukał do drzwi chaty Jill Gulbirra. Usłyszał kilka pomruków niezadowolenia, a po chwili pytanie: „Czego chcesz, do cholery?”. Jak widać, przyszły rozmówca miał głęboko gdzieś tożsamość osoby stojącej przed drzwiami.

- Panno Gulbirra, nazywam się Roger Bligh, jestem dziennikarzem *Przecieku*. Chciałbym przeprowadzić z panią wywiad.

- To będziesz musiał poczekać, bo siedzę na nocniku.

Wasz nieustraszony reporter zapalił cygaro, by wypełnić czymś czas. Miał też w planie użycie dymu do zabicia zapachu w chatce. Po dłuższym czasie, wypełnionym między innymi słuchaniem odgłosów pluskającej wody, usłyszał:

- Wejdz, ale nie zamykaj za sobą drzwi.

- Nie ma obawy - odpowiedział wasz Nieulekniomy.

Obiekt siedział przy stole i palił skręta. Ze względu na cygaro, maryskę, opary pozostałe po niedawnej działalności obiektu oraz dym pochodzący z kilku świec z rybiego wosku, zarówno widoczność, jak i wrażenia zapachowe dalekie były od optymalnych.

- Panno Gulbirra?

- Po prostu Gulbirra.

- Dlaczego?

- Pytasz, bo interesuje cię mój światopogląd czy naprawdę się nie domyślasz? Nie spotkałeś innych ludzi z mojego czasu?

Dziennikarz przyznał się do swej ignorancji. Jednak zamiast rozwiać mroki niewiedzy pana Bligha, obiekt spytał:

- Jaka jest pozycja kobiet w Parolando?

- Za dnia czy w nocy? - chciał wiedzieć pan Bligh.

- Nie bądź taki cwany - odrzekła Gulbirra. - Powiem wprost, żeby twój umysł mógł dokładnie pojąć moje słowa. Według konstytucji, czyli teoretycznie, kobiety mają tu takie same prawa jak mężczyźni. Ale jaki jest stosunek mężczyzn do kobiet w praktyce?

- Obawiam się, że przeważnie dość lubieżny - odpowiedział reporter.

- Dam ci jeszcze jedną szansę - rzekł obiekt. - Potem przypadek i grawitacja zdecydują, co najpierw spadnie na ziemię przed drzwiami mojej chaty: twój tyłek czy to śmierdzące cygaro.

- Bardzo przepraszam - odparł wasz dziennikarz. - Jednak to ja tutaj przeprowadzam wywiad. Może sama spytasz innych kobiet, co myślą o tym, w jaki sposób traktują je mężczyźni? W każdym razie, czy przybyłaś tutaj, aby wzniecać emancypacyjną krucjatę, czy też po to, żeby pomóc zbudować i poprowadzić sterowiec?

- Nabijasz się ze mnie?

- Ani mi to w głowie - pospiesznie odrzekł Nieustraszony. - Panują u nas dość nowoczesne zwyczaje, mimo że ludzie z końca dwudziestego wieku stanowią zaledwie niewielki procent populacji. Działalność państwa jest całkowicie podporządkowana zbudowaniu sterowca. Aby osiągnąć ten cel, utrzymujemy ścisłą dyscyplinę w godzinach pracy. Jednak przez resztę czasu każdy z obywateli może robić, co mu się żywnie podoba, jeśli tylko swoim zachowaniem nie krzywdzi innych. A więc wróćmy do naszej rozmowy. Czemu nie chcesz, aby nazywać cię „panną Gulbirrą”?

- Na pewno nie stroisz sobie żartów?

- Przystałbym na całą stertę Biblii, gdyby jakieś tu istniały.

- W dużym uproszczeniu chodzi o to, że słowa „panna”, a także „pani” powodują określone postrzeganie kobiety przez mężczyzn. „Panna” oznacza kobietę niezamężną, co automatycznie wywołuje, uświadomioną lub nieświadomioną, pogardę, jeśli dana osoba przekroczyła wiek powszechnie uznawany za odpowiedni do zawarcia małżeństwa. Słowo to wskazuje na występowanie jakiegoś braku, a także sugeruje, że kobieta bardzo pragnie, by w końcu nazwać ją „panią”. Z kolei ten wyraz oznacza wyzbycie się własnej tożsamości, podporządkowanie mężczyźnie i zostanie obywatelem drugiej kategorii. Poza tym, czemu „panna” ma nosić nazwisko swojego ojca, a nie matki?

- Przecież nazwisko matki także pochodzi od mężczyzny, jej ojca - odparł wasz dzielny dziennikarz.

- Właśnie. Dlatego zmieniłam nazwisko z Johnetta Georgette Redd... zauważ, że oba imiona pochodzą od imion męskich... na Jill Gulbirra. Mój ojciec urządził straszną awanturę, nawet moja matka protestowała. Ale ona była typową kurą domową, kompletnie pozbawioną własnego zdania.

- Ciekawe - rzekł pan Bligh. - Gulbirra? Cóż to za nazwisko? Słowiańskie? Czemu je wybrałaś?

- Nie słowiańskie, tylko aborygeńskie, idioto. *Gulbirra* to kangur, który łapie i pożera psy.

- Mięsożerny kangur? Myślałem, że wszystkie były roślinożerne.

- No cóż, może w rzeczywistości takie zwierzę nie istniało - przyznała Jill. - Jednak

Aborygeni twierdzili, że żyje w dzikich częściach kontynentu. Być może to tylko mityczne stworzenie, ale co z tego? Liczy się symbolika.

- A więc identyfikujesz się z tym kangurem? Chyba się domyślam, co symbolizują psy.

W tym momencie Jill Gulbirra uśmiechnęła się tak przerażająco, że wasz korespondent poczuł się zmuszony pociągnąć dla kurażu łyk holenderskiego specjału, który zawsze nosi w torbie.

- To nie jest tak, że wybrałam takie nazwisko, ponieważ identyfikuję się lub sympatyzuję z kulturą rdzennych Australijczyków. Jestem w jednej czwartej Aborygenką, ale co z tego? To była szowinistyczna kultura, w której kobiety pełniły rolę przedmiotów, niewolnic. Same wykonywały wszystkie najcięższe prace, a na dodatek były często bite przez swych ojców i mężów. Wielu białych mężczyzn rozpaczało nad zniszczeniem społeczności aborygeńskich, ale ja osobiście uważam, że dobrze się stało. Oczywiście ubolewam nad cierpieniem, jakie towarzyszyło pozbawieniu tych ludzi ich dziedzictwa.

- Jak widać pozbawienie dziedzictwa, podobnie jak pozbawienie dziewictwa, nie może się obyć bez bólu - rzekł pan Bligh.

- Dziewictwo! Kolejny mit wymyślony tylko po to, by napompować męskie ego i narzucić prawo własności - odparła z goryczą Gulbirra. - Na szczęście, za mojego życia podejście do tej kwestii wyraźnie się zmieniło. Ale wciąż nie brakuje wokół nas zacofanych świń, które...

- To bardzo ciekawe - odważnie wtrącił wasz ulubiony reporter. - Jednak odpowiednim miejscem na takie opinie jest dział *Listy do redakcji*. Pan Bagg wydrukuje każde twoje słowo, nawet te najbardziej obelżywe. Nasi czytelnicy chcieliby się teraz dowiedzieć, jakie masz plany zawodowe. Jaką rolę chcesz odegrać w budowie sterowca? Jakie miejsce pragniesz zająć w hierarchii?

Ciężkie opary marihuany dominowały w pomieszczeniu. Oczy Gulbirry, rozszerzone pod wpływem narkotyku, lśniły dzikim blaskiem. Wasz korespondent poczuł potrzebę wzmocnienia gwałtownie kurczącej się śmiałości kolejnym łykiem z cudownej butelki.

- Zgodnie z prawami logiki oraz ze względu na wiedzę, doświadczenie i umiejętności, powinnam kierować całym projektem - powiedziała kobieta, powoli i głośno. - Powinnam także zostać kapitanem sterowca! Sprawdziłam kwalifikacje pozostałych osób i nie ulega wątpliwości, że ja mam do tego najlepsze papiery. Dlaczego więc nie kieruję budową? Dlaczego nawet nie bierze się mnie pod uwagę jako kandydatki do stanowiska kapitana? Dlaczego?

- Nic nie mów - odpowiedział wasz dzielny reporter. Być może nadmiernie ośmieliła go płynna lava, która krążyła w jego żyłach i otępiła bystry zazwyczaj umysł. - Nic nie mów, sam zgadnę. Czy to możliwe (ja jedynie staram się znaleźć odpowiedź), abyś była skazana na gorsze stanowisko, ponieważ jesteś tylko kobietą?

Obiekt popatrzył na waszego korespondenta, głęboko zaciągnął się skrętem, co spowodowało lekkie uniesienie się niewielkich piersi i zsinienie twarzy na skutek braku tlenu, po czym wypuścił dym nosem. W tym miejscu reporterowi przypomniały się rysunki smoków, które widywał podczas życia na Ziemi. Rozsądnie postanowił zachować to skojarzenie dla siebie.

- Brawo - powiedziała Gulbirra. - Może wcale nie jesteś taki tępy.

Następnie chwyciła się krawędzi stołu i wyprostowała.

- Ale co miałaś na myśli, mówiąc „*tylko* kobietą”?

- Och, jedynie zwerbalizowałem twoje własne myśli - odparł pospiesznie Nieustraszony. - To była ironia, albo...

- Gdybym była mężczyzną - przerwała Gulbirra - co mnie, dzięki Bogu, ominęło, od razu zostałabym co najmniej pierwszym oficerem. A ty nie siedziałbyś teraz naprzeciwko mnie z szyderczym uśmiechem na twarzy.

- Ależ nie masz racji - odparł pan Bligh. - Wcale z ciebie nie szydę. Pominęłaś jednak pewien bardzo ważny aspekt całej sprawy. Twoja płeć nie ma tutaj żadnego znaczenia. Mogłabyś mieć największe jaja w promieniu czterdziestu tysięcy kilometrów, a i tak nie stanęłabyś na czele projektu. Na długo zanim zbudowano parostatek - drugi, a nie ten, który ukradł król Jan - uzgodniono, że to Firebrass pokieruje budową sterowca i całą ekspedycją. Taki zapis zawarto w konstytucji Parolando, którą z pewnością znasz, gdyż Milton wyrecytował ci ją z pamięci. Zdawałaś sobie z tego sprawę i składając przysięgę, zaakceptowałaś taki stan rzeczy. Skąd więc te nagłe fochy?

- Nic nie rozumiesz, prawda, głupku? - prychnęła. - Chodzi o to, że taki arogancki zapis nigdy nie powinien się znaleźć w konstytucji.

Wasz odważny dziennikarz łyknął kolejną porcję mikstury, która dodaje dzielności (i otępia), po czym odrzekł:

- Ale się tam znalazł. I gdyby pojawił się u nas mężczyzna o dwukrotnie lepszych kwalifikacjach od ciebie, to i tak musiałby się pogodzić z tym, że nie będzie grał pierwszych skrzypiec. Mógłby zostać głównym asystentem kapitana Firebrassa i pierwszym oficerem, ale na tym koniec.

- Nie ma człowieka, który miałby dwukrotnie lepsze kwalifikacje ode mnie - odparła

kobieta chłodno. - Chyba że przybyłby do nas oficer ze sterowca *Graf Zeppelin*. Słuchaj, zaczynam mieć tego dosyć.

- Robi się tu trochę gorąco, a do tego ten dym - rzekł wasz korespondent, ocierając pot z czoła. - Ale mimo to chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tobie, o twoim ziemskim życiu, żeby przekazać czytelnikom kilka ciekawostek, a także poznać szczegóły twoich pierwszych dni po Zmartwychwstaniu. Poza tym...

- Masz nadzieję, że nakręci mnie trawka i twój nieodparty męski urok? - przerwała. - Planujesz mnie uwieść?

- Broń Boże - odparłem. - To czysto zawodowa wizyta. Ponadto...

- Ponadto... - odrzekła szyderczo - ...boisz się mnie, prawda? Wszyscy jesteście tacy sami. Musicie dominować i przewodzić. Jeśli spotkacie kobietę, która jest od was inteligentniejsza, potrafi pokonać was w walce i pod każdym względem przewyższa, wtedy uchodzi z was powietrze jak z przedziurawionego balonu. Tym właśnie jesteście: balony z fiutami.

- Ależ naprawdę, nie ma potrzeby... - zaczął dzielny dziennikarz, czując, że czerwienieje na twarzy.

- Spadaj, żaloszny faceciku! - warknął obiekt.

Wasz korespondent uznał, że najrozsądniej będzie posłuchać. Wywiad, choć z naszego punktu widzenia niekompletny, musiał się zakończyć.

12

Jill wzięła wieczorne wydanie *Przecieku* z dystrybutora ustawionego przed budynkiem redakcji. Kilka osób, najwyraźniej zaznajomionych z treścią dziennika, zachichotało i wyszczerzyło się do niej w szerokim uśmiechu. Otworzyła gazetę na stronie z działem *Nowo przybyli*, przeczuwając, co tam znajdzie. Wpadła we wściekłość, jeszcze nim zaczęła czytać.

Ścisnęła gazetę drżącymi rękoma. Wywiad prezentował się tragicznie, ale tego akurat się spodziewała, przewidując że dziewiętnastowieczny człowiek taki jak Bagg zdecyduje się na wydrukowanie podobnych bredni. W końcu czego można oczekiwać po redaktorze naczelnym jakiegoś marnego szmatławca w małym przygranicznym miasteczku w Arizonie? Firebrass co nieco jej opowiedział o tym człowieku.

Natomiast do furii doprowadziła ją fotografia towarzysząca artykułowi. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że rankiem jej pierwszego dnia pobytu w Parolando ktoś z tłumu zrobił jej zdjęcie. Uchwycił ją w głupawej, niemal obscenicznej pozie, gdy pochylała się nago i wycierała sobie krocze ręcznikiem przeciągniętym między nogami. Spoglądała w górę z otwartymi ustami, eksponując wystające zęby i okazały nos, a piersi zwisały jej niczym wymiona krowy.

Z pewnością fotograf zrobił też inne zdjęcia, ale Bagg wybrał właśnie to, by uczynić z niej pośmiewisko.

Była tak wściekła, że niemal zapomniała zabrać swój róg obfitości. Ruszyła w stronę budynku, w jednej ręce niosąc pojemnik, którym planowała roztrzaskać Baggowi czaszkę, a w drugiej ścisnąc egzemplarz gazety, który zamierzała mu wsadzić tam, gdzie nie dochodzi słońce. Jednak kiedy dotarła do drzwi drukarni, przystanęła.

„Daj spokój, Jill!”, powiedziała sama do siebie. „Reagujesz tak, jak on tego oczekuje. Uspokój się i nie rób z siebie idiotki. Pewnie, że poczułabyś się świetnie, gdybyś trochę go sponiewierała, ale to mogłoby wszystko popsuć. Wytrzymałaś gorsze upokorzenia i zawsze w końcu wychodziło na twoje”.

Powoli odeszła w stronę domu, niosąc róg obfitości przerzucony przez ramię. W świetle zachodzącego słońca przeczytała resztę gazety. Nie tylko ona padła ofiarą szkalowania i drwin ze strony Bagga. Gazeta bardzo krytycznie odnosiła się także do Firebrassa, może poza artykułem poświęconym Jill, gdzie Milona przedstawiono w nieco

korzystniejszym świetle. Jednak na stronie z listami do redakcji znalazły się opinie obywateli oburzonych postępowaniem Amerykanina.

Kiedy opuściła równinę i rozpoczęła marsz pośród wzgórz, ktoś ją zawołał. Odwróciła się i ujrzała Piscatora. Mężczyzna uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Dobry wieczór, obywatelko - odezwał się z oksfordzkim akcentem. - Czy mogę ci towarzyszyć? We dwoje będzie nam raźniej niż w pojedynkę, czyż nie?

Jill nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mężczyzna wysławiał się z ogromną powagą, niemal w siedemnastowiecznym stylu. To wrażenie potęgował jego staroświecki kapelusz - wysoki zwężający się ku górze cylinder o szerokim okrągłym rondzie. Przypominał jej kapelusze noszone przez założycieli Nowej Anglii, wykonano go ze skóry bezłuskowego czerwonońca, a w rondo Piscator wpiął kilka aluminiowych błyszczek. Ramiona mężczyzny okrywał czarny ręcznik spięty pod szyją, a biodra opasywał ciemnozielony kilt. Na nogach Japończyk nosił sandały z czerwonej rybiej skóry.

Na jednym ramieniu oparł bambusową wędkę, a w drugiej ręce trzymał róg obfitości. Pod pachą niósł najnowszy egzemplarz gazety. Miał przyjemne, nie nazbyt azjatyckie rysy.

- Przypuszczam, że czytałeś gazetę? - spytała Jill.

- Niestety, tak - odpowiedział. - Ale nie martw się. Jak mówi Salomon w Księdze Przysłów 24:9, „Szyderca jest wstrętny dla ludzi”. W koszyku mam trzy smakowite liny, a przynajmniej bardzo przypominają one ten gatunek ziemskich ryb, zarówno pod względem wyglądu, jak i smaku. Nie są może tak wyborne jak lipienie, które łowi się w górskich strumykach, ale i tak zapewniają godziwą rozrywkę podniebieniu.

Jill doszła do wniosku, że mężczyzna uczył się angielskiego z poradników wędkarskich.

- Czy zechciałabyś towarzyszyć mi dziś podczas posiłku? Upiekę rybki o godzinie szesnastej według zegara wodnego. Mam też spore zapasy porostówki.

Tą nazwą w Parolando określano alkohol otrzymywany z porostów zdrapywanych ze skał. Porosty zalewano wodą w proporcji trzy do jednego, po czym dodawano ususzone i pokruszone kwiaty z pnączy drzewa żelaznego. Kiedy kwiaty nadawały płynowi purpurowy kolor i zapach przypominający aromat róż, trunk był gotowy do spożycia.

Jill przez chwilę się wahała. Zazwyczaj nie miała nic przeciwko samotności. W odróżnieniu od innych ludzi żyjących w jej epoce, nie wpadała w panikę, gdy musiała polegać na sobie. Ale chyba już zbyt długo obywatowała się bez towarzystwa. Podróż w górę Rzeki zajęła jej czterysta dwadzieścia dni, które w większości spędziła samotnie. Tylko nocami obozowała i rozmawiała z obcymi. Po drodze minęła około 501020000 osób i nie napotkała ani jednego

człowieka, którego znałaby z Ziemi lub z lat spędzonych w Świecie Rzeki. Ani jednego.

Z drugiej strony, rzadko kiedy podpływała do brzegu na tyle blisko, by móc rozpoznać twarze mijanych ludzi, a jej nocne życie towarzyskie zawsze ograniczało się do kilku osób. Gdyby pozwalala sobie na uczucia, zapewne do rozpaczki doprowadziłaby ją myśl, że mogła minąć ludzi, których na Ziemi kochała bądź przynajmniej lubiła. A kilka osób bardzo pragnęła zobaczyć ponownie.

Najbardziej tęskniła za Marią. Co też poczuła Maria, gdy dowiedziała się, że bezmyślna zazdrość doprowadziła jej kochankę, Jill Gulbirrę, do śmierci? Czy pogrzyżała się w smutku? A może sama odebrała sobie życie, nie mogąc znieść poczucia winy? W końcu Maria miała skłonności samobójcze. Lub raczej miała skłonności do narażania życia w taki sposób, aby w porę można ją było odratować. Jill wiedziała o trzech przypadkach, gdy Maria znalazła się blisko śmierci. Niezbyt blisko.

Maria zapewne na kilka dni pogrzyżała się w żalobie i wyrzutach sumienia, po czym połknęła około dwudziestu tabletek fenobarbitalu i zadzwoniła do najlepszej przyjaciółki, prawdopodobnie swojej kolejnej kochanki - suka! - a ta zadzwoniła do szpitala, gdzie odbyło się płukanie żołądka i podano jej antidotum. Potem długie, nerwowe oczekiwanie na korytarzu i czuwanie przy łóżku na wpół przytomnej Marii otępionej lekami, ale nie na tyle, by nie pograć na uczuciach współczującej kochanki. Ta sadystyczna suka pewnie nie przepuściła okazji do kilku krytycznych i bolesnych uwag, które potem oczywiście wypadły jej z pamięci.

Następnie kochanka zabrała Marię do jej mieszkania i troskliwie się nią zajęła, a potem... Jill nie mogła znieść myśli o potem.

W takich chwilach musiała się z siebie śmiać, choć był to ponury śmiech. Minęło trzydzieści jeden lat od momentu, gdy wybiegła z domu, ruszyła z piskiem opon i popędziła przez miasto, nie zważając na czerwone światła, po czym... pamiętała tylko oślepiający blask reflektorów i głośny dźwięk klaksonu olbrzymiej ciężarówki, desperacką próbę skręcenia kierownicy mercedesa, lodowate uczucie w żołądku, zbliżającego się olbrzyma, a potem...

Potem obudziła się na brzegu Rzeki obok tysięcy innych ludzi - naga, odmłodzona z trzydziestu do około dwudziestu pięciu lat i pozbawiona kilku niedoskonałości. Koszmar w raj. A raczej w czymś, co byłoby rajem, gdyby tylu ludzi nie pragnęło zamienić go w piekło.

Trzydzieści jeden lat temu. Czas nie zagoił wszystkich ran, a przynajmniej nie tę. Do tej pory powinna była uporać się z mieszanką gniewu i smutku. Takie uczucia powinny stracić na znaczeniu w jej obecnej sytuacji. Nie powinna już myśleć o Marii. Ale myślała.

Nagle zdała sobie sprawę, że Japończyk na nią patrzy. Najwyraźniej czekał na

odpowiedź na jakieś zadane pytanie.

- Przepraszam - odezwała się Jill. - Czasami zatracam się w przeszłości.

- Ja również przepraszam - odparł. - Czasem... gdy za pomocą gumy snów staramy się pozbyć bolesnych lub ograniczających wspomnień bądź niepożądanych stanów psychicznych, zamiast tego się zatracamy.

- To nie tak - odparła, próbując ukryć gniew. - Po prostu tak długo byłam sama, że weszło mi w nawyk popadanie w głęboką zadumę. Kiedy płynęłam w górę Rzeki w moim canoe, ten stan pojawiał się automatycznie. Zdarzało się, że pokonywałam dziesięć kilometrów i nie byłam świadoma tego, co się ze mną działo po drodze. Ale teraz, kiedy mam pracę, która wymaga stałej gotowości, udowodnię, że potrafię być równie skoncentrowana jak inni.

Te ostatnie słowa dodała, wiedząc, że Piscator może donosić Firebrassowi. Roztargnienie nie jest pożądaną cechą u oficera na sterowcu.

- Z pewnością - odrzekł Piscator. Przez chwilę milczał, po czym się uśmiechnął. - Przy okazji, nie martw się konkurencją z mojej strony. Nie jestem ambitny. Przyjmę dowolne stanowisko, gdyż wiem, że będzie odpowiednie dla moich zdolności i doświadczenia. Firebrass jest uczciwym człowiekiem. Ciekawi mnie cel naszej ekspedycji, ta tak zwana Wieża Mgieł czy też Wielki Kamień Obfitości, pojawiło się wiele nazw. Szczerze mówiąc, mam ogromną ochotę się tam wybrać, by poznać sekret tego świata. Ale nie za wszelką cenę, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przyznaję, że nie mam twoich kwalifikacji, więc oczekuję niższego stanowiska.

Jill Gulbirra przez chwilę milczała. Jej rozmówca należał do narodu, w którym kobiety pełniły rolę niewolnic, przynajmniej w okresie, gdy on żył na Ziemi (1886-1965). To prawda, że po pierwszej wojnie światowej zyskały więcej wolności, ale Piscator teoretycznie powinien mieć staroświeckie poglądy. Poglądy, które trudno nazwać inaczej niż potwornymi. Z drugiej strony, Świat Rzeki zmieniał ludzi. Niektórych.

- Naprawdę nie miałbyś nic przeciwko temu? - spytała. - Tak szczerze!

- Rzadko zdarza mi się kłamać - odpowiedział. - Jeśli już, to po to, by oszczędzić komuś cierpienia, albo by nie marnować czasu w towarzystwie głupców. Wydaje mi się, że wiem, co sobie myślisz. Czy coś by się zmieniło, gdybym powiedział, że w Afganistanie jednym z moich mistrzów była kobieta? Byłem jej uczniem przez dziesięć lat, dopóki nie stwierdziła, że już nie jestem tak głupi jak w dniu, gdy do niej przybyłem, i mogę przejść w służbę do kolejnego szejka.

- Co tam robiłeś? - zapytała Jill.

- Kiedyś chętnie o tym opowiem - odparł. - Na razie musi wystarczyć ci zapewnienie, że nie mam żadnych uprzedzeń wobec kobiet czy nie-Japończyków. Owszem, niegdyś tak bywało, ale już nie noszę w sobie dawnej głupoty. Po pierwszej wojnie światowej byłem mnichem zen przez kilka lat. Czy wiesz cokolwiek o zen?

- Napisano na ten temat wiele książek po roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym - odpowiedziała kobieta. - Przeczytałam kilka z nich.

- Tak. Czy po ich przeczytaniu wiedziałaś więcej niż przedtem? - spytał z uśmiechem Japończyk.

- Trochę więcej.

- Masz zupełną rację - przyznał Piscator. - Jak już mówiłem po odejściu z marynarki wycofałem się ze świata i osiadłem w klasztorze w Ryuku. Po trzech latach przybył tam biały człowiek, Węgier, który rozpoczynał nowicjat. Kiedy zobaczyłem, w jaki sposób się go traktuje, nagle w pełni uświadomiłem sobie to, czego wcześniej nie chciałem przyznać. Całe lata spędzone na praktykowaniu zen nie doprowadziły ani uczniów, ani mistrzów - nikogo oprócz mnie - do pozbycia się uprzedzeń rasowych. A może raczej uprzedzeń narodowych, gdyż okazywano pogardę także innym przedstawicielom rasy azjatyckiej, na przykład Chińczykom bądź mieszkańcom Indochin. Gdy po raz pierwszy zaakceptowałem tę prawdę, musiałem przyznać, że praktykowanie zen nie przynosi żadnych pozytywnych skutków. Oczywiście trzeba sobie uświadomić, że w zen nie stawia się celów. Mieć cel oznacza odczuwać frustrację na drodze do niego. Czy to sprzeczność? Owszem. Jest to także wielka bzdura, podobnie jak idea opróżniania samego siebie. Być może docelowy stan pustki nie jest nonsensem, ale moim zdaniem metody jego osiągnięcia to głupota. Pewnego ranka opuściłem klasztor i wsiadłem na statek do Chin. Tak zacząłem swoją długą wędrówkę, a jakiś niesłyszalny głos przyzywał mnie do Środkowej Azji. A stamtąd... no cóż, na razie wystarczy. Mogę kontynuować opowieść później, jeśli chcesz. Widzę, że zbliżamy się do naszych domów. W takim razie do zobaczenia wieczorem. Aby oznajmić początek przyjęcia, zapalę przed chatą dwie pochodnie, które będziesz mogła dostrzec z okna.

- Nie powiedziałaś, że przyjdę - odparła Jill.

- Ale masz taki zamiar - rzekł mężczyzna. - Czyż nie?

- Owszem. Skąd o tym wiesz?

- To nie telepatia - odparł, ponownie się uśmiechając. - Specyficzna pozycja ciała, rozluźnienie mięśni, rozszerzone źrenice, ściszony głos... Objawy niedostrzegalne dla kogoś, kto nie przeszedł specjalnego treningu, lecz mnie powiedziały, że cieszysz się na myśl o naszym spotkaniu.

Jill nie odpowiedziała. Sama nie wiedziała, że zaproszenie rzeczywiście sprawiło jej przyjemność. Nawet teraz nie była tego pewna. Czy Piscator ją oszukiwał?

13

Drzewo żelazne wyrastało ze szczytu wzgórza w odległości dwustu metrów od chaty Jill. Dom Piscatora znajdował się blisko szczytu, usadowiony między dwoma korzeniami i oparty na skalnej półce oraz dwóch bambusowych pylonach.

Jill wspięła się na wzgórze, a następnie weszła po bambusowych schodach znajdujących się pod domem i znikających w podłodze chaty, w połowie jej długości.

Budynek był większy od innych w tej okolicy i mieścił trzy pokoje na parterze i dwa na pierwszym piętrze. Według jednego z sąsiadów kiedyś mieściła się tu komuna. Podobnie jak inne nie-religijne organizacje założone przez ludzi Zachodu, dość szybko się rozwiązała. Wtedy do chaty wprowadził się Piscator, choć Jill nie wiedziała, po co jednemu człowiekowi taki duży dom. Czy traktował go jako symbol prestiżu? Nie wyglądał na kogoś, kto przywiązywałby wagę do podobnych kwestii.

Wzdłuż barierki rozmieszczono jasne lampy acetylenowe okryte białymi, zielonymi i szkarłatnymi kloszami wykonanymi z rybich jelit. Piscator uśmiechnął się do Jill ze szczytu schodów i skinął głową. Miał na sobie różnokolorowe ręczniki, z których uformował strój przypominający kimono. W dłoni trzymał bukiet ogromnych kwiatów zerwanych z pnączy oplatających gałęzie drzewa.

- Witaj, Jill Gulbirro.

Podziękowała mężczyźnie, wciągając w nozdrza intensywny zapach bukietu, przypominający zapach ziemskich kwiatów wiciokrzewu z lekką domieszką starej skóry. Dziwna, ale przyjemna kombinacja.

Gdy wspięła się po schodach, weszła do największego pokoju w całym domu. Sufit znajdował się na wysokości około pięciu metrów. Zwieszał się z niego zbiór japońskich lamp. Bambusową podłogę przykrywały w kilku miejscach dywaniki uplecione z włókna bambusowego. Proste meble również sporządzono z bambusa, a ich siedzenia wyłożono poduszkami. Jednak poręcze niektórych foteli, nogi stołów oraz słupy podtrzymujące sufit wykonano z dębu i cisu. W tych ostatnich wyrzeźbiono głowy zwierząt, demonów, ryb i ludzi. Nie wyglądały na dzieło Japończyka, prawdopodobnie stworzył je poprzedni właściciel domu.

Na podłodze stały wysokie wazy o dzwonekowatych otworach. Ich niższe wersje

poustawiano na okrągłych stolikach o patykowatych nogach. Wazy wykonano z gliny za pomocą koła garncarskiego, a następnie wypalono i pomalowano lub ozdobiono z zastosowaniem glazurowania. Na niektórych naczyniach znajdowały się geometryczne wzory, na innych sceny z życia ziemskich żeglarzy. Łodzie na rysunkach miały łańskie żagle, a marynarze arabskie stroje i rysy. Błękitne delfiny wyskakiwały z błękitno-zielonego morza, a wielki potwór otwierał paszczę, by połknąć statek. Jednak jako że w Rzece żyły duże ryby nazywane delfinami, a potwór trochę przypominał olbrzymiego rzeczno-smoka, możliwe, że artysta odwzorował scenę z nowego świata.

W drzwiach do sąsiednich pokojów wisały sznurki z nawleczonymi kręgami czerwonego i białego rogowca, lekko dzwoniącym przy każdym poruszeniu. Na ścianach wisały maty uplecione z włókien otrzymanych z pnączy drzewa żelaznego, a nad każdym oknem rozciągnięto na bambusowych ramach przezroczyste jelita rzeczno-smoka.

Ogólnie rzecz biorąc, choć w pomieszczeniu znajdowało się kilka przedmiotów niespotykanych nigdzie indziej, na przykład lampy acetylenowe, wystrój pokoju wpisywał się w tak zwaną „estetykę nadbrzeżną”, którą niektórzy nazywali „rzeczno-polinezyjską”.

Światło lamp przebijało się z trudem przez chmury dymu tytoniowego i marihuanowego. Na niewielkim podium w narożniku pomieszczenia stali muzycy, oferujący swoje usługi w zamian za alkohol i okazję do zabicia nudy. Zespół grał na bębnach, bambusowym flecie, glinianej okarynie, harfie wykonanej ze skorupy ryby-żółwia i rybich wnętrzności, skrzypcach z drzewa cisowego i rybich jelit (smyczek wykonano z cisu i warg błękitnego delfina, przypominających wargi konia), ksylofonie, saksofonie oraz trąbce.

Jill nie potrafiła rozpoznać muzyki, ale przypuszczała, że kompozycja była wariacją na temat jakiegoś indiańskiego utworu.

- Gdyby to była randka, a nie duże przyjęcie, mógłbym cię poczęstować herbatą, moja droga - odezwał się Piscator. - Niestety, to niemożliwe. Mój róg obfitości nie obdarza mnie tym specjałem codziennie, a jedynie raz na tydzień.

Nie zmienił się aż na tyle, by nie tęsknić za ceremonią parzenia herbaty, tak ukochaną przez wszystkich Japończyków. Jill także ubolewała nad rzadkim pojawianiem się tego napoju w rogach obfitości. Podobnie jak większość jej rodaków, czuła, że w jej życiu zabrakło czegoś ważnego, jeśli nie napiła się herbaty o określonej porze.

Piscator zanurzył szklanekę w olbrzymiej misie pełnej porostówki i podał alkohol kobiecie. Powoli go sączyła, a mężczyzna opowiadał, jak bardzo jest zadowolony z tego, że ją widzi. Wyglądało na to, że nie kłamie. Zaczynał wzbudzać w niej sympatię, choć nie zapominała, że pochodzi on z kultury uczącej mężczyzn postrzegania kobiet jako służące i

źródło przyjemności. Potem ostrzegła sama siebie - chyba już po raz tysięczny - że nie powinna ulegać uprzedzeniom tak jak inni. Najpierw należy poznać fakty, a dopiero potem osądzać.

Gospodarz oprowadził ją po pomieszczeniu, pobieżnie zapodając z pozostałymi gośćmi. Firebrass pomachał do niej z drugiego końca pokoju. Cyrano blade się uśmiechnął i uklonił. Spotkali się kilkakrotnie od tamtego pamiętnego poranka i za każdym razem traktowali wyniośle, choć grzecznie. Nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. W końcu Francuz ją przeprosił, a ona chętnie poznałaby bliżej tę barwną siedemnastowieczną postać.

Przywitała się z Ezekielem Hardy i Davidem Schwartzem, których spotykała codziennie w biurze w hangarze oraz w pobliskich fabrykach. Mężczyźni odnosili się do niej przyjaźnie. Zdążyli zauważyć, że Jill znakomicie się zna na ich branży, a także na wielu innych dziedzinach. Ona nauczyła się powstrzymywać zniecierpliwienie i złość powodowane ich ignorancją i z góry zakładaną wyższością. Opłacało się, choć nie wiedziała, na jak długo wystarczy jej cierpliwości.

„Nie chowaj w sobie gniewu”, powtarzała w duchu. „Opróżnij się”.

Jak wiele razy to robiła lub próbowała zrobić? Często ta metoda przynosiła skutek. A jednak ten Japończyk, Ohara, nazywający sam siebie Piscatorem, twierdził, że zen to bzdura. No, niezupełnie bzdura. Ale z pewnością uważał, że cała ta filozofia jest przereklamowana. Wcale jej się to nie podobało. To był cios poniżej pasa, naruszający jej opinię o sobie. Tak się przecież nie powinno stać. Powinna go wyśmiać, nawet gdyby tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu. Ale Japończyk wydawał się taki pewny siebie.

14

Jedną z kobiet, które jej przedstawiono, była Joanna Jugan. Piscator wspomniał, że kiedyś pracowała jako służąca w swojej ojczystej Francji, lecz później została jedną z założycielek katolickiego Zgromadzenia Małych Sióstr Ubogich, które powstało w Bretanii w 1839 roku.

- Jestem jego uczennicą - powiedziała Jugan, wskazując na Piscatora.

Jill uniosła brwi, zaskoczona. Nie miała jednak okazji kontynuować rozmowy, gdyż mężczyzna poprowadził ją dalej, delikatnie dotykając jej łokcia.

- Możesz z nią porozmawiać później.

Jill zastanawiała się, do jakiej religii, sekty bądź szkoły filozoficznej należy Piscator. Z pewnością nie był członkiem Kościoła Jeszcze Jednej Szansy. Szansowcy zawsze nosili na szyi spiralną kość kręgową rogacza lub jej drewnianą replikę.

Następna osoba, którą napotkała, nosiła ten symbol, a w zasadzie aż trzy, co wskazywało, że jest biskupem. Samuel, niski ciemnoskóry mężczyzna o sokolej twarzy, urodził się w połowie drugiego wieku naszej ery. Był rabinem żydowskiej społeczności w Nehardei w Babilonii. Według Piscatora, za życia słynął ze znajomości tradycyjnego prawa i odnosił liczne sukcesy naukowe. Jednym z jego osiągnięć było sporządzenie hebrajskiego kalendarza. Jednakże za swój największy sukces Samuel uznawał patent na dostosowanie żydowskiego prawa do prawa państwa, w którym żyła diaspora.

- Jego podstawowa zasada to „Prawo państwowe jest wiążące” - poinformował Jill Piscator.

Samuel przedstawił swoją żonę, Rahelę. Była jeszcze niższa od niego i miała jaśniejszą karnację oraz bardzo szerokie biodra i grube nogi, ale niezwykle zmysłową twarz. Odpowiadając na pytania Jill, poinformowała ją, że urodziła się w krakowskim getcie w czternastym wieku naszej ery. Później Piscator powiedział Jill, że Rahela została porwana przez polskiego szlachcica i na rok uwięziona w jego zamku. Gdy kobieta znudziła się szlachcicowi, ten wyrzucił ją na bruk, przedtem obdarowując ją sakiewką pełną złotych monet. Mąż Raheli zamordował ją, sama bowiem nie miała tyle godności, by popełnić samobójstwo z powodu doznanej ujemy na honorze.

Samuel kilkakrotnie wysyłał Rahelę po szklankę bezalkoholowego soku z suszonych

kwiatów. Gestem nakazał jej także, by zapaliła mu cygaro. Kobieta szybko wykonała polecenie i ponownie zajęła miejsce za jego plecami.

Jill miała ochotę kopnąć Rahelę za to, że zgadza się na takie poniżanie, a Samuela za jego wielkopańskie, szowinistyczne gesty. Wyobrażała go sobie podczas modlitwy, gdy dziękuje Bogu, że nie urodził się kobietą.

- Byłaś wściekła na biskupa i jego żonę - zauważył Piscator, gdy się oddalili.

Nie spytała go, skąd o tym wie.

- Musiał być w cholernym szoku, kiedy się obudził i odkrył, że nie jest jednym z Wybranych, a wszyscy bałwochwalcy, kanibale, miłośnicy wieprzowiny i nieobrzezani poganie zostali wskrzeszeni razem z nim - odpowiedziała.

- Wszyscy byliśmy w szoku - odparł Piscator. - Byliśmy też solidnie przestraszeni. A ty nie?

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym się roześmiała.

- Pewnie. Byłam ateistką i nadal nią jestem. Spodziewałam się, że pozostanie po mnie tylko garść popiołu, dlatego przeraziłam się nie na żarty, kiedy obudziłam się w tym świecie. Ale jednocześnie, choć może nie od razu, poczułam ulgę. Jednak od tamtej pory widziałam tyle niesamowitych rzeczy, a to dziwaczne miejsce w niczym nie przypomina nieba ani piekła...

- To prawda - odpowiedział z uśmiechem mężczyzna. - Zastanawiam się, co Samuel sobie pomyślał, kiedy zobaczył, że nieobrzezani goje zostali wskrzeszeni bez napletków. To musiało być dla niego równie zastanawiające jak fakt, że mężczyźni nie mogą zapuszczać zarostu. Z jednej strony Bóg dokonał obrzezania wszystkich innowierców, więc musi być żydowskim bogiem. Z drugiej, mężczyźni nie mogą zapuścić brody wymaganej przez Stwórcę, a więc nie może to być żydowski bóg. Takie rzeczy powinny zmieniać nasz sposób rozumowania.

Podszedł do Jill, spoglądając na nią wąskimi czarnymi oczami.

- Szansowcy mają kilka znakomitych teorii na temat tego, czemu zostaliśmy wskrzeszeni z martwych oraz kto to uczynił. Nie myślę się też za bardzo co do sposobu osiągnięcia celu, do którego ludzkość powinna dążyć; bramy, którą otworzyli nam nasi darczyńcy. Okazuje się, że precyzja jest cnotą. Kościół przestał wyrażać się precyzyjnie i w efekcie zszedł z jedynej ścieżki. Ale to nie oznacza, że istnieje tylko jedna ścieżka.

- Co ty wygadujesz? - spytała. - Mówisz jak Szansowcy.

- Zobaczymy... jeśli tylko chcesz zobaczyć - odparł. Przeprosił ją i odszedł w kierunku dużego stołu, gdzie rozpoczął rozmowę z mężczyzną, który dopiero co przybył.

Jill ruszyła w stronę Joanny Jugan, chcąc spytać kobietę, co miała na myśli, nazywając się uczennicą Piscatora, ale na drodze stanął jej de Bergerac. Mężczyzna szeroko się uśmiechał.

- Panna Gulbirra! Czuję się zmuszony ponownie przeprosić za ten niefortunny incydent! To alkohol sprawił, że zachowałem się w sposób tak niewybaczalny. Cóż, mam nadzieję, że jednak nie niewybaczalny, choć z pewnością barbarzyński! Rzadko wypijam więcej niż jedną czy dwie uncje, gdyż nie pochwalam otepiania swoich zmysłów. Alkohol zmienia człowieka w wieprza, a z tym zwierzęciem nie chcę mieć nic wspólnego, choć nie gardzę prosięciem smażonym na patelni czy pieczonym na ruszcie, Ale tamtej nocy łowiliśmy ryby...

- Nie widziałam sprzętu wędkarskiego - przerwała mu Jill.

- Leżał po drugiej stronie kamienia obfitości - odparł Francuz. - A mgła była tego wieczoru bardzo gęsta, mademoiselle Gulbirra.

- Po prostu Gulbirra.

- Rozmawialiśmy o ziemskich wydarzeniach, miejscach, ludziach, których znaleźliśmy, przyjaciółach, których spotkał nieszczęśliwy koniec, zmarłych dzieciach, rodzicach, którzy nas nie rozumieli, naszych wrogach, powodach, dla których się tu znaleźliśmy i tak dalej. Opanowało mnie przygnębienie, gdy pomyślałem o tym, co mogłoby się wydarzyć na Ziemi, zwłaszcza między moją kuzynką Madeleine i mną, gdybyśmy tylko byli bardziej dojrzały i nie tak naiwni. I dlatego...

- I dlatego się pan upił - powiedziała Jill bez cienia uśmiechu na twarzy.

- I obraziłem panienkę, choć przysięgam, że nie wierzyłem w to, że jest panienka kobietą. Ta mgła, obszerne ubranie i mój przytępiony umysł...

- Nie ma o czym mówić - odparła. - Tylko że... byłem przekonana, że nigdy mi pan nie wybaczy tego, że stracił pan twarz w obecności przyjaciół. W końcu pokonała pana kobieta. Pańskie ego...

- Ależ proszę nie popadać w stereotypy! - krzyknął Cyrano.

- Ma pan rację - odpowiedziała Jill. - Nienawidzę tego u innych, a sama wciąż popełniam ten błąd. Jednak większość ludzi to chodzące stereotypy, czyż nie?

Rozmawiali tak przez dłuższy czas. Jill sączyła purpurową pasję, czując w brzuchu miłe ciepło. Pomieszczenie coraz gęściej wypełniał dym z marihuany. Ona również zaciągała się skretem. Głosy stawały się coraz donośniejsze, coraz częściej rozlegał się śmiech. Niektóre pary leniwie tańczyły, czule się obejmując.

Tylko Piscator i Jugan nie pili. Mężczyzna palił papierosa, bodajże pierwszego od

przybycia Jill.

Mieszanka alkoholu i trawki wprawiła ją w przyjemny nastrój. Czowała się tak, jakby jej ciało emanowało czerwonym światłem. Dym przyjmował fantastyczne kształty. Czasem kątem oka dostrzegała w nim smoka, rybę dymkę, a raz nawet sterowiec. Ale kiedy spoglądała uważniej, obrazy zmieniały się w bezkształtne chmury.

Kiedy zobaczyła obok siebie przelatującą metalową wannę, wiedziała, że ma dosyć. Wystarczy wody i trawki na jeden wieczór. Widmo wanny nie pojawiło się bez powodu, Cyrano bowiem opowiadał Jill o zbrodniach i sposobach karania ich we Francji za jego życia. Przestępcę można było na przykład rozciągnąć na wielkim kole. Następnie kat łamał skazanemu ręce i nogi za pomocą żelaznego pręta, czasami tłukąc je na miazgę. Straconych bandytów zakuwano w łańcuchy i wieszano na rynku, gdzie wisieli do czasu, aż ciało zgniło i przeleciało przez krępujące ich więzy. Wnętrznosci niektórych kryminalistów wystawiano w wielkich odkrytych wannach, aby przypomnieć mieszkańcom, jaki los spotyka tych, którzy łamią prawo.

- A ulice spływały ściekami - dodał de Bergerac. - Nic dziwnego, że ci, którzy mieli pieniądze, obficie skrapiali się perfumami.

- Myślałam, że to z powodu rzadkich kąpielii.

- Owszem - odpowiedział Francuz. - To prawda, że niezbyt często się kąpaliśmy. Kąpiel uznawano za niezdrową i niechrześcijańską. Ale można się przyzwyczaić do smrodu niemytych ciał. Tak naprawdę rzadko zdawałem sobie z niego sprawę, jako że byłem w nim niejako zanurzony, jak ryba w wodzie. Ale tutaj, *helas!* W miejscu, gdzie nosi się tak niewiele ubrań, bieżąca woda jest na wyciągnięcie ręki i spotyka się tak wiele osób, które nie mogą znieść zapachu brudnego ciała, człowiek uczy się nowych nawyków. Początkowo, przyznaję, nie widziałem powodu, by zachowywać się w sposób tak pedantyczny, ale po kilku latach spotkałem kobietę, którą obdarzyłem miłością niemal tak namiętną, jak moją kuzynkę. Była to Olivia Langdon...

- Chyba nie żona Sama Clemensa? - przerwała mu Jill.

- Ależ tak. Choć oczywiście nie miało i nadal nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Dowiedziałem się, że był on wielkim pisarzem w Nowym Świecie - Olivia opowiedziała mi sporo o tym, co wydarzyło się na Ziemi po mojej śmierci - ale nie zaprzętałem sobie tym głowy. A potem podczas wspólnej wędrówki w dół Rzeki znaleźliśmy się w sytuacji, jakiej lęka się tutaj tak wielu ludzi. Stanęliśmy oko w oko z ziemskim małżonkiem Olivii. Choć panna Langdon nadal mi się podobała, nasza początkowa namiętność zdążyła już nieco osłabnąć. Swym zachowaniem oboje wielokrotnie działaliśmy sobie na nerwy i nie ma w tym

nic dziwnego. To chyba częste zjawisko w świecie, gdzie kobieta i mężczyzna mogą pochodzić nie tylko z innych narodów, ale nawet z innych czasów. Jak siedemnastowieczna osoba może zgodnie żyć z kimś z dziewiętnastego wieku? Czasami ludziom udaje się dopasować, ale zazwyczaj to beznadziejna sytuacja. Livi i ja byliśmy daleko w górze Rzeki, gdy dowiedziałem się o budowie parostatku. Słyszałem o upadku meteorytu, ale nie miałem pojęcia, że znalazł go Sam Clemens. Chciałem zostać członkiem załogi, a najbardziej pragnąłem znów poczuć w dłoni stalowy rapier. I właśnie tak, droga Jill, trafiliśmy w to miejsce. Sam faktycznie był w silnym szoku. Przez chwilę nawet było mi go szkoda i żałowałem, że doprowadziłem do tego spotkania. Olivia nie miała ochoty porzucać mnie dla Clemensa, mimo że nie łączyła nas już taka namiętność jak niegdyś. Czuła się winna, że go nie kocha. To dziwne, zważywszy na to, jak głębokim uczuciem darzyli się na Ziemi. Ale było między nimi wiele tarć i dobrze skrywanych pretensji. Powiedziała, że nie chciała go widzieć podczas swojej śmiertelnej choroby. To go bardzo zraniło, ale nie zmieniła zdania. Spytałem ją, czemu nie chciała go dopuścić do swojego łóżka śmierci. Nie potrafiła odpowiedzieć. Być może dlatego, że ich jedyny syn umarł z powodu niedbalstwa Sama. Karalnego zaniedbania, jak to teraz nazywała, choć na Ziemi nigdy nie przyszło jej to do głowy. Powiedziałem jej, że wydarzyło się to bardzo dawno temu i na innej planecie. Po co nadal się tym gnębić? Jakie to ma teraz znaczenie? Czyż mały... zapomniałem, jak miał na imię...

- Langdon - odpowiedziała Jill.

- Czyż mały Langdon nie powstał z martwych? Olivia odpowiedziała, że owszem, ale nigdy go już nie zobaczy. Zmarł w wieku dwóch lat, a nie wskrzeszono nikogo poniżej piątego roku życia, przynajmniej nie w tym świecie. Może na innej planecie. Tak czy inaczej, nawet gdyby chłopiec zmartwychwstał tutaj, jakie miałyby szanse, aby go odnaleźć? I co by zrobiła, gdyby jej się to udało? Byłby teraz dorosłym mężczyzną i nawet by jej nie pamiętał. Byłaby dla niego całkowicie obcą osobą. Poza tym mógłby zostać wskrzeszony pośród kanibali lub australijskich Indian i nie znać angielskiego ani zasad zachowania się przy stole.

- Coś takiego mógłby powiedzieć Mark Twain, a nie jego żona - powiedziała z szerokim uśmiechem Jill.

- Faktycznie, nie powiedziała tego - odrzekł Cyrano i też się uśmiechnął. - Zaimprovizowałem, parafrazując jej słowa. Naturalnie, nie chodziło jej jedynie o przypadkową śmierć dziecka. W gruncie rzeczy nie mogę winić Clemensa. Jako pisarz często miewał okresy roztargnienia, gdy pracował nad książką. Sam taki jestem. Nie zauważył, że malcowi zsunęła się kołderka i dmucha na niego lodowaty wiatr. Jechał saniami po śniegu,

ale myślami był w innym świecie. Jednakże Olivia była przekonana, że Sam wcale nie jest aż tak roztargniony. Uważała, że mógłby zachować się inaczej, a jakaś część jego umysłu widziała, co się dzieje z dzieckiem. Clemens nigdy nie chciał mieć syna, w odróżnieniu od większości mężczyzn wolałby córkę. Poza tym dziecko od urodzenia było chorowite, a to duży kłopot. Oczywiście dla Sama.

- Przynajmniej miał tę jedną zaletę - odrzekła Jill. - Wolał dziewczynki. Choć, prawdę mówiąc, uważam, że preferowanie dziecka płci żeńskiej jest równie neurotyczne jak preferowanie dziecka płci męskiej. Ale nie kierował nim męski szowinizm...

- Musisz zrozumieć, że Olivia nie wierzyła w to wszystko podczas swojego ziemskiego życia, przynajmniej nie w sposób świadomy - przerwał jej Cyrano. - Choć podejrzewam, że podobne myśli czasem pojawiały się w jej głowie, ale się ich wstydziła i spychała je w mroczne zakamarki duszy. W Dolinie Rzeki pod wpływem *soi-disant*, tak zwanej gumy snów, od której się uzależniła, wypłynęły na wierzch jej prawdziwe uczucia. Dlatego choć nadal kochała Clemensa, w pewien sposób jeszcze bardziej go znenawidziła.

- Czy rzuciła gumę? - spytała Jill.

- Tak. Narkotyk miał na nią niekorzystny wpływ. Choć od czasu do czasu doświadczała ekstatycznych lub fantastycznych wizji, zbyt często nawiedzały ją koszmary.

- Powinna nadal jej używać - odrzekła Jill. - Ale pod odpowiednią kontrolą. Chociaż...

- Tak?

Jill ściągnęła wargi.

- Może nie powinnam jej zbyt krytykować. Miałam kiedyś guru, piękną kobietę, najmądrzejszą, jaką kiedykolwiek spotkałam, ale nawet ona nie potrafiła mnie powstrzymać przed wpakowaniem się w... cóż, oszczędźmy sobie szczegółów... to zbyt... niepokojące. A raczej przerażające. Stchórzyłam. Dlatego nie zamierzam krytykować innych, a przynajmniej nie powinnam. Zastanawiałam się, czy znów nie zacząć używać gumy snów, ale nie ufam metodom Szansowców, choć zapewniają, że opanowali doskonałe, całkowicie bezpieczne techniki. Nie mogłabym w pełni zaufać ludziom, którzy mają własne religijne przekonania.

- Na Ziemi byłem wolnomyślicielem, *libertynem*, jak się zwykliśmy nazywać - rzekł Cyrano. - Ale teraz... sam nie wiem. Być może jednak istnieje jakiś Bóg. Jak inaczej można wytłumaczyć ten świat?

- Istnieje wiele teorii - odparła Jill. - Bez wątplenia poznałeś je wszystkie.

- W każdym razie wiele z nich - odrzekł Cyrano. - Miałem nadzieję, że usłyszę nową od ciebie.

15

W tym momencie kilkoro ludzi wtrąciło się do rozmowy. Jill odłączyła się od grupy i zaczęła krążyć po pomieszczeniu, szukając innego skupiska ciekawych osób, tymczasowej kolonii, do której mogłaby się przyłączyć. W Świecie Rzeki, podobnie jak na Ziemi, wszystkie przyjęcia miały podobny przebieg. Przez chwilę z kimś rozmawiałeś, próbując przekrzyczeć gwar i muzykę, a potem zmieniałeś rozmówców, aż do wykonania pełnej rundy po sali. Jeśli ktoś cię zainteresował, umawiałeś się z nim na spokojną rozmowę w innym terminie.

W dawnych czasach, gdy Jill miała młody umysł, często spotykała na takich przyjęciach osoby, które ją fascynowały. Zwykle jednak była wtedy odurzona alkoholem lub marihuaną, albo jednym i drugim, i niezwykle otwarta. W takim stanie łatwo zakochać się w czymś ciele bądź umyśle. Wraz z trzeźwością zazwyczaj wracał rozsądek. Czuło się wtedy rozczarowanie. Nie zawsze, ale w większości przypadków.

Teraz była na imprezie, gdzie wszyscy mieli ciała dwudziestopięciolatek. Zgodnie z metryką, Jill miała sześćdziesiąt jeden lat. Niektórzy z gości mogli osiągać wiek nawet ponad stu trzydziestu lat, a najmłodsi nie mogli mieć na karku mniej niż trzydzieści sześć kresiek.

Jeśli to prawda, że mądrość przychodzi z wiekiem, jej poziom na tej sali powinien być bardzo wysoki. Ta zasada jednak raczej nie sprawdzała się na Ziemi. W życiu trudno uniknąć doświadczenia, choć niektórym prawie się to udaje, ale w żadnym razie nie gwarantuje ono mądrości, czyli zrozumienia podstawowych zasad rządzących ludzkim życiem. Większość starszych osób, jakie Jill знаła, kierowała się tymi samymi wyuczonymi odruchami, co w wieku dziewiętnastu lat.

Dlatego należało się spodziewać, że ludzie nie wynieśli zbyt wiele z doświadczeń w nowym świecie. Choć oczywiście szok spowodowany śmiercią i zmartwychwstaniem otworzył oczy wielu osobom.

Po pierwsze, absolutnie nikt nie oczekiwał takich zaświatów, jeśli można to miejsce w ten sposób nazwać. Żadna religia nie wspominała o podobnym miejscu i zdarzeniach. Choć trzeba przyznać, że religie, które obiecywały raj i piekło, w zaskakujący sposób unikały szczegółowych opisów. Z drugiej strony może nie było to wcale aż tak zaskakujące, zważywszy że przecież niewiele osób utrzymywało, że widziało „drugą stronę”.

Z pewnością, ani w tym miejscu, ani w samym zmartwychwstaniu nie było niczego nadprzyrodzonego. Wszystko - cóż, prawie wszystko - dawało się wyjaśnić na gruncie naukowym, bez odwoływania się do metafizyki. A jednak nie powstrzymało to ludzi przed tworzeniem nowych lub przerabianiem starych religijnych teorii.

Skompromitowane zostały religie, w których nieobecna była eschatologia zmartwychwstania, przynajmniej w zachodnim sensie tego słowa, czyli buddyzm, hinduizm, konfucjanizm czy taoizm. Podobny los spotkał także religie, w których ta koncepcja była obecna, takie jak judaizm, islam i chrześcijaństwo. Jednak koniec jednej dużej religii zawsze daje początek kolejnej. Oprócz tego nie brakowało ludzi, którzy wbrew oczywistym dowodom uparcie nie chcieli przyznać, że ich ziemską wiarą okazała się fikcją.

Stojąc obok Samuela, byłego rabina, a obecnie biskupa Kościoła Jeszcze Jednej Szansy, Jill zastanawiała się, jak mężczyzna zareagował na wskrzeszenie w Świecie Rzeki. Nie przybył żaden Mesjasz Zbawiciel. Lud Wybrany nie został zgromadzony w Jerozolimie. Nie było Jerozolimy. Nie było Ziemi.

Jak widać, zdruzgotanie jego wiary go nie załamało. W jakiś sposób zdołał zaakceptować fakt, że się mylił. Miał wyjątkowo elastyczny umysł jak na ultraortodoksyjnego starożytnego rabina.

Joanna Jugan, która pełniła obowiązki hostessy, zaproponowała Samuelowi i Raheli potrawę z pędów bambusa i rybich filetów. Samuel przyjrzał się rybie.

- Co to jest? - spytał.

- Ropusznica - odpowiedziała Joanna.

Samuel zacisnął usta i potrząsnął głową. Joanna wyglądała na zaskoczoną, gdyż biskup z pewnością był głodny i już sięgał po pędy bambusa. Z tego, co Jill wiedziała, nie były one zakazane przez prawo mojżeszowe. Niemniej leżały na tym samym talerzu co zakazana bezłuskowa ryba, a to oznaczało, że zostały skażone.

Uśmiechnęła się. O wiele łatwiej zmienić religię niż nawyki żywieniowe. Pobożny żyd lub muzułmanin mógł odrzucić swoje credo, ale wciąż brały go mdłości na widok wieprzowiny. Hindus, którego Jill poznała w Świecie Rzeki, stał się tutaj ateistą, ale nadal nie tykał mięsa. Jill, pomimo częściowego aborygeńskiego pochodzenia, nie mogła się zmusić do jedzenia robaków, choć próbowała. Geny nie miały nic wspólnego z jadłospisem, liczyły się społeczne nawyki. Chociaż nie zawsze. Niektórzy potrafili się dostosować bez większych problemów. Poza tym, zawsze pozostawała kwestia indywidualnego gustu. Jill przestała jadać baraninę, gdy tylko wyprowadziła się od rodziców. Nie znosiła jej. Ponadto wołała hamburgery od pieczeni wołowej.

Wnioskiem płynącym z tej gonitwy myśli, stwierdziła Jill, gdy w końcu wróciła do rzeczywistości, strzepując z siebie myśli jak nurek wychodzący z wody strzepuje krople wody, jest to, że jesteśmy tym, co jemy. A jemy to, co jemy, dlatego że jesteśmy tym, kim jesteśmy. A z kolei to, kim jesteśmy, zależy po części od środowiska, a po części od naszej budowy genetycznej. Cała moja rodzina oprócz mnie uwielbiała baraninę. Tylko jedna z sióstr podzielała moją obojętność wobec pieczeni wołowej i także wolała hamburgery.

Wszyscy moi bracia i siostry, z tego co wiem, są heteroseksualni. Ja jako jedyna jestem biseksualna. I wcale mi się to nie podoba. Wolałabym się w końcu zdecydować na którąkolwiek z opcji, a nie wahać między jedną płcią a drugą jak chorągiewka na wietrze.

Tak naprawdę, wcale nie chciała się zdecydować na którąkolwiek z opcji. Gdyby miała wybór (a nie miała?), wolałaby kochać kobiety.

Kochać kobiety. Czemu nie użyła słowa „lesbijka”? Ludzki język ma pewne istotne wady, jedną z nich jest niejednoznaczność. Kochać kobiety może także mężczyzna.

A więc lesbijka. Wcale nie było jej wstyd. A co z Jackiem? Przecież go kochała. Co z...?

Otrząsnęła się z zamyślenia tylko po to aby ponownie utonąć w powodzi myśli.

Po drugiej stronie pomieszczenia stał Firebrass i choć z kimś rozmawiał, patrzył wprost na nią. Czy zauważył jej skłonność do zamieniania się w przygarbiony posąg z głową lekko przekrzywioną w lewą stronę, przymkniętymi oczami i źrenicami skierowanymi w górę? A jeśli tak, to czy doszedł do wniosku, że Jill jest niezrównoważona i nie można jej zaufać?

Poczuła nagle ukłucie paniki. Mój Boże, a jeśli skreślił ją z listy kandydatów tylko dlatego, że od czasu do czasu wpadała w zamyślenie?! Przecież nigdy nie zachowywała się w ten sposób w pracy! Ale jak mogła o tym przekonać Firebrassa?

Od tej pory musi być czujna i zawsze sprawiać wrażenie skoncentrowanej ekstrawertyczki, godnej zaufania i przygotowanej na wszystko. Niczym skautka.

Podeszła do grupy osób zgromadzonych wokół biskupa Samuela. Ciemnoskóry niski mężczyzna opowiadał jedną z historii o La Viro. Jill знаła wiele z nich, uczestniczyła bowiem w licznych spotkaniach Szansowców i często rozmawiała z misjonarzami. W esperanto, oficjalnym języku Kościoła, słowa La Viro oznaczały Człowieka. Postać tę zwano także La Fondito, Założycielem. Najwyraźniej nikt nie znał jego ziemskiego imienia lub też Szansowcy nie uznawali go za godne uwagi.

Opowieść Samuela dotyczyła nieznanego, który skontaktował się z La Viro pewnej burzliwej nocy w jaskini wysoko w górach. Nieznajomy wyjawiał, że jest jednym z tych,

którzy przekształcili tę planetę w Dolinę Rzeki, po czym wskrzesili wszystkich ludzi żyjących kiedykolwiek na Ziemi.

Nieznajomy polecił La Viro założyć Kościół Jeszcze Jednej Szansy. Przekazał mu zasady, których ten ma nauczać, i powiedział, że gdy La Viro rozprzestrzeni je nad Rzeką, otrzyma nowe objawienie. Z tego, co Jill wiedziała, te nowe „prawdy” jeszcze się nie pojawiły.

Ale Kościół rozprzestrzenił się na wszystkie strony. Jego misjonarze podróżowali pieszo lub łodziami. Niektórzy podobno przemieszczali się za pomocą balonów. Jednak najszybszą metodą podróży była śmierć i zmartwychwstanie.

Ci, którzy zabijali misjonarzy, wyrządzali Kościołowi przysługę, sprawiając, że wiara rozprzestrzeniała się w Świecie Rzeki w znacznie szybszym tempie.

Męczeństwo okazało się wygodną formą przemieszczania się wzdłuż Rzeki, pomyślała Jill. Ale trzeba było nie lada odwagi, by umierać za swoją religię teraz, gdy wskrzeszenia ustały. Słyszała, że ostatnio Kościół stracił wielu członków. Nie wiedziała, czy stało się tak na skutek nieodwracalności śmierci, czy dlatego że organizacja straciła początkowy impet.

W grupie stał mężczyzna, którego jeszcze jej nie przedstawiono. Jednak wcześniej Piscator wskazał go Jill z drugiego końca pomieszczenia.

- John de Greystock - wyjaśnił Japończyk. - Żył w Anglii pod rządami króla Edwarda I. Chyba w trzynastym wieku? Nie pamiętam wielu faktów z historii Anglii, choć jako kadet intensywnie uczyłem się tego przedmiotu.

- Wydaje mi się, że Edward panował od około tysiąc dwieście siedemdziesiątego roku do początku czternastego stulecia - odrzekła Jill. - Na pewno pamiętam, że rządził przez trzydzieści pięć lat i umarł w wieku sześćdziesięciu ośmiu. Utkwiło mi to w pamięci, żył bowiem bardzo długo jak na swoje czasy, zwłaszcza w Anglii. No wiesz, te zimne zamki pełne przeciągów.

- Greystock został przez Edwarda mianowany baronem i towarzyszył królowi podczas wypraw wojennych do Gaskonii i Szkocji - poinformował ją Piscator. - Nie wiem o nim zbyt wiele. Poza tym, że pełnił funkcję gubernatora *Civito de La Animoj*, po angielsku Soul City, niewielkiego państwa położonego czterdzieści jeden kilometrów stąd w dół Rzeki. Przybył tutaj przede mną, niedługo po tym, jak król Jan ukradł Clemensowi parostatek. Wstąpił do armii Parolando, szybko awansował i wślawił się podczas inwazji na Soul City...

- Czemu Parolando zaatakowało Soul City? - zdziwiła się Jill.

- Swego czasu Soul City dokonało podstępnej inwazji na Parolando by przejąć kontrolę nad żelazem pochodzącym z meteorytu i zdobyć *Nie Do Wynajęcia*. Prawie im się to

udało. Ale Clemens wraz z kilkoma towarzyszami wysadził wielką tamę zbudowaną w celu składowania wody pochodzącej z górskiego strumienia i wytwarzania dzięki niej energii elektrycznej. Miliony litrów wody dosłownie zmyły napastników z równiny, razem z tysiącami mieszkańców Parolando. Zniszczone zostały fabryki, stalownie i zakłady produkujące aluminium. Parostatek także został zmieciony do Rzeki, ale odnaleziono go w niemal nienaruszonym stanie. Clemens w zasadzie musiał zaczynać od początku. Wykorzystując naszą sytuację, Soul City sprzymierzyło się z kilkoma innymi państwami i ponownie nas najechało. Udało się odeprzeć ich atak, ale bardzo dużym kosztem. Parolandczycy potrzebowali boksytu, kriolitu, cynobru i platyny, których złoża znajdowały się wyłącznie na terenie Soul City. Boksyt i kriolit są niezbędne do wytwarzania aluminium. Cynober to ruda rtęci, a platynę wykorzystuje się do produkcji styków w rozmaitych przyrządach elektrycznych oraz jako niezbędny katalizator w procesach chemicznych.

- Wiem o tym - odparła z lekkim zniecierpliwieniem Jill.

- Wybacz - odrzekł Piscator, łagodnie się uśmiechając. - Po odparciu ataku, Greystocka uczyniono pułkownikiem. A po udanej inwazji na Soul City, gubernatorem podbitego państwa. Clemens chciał na tym stanowisku twardego i brutalnego człowieka, a Greystock, jak większość władców feudalnych, znakomicie spełniał te wymagania. Jednak kilka tygodni temu Soul City dobrowolnie weszło w skład Stanów Zjednoczonych Parolando, na równych prawach z naszym państwem. - Piscator uśmiechnął się krzywo. - Oczywiście ich złoża są w tej chwili na wyczerpaniu. Projekt Sterowiec nie potrzebuje pomocy Soul City. Co więcej, za sprawą procesu, który Greystock bardzo eufemistycznie nazywa wyniszczeniem, pierwotne proporcje rasowe w państwie uległy drastycznej zmianie. Kiedyś populacja Soul City w większości składała się z dwudziestowiecznych amerykańskich czarnoskórych, obok których zamieszkiwali średniowieczni, fanatyczni Arabowie Wahabici, oraz Drawidyjczycy ze starożytnych Indii. Teraz, na skutek wojen oraz surowych rządów Greystocka, Soul City w połowie zamieszkują biali.

- Ten człowiek wygląda mi na dzikusa - wtrąciła Jill. - Nie obrażając dzikusów.

- Musiał stłumić kilka rebelii - odparł Piscator. - Poza tym, nikogo nie zmuszano do pozostania w Soul City. Clemens nie pozwoliłby na niewolnictwo. Każdemu dano szansę odejścia w pokoju i z całym dobytkiem. Jednak wielu mieszkańców pozostało, przysięgło lojalność wobec Parolando, a potem zmieniło się w sabotażystów.

- Partyzantka? - spytała Jill.

- Raczej nie - odpowiedział mężczyzna. - Jak wiesz, tutejsza topografia nie sprzyja działaniom partyzanckim. Wygląda raczej na to, że niektórzy mieszkańcy Soul City

potraktowali sabotaż jako swoistą rozrywkę.

- Rozrywkę?

- Zawsze to jakieś zajęcie, lepsze niż dryfowanie bez celu w dół Rzeki - odrzekł Piscator. - Poza tym, wielu z nich szukało zemsty. Greystock wyrzucał wszystkich złapanych sabotażystów z państwa, a dokładniej do Rzeki. No cóż, to już historia, działo się to, zanim tu przybyłem. A tak przy okazji Greystock zjawił się tu, bo chce zostać członkiem załogi sterowca.

- Ależ on nie ma żadnych kwalifikacji! - wykrzyknęła Jill.

- To prawda, przynajmniej w pewnym sensie. Ale, chociaż nie pochodzi z wysoko rozwiniętej cywilizacji, to jest inteligentny, otwarty i potrafi się uczyć. Mimo że był niegdyś angielskim baronem, a potem gubernatorem Soul City, jest gotów zostać szeregowym członkiem załogi. Fascynuje go idea latania. Dla niego to niemal magia. Firebrass obiecał mu miejsce na sterowcu, jeśli nie znajdzie się wystarczająca liczba wykwalifikowanych osób. Oczywiście jeżeli przypadkiem pojawi się załoga *Graf Zeppelin* lub *Shenandoah*...

Piscator się uśmiechnął.

Greystock miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, czyli był bardzo wysoki jak na średniowieczne standardy. Miał długie proste czarne włosy, duże szare oczy, gęste brwi i orli nos. Harmonijne i surowe rysy czyniły go przystojnym mężczyzną. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra oraz długie, ale muskularne nogi.

W tej chwili rozmawiał z Samuelem, demonstrując sarkastyczny uśmiech i ton głosu. Piscator wspominał, że Greystock nienawidzi księży, choć w ziemskim życiu cechował się dużą pobożnością. Najwyraźniej nigdy nie wybaczył klerowi głoszenia fałszywych nauk dotyczących życia po śmierci.

- Ale z pewnością musicie wiedzieć, kim był La Viro na Ziemi? - odezwał się Greystock w esperanto. - Do jakiej należał rasy? Jakiej był narodowości? Kiedy się urodził i kiedy umarł? Czy żył w czasach prehistorycznych, starożytnych, średniowieczu, a może w tak zwanych czasach nowożytnych? Kim był za życia: wyznawcą jakiejś religii, agnostykiem czy ateistą? Jaki wykonywał zawód? Jakiego miał wykształcenie? Czy był żonaty? Czy miał dzieci? Czy był homoseksualistą? Czy w swoich czasach pozostawał nieznany? A może to on był Chrystusem? A jeśli tak, to czy dlatego pozostaje anonimowy, wiedząc, że nikt ponownie nie uwierzy w jego kłamstwa?

Samuel aż się skrzywił, ale odpowiedział.

- Nie wiem zbyt wiele o tym Chrystusie, tylko to, co mi tutaj opowiadano. Także moja wiedza o La Viro pochodzi z relacji innych ludzi. Powiadają, że jest wysoki i biały, choć

bardzo opalony, a niektórzy twierdzą, że może być Persem. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Nie liczy się jego pochodzenie ani wygląd. Najważniejsze jest przesłanie.

- Które słyszałem już wielokrotnie od misjonarzy waszego Kościoła! - odparł Greystock. - I nie wierzę w nie ani odrobinę bardziej niż w te cuchnące kłamstwa, które na Ziemi opowiadali mi księża pod płaszczykiem prawd objawionych!

- Taki twój przywilej, ale nie prawo - odpowiedział Samuel. Greystock wyglądał na zbitego z tropu. Jill także nie zrozumiała, co biskup miał na myśli.

- Wy, klechy, zawsze gadacie bez sensu! - prychnął Greystock i odszedł zagniewany. Piscator popatrzył za nim i się uśmiechnął.

- Niebezpieczny człowiek, ale ciekawy. Powinnaś go poprosić, żeby opowiedział ci o swojej podróży z Arkturiańczykiem.

Jill lekko uniosła brwi.

- Tak, Greystock znał istotę, która przybyła na Ziemię z planety okrążającej gwiazdę Arktur - wyjaśnił Japończyk. - Według doniesień ta istota przybyła na naszą planetę statkiem kosmicznym wraz z kilkoma towarzyszami w dwa tysiące drugim roku naszej ery. Została zmuszona do zabicia niemal wszystkich mieszkańców Ziemi. Sama też zginęła. To straszna historia, ale prawdziwa. Firebrass zna szczegóły, był świadkiem tych wydarzeń.

16

Zaintrygowana opowieścią Piscatora, Jill ruszyła poprzez tłum w stronę Greystocka, ale zanim dotarła do Anglika, zatrzymał ją Firebrass.

- Właśnie otrzymałem wiadomość, że nawiązano kontakt radiowy z *Markiem Twainem*. Masz ochotę do nas dołączyć? Kto wie, może uda ci się porozmawiać z wielkim Samem Clemensem.

- Pewnie, że tak! - odpowiedziała. - Dziękuję za zaproszenie.

Jill podążyła za Firebrassem do dżipa zaparkowanego u podnóża schodów. Samochód wykonano ze stali i aluminium, a nadmuchiwane opony z nylonu. Sześciocyldrowy silnik był napędzany alkoholem uzyskiwanym z drewna.

Do dżipa wsiadło pięcioro pasażerów: Firebrass, Gulbirra, de Bergerac, Schwartz i Hardy. Samochód szybko ruszył i podążył wąskimi dolinami wśród wzgórz. W jasnym świetle reflektorów Jill widziała krótko przystrzyżoną trawę, skupiska chatki i kępy bambusa, niektóre wyrastające na ponad trzydzieści metrów w górę. Po opuszczeniu wzgórz samochód popędził w poprzek równiny łagodnie opadającej ku Rzece.

Jill widziała światła wytwórni aluminium, stalowni, gorzelni, spawalni, zbrojowni, cementowni i siedziby władz Parolando. W tym ostatnim budynku mieściła się redakcja gazety i radiostacja oraz mieszkania najwyższych urzędników państwowych.

Olbrzymi hangar wzniesiono w dole Rzeki, aby nie docierały do niego zapachy z fabryk. W górach na zachodzie lśniły rzędy świateł. Umieszczono je na nowej tamie, zbudowanej w miejsce konstrukcji wysadzonej przez Clemensa.

Dżip minął hangar. Obok nich przemknął napędzany alkoholem parowóz, ciągnąc trzy platformy załadowane aluminiowymi dźwigarami, po czym wjechał do rozświetlonego budynku, gdzie się zatrzymał, a robotnicy zaczęli przywiązywać dźwigary do haka dźwigu za pomocą stalowych kabli.

„Ratusz” okazał się budynkiem najbardziej wysuniętym na północ. Dżip zatrzymał się tuż przed werandą. Pasażerowie wysiedli z samochodu i przeszli między dwiema doryckimi kolumnami. Jill pomyślała, że budynek stanowi ciężką obrazę dla architektury. Z daleka cała okolica wyglądała jak połączenie Partenonu i Zagłębia Ruhry teleportowanych na Tahiti.

Biuro Firebrassa znajdowało się na lewo od wejścia do rozległego holu. Przed

drzwiami stało sześciu strażników uzbrojonych w jednostrzałową broń palną na plastikowe pociski kalibru 80 milimetrów. Mężczyźni mieli też przy sobie kordy i sztylety. Siedziba radiostacji mieściła się w dużym pokoju obok sali konferencyjnej i pokoju Firebrassa. W środku zastali kilku mężczyzn zgromadzonych wokół operatora, który regulował pokrętki na dużym panelu. Mężczyzna podniósł wzrok, słysząc gwałtownie otwierane drzwi.

- Rozmawiałem z Samem - powiedział. - Ale zgubiłem go jakieś pół minuty temu. Czekaście, chyba znów go mam.

Z głośnika wydobyła się seria pisków i trzasków. Nagle zakłócenia ustały i usłyszeli ludzki głos. Operator dokonał ostatnich poprawek i ustąpił miejsca Firebrassowi.

- Mówi Firebrass. Czy to ty, Sam?

- Nie. Proszę chwilę poczekać.

- Mówi Sam - rozległ się przyjemny, powolny głos. - Czy to ty, Milt?

- Pewnie, że ja. Jak się masz, Sam? I jak przebiega podróż?

- Do tej pory, Milt, według elektronicznego dziennika pokładowego przebyliśmy siedemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące czternaście mil. Jeśli chcesz, możesz to przeliczyć na kilometry, ja wolę stary system. Nieźle jak na trzyletni rejs, prawda? Ale ogólnie to wszystko jest bardzo irytujące. Ślimak mógłby dotrzeć na Biegun Północny szybciej od nas, gdyby mógł podróżować po linii prostej. A raczej po wielkim łuku. Mógłby tam zbudować dla nas hotel i czekając na nasze przybycie, zbić fortunę na wynajmowaniu pokoi morsom. Nawet gdyby rzeczony ślimak przemieszczał się z prędkością jednej mili na dobę, a my w tym czasie każdorazowo przepływalibyśmy osiemset mil. Co zaś do... - tu nastąpiła seria trzasków i szumów - ...niewielkie kłopoty.

Firebrass poczekał, aż jakość odbioru się polepszy, i dopiero wtedy się odezwał.

- Wszystko w porządku, Sam? - spytał.

- Na medal - odpowiedział Sam. - Nie wydarzyło się nic niespodziewanego. Innymi słowy, co chwila mamy kłopoty i sytuację wyjątkową, ale nie mieliśmy jeszcze buntu załogi. Choć od czasu do czasu jestem zmuszony wykopać kilka osób. Jak tak dalej pójdzie, to zanim przepłyniemy milion mil, tylko ja pozostanę z pierwotnej załogi.

Znów rozległy się trzaski, a potem Jill usłyszała głos tak głęboki i donośny, że po plecach przebiegły jej ciarki. Po chwili znów odezwał się Sam.

- Tak? Aha, no dobrze. Zupełnie o tobie zapomniałem, choć to niełatwe, kiedy tak mi stoisz za plecami, zionąc alkoholem. Joe mówi, że on też wtedy będzie na statku, nie da się wykopać. Chciałby się z wami przywitać. Joe, powiedz „cześć”.

- Czesć, Mik.

Głos zabrzmiał niczym grzmot w beczce.

- Jak leci? Mam nadzieję, że świetnie. Szam jest trochę smutny, bo szostawiła go dziewczyna. Ale chyba wróci do siebie. Sny mężczyły go koszmary o Eryku Krwawym Toposze. Powiedziałem Szamowi, że poczuje się lepiej, jeśli odsztawi wodę. Nie ma szadnego usprawiedliwienia, odkąd ja jestem pszykładem tszeszwozsci.

Jill zerknęła na Hardy'ego.

- Co do...

Hardy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, on sztrasznie szepleni - rzekł. - Joe Miller jest wielki jak dwóch Goliatów, ale sepleni. Należy do gatunku podczłowieka, który Sam nazwał *titanthropus clemensi*, choć tak naprawdę myślę, że Joe jest po prostu gigantyczną odmianą *homo sapiens*. Jego rodzaj wymarł na Ziemi około pięćdziesięciu do stu tysięcy lat temu. Spotkali się z Samem wiele lat temu i od tamtej pory są nierozłączni. Jak Damon i Pythias. Jak Roland i Oliver.

- Raczej jak Laurel i Hardy - mruknął ktoś.

- Hardy? - spytał Hardy.

- Cicho bądźcie - odezwał się Firebrass. - Sam, tutaj wszystko świetnie. Mamy nowego kandydata, znakomity materiał na oficera. To Australijka, Jill Gulbirra. Ma wylatane na sterowcach ponad osiem tysięcy godzin i dyplom inżyniera. Jak ci się to podoba?

Rozległ się trzask.

- Kobieta?

- Tak, Sam - odparł Firebrass. - Wiem, że za twoich czasów kobiety nie pracowały jako piloci na parostatkach czy inżynierowie na kolei. Ale za mojego życia wiele kobiet pilotowało samoloty, startowało w zawodach jako dżokeje, a nawet latało w kosmos!

Jill podeszła do mikrofonu.

- Pozwól mi z nim porozmawiać - odezwała się do Firebrassa. - Powiem temu sukinsynowi...

- On nie protestuje, po prostu jest zaskoczony - odparł Firebrass, podnosząc wzrok na kobietę. - Uspokój się. O co ci chodzi? Sam jest w porządku. A nawet gdyby nie był, nie ma tu nic do gadania. To ja jestem *Numero Uno*. Sam, Jill mówi, że miło jej cię poznać.

- Słyszałem, co powiedziała - odparł Sam i zachichotał. - Słuchaj... - rozległ się trzask i syk - ...kiedy?

- Nic nie usłyszałem przez te zakłócenia - odpowiedział Firebrass. - Obawiam się, że tracimy łączność, więc będę się streszczał. Brakuje mi jeszcze wielu ludzi, ale statek będzie gotowy dopiero za rok. Do tej pory być może zdążę skompletować załogę. A jeśli nawet nie,

to trudno. Mam tu pełno pilotów i mechaników, których można przeszkolić do latania na sterowcu. Słuchaj...

Zamilkł na chwilę i uważnie się rozejrzył, choć Jill nie miała pojęcia, w jakim celu.

- Odzywał się do ciebie Tajemniczy Nieznajomy? Czy... Głos Firebrassa utonął w zakłóceniach. Po kilku minutach zmagania z aparaturą mężczyzna zrezygnował z prób ponownego nawiązania kontaktu.

- O co chodziło z tym Tajemniczym Nieznajomym? - spytała Hardy'ego Jill.

- Nie wiem - odpowiedział mężczyzna. - Firebrass mówi, że to taki prywatny żart między nim i Clemensem.

Firebrass wyłączył radiostację i wstał z krzesła.

- Robi się późno, a jutro czeka nas dużo pracy - powiedział. - Jill, czy chcesz, żeby Willy odwiózł cię do domu?

- Nie potrzebuję niczyjej ochrony - odparła Jill. - Mogę się przespacerować, dziękuję.

Okryła się ręcznikami i ruszyła przez równinę. Zanim dotarła do pierwszego wzgórza, ujrzała ciemne chmury pędzące po jaskrawym niebie. Wyjęła z torby kawałek gumy snów, odłamała połówkę i wrzuciła do ust. Nie robiła tego od lat.

Teraz, smakując substancję o smaku kawy, zastanawiała się, czemu tak nagle, niemal mimowolnie, postanowiła znów jej spróbować. Co nią powodowało? Zrobiła to prawie nieświadomie. Gdyby nie miała zwyczaju uważnie analizować swoich poczynań, mogłaby nawet tego nie zarejestrować.

Błyskawica przecięła niebo na północy. Potem lunął rześisty deszcz, jakby ktoś nagle chlusnął wodą z wiadra. Jill narzuciła na głowę kaptur i pochyliła się. Miała mokre stopy, ale ręczniki, którymi się owinęła, chroniły ją przed deszczem.

Otworzyła drzwi swojej chatki. Po wejściu do środka postawiła torbę, otworzyła ją i wyjęła ciężką, metalową zapalniczkę dwa razy do roku dostarczaną przez róg obfitości. Po omacku dotarła do stolika, na którym stała lampa na alkohol, prezent od Firebrassa. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun i w świetle błyskawicy Jill zobaczyła lampę.

Coś dotknęło jej ramienia.

Krzyknęła i gwałtownie się odwróciła, upuszczając zapalniczkę. Jej prawa pięść wystrzeliła do przodu, ale ktoś złapał ją za nadgarstek. Zadała cios kolaniem, mierząc w krocze, ale trafiła w biodro, a tajemniczy napastnik unieruchomił jej drugi nadgarstek. Udała, że opadła z sił, a przeciwnik dał się na to nabrać. Zaśmiał się cicho i przyciągnął ją do siebie. Jill mogła dostrzec jego sylwetkę w świetle błyskawicy co jakiś czas wydobywających z ciemności wnętrza chaty. Nos napastnika znajdował się trochę poniżej twarzy kobiety.

Szybko pochyliła głowę, złapała zębami koniec nosa mężczyzny i gwałtownie szarpnęła. Napastnik wrzasnął i zwolnił uchwyt, po czym zatoczył się do tyłu, trzymając ręce przy twarzy. Jill doskoczyła do niego i tym razem trafiła go stopą między nogi. Choć była boso, mężczyzna zwinął się z bólu na ziemi, trzymając się za krocze.

Kobieta skoczyła i wylądowała mu stopami na boku. Rozległ się głośny trzask pękających żeber. Następnie Jill chwyciła napastnika za uszy. Próbował się bronić, ale mocno szarpnęła i naderwała obie małżowiny.

Mężczyzna, ignorując zranione genitalia i połamane zębra, wstał z podłogi. Jill uderzyła go w szyję kantem dłoni. Upadł, a kobieta podbiegła do stołu i drżącą ręką zapaliła lampę. Pokręciła gałką znajdującą się z boku lampy i w pomieszczeniu zrobiło się jasno. Odwróciła się i ponownie krzyknęła.

Gdy była odwrócona, mężczyzna zdążył wstać i zdjąć ze ściany włócznie, którą teraz zamierzał się na Jill.

Niewiele myśląc, rzuciła w napastnika lampą. Trafiła go w twarz. Pod wpływem uderzenia lampa pękła i rozlał się alkohol.

Buchnęły płomienie. Mężczyzna wrzasnął i na oślep - płonęły mu oczy - ruszył w jej stronę. Ona także krzyknęła. Dopiero teraz go rozpoznała.

- Jack! - zawołała, ale on już do niej dopadł, objął ją płonącymi rękami i przewrócił na plecy.

Na chwilę straciła oddech, ale w końcu udało jej się wyrwać z morderczego uścisku i odtoczyć w bezpieczne miejsce. Ogniodoporne ubranie ochroniło ją przed poparzeniami.

Jednak, zanim zdołała się podnieść, mężczyzna chwycił róg jej stroju i mocno szarpnął. Magnetyczne klamry puściły. Naga, zerwała się na nogi i skoczyła w stronę włóczni leżącej na podłodze. Gdy się schyliła, Jack dopadł ją od tyłu, chwytając płonącymi dłońmi za piersi i wbijając w nią rozpalony, sterczący członek. Ich krzyki odbijały się echem od ścian chaty, stając się coraz intensywniejsze. Kobieta paliła się wewnątrz, płonęły jej pośladki, piersi, a nawet uszy, jak gdyby rozlegające się wrzaski były płynnym ogniem. Mogła się tylko turlać po podłodze, aż napotkała ścianę.

Jack opierał się na dłoniach i kolanach. Miał spalone włosy spod których wyglądała szerniała, pomarszczona i popękana skóra, miejscami odsłaniająca czerwień krwi i szarość kości. Wnętrze pomieszczenia od czasu do czasu rozświetlały błyskawice, a także ogień wciąż trawiący twarz, klatkę piersiową, brzuch i napuchnięty penis mężczyzny.

Jill wstała i pobiegła w stronę drzwi, pragnąc, aby kojący deszcz ugasił ogień i złagodził poparzenia, ale Jack zdążył ją złapać za kostkę. Upadła, znów tracąc oddech.

Mężczyzna ponownie się na nią rzucił, wydając z siebie niezrozumiałe, chrapliwe dźwięki. Czyżby miał poparzony język? Po chwili oboje utonęli w płomieniach.

Jill wydała przeszywający krzyk agonii, spadając w gwałtownie poszerzającą się dziurę prowadzącą wprost do wnętrza tego świata i serca wszechrzeczy.

17

Wisiła nad nią twarz Jacka. Nie była połączona z ciałem, ale unosiła się w powietrzu jak balon. Kręcone rudawe włosy, szeroka, przystojna twarz, jasnobłękitne oczy, wystający podbródek, pełne usta, uśmiech...

- Jack - szepnęła, a wtedy twarz się rozplynęła i zmieniła w inną, tym razem połączoną z ciałem.

Ta nowa twarz była szeroka i przystojna, o wystających kościach policzkowych, ciemnych wąskich oczach. Okalały ją proste czarne włosy.

- Piscator! - zawołała.

- Usłyszałem twoje krzyki. - Pochylił się i złapał ją za ręce. - Możesz wstać?

- Chyba tak - odpowiedziała drżącym głosem.

Podniosła się bez większych problemów. Zauważyła, że burza ustała. Deszcz także, choć woda nadal kapiała z dachu. Drzwi stały otworem, a za nimi była tylko ciemność. Chmury nadal kłębiły się na niebie. Nagle ukazała się sylwetka wzgórza, nad którym chmury się rozstąpiły, odsłaniając biały obłok kosmicznego gazu, obejmujący tysiące olbrzymich gwiazd.

Jill zdała sobie sprawę, że jest naga. Spojrzała w dół i zauważyła, że ma zaczerwienione piersi, jak gdyby stała zbyt blisko ognia. Na jej oczach zaczerwienienie powoli bladło.

- Myślałem, że się poparzyłaś - odezwał się Piscator. - Miałaś zaczerwienione i opuchnięte piersi i okolice krocza. Ale nie dostrzegłem śladów ognia.

- Ten ogień był we mnie - odpowiedziała. - Guma snów.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Ach tak! - powiedział.

Jill się roześmiała.

Pomógł jej dojść do łóżka, na którym się ułożyła z głośnym westchnieniem. Uczucie ciepła w pochwie ustąpiło. Piscator okrył kobietę ręcznikami i przyniósł jej szklanekę deszczówki z bambusowej beczki stojącej za drzwiami. Wypiła wodę, trzymając kubek jedną ręką i podpierając się na drugiej.

- Dzięki - powiedziała. - Nie powinnam była zuć gumy snów. Czułam się

przygnębiona, a kiedy jestem w takim nastroju, narkotyk daje dziwaczne efekty. Wszystko wydawało się tak realne, tak przerażające. Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że to złudzenie, choć przecież to nie mogło się wydarzyć naprawdę.

- Szansowcy używają gumy snów podczas swojej terapii, ale dokonuje się to pod ścisłą kontrolą - odpowiedział Piscator. - Wygląda na to, że narkotyk ma potencjalnie pozytywne działanie. Ale my nie zalecamy jego stosowania w początkowym stadium edukacji.

- My? - zapytała.

- *Al Ahl al-Hagg*, naśladowcy Prawdziwego - odpowiedział. - Wy, ludzie Zachodu, mówicie o nas sufi.

- Tak myślałam.

- Powinnaś, bo już o tym rozmawialiśmy - odparł Piscator.

- Kiedy? - spytała ze zdziwieniem.

- Dziś rano.

- To pewnie przez tę gumę - odrzekła Jill. - Mam dość. Nigdy więcej nie tknę tego świństwa.

Usiadła na łóżku.

- Nie powiesz o tym Firebrassowi, prawda? - spytała.

Piscator przestał się uśmiechać.

- Doświadczasz bardzo silnych zaburzeń psychicznych. Siłą umysłu wywołałaś na ciele poparzenia, stygmaty... no cóż...

- Już więcej nie będę używać gumy snów - rzekła z naciskiem Jill. - To nie pusta obietnica. Nie jestem ani uzależniona, ani psychicznie nie zrównoważona.

- Masz poważne problemy - odparł mężczyzna. - Bądź ze mną szczerą, Jill. Mogę cię tak nazywać, prawda? Czy miałaś już podobne ataki? A jeśli tak, to jak często i na ile były poważne? Ile czasu trwały? Jak długo dochodziłaś po nich do siebie?

- W ostatnim czasie nie miałam ani jednego ataku - odpowiedziała.

- Dobrze - odrzekł Piscator. - Nic nikomu nie powiem, oczywiście jeśli sytuacja się nie powtórzy. Proszę cię, abyś poinformowała mnie, gdyby tak się stało. Chyba nie chcesz narażać całej ekspedycji przez desperackie pragnienie dostania się na pokład?

- Nie chcę - odpowiedziała, choć nie przyszło jej to łatwo.

- W takim razie nie będziemy drążyć tematu - rzekł mężczyzna.

Jill ponownie uniosła się na łokciu, nie zwracając uwagi na to, że zsunął się z niej ręcznik, odsłaniając pierś.

- Posłuchaj, Piscatorze, bądź ze mną szczerzy - odezwała się do mężczyzny. - Jeżeli

otrzymasz stanowisko niższe od mojego, co wydaje się prawdopodobne, jeśli Firebrass rzeczywiście kieruje się doświadczeniem kandydatów, to czy nie będzie ci przeszkadzało, że zostaniesz moim podwładnym?

- Ani trochę - odpowiedział z uśmiechem.

Położyła się i podciągnęła ręcznik.

- Pochodzisz z kultury, w której kobiety zajmowały podporządkowaną pozycję. Właściwie traktowano je na równi z jucznymi zwierzętami. Do tego...

- To przeszłość, dawno umarła i pogrzebana - odpowiedział. - A ja nie byłem i nie jestem typowym przedstawicielem swojej kultury. Powinnaś unikać szufladkowania. W końcu właśnie tego nienawidzisz i z tym całe życie walczyłaś, nieprawdaż?

- Masz rację - odparła Jill. - Nie panuję nad tym odruchem.

- Wydaje mi się, że już raz ci to mówiłem, jednak powtarzanie bywa użyteczne w edukacji. Powinnaś nauczyć się myśleć w inny sposób.

- Ale jak mam to zrobić? - spytała.

Piscator przez chwilę się zastanawiał.

- Sama rozpoznasz, kiedy przyjdzie właściwy czas, aby spróbować, i zdecydujesz kogo wtedy powinnaś poprosić o pomoc - odpowiedział.

Jill wiedziała, że mężczyzna czeka, by poprosiła go o zostanie jej mistrzem. Nie miała najmniejszego zamiaru tego robić. Nie wierzyła w zorganizowaną religię. Chociaż sufizm w zasadzie nie jest religią, to jego wyznawcy są religijni. Nie zdarzają się wśród nich ateści.

Jill była ateistką. Pomimo faktu zmartwychwstania, nie wierzyła w Stwórcę. A przynajmniej nie wierzyła w istnienie Stwórcy osobiście zainteresowanego jej losem lub losem kogokolwiek innego. Ludzie, którzy wierzyli, że są dziećmi Boga - wbrew logice ten wszechmocny duch nieposiadający płci zawsze był rodzaju męskiego - sami się oszukiwali. Wierzący mogli być inteligentnymi ludźmi, ale mimo tego tkwili w ciemności. Część ich mózgu odpowiedzialna za odczucia religijne najwyraźniej pracowała w oderwaniu od intelektu.

Nie, to nie najlepsza analogia. W końcu ludzie korzystali z intelektu, aby wytłumaczyć sens religii, zjawiska opartego na emocjach. Często świetnie im się to udawało, jednak jej nie byli w stanie przekonać.

- Prześpij się - poradził Piscator. - Jeśli będziesz mnie potrzebować, wystarczy zawołać.

- Nie jesteś lekarzem - odparła. - Dlaczego?...

- Masz wielki potencjał - przerwał jej mężczyzna. - Czasami postępujesz nierozsądnie,

ale nie jesteś głupia, mimo że wciąż zdarza ci się oszukiwać samą siebie. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Jill.

Piscator szybko się uklonił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Miała ochotę go zawołać, ale się powstrzymała. Chciała spytać, co robił koło jej chaty, gdy usłyszał krzyki, ale było już za późno. Poza tym, aż tak bardzo jej to nie ciekawiło. Chociaż... czemu się tam znalazł? Może chciał ją uwieść? Gwałt rzecz jasna nie wchodził w rachubę. Jill była silniejsza i choć mężczyzna zapewne znał się na sztukach walki, ona także potrafiła się bronić. W dodatku, taki incydent poważnie zagroziłby jego planom zostania oficerem na sterowcu.

Nie, Piscator z pewnością nie znalazł się w pobliżu chaty Jill, aby ją uwieść bądź zgwałcić. Nie sprawiał wrażenia mężczyzny zdolnego do takich zachowań. Choć z drugiej strony, niezależnie od stwarzanych pozorów, ich wszystkich było na to stać. Ale w nim było coś pozytywnego. Nie promieniowała z niego tak zwana „negatywna energia”.

Wtedy uświadomiła sobie, że nie poprosił jej, aby opisała swoje doświadczenie. Jeśli nawet go ono ciekawiło, dobrze to ukrywał. Być może stwierdził, że gdyby chciała podzielić się z nim szczegółami, to sama by to zrobiła. Jill musiała przyznać, że Piscator zachował się z wyczuciem.

Co oznaczał ten straszliwy atak ze strony Jacka? Może wskazywał na jej strach przed nim i przed wszystkimi mężczyznami? Na lęk przed seksem z mężczyzną? Nie wierzyła w to. Ale ta iluzja, majak czy też widzenie, ujawniła w niej uczucia nienawiści i agresji, nie tylko wobec mężczyzn w ogóle i Jacka w szczególności. Co prawda Jill podpaliła napastnika, ale w pewnym sensie poparzyła i zgwałciła także samą siebie. To nie miało najmniejszego sensu. Z pewnością nie pragnęła gwałtu, nawet podświadomie. Tylko kobieta chora na umyśle mogłaby tego pożądać.

Czy nienawidziła siebie? Musiała przyznać, że czasami tak się czuła. Ale komu się to nie zdarzało?

Po dłuższym czasie zapadła w niespokojny sen. Śnił się jej Cyrano de Bergerac. Walczyli na szpady. Zataczający kółka czubek ostrza oślepił Jill, a wtedy Cyrano wytrącił jej broń z ręki i z głębokim wypadem wbił kobiecie szpadę w pępek. Spojrzała w dół ze zdziwieniem, ale gdy Francuz wycofał ostrze, z pępka nie pociekła krew. Zamiast tego pojawiła się rosnąca i twardniejąca opuchlizna, a potem z powstałego guza wysunął się maleńki sztylet.

18

Zimna woda przywróciła Burtonowi przytomność. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, i w którą stronę powinien płynąć, aby wydostać się na powierzchnię.

Istniał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Po pięciu wymachach rąk poczuł wzrost ciśnienia w uszach. Zawrócił i popłynął w odwrotną stronę, a przynajmniej taką miał nadzieję, bo tak naprawdę wydawało mu się, że przemieszcza się w poziomie. Ale po chwili ciśnienie się zmniejszyło i dokładnie w momencie, gdy zaczynało mu brakować powietrza, Anglik wynurzył się na powierzchnię.

W tej samej chwili coś uderzyło go w tył głowy, ponownie ogłuszając. Natrafił ręką na jakiś przedmiot i go chwycił. Chociaż nic nie widział we mgle, czuł, że złapany obiekt utrzymuje go na powierzchni. Masywna drewniana belka.

Wokół Burtona panował chaos. Mężczyzna słyszał krzyki, wrzaski, a gdzieś niedaleko wołanie kobiety o pomoc. Puścił belkę, gdy tylko w pełni odzyskał świadomość, i popłynął w kierunku nawołującej kobiety. Gdy się do niej zbliżył, rozpoznał głos Loghu. Po chwili już był przy niej i widział niewyraźny zarys jej twarzy.

- Spokojnie - zawołał. - To ja, Dick!

Loghu chwyciła go za ramiona i oboje poszli pod wodę. Burton uwolnił się z uścisku kobiety, odepchnął ją od siebie, po czym złapał od tyłu.

Loghu krzyknęła coś w swoim ojczystym tocharskim. Anglik odpowiedział jej w tym samym języku.

- Nie panikuj. Wszystko będzie dobrze.

- Chwyciłam się czegoś - odparła Loghu, ciężko dysząc. - Nie utonę.

Puścił kobietę i sięgnął ręką ku temu samemu przedmiotowi. Kolejna belka. Zderzenie musiało rozbić przednią część tratwy. Ale gdzie są oba okręty? No i przede wszystkim, gdzie są oni?

Prawdopodobnie wpadli w lukę powstałą po rozłączeniu belek tworzących przód tratwy. Ale w takim razie prąd powinien ich znieść na skały. Czy w jakiś sposób ominęli iglicę i teraz płynęli w dół Rzeki?

Jeżeli tak, to byli uwięzieni w płątaniu kawałków statku, które co jakiś czas w nich uderzały.

- Chyba złamałam nogę - jęknęła Loghu. - Okropnie boli.

Belka, której się trzymali, była bardzo gruba i długa, tak że we mgle nie widzieli jej końców. Musieli wbić paznokcie w twardą korę. Wiedzieli, że wkrótce zdrętwieją im palce i będą się musieli puścić.

Nagle przez mgłę przebił się głos Monata.

- Dick! Loghu! Jesteście tam?

Burton odpowiedział, ale po chwili coś otarło się o belkę, uderzając go w palce. Krzyknął z bólu i spadł do wody. Z trudem wgramolił się z powrotem, a wtedy z mgły niczym atakujący wąż wystrzeliła końcówka żerdzi i otarła Anglikowi policzek. Niewiele brakowało, a kij by go ogłuszył, a może nawet zmiażdżył mu czaszkę.

Burton chwycił żerdź i krzyknął do Monata, by ten go wyciągnął.

- Jest ze mną Loghu! - zawołał. - Nie wymachuj tak tym kijem!

Monat wciągnął Anglika na krawędź tratwy, a Kazz wyszarpnął go z wody jednym ruchem. Następnie Arkturiańczyk ponownie zanurzył żerdź w ciemności i po chwili wyciągnął także Loghu. Kobieta była ledwo przytomna.

- Znajdź jakieś ręczniki i owiń ją nimi, żeby nie traciła ciepła - polecił Burton Kazzowi.

- Się robi, Burton-*naq* - odpowiedział Neandertalczyk, po czym odwrócił się i zniknął we mgle.

Burton usiadł na mokrej i gładkiej powierzchni tratwy.

- Gdzie są pozostali? - spytał. - Czy Alicji nic się nie stało?

- Wszyscy są tutaj poza Owenoną - odpowiedział Monat. - Alicja chyba ma pęknięte żebra, a Frigate uszkodził sobie kolano. Statek poszedł na dno.

Zanim Burton doszedł do siebie po tej wiadomości, zobaczył zbliżające się pochodnie. Niosło je około tuzina ludzi - niskich, mocno opalonych Białych o dużych, zakrzywionych nosach. Przybysze byli od stóp do głów odziani w różnokolorowe ręczniki. Ich jedyną bronią stanowiły krzemienne noże, teraz tkwiące w pochwach.

Mężczyzna idący na czele grupy odezwał się w języku, który Burton rozpoznał jako jeden ze starożytnych języków semickich. Anglikowi udało się zrozumieć kilka słów. Odpowiedział w esperanto, a rozmówca się dostosował.

Nastąpiła szybka wymiana zdań. Okazało się, że mężczyzna na wieżycy zasnął, gdyż był pijany. Gdy tratwa roztrzaskała się o wyspę, runął w dół, ale przeżył upadek.

Drugi członek załogi, który na krótko przed zderzeniem wspiał się na wieżyczkę, nie miał tyle szczęścia i skręcił kark. Natomiast pilot został wyrzucony za burtę przez

rozwścieczonych towarzyszy.

Głośne odgłosy miażdżenia, które Burton usłyszał tuż przed zderzeniem, były spowodowane kolizją wystającej przedniej części tratwy z platformami cumowniczymi, a następnie ze skalistą plażą. To zniszczyło połowę dziobu i zerwało skórzane przewiązy. Dziób tratwy przyjął większość uderzenia, chroniąc jej pozostałą część przed rozpadnięciem.

Fragment północno-zachodniej strony tratwy oddzielił się od reszty i został wepchnięty na *Hadziego II*. Sterta ciężkich belek zmiażdżyła dolną część rufy statku. Gdy przednia część okrętu wpadła do wody, część tylna, rozbita potężnym uderzeniem, spadła na belki.

Impet zderzenia wyrzucił Burtona do przodu i cisnął nim na pokład, z którego Anglik zsunął się do wody.

Załoga miała mnóstwo szczęścia, gdyż nikt nie zginął ani nie został poważnie ranny, chociaż jak na razie nie odnaleziono Owenony.

Kilka spraw należało koniecznie wyjaśnić. W tej chwili jednak trzeba było zająć się rannymi. Burton przedostał się do pozostałych, leżących na pokładzie w świetle pochodni. Alicja wyciągnęła do niego ręce i krzyknęła, gdy ją objął.

- Nie ściskaj tak mocno - syknęła. - Boli mnie bok.

Do Burtona podszedł jeden z mężczyzn i poinformował Anglika, że został im przydzielony do pomocy. Załoga tratwy niosła obie kobiety, a Frigate kuśtykał wspierany przez Kazza i głośno jęczał. Zrobiło się jaśniej i polepszyła się widoczność. Po przejściu około sześćdziesięciu metrów zatrzymali się przed dużą bambusową chatą z dachem z olbrzymich liści drzewa żelaznego. Budynek przytwierdzono do tratwy za pomocą skórzanych lin przywiązanych do słupków powtykanych w otwory wywiercone w pokładzie.

W chatce znajdowała się kamienna platforma, na której płonął niewielki ogień. Rannych ułożono na bambusowych łózkach obok niej. Mgła zaczynała się rozrzedzać. Gdy zrobiło się jaśniej, poderwał ich nagły dźwięk przypominający wystrzał z tysiąca dział. Niezależnie od tego, jak często go słyszeli, zawsze ich zaskakiwał.

Kamienie obfitości plunęły energią.

- No to sobie nie pojemy - odezwał się Burton.

Gwałtownie podniósł głowę z posłania.

- A co z rogami obfitości? Czy ktoś je uratował?

- Nie - odpowiedział Monat. - Straciliśmy je razem ze statkiem - Twarz wykrzywił mu grymas smutku i Arkturiańczyk zapłakał. - Owenona chyba utonęła!

Popatrzyli na siebie w blasku płomieni. Wciąż byli bladzi po dramatycznych

przejściach, ale teraz pobledli jeszcze bardziej.

Niektórzy głośno jęknęli. Burton tylko zaklął. Jemu także było żal Owenony, ale w tej chwili najbardziej irytowało go, że wraz z całą załogą stali się żebrakami zdanymi na łaskę innych. Lepiej umrzeć niż stracić róg obfitości. Kiedyś w podobnej sytuacji można było popełnić samobójstwo i wiele osób się na to decydowało. Następnego dnia człowiek budził się daleko od swoich bliskich, ale za to z własnym źródłem jedzenia i przedmiotów zbytku.

- No cóż - odezwał się Frigate. - Możemy się żywić rybami i chlebem z żołądźi.

- Do końca życia? - spytał z przekąsem Burton. - Czyli być może przez całą wieczność?

- Ja tylko próbuję myśleć pozytywnie - odparł Amerykanin. - Choć w naszej sytuacji to niełatwe.

- Może skupimy się na bardziej naglących sprawach? - rzekła Alicja. - Chciałabym, żeby ktoś zajął się moimi pękniętymi żebrami, a biedna Loghu z pewnością nie miałaby nic przeciwko, gdyby ktoś nastawił jej złamaną kość.

Członek załogi, który przyprowadził ich do chatki, zorganizował pomoc dla rannych. Gdy wykonano niezbędne zabiegi i złagodzone ból pacjentów za pomocą gumy snów, mężczyzna wyszedł na pokład. Burton, Kazz i Monat podążyli za nim. Słońce już niemal całkowicie wypaliło mgłę. Za kilka minut zniknie ostatni ślad po szarym całunie.

To, co zobaczyli, prezentowało się tragicznie. Spiczasty dziób tratwy rozpadł się na kawałki pod wpływem uderzenia w skalistą plażę, a jego lewa strona roztrzaskała się o kamienną iglicę. Platformy cumownicze i łodzie Ganopo zostały zmiażdżone i pogrzebane pod ciężkimi belkami piętrzącymi się na brzegu. Główna część tratwy wjechała na trzynaście metrów w głąb lądu. Kilkuset członków załogi stało na krawędzi wraku, energicznie dyskutując, ale nie podejmując żadnych konstruktywnych działań.

Na lewo od nich prąd Rzeki ciskał belkami o pionową ścianę iglicy. Nigdzie nie było śladu *Hadziego II* ani Owenony. Burton stracił nadzieję na odzyskanie chociaż kilku rogów obfitości.

Przyjrzał się tratwie. Chociaż straciła przednią część, jej rozmiary wciąż robiły wrażenie. Musiała mieć co najmniej dwieście metrów długości i ponad sto dwadzieścia metrów szerokości. Jej rufa, podobnie jak dziób, miała kształt litery V.

Na środku pokładu Anglik zobaczył duży, okrągły, czarny przedmiot, który dostrzegł ponad mgłą, zanim doszło do zderzenia. Była to przysadzista, brzydka głowa bożka, wysoka na ponad dziewięć metrów. Cała figura zajmowała sporą część tratwy. Bożek siedział po turecku, a jego plecy zdobił grzebień przypominający wyrostki na grzbiecie jaszczurki.

Demoniczna głowa miała błękitne, wytrzeszczone oczy i wykrzywione usta odsłaniające wielkie białe zęby jak u rekina.

Burton przypuszczał, że w szkarłatne usta posągu wstawiono zęby pochodzące z paszczy rzeczno smoka.

Na środku wielkiego brzucha bożka wykonano okrągły otwór. Wewnątrz znajdowało się kamienne palenisko, w którym płonęła niewielka sterta drewna. Dym wznosił się wewnątrz wydrążonej rzeźby i wylatywał uszami bóstwa przypominającymi uszy nietoperza.

Przed posągiem, blisko krawędzi tratwy, leżała wieżyczka, której podstawa nie wytrzymała impetu zderzenia. Obok wciąż spoczywało ciało martwego mężczyzny.

Na pokładzie stało kilka sporych budynków otoczonych mniejszymi chatkami. Kilka drobniejszych budowli zawałiło się podczas kolizji, a jeden duży dom niebezpiecznie się przechylił.

Burton naliczył dziesięć wysokich masztów z osprzętem rejowym i dwadzieścia niższych z ożaglowaniem skośnym. Wszystkie żagle zostały zwinięte.

Wzdłuż krawędzi tratwy przymocowano kilka łodzi różnych rozmiarów.

Za posągiem bożka stał największy z budynków. Anglik podejrzewał, że znajduje się tam dom wodza lub świątynia, a może i jedno, i drugie.

Nagle odezwały się drewniane trąbki i bębny. Widząc, że ludzie ruszają w stronę wielkiego domu, Burton postanowił do nich dołączyć. Tłum zebrał się pomiędzy posągiem i budynkiem, Anglik stanął na końcu, skąd mógł obserwować ceremonię, a zarazem przyjrzeć się bożkowi. Podrapał rzeźbę krzemiennym nożem i odkrył, że wykonano ją z gliny i pomalowano czarną farbą. Zastanawiał się, skąd twórcy wzięli farbę do pomalowania tułowia, oczu i ust. Ku utrapieniu artystów, barwniki były niezwykle rzadko spotykane w Świecie Rzeki.

Wódz, bądź też główny kapłan, przewyższał pozostałych wzrostem, choć i tak był o pół głowy niższy od Burtona. Miał na sobie pelerynę i kilt, zdobione niebieskimi, czarnymi i czerwonymi paskami, oraz dębową koronę o sześciu wierzchołkach. W prawej dłoni trzymał długą dębową laskę pasterską, którą energicznie wymachiwał. Przemawiał z platformy ustawionej przy wejściu do budynku. W jego czarnych oczach płonął ogień, a z ust wydobywał się gwałtowny potok słów, których Burton nie rozumiał. Po mniej więcej półgodzinie mężczyzna zszedł z platformy, a tłum się rozdzielił i ruszył do pracy.

Niektórzy udali się na brzeg, aby uprzętnąć belki, które oderwały się od dziobu tratwy i spiętrzyły na pokładzie. Inni poszli na prawą stronę rufy, gdzie znajdował się punkt zamocowania spiczastej końcówki do głównej części tratwy. Włożyli olbrzymie wiosła w

dulki, po czym zaczęli wiosłować w rytm bicia bębna, niczym galernicy.

Wyglądało na to, że starają się obrócić rufę, by prąd Rzeki popchnął jedną stronę tratwy i odwrócił cały statek. Dzięki temu tratwa mogłaby bez problemu odbić od wyspy.

Taki przynajmniej mieli plan, jednak wykonanie zawiodło. Wyglądało na to, że najpierw trzeba uprzętnąć stertę belek, a następnie za pomocą dźwigni zsunąć przednią część tratwy z brzegu.

Burton chciał porozmawiać z przywódcą przybyszy, ale ten przeszedł na drugą stronę posągu, gdzie teraz energicznie bił pokłony i śpiewał. Anglik wiedział z doświadczenia, że przerywanie religijnych rytuałów bywa niebezpieczne.

Przespacerował się po pokładzie, przyglądając się czółnom, canoe i małym łodziom żaglowym przymocowanym wzdłuż barki na platformach i pochylniach. Następnie rzucił okiem na większe budynki. Większość była zamknięta od zewnątrz. Uważając, aby nikt go nie zobaczył, Burton wszedł do kilku z nich.

W dwóch budynkach mieściły się magazyny suszonej ryby i chleba z żołądzi. W jednym składowano dużą ilość broni. W kolejnym Anglik znalazł warsztat zawierający dwa nieukończone czółna oraz sosnowy szkielet canoe, który miał dopiero zostać obciążony rybą skórą. W piątym budynku także znajdował się magazyn, a w nim pudła pełne dębowych pierścionków przeznaczonych na handel, rogi i spiralne kości rogaczy, sterty rybich i ludzkich skór, bębny, bambusowe flety, harfy o strunach wykonanych z wnętrzości rogacza, czaszki przekształcone w kielichy, liny z włókien i rybich skór, suszone jelita rzecznych smoków świetnie nadające się do produkcji żagli, kamienne lampy tranowe, pudła pełne szminek, farb do twarzy, marihuany, papierosów, cygar i zapalniczek (zapewne również przeznaczone na handel lub podarunki), około pięćdziesięciu rytualnych masek oraz wiele innych przedmiotów.

Gdy Burton wszedł do szóstego budynku, szeroko się uśmiechnął. Tutaj składowano rogi obfitości. Wysokie szare cylindry stały na drewnianych półkach, czekając na swoich właścicieli. Naliczył trzysta pięćdziesiąt rogów, po jednym na każdego z około trzystu dwudziestu członków załogi oraz trzydzieści dodatkowych pojemników.

Kilkuminutowa inspekcja wykazała, że wszystkie cylindry poza tą trzydziestką zostały podpisane. Do ich rączek przywiązano kawałkami sznurka gliniane tabliczki z pismem klinowym, na których zapewne znajdowały się imiona właścicieli. Burton przyjrzał się niektórym napisom. Przypominały mu pismo, które widział na fotografiach babilońskich i asyryjskich dokumentów.

Spróbował otworzyć kilka z podpisanych pojemników, ale mu się to nie udało. W

każdym rogu obfitości znajdował się mechanizm, który umożliwiał dostanie się do środka jedynie prawowitemu właścicielowi. Istniało kilka teorii dotyczących funkcjonowania tego mechanizmu. Jedna z nich głosiła, że cylinder wyczuwa pole elektryczne danej osoby i tylko w przypadku zgodności z zapisanym wzorem uruchamia mechanizm otwierający wieczko.

Jednakże niepodpisane rogi obfitości działały na zupełnie innej zasadzie. Niektórzy nazywali je „bezpiecznymi rogami”.

Gdy ponad trzydzieści sześć miliardów ludzi zmarłych na Ziemi przebudziło się nad brzegami Rzeki, każdy znalazł przy sobie swój osobisty róg obfitości. Dodatkowo, jeden taki pojemnik znajdował się na powierzchni każdego z kamieni obfitości. Zapewne w ten sposób ci, którzy dokonali wskrzeszenia, pragnęli pokazać ludziom, na jakiej zasadzie działają podarowane cylindry.

Każdy z kamieni plunął grzmotem i światłem, a kiedy zapadła cisza, zaciekawieni ludzie wspięli się na powierzchnię grzybkształtnych budowli i przyjrzeni się tkwiącym tam pojemnikom. Podnieśli wieczka i wyjęli zawartość. Cud nad cuda! W rogach obfitości znajdowały się obręcze, na których stały talerze i kubki pełne jedzenia, napojów i innych atrakcyjnych przedmiotów.

Przed kolejnym wylądowaniem każdy umieścił swój róg obfitości w jednym z otworów na powierzchni kamienia i otrzymał wszystko, czego potrzebował, a nawet więcej, choć i tak wielu narzekało na zbyt małe zróżnicowanie darów. Taka już ludzka natura.

Z czasem „bezpieczne” cylindry stały się niezwykle cenne. Aby je zdobyć, ludzie kradli, zastraszali się nawzajem, a nawet zabijali. Ten, kto posiadał własny róg obfitości oraz bezpieczny pojemnik, otrzymywał dostęp do dwukrotnie większych porcji jedzenia i przedmiotów zbytku.

Burton nigdy nie posiadał takiego pojemnika, a teraz leżało przed nim trzydzieści bezpiecznych rogów obfitości.

Problem zaginionych cylindrów został rozwiązany, jeśli tylko Anglikowi uda się nakłonić wodza do podzielenia się z załogą *Hadziego II*. W końcu to ta przeklęta tratwa sprawiła, że Burton i jego towarzysze stracili statek i swoje rogi obfitości. Należała im się jakaś rekompensata.

Jak dotąd traktowano ich dobrze. Podczas podróży spotkali społeczności, których członkowie w podobnej sytuacji wyrzuciliby ich za burtę, uprzednio gwałcąc kobiety, a prawdopodobnie także i mężczyzn.

Jednakże ta gościnność nie musi trwać wiecznie. Nie tak łatwo zdobyć bezpieczne rogi obfitości. Być może te, na które teraz patrzył Burton, zostały komuś ukradzione. Niezależnie

od tego, w jaki sposób załoga tratwy weszła w posiadanie pojemników, z pewnością pragnęła je zachować na wyjątkowe sytuacje, na przykład jako zastępstwo zgubionych rogów lub wykup dla wyjątkowo silnej i wrogiej grupy napotkanej po drodze.

Burton wyszedł z budynku, zamknął za sobą drzwi i ponownie zaczął spacerować po pokładzie, zatopiony w myślach. Jeśli poprosi wodza o podarowanie im siedmiu pojemników, może się spotkać z odmową. To wzmoże czujność gospodarzy, którzy zapewne wystawią straż wokół magazynu. Nie mówiąc już o tym, że załoga zapewne nie będzie się czuła swobodnie w towarzystwie potencjalnych złodziei i poprosi ich, niekoniecznie w grzeczny sposób, o opuszczenie tratwy.

Przechodząc obok posągu bożka, Burton zauważył, że wódz już zakończył modły i udał się w stronę wyspy. Najwyraźniej miał zamiar nadzorować prace porządkowe.

Anglik postanowił poprosić go o rogi obfitości od razu. Nie widział sensu odkładania tej rozmowy.

Człowiek, który siedzi na tyłku, przygniata swoje szczęście.

19

Wódz miał na imię Mutu-Sha-Ili, co oznaczało „boży człowiek”, ale dla ludzi mówiących w esperanto był Metusaelem, a dla osób anglojęzycznych Matuzalemem.

Przez jedną wariacką chwilę Burton zastanawiał się, czy rzeczywiście nie spotkał słynącego z długowieczności starotestamentowego patriarchy. Ale Metusael okazał się Babilończykiem, który przed pojawieniem się w Świecie Rzeki nigdy nie słyszał o Hebrajczykach. Na Ziemi zajmował się inspekcją spichlerzy, tutaj został założycielem i przywódcą nowej religii oraz kapitanem wielkiej tratwy.

- Pewnej nocy, wiele lat temu, gdy na zewnątrz szalała burza, spałem na swym posłaniu - zaczął Metusael. - A wtedy we śnie przyszedł do mnie bóg o imieniu Rushhub. Nigdy o nim nie słyszałem, ale on powiedział mi, że niegdyś był potężnym bogiem moich przodków. Ich potomkowie odwrócili się od niego i za mojego życia czciła go jedynie mała wioska na krańcach królestwa. Ale bogowie nie umierają, choć mogą przyjmować inne formy i nowe imiona, a nawet pozostawać bezimienni, i Rushhub przez liczne pokolenia żył w snach wielu ludzi. Teraz postanowił opuścić krainę snów. Dlatego też powiedział mi, że muszę się stać nauczycielem jego kultu. Muszę zebrać grupę wiernych, zbudować olbrzymią tratwę i zabrać na niej swój lud w dół Rzeki. Po wielu latach, a może nawet kilku pokoleniach według ziemskiej rachuby, dotrzemy do krańca Rzeki, gdzie wpada ona do otworu u podnóża gór opasujących ten świat. Tam wkroczymy do podziemnej krainy, olbrzymiej i mrocznej jaskini, a następnie wyjdziemy na powierzchnię nad brzegiem jasnego morza otaczającego ląd, gdzie będziemy żyć wiecznie w szczęściu i pokoju wraz z bogami i boginiami. Ale zanim wyruszymy, musimy wykonać posąg Rushhuba, ustawić go na tratwie i oddawać mu cześć jako symbolicznemu wizerunkowi naszego boga. Tak więc nie mów, jak wielu przed tobą, że jesteśmy bałwochwalcami, którzy myślą fizyczny symbol z ciałem bóstwa.

Burton doszedł do wniosku, że ma do czynienia z szaleńcem, ale powstrzymał się od powiedzenia tego na głos. Razem z załogą wpadł w ręce fanatyków. Na szczęście bóg Metusaela zabronił swoim wyznawcom krzywdzenia kogokolwiek w sytuacjach innych niż obrona życia. Mimo to Anglik z doświadczenia wiedział, że bardzo łatwo rozszerzyć zakres tego pojęcia, dostosowując je do interesów danej grupy.

- Rushhub powiedział mi, że zanim wkroczymy do podziemnego świata, musimy rozbić

figurę bożka na małe kawałki i wrzucić je do Rzeki - kontynuował kapłan. - Nie powiedział, czemu mamy to uczynić. Zanim dotrzemy do jaskini, powinniśmy to sami zrozumieć.

- To pięknie - odparł Burton. - Ale jesteście odpowiedzialni za zniszczenie naszego statku. Ponadto, straciliśmy swoje rogi obfitości.

- Bardzo mi przykro - odpowiedział Metusael. - Niestety, niewiele mogę dla was uczynić. To, co was spotkało, to wola Rushhuba.

Burton miał ochotę uderzyć mężczyznę w twarz, ale nad sobą zapanował.

- Troje moich ludzi jest w stanie uniemożliwiającym przetransportowanie ich na większą odległość. Czy mógłbyś przynajmniej dać nam łódź, abyśmy dopłynęli do brzegu?

Matusael spiorunował Anglika wzrokiem, po czym wskazał palcem wyspę.

- Oto brzeg i kamień z jedzeniem - rzekł. - Dopilnuję, by wasi ranni zostali tam umieszczeni. Damy wam trochę suszonej ryby i chleba z żołądź. Tymczasem nie męcz mnie, proszę, kolejnymi żądaniami, gdyż mam dużo pracy. Musimy ruszać w dalszą drogę. Rushub nakazał, abyśmy pod żadnym pozorem nie opóźniali naszej wędrówki. Jeśli się nie pospieszymy, możemy zastać wrota do krainy bogów bezpowrotnie zamknięte. Wtedy pozostanie nam tylko bezsilna rozpacz i pokuta za brak wiary i determinacji.

Burton uznał, że w tej sytuacji każde podjęte przez niego działanie będzie usprawiedliwione. Ci ludzie mieli wobec niego dług, a on sam nie był im nic winien.

Metusael się oddalił. Nagle gwałtownie się zatrzymał i wskazał palcem Monata wychodzącego z chaty.

- Co to takiego? - spytał.

Burton zbliżył się do wodza.

- To mężczyzna z innego świata - wyjaśnił. - Wraz ze swoimi towarzyszami przybył na Ziemię z odległej gwiazdy. Wydarzyło się to ponad sto lat po mojej śmierci i około czterech tysięcy lat po twojej. Przybył w pokoju, ale Ziemianie odkryli, że jest w posiadaniu... leku, który może powstrzymać starzenie. Zażądali, by kosmita wyjawiał im ten sekret, ale on odmówił. Stwierdził, że mieszkańcy Ziemi mają wystarczająco dużo problemów z przeludnieniem. Poza tym uważał, że człowiekowi nie powinien przysługiwać przywilej wiecznego życia, jeśli nie jest on tego wart.

- W takim razie się mylił - odparł Metusael. - Bogowie dali nam możliwość wiecznego życia.

- Owszem, w pewnym sensie - odpowiedział Burton. - Choć według twojej religii skorzystają z niej tylko nieliczni, którzy znajdują się na tej tratwie. Czy mam rację?

- Wiem, że być może ciężko to zaakceptować - rzekł Metusael. - Jednak, kimże

jesteśmy, by kwestionować motywy bogów?

- A jednak faktem pozostaje, że poznajemy wolę bogów za pośrednictwem ludzi, którzy przemawiają w ich imieniu - ciągnął Burton. - A nigdy jeszcze nie spotkałem na swojej drodze człowieka, którego motywy i postępowanie mógłbym w pełni zaakceptować.

- Tym gorzej to o tobie świadczy - odparł kapłan.

- Poza tym - rzekł Anglik z uśmiechem mającym ukryć złość - Arkturiańczycy, czyli Monat i jego towarzysze, zostali zaatakowani przez Ziemian. Wszyscy zginęli, ale przedtem Monat uśmiercił niemal wszystkich mieszkańców naszej planety.

W tym miejscu przerwał. Jak wytłumaczyć temu ignorantowi, że Arkturiańczycy pozostawili na orbicie okołoziemskiej swój statek-matkę, a Monat wysłał do niego sygnał radiowy, który zainicjował wystrzelenie promienia energii o częstotliwości powodującej śmierć istot ludzkich?

Sam nie do końca to wszystko rozumiał, gdyż w jego czasach nie istniały radiostacje i statki kosmiczne.

Metusael wyglądał na zszokowanego. Popatrzył na Monata szeroko otwartymi oczami.

- Czy to wielki czarownik? Zabił tych ludzi swoją magią? - spytał.

Przez chwilę Burton zastanawiał się nad wykorzystaniem tego kłamstwa. Być może udałoby mu się zastraszyć wodza i zmusić go do wydania im łodzi i bezpiecznych rogów obfitości. Jednak choć Metusael pozostawał ignorantem i szaleńcem, to nie brakowało mu inteligencji. Z pewnością spytałby, czemu taki potężny czarownik jak Monat nie uchronił *Hadziego II* przed zniszczeniem, a swoich kompanów przed odniesieniem obrażeń. Mógłby także spytać, po co Burtonowi łódź, skoro Monat z pewnością jest w stanie dać mu moc latania.

- Tak, zabił ich - odpowiedział Anglik. - A potem, podobnie jak my, obudził się na brzegu Rzeki, nie wiedząc dlaczego i w jaki sposób. Jego magiczne przedmioty pozostały na Ziemi. Pewnego dnia znajdzie materiały, z których wykona nowe artefakty, odzyska moc i stanie się równie potężny jak kiedyś. Wtedy w sercach tych, którzy mu się przeciwstawiali i z niego drwili, zagości strach.

Niech Metusael to sobie dobrze przemyśli.

Wódz tylko się uśmiechnął.

- Do tego czasu... - odpowiedział.

Burton zrozumiał. Do tego czasu trawia już dawno osiągnie cel.

- Poza tym, Rushub ochroni swój lud - dodał kapłan. - Bóg jest potężniejszy od człowieka, nawet od demona z gwiazd.

- Czemu więc Rushub nie zapobiegł tej katastrofie? - spytał Anglik.

- Nie wiem, ale jestem pewien, że przyjdzie do mnie we śnie i mi to wyjaśni. Nic nie przydarza się ludowi Rushuba bez przyczyny.

Metusael odszedł. Burton wrócił do chaty, by sprawdzić, jak się czuje jego załoga. Właśnie miał wejść do budynku, gdy w drzwiach stanął Kazz. Neandertalczyk pozbył się wszystkich części stroju poza kiltem, odsłaniając silnie owłosione, przysadziste i muskularne ciało. Jego głowa stale się pochylała na szyi grubej jak u byka. Kazz miał niskie i spadziste czoło, podłużną i wąską czaszkę oraz szeroką twarz z perkatym nosem. Grube łuki brwiowe osłaniały przenikliwe ciemnobrązowe oczy, a wystające szczęki wypychały do przodu wąskie usta. W masywnych dłoniach Kazz mógłby miażdżyć kamienie.

Pomimo przerażającego wyglądu, po włożeniu ubrania Neandertalczyk byłby w stanie bez problemu wmieszać się w tłum w londyńskiej dzielnicy East End za czasów Burtona.

Pełne imię Kazza brzmiało *Kazzintuitruaabemss*, co w jego ojczystym języku oznaczało „Człowiek-Który-Zabił-Zwierza-O-Długich-Białych-Zębach”.

- Co jest, Burton-*naq*? - spytał Kazz.

- Ty i Monat, wejdźcie ze mną do chaty.

W środku Burton spytał pozostałych, jak się czują. Alicja i Frigate odpowiedzieli, że mogą chodzić, ale nie biegać. Stan Loghu był wszystkim dobrze znany. Zwalczała ból za pomocą gumy snów, ale na odzyskanie sił potrzebowała jeszcze czterech lub pięciu dni. Tyle czasu w Świecie Rzeki zrastały się kości. Nikt nie znał przyczyny niesamowitego tempa gojenia się urazów, być może sekret tkwił w otrzymywanym pożywieniu.

Niezależnie od przyczyny, złamane kości błyskawicznie się zrastały, zęby i oczy odrastały, a zerwane mięśnie i poparzone ciało szybko wracały do zdrowia. Szybkość tych procesów początkowo szokowała mieszkańców Doliny, lecz z czasem uznali je za coś naturalnego.

Burton zdążył przedstawić załodze sytuację, gdy w chacie pojawiło się dwunastu mężczyzn. Ich kapitan poinformował Anglika że dostał rozkaz przetransportowania wszystkich pacjentów na wyspę. Dwóch mężczyzn ułożyło Loghu na noszach i wyniosło ją z budynku. Za nimi pokuśtykał Frigate, wspierany przez Monata i Kazza. Z niemałym trudem przedostali się przez sterty belek i dotarli na brzeg, gdzie już czekali na nich Ganopo, wściekli, lecz bezsilni.

Strażnicy zabrali Loghu do jednej z chat, po czym odeszli. Jednak przedtem ich kapitan ostrzegł Burtona, żeby on i jego załoga trzymali się z dala od tratwy.

- A jeśli nie? - spytał Anglik.

- Wtedy zostaniecie wrzuceni do Rzeki - odpowiedział kapitan. - Być może z kamieniami przywiązanymi do stóp. Wszechmocny Rushub nakazał nam, abyśmy nie przelewali krwi, lecz nie wspominał o zakazie topienia wrogów.

Na krótko przed popołudniowym wylądowaniem energii z kamieni obfitości, Burtonowi dostarczono zapas suszonej ryby i chleba z żółdzi.

- Metusael mówi, że to uchroni was przed śmiercią głodową, dopóki nie uda się wam złapać kolejnych ryb i upiec więcej chleba.

- Nie omieszkam podziękować mu osobiście - rzekł Burton do kapitana. - Choć obawiam się, że nie spodoba mu się to, jak wyrażę swą wdzięczność.

- Czy to tylko czcze pogroźki, czy rzeczywiście planujesz zemstę? - spytał Monat.

- Zemsta nie jest w moim stylu - odparł Burton. - Zamierzam jednak zadbać o to, abyśmy nie zostali bez rogów obfitości.

Minęły dwa dni. Przednia część tratwy wciąż tkwiła uwięziona na plaży, uprzątnięto jednak sterty belek i morderczym nakładem sił przesunięto kolosa o kilka metrów w stronę wody. Cała załoga tratwy, poza wodzem, ustawiła się przy jej dziobie i bez wytchnienia pracowała za pomocą cienkich drewnianych dźwigni. Od rana do nocy było słychać rytmicznie powtarzane okrzyki w języku babilońskim: „Pchać! Raz, dwa, trzy, pchać!”.

Każde wspólne pchnięcie przesuwało tratwę zaledwie o milimetr. Często zdarzało się, że kamienie powkładane między tratwę a skalistą plażę wyślizgiwały się i fale wpychały gigantyczną konstrukcję z powrotem na brzeg, niwecząc cały wysiłek.

Wiatr wiał w kierunku przeciwnym do prądu Rzeki, więc rozwinięto żagle. Metusael miał nadzieję, że wiatr wspomogę pracę załogi, ale skalna iglica skutecznie zasłaniała tratwę przed większością podmuchów.

Do poranka trzeciego dnia tratwę przesunięto zaledwie o metr. W takim tempie praca mogła potrwać jeszcze tydzień.

Tymczasem Ganopo nie marnowali czasu. Nie mogąc pożyczyć łodzi od Metusaela, wysłali czterech najsilniejszych pływaków. Ci dotarli na prawy brzeg Rzeki, gdzie wyjaśnili sytuację tubylcom i pożyczyli małą żaglówkę. Powrócili wraz z flotą złożoną z dwudziestu łodzi wypełnionych najlepszymi wojownikami lokalnego państwa. Wódz przybyszy, wysoki Indianin Shawnee, zbadał sytuację, po czym odbył naradę z Ganopo, w której wzięli udział także Burton i Monat.

Naradę wypełniły długie rozmowy, narzekania Ganopo, mnóstwo dobrych rad oraz przemowa Burtona. Anglik poinformował pozostałych o odkrytych magazynach wypełnionych atrakcyjnymi przedmiotami, nie wspominając ani słowem o bezpiecznych

rogach obfitości, i zasugerował, że Babilończycy mogą podzielić się zapasami, jeśli tubylcy pomogą im w uwolnieniu tratwy.

Wodzowi Shawnee spodobał się ten pomysł. Porozmawiał z Metusaelem, który jednak grzecznie odmówił, twierdząc, że załoga nie potrzebuje pomocy.

Niezadowolony wódz Shawnee powrócił na wyspę.

- Te orle nosy nie myślą rozsądnie - rzekł do pozostałych. - Czy nie wiedzą, że możemy im wszystko zabrać bez pytania o zgodę? Zniszczyli platformy cumownicze i łodzie Ganopo i nie dali im nic w zamian. Zniszczyli okręt nieznajomych, na zbudowanie którego ci poświęcili rok oraz wiele tytoniu i alkoholu, wymieniając je na drewno. Doprowadzili do śmierci jednego z członków załogi oraz do zgubienia rogów obfitości, a bez nich człowiek jest trupem. A co oferują jako rekompensatę? Nic! Kpią z Ganopo i nieznajomych. To źli ludzie i należy ich ukarać.

- Nie mówią już o tym, ile pożytecznych przedmiotów może przy okazji zdobyć wódz i jego koledzy - szepnął po angielsku Burton do Monata.

- Co powiedziałaś? - spytał Shawnee.

- Mówiłem mojemu przyjacielowi, człowiekowi z gwiazd, że posiadasz wielką mądrość i potrafisz odróżnić dobro od zła - odparł Burton. - To, co zrobisz z orlimi nosami, z pewnością okaże się dobre i sprawiedliwe, a wielki duch będzie ci sprzyjał.

- Twój język wiele mówi w tych kilku słowach - zauważył wódz.

- Język mojego ludu jest szczerzy - odrzekł Anglik.

Niech Bóg wybaczy mi tę uwagę, pomyślał Burton.

Choć Shawnee nie powiedział, co zamierza zrobić, Anglik był pewien, że Indianin planuje atak, być może nawet tej nocy.

Burton zebrał resztę załogi w swojej chacie.

- Nie bądźcie tacy ponurzy - rzekł do nich. - Myślę, że uda nam się zdobyć rogi obfitości i zrzucić brzemię żebraków. Ale musimy działać, i to jeszcze dziś w nocy. Co wy na to, Loghu, Pete, Alicjo? Czujecie się gotowi? Uprzedzam, że może być ostro.

Wszyscy troje odparli, że już mogą chodzić, ale bieganie absolutnie nie wchodzi w grę.

- Dobrze - odrzekł Anglik. - Oto, co zrobimy, jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko temu. A nawet jeśli macie, to i tak nie zmienię planów.

20

Zjedli wieczorny posiłek, choć ryba i chleb wywołały w nich obrzydzenie, jeszcze zanim włożyli je do ust. Na szczęście Ganopo podarowali im kilka papierosów i zaoferowali swobodny dostęp do alkoholu z porostów. Przed udaniem się na spoczynek, Burton wybrał się na przechadzkę po plaży. Babilończycy siedzieli w domach lub stali przed nimi w niewielkich grupach i rozmawiali. Zmęczyła ich trzydniowa frustrująca harówka i należało się spodziewać, że wkrótce położą się spać, oczywiście oprócz strażników rozstawionych wzdłuż tratwy, którzy zapalą sosnowe pochodnie nasączone tranem i będą patrolować najbliższą okolicę, czekając na przybycie kolejnej zmiany.

Najliczniejsze grupy strażników ustawiono koło przedniej części tratwy. Metusael z pewnością chciał się upewnić, że ludzie Burtona nie spróbują zakraść się do magazynów. Niscy, ciemnoskórzy mężczyźni uważnie obserwowali Anglika spacerującego obok ich posterunków. Burton uśmiechnął się do nich i im pomachał. Nie odpowiedzieli na pozdrowienie.

Po sprawdzeniu sytuacji Burton udał się do chaty. Po drodze napotkał wodza Ganopo, który siedział przed swoim domem i palił fajkę z korzenia wrzośca, jeden z luksusowych przedmiotów raz do roku dostarczanych przez rogi obfitości.

Anglik usiadł obok Indianina.

- Wydaje mi się, wodzu, że dziś w nocy załogę tratwy może spotkać spora niespodzianka - rzekł Burton.

Wódz wyjął fajkę z ust.

- Co masz na myśli? - spytał.

- Możliwe, że wódz ludu mieszkającego na północnym brzegu planuje atak na tratwę - odpowiedział Anglik. - Czy słyszałeś cokolwiek na ten temat?

- Nic a nic - odparł Indianin. - Wielki wódz Shaawanwaaki nie zdradza mi swoich planów. Jednakże wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby on i jego wojownicy wpadli w gniew z powodu krzywd doznanych przez Ganopo ze strony orlich nosów.

- A gdyby mieli się zdecydować na atak, to kiedy najprawdopodobniej by on nastąpił? - spytał Burton.

- W dawnych czasach, gdy Shaawanwaaki walczyli z ludem zamieszkującym

południowy brzeg, zwykle przekraczali Rzekę tuż przed świtem - odpowiedział wódz. - Wtedy mgła nadal była gęsta i napastnicy pozostawali niewidoczni. Gdy wychodziło słońce i przepędzało chmury, Shaawanwaaki atakowali.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Burton. - Choć martwi mnie jedna sprawa. Nawet we mgle nie stanowi problemu przeprawienie się przez rzekę lub niewielkie jezioro i znalezienie drugiego brzegu. Tu jednak mamy do czynienia z małą wyspą, którą trudno odnaleźć przy takiej pogodzie. To prawda, że skalna wieża jest bardzo wysoka, ale napastnicy nie zobaczą jej we mgle.

Wódz ubił tytoń w fajce.

- To nie mój kłopot - odparł.

- Na iglicy znajduje się skalna półka - rzekł Burton. - Jest zwrócona na północ, ale załoga tratwy nie widzi jej z dołu. Nie zobaczy też ogniska, które jednocześnie będzie świetnie widoczne dla każdego, kto płynąłby w stronę wyspy od północy. Czy to dlatego niektórzy Ganopo przez cały dzień wnosili na tę półkę kawałki bambusa i sosny?

Wódz szeroko się uśmiechnął.

- Posiadasz ciekawość dzikiego kota i oczy sokoła. Jednakże obiecałem wodzowi Shaawanwaaki, że nie wspomnę o tym nikomu ani słowem.

Burton wstał.

- Rozumiem - rzekł do Indianina. - Na wypadek, gdybyśmy nie mieli się już spotkać, serdecznie dziękuję za okazaną gościnność.

- Jeśli nie spotkamy się na tym świecie, to może w następnym - odpowiedział wódz.

Anglik nie mógł zasnąć. Po kilku godzinach przewracania się z boku na bok ze zdumieniem ujrzał nad sobą twarz Monata, który mocno nim potrząsał. Burton uwolnił się z uścisku czteropalczastej dłoni Arkturiańczyka i wstał. Monat również pochodził z planety, na której doba trwała dwadzieścia cztery godziny, i miał w głowie biologiczny zegar. Burton powierzył kosmicie obowiązek budzenia wszystkich o odpowiedniej porze.

Kręcili się po chacie, cicho rozmawiając i pijąc błyskawiczną kawę. Kryształki, подарowane przez tubylców, podczas rozpuszczania się w wodzie podgrzewały ją do stanu wrzenia.

Jeszcze raz powtórzyli plan, po czym wyszli z chaty i odetchnęli z ulgą. Znajdowali się na tyle wysoko, by ponad mgłą widzieć blask ogniska rozpalonego wysoko na ścianie iglicy. Shaawanwaaki z pewnością też je dostrzegą. To im wystarczy.

Tylko Frigate i Burton byli w pełni ubrani, gdy *Hadzi II* poszedł na dno. Pozostali otrzymali nowe stroje od Ganopo. Teraz, trzymając się za ręce, ruszyli w stronę brzegu,

prowadzeni przez Burtona obdarowanego przez naturę niezwykłym zmysłem orientacji. Poprzez mgłę mogli już dostrzec pochodnie płonące przy posterunkach strażników.

Burton wyjął zza paska krzemienisty nóż. Kazz dzierżył sosnowy kij wycięty za pomocą ostrza pożyczonego od Ganopo. Frigate oddał swój nóż Besst, neandertalskiej kobiecie. Pozostali nie mieli broni.

Burton ostrożnie postępował naprzód, aż dotarł do krawędzi tratwy. Pochodnie zostały umieszczone na tyle daleko od siebie, że mógł się przedostać niezauważony. W ten sposób dotarł poza zasięg wzroku i słuchu strażników. Poczekał, aż pozostali kolejno pójdą w jego ślady.

- To była najłatwiejsza część - poinformował resztę. - Od tej pory jesteśmy ślepi, dopóki nie natrafimy na pochodnię. Pamiętam położenie budynków i łodzi, ale w tej mgle... no cóż, chodźcie za mną.

Pomimo zapewnień, przez chwilę kręcił się na oślep po pokładzie. Nagle z mgły wyłonił się olbrzymi, czarny posąg bożka, w którego brzuchu płonął ogień. Burton przez chwilę stał bez ruchu, szacując liczbę kroków dzielącą go od magazynu z rogami obfitości.

- Widzę światła po prawej - odezwał się Kazz.

Trzymając się prawej strony pochodni, Burton poprowadził pozostałych, aż ujrzeli kwadratowe ściany i stożkowaty dach magazynu. Sprzed budynku dobiegały niskie głosy strażników i odgłosy tupania. Burton obszedł magazyn, cały czas dotykając go ręką, i zatrzymał się pod drugiej stronie.

Wyjął spod ubrania skórzaną linę pożyczoną od wodza Ganopo, który dyskretnie nie spytał, do czego Anglik zamierza ją wykorzystać. Monat i Frigate także mieli przy sobie liny. Związali je razem, tworząc długi sznur. Alicja chwyciła jeden koniec, a Burton, Frigate, Monat, Loghu i Kazz wzięli drugi, po czym ruszyli w ciemność. Anglik wiedział, że naprzeciwko magazynu została przycumowana łódź. Tym razem bez problemu trafił do celu.

Przestrzegł towarzyszy, by poruszali się powoli i cicho, po czym wspólnie zdjęli duże canoe z platformy. Łódź mogła pomieścić dziesięć osób, więc była ciężka, choć wykonano ją z lekkiej sośniny i cienkiej rybiej skóry.

Gdy opuścili canoe na wodę i umieścili w nim wiosła, zostawili przy łodzi Loghu i idąc wzdłuż liny, szybko wrócili do magazynu. Kobieta miała za zadanie powstrzymać łódź przed odpłynięciem.

- Nadchodzą inni! - mruknął Kazz.

Przez mgłę zobaczyli blask czterech pochodni.

- Zmiana warty! - syknął Burton.

Musieli przejść na drugą stronę budynku, gdyż czterej uzbrojeni mężczyźni szli prosto na nich.

Burton spojrzał w górę. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy też nad nimi mgła stawała się rzadsza?

Czekali, spływając potem pomimo chłodu. Strażnicy wymienili pozdrowienia, a jeden zapewne opowiedział dowcip, gdyż rozległ się śmiech. Potem zwolnieni mężczyźni pożegnali się i odeszli. Po blasku pochodni można się było zorientować, że dwóch zmierza w stronę przedniej części tratwy. Pozostała dwójka udała się w przeciwną stronę, zmuszając Burtona i resztę do szybkiego odwrotu.

Anglik uważnie obserwował strażników zza rogu budynku.

- Ta dwójka się rozdziela - poinformował pozostałych. - Kazz, czy myślisz, że mógłbyś się zająć jednym z nich?

- Nie ma sprawy, Burton-*naq* - odpowiedział neandertalczyk i zniknął we mgle.

Obie pochodnie znajdowały się już prawie poza zasięgiem wzroku, gdy nagle jedna upadła na pokład. Po chwili ktoś ją podniósł i ruszył w kierunku magazynu.

Burton przemieścił grupę na tyły budynku. Nie chciał, aby strażnik zobaczył zbliżającą się postać.

Kazz zdjął kaptur. Jego duże klockowate zęby lśniły w świetle pochodni. W jednej ręce trzymał ciężką dębową włócznię z rogowym grotem, którą zabrał strażnikowi. Za paskiem miał czertowy nóż z drewnianą rączką oraz toporek z krzemiennym ostrzem. Podał broń Frigate'owi i Alicji. Swój sosnowy kij przekazał Arkturiańczykowi.

- Mam nadzieję, że go nie zabiłeś - szepnął Monat.

- To zależy, jak twardą ma czaszkę - odpowiedział Kazz.

Monat się skrzywił. Nienawidził przemocy, choć potrafił skutecznie walczyć w obronie życia.

- Czy twoje kolano nie będzie ci przeszkadzać? - spytał Burton Frigate'a. - Jesteś w stanie rzucać tym toporkiem równie skutecznie jak zwykle?

- Chyba tak - odparł Amerykanin. Teraz cały dygotał, choć wiedział, że uspokoi się, gdy tylko zacznie się walka. Podobnie jak Arkturiańczyk, obawiał się rękoczynów.

Burton wydał załodze polecenia, po czym poprowadził Kazzę i Alicję wzdłuż jednej ze ścian w stronę frontu budynku. Pozostali ruszyli wzdłuż przeciwległej ściany magazynu.

Anglik wyjrzał zza rogu. Czterej strażnicy stali blisko siebie, pogrążeni w rozmowie. Po chwili zza przeciwległego rogu budynku wyłoniła się pochodnia. Mężczyźni dostrzegli ją dopiero, gdy się do nich zbliżyła. Gdy Burton zobaczył, że odwrócili się w stronę przybysza,

wyszedł z ukrycia.

Kazz, ukryty pod kapturem, podszedł do strażników, zanim ci zdążyli cokolwiek powiedzieć. Zapewne sądzili, że to jeden z ich kolegów z poprzedniej warty, który czegoś zapomniał.

Kiedy odkryli swój błąd, było już za późno. Kazz chwycił swoją włócznię tuż za ostrzem i używając jej jak kija, uderzył jednego ze strażników w szyję.

Burton przełożył nóż do lewej dłoni i kantem prawej zdzielił drugiego strażnika w kark. Nie chciał zabijać mężczyzn, dlatego rozkazał krwiożerczemu neandertalczykowi, by ten powstrzymał się od zadawania ciosów ostrzem włóczni.

Toporek rzucony przez Frigate'a wyleciał z mgły i trafił trzeciego strażnika w klatkę piersiową. Amerykaninowi pozornie nieco zabrakło precyzji, ale być może także nie chciał uśmiercić swojej ofiary. Jeśli tak, to popisał się niezwykłą celnością, gdyż toporek uderzył strażnika tępą krawędzią i go ogłuszył. Zanim mężczyzna doszedł do siebie, Burton pozbawił go przytomności silnym kopniakiem w głowę.

W tej samej chwili zaatakował również Monat i czwarty strażnik upadł na pokład.

Na moment zapadła cisza, gdy napastnicy nasłuchiwali, czy nikt się nie zbliża. Potem podnieśli pochodnie, a Burton otworzył drzwi magazynu. Nieprzytomnych wciągnięto do środka, gdzie Monat uważnie się im przyjrzał.

- Bardzo dobrze - rzekł z zadowoleniem. - Wszyscy żyją.

- Niektórzy wkrótce odzyskają przytomność - ostrzegł Burton. - Kazz, miej na nich oko.

Uniósł pochodnię, oświetlając półkę z bezpieczeństwa rogami obfitości.

- Już nie jesteśmy żebrakami - odezwał się do pozostałych.

Zastanowił się. Czy powinni zabrać tylko siedem pojemników? Czemu nie wszystkie trzydzieści? Ponadplanowe rogi obfitości mogli zamienić na drewno i materiał na żagle, by zbudować nowy statek.

Uważał się za człowieka honoru, ale to nie byłaby kradzież, a jedynie rekompensata.

Wydał rozkaz i każdy z mężczyzn zabrał pięć cylindrów, opasując ich długimi rączkami szyje i ręce. Następnie wyszli z magazynu, zamknęli drzwi i podążając wzdłuż liny, udali się do canoe. Płonące pochodnie pozostawili na pokładzie przed budynkiem.

- Czy Indianie nie powinni już zaatakować? - spytała Loghu.

- Spóźniają się - odparł Monat.

Weszli do canoe i odbili od tratwy. Skierowali się w stronę południowego brzegu, wzdłuż którego zamierzali podróżować w górę Rzeki aż do świtu. Burton martwił się

dodatkowymi rogami obfitości. Jeśli zobaczą je lokalne władze, mogą ich pojmać. Poza tym nie brakowało chciwych ludzi, którzy zapewne spróbują ukraść ich zdobycz.

Istniał tylko jeden sposób na ukrycie pojemników. Wypełnili je wodą, przywiązali kawałkami liny do łodzi i zanurzyli w Rzece.

Ten dodatkowy balast mocno obciążał canoe, ale na szczęście znajdowali się już blisko brzegu. Przybili do przystani zbudowanej w pobliżu kamienia obfitości i przywiązali łódź do słupka cumowniczego.

Usiedli pod głazem i czekali. Wkrótce nadszedł świt, a wraz z nim setki tubylców. Burton i jego towarzysze grzecznie się przedstawili i poprosili o zgodę na skorzystanie z kamienia obfitości. Mieszkańcy krainy udzielili zgody i powitali ich serdecznie, gdyż lubili nowych przybyszy, źródło najnowszych wiadomości i plotek.

Mgła się rozrzedziła. Burton wspiął się na szczyt kamienia i spojrzał w kierunku iglicy. Jej podstawa znajdowała się w odległości około dwóch i pół mili morskiej, a horyzont z tej wysokości wydawał się oddalony o cztery mile. Anglik widział największe budynki i posąg bożka, ale nie dostrzegł oczekiwanych płomieni pożaru. Być może Shaawanwaaki nie chcieli spalić tratwy, ale zabrać ją na brzeg i rozebrać. Belki, z których ją zbudowano, miały sporą wartość.

Zamiast ruszać w dalszą drogę, Burton zarządził odpoczynek. Po południu do brzegu przybyli przedstawiciele Ganopo wraz z wodzem. Anglik wypytał go o szczegóły.

- Te żółwie łby, Shaawanwaaki, w ogóle nie trafiły na tratwę. - Indianin się roześmiał.
- Nie widzieli ognia, choć nie wiem, jak to możliwe. Pływali wkoło całymi godzinami, a kiedy mgła się uniosła, odkryli, że prąd zniósł ich o pięć kamieni w dół Rzeki. Co za banda nieudaczników!

- Czy Babilończycy wspominali o brakującym canoe? - spytał Burton. - Lub o nieprzytomnych strażnikach?

Burton stwierdził, że lepiej nie mówić nic o rogach obfitości.

Wódz ponownie się roześmiał.

- O tak, przybiegli na brzeg, nim zapłonął kamień. Byli bardzo rozgniewani, choć nie chcieli powiedzieć, dlaczego. Trochę nas sponiewierali, ale siniaki i obelgi nic nie znaczą, skoro udało się wam zrobić z nich głupców. Dokładnie przeszukali wyspę, ale oczywiście was nie znaleźli. Odkryli pozostałości po ognisku i spytali, po co je rozpaliliśmy, więc powiedziałem im, że to rytualny ogień, ale nie uwierzyli. Podejrzewam, że odgadli prawdę, ale nie musicie się obawiać, że wyślą za wami pościg. Wszyscy, łącznie z Metusaelem, chcą za wszelką cenę jeszcze dziś odpłynąć, Zapewne spodziewają się kolejnego ataku.

Burton spytał wodza, czemu Shaawanwaaki nie zaatakowali w świetle dnia. Przecież mogli bez trudu zgnieść Babilończyków.

- Istnieje porozumienie zawarte między okolicznymi państwami, nakazujące chronić przybyszów. Jak dotąd wszyscy dotrzymują umowy i mają ku temu powody. Pozostałe państwa byłyby zmuszone do wypowiedzenia wojny agresorowi. Dlatego Shaawanwaaki chcieli zachować swój atak w tajemnicy. Gdyby zostali odkryci, zamierzali powiedzieć, że załoga tratwy nie zapłaciła nam odszkodowania za dokonane zniszczenia. Być może teraz zrezygnują ze swojego planu, choć z drugiej strony wielu spośród nich pragnie zaatakować tratwę dla samej rozkoszy walki.

Burton nigdy się nie dowiedział, jaki los spotkał Babilończyków. Jeszcze tego samego dnia załoga *Hadziego II* popłynęła dalej. Gdy canoe oddaliło się od przystani, przyjaciele wciągnęli do środka bezpieczne rogi obfitości, wylali z nich wodę i ułożyli pojemniki na dnie łodzi.

21

Po przepłynięciu dwustu kilometrów Burton znalazł odpowiednie miejsce na budowę statku. Nie kierował się ilością dostępnego drewna, wszędzie bowiem rosło mnóstwo sosen, dębów, cisów i bambusa. Trudności nastęczało raczej znalezienie krzemienia i czertu na narzędzia do obróbki drewna. Złoża obu minerałów znajdowały się tylko na niektórych obszarach, co od samego początku stało się przyczyną wojen.

Teraz o krzemień i czert było jeszcze trudniej. Mimo sporej wytrzymałości, wykonane z nich narzędzia się zużywały, a już od dawna nie słyszano o nowych złożach. Na skutek tego, po roku 32 p.z. (po zmartwychwstaniu) mieszkańcy Doliny musieli zrezygnować z budowy dużych okrętów. Tak się przynajmniej stało w państwach, które Burton mijał podczas podróży, ale Anglik sądził, że podobna sytuacja panuje w całym Świecie Rzeki.

Miejsce, w którym się zatrzymali, było jednym z niewielu wciąż bogatych w oba minerały. Tubylcy, w większości Algonkinowie oraz mniejszość piktyjska, doskonale zdawali sobie sprawę z wartości posiadanych złóż. Przywódca mieszkańców, Indianin Menomini o imieniu Oskas, ostro się targował. W końcu zaproponował cenę siedmiu tysięcy papierosów, pięciuset skrętów z marihuany, dwóch tysięcy pięciuset cygar, czterdziestu paczek tytoniu i ośmiu tysięcy kubków alkoholu. Stwierdził także, że co pięć dni chciałby się przespać z Loghu. Tak naprawdę wolałby to robić codziennie, ale obawiał się, że jego trzem kobietom się to nie spodoba.

Burton przez dłuższą chwilę dochodził do siebie.

- Decyzja należy do niej - odpowiedział w końcu. - Nie wydaje mi się, by ona i jej mężczyzna na to przystali. Tak czy inaczej, żądasz zbyt wiele. Cała moja załoga musiałaby przez rok obywać się bez tytoniu i alkoholu.

Oskas wzruszył ramionami.

- Cóż, skoro uznajecie, że wam się to nie opłaca...

Burton zwołał naradę i poinformował załogę o żądaniach wodza. Najbardziej sprzeciwiał się Kazz.

- Burton-*naq*, całe moje życie na Ziemi, czterdzieści pięć lat, przeżyłem bez whisky i nikotyny. Ale tutaj się uzależniłem i wystarczy jeden dzień bez nich, żebym zwariował. Dobrze wiesz, że wielokrotnie starałem się rzucić, raz jedno, raz drugie, ale po tygodniu

miałem ochotę odgryźć sobie język. Czuję się jak jaskiniowy niedźwiedź z cierniem w łapie.

- Dobrze to pamiętam - odezwała się Besst.

- Gdyby nie było innego wyjścia, musielibyśmy to zrobić - rzekł do nich Burton. - Albo abstynencja, albo koniec marzeń o statku. Ale na szczęście mamy dodatkowe rogi obfitości.

Wrócił do Oskasa, wypalił z nim fajkę, po czym przeszedł do sedna sprawy.

- Kobieta o złotych włosach i błękitnych oczach mówi, że możesz dostać co najwyżej jej stopę, ale będziesz miał problem z wyciągnięciem jej ze swojego tyłka - poinformował wodza.

Oskas głośno się roześmiał i klepnął po udzie.

- Szkoda. Lubię kobiety z ikrą, ale bez przesady - odpowiedział, kiedy już otarł łzy.

- Jakiś czas temu wszedłem w posiadanie bezańskiego rogu obfitości - rzekł Burton. - Jestem gotów wymienić go na miejsce i materiały do zbudowania statku.

Oskas nie spytał, skąd Anglik ma ponadplanowy pojemnik, ale najwyraźniej był pewien, że przybysz go ukradł.

- Skoro tak, to ubiliśmy interes - odpowiedział z uśmiechem, po czym wstał. - Od razu zorganizuję wszystko, czego wam potrzeba. Jesteś pewien, że ta blondynka nie udaje trudnej do zdobycia?

Wódz zaniósł róg obfitości do twierdzy, gdzie spoczywało dwadzieścia jeden podobnych pojemników, które przez lata zgromadził na użytek swój i swoich zastępców...

W tym państwie, podobnie jak wszędzie indziej, ludzie na wysokich stanowiskach zabiegali o szczególne przywileje.

Budowa nowego statku zajęła rok. Gdy wykonali połowę pracy, Burton postanowił nie nazywać okrętu imieniem *Hadzi*. Oba statki ochrzczone tym imieniem spotkał niewesoły koniec, a Anglik, choć się do tego nie przyznawał, był przesądny. Po krótkiej naradzie zdecydowali się nazwać okręt *Żmirlaczem*. Alicji spodobała się ta nazwa, nawiązująca do Lewisa Carrola, i zgodziła się z Frigateem, że bardzo pasuje do ich sytuacji.

Kobieta uśmiechnęła się i wyrecytowała fragment „Mowy Brząkacza” pochodzący z „Wyprawy na Żmirlacza”².

² Wszystkie cytaty z „Wyprawy Żmirlacza” na podstawie przekładu Roberta Stillera (Oficyna naukowa, 2004)

*Kupił mapę ogromną, a na mapie widniało
Tylko morze bez wysp, lądu także.
Każdy stwierdził z rozkoszą, że rozumieją całą,
Choć nie znawca jest ani smakosz.*

*„Cóż za korzyść wynika ze zwrotnika, z równika,
Po co tym Merkatozem się szasta?”
Brząkacz wołał tak właśnie. A załoga odwrzaśnie:
„To są znaki umowne i basta!*

*Inne mapy są mętne! Jakieś brzegi pokrętne,
Jakieś wyspy! A dzięki szyprowi
(Darli się na wyprzódki) nasz ocean gładziutki,
Sklada się z błękitnych pustkowi!”.*

Burton się roześmiał, ale nie był pewien, czy Alicja w zawołany sposób nie kwestionuje jego zdolności jako kapitana. Ostatnio nie układało im się najlepiej.

- Miejmy nadzieję, że podróż na naszym nowym statku nie okaże się kolejną męką w ośmiu konwulsjach! - zawołała Alicja.

- No cóż - odparł Anglik, dziko szczerząc zęby - ten Brząkacz jest wystarczająco doświadczony, by od czasu do czasu nie pomylić bukszprytu z rudlem! A w kodeksie nie ma Paragrafu 42: „Nikomnie wolno odzywać się do Człowieka u Steru”.

- Tę zasadę wymyślił sam Brząkacz - odpowiedziała Alicja. - Poza tym, „Człowiekowi u Steru też nie wolno odzywać się do nikogo”.

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy poczuli narastające napięcie i obawiali się kolejnego gwałtownego wybuchu ze strony swojego kapitana.

- Pamiętam ten wiersz - zaśmiał się Monat, chcąc rozładować atmosferę. - Szczególnie spodobała mi się „Konwulsja szósta. *Sen Brechacza*”. Jak to było... Ach tak, prosię stanęło przed sądem za dezercję z chlewika, a Żmirlacz, odziany w ubiór prawnika, wcielił się w rolę obrońcy.

*Nie stwierdzono wyraźnie, co jest winą prosięcia:
Żmirlacz gadał czwartą godzinę,
Zanim sala zaczęła mieć coś na kształt pojęcia,
Za co prosię ponosić ma winę.*

Monat przerwał i na chwilę zatopił się w myślach.

- Mam - powiedział wreszcie. - Czterowiersz, który zrobił na mnie szczególne wrażenie.

*Lecz szaleńczy ich zapal nagle oklapł i ostygł,
Gdy ze łzami rzekł strażnik garbaty,
Że ten wyrok jest na nic, a to z przyczyn dość prostych,
Prosię bowiem zmarło przed laty.*

Wszyscy się roześmiali.

- Ten fragment dość dobrze oddaje istotę ziemskiej sprawiedliwości, a przynajmniej litery prawa - stwierdził Arkturiańczyk.

- To niezwykle, że podczas tak krótkiego pobytu na Ziemi zdołałeś nie tylko przeczytać ten wiersz, ale także go zapamiętać - odezwał się Burton.

- Uważam, że dzięki poezji i literaturze pięknej można lepiej zrozumieć ludzi niż za pośrednictwem tak zwanej literatury faktu - odpowiedział Monat. - Dlatego właśnie nauczyłem się „Żmirłacza” na pamięć. Kiedy przebywałem na Ziemi, podarował mi go przyjaciel i powiedział, że ten wiersz to jedno z największych metafizycznych osiągnięć ludzkości. Spytał, czy Arkturiańczycy stworzyli jakiegokolwiek dzieło mogące się z nim równać.

- Oczywiście robił sobie żarty? - spytała Alicja.

- Nie wydaje mi się - odpowiedział Monat.

Burton pokręcił głową ze zdumieniem. Na Ziemi był zapalonym bibliofilem obdarzonym niemal fotograficzną pamięcią. Jednak, mimo że spędził tam sześćdziesiąt dziewięć lat, a Arkturiańczyk zaledwie sześć, podczas ich wspólnej podróży Monat już wielokrotnie popisywał się wiedzą, jakiej nie mógłby posiadać żaden człowiek, nawet w ciągu całego wieku.

Rozmowa dobiegła końca, gdyż musieli powrócić do pracy nad statkiem. Ale Burton nie zapomniał przytyku, jaki zrobiła mu Alicja. Wrócił do tego tematu, gdy kładli się spać.

Popatrzyła na niego zaspanym wzrokiem, w połowie drogi do krainy snów. Prawie zawsze uciekała przed jego atakami, co wprawiało go w jeszcze większą wściekłość.

- Nie, Dick, wcale nie miałam zamiaru cię obrazić - odpowiedziała. - Przynajmniej nie w sposób świadomy.

- Ale nieświadomie jak najbardziej, czyż nie? - spytał. - To żadne wytłumaczenie. Nie możesz twierdzić, że nie panujesz nad tą częścią siebie. To, co myśli twoja podświadomość,

jest równie ważne, a nawet ważniejsze. Można odrzucać świadome myśli, ale w podświadomości dochodzą do głosu nasze prawdziwe poglądy.

Zaczął chodzić po pokoju, a w blasku niewielkiego ognia płonącego na kamiennej platformie jego twarz przypominała oblicze demona.

- Izabela mnie uwielbiała, a jednak nie bała się ostro ze mną spierać i mówić mi, że postępuję niewłaściwie - odezwał się w końcu. - Ale ty... tłamsisz w sobie niezadowolenie, aż w końcu zaczynasz się zachowywać jak prawdziwa jędra, a jednak nawet wtedy nie chcesz wyrzucić z siebie złości. To jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Nie ma niczego złego w porządnej awanturze, krzyczeniu i rzucaniu talerzami. To jest jak burza, która przeraża nas, dopóki trwa, ale w efekcie oczyszcza atmosferę. Twój problem polega na tym, że zostałeś wychowana na damę. Nigdy ci nie wolno podnosić głosu, musisz zawsze zachowywać się w sposób spokojny i zrównoważony. Ale twoja podświadomość szarpie drzwi swojej klatki jak dzikie zwierzę, przy okazji robiąc ci krzywdę, do czego nie chcesz się przyznać.

Alicja już w pełni się rozbudziła.

- Kłamiesz! - krzyknęła. - I nie porównuj mnie ze swoją żoną! Uzgodniliśmy, że nie będziemy tego robić, ale ty łamiesz tę obietnicę za każdym razem, gdy chcesz mnie wyprowadzić z równowagi! To nieprawda, że brakuje mi pasji. Akurat ty powinienes o tym wiedzieć najlepiej i nie chodzi mi tylko o łóżko. Nie mam zamiaru reagować gniewem na każdy drobiazg. Wpadam we wściekłość wtedy, kiedy wymaga tego sytuacja, kiedy warto się zdenerwować. A ty... ty cały czas chodzisz wściekły.

- To kłamstwo!

- Ja nigdy nie kłamię!

- Wróćmy do sedna sprawy - rzekł z naciskiem Burton. - Dlaczego uważasz, że nie sprawdzam się jako kapitan?

Alicja przygryzła wargi.

- Nie chodzi o to, jak dowodzisz statkiem ani jak traktujesz załogę. Z tym wszystkim radzisz sobie wyśmienicie. Martwi mnie to, że nie panujesz nad sobą.

Burton usiadł.

- No dobrze - powiedział spokojnym głosem. - O co dokładnie ci chodzi?

Przysunęła się razem z krzesłem i pochyliła, tak że jej twarz znalazła się tuż przed jego twarzą.

- Po pierwsze, nie potrafisz pozostać w jednym miejscu dłużej niż tydzień. Zanim miną trzy dni, już czujesz się nieswojo. Siódmego dnia przypominasz tygrysa niespokojnie kręcącego się po wybiegu albo lwa rzucającego się na drzwi klatki.

- Daruj sobie te zoologiczne porównania - odparł Burton. - Poza tym, dobrze wiesz, że zdarzało mi się pozostawać w jednym miejscu nawet rok.

- Owszem, kiedy budowałeś statek - odrzekła Alicja. - Czyli, pracując nad projektem mającym ci umożliwić jeszcze sprawniejsze przenoszenie się z miejsca na miejsce. A nawet wtedy robiłeś sobie krótkie wycieczki, pozostawiając resztę załogi przy pracy. Co chwila musiałeś a to coś zobaczyć, a to sprawdzić usłyszane plotki, zbadać dziwne zwyczaje albo namierzyć nieznaną język. Zresztą nieważne, jakich używałeś wymówek. Tak czy inaczej, co jakiś czas musiałeś gdzieś uciec. Problem tkwi w twojej duszy, Dick. Nie potrafisz usiedzieć na miejscu, ale to nigdy nie jest wina miejsca. To siebie samego nie potrafisz zaakceptować i wciąż musisz przed sobą uciekać!

Burton wstał i znów zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Twierdzisz więc, że nie potrafię ze sobą wytrzymać! - odezwał się w końcu. - Cóż za żalony ze mnie człowiek! Nie Kocham sam siebie, więc nikt inny też nie potrafi mnie kochać!

- Bzdura! - krzyknęła Alicja.

- No właśnie, wszystko, co powiedziałaś, to bzdury! Bzdury i chore wymysły!

- Nie, to ty jesteś chory - odparła.

- Skoro nie możesz ze mną wytrzymać, to czemu nie odejdziesz? - spytał.

Z oczu popłynęły jej łzy.

- Bo cię Kocham, Dick!

- Ale nie na tyle, by znosić moje drobne dziwactwa, czy tak?

- Drobne? - zachnęła się Alicja.

- A więc moim problemem jest zamiłowanie do podróży - odparł. - No i co z tego? Czy miałabyś do mnie pretensje, gdybym zmagiał się z jakąś fizyczną przypadłością, na przykład grzybicą stóp?

Alicja lekko się uśmiechnęła.

- Nie, kazałabym ci ją wyleczyć - odpowiedziała. - Ale to nie byłoby zamiłowanie, Dick. To przymus.

Wstała i zapaliła papierosa.

- Popatrz - odezwała się po chwili, wymachując mu papierosem przed oczami. - Na Ziemi nigdy nie odważyłabym się zapalić, nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Damie to nie przystoi. Zwłaszcza damie, której mąż jest posiadaczem ziemskim, a teść biskupem Kościoła anglikańskiego. Takiej kobiecie nie wypada także pić mocnych alkoholi i przeklinać. A już na pewno kąpać się nago na oczach innych ludzi! Ale oto stoi przed tobą Alicja Pleasance Liddel

Hardgreaves z posiadłości Cuffhels, najlepiej ułożona arystokratka, i robi wszystko to, co jej podobno nie przystoi. A nawet więcej, bo w łóżku wyprawiam rzeczy, o których nie śniło się mojemu mężowi, który wszak zaczytywał się francuskimi powieściami. Ja się zmieniłam, więc dlaczego ty nie możesz? Prawdę mówiąc, Dick, mam już serdecznie dość ciągłego podróżowania, gnieźdzenia się na ciasnym statku i niepewności jutra. Dobrze wiesz, że nie jestem tchórzem. Ale chciałabym wreszcie znaleźć spokojne miejsce, gdzie mieszkają ludzie podobni do mnie, którzy mówią po angielsku, i gdzie mogłabym zapuścić korzenie. Nie zniosę dłużej życia w drodze!

Burtona poruszyły jej łzy. Położył rękę na jej ramieniu.

- Cóż możemy na to poradzić? - powiedział. - Muszę posuwać się naprzód. Moja...

- Izabela? - przerwała mu Alicja. - Ja nią nie jestem. Mam na imię Alicja. Bardzo cię kocham, Dick, ale nie jestem cieniem, który wszędzie za tobą podąża, pojawiając się w świetle dnia i znikając w nocy. Nie jestem tylko dodatkiem.

Wstała, by zgasić do połowy wypalonego papierosa w glinianej popielniczce, po czym się odwróciła.

- Ale to nie wszystko! - powiedziała. - Martwi mnie jeszcze coś. Bardzo mnie boli, że nie o wszystkim mi mówisz. Masz jakiś sekret, Dick. Jakiś bardzo mroczny sekret.

- To może mi zdradzisz, co to za sekret, bo ja nie mam pojęcia - odparł Burton.

- Nie kłam! Słyszałam, jak mówisz przez sen. Chodzi o Etyków, prawda? Podczas tych wszystkich lat rozłąki przydarzyło ci się coś, o czym nikomu nie powiedziałaś. Słyszałam, jak mamroczesz o bąblach i o siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu samobójstwach. Słyszałam z twoich ust imiona, których nigdy nie wymieniasz na jawie. Loga. Thanabur. Mówiłeś też coś o Tajemniczych Przybyszach. Kim są ci ludzie?

- Tylko śpiący człowiek nie potrafi dotrzymać tajemnicy - burknął Anglik.

- Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? - spytała. - Czy mi nie ufasz? Po tych wszystkich latach?

- Powiedziałbym ci, gdybym tylko mógł - odrzekł Burton. - Ale to by cię wystawiło na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Uwierz mi, Alicjo, nic ci nie powiedziałem, bo nie wolno mi o tym mówić. To dla twojego dobra. Nie przekonasz mnie i bardzo się zdenerwuję, jeśli będziesz próbować.

- Niech ci będzie - odparła Alicja. - Ale dziś w nocy trzymaj ręce przy sobie.

Długo nie mógł zasnąć. Obudził się w środku nocy i uzmysłowił sobie, że znów mówił przez sen. Alicja siedziała obok i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

22

Oskas, jak zwykle nieco podпиты, odwiedził Burtona w porze lunchu. Anglik nie miał nic przeciwko tej wizycie, zwłaszcza że wódz przyniósł ze sobą skórzany worek zawierający co najmniej dwa litry bourbona.

- Czy słyszałeś plotki o wielkiej białej łodzi, która podobno płynie tutaj, kierując się w górę Rzeki? - spytał Indianin.

- Tylko głuchy by nie usłyszał - odparł Burton i pociągnął duży łyk whisky.

Alkohol zalatywał winem i można go było pić bez rozcieńczania wodą. W rogach obfitości pojawiały się tylko produkty najwyższej jakości. Anglik westchnął z rozkoszą.

- Nie bardzo wierzę w te opowieści - rzekł do Oskasa. - Według opisów statek jest napędzany za pomocą kół łopatkowych, co by oznaczało, że ma silniki z żelaza. Wątpię, by komukolwiek udało się zebrać wystarczającą ilość rudy, żeby zbudować jakikolwiek silnik. Słyszałem też, że statek ma metalowy kadłub. Na całej planecie nie ma na to wystarczająco dużo żelaza. Jeśli oczywiście okręt jest tak duży jak powiadają.

- Jesteś pełen wątpliwości - odparł Indianin. - To szkodzi na wątrobę. Jeśli jednak opowieści nie mijają się z prawdą, to pewnego dnia ta łódź do nas zawita. Chciałbym ją mieć na własność.

- Nie ty jeden - Burton się uśmiechnął. - Ale jeśli taka łódź faktycznie istnieje, to jej twórca zapewne ma także żelazną broń, a może nawet broń palną. Nigdy nie widziałeś takiego oręża, choć zauważyłem, że posiadasz trochę bomb wypełnionych prochem. Broń palna to metalowa rura, z której strzela się metalowymi pociskami na duże odległości. Z niektórych rur można strzelać tak szybko, że zanim łucznik zdążyłby wypuścić jedną strzałę, zostałyby trafiony dziesięciokrotnie. Istnieją także armaty, czyli olbrzymie rury, które strzelają bombami dalej niż stąd do gór. A więc możemy spokojnie założyć, że inni już próbowali odebrać łódź właścicielom i zginęli, zanim zdążyli się do niej zbliżyć na strzał z łuku. Poza tym, co byś zrobił z taką łodzią, wodzu? Aby nią płynąć, potrzeba wyszkolonej załogi.

- Załogę można zdobyć - odpowiedział Oskas. - A ty? Czy potrafiłbyś popłynąć taką łodzią?

- Zapewne tak.

- Czy zechciałbyś zatem pomóc mi w jej zdobyciu? - spytał Indianin. - Nie

omieszkałbym ci się za to odpowiednio odwdzięczyć. Uczyniłbym cię pierwszym pośród moich zastępców.

- Nie lubię przemocy - odparł Anglik. - Nie jestem też chciwy. Ale gdybym miał na to przystać, oto, co bym zrobił.

Oskasa zafascynował skomplikowany ale fantastyczny plan przedstawiony przez Burtona. Odchodząc, obiecał przysłać Anglikowi więcej whisky. Koniecznie chciał jeszcze porozmawiać na ten temat. Szeroko się uśmiechając, Indianin chwiejnym krokiem oddalił się do swojej twierdzy.

Burton uznał wodza za bardzo naiwnego, ale nie miał nic przeciwko podsycaniu jego entuzjazmu, jeśli tylko utrzymywało to Indianina w dobrym humorze.

Tak naprawdę Anglik miał własny plan.

Jeśli plotki były prawdą, to statkiem z pewnością podróżowało się szybciej niż okrętem żaglowym. Burton musiał w jakiś sposób dostać się na pokład. Nie siłą, ale sprytem. Tyle, że na razie nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Po pierwsze, statek prawdopodobnie nie zatrzyma się w tej okolicy. Po drugie, możliwe, że na pokładzie nie będzie dla nich miejsca. A nawet gdyby się znalazło, to niby czemu kapitan miałby przyjąć dodatkowych członków załogi?

Przez resztę dnia głowił się nad tym problemem. Gdy położył się spać, długo analizował różne scenariusze zdarzeń. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien się zgodzić na plan Oskasa, a potem zdradzić Indianina. Dzięki temu mógłby się wkupić w łaski kapitana statku.

Odrzucił ten pomysł niemal od razu. Nawet jeśli Oskas jest pazernym oszustem, honor Burtona nie dopuszczał zdrady. Poza tym, w takim przypadku zginęłoby wielu poddanych wodza, a Anglik nie chciał mieć ich śmierci na sumieniu.

Musiał istnieć inny sposób.

W końcu go znalazł. Plan wymagał zatrzymania statku lub przynajmniej zwrócenia uwagi załogi. Chwilowo Anglik postanowił nie brać pod uwagę ewentualności, że statek może ich minąć w nocy.

Zasnął z uśmiechem na ustach.

Minęły dwa miesiące. Za tydzień miało się odbyć wodowanie *Żmirlacza*. Tymczasem docierały kolejne plotki na temat nadpływającego bocznokołowca. Otrzymywali je za pośrednictwem bębniącego telegrafu oraz sygnałów wysyłanych za pomocą dymu, ognia i luster z miki. Na podstawie opisów Burton ułożył w głowie obraz statku. Niewątpliwie został

zbudowany z metalu, a wielkością prawdopodobnie przewyższał wszystkie bocznokołowce pływające po Mississipi za życia Anglika. Statek przemieszczał się z prędkością około dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę, a w relacjach niektórych świadków dwukrotnie szybciej. Oczywiście nie można było mówić o dokładnych pomiarach, gdyż nikt z obserwatorów nie dysponował stoperem, ale policzono, ile sekund zajmuje statkowi przemierzenie dystansu między dwoma kamieniami obfitości.

Po pierwszych relacjach Burton uznał, że ma do czynienia z parostatkiem. Później dowiedział się, że statek rzadko bierze na pokład drewno, które prawdopodobnie wykorzystuje się jedynie w bojlerze służącym do podgrzewania wody do mycia oraz wytwarzania pary wodnej do karabinów maszynowych. Anglik nie rozumiał, w jaki sposób para wodna może wystrzeliwać pociski. Monat zasugerował, że broń wykorzystuje system wrzucania pocisków do lufy, do której w regularnych odstępach czasu jest wtłaczana para wodna.

Silniki statku napędzała energia elektryczna pobierana z kamieni obfitości podczas wyładowań.

- W takim razie mają nie tylko stal, ale także miedź, niezbędną w uzwojeniu silników elektrycznych - odezwał się Burton. - Gdzie oni to wszystko zdobyli?

- Statek może być zbudowany głównie z aluminium, które również można wykorzystywać w uzwojeniu, choć nie jest tak wydajne jak miedź - odpowiedział Frigate.

Napływały kolejne informacje. Na burtach statku wielkimi czarnymi literami w alfabecie łacińskim zapisano nazwę *Rex Grandissimus*, co po łacinie oznacza „Największy Król”, oczywiście pod względem przymiotów charakteru. Kapitanem okazał się nikt inny jak król Jan Bez Ziemi, syn króla Anglii Henryka II i Eleonory, byłej żony francuskiego króla Ludwika VII, córki księcia Akwitanii. Gdy na Ziemi umarł brat Jana, słynny Ryszard Lwie Serce, ten został *Joannes Rex Angliae et Dominus Hiberniae*. Wkrótce zyskał tak fatalną reputację, że członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej uchwalili niepisane prawo, głoszące, że żaden z następców tronu nie powinien otrzymać imienia Jan.

Gdy Burton poznał tożsamość kapitana, udał się z tą informacją do Alicji.

- Jeden z twoich przodków dowodzi na bocznokołowcu - doniósł kobiecie. - Może powinniśmy odwołać się do jego uczuć rodzinnych, aby skłonić go do przyjęcia nas na pokład. Choć z historii wiem, że król Jan nie zasłynął miłością do członków rodziny. Stał na czele buntu przeciwko własnemu ojcu i podobno zamordował swojego siostrzeńca, Artura, którego Ryszard uczynił następcą tronu.

- Wcale nie był gorszy od innych władców w tym okresie - odparła Alicja. - Zrobił

sporo dobrego, pomimo tego, co sądzą na jego temat ludzie. Zreformował system monetarny, wspierał rozbudowę floty, starał się rozwijać handel, przyspieszył ukończenie budowy Mostu Londyńskiego. Oprócz tego, jako jeden z nielicznych władców w tamtych czasach był intelektualistą. Czytał książki po łacinie oraz francuską literaturę narodową, a wszędzie, gdzie się udawał, zabierał ze sobą swoją bibliotekę. Co się zaś tyczy jego sprzeciwu wobec dokumentu Magna Carta, historycy błędnie przedstawili tę kwestię. Bunt baronów nie miał na celu obrony praw ludu i nie był to ruch demokratyczny. Baronowie chcieli uzyskać szczególne przywileje dla siebie. Owszem, walczyli o wolność, ale do wykorzystywania poddanych bez zgody króla. Jan ostro przeciwstawiał się dążeniom baronów i walczył o utrzymanie francuskich prowincji pod kontrolą angielskiej korony. To nie on wywołał te konflikty, lecz odziedziczył je po swoim ojcu i bracie.

- No proszę! - zakrzyknął Burton. - Robisz z niego świętego.

- Do tego mu daleko - sprzeciwiła się Alicja. - Ale Jana bardziej interesowała Anglia i dobro jej mieszkańców niż jakiegokolwiek anglonormandzkiego króla przed nim.

- Musiałaś sporo o nim przeczytać i dokładnie to wszystko przemyśleć - odezwał się Burton. - Twoje poglądy sprzeciwiają się wszystkiemu, co wiem o tej postaci.

- Miałam wiele czasu na lekturę, gdy mieszkałam w Cuffnells - odpowiedziała Alicja. - A swoje opinie formułuję sama.

- To ci się chwali - odrzekł Anglik. - Jednakże faktem pozostaje, że w jakiś sposób ten średniowieczny monarcha zdobył kontrolę nad najwspanialszym artefaktem i najniezwyklejszą maszyną na tym świecie. Pytanie brzmi, jak mam go przekonać, by wpuścił nas na pokład?

- Chyba jak mamy go przekonać?

- Racja, przepraszam - poprawił się Burton. - No cóż, zobaczymy, jak to będzie.

Żmirlacza zwodowano przy wtórze wesołych okrzyków i toastów. Jednak Burton nie był w pełni szczęśliwy. Czuł, że stracił zainteresowanie okrętem.

Podczas ceremonii do Anglika podszedł Oskas.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz wkrótce odpłynąć? - spytał. - Liczę na twoją pomoc przy zdobyciu wielkiej łodzi.

Burton miał ochotę odesłać wodza do diabła. Ale po tak niedyplomatycznym geście rozwścieczony Indianin mógłby skonfiskować *Żmirlacza*, albo, co gorsza, przestać panować nad chęcią pójścia do łóżka z Loghu. Przez ostatni rok sprawiał kobiecie trochę kłopotów, ale jak dotąd nie zachowywał się w sposób brutalny. Za każdym razem, gdy się upił, czyli często, otwarcie proponował Loghu, by z nim zamieszkała.

Wiele razy wyglądało na to, że w końcu spróbuje wziąć ją siłą. W takich chwilach Frigate, którego można by posądzić o wszystko oprócz agresywności, zamierzał wyzwać wodza na pojedynek, choć sam przyznawał, że to głupi sposób rozwiązywania problemów. Jednakże wymagały tego honor i męstwo, a jedyną alternatywę stanowiła ucieczka, Frigate zaś nie miał zamiaru porzucać ludzi, z którymi tak wiele go łączyło.

- Nie pozwolę ci zginąć albo zabić tego dzikusa i tym samym ściągnąć nam na kark jego ludzi - sprzeciwiła się w końcu Loghu. - Zostaw to mnie.

Po czym zaskoczyła wszystkich, a najbardziej Oskasa, wyzywając wodza na pojedynek na śmierć i życie.

Gdy Oskas otrząsnął się z szoku, ryknął śmiechem.

- Co? Mam walczyć z kobietą? Co prawda biję moje żony, gdy mnie rozzłoszczą, ale nie przystąpię do pojedynku z babą! Stałbym się pośmiewiskiem, mimo że z łatwością bym cię zabił. Nie nazywano by mnie już Oskasem Niedźwiedzim Pazurem, ale Tym-Który-Walczył-Z-Kobietą.

- Jaką wybierzemy broń? - spytała Loghu. - Tomahawki? Włócznie? Noże? Gołe pięści? Widziałeś mnie w akcji i wiesz, jak dobrze posługuję się orężem. To prawda, że masz przewagę wzrostu i siły, ale ja znam o wiele więcej sztuczek. Szkolili mnie najlepsi instruktorzy na świecie.

Łaskawie nie wspomniała o tym, że Oskas był pijany, bardzo otyły i kompletnie bez formy.

Gdyby te słowa wypowiedział mężczyzna, Indianin od razu by się na niego rzucił. Ale pomimo umysłu otępionego alkoholem, Oskas dobrze wiedział, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli zabije tę kobietę, stanie się pośmiewiskiem całego plemienia. Jeśli nie przyjmie wyzwania, pomyślą, że się jej boi.

Monat uśmiechnął się i podszedł do Indianina.

- Loghu to moja dobra przyjaciółka - powiedział. - Ale jestem także twoim przyjacielem, wodzu. Może damy spokój? W końcu to alkohol przez ciebie przemawia, Oskasie, wielki wojownik na Ziemi i w Świecie Rzeki. Nikt nie może cię winić za odmowę walki z kobietą. Jednakże to nie w porządku, że nękaś kobietę innego mężczyzny. Wiem, że nie robiłbyś tego, gdyby nie zdradziecki wpływ whisky. Dlatego proponuję, byś od tej chwili traktował Loghu z takim samym szacunkiem, jakiego wymagasz od innych mężczyzn wobec twoich żon. Jak wspomniał Burton, byłem kiedyś wielkim czarownikiem. Wciąż dysponuję częścią swej mocy i nie zawaham się jej użyć, jeśli skrzywdzisz moją przyjaciółkę. Nie chcę tego robić, bo darzę cię wielkim szacunkiem, ale być może nie będę miał wyboru.

Oskas pobladł pod ciemną skórą zaczerwienioną od whisky.

- Tak, to pewnie przez alkohol - odpowiedział w końcu. - Nikt nie może mnie winić za to, co robię, kiedy jestem pijany.

Na tym zakończyła się ta rozmowa, a następnego dnia Oskas utrzymywał, że nie pamięta niczego, co wydarzyło się minionego wieczoru.

Przez następne kilka miesięcy traktował Loghu chłodno, ale grzecznie. Ostatnio znów zaczął ją zaczepiać, ale nie ośmielił się jej dotknąć. Być może dlatego, że Loghu, na osobności, aby nie narażać wodza na upokorzenie, ostrzegła, że rozplata mu brzuch i zmiażdży jądra, jeśli spróbuje choćby tknąć ją palcem.

Na te groźby Oskas zareagował śmiechem, choć wiedział, że stać ją na ich spełnienie. Niestety, Loghu tak bardzo go pociągała, że teraz, gdy zbliżała się chwila jej odejścia, znów zaczął się starać o względy kobiety.

Burton pamiętał o tym podczas rozmowy z wodzem. Nie było w interesie załogi, żeby Oskas myślał, że ma niewiele czasu na zaciągnięcie Loghu do łóżka.

- Jeszcze nie odpływamy - odpowiedział. - Wspólnie wykonamy plan, który dla ciebie opracowałem, a ja i moi ludzie staniemy w pierwszej linii podczas walki o żelazny statek. Jednak, jak dobrze wiesz, musimy dostać się na pokład łodzi, gdy ta zatrzyma się w celu pobrania energii z kamienia obfitości. Nie mamy szansy tego dokonać, jeśli bocznokołowiec będzie w ruchu. Obliczyłem z dokładnością do czterech lub pięciu kamieni, w którym miejscu łódź zatrzyma się na wieczorny postój. Przedtem jednak musimy przetestować nasz własny okręt. Wypłyniemy jutro i dotrzemy do miejsca, które wskazały moje obliczenia. Rozejrzemy się po okolicy, żeby lepiej poznać teren, z którego przyjdzie nam zaatakować tak potężnego przeciwnika. Czy zechciałbyś popłynąć z nami?

Oskas patrzył na Burtona spod przymrużonych powiek. Słyszając propozycję, rozluźnił się, a na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział. - Nie mam zwyczaju rzucać się do walki na oślep.

W ten sposób Anglik pozbawił wodza podejrzeń, że *Żmirlacz* nie powróci z próbnego rejsu. Mimo to, w tajemnicy przed Burtonem wódz rozkazał czterem strażnikom zamieszkać w pobliskiej chatce i uważnie obserwować statek. Tej nocy cała załoga wymknęła się z wioski pod osłoną mgły i udała na wzgórze. Tam przyjaciele wydobyli bezpieczne rogi obfitości z otworu u podnóża góry i zanieśli na statek, gdzie ukryli je w skrytce za jedną z grodzi.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu Oskas wszedł na pokład *Żmirlacza* wraz ze swoimi siedmioma najlepszymi wojownikami. Burton nie oponował, choć na statku zrobiło się tłoczno.

Wkrótce Anglik zaczął częstować wszystkich alkoholem z porostów przyprawionym mielonymi liśćmi drzewa żelaznego. Załoga otrzymała rozkaz zachowania całkowitej abstynencji. Do popołudnia wódz i jego ludzie byli już kompletnie pijani, głośno rozmawiając i rechocząc. Nawet lunch nie pozwolił im wytrzeźwieć. Burton wciąż częstował gości kolejnymi porcjami alkoholu, tak że na godzinę przed planowanym postojem na obiad wszyscy Indianie się zataczali bądź spali na pokładzie.

Załoga wyrzuciła bez trudu przytomnych i nieprzytomnych za burtę. Na szczęście zimna woda obudziła tych drugich, w przeciwnym bowiem razie poczucie przyzwoitości nakazywałoby Burtonowi wyłowienie ich i dostarczenie na brzeg.

Oskas utrzymywał się na powierzchni i wygrażał Anglikowi pięścią, klnąc w języku Menomini i w esperanto. Burton tylko się roześmiał i wyciągnął przed siebie dłoń z wyprostowanym środkowym palcem. Potem wyprostował pierwszy i czwarty palec w starożytnym geście oznaczającym „zły urok”, który to gest w czasach nowożytnych zmienił znaczenie na „gówno prawda”.

Oskas wpadł w jeszcze większą wściekłość i zaczął ze szczegółami opisywać, jak pomści zniewagę.

Kazz rzucił z dzikim uśmiechem Indianinowi jego róg obfitości, na tyle celnie, że trafił mężczyznę w głowę. Wojownicy musieli zanurkować za swoim wodzem. Kiedy wydobyli go na powierzchnię, byli zmuszeni go podtrzymywać, dopóki nie odzyskał świadomości.

Kazz uznał nabicie wodzowi guza za świetny dowcip, choć stwierdził, że żart udałby się jeszcze lepiej, gdyby Indianin utonął. Wobec swoich towarzyszy neandertalczyk zachowywał się niczym ideał troski i współczucia. Jak wszyscy przedstawiciele prymitywnych ludów, był lojalny wobec plemienia. Plemię to składało się z cywilizowanych ludzi, więc Kazz dostosowywał się do nich zachowaniem. Co innego ludzie na zewnątrz. Wobec nich można było stosować inne standardy.

Choć neandertalczyk utracił swoje plemię na Ziemi, odnalazł nowe w załodze *Żmirlacza*. Ci ludzie stali się jego rodziną.

23

Żmirlacz nie zatrzymał się w miejscu, o którym Burton opowiadał wodzowi. Byłoby to głupotą, gdyż Oskas mógł szybko wrócić pożyczoną lub ukradzioną łodzią, a następnie przybyć we wskazany punkt wraz z armią wojowników, jeszcze przed pojawieniem się *Reksa Grandissimusa*.

Kuter minął planowane miejsce postoju i płynął w dół Rzeki przez kolejne dwa dni. W tym czasie załoga widziała i słyszała wiadomości wysyłane przez Oskasa za pośrednictwem heliografu, ognia i dymu oraz bębnow. Wódz informował okoliczne państwa, że załoga statku ukradła mu papierosy i alkohol, a następnie go porwała. Oskas zaoferował nagrodę dla każdego, kto schwyta „kryminalistów” i przetrzyma ich do jego przybycia.

Burton musiał działać szybko, żeby temu zapobiec, choć wątpił, aby władze któregośkolwiek z mijanych państweczek zaarrestowały załogę *Żmirlacza*. Oskas nie cieszył się sympatią, gdyż przez lata przysporzył licznych kłopotów swoim sąsiadom. Jednakże należało się liczyć z niezależnymi grupami łowców nagród.

Anglik zszedł na brzeg, zabierając ze sobą pudełko tytoniu i alkohol oraz kilka dębowych pierścionków. Zapłacił nimi szefowi lokalnej filii przedsiębiorstwa komunikacyjnego za wysłanie własnej wiadomości. Poinformował w niej, że Oskas kłamie i tak naprawdę chciał siłą pojąć jedną z kobiet płynących statkiem, co zmusiło załogę do ucieczki. Indianin próbował ich ścigać, lecz jego wojenne canoe zostało zatopione, gdy starał się wtargnąć na pokład *Żmirlacza*.

Następnie Burton rozpuścił wiadomość, że wódz i jego doradcy są w posiadaniu olbrzymiego skarbu, na który składa się co najmniej sto bezpiecznych rogów obfitości.

Anglik kłamał, gdyż kiedyś w przyływie szczerości pijany Oskas wyjawiał mu, że posiada jedynie dwadzieścia takich pojemników. Warto jednak było minąć się z prawdą, by odwrócić od siebie uwagę. Poddani wodza z pewnością zareagują wściekłością na tę wiadomość i zażądają, aby produkty pochodzące z dodatkowych rogów obfitości udostępniono wszystkim mieszkańcom państwa. Ponadto, od tej pory Oskasowi nie zabraknie kłopotów ze złodziejami, bo pojawią się oni nie tylko wśród jego ludzi, ale zapewne licznie przybędą z innych krain.

Indianin będzie zbyt zajęty, żeby marnować energię na szukanie zemsty.

Na myśl o tym Burton się roześmiał.

Żmirlacz dotarł do miejsca, w którym prąd znacznie zwalniał. Napotkali już wiele takich obszarów, gdzie Rzeka teoretycznie powinna nie być w stanie dalej płynąć. Na Ziemi w takiej sytuacji doszłoby do wylania rzeki, zatopienia doliny i powstania jeziora.

Po przepłynięciu obszaru stojącej wody, kuter ponownie napotkał przybierający na sile prąd. Rzeka kontynuowała swój bieg w stronę odległego ujścia, legendarnej olbrzymiej jaskini prowadzącej do polarnego morza na północy. Powstało wiele teorii tłumaczących to zjawisko, ale jak dotąd żadnej nie udało się udowodnić.

Jedna z nich głosiła, że lokalna grawitacja jest na tyle zróżnicowana, że pęd Rzeki jest w stanie przezwyciężyć brak nachylenia terenu. Jej zwolennicy sugerowali, że stwórcy tego świata zainstalowali pod ziemią urządzenia wywołujące słabsze pole grawitacyjne na wybranych obszarach.

Inni twierdzili, że wodę pompuje się pod dużym ciśnieniem spod dna Rzeki.

Miłośnicy trzeciej teorii spekulowali, że nieustający prąd Rzeki jest efektem zastosowania mieszanki pomp ciśnieniowych i generatorów „niskiej grawitacji”.

Z kolei czwarta teoria głosiła, że to Bóg nakazał wodzie płynąć pod górę, więc zastanawianie się nad tym zjawiskiem nie ma sensu.

Większość ludzi i tak nigdy się nad nim nie zastanawiała. Niezależnie od przyczyny, Rzeka nigdy nie ustawała w swoim biegu.

Pod koniec drugiego dnia rejsu *Żmirlacz* przybił do brzegu w okolicy, w której powinien się zatrzymać wielki metalowy statek. Według najnowszych wieści *Rex* na kilka dni przerwał podróż, a jego załoga odpoczywała na lądzie.

- Wspaniale! - ucieszył się Burton. - Możemy do nich dotrzeć już jutro i spokojnie porozmawiać z kapitanem, przekonując go, by przyjął nas na pokład.

Choć w głosie Anglika pobrzmiewała radość, wcale jej nie odczuwał. Jeśli jego plan zawiedzie, będzie musiał przepłynąć *Żmirlaczem* przez terytorium Oskasa, i to za dnia, bo w nocy prawie nie było wiatru. Wódz z pewnością zostanie poinformowany o zbliżaniu się statku i przywita go z całą swoją armią. Teraz Burton uważał, że po pozbyciu się Indian powinien był zawrócić i minąć ich krainę. Jednakże wtedy bocznokołowiec mógłby wyprzedzić *Żmirlacza* i załoga nie miałaby szans na rozmawianie z królem Janem.

„Nie troszczcie się zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o sobie troszczyć się będzie. Dostyc ma dzień swojej biedy”³. „Zaś plany przez ludzi i myszy tak żmudnie tkane

³ Ewangelia Mateusza 6:34, Biblia Tysiąclecia

często spełzają na niczem”⁴. Trzeba się cieszyć dniem dzisiejszym. Mimo to, Burton nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

Tubylcy stanowili mieszankę szesnastowiecznych Holendrów i mniejszości trackiej oraz zwyczajowej grupy złożonej z przedstawicieli różnych narodów i epok. Burton właśnie rozmawiał z Flamandczykiem, który na Ziemi znał między innymi Bena Jonsona i Szekspira, gdy do grupy siedzącej wokół ogniska dołączył nowy przybysz. Był to szczupły biały mężczyzna średniego wzrostu, o czarnych włosach i niebieskich oczach. Przez chwilę stał w miejscu, intensywnie wpatrując się we Frigate'a, po czym szeroko się uśmiechnął i podbiegł do Amerykanina.

- Pete! Na miłość boską, Pete! - zawołał po angielsku. - To ja, Bill Owain! Pete Frigate, mój Boże! To ty, Pete, prawda?

Frigate wyglądał na zaskoczonego.

- Tak - odpowiedział. - A ty... mówisz, że jak się nazywasz?

- Bill Owain! Na Boga, chyba nie zapomniałeś swojego starego kumpla? Wyglądasz trochę inaczej, przez moment nie byłem pewien. Nie takiego cię pamiętam. Bill Owain! Początkowo cię nie poznałem, minęło tyle czasu!

Mężczyźni padli sobie w ramiona, po czym zaczęli szybko rozmawiać, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Po chwili Frigate przedstawił Owaina reszcie załogi.

- To mój kumpel ze szkoły. Znamy się od czwartej klasy podstawówki. Potem chodziliśmy razem do liceum w Peorii i przyjaźniliśmy się po skończeniu szkoły. Kiedy w końcu zamieszkałem w Peorii po kilku latach pracy w różnych miastach, od czasu do czasu się spotykaliśmy. Dość rzadko, bo obaj mieliśmy swoje własne życie i obracaliśmy się w innych kręgach.

- Pomimo to, nie wiem, jak mogłeś mnie od razu nie rozpoznać - odezwał się Owain. - No, ale ja też nie byłem całkowicie pewien, że to ty. Masz trochę dłuższy nos, bardziej zielone oczy, węższe usta i większy podbródek. A twój głos... pamiętasz, jak wszyscy z ciebie żartowali, bo brzmiałeś zupełnie jak Gary Cooper? Teraz nie mam takich skojarzeń. Jak widać, nie można zbyt polegać na wspomnieniach.

- Racja, nie można na nich polegać - zgodził się Frigate. - Zresztą nigdy nie miałem zbyt dobrej pamięci. Poza tym, pamiętamy się nawzajem jako ludzie w średnim i podeszłym wieku, a teraz wyglądamy na dwudziestopięciolatek. No i jesteśmy zupełnie inaczej ubrani,

⁴ Na podstawie wiersza Roberta Burnsa „Do myszy polnej” w przekładzie Jerzego Hebdy (Caldra House, 1992)

a sam fakt spotkania kogoś, kogo się znało na Ziemi, to spory szok, przynajmniej dla mnie.

- Dla mnie też! - odpowiedział Bill. - Również nie miałem stuprocentowej pewności. Czy wiesz, że jesteś pierwszą znajomą osobą, którą tu spotkałem?

- Ty jesteś moją drugą, ale tego poprzedniego faceta spotkałem trzydzieści dwa lata temu i bynajmniej nie ucieszyłem się na jego widok.

Burton wiedział, że chodzi o mężczyznę zwanego Sharkko, wydawcę książek science fiction w Chicago, który oszukał Frigate'a w dość wyrafinowany sposób. Wprowadzenie podstępного planu w życie zajęło mu kilka lat, a w efekcie kariera pisarska Petera legła w gruzach. Sharkko okazał się jedną z pierwszych osób, jakie Frigate spotkał po zmartwychwstaniu. Burtona przy tym nie było, ale Amerykanin opowiedział mu, jak pomścił swoje krzywdy, uderzając faceta w nos.

Burton spotkał w Dolinie Rzeki tylko jedną osobę, którą znał na Ziemi, choć przecież za życia poznał wielu ludzi na całym świecie. Nie było to spotkanie godne uwagi. Mężczyzna ten kiedyś pracował dla Anglika jako jeden z tragarzy podczas wyprawy w poszukiwaniu źródeł Nilu. W drodze nad jezioro Tanganika (Burton i jego towarzysz Speke dotarli do niego jako pierwsi z Europejczyków) tragarz kupił trzynastoletnią niewolnicę. Dziewczynka zachorowała i nie mogła kontynuować wędrówki, więc mężczyzna odciął jej głowę, żeby nikt inny nie przywłaszczył sobie jego własności.

Burton nie był świadkiem morderstwa, więc nie mógł mu zapobiec, a ukaranie tragarza wydawało się niezbyt dyskretnym posunięciem. W końcu miał on prawo zrobić ze swoją niewolnicą co mu się żywnie podobało. Jednak Burton mógł karać mężczyznę chłostą za inne przewinienia, na przykład lenistwo, kradzież czy uszkodzenie bagaży, i nie przepuścił ku temu żadnej okazji.

Owain i Frigate zasiedli razem, aby pić alkohol z porostów i wspominać dawne czasy. Burton zauważył, że Bill znacznie lepiej pamięta rozmaite wydarzenia i osoby. Było to o tyle zaskakujące, że Frigate dysponował bardzo dobrą pamięcią.

- Pamiętasz, jak chodziliśmy do kin Princess, Columbia i Apollo? - spytał Owain. - Pewnej soboty postanowiliśmy sprawdzić, ile filmów zdołamy obejrzeć jednego dnia. Poszliśmy na dwa seanse do Princess, potem na dwa seanse do Columbii, na trzy seanse do Apollo i na nocny seans do Madison.

Frigate uśmiechnął się i pokiwał głową, ale po jego minie było widać, że nie do końca pamięta przywołane wydarzenia.

- Innym razem wybraliśmy się na wycieczkę do St. Louis razem z Alem Everhardem, Jackiem Dirkmanem i Danem Doobinem - kontynuował Bill. - Kuzyn Ala zorganizował nam

dziewczyny, pielęgniarki, pamiętasz? Pojechaliśmy na cmentarz... jak on się nazywał?

- Nie mam pojęcia - odparł Pete.

- Ale na pewno pamiętasz, jak rozebraliście się z tą pielęgniarką do naga i zaczęliście się gonić między grobami, a ty przeskoczyłeś jakiś nagrobek, wpakowałeś się na wieniec pogrzebowy i cały się pokaleczyłeś cierniami! Tego z pewnością nie zapomniesz!

- Jak bym mógł? - odpowiedział Frigate z zażenowaniem.

- To na pewno odebrało ci ochotę do dalszej gonitwy. I nie tylko do niej! - roześmiał się Owain.

Wspominali jeszcze przez chwilę. Potem zaczęli opowiadać o swoich reakcjach na przebudzenie się nad brzegiem Rzeki. Pozostali włączyli się do rozmowy, gdyż był to ogólnie lubiany temat. Tamten dzień okazał się tak straszny, zadziwiający i niezwykły, że nie dało się go zapomnieć. Przerazenie, panika i zagubienie wypełniające pierwszą dobę w Świecie Rzeki wciąż odbijały się w nich echem. Burton czasem się zastanawiał, czy ciągłe rozmowy o dniu zmartwychwstania nie pełnią roli terapii. Ludzie mieli nadzieję, że przepędzą nękające ich demony, gdy podzielą się swoimi przeżyciami.

Wszyscy się zgodzili, że tamtego dnia zachowywali się dość idiotycznie.

- Pamiętam, jaka byłam absurdalnie oficjalna i dostojna - wspominała Alicja. - Zresztą nie tylko ja, chociaż większość ludzi wpadła w histerię. Wszyscy przeżyliśmy olbrzymi szok, aż dziwne, że nikt nie umarł na zawał serca. Sam fakt przebudzenia się w dziwnym miejscu po śmierci wystarczy, żeby ponownie trafić do kostnicy.

- Być może tuż przed wskrzeszeniem nasi anonimowi dobroczyńcy podali nam jakiś narkotyk, który złagodził efekt szoku - odezwał się Monat. - Także guma snów, którą znaleźliśmy w rogach obfitości, mogła zadziałać niczym znieczulenie pooperacyjne. Choć przyznam, że wywołała niezwykle dzikie zachowania.

W tym miejscu Alicja zerknęła na Burtona. Nawet po tych wszystkich latach wciąż czerwieniła się na wspomnienie tamtej nocy. Na kilka godzin znikły wszystkie obyczajowe zahamowania i ludzie zachowywali się jak norki na diecie z hiszpańskiej muchy. Zupełnie, jakby do głosu doszły ich wszystkie ukryte fantazje.

Rozmowa zeszła na temat Arkturiańczyka. Wcześniej Monat, pomimo sympatycznego zachowania, był traktowany z dużą rezerwą, do której zdążył się już przyzwyczaić. Jego pozaziemskie pochodzenie wprawiało ludzi w zakłopotanie, a czasem nawet wywoływało obrzydzenie.

Teraz rozmówcy pytali Monata o jego życie na macierzystej planecie oraz doświadczenia na Ziemi. Kilka osób słyszało opowieści o tym, że kosmici zostali zmuszeni

do zabicia niemal wszystkich mieszkańców planety. Jednak nikt z obecnych, poza Frigate'em, nie żył na Ziemi, gdy przybył na nią statek Arkturiańczyków.

- To dosyć dziwne - zauważył Burton. - Według Pete'a, w dwa tysiące ósmym roku populacja Ziemi wynosiła osiem miliardów, a jednak oprócz Monata i Frigate'a nie spotkałem nikogo z tam tych czasów. A może jest ktoś taki wśród was?

Nikogo takiego nie było. Jedynymi tubylcami, którzy przeżyli lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku, okazali się Owain i jedna z kobiet. Ona zmarła w 1982, a on w 1981 roku.

Burton pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nad brzegami Rzeki mieszka co najmniej trzydzieści sześć miliardów ludzi - rzekł po chwili. - Największą grupę powinny więc stanowić osoby, które żyły między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim (wybieram tę datę, gdyż spotkałem tylko trzy osoby, które umarły później) a dwa tysiące ósmym rokiem. Więc gdzie one wszystkie są?

- Może już przy następnym kamieniu obfitości - odparł Frigate. - W końcu nikt nie przeprowadził spisu ludności. Nikt nawet nie byłby w stanie tego zrobić. Każdego dnia mijamy setki tysięcy osób, a z iloma z nich rozmawiamy? Najwyżej z kilkudziesięcioma. W końcu trafisz na kogoś z tej grupy.

Przez chwilę spekulowali na temat tego, dlaczego i w jaki sposób zmartwychwstali, oraz kto tego dokonał. Rozmawiali też o tym, czemu wszyscy mężczyźni zostali trwale pozbawieni zarostu na twarzy oraz obrzezani, a kobiety obudziły się jako dziewice. Co do braku zarostu, połowa mężczyzn wydawała się zadowolona, że nie musi się martwić goleniem, podczas gdy druga połowa narzekała na brak możliwości zapuszczenia wąsów i brody.

Zastanawiano się również, dlaczego rogi obfitości od czasu do czasu dostarczały szminkę i inne kosmetyki przedstawicielom obu płci.

Frigate uważał, że ich dobroczyńcy zapewne nie lubią się golić, a w ich społeczności zarówno kobiety, jak i mężczyźni malują twarze. Nie widział innego logicznego wytłumaczenia.

Następnie Alicja opowiedziała o przebudzeniu Burtona w bąblu odtwarzającym. Ten temat bardzo wszystkim zaciekał, ale Anglik stwierdził, że po otrzymanym uderzeniu w głowę nic nie pamięta z tamtych wydarzeń.

Monat delikatnie się uśmiechnął, co czynił zawsze, gdy Burton powtarzał to kłamstwo. Anglik podejrzewał, że Arkturiańczyk doskonale wie, że Burton mija się z prawdą, choć kosmita nigdy go nie zdemaskował. Monat szanował powody, dla których Burton nie chciał

się dzielić swoimi wspomnieniami, choć tych powodów nie znał.

Frigate i Alicja jak najdokładniej opowiedzieli o przeżyciach Anglika. W kilku miejscach się pomylili, ale Burton nie mógł ich poprawić.

- Jeśli tak się rzeczywiście stało, to w naszym zmartwychwstaniu nie ma niczego nadprzyrodzonego - odezwał się jeden z mężczyzn. - Dokonano go wyłącznie na gruncie naukowym. Zdumiewające!

- Właśnie - odpowiedziała Alicja. - Ale dlaczego wskrzeszenia ustały? Czemu powróciła śmierć?

Na chwilę zatopili się w ponurych myślach.

- Ale jednego Burton-*naq* nie zapomniał - przerwał milczenie Kazz. - Całego zamieszania ze Spruce'em, agentem Etyków.

To sprowokowało kolejne pytania.

- Kim są Etycy?

Burton pociągnął głęboki łyk szkockiej i zaczął opowiadać. Pewnego razu on i jego towarzysze zostali ujęci przez łowców niewolników. Ludzie przy ognisku pokiwali ze zrozumieniem głowami. Każde z nich spotkało się w tym świecie z niewolnictwem.

Burton opowiedział o tym, jak jego statek został zaatakowany, a załoga trafiła do więzienia, które opuszczali tylko po to, by ciężko pracować. Zarekwirowano im całe zapasy tytoniu, marihuany, gumy snów i alkoholu. Co gorsza, ludzie, którzy ich uwięzili, zabierali z ich rogów obfitości połowę jedzenia, pozostawiając tylko tyle, by móc zapobiec śmierci głodowej niewolników.

Po kilku miesiącach Burton i mężczyzna nazwiskiem Targoff stanęli na czele skutecznego buntu przeciwko oprawcom.

24

- Kilka dni po tym, jak odzyskaliśmy wolność, przyszli do mnie Frigate, Monat i Kazz - kontynuował swoją opowieść Burton. - Powitali mnie, a Kazz zaczął mówić z dużym podekscytowaniem. „Dawno temu, zanim mówić dobrze angielski, widzieć coś. Próbować powiedzieć, ale ty nie rozumieć. Widzieć człowieka, który nie mieć tego na czole”.

- Tutaj mój przyjaciel, mój *naq*, jak on to określa, wskazał palcem na własne czoło, a potem na czoła pozostałych - wyjaśnił Burton. - Potem Kazz powiedział: „Widzieć, że ty nie widzieć. Pete i Monat też nie. Nikt inny nie widzieć. Ale ja widzieć to na czole każdego. Oprócz tego człowieka, którego chcesz złapać dawno temu. Potem, któregoś dnia, zobaczyć kobietę, która tego nie mieć, ale nic ci nie mówić. Teraz widzieć trzecią osobę bez tego”.

- Wciąż nic nie rozumiałem, ale Monat mi wyjaśnił: „On twierdzi, że jest w stanie dostrzec pewne symbole czy znaki na czole każdego z nas. Widzi je tylko w ostrym słonecznym świetle i tylko pod pewnym kątem. Ale każdy, kogo spotkał do tej pory, miał te symbole, z wyjątkiem tych trojga, o których mówił”.

- Frigate dodał, że Kazz prawdopodobnie dostrzega dalsze części widma niż nieneandertalczyki. A dokładniej, widzi w ultrafiolecie, gdyż symbole miały niebieskawą odcień, a przynajmniej tak Kazz je opisał. Wszyscy nosimy te znaki, oprócz nielicznych osób. Jesteśmy oznakowani niczym bydło. Od tamtej pory Kazz i jego kobieta Besst, zawsze zwracają uwagę na symbole na czołach ludzi.

Ta wiadomość wywołała u słuchaczy duże poruszenie, rozdrażnienie, a nawet szok. Burton poczekał, aż wrzawa ucichnie.

- Niektórzy z was, pochodzących z końca dwudziestego wieku, być może wiedzą, że dokonano ponownego sklasyfikowania tak zwanego człowieka neandertalskiego - rzekł Burton po chwili. - Antropolodzy uznali, że nie należał on do osobnego gatunku, ale był odmianą *homo sapiens*. Tak czy inaczej, różni się od nas nie tylko budową ciała i uzębieniem, ale także zdolnością widzenia w ultrafiolecie.

- Żeby była jasność, neandertalskie kobiety też posiadają tę umiejętność - odezwała się Besst.

Burton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Emancypacja zawitała do epoki kamienia - rzekł wesoło. - Zauważmy jednak, że

ktokolwiek stworzył ten świat i oznaczył nas, mówiąc metaforycznie, znamieniem bestii, nie wiedział, że wzrok *homo neanderthalis* posiada tak wyjątkowe cechy. Co oznacza, że ten ktoś nie jest wszechwiedzący. Pozwólcie, że będę kontynuował swoją opowieść. Spytałem o tożsamość osoby bez symbolu na czole, a Frigate odpowiedział, że to Robert Spruce, jeden z niewolników. Przedstawił się nam jako Anglik urodzony w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku i tylko tyle o nim wiedziałem. Stwierdziłem, że trzeba go przesłuchać, na co Frigate odparł, że Spruce prawdopodobnie dawno uciekł i będziemy go musieli złapać. Okazało się, że kiedy Kazz poinformował podejrzanego, że nie widzi symbolu na jego czole, Spruce pobladł i po kilku minutach szybko się oddalił. Frigate i Monat od razu wysłali za nim pościg, który początkowo nie przyniósł skutku. Wydawało mi się, że ta ucieczka oznacza przyznanie się do winy, choć nie wiedziałem, na czym polega wina Spruce'a. Kilka godzin później poszukiwania w końcu zostały uwieńczone sukcesem i Robert został odnaleziony pośród wzgórz. Postawiliśmy go przed nowo utworzoną radą naszego nowo utworzonego państwa. Spruce był blady i drżał, ale wyzywająco patrzył nam w oczy. Poinformowałem go, że podejrzewamy, iż jest agentem Etyków, a może nawet Etykiem. Dodałem, że użyjemy wszelkich dostępnych metod, wliczając w to tortury, by wydobyć od niego prawdę. Kłamałem, gdyż okazalibyśmy się równie podli jak nasi oprawcy, gdybyśmy posunęli się do tortur. Ale Spruce o tym nie wiedział. Oto co mi przekazał: „Jeśli to zrobisz, możesz utracić życie wieczne. A na pewno cofnie cię to w twej podróży i odsunie cel ostateczny”. Spytałem, co to za cel, ale zignorował moje pytanie. Zamiast tego szepnął: „Nie możemy wytrzymać bólu. Jesteśmy zbyt delikatni”. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale Spruce nie chciał mówić. Wtedy jeden z członków rady zaproponował, aby zawiesić jeńca nad ogniem. Odezwał się Monat i poinformował Spruce'a, że pochodzi z cywilizacji bardziej zaawansowanej niż ziemską i może z większym powodzeniem spróbować odgadnąć prawdę. Chciał oszczędzić mężczyźnie bólu tortur, a także bólu zdrady, dlatego zaproponował, że przedstawi swoje spekulacje na temat Etyków i ich agentów, a Spruce tylko je potwierdzi lub im zaprzeczy. Tym sposobem nie zdradzi swojej sprawy.

- To dość osobliwy układ - wtrącił się Bill Owain.

- Owszem - odparł Burton. - Ale Monat miał nadzieję, że w ten sposób skłoni Spruce'a do mówienia. Oczywiście nie mieliśmy najmniejszego zamiaru użyć brutalnych metod rodem z procesów inkwizycyjnych. Gdyby nie udało nam się go przestraszyć, zamierzaliśmy spróbować hipnozy. Zarówno Monat, jak i ja jesteśmy w tej dziedzinie ekspertami. Jak się jednak okazało, nie musieliśmy uciekać się do takich rozwiązań. Monat powiedział: „Moja teoria mówi, że jesteś Ziemianinem. Pochodzisz z okresu o wiele późniejszego niż rok dwa

tysiące ósmy. Musisz być potomkiem tych nielicznych, którzy przeżyli mój skaner śmierci”. Monat wywnioskował, że cywilizacja zdolna przekształcić planetę w jedną potężną Dolinę Rzeki musi pochodzić z okresu bardzo odległego od dwudziestego pierwszego wieku. Zasugerował wiek pięćdziesiąty, a Spruce kazał mu dodać jeszcze dwa tysiące lat. Wtedy Monat zauważył, że nie wszyscy zostali wskrzeszeni, zapewne dlatego, że nie pomieściliby się na tej planecie. Nie zmartwychwstały tutaj dzieci zmarłe przed piątym rokiem życia, a także ludzie upośledzeni umysłowo i ci, którzy przeżyli rok dwa tysiące ósmy, za wyjątkiem Spruce'a. Arkturiańczyk spytał więc, gdzie przebywa reszta ziemskiej populacji, a Spruce odpowiedział, że „są gdzie indziej”, ale nie chciał udzielić dalszych wyjaśnień. Następnie Monat spytał, w jaki sposób zapisano informacje o mieszkańcach Ziemi, czyli jakiego urządzenia użyli do tego celu Etycy. Skoro wskrzeszenie odbyło się na gruncie naukowym, a nie nadprzyrodzonym, to każda istota ludzka żyjąca między epoką kamienia a rokiem dwa tysiące ósmym naszej ery musiała być obserwowana. W jakiś sposób zapisano strukturę komórkową ciał wszystkich ludzi i przechowano ten zapis do późniejszego wykorzystania. Monat zasugerował, że dane te zostały wprowadzone do konwertera energii w materię, za pomocą którego odtworzono ciała zmarłych. Usunięto skutki obrażeń, ran i chorób, które spowodowały śmierć, oraz przywrócono utracone kończyny i organy. Sam byłem świadkiem takiego procesu, gdy obudziłem się w komorze przedwskrzeszeniowej. Ponadto, odmłodzono wszystkich zmarłych do wieku dwudziestu pięciu lat. Monat spekulował, że ciała w bąblu odtwarzającym zostały zniszczone po ukończeniu procesu regeneracji. Uprzednio dokonano zapisu tych nowych ciał i wykorzystano go podczas ostatniego etapu, wielkiego zmartwychwstania, które wszyscy pamiętamy. Arkturiańczyk podejrzewał, że wskrzeszenia dokonano, wykorzystując metal używany w systemie kamieni obfitości. Wszystkie kamienie są ze sobą połączone głęboko pod ziemią i tworzą rodzaj obwodu, a energia potrzebna do ich zasilania pochodzi z gorącego, niklowo-żelaznego jądra planety. Potem Monat rzekł: „Pozostaje jednak zasadnicze pytanie: dlaczego?”, na co Spruce odpowiedział: „Gdyby to wszystko leżało w twojej mocy, czy nie uznałbyś tego za swój etyczny obowiązek?”. Monat odparł, że wskrzesiłby tylko tych, którzy na to zasługują. Wtedy Spruce wpadł w gniew i zarzucił Arkturiańczykowi, że ten ustawia się na pozycji Boga, a szansa należy się wszystkim, nieważne jak byli okrutni, egoistyczni czy głupi. Szansa na odkupienie win. Nikt tego za nich nie zrobi, sami muszą odnowić się moralnie. Monat spytał, jak długo ma to potrwać. Tysiąc lat? Dwa tysiące? Milion? Spruce jeszcze bardziej się wściekł i wykrzyczał: „Zostaniecie tu tyle czasu, ile zajmie wam rehabilitacja! Potem...”. Tutaj przerwał, patrząc na nas z nienawiścią, po czym dodał: „Przy dłuższym kontakcie z wami nawet najtwardsi z nas

przejmują wasze cechy. Sami musimy przechodzić rehabilitację. Już czuję się nieczysty...”. Jeden z członków rady zaproponował, żeby trochę przypiec jeńca nad ogniem, to powie całą prawdę. Wtedy Spruce wrzasnął: „Nie, nie dowiecie się! Już dawno powinienem to zrobić. Kto wie, co...”. - Burton zawiesił głos dla większego efektu. - Po czym Spruce padł martwy na ziemię!

Słuchacze wstrzymali oddech. Ktoś zawołał „Mein Gott!”.

- Tak, ale to nie koniec opowieści - kontynuował Anglik. - Ciało Spruce'a zabrano w celu przeprowadzenia sekcji. Atak serca wydał nam się zbyt wielkim zbiegiem okoliczności. Po pierwsze, nastąpiłby w zbyt wygodnym momencie, a po drugie, w Świecie Rzeki nikt jeszcze nie umarł w ten sposób. Gdy ciało poddawano sekcji, dyskutowaliśmy o tym, co się wydarzyło. Niektórzy uważali, że Spruce kłamał, a przynajmniej nie powiedział całej prawdy. W jednym byliśmy zgodni: w Dolinie Rzeki przebywają agenci Etyków, a może nawet sami Etycy. Można ich rozpoznać po braku symbolu na czole. Podejrzewaliśmy jednak, że od tej pory nie będziemy już ich w stanie wskazać za pomocą niezwykle wzroku neandertalczyka. Spruce prawdopodobnie zmartwychwstanie w bazie Etyków i poinformuje ich, że wiemy o symbolach, a ci oznakują w ten sposób także swoich agentów. Choć z drugiej strony przypuszczaliśmy, że ten proces trochę potrwa, a w tym czasie Kazz mógłby odkryć kolejnych szpiegów. Tak się jednak nie stało. Ani on, ani Besst nie znaleźli nikogo nowego bez znaku na czole. Oczywiście nie musi to o niczym przesądzać, zwłaszcza że symbole są widoczne tylko z bliska i w odpowiednich warunkach. Trzy godziny później przyszedł chirurg i poinformował nas o wynikach sekcji zwłok. Spruce nie różnił się niczym od jakiegokolwiek innego przedstawiciela *homo sapiens*. - Burton ponownie zawiesił głos. - Poza jednym szczegółem! Na powierzchni płatów czołowych Spruce'a lekarz znalazł malutką, czarną kulkę, połączoną z nerwami za pomocą niezwykle cienkich drucików. To nas przekonało, że Spruce popełnił samobójstwo, a dosłownie: zamyślił się na śmierć. W jakiś sposób ta kulka odczytywała jego procesy umysłowe. Być może pomyślał o jakimś kodzie, a to spowodowało uwolnienie trucizny do organizmu. Lekarz nie znalazł nic, co mogłoby potwierdzać tę wersję, ale przecież nie dysponował sprzętem umożliwiającym przeprowadzenie dokładnej analizy chemicznej. Tak czy inaczej, ciało Spruce'a nie było w żaden sposób uszkodzone. Coś zatrzymało akcję serca, ale lekarz nie potrafił powiedzieć, co to było.

- A więc między nami może przebywać więcej takich osób? - odezwała się jedna z kobiet. - Nawet przy tym ognisku?

Burton kiwnął głową i w jednej chwili wszyscy zaczęli rozmawiać. Po piętnastu minutach wrzawy Anglik wstał i polecił załodze udanie się na spoczynek. Gdy szli w stronę

kutra, Burtona zaczepił Kazz.

- Burton-*naq*, kiedy wspomniałeś, że ty i Monat znacie się na hipnozie... cóż, to mi podsunęło pewną myśl. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy... może to wcale nie jest ważne... tylko że...

- Tak? - zachęcił go Burton.

- To nic takiego - zaczął neandertalczyk. - Tylko wydało mi się to trochę dziwne. Widzisz, powiedziałem Spruce'owi, że nie widzę na jego czole znaku, a wtedy on się oddalił, ale czułem od niego zapach strachu. Byli tam też inni: Targoff, doktor Steinborg, Monat, Pete i jeszcze kilka osób, wszyscy jedli śniadanie. Potem Targoff powiedział, że powinniśmy zwołać zebranie rady. Monat i Pete się zgodzili, ale najpierw chcieli porozmawiać ze mną o tym, jak wyglądają te znaki i czy są takie same, czy może różnią się między sobą. Powiedziałem, że się różnią. Wiele z nich wygląda... jak to się mówi? Podobnie. Ale każdy... cholera, przecież wiesz, jak wyglądają, bo ci je narysowałem.

- Niektóre przypominają chińskie ideogramy - odpowiedział Burton. - Ale większość z nich mi się nie kojarzy. Zgaduję, że mogą to być symbole w systemie numerycznym.

- Tak, wiem, co mówiłeś - odparł Kazz. - Ale chodzi o to, że zanim poszliśmy do ciebie, aby ci o wszystkim opowiedzieć, Monat i Frigate zaprowadzili mnie do chaty tego pierwszego.

Kazz przerwał.

- I co? - niecierpliwił się Burton.

- Próbuję sobie przypomnieć, ale nie mogę - odpowiedział Kazz. - Wszedłem do chaty i to wszystko!

- Jak to „to wszystko”?

- Burton-*naq*, to wszystko co pamiętam. Nie pamiętam niczego, co stało się w chacie. Wiem, że wszedłem do środka, a po chwili szedłem wraz z członkami rady do twojego domu.

Burton poczuł się lekko zszokowany, choć nie do końca wiedział, dlaczego.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz niczego od momentu wejścia do chaty Monata aż do chwili jej opuszczenia? - spytał.

- Nie pamiętam nawet, jak z niej wyszedłem - odparł Kazz. - Nagle znalazłem się o sto kroków dalej, idąc obok Monata i z nim rozmawiając.

Burton zmarszczył brwi. Alicja i Besst stały na przystani, oglądając się na mężczyzn, jak gdyby się zastanawiały, co ich zatrzymało.

- To bardzo dziwne, Kazz - odezwał się Anglik po chwili. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? W końcu minęło tyle lat od tamtych wydarzeń. Czy wcześniej nie

przyszło ci to do głowy?

- Nie - odpowiedział neandertalczyk. - Czyż to nie zabawne? Nigdy nawet o tym nie pomyślałem. Nadal nie pamiętałbym momentu wejścia do chaty, gdyby któregoś dnia Loghu o tym nie wspomniała. Widziała, jak wchodzę do środka, ale tamtego dnia nie przebywała z grupą, więc nie wiedziała, co się dzieje. Stała w drzwiach chaty, którą dzieliła z Frigate'em. Pete, Monat i ja chcieliśmy tam wejść, ale kiedy oni zobaczyli kobietę, zabrali mnie do domu Arkturiańczyka. Loghu napomknęła o tym wczoraj zupełnie przypadkiem. Wspominaliśmy naszą niewolę i rozmowa zesłała na temat Spruce'a. Wtedy Loghu spytała mnie, o czym wtedy rozmawiałem z Monatem i Pete'em. Zastanawiała się, czemu chcieli pomówić ze mną na osobności. Wcześniej nigdy nie przywołała tego tematu, bo nie wydawało jej się to istotne. Ale teraz z czystej ciekawości postanowiła mnie spytać. Sam wiesz, jak ciekawskie są kobiety.

- Są ciekawskie niczym koty. - Burton się zaśmiał. - Z kolei mężczyźni są ciekawscy jak małpy.

- Co? Co to znaczy? - zdziwił się Kazz.

- Nie wiem, ale brzmi mądrze - odparł Anglik. - Później wymyślę jakieś wyjaśnienie. A więc to słowa Loghu sprawiły, że przypomniałeś sobie wydarzenia poprzedzające wejście do chaty Monata?

- Nie od razu, Burton-*naq* - zaprzeczył Kazz. - Musiałem się zastanowić nad tym, co mi powiedziała. Długo wysilałem umysł. Słyszałem, jak w mojej głowie pracują szare komórki. W końcu udało mi się przywołać niewyraźne wspomnienie, w którym idziemy do chaty Pete'a, spotykamy tam Loghu, a Monat proponuje udanie się do jego domu. A po jakimś czasie... przypomniałem sobie, jak tam wchodzę. Czy nie zauważyłeś, że podczas twojej opowieści siedziałem przy ognisku ze zmarszczonym czołem, jakby pod czaszką rozpętała mi się burza?

- Myślałem, że jak zwykle przesadziłeś z jedzeniem i piciem - odpowiedział Burton.

- To też, ale to nie gazy we mnie szalały - odparł neandertalczyk. - To pierdnięcia umysłu.

- Nie wspominałeś o tym Monatowi ani Frigate'owi? - spytał Anglik.

- Nie.

- Więc tego nie rób.

Co prawda Kazz miał niskie czoło, ale nie brakowało mu inteligencji.

- Myślisz, że tych dwóch coś knuje? - spytał.

- Nie wiem - odpowiedział Burton. - Mam nadzieję, że nie. Po tych wszystkich

latach... to dobrzy przyjaciele. A przynajmniej...

- To niemożliwe - przerwał mu Kazz. Głos miał taki, jakby za moment miało mu pęknąć serce.

- Co jest niemożliwe?

- Nie wiem. Ale z pewnością miałeś na myśli coś złego.

- Tego nie mogę być pewien - odparł Burton. - Być może istnieje przekonujące wytłumaczenie, inne niż to, o którym myślę. Tak czy inaczej, nie wspominaj o tym nikomu.

- Nie ma obawy - rzekł neandertalczyk. - Tylko że... oni obaj mają znaki na czole. Zawsze je mieli. Więc, skoro agenci kiedyś nie mieli symboli, to Pete i Monat nie mogą być agentami!

Burton się uśmiechnął. Pomyślał dokładnie o tym samym. Ale sprawa wymagała zbadania. Tylko jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń u wspomnianej dwójki? Oczywiście równie dobrze Pete i Monat mogą nie mieć nic do ukrycia.

- Wiem - odezwał się po chwili namysłu. - Nie zapomnij, że Besst także widziała ich symbole, więc mamy podwójny dowód. W każdym razie ani pary z ust, dopóki nie rozkażę inaczej.

Ruszyli w stronę *Żmirłacza*.

- Sam już nie wiem - rzekł Kazz. - Mam złe przeczucia. Żałuję, że się wygadałem Loghu. Ona może ich ostrzec.

25

Burton chodził tam i z powrotem po pokładzie skąpanym we mgle. Choć ręczniki ogrzewały jego ciało, twarz miał przemarzniętą. Ostatnio w okolicy pojawiły się masy niezwykle zimnego powietrza, spiętrzając mgłę do wysokości połowy masztu. W efekcie Anglik nie widział nawet swej wyciągniętej dłoni.

O ile dobrze się orientował, wszyscy członkowie załogi poza nim spali. Towarzystwa dotrzymywały mu jedynie własne myśli, które okazały się niezwykle rozbiegane, niczym owce na zboczu wzgórza. Burton musiał mocno się napracować, aby przywołać je z powrotem, zebrać do kupy i poprowadzić na pastwisko, na którym bynajmniej nie czekała soczysta trawa.

Musiał przeanalizować wspomnienia z ostatnich trzydziestu trzech lat, koncentrując się na postaciach Monata i Frigate'a. Które z ich zachowań i wypowiedzianych słów wydawały się podejrzane? Jakie elementy można dopasować do tej mrocznej układanki?

Jak dotąd natrafił na niewielu ludzi, którzy zbliżali go do rozwiązania zagadki. A może spotkał już dużo takich osób, ale nie zorientował się, że stanowią część większego obrazu?

Tego strasznego, radosnego dnia, gdy powstał z martwych, pierwszą osobą, którą napotkał, był Arkturiańczyk. Wydawał się on najspokojniejszy i najrozsądniejszy ze wszystkich wskrzeszonych, zaskakująco szybko przystosowując się do nowej sytuacji, z wprawą badając otoczenie i natychmiast rozwiązując tajemnicę rogów obfitości.

Drugim człowiekiem, na którego zwrócił uwagę Burton, był Kazz, on jednak początkowo nie próbował rozmawiać z Anglikiem, a jedynie za nim podążał. Peter Frigate okazał się drugą osobą, która odezwała się do Burtona. Gdy teraz się nad tym zastanowić, Frigate zachowywał się wtedy dość swobodnie, co nijak nie pasowało do stanu przerażenia i hysterii, który podobno towarzyszył mu od chwili wskrzeszenia.

Późniejsze wydarzenia jakby potwierdzały wersję Frigate'a, choć od czasu do czasu, a w ciągu ostatnich dwóch lat w miarę regularnie, Amerykaninowi udawało się przezwyciężyć słabość. Czy faktycznie zapanował nad sobą? A może jedynie porzucił odgrywaną rolę?

Z pewnością wydawało się niezwykłym zbiegiem okoliczności, że druga osoba, którą Burton poznał w Świecie Rzeki, okazała się autorem jego biografii. Ilu takich ludzi żyło na Ziemi? Dziesięciu? Dwunastu? Jakie było prawdopodobieństwo, że jeden z nich

zmartwychwstanie w odległości kilku metrów od niego? Dwanaście do trzydziestu sześciu miliardów.

A jednak, choć mało prawdopodobne, nie było to niemożliwe.

Potem do grupy ludzi zgromadzonych wokół Burtona dołączył Kazz, a wkrótce po nim Alicja i Lev Ruach.

Niedawno Anglik ponownie przepytął Kazzę, swojego sternika, chcąc wiedzieć, czy w Dniu Zmartwychwstania neandertalczyk rozmawiał z Monatem lub Frigate'em, i czy jego uwagę zwróciło wtedy coś podejrzanego.

Kazz pokręcił głową.

- Przebywałem w ich towarzystwie kilka razy, gdy ciebie nie było w pobliżu - odpowiedział. - Ale nie pamiętam, aby robili cokolwiek dziwnego. Choć, prawdę mówiąc, Burton-*naq*, tamtego dnia wszystko było dziwne.

- Czy widziałeś wtedy znaki na czołach ludzi? - spytał Anglik.

- Owszem, kilka. Kiedy słońce znajdowało się najwyżej.

- A u Monata i Frigate'a?

- Nie pamiętam, abym tamtego dnia widział u nich symbole - odrzekł Kazz. - Jednak u ciebie też nic nie widziałem. Słońce musi się odbijać od skóry pod odpowiednim kątem.

Burton wyjął z torby zawieszanej na ramieniu blok papieru z włókien bambusa, zaostrzoną oś i drewnianą buteleczkę z atramentem. Przejął ster, gdy Kazz rysował symbole, które dostrzegł na czole Arkturiańczyka i Amerykanina. Oba składały się z trzech równoległych poziomych linii przeciętych trzema równoległymi pionowymi liniami i zestawionych z krzyżem wpisanym w okrąg. Linie miały taką samą długość i szerokość, za wyjątkiem końcówek. Linie Monata rozszerzały się po prawej, a Frigate'a po lewej stronie.

- A znak na moim czole? - spytał Burton. Neandertalczyk pokazał mu cztery faliste równoległe poziome linie umieszczone obok symbolu przypominającego znak &. Poniżej znajdowała się krótka cienka prosta pozioma linia.

- Symbole Monata i Pete'a są do siebie niezwykle podobne - zauważył Burton.

Na życzenie Anglika Kazz narysował symbole wszystkich członków załogi. Wszystkie bardzo się od siebie różniły.

- Czy pamiętasz, jaki znak nosił na czole Lev Ruach? - spytał Burton.

Kazz kiwnął głową i po chwili podał Anglikowi gotowy rysunek. Burton poczuł się zawiedziony, choć nie miał ku temu żadnego powodu. Znak Ruacha nie był w niczym podobny do symboli głównych podejrzanych.

Przemierzając zamglony pokład, Burton zastanawiał się, czemu oczekiwał, że ten znak

okaze się zbliżony wyglądem do znaków na czole Monata i Frigate'a. W jego umyśle zaczynały się formować podejrzenia. Coś łączyło tę trójkę, ale odpowiedź w ostatniej chwili mu uciekła.

Dość tego rozmyślania, czas na działanie.

Kazz leżał pod ścianą kajuty, zawinięty w białe ręczniki. Burton odnalazł go po odgłosach chrapania i potrząsnął neandertalczykiem, który od razu obudził się z głośnym chrząknięciem.

- Już czas? - spytał.

- Już czas.

Najpierw Kazz musiał się wysikać za burtę. Burton zapalił lampę tranową i wspólnie zeszli po trapie na przystań. Następnie powoli ruszyli w poprzek równiny w stronę pustej chatki oddalonej o około dwieście kroków. Początkowo minęli ją we mgle, ale po zatoczeniu okręgu udało im się ją odnaleźć. Gdy weszli do środka, Burton zamknął drzwi. Wcześniej tego wieczoru Kazz ułożył na kamiennej platformie kilka drewnianych belek i trochę wiórów. Po chwili na środku chaty płonął niewielki ogień. Kazz usiadł w fotelu uplecionym z bambusowych włókien, krztusząc się dymem z paleniska.

Neandertalczyka nie było trudno wprowadzić w hipnotyczny trans. Burton wielokrotnie to czynił w ostatnich latach, zabawiając w ten sposób napotkanych tubylców.

Anglik uzmysłowił sobie, że zawsze towarzyszyli mu wtedy Monat i Frigate. Czy się denerwowali? Jeśli nawet, to potrafili skutecznie to ukryć.

Burton cofnął Kazz'a do chwili, gdy ten poinformował grupę jedzącą śniadanie, że Spruce nie ma na czole symbolu. Następnie doszedł do momentu wejścia do chaty Monata. Tutaj napotkał pierwszą przeszkodę.

- Czy już jesteś w chacie? - spytał.

Kazz patrzył wprost przed siebie, jakby skupiał wzrok na przeszłości.

- Stoję w drzwiach - odpowiedział.

- Wejdź do środka, Kazz.

Neandertalczyk zadrżał.

- Nie mogę, Burton-*naq* - odparł.

- Czemu?

- Nie wiem.

- Czy w chacie znajduje się coś, czego się boisz? - spytał Anglik.

- Nie wiem.

- Czy ktoś powiedział ci, że w chacie znajduje się coś złego?

- Nie.

- W takim razie nie masz się czego bać, Kazz. Jesteś odważnym mężczyzną, prawda?

- Wiesz, że tak, Burton-*naq*.

- Więc czemu nie możesz wejść?

Kazz potrząsnął głową.

- Nie wiem. Coś...

- Coś? - spytał Burton.

- Coś... mówi mi... mówi mi... nie pamiętam - odrzekł neandertalczyk.

Burton przygryzł dolną wargę. Płonące drewno trzaskało i syczało.

- Kto ci to mówi? - spytał. - Monat? Frigate?

- Nie wiem.

- Pomyśl!

Kazz zmarszczył spocone czoło.

Drewno znów głośno zatrzeszczało. Burton uśmiechnął się, słysząc ten odgłos.

- Kazz!

- Tak.

- Kazz! Besst jest w chacie i krzyczy! Czy słyszysz, jak krzyczy?

Kazz gwałtownie się wyprostował i rozejrzał po pomieszczeniu szeroko otwartymi oczami. Miał rozchylone nozdrza i wyszczerzone zęby.

- Słyszę ją! - zawołał. - Co się dzieje?

- Kazz! W chacie jest niedźwiedź i zaraz zaatakuje Besst! Weź włócznię i wejdź do środka, żeby go zabić! Uratuj Besst!

Kazz wstał, chwycił dłonią wyimaginowaną włócznię i skoczył naprzód. Burton musiał zwinnie usunąć się z drogi. Neandertalczyk potknął się o fotel i runął na twarz.

Anglik się skrzywił. Czy uderzenie wyrwie Kazza z transu? Nie, już się podniósł i przygotował do ataku.

- Kazz, jesteś w chacie! - zawołał Burton. - Widzisz niedźwiedzia! Zabij go, Kazz! Zabij!

Neandertalczyk warknął, chwycił nieistniejącą włócznię w obie dłonie i mocno pchnął.

- Ajii! Ajii! - zawył Kazz, po czym wyrzucił z siebie kilka ostrych dźwięków. Burton, który nauczył się ojczystego języka swojego towarzysza, zrozumiał ich znaczenie. „Jestem Człowiek-Który-Zabił-Zwierza-O-Długich-Białych-Zębach! Giń, Włochaty-Stworze-Który-Śpi-Całą-Zimę! Giń, ale wybac mi! Muszę to zrobić. Giń! Giń!”.

- Kazz, on już uciekł! - odezwał się Burton. - Niedźwiedź wybiegł z chaty! Besst już

jest bezpieczna!

Kazz przestał wymachiwać włócznią i wyprostował się, patrząc wkoło.

- Kazz, minęło kilka minut - rzekł do niego Anglik. - Besst już sobie poszła. Znajdujesz się teraz w chacie! W środku. Nie musisz się niczego bać! Wszedłeś do chaty i nic cię w niej nie przeraża! Kto jest tam razem z tobą? Kazz, jesteś w chacie, kilka minut po tym, jak zobaczyłeś, że Spruce nie ma symbolu na czole. Kto jest z tobą w chacie?

Neandertalczyk się uspokoił i popatrzył na Burtona otępiłym wzrokiem.

- Jak to kto? Monat i Pete - odpowiedział.

- Bardzo dobrze, Kazz. A teraz... kto pierwszy się do ciebie odezwał?

- Monat.

- Co takiego powiedział? I co mówił Frigate? - spytał Anglik.

- Frigate się nie odzywał. Tylko Monat - odparł Kazz.

- Co powiedział... co mówi?

- Monat mówi: „Kazz, zapomnisz wszystko, co wydarzy się w tej chacie. Porozmawiamy chwilę, a kiedy wyjdiesz, nie będziesz pamiętał pobytu w chacie. Wszystko pomiędzy chwilą wejścia do niej i jej opuszczenia stanie się pustką. Jeśli ktoś cię spyta o to, co tu robiłeś, odpowiesz, że nie pamiętasz. I nie skłamiesz, bo rzeczywiście o wszystkim zapomnisz. Czyż nie, Kazz?”

Neandertalczyk skinął głową.

- „Ponadto, Kazz, nie będziesz pamiętał o tym, jak po raz pierwszy kazałem ci zapomnieć, że wspomniałeś Frigate'owi i mnie, że nie mamy na czole symboli. Pamiętasz tę chwilę, Kazz?”

Kazz pokręcił głową.

- „Nie, Monacie” - odpowiedział, po czym głośno odetchnął.

- Kto wydał ten dźwięk? - spytał Burton.

- Frigate.

Brzmiało to zdecydowanie jak westchnienie ulgi.

- Co jeszcze mówił Monat? - zapytał Anglik. - Powtórz także własne słowa.

- „Kazz, kiedy rozmawiałem z tobą po raz pierwszy, zaraz po tym, jak poinformowałeś Frigate'a i mnie, że nie mamy symboli, poleciłem ci także, abyś opowiedział mi wszystko, co mówił Burton o spotkaniu z tajemniczym człowiekiem. Chodzi mi o osobę, która może nazywać siebie Etykiem”

- Aha! - zakrzyknął Anglik.

- „Pamiętasz to, Kazz?”

- „Nie”.

- „Oczywiście, że nie. Kazałem ci o tym zapomnieć. Ale teraz chcę, żebyś sobie przypomniał. Czy już pamiętasz, Kazz?”.

Nastąpiła cisza trwająca około dwudziestu sekund.

- „Tak, teraz pamiętam” - odpowiedział w końcu neandertalczyk.

- „To bardzo dobrze, Kazz. Teraz ponownie o tym zapomnij, ale nadal stosuj się do mojego polecenia. Jasne?”.

- „Jasne” .

- „Teraz posłuchaj. Czy Burton kiedykolwiek opowiadał ci o tym Etyku? Albo o kimkolwiek innym, kto twierdził, że jest jednym z tych, którzy wskrzesili nas z martwych?”.

- „Nie, Burton-*naq* nigdy nie opowiadał mi o niczym takim”.

- „Jednak jeśli w przyszłości to zrobi, od razu do mnie przyjdiesz i zdasz mi dokładną relację. Zrobisz to w chwili, gdy nie będzie z nami nikogo innego. Rozumiesz?”.

- „Tak, rozumiem”.

- „Jeśli z jakiegoś powodu nie będzie mnie w okolicy, na przykład zginę bądź wyruszę w podróż, opowiesz wszystko Peterowi Frigate'owi lub Lvowi Ruachowi. Rozumiesz?”.

- A więc Ruach też - wymamrotał Burton.

- „Tak, rozumiem. Powiem Peterowi Frigate'owi lub Lvowi Ruachowi, a nie tobie”.

- „Zwrócisz się do nich tylko wtedy, gdy nikogo innego nie będzie w pobliżu, gdy nikt nie będzie was w stanie podsłuchać. Rozumiesz?”.

- „Tak, rozumiem”.

- „I nikomu innemu o tym nie powiesz, tylko Frigate'owi, Ruachowi lub mnie. Rozumiesz?”.

- „Tak, rozumiem”.

- „Bardzo dobrze, Kazz. Teraz wyjdziemy z chaty, a kiedy dwukrotnie pstryknę palcami, zapomnisz o tej, a także o naszej poprzedniej rozmowie. Rozumiesz?”.

- „Tak, rozumiem”.

- „Ponadto... oho, ktoś nas woła! Nie mamy czasu. Chodźmy!”.

Burton musiał zgadywać, co oznaczała ostatnia kwestia. Monat zapewne miał zamiar poinformować Kazza, co ten ma odpowiedzieć, jeśli ktoś spyta, o czym rozmawiali w chacie. Anglikowi dopisało szczęście. Gdyby w umyśle Kazza zaprogramowano wiarygodną odpowiedź, Burton nigdy nie trafiłby na trop tej sprawy.

26

- Usiądź, Kazz - odezwał się Burton. - Usiądź wygodnie i poczekaj chwilę. Ja muszę wyjść, ale zaraz przyjdzie Monat i z tobą porozmawia.

- Rozumiem - odpowiedział neandertalczyk.

Burton wyszedł z chaty i postął chwilę przed drzwiami. Od początku sesji powinien był udawać Monata. W ten sposób mógłby szybciej przełamać opór Kazza i nie musiałby się uciekać do sztuczek z niedźwiedziem i Besst.

Ponownie wszedł do pomieszczenia.

- Witaj, Kazz. Jak się miewasz?

- W porządku, Monacie. A ty?

- Świetnie! No dobrze, zacznijmy od miejsca, w którym przerwał twój przyjaciel, Burton. Cofniemy się do chwili, gdy po raz pierwszy z tobą rozmawiałem, zaraz po tym, jak zauważyłeś, że Frigate i ja nie mamy symboli na czole. Przypomnij sobie teraz ten moment. Cofnij się do chwili, gdy poinformowałeś Monata o braku znaków. Już? Gdzie się znajdujecie?

- Obok kamienia obfitości.

- Który to dzień lub noc?

- Nie rozumiem.

- Ile dni minęło od zmartwychwstania?

- Trzy dni.

- Opowiedz, co się stało po tym, jak poinformowałeś ich o braku symboli.

Kazz zaczął opisywać monotonnym głosem tamte wydarzenia. Monat i Frigate poprosili neandertalczyka o rozmowę na osobności. Następnie pomaszrowali we trójkę przez równinę aż na wzgórze. Tam schowali się za drzewem żelaznym, a Monat popatrzył Kazzowi prosto w oczy. Bez udziału jakichkolwiek urządzeń mechanicznych i bez żadnych wyjaśnień Arkturiańczyk zahipnotyzował neandertalczyka.

- Czuję się, jakby wypłynęło z niego coś mrocznego i przejęło nade mną kontrolę - wyjaśnił Kazz.

Burton pokiwał głową. Nie raz był świadkiem pokazu umiejętności Monata, jego „zwierzęcego magnetyzmu”, jak nazywano podobne zdolności w czasach Anglika.

Arkturiańczyk był sprawniejszym hipnotyzerem niż Burton, co stanowiło jeden z powodów, dla których Anglik nigdy nie pozwolił mu się wprowadzić w trans, a nawet postarał się zabezpieczyć przed zahipnotyzowaniem wbrew własnej woli. Podczas skomplikowanego seansu autohipnozy Burton przekonał sam siebie, że nie wolno mu ulec hipnotycznym zdolnościom Monata. Jednak Monat mógł być na tyle potężny, by pokonać tę blokadę, więc Anglik starał się zachowywać szczególną ostrożność, gdy przebywał sam na sam z Akturiańczykiem.

Ta ostrożność wynikała z obawy, że Monat mógłby dotrzeć do wspomnień dotyczących wizyty Etyka. Burton chciał, aby to wydarzenie pozostało tajemnicą. Wtedy jeszcze nie miał pojęcia, że Monat jest jednym z nich.

Anglik zastanawiał się, czy Frigate również zna się na hipnozie. Amerykanin nigdy nie przejawiał takich zdolności, ale nie zgodził się, aby Burton wprowadził go w trans. Stwierdził, że nie może znieść myśli o utracie kontroli nad swoim zachowaniem.

Kazz przypomniał sobie, że podczas opisywanej sesji Monat wspomniał Frigate'owi o zdolności neandertalczyka do widzenia symboli na czołach ludzi. „Nie mieliśmy o tym pojęcia. Musimy jak najszybciej powiadomić bazę”.

A więc Monat i Frigate od czasu do czasu komunikowali się z Etykami. Jak im się to udawało? Czy jednym ze sposobów porozumiewania się były wcześniej zaplanowane lądowania dziwnych latających maszyn balansujących na granicy widzialności?

Obaj mężczyźni musieli uważnie obserwować Burtona. Zapewne dlatego Tajemniczy Nieznajomy odwiedził go nocą w czasie burzy. Etyk musiał wiedzieć, że Monat i Frigate wędrują razem z Burtonem, ale nie ostrzegł Anglika, by ten miał się przed nimi na baczności.

Być może zamierzał to uczynić, ale nie zdążył. Powiedział wtedy, że Etycy zbliżają się w swoich latających maszynach, po czym szybko się oddalił. Ale przecież nie omieszkałby wspomnieć o tak ważnej sprawie, wystarczyło kilka słów ostrzeżenia. Czemu więc nic nie powiedział? Czyżby nie wiedział, że Monat i Frigate przebywają w otoczeniu Burtona? No i jeszcze Ruach. O nim też nie wolno zapominać.

Czemu przydzielono do niego aż trzech agentów? Czy nie wystarczyłby jeden? Ponadto, czemu powierzono to zadanie komuś równie charakterystycznemu jak Arkturiańczyk?

Niezależnie od przyczyn, najpilniejsza wydawała się kwestia braku symboli na czołach trzech agentów. Najwyraźniej w ten sposób zostali oznakowani tylko Etycy niektórych szczebli. Kiedy mężczyźni dowiedzieli się, że neandertalczyki potrafią dostrzec symbole, zadbali o to, by Kazz nikomu nie wspomniał o swoim odkryciu.

Co więcej, Monat zaprogramował umysł Kazza w taki sposób, aby od tej pory neandertalczyk widział symbole na czołach swoich trzech towarzyszy.

Czemu nie zdecydował się na rozszerzenie tego na wszystkich nieoznakowanych ludzi?

Może doszedł do wniosku, że nie okaże się to konieczne. Prawdopodobieństwo napotkania innych neandertalczyków, których populacja nie była zbyt liczna, wydawało się stosunkowo małe. Choć z drugiej strony taki manewr zagwarantowałby agentom trwałe bezpieczeństwo.

Wyjaśnienie mogło być bardzo proste. Monat musiałby opisać symbole znajdujące się na czołach wszystkich agentów w dolinie. Jako że ich liczba może sięgać setek, a nawet tysiący, zadanie to okazałoby się fizycznie niemożliwe.

Monat nie mylił się, zakładając, że spotkania z neandertalczykami będą należeć do rzadkości. Podczas całego pobytu nad Rzeką Burton widział ich mniej niż setkę. Wszystkich poza Kazzem i Besst za dnia omijali szybko i dużym łukiem.

A jednak spotkali Besst.

Anglik spróbował sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach do tego doszło. Pewnego wieczoru trzy lata temu zeszli na ląd. Znajdowali się w okolicy zamieszkaną przez czternastowiecznych Chińczyków i starożytnych Słowian. Besst mieszkała z jednym z Chińczyków, ale od razu dała załodze do zrozumienia, że wolałaby ruszyć w dalszą drogę z Kazzem. Było ciemno, więc nie mogła zaobserwować niczego podejrzanego u Frigate'a i Monata, oczywiście poza tym, że ten drugi nie należy do ludzkiej rasy.

Kazz i Besst spędzili cały wieczór na rozmowie. Kiedy dotychczasowy partner kobiety polecił jej wracać do chaty, Besst odmówiła. Przez pełną napięcia chwilę wydawało się, że Chińczyk zaatakuje Kazza, ale zwyciężył rozsądek. Tubylec zorientował się, że choć przewyższa neandertalczyka wzrostem, to znacznie ustępuje mu siłą. Kazz nie imponował posturą, ale dzięki potężnym mięśniom dorównywał krzepą najsilniejszym współczesnym mężczyznom, a jego rysy twarzy mogły przstraszyć każdego wroga.

Besst i Kazz weszli na pokład i spędzili razem noc. Ale przed świtem zasnęli. Czy to właśnie wtedy Monat dopadł kobietę? Zapewne tak. Burton nie miał pojęcia, jak Arkturiańczyk tego dokonał, ale Besst nigdy nie wspomniała o braku symboli na czołach Monata i Frigate'a.

Kazz zakończył swoją krótką relację z sesji hipnotycznej. Anglik usłyszał to, czego się spodziewał.

Wysłał neandertalczyka po Besst, nakazując mu, by się zachowywał bardzo cicho. Po

kilku minutach Kazz wrócił razem z kobietą. Burton poinformował Besst, że później zaspokoi jej ciekawość, ale najpierw musi ją zahipnotyzować. Kobieta zgodziła się zaspanym głosem i usiadła w fotelu, który wcześniej zajmował jej mężczyzna.

Burton ponownie wcielił się w rolę Monata i cofnął Besst do chwili jej zahipnotyzowania przez Arkturiańczyka. Tak jak przypuszczał, dokonało się to, gdy kobieta zasnęła. Monat dokładnie opisał jej wygląd symboli, które miała dostrzegać na czołach trzech agentów. Cały proces zapewne dokonał się szybko i po cichu.

Monat i jego towarzysze mieli szczęście. Zanim Kazz spotkał Spruce'a, widział dwóch innych nieoznakowanych ludzi. Po raz pierwszy stało się to w Dniu Zmartwychwstania. Spytał napotkanego mężczyznę, czemu ten nie ma symbolu na czole, ale zapytany uciekł, zapewne nie dlatego, że zrozumiał, o co chodzi neandertalczykowi, ale dlatego, że źle rozpoznał zamiary Kazza.

Kazz chciał opowiedzieć Burtonowi o tym wydarzeniu, ale wtedy jeszcze nie znał angielskiego. Potem w ogólnym zamieszaniu zapomniał o całej sprawie.

Drugą nieoznakowaną osobą, którą spotkał Kazz, była pewna Mongołka. Neandertalczyk zobaczył, jak kobieta w samo południe wychodzi z Rzeki po kąpieli. Kazz próbował z nią porozmawiać, ale towarzysz kobiety (oznakowany) na to nie pozwolił. Najwyraźniej powodowała nim zazdrość. Intencje Kazza ponownie zostały źle odczytane.

Burton i reszta załogi byli wtedy zajęci rozmową z lokalnym władcą w jego siedzibie, a Kazz został na brzegu, by pilnować statku. Gdy kobieta się oddaliła, kilku tubylców poczęstowało Kazza alkoholem z porostów, nalegając na rozmowę. Mężczyźni nigdy wcześniej nie widzieli neandertalczyka, a alkohol miał go zachęcić do opowiedzenia o sobie. Kazz chętnie skorzystał z oferty i załoga zastała go w stanie silnego upojenia. Neandertalczyk otrzymał od Burtona surową reprimendę i już nigdy nie sięgnął po alkohol, stojąc na straży.

Przy okazji całkiem zapomniał o ujrzanej kobiecie.

Po wybudzeniu Besst z transu, Burton przez chwilę siedział zatopiony w myślach. Kazz i Besst wiercili się niespokojnie i niepewnie na siebie zerkali. W końcu Anglik podjął decyzję. Nie było sensu dłużej czegokolwiek przed nimi ukrywać. Alicja też musiała się o wszystkim dowiedzieć. Nie był nic winien Tajemniczemu Nieznajomemu, a skoro ten nigdy więcej się nie pojawił, Burton nie czuł się zobowiązany do milczenia. Poza tym, choć Anglik z natury lubił sekrety, czuł potrzebę podzielenia się z kimś swoimi doświadczeniami.

Chociaż przedstawił zaledwie zarys całej historii, zajęło mu to ponad godzinę. Besst i Kazz byli bardzo zaskoczeni i mieli mnóstwo pytań, ale Burton uciszył ich gestem dłoni.

- Później! Później! - powiedział. - Teraz musimy ich przesłuchać. Arkturiańczyk to

dużo twardszy orzech do zgryzienia, więc najpierw zajmiemy się Frigate'em.

Poinformował ich, co muszą zrobić.

- Ale czy nie lepiej ogłuszyć i związać Monata? - spytał Kazz. - A co, jeśli się obudzi, zanim skończymy z Frigate'em?

- Nie chcę robić więcej hałasu niż to konieczne - odparł Anglik. - Jeśli usłyszą nas Loghu i Alicja, zrobi się straszny rejwach.

- Co się robi?

- Wrzawa. Chodźmy.

Razem pomaszzerowali przez mgłę w stronę przystani. Burton zastanawiał się, jakie jeszcze pytania powinien zadać Frigate'owi. Monat, Frigate i Ruach musieli wiedzieć, że Spruce jest agentem. Mieli mnóstwo czasu na rozmowę z nim, gdy wszyscy trafili do niewoli. Po wyzwoleniu Arkturiańczyk miał wiele okazji, aby zahipnotyzować Kazzę w taki sposób, by ten widział symbol na czole Spruce'a. Dlaczego więc tego nie uczynił?

Jeśli Monat nie był w stanie dopaść neandertalczyka po buncie niewolników, powinien nakazać Spruce'owi jak najszybsze opuszczenie okolicy lub przynajmniej osłanianie czoła rękami w czasie dnia.

Czy to możliwe, by Spruce nie wiedział, że ta trójka to agenci? Być może było ich wszystkich tak wielu, że nie znali się nawzajem. Ale z pewnością każdy musiał wiedzieć o Monacie.

Burton przystanął i wstrzymał oddech.

Tajemniczy Nieznajomy nigdy nie wspominał o tym, że posiada własnych agentów. Ale z drugiej strony jako renegata mógł zwerbować kilku zaufanych ludzi. Czy Spruce był jednym z nich? I czy Monat mógł się w jakiś sposób o tym dowiedzieć, po czym pozbyć się przeciwnika, nie ostrzegając go o niezwykłych zdolnościach Kazzę?

Wydawało się to niemożliwe. Gdyby Monat się dowiedział, że Spruce pracuje dla Nieznajomego, w co Burton szczerze wątpił, to zapewne by go zahipnotyzował. To pozwoliłoby na odkrycie tożsamości renegata, zakładając, że Spruce wiedział, kim jest jego pracodawca.

Istniała jeszcze inna możliwość. Monat mógł wiedzieć, że Spruce dysponuje zdolnością popełnienia samobójstwa za pomocą małej kulki umieszczonej na płatach czołowych, więc nie obawiał się, że przesłuchującym uda się z niego cokolwiek wycisnąć.

Arkturiańczyk mógł również wykorzystać Spruce'a w roli posłańca. Przekazał mu jakieś ważne informacje, które miały trafić do głównej bazy, gdzie zmartwychwstał jeniec. Jeśli oczywiście chodziło o bazę Etyków.

Monat brał udział w przesłuchaniu Spruce'a. Musiało go to niezwykle bawić. W końcu to on zadawał większość pytań.

Czy Spruce został przygotowany przez Monata do udzielenia właśnie takich odpowiedzi? Czy cały czas kłamał?

Jeśli tak, to czemu to robił? Dlaczego ukrywano prawdę przed wszystkimi wskrzeszonymi?

Może Spruce, wykonując rozkaz Monata, sam zadbał o to, by Kazz zauważył brak symbolu na jego czole.

Cała trójka weszła na pokład *Żmirlacza*. Neandertalczycy zostali na górze, a Burton po omacku udał się po zejściówce do części mieszkalnej, gdzie zatrzymał się przed drzwiami kajuty Frigate'a i Loghu. Powoli otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia. Kajuta była bardzo mała i mieściła tylko piętrową, dwuosobową koję wspartą o gródź. Pomieszczenia te stanowiły jedyną enklawę prywatności na statku. Zaspokajano w nich nawet potrzeby fizjologiczne, o czym świadczyły bambusowe nocniki ustawione pod jedną ze ścian.

Frigate zazwyczaj spał na górnej koi. Burton wyciągnął przed siebie rękę i zrobił krok do przodu. Zamierzał delikatnie obudzić Amerykanina, powiedzieć mu, że przyszła jego kolej na objęcie warty, i udać się za nim na pokład. Tam Kazz ogłuszy Frigate'a, po czym razem zanoszą go do chaty.

Jako że nie sposób będzie powstrzymać Frigate'a przed popełnieniem samobójstwa, gdy tylko w pełni się ocknie, Burton postanowił zahipnotyzować Amerykanina, kiedy ten zacznie odzyskiwać przytomność. To ryzykowny plan, ale konieczny. Być może Frigate, w odróżnieniu od Spruce'a, nie zdecyduje się na samobójstwo, zwłaszcza teraz, gdy wskrzeszenia ustały.

Choć z drugiej strony Burton nie był pewien, czy dotyczy to również agentów Etyków.

Opuszkami palców dotknął gładkiego boku koi, po czym przesunął dłoń na ręczniki służące jako materac. Zatrzymał się.

Koja była pusta.

Burton przesunął dłonią po ręcznikach i poczuł, że są ciepłe. Zamyślił się. Czy Frigate wyszedł się załatwić na zewnątrz, żeby nie budzić Loghu? A może obudził się wcześniej i postanowił porozmawiać z kapitanem przed udaniem się na wartę?

A może...? Burton poczuł ukłucie wściekłości. Czy Amerykanin wymknął się z kajuty i był teraz z Alicją?

Zawstydził się i szybko odrzucił tę myśl. Alicja nigdy by go nie zdradziła. Gdyby chciała mieć innego kochanka, to powiedziała by o tym i odeszła. Trudno też uwierzyć, aby

Frigate wyrządził Burtonowi takie świństwo, nawet gdyby po cichu o tym marzył.

Burton schylił się i dotknął dolnej koi. Natrafił dłonią na wybrzuszenie - pierś Loghu przykrytą ręcznikiem. Wyszedł z pomieszczenia i zamknął za sobą drzwi.

Serce tłukło mu się w piersi tak szybko, że niemal się obawiał, że wszyscy je usłyszą. Po cichu udał się do kajuty Monata. Przyłożył ucho do drzwi i przez chwilę uważnie słuchał. Cisza. Wyprostował się, otworzył drzwi i dotknął dłonią górnej koi. Monata nie było w łóżku, ale przecież mógł spać na dolnym posłaniu. Jeśli tak, to oddychał całkiem bezgłośnie.

Anglik dotknął pustej dolnej koi.

Cicho klnąc, po omacku wyszedł na pokład.

Z mgły wyłonił się Kazz z uniesioną pięścią.

- *Wallah!* - zawołał neandertalczyk. - Co się stało?

- Obaj zniknęli - odpowiedział Burton.

- Ale... jak to możliwe?

- Nie wiem. Może Monat wiedział, że coś się szykuje. Nigdy nie spotkałem osoby, która potrafiłaby sprawniej czytać najdrobniejsze sygnały wysyłane przez ludzi, wyczuwać najdelikatniejsze niuanse głosu. A może usłyszał, że budzisz Besst, sprawdził, co się dzieje i odgadł prawdę. Mógł nas nawet podsłuchiwać pod drzwiami chaty.

- Ani Besst, ani ja nie zachowywaliśmy się głośno - odparł Kazz. - Szliśmy cicho jak łasica podchodząca królika.

- Wiem. Sprawdź, czy nie brakuje żadnej łodzi.

Obeszli pokład i spotkali się po drugiej stronie.

- Wszystkie łodzie są na miejscu.

27

Burton obudził Loghu i Alicję. Przy kubku gorącej kawy pobieżnie opowiedział im wszystkie swoje doświadczenia z Etykami. Kobiety były oszołomione, ale milczały, dopóki nie skończył. Wtedy zasypały go gradem pytań, jednak Burton stwierdził, że odpowie na nie później. Zbliżał się świt, co oznaczało, że muszą umieścić rogi obfitości na kamieniu.

Tylko Alicja nie odezwała się ani słowem. Po jej przymkniętych oczach i zaciśniętych ustach Burton zorientował się, że kobieta jest wściekła.

- Wybacz, że musiałem to utrzymywać w tajemnicy - odezwał się Anglik. - Z pewnością rozumiesz, że nie miałem innego wyjścia. Co by się stało, gdybym ci wszystko opowiedział, a potem złapaliby cię Etycy, tak jak mnie? Mogliby zajrzeć do twojego umysłu i odkryć, że nie udało im się usunąć z mojej pamięci wielu ważnych wspomnień.

- Ale mnie nie złapali - odparła Alicja. - Skąd pomysł, że miałoby im to w ogóle przyjść do głowy?

- Skąd wiesz, że tego nie zrobili? - odpowiedział Burton. - Przecież i tak niczego byś nie pamiętała.

To zszokowało Alicję i nie odezwała się aż do śniadania.

Posiłek zjedli przy nietypowej pogodzie. Zazwyczaj słońce szybko rozpędzało mgłę, a w strefie tropikalnej reszta dnia upływała pod znakiem czystego nieba, w umiarkowanej zaś piękna pogoda utrzymywała się do popołudnia. Wtedy nadciągały chmury, z których przez piętnaście minut padał deszcz, po czym niebo znów stawało się czyste.

Tego ranka słońce przesłonił ciemny całun, od czasu do czasu rozświetlany błyskawicami. Wyglądało to tak, jakby kawałki czystego nieba przelatywały przez zasłone z obłoków. Grzmoty przypominały mruczenie olbrzyma skrytego za górami. Nad okolicą rozlało się blade światło, zabarwiając wszystko na brązowożółty kolor. Twarze ludzi zgromadzonych wokół kamienia obfitości sprawiały wrażenie pokrytych rdzą.

Kazz i Besst przycupnęli nad swoim posiłkiem i co chwila rozglądali się z niepokojem, jakby oczekując nieproszonego gościa.

- „Idzie Niedźwiedź-Który-Zabiera-Złych” - wymamrotał neandertalczyk w swoim ojczystym języku.

- Musimy schować się w jakiejś chacie - jęknęła Besst. - Niedobrze przebywać nad

wodą, kiedy on przechodzi.

Pozostali również zaczęli się rozglądać za schronieniem. Wtedy Burton wstał.

- Jeszcze chwilę! - zawołał. - Chciałbym się dowiedzieć, czy nikomu nie zginęła łódź!

- A co się stało? - spytał jeden z mężczyzn.

- Wczoraj w nocy uciekło dwóch członków mojej załogi i możliwe, że kogoś w tym celu okradli - odpowiedział Anglik.

Zapominając o nadciągającej burzy, ludzie rozeszli się wzdłuż brzegu. Po chwili jeden z tubylców zgłosił, że zniknęło jego czółno.

- Teraz są już daleko - odezwał się Kazz. - Ale czy popłynęli w górę, czy w dół Rzeki?

- Gdyby w tej okolicy znajdował się telegraf, szybko byśmy się dowiedzieli - odparł Burton. - Chyba że przybili do brzegu i ukryli się wśród wzgórz.

- Co teraz zrobimy, Dick? - spytała Alicja. - Jeśli zostaniemy tutaj, żeby ich szukać, nie uda nam się dostać na pokład *Reksa*.

Burton powstrzymał się przed zwróceniem jej uwagi, aby nie informowała go o rzeczach oczywistych. Kobieta wciąż była zdenerwowana i nie chciał, by ponownie wpadła we wściekłość.

- Monat i Frigate mogą dziś pozostać w ukryciu, a jutro ukraść kolejną łódź - odpowiedział. - Nie ma sensu ruszać za nimi w pościg. Postaramy się dostać na pokład bocznokołowca. Ta dwójka kiedyś stanie nam na drodze, a wtedy...

- Rozerwiemy ich na strzępy? - spytał Kazz.

Burton wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Nie wiem - odrzekł. - Mają nad nami przewagę. Mogą zniknąć nam z oczu lub nas okłamywać. Dopóki nie dotrzemy do wieży...

Wtedy przemówiła Alicja, a w jej ciemnych oczach pojawiła się zaduma.

Gdybym się skierował za jego poduszczeniem

Na ów trakt złowróżbny, który, jak wszyscy wiedzą,

Ukrywa Mroczną Wieżę. A jednak bez szemrania

Poszedłem, gdzie wskazał; nie skłaniała mnie duma,

A tym mniej nadzieja dojścia tam gdzieś do celu,

Ale raczej ulga, że się z czymś skończy wreszcie.

Bo cóż z mojej całej wędrówki po tym świecie,

Cóż z mojej nauki tak wielu lat? Nadzieja

Zmieniła się w widmo, co nie jest w stanie sprostać

*Żadnej już radości, gdyby ją sukces przyniósł
Więc nie próbowałem powściągać zrywu serca
Wiedząc, że tym razem tylko klęska czeka.*

*I oto tam stali rzędem na stoku - zebrani,
By i na mój koniec patrzeć - żywa rama
Do jeszcze jednego portretu; w blasku luny
Ujrzałem ich wszystkich i poznałem. A jednak,
Wciąż nieustraszony, do ust mój róg podniosłem
I zadąłem: „Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął”.⁵*

Burton wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu.

- Browning zapewne by uznał... a raczej uznaje... ten świat za jeszcze dziwniejszy od rzeczywistości, którą opisał w tym wierszu. Doceniam twój zamiar, Alicjo, mimo że to poeta pierwszy go wyraził. A więc dobrze, udamy się do Mrocznej Wieży.

- Nie wiem, o czym mówiła Alicja - odezwał się Kazz. - Ale tak czy inaczej, jakim sposobem dostaniemy się na ten statek?

- Jeśli król Jan znajdzie dla nas miejsce na pokładzie, zaoferuję mu nasz skarb, czyli bezpieczeństwa rogi obfitości - odpowiedział Burton. - Taka propozycja powinna poruszyć nawet najmniej zachłanne serce.

- A jeśli nie znajdzie dla nas miejsca?

Przez chwilę Burton milczał. Gdy Alicja recytowała wiersz, w głowie Anglika znów pojawił się niepokój, że przegapił jakiś element łączący agentów. Teraz dostrzegł zarys rozwiązania.

W jaki sposób agenci rozpoznawali się nawzajem? Z Monatem nie było tego kłopotu, gdyż od razu rzucał się w oczy. Ale jakiego tajnego sygnału używali ludzcy agenci?

Jeśli posiadali tę samą zdolność co neandertalczyki, to mogli dostrzegać brak symboli na czołach towarzyszy. Burton jednak był skłonny założyć, że tego nie potrafili. W końcu Spruce bardzo się zdziwił, gdy odkrył niezwykły talent Kazza. Choć nic nie powiedział, po jego reakcji dało się stwierdzić, że nigdy nie spotkał się z taką zdolnością. Najwyraźniej do wykrywania i odczytywania symboli Etycy używali maszyn. Zapewne dokonywało się to w

⁵ Fragment poematu Roberta Browninga „Fikr Roland pod Mroczną Wieżą stanął” w przekładzie Juliusza Żuławskiego (Państwowy Instytut Wydawniczy, 1969).

bąblu odtwarzającym lub w głównej bazie.

Jeżeli więc agenci nie potrafili dostrzec symboli gołym okiem, musieli wypracować inne metody identyfikacji.

Zalóżmy, że wyznaczyli w historii świata datę graniczną, po której nikt nie zmartwychwstał, przynajmniej nie na tej planecie. Według Monata, Frigate'a, Ruacha i Spruce'a ta data to rok 2008 naszej ery.

A co jeśli chodzi o inną, wcześniejszą datę?

Poza agentami Burton nigdy nie spotkał nikogo, kto na Ziemi żyłby dłużej niż do roku 1983. Od tej pory postanowił zachowywać szczególną ostrożność wobec każdego człowieka pochodzącego z końca dwudziestego wieku. Jeśli okaże się, że nikt ze wskrzeszonych nie umarł po roku 1983, to ten rok spokojnie można uznać za datę graniczną.

Czyżby więc Etycy stworzyli fikcję, która pozwala im się błyskawicznie rozpoznawać? Twierdzą, że umarli w roku 2008 naszej ery, a tak naprawdę wymyślili wszystkie wydarzenia rozgrywające się w latach 1983-2008?

To może oznaczać, że Arkturiańczycy wcale nie zabili większości populacji Ziemi. Ta okropna rzeź może być jedynie wytworem wyobraźni, podobnie jak wszystkie wydarzenia z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, o których Burton słyszał. W takim razie, co z Monatem? On z pewnością nie pochodzi z Ziemi. Nie ma powodu wątpić, że rzeczywiście przybył z planety w gwiazdozbiorze Wolarza.

Jak na razie Anglik nie potrafił wytłumaczyć obecności Arkturiańczyka w Świecie Rzeki. Ale znał już dwa sposoby na rozpoznawanie Etyków. Pierwszy to Kazz, a drugi - historia o roku 2008.

Choć z drugiej strony agenci mogli zostać zwerbowani spośród ludzi zmarłych po 1983 roku. W takim wypadku ich opowieści mogły być prawdziwe.

Istniało tak wiele możliwości. Skąd Anglik mógł wiedzieć, czy Monat, Frigate i Ruach powiedzieli mu prawdę o tym, co się z nimi działo, gdy przebywali z dala od niego? Frigate twierdził, że spotkał swojego wydawcę, który oszukał go na Ziemi, i zemścił się na nim, uderzając go pięścią w nos.

Owszem, Frigate był cały posiniaczony, co mogło potwierdzać historię o starciu z gangiem Sharkko, ale te ślady równie dobrze mogły mieć inne pochodzenie. Amerykanin z natury bał się przemocy, zarówno fizycznej, jak i werbalnej. Mógł marzyć o zemście, ale nigdy nie wcieliłby jej w życie.

Zalóżmy, że agenci przyjęli wygląd konkretnych mieszkańców Ziemi. Może gdzieś na tej planecie znajduje się prawdziwy Peter Jairus Frigate? Podstawiony Frigate mógł udawać

człowieka, który tak bardzo interesował się życiem Burtona. Dzięki temu w łatwy sposób znalazł się w otoczeniu Anglika i zdobył jego sympatię. W końcu trudno być obojętnym wobec własnego biografa, osoby, która niemal nas ubóstwia.

Jednakże, czemu agenci mieliby być zmuszeni do wcielania się w kogoś innego? Czemu nie mogli pojawiać się w Dolinie Rzeki jako całkiem nowe postaci?

Może nie było to konieczne, ale z pewnością wygodniejsze, a ryzyko napotkania osoby, pod którą dany agent się podszył, wydawało się bardzo niewielkie.

Istniało tak wiele możliwości i tak wiele pytań pozostających bez odpowiedzi.

- Dick! Co się dzieje?

Głos Alicji gwałtownie wyrwał Burtona z zamyślenia. Wszyscy już sobie poszli, za wyjątkiem załogi i mężczyzny, któremu skradziono łódź. Ten ostatni miał chyba zamiar poprosić o odszkodowanie, ale wciąż się wahał, nie miał bowiem żadnego wsparcia.

Wiatr chłostał Rzekę i targał strzechy domów, a *Żmirlacz* głucho objął się o przystań. Światło z brązowawożółtego zmieniło się w bladoszare, przez co twarze ludzi nabrały jeszcze bardziej upiornego wyglądu. Nad wodą niebo błyskało ognistymi kłami, a grzmoty przypominały pomruki niedźwiedzia w jaskini. Kazz i Besst najwyraźniej z niecierpliwością czekali na rozkaz poszukania schronienia. Reszta załogi była niewiele spokojniejsza.

- Zastanawiałem się nad twoim pytaniem, Kazz - odezwał się Burton. - Spytałeś, co zrobimy, jeśli król Jan nie znajdzie dla nas miejsca na statku. Otóż monarchowie zawsze potrafią znaleźć miejsce, jeśli tylko tego chcą. Jeżeli Jan odmówi, znajdę jakiś sposób, aby dostać się na pokład. Nikt i nic mnie nie powstrzyma!

Gdzieś blisko uderzył piorun, a towarzyszący mu trzask brzmiał tak, jakby światu pękł kręgosłup. Kazz i Besst pobiegli w stronę najbliższego budynku, a za nimi podążyła reszta załogi.

Burton tylko się zaśmiał, stojąc w rzęsim deszczu, który lunął z nieba zaraz po uderzeniu pioruna.

- Naprzód, do Mrocznej Wieży! - zawołał.

We śnie Peter Jaius Frigate brnął po omacku przez mgłę. Był nagi, bo ktoś ukradł mu ubranie. Musiał dotrzeć do domu przed wschodem słońca, które wypali mgłę i obnaży go przed całym światem.

Trawa była mokra i drapiąca. Po chwili Petera zmęczył marsz poboczem i chłopak wszedł na asfaltowy chodnik. Od czasu do czasu mgła nieco się rozrzedzała i po prawej stronie drogi można było dostrzec drzewa.

Frigate wiedział, że znalazł się na wsi, daleko od domu. Ale jeśli tylko będzie szedł wystarczająco szybko, to zdąży przed świtem. Pozostanie mu jeszcze wejście do domu bez budzenia rodziców. Drzwi i okna z pewnością są zamknięte, a to oznacza, że będzie zmuszony rzucać kamykami w okno na pierwszym piętrze, mając nadzieję, że hałas obudzi jego brata, Roosevelta.

Roosevelt, pomimo dopiero osiemnastu lat, spędzał większość czasu na ostrym picciu, uganianiu się za spódniczkami i jeżdżeniu po okolicy na swoim motocyklu wraz z bandą kumpli z gorzelni Hirma Walkera, prymitywów noszących bokobrody i skórzane kurtki. Na szczęście była niedziela rano, więc brat z pewnością śpi w najlepsze, wypełniając ich wspólną małą sypialnię na poddaszu zapachem whisky.

Roosevelt otrzymał imię ku czci Theodora, a nie Franklina Delano, którego ojciec chłopców szczerze nienawidził. James Frigate brzydził się „człowiekiem w Białym Domu”, a kochał *The Chicago Tribune*, którą dostarczano mu pod drzwi każdej niedzieli. Jego najstarszy syn nie lubił w tej gazecie w zasadzie niczego poza komiksami. Odkąd nauczył się czytać, niecierpliwie czekał na niedzielne poranki, aby zaraz po śniadaniu, złożonym z kakao, naleśników, bekonu i jajek, z rozkoszą zagłębić się w najnowszych przygodach Chestera Gumpa i jego przyjaciół poszukujących złotego miasta, a także wielu innych niezapomnianych bohaterów.

Dlaczego właśnie teraz myślał o tych świetnych komiksach, idąc nago wzdłuż wiejskiej drogi, zanurzony w gęstej mgle? Nietrudno się domyślić. Dawały mu one poczucie ciepła i bezpieczeństwa, a nawet szczęścia. Peter zjadał pyszne śniadanie przygotowane przez matkę, w tle cicho grało radio, a ojciec zajmował najlepszy fotel, czytając opinie pułkownika Blimpa. Chłopiec kładł się na podłodze salonu ze stroną gazety zawierającą komiksy, a matka

krzątała się w kuchni, karmiąc jego dwóch młodszych braci i siostrzyczkę, małą Jeannette, którą Peter bardzo kochał i na którą po dorostaniu czekało trzech mężów, niezliczona liczba kochanków i tysiąc butelek whisky, przekleństwo całego rodu Frigate'ów.

Ale to wszystko było dopiero przed nim i teraz zniknęło z jego umysłu, rozplywając się we mgle. W tej chwili siedział w pokoju w przedniej części domu, szczęśliwy... nie, ten obraz także zniknął... znajdował się na podwórku, nagi i drżący z zimna i strachu, że ktoś go zobaczy, a on nie będzie potrafił się wytłumaczyć. Rzucał kamykami w okno, mając nadzieję, że hałas obudzi jego młodszych braci i siostrę, zajmujących małą sypialnię poniżej pokoju na poddaszu.

Ich dom niegdyś pełnił funkcję szkoły na przedmieściach miasteczka Peoria w środkowej części Illinois. Potem miasteczko się rozrosło i teraz jego granice sięgały pół mili dalej na północ. Z czasem dom zyskał pierwsze piętro i kanalizację. Po raz pierwszy w życiu Peter zamieszkał w budynku, który miał toaletę wewnątrz. Nagle w niewytłumaczalny sposób dom zmienił się w farmę koło miasta Meksyk w stanie Missouri. Tutaj chłopiec mieszkał w wieku czterech lat, razem z matką, ojcem, młodszym bratem oraz rodziną farmera, który wynajmował Frigate'om dwa pokoje.

Ojciec Petera, inżynier budownictwa i elektryk (rok na politechnice w Terre Haute w Indianie oraz dyplom Międzynarodowej Szkoły Korespondencyjnej), przez rok pracował w elektrowni w Meksyku. To właśnie na tej farmie Peter z przerażeniem odkrył, że kurczaki zjadają inne zwierzęta, a następnie on żywi się tymi kurczakami. Po raz pierwszy zrozumiał, że świat opiera się na kanibalizmie.

To nie tak, pomyślał. Kanibal pożera innych przedstawicieli swojego gatunku. Przewrócił się na drugi bok i znów zasnął, niejasno zdając sobie sprawę z tego, że pomiędzy kolejnymi częściami snu jest na wpół rozbudzony i analizuje je przed ponownym zaśnięciem. Czasami doświadczał całego snu od początku, w sumie kilkakrotnie w ciągu jednej nocy. Dany sen mógł się też powtarzać wielokrotnie na przestrzeni kilku lat.

Zawsze był specjalistą od serii, zarówno w dziedzinie snów, jak i w literaturze. W pewnym momencie swojej kariery pisarskiej tworzył równocześnie dwadzieścia jeden serii. Ukończył dziesięć z nich. Pozostałe nadal czekały na dopełnienie, gdy wielki wydawca w niebie jednym gestem je anulował.

Jak za życia, tak i po śmierci. Nigdy nie potrafił niczego doprowadzić do końca, a przynajmniej bardzo rzadko mu się to udawało. Wielki niekompletny. Po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę, gdy na studiach wylał swoje żale przed opiekunem roku, który jednocześnie pełnił rolę jego nauczyciela psychologii.

Jak się nazywał ten wykładowca? O'Brien? Był niskim i szczupłym młodym mężczyzną o ognistym temperamencie i jeszcze bardziej ognistym kolorze włosów. Do tego zawsze nosił muszkę.

A teraz Peter Jairus Frigate szedł samotnie przez mgłę, a jedynym dźwiękiem, jaki do niego docierał, było pohukiwanie sowy. Nagle rozległ się ryk silnika, a na horyzoncie pojawiły się dwa blade światła, które stopniowo stawały się coraz jaśniejsze. Frigate krzyknął i uskoczył w bok, powoli płynąc w powietrzu; ku niemu pędził czarny samochód. Młóćąc rękami, z trudem przedzierając się przez powietrze, Peter obejrzał się w stronę nadjeżdżającego pojazdu. Już widział, że za oślepiającym blaskiem reflektorów kryje się Duesenberg, długi, niski, luksusowy roadster, jaki prowadził Cary Grant w filmie „Topper”, który Frigate obejrzał w zeszłym tygodniu. Za kierownicą wozu siedziała bezkształtna postać. Peter widział jedynie bladoniebieskie oczy, należące do jego niemieckiej babki, matki jego matki, Wilhelminy Kaiser.

Potem zaczął krzyczeć, bo samochód skręcił i ruszył wprost na niego, nie dając mu żadnych szans ucieczki.

Obudził się z głośnym jękiem.

- Miałeś zły...? - spytała Ewa zaspanym głosem, po czym z powrotem pogrążyła się we śnie.

Peter wstał z łóżka, zbudowanego z bambusowej ramy na krótkich nóżkach, owiniętej liną podtrzymującą materac z połączonych ręczników wypchanych liśćmi. Ręczniki pokrywały także klepisko. W oknach umieszczono kwadratowe szyby z jelit rogacza, odbijające blade światło nocnego nieba.

Frigate poczłapał do drzwi, wyszedł przed chatę i oddał mocz. Krople deszczu wciąż kapąły z dachu pokrytego strzechą. Między wzgórzami mężczyzna zobaczył ogień płonący pod dachem wieży wartowniczej. Jego blask wydobywał z mroku sylwetkę strażnika opierającego się o poręcz i patrzącego w dół Rzeki. Płomienie oświetlały także maszty i takielunek statku, którego Frigate nigdy wcześniej nie widział. Na wieży znajdował się tylko jeden strażnik, co oznaczało, że drugi zapewne zszedł na przystań. Wszystko musi być w porządku, gdyż w przeciwnym razie rozległoby się ostrzegawcze bicie w bębny.

Wrócił do łóżka i zastanowił się nad swoim snem. Jak to często bywa w marzeniach sennych, chronologia uległa pomieszaniu. Przecież w 1937 roku Roosevelt miał dopiero szesnaście lat. Motocykl, praca w gorzelni i tlenione blondynki miały się pojawić w jego życiu dopiero dwa lata później. Rodzina już nawet nie mieszkała w tym domu, ale przeprowadziła się do nowszej i większej rezydencji oddalonej o kilka przecznic.

A ta bezkształtna złowieszcza postać w samochodzie, stwór o oczach jego babki? Co to mogło oznaczać? Nie pierwszy raz przeraził go czarny zamaskowany kształt z bladymi oczami babki Keiser. Niejednokrotnie próbował się domyślić, czemu jego krewna pojawiała się w tak ohydny przebraniu.

Wiedział, że przybyła do Terre Haute z Geleny w stanie Kansas, aby pomóc jego matce w zajęciu się nim, gdy przyszedł na świat. Według matki babka opiekowała się Peterem także, kiedy miał pięć lat, ale on nie pamiętał, by ją spotkał przed ukończeniem dwunastego roku życia, gdy Wilhelmina Keiser przybyła do ich domu z wizytą. Miał za to pewność, że w dzieciństwie kobieta wyrządziła mu jakąś straszliwą krzywdę. A może jedynie zrobiła coś, co wtedy wydawało się straszne? Babka sprawiała wrażenie miłej osoby, choć skłonnej do wpadania w histerię. Kiedy zostawała sama ze swoimi wnukami, nie miała nad nimi żadnej kontroli.

Co się z nią teraz działo? Umarła w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat po długiej i bolesnej walce z rakiem żołądka. Ale Peter widział jej zdjęcia, zrobione, gdy miała dwadzieścia lat. Była wtedy drobną blondynką o intensywnie niebieskich oczach, tak bardzo się różniących od wyblakłych i zaczerwienionych oczu, które zapamiętał. Miała wąskie i ściśnięte usta, ale to wydawało się cechą wszystkich Kaiserów. Brązowawe rodzinne fotografiiury przedstawiały twarze ludzi, którzy doświadczyli w życiu wielu ciężkich chwil, ale nigdy nie zamierzali dać się złamać.

Sądząc po fotografiach, ludzie w epoce wiktoriańskiej byli twardzi i praktyczni. Niemiecka rodzina babki Petera niewiele się od nich różniła. Doświadczyli prześladowań ze strony luterańskich sąsiadów i władz, gdy przeszli na baptyzm, i w efekcie opuścili Oberellen w Turyngii i wyruszyli do ziemi obiecanej. (Rodzina Petera, zarówno od strony matki, jak i ojca, zawsze sympatyzowała z religią wyznawaną przez mniejszość, zazwyczaj dość fanatyczną. Może mieli we krwi szukanie kłopotów).

Keiserowie szybko odkryli, że w nowej ojczyźnie pieniądze wcale nie leżą na ulicy. Niemniej po latach tułaczki, morderczej pracy, ponizającej biedy i po śmierci kolejnych pokoleń, w końcu osiągnęli sukces. Zostali majętnymi farmerami i posiadaczami warsztatów mechanicznych w Kansas City i okolicach.

Czy było warto? Ci, którzy przetrwali, uważali, że tak.

Wilhelmina przybyła do Ameryki jako ładna, niebieskooka dziesięciolatka. W wieku osiemnastu lat wyszła za mąż za o dwadzieścia lat starszego mieszkańca Kansas, prawdopodobnie, by uciec przed biedą. Powiadano, że w starym Billu Griffithsie płynęła krew Indianina Cherokee, a mężczyzna walczył niegdyś w partyzantce Quantrilla, jednak

rodzina Petera opowiadała o sobie wiele podobnych bredni, zawsze pragnąc sprawiać wrażenie lepsze bądź gorsze niż była w rzeczywistości. Matka Petera nigdy nie chciała rozmawiać o przeszłości starego Billa. Być może był zwyczajnym koniokradem.

Co się teraz działo z Wilhelminą? Już nie jest pomarszczoną i zgarbioną staruszką, którą pamiętał, ale ładną młodką o atrakcyjnych kształtach, choć zapewne wciąż ma te same przepastne niebieskie oczy i mówi po angielsku z silnym niemieckim akcentem. Czy gdyby ją spotkał, rozpoznałby ją? Raczej nie. A nawet gdyby, to czego mógłby się od niej teraz dowiedzieć na temat traumatycznych przeżyć, jakie zafundowała mu w dzieciństwie? Niczego. Na pewno nawet nie pamięta tych wydarzeń, które przecież nie były dla niej specjalnie ważne. A jeśli nawet pamięta, to nie przyzna się, że kiedykolwiek źle go traktowała. Zakładając, że rzeczywiście zrobiła coś niewłaściwego.

Z pomocą psychoanalizy Peter próbował przedostać się przez gęsty mrok wypartych wspomnień i dotrzeć do wydarzeń, w których jego babka odegrała kluczową rolę. Próba się nie powiodła. Podobnym fiaskiem zakończył się flirt z dianetyką i scjentologią. Frigate ześlizgiwał się po wspomnieniach traumatycznych doświadczeń niczym mała po słupie posmarowanym tłuszczem i w mgnieniu oka docierał do chwili przyjścia na świat, a następnie do swych poprzednich wcieleń.

Stawał się kolejno kobietą rodzącą dziecko w średniowiecznym zamku, dinozaurem, bezkręgowcem unoszącym się w pierwotnym oceanie oraz osiemnastowiecznym pasażerem dyliżansu przemierzającego Czarny Las. W końcu dał sobie spokój ze scjentologią.

Te fantazje były ciekawe i wiele mówiły o jego charakterze, ale babka nadal mu umykała.

W Świecie Rzeki spróbował przedrzeć się przez mroczną zasłonę za pomocą gumy snów. Pod opieką guru zażył pół porcji gumy, czyli dużą dawkę, i zanurkował po perłę ukrytą w głębinach własnej nieświadomości. Kiedy w końcu wyrwał się z objęć przerażających wizji, znalazł swojego guru leżącego na podłodze chaty w kałuży krwi, pobitego do nieprzytomności. Łatwo się było domyślić, kto go tak urządził.

Po upewnieniu się, że życiu jego duchowego przewodnika nic nie zagraża, Peter opuścił okolicę. Nie mógł tam pozostać, gdyż, widząc swojego guru, za każdym razem czuł jedynie wstyd. Mężczyzna nie miał żalu do Frigate'a i chciał kontynuować sesję, pod warunkiem że w ich trakcie Peter pozostanie związany.

Frigate nie potrafił stawić czoła brutalności, jaka w nim tkwiła. To właśnie lęk przed przemocą we własnym sercu sprawiał, że tak bardzo bał się jej u innych ludzi.

Drogi Brutusie, winne są nie gwiazdy, ale nasze nędzne geny⁶. Lub też nasza niemożność przewyciężenia samych siebie.

Drogi Brutusie, winny jest strach przed poznaniem siebie.

Kolejną, niemal nieuniknioną, sceną w tym dramacie poszukiwania wspomnień stało się uwiedzenie Wilhelminy. Frigate bez trudu potrafił uwierzyć w spełnienie tej fantazji, skoro mógł kobietę tutaj spotkać. Po długiej rozmowie pełnej pytań odkrywają, że są babcią i wnuczką. Wtedy on opowie, co się stało z jej córką i zięciem (ojcem Petera), wnukami, prawnukami i praprawnukami. Czy babka dozna szoku, gdy się dowie, że jej prawnuczka wyszła za mąż za Żyda? Z pewnością. Każdy człowiek urodzony na wsi w 1880 roku był pełen uprzedzeń. A co się stanie, gdy Peter powie jej, że jego siostra została żoną Japończyka? Albo że jego brat i kuzyn ożenili się z katoliczkami, prawnuczka Wilhelminy przeszła na katolicyzm, a jej prawnuk został buddystą?

Z drugiej strony, Świat Rzeki mógł zmienić Wilhelminę Kaiser, tak jak zmienił wielu ludzi. Choć oczywiście część osób pozostała równie niewzruszona w swoich poglądach, jak podczas życia na Ziemi.

Wróćmy do fantazji.

Po kilku drinkach i długiej rozmowie... łóżko?

Nie było racjonalnych przeciwwskazań dla kazirodztwa. W tym świecie nie rodziły się dzieci.

Ale czy w podobnych sytuacjach ludzie kiedykolwiek myśleli racjonalnie?

Nie, o powiązaniach rodzinnych wspomni dopiero po pójściu do łóżka.

Tutaj cała konstrukcja waliła się w gruzy. Ujawnienie prawdy upokorzyłoby kobietę. Byłoby to czyste okrucieństwo. Niezależnie od tego, jak bardzo Peter pragnął zemsty, nie mógł tego uczynić. Ani jej, ani nikomu innemu. Poza tym mściłby się za coś, czego nawet nie pamięta. Nawet jeśli babka rzeczywiście dopuściła się jakiegoś przewinienia, mogło chodzić o coś, co tylko dziecko uznawało za straszne. Być może wtedy jego niedojrzały umysł błędnie zinterpretował fakty albo babka zrobiła coś, co w jej czasach uchodziło za głęboko słuszne i naturalne.

Podniecała go myśl o zaciągnięciu do łóżka własnej babki, ale wiedział, że tak się nigdy nie stanie. Pociągały go jedynie inteligentne kobiety, a jego babka to prosta chłopka. Do tego wulgarna, choć nie w obsceniczny czy bezbożny sposób. Przypomniał sobie pewne

⁶ Na podstawie „Juliusza Cezara” Williama Shakespeare’a w przekładzie Stanisława Barańczaka (Znak, 2000).

spędzane z nią Święto Dziękczynienia. Kichnęła, a glut z nosa wylądował jej na bluzce, skąd zebrała go ręką i wytarła w spódnicę. Ojciec Petera zaczął się śmiać, matka wyglądała na zszokowaną, a Peter całkiem stracił apetyt.

Fantazja rozplynęła się w uczuciu obrzydzenia.

Choć przecież babka mogła się zmienić.

Do cholery z tym, pomyślał, po czym przewrócił się na drugi bok i zasnął.

29

Bito w bębny i grano na drewnianych trąbkach. Peter Frigate obudził się w środku kolejnego snu. Minęły trzy miesiące od Pearl Harbor, a on był kadetem w bazie lotniczej Randolph Field i dał się na niego instruktor.

Pułkownik, wysoki młody mężczyzna z cienkim wąsikiem i dużymi stopami, pieklił się niemal tak samo jak babcia Kaiser.

- Jeszcze raz skręcisz w lewo, kiedy każę ci skrócić w prawo, Frigate, a od razu przerywamy lot i wracamy do bazy! Znajdź sobie instruktora, którego gównem obchodzi, czy jego durny uczeń strąci go na ziemię! Jezu Chryste, Frigate, mogliśmy zginąć! Nie widziałeś samolotu po lewej?! Jesteś samobójcą?! Mnie to nie przeszkadza, ale nie musisz zabierać ze sobą mnie i dwóch innych żołnierzy! Możesz się zabić na przepustce, nie niszcząc przy tym rządowej własności! Co się z tobą dzieje, do diabła? Czy ty mnie nienawidzisz?!

- Nie dosłyszałem polecenia - odpowiedział Frigate. Choć w grubym stroju pilota niemiłosiernie się pocił, to zarazem cały się trząsł i bardzo chciało mu się sikać. - Kiepsko słyszę przez te rurki.

- Rurki są w porządku! - ryknął pułkownik. - Ja cię dobrze słyszałem! I z twoimi uszami też nic się nie dzieje! Dwa tygodnie temu przeszedłeś testy medyczne! Chyba nadal badają tutaj wszystkich kadetów-maminsynków, czyż nie?

- Tak, panie pułkowniku! - potwierdził Peter. - Tak samo, jak za pana czasów.

Pułkownik poczerwieniał na twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał. - Czy chcesz powiedzieć, że ja też byłem kadetem-maminsynkiem?

- Nie, panie pułkowniku - odparł Peter, czując, że pot spływa mu pod ubraniem. - Nigdy nie nazwałbym pana „maminsynkiem”.

- A jak byś mnie nazwał?! - wrzasnął pułkownik.

Frigate zerknął kątem oka na innych kadetów i instruktorów. Niektórzy go ignorowali lub udawali, że to robią. Inni się uśmiechali.

- Nigdy nie wspomniałbym o panu - odrzekł Peter.

- A więc nawet nie warto o mnie wspominać, czy tak? Frigate, wystawiasz moje nerwy na próbę! Nie podoba mi się twoja postawa na ziemi i w powietrzu. Ale wróćmy do tematu,

pomimo twoich starań, aby tego uniknąć. Czemu do jasnej cholery mnie nie słyszysz, kiedy ja słyszę ciebie? Może po prostu nie chcesz? To bardzo niebezpieczne, Frigate! Zaczynam się ciebie bać! Czy ty wiesz, ile z tych B-12 co tydzień wpada w korkociąg? Te bydlaki są do tego fabrycznie przystosowane. Nawet jeśli instruktor każe swojemu uczniowi-debilowi umyślnie wprowadzić maszynę w korkociąg i cały czas czuwa z ręką na drążku sterowniczym, aby przejąć kontrolę, i tak może mu się nie udać wyprowadzić samolotu! Więc wyobraź sobie, że nie chcę, żebyś robił coś takiego z zaskoczenia! Mogliśmy rozpieprzyć się o ziemię, zanim zdążylibyśmy pomyśleć o katapultowaniu! Co się dzieje z twoim słuchem?

- Nie wiem - odpowiedział Peter ponuro. - Może woskowina zbiera mi się w uszach? To rodzinna przypadłość, panie pułkowniku. Co pół roku muszę mieć przedmuchiwane uszy.

- Zaraz ci przedmucham coś innego! Czy lekarz nie sprawdzał twoich uszu? Pewnie, że tak! Więc nie mów mi, że to woskowina! Po prostu nie chcesz mnie słuchać! A dlaczego? Bóg raczy wiedzieć! A może tak bardzo mnie nienawidzisz, że za wszelką cenę chcesz mnie zabić, choćby i ciebie miało to kosztować życie? Czy o to chodzi?

Peter nie zdziwiłby się, gdyby pułkownik lada chwila zaczął toczyć pianę z ust.

- Nie, panie pułkowniku.

- Na które moje pytanie odpowiadasz?

- Na wszystkie.

- Aha, czyli wszystkiego się wypierasz? Nie skręciłeś w lewo, kiedy kazałem ci skręcić w prawo? Czyżbym był kłamcą?

- Nie, panie pułkowniku.

Pułkownik na chwilę zamilkł.

- Czemu się uśmiechasz, Frigate? - spytał w końcu.

- Nie wiedziałem, że to robię - odpowiedział Peter.

Nie kłamał. Naprawdę znajdował się na granicy psychicznej i fizycznej wytrzymałości. Dlaczego więc się uśmiechał?

- Jesteś szalony, Frigate! - wrzasnął pułkownik. Stojący za nim kapitan zmarszczył brwi, ale nie zareagował. - Nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie zdobędziesz pisemnego lekarskiego zaświadczenia, że twój słuch jest w porządku. Zrozumiałeś?

- Tak, zrozumiałem. - Peter kiwnął głową.

- Jesteś uziemiony, dopóki nie dostanę tego zaświadczenia. A chcę je zobaczyć już jutro przed lotem i nie zamierzam tracić ani godziny zajęć, tak mi dopomóż Bóg!

- Tak jest! - zawołał Peter i prawie zsalutował. Dałby przełożonemu kolejny pretekst do ataku, gdyż w sali odpraw się nie salutowało.

Obejrzał się, zdając spadochron. Kapitan i pułkownik pograżyli się w rozmowie. Co o nim mówili? Czy jego dni w bazie są policzone?

Może tak będzie lepiej. Naprawdę nie słyszał głosu instruktora. Docierała do niego tylko połowa wykrzykiwanych poleceń. Nie z powodu woskowiny czy dużej wysokości. Z jego słuchem nie działo się nic złego.

Dopiero wiele lat później zrozumiał, że faktycznie nie chciał słyszeć głosu pułkownika.

- Miał rację - odezwał się Peter.

- Kto miał rację? - spytała Ewa.

Siedziała na łóżku, podpierając się jedną ręką, i spoglądała na niego. Miała ciało okryte grubymi, różnokolorowymi ręcznikami połączonymi za pomocą magnetycznych klamer, a kaptur zasłaniał jej twarz.

Peter usiadł i się przeciągnął. W chacie panowała ciemność, a z dworu dobiegały przytłumione odgłosy bębnów i trąbek sygnałowych. W pobliżu sąsiad bił w bambusowy bęben obciążony rybią skórą, jakby chciał obudzić cały świat.

- Nieważne - odpowiedział.

- Jęczałeś i mamrotałeś przez sen.

- Ziemia wciąż jest z nami - odrzekł i wyszedł, pozostawiając ją z tą zagadką.

Zabrał ze sobą nocnik i udał się do pobliskiej latryny oddalonej o około sto kroków. Tam przywitał się z grupą kobiet i mężczyzn przybyłych w tym samym celu. Wszyscy opróżnili nocniki do dużego bambusowego wózka. Po śniadaniu kilku ludzi wyprowadzi go z chaty i zaciągnie do podnóża góry, gdzie ekskrementy zostaną przerobione na potas niezbędny do produkcji prochu strzelniczego. Frigate pracował tam przez dwa dni w miesiącu, a cztery spędzał na wieżach wartowniczych.

Kamień obfitości znajdował się po drugiej stronie wzgórza, na którym stała chatka, w której Peter mieszkał z Ewą. Zwykle razem zanosili tam swoje rogi obfitości, jednak tego ranka Frigate miał w planie porozmawiać z załogą statku, który przybył w nocy. Ewa chętnie się zgodziła, by Peter poszedł sam, gdyż musiała dokończyć nawlekanie naszyjników z różnokolorowych kręgów rogacza, powszechnie używanych jako ozdoby. Wraz z Frigate'em wymieniali je na tytoń, alkohol i krzemień. Mężczyzna zajmował się także sporządzaniem bumerangów, a od czasu do czasu budował czółna i canoe.

Peter niósł w lewej ręce swój róg obfitości, a w prawej cisową włócznię o krzemiennym ostrzu. Wokół bioder miał pas z rybiej skóry, na którym wisiała pochwa z czertowym toporkiem, przez ramię przerzucił kołczan ze strzałami o krzemiennych grotach i

lotkach wyrzeźbionych z kości. Do kołczanu Frigate przytwierdził cisowy łuk owinięty bambusowym papierem dla ochrony przed poranną wilgocią.

Ruritania, państewko którego był obywatelem, nie znajdowało się w stanie wojny ani nie było nią zagrożone. Prawo nakazujące noszenie broni było pozostałością dawnych, niespokojnych czasów. Niepotrzebne prawa miały tu tak samo długi żywot jak na Ziemi. Społeczna inercja dotykała wszystkich państw, choć z różnym nasileniem.

Frigate szedł między chatami rozsianymi po równinie. Dołączały do niego setki osób, podobnie jak on od stóp do głów osłoniętych przed chłodem. Mniej więcej pół godziny po wschodzie słońca ludzie zaczęli zrzucać ubrania. Podczas śniadania Frigate rozglądał się za nowymi twarzami. Naliczył piętnaście osób, członków załogi nowo przybyłego szkunera *Zawrót Głowy*. Siedzieli w grupie, jedząc i rozmawiając ze wszystkimi zainteresowanymi. Peter usiadł obok nich, uważnie obserwując i słuchając.

Kapitan statku, Martin Farrington, zwany także Frisco Kidem⁷, był muskularnym mężczyzną średniego wzrostu. Miał przystojną twarz o irlandzkich rysach, czerwono-brązowe kręcone włosy, duże niebieskie oczy i silnie zarysowany podbródek. Posługiwał się esperanto w sposób płynny, choć nie perfekcyjny, i rozmówcom wydawało się oczywiste, że preferuje angielski.

Pierwszy oficer, Tom Rider, zwany także Texem, był o około pięciu centymetrów niższy od Frigate'a, który mierzył metr osiemdziesiąt.

W szmatławcach wydawanych za życia Petera ludzi pokroju Teksa nazywano „surowo przystojnymi”. Rider nie był tak muskularny jak kapitan, ale poruszał się szybko i z gracją oraz dużą pewnością siebie, której Frigate mu zazdrościł. Miał ciemne, proste włosy i mocno opaloną skórę, która nadawała mu niemal indiański wygląd. Doskonale posługiwał się esperanto, ale podobnie jak Farrington ucieszył się, że niektóre osoby w tłumie znają angielski. Mówił przyjemnym dla ucha barytonem, przeciągając samogłoski i wymawiając słowa ze środkowozachodnim akcentem.

Frigate sporo się dowiedział o załodze, słuchając nieskrępowanych opowieści o przeżytych przygodach. Ci ludzie stanowili typową barwną grupę, jakie spotykano na dużych statkach pływających po Rzece. Kobieta kapitana okazała się dziewiętnastowieczna biała mieszkanka Ameryki Południowej, a partnerką pierwszego oficera obywatelka rzymskiego miasta Afrodyta z drugiego wieku naszej ery. Frigate pamiętał, że archeologowie odkryli

⁷ Dosłownie: „Dzieciakiem z San Francisco”. Nawiązanie do komediowego westernu Roberta Aldricha z 1979 roku pod tym samym tytułem.

ruiny tego miasta w Turcji w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

Wśród członków załogi znajdowało się dwoje Arabów: Nur el-Musafir („Podróżnik”) oraz była żona kapitana południowo-arabskiego statku prowadzącego handel z afrykańskim imperium Monomotapa w dwunastym wieku naszej ery.

Członek załogi pochodzący z Chin zakończył swój ziemski żywot, gdy sztorm zatopił flotę Kublaj Chana płynącą na podbój Japonii.

Wśród członków załogi znajdowało się również dwóch mężczyzn z osiemnastego wieku: Edmund Tresillian z Kornwalii, który stracił nogę w 1759 roku podczas zakończonej bitwą pogoni *Vestal* kapitana Hooda za francuską *Bellonę* u wybrzeży przylądka Finisterre. Pozbawiony źródła dochodów, mając na utrzymaniu żonę i siedmioro dzieci, został żebrakiem. Ujęto go podczas próby kradzieży damskiej torebki i osadzono w więzieniu, gdzie zmarł na skutek gorączki w oczekiwaniu na proces. Drugi z mężczyzn, „Red” Cozens, był aspirantem na *Wager*, odbudowanym statku handlowym Kompanii Wschodnioindyjskiej, towarzyszącym flocie admirała Ansona podczas wyprawy dookoła świata. Okręt zatonął u wybrzeży Patagonii. Po paśmie niewyobrażalnych cierpień i zmagających część załogi dotarła do cywilizowanego świata, gdzie na jakiś czas uwięził ich hiszpański rząd Chile. Biedny Cozens został zastrzelony przez kapitana Cheapa już w kilka dni po zatonięciu statku, niesprawiedliwie oskarżony o bunt.

John Byron, dziadek słynnego poety, także służył na *Wager* jako aspirant i skrytykował postępek Cheapa w swoim dziele „Relacja czcigodnego Johna Byrona (komodora podczas niedawnej EKSPEDYJCJI dookoła ŚWIATA) zawierająca opis wielkiego cierpienia, którego doświadczył on i jego towarzysze na wybrzeżu Patagonii między rokiem 1740 i przybyciem do Anglii w roku 1746”, wydanym w Londynie w 1768 roku.

Frigate posiadał pierwsze wydanie tej książki, w której znalazł opis dziwnego zwierzęcia napotkanego przez Byrona, a które zapewne było leniwcem olbrzymim.

Chciałby spotkać Byrona na swej drodze. Ten człowiek o niewielkiej posturze musiał być niezwykle twardy, by przetrwać wszystkie swoje przygody. Później został admirałem, któremu marynarze nadali przydomek „Jack Zła Pogoda”. Za każdym razem, gdy wychodził w morze, jego flota napotykała ciężki sztorm.

Wśród załogi szkunera zwracały uwagę jeszcze trzy osoby: Binns - żeglarz milioner z Rhode Island z końca dwudziestego wieku, Mustafa - osiemnastowieczny Turek, bosman zmarły na syfilis, częstą chorobę wśród marynarzy w tamtych czasach, oraz Abigail Rice - żona drugiego oficera na statku wielorybniczym z New Bedford z początku dziewiętnastego wieku. Milioner i Turek najwyraźniej byli w sobie zakochani.

Później Peter dowiedział się, że Cozens, Tresillian i Chang dzielą między siebie Abigail Rice. To skłoniło go do rozważań, co kobieta robiła, gdy jej mąż wy pływał na dwa lub trzy lata w poszukiwaniu wielorybów. Być może nic nieodpowiedniego. Może po prostu tak długo pościła na Ziemi, że teraz jej popęd seksualny eksplodował.

Pozostawał jeszcze Umslopogaas, w skrócie Pogaas. Był to Indianin Swazi, syn króla południowoamerykańskiego narodu, który walczył z potężnymi Zulusami. Pogaas przeżył ekspansję Brytyjczyków i Burów oraz podboje krwawego geniusza wojennego, Shaki. Na Ziemi zabił w pojedynkach dwunastu wojowników. Tutaj co najmniej pięćdziesięciu.

Jednakże nie znalazłby się na kartach historii, pomimo swej biegłości w walce, gdyby na starość nie przyłączył się do misji Sir Teofila Shepstone'a. W otoczeniu Shepstone'a przebywał młody człowiek, H. Rider Haggard, którego zafascynowała dumna postać i opowieści starego Swazi. Haggard uwiecznił Umslopogaasa w swoich trzech powieściach: „Biała Lilijka”, „Ona i Allen” oraz „Allan Quatermain”. Jednak uczynił w nich Swaziego Zulusem, co z pewnością nie zachwyciło Indianina.

Teraz Pogaas wypoczywał niedaleko statku, wsparty na bojowym toporze o krzemiennym ostrzu i długim stylisku. Mężczyzna był wysoki i szczupły i miał niezwykle długie nogi. Rysy jego twarzy nie przypominały negroidalnych, a raczej chamickie. Miał wąskie usta, zakrzywiony nos i wystające kości policzkowe. Choć wyglądał przyjaźnie, to, patrząc na niego, każdy musiał odczuwać respekt. Jako jedyny członek załogi nie zajmował się pracami na statku. Jego specjalnością była walka.

Frigate poczuł się wniebowzięty, gdy odkrył tożsamość tego człowieka. Wyobraźcie sobie! Umslopogaas!

Po rozmowie z kilkoma członkami załogi Frigate z powrotem usiadł w pobliżu dwóch oficerów. Z tego, co mówili, wynikało, że nigdzie im się nie spieszy, choć kapitan wspomniał, że któregoś dnia chciałby dotrzeć do źródeł Rzeki. Miało to nastąpić za około sto lat.

W końcu Frigate zabrał głos, pytając kapitana i Ridera o ich ziemskie pochodzenie. Farrington odpowiedział, że urodził się w Kalifornii, ale nie podał daty ani żadnych szczegółów dotyczących miejsca. Rider przyszedł na świat w Pensylwanii w 1880 roku i, owszem, spędził większość życia na Zachodzie.

Frigate cicho zaklął. Od razu pomyślał, że ta dwójka wygląda znajomo. Jednakże teraz nosili dłuższe włosy niż na Ziemi i zupełnie odmienne stroje. Riderowi brakowało wielkiego białego kapelusza, jaskrawej pseudowesternowej kamizelki, bryczesów i pary zdobionych kowbojskich butów. No i konia, na którego mógłby wsiąść.

W dzieciństwie Frigate widział tego człowieka właśnie w takim stroju. Zdarzyło się to

podczas parady poprzedzającej występ cyrku. Peter stał razem z ojcem na ulicy Adamsa, na południe od budynku sądu, i czekał z niecierpliwością na przejazd swojego ulubionego bohatera westernów. W końcu bohater się pojawił, ale był tak pijany, że spadł z konia. Nic mu się nie stało i ponownie wskoczył na siodło, po czym odjechał, żegnany mieszanką śmiechu i oklasków. Musiał szybko wytrzeźwieć, bo dał wspaniały popis jazdy i rzucania lassem podczas specjalnego pokazu, który odbył się po głównych atrakcjach wieczoru.

Wtedy Frigate postrzegał pijaków jako osoby dotknięte moralnym trądem, zatem wobec wszelkiego prawdopodobieństwa powinien był stracić szacunek dla Ridera. Ale zwyciężył podziw, jaki Peter żywił dla swojego bohatera, i chłopiec mu przebaczył. Cóż za szlachetny gest!

Frigate dobrze wiedział, jak wygląda Martin Farrington, gdyż widział zdjęcia mężczyzny w wielu biografiach i na obwolutach książek. Zaczął czytać jego dzieła w wieku dziesięciu lat, a gdy skończył siedemdziesiąt pięć, sam napisał przedmowę do jednego ze zbiorów opowiadań fantasy i science fiction autorstwa swojego idola.

Z jakiegoś powodu obaj jego bohaterowie podróżowali pod fałszywymi nazwiskami. Frigate nie miał zamiaru ich demaskować, chyba że zostanie do tego zmuszony. Ale nie, nawet w takim przypadku tego nie zrobi, co najwyżej postraszy ich ujawnieniem prawdy. Zrobi prawie wszystko, by dostać się na pokład *Zawrotu Głowy*.

Po chwili Frisco Kid ogłosił, że wspólnie z Teksem porozmawiają ze wszystkimi chętnymi do zaciągnięcia się na pokład. Na przystani ustawiono dwa krzesła dla oficerów, a przed nimi stanęła kolejka zainteresowanych. Frigate szybko zajął w niej miejsce. Przed nim znajdowało się trzech mężczyzn i kobieta. To pozwoliło mu usłyszeć zadawane pytania i zdecydować, co powie swoim potencjalnym pracodawcom.

30

Frisco Kid siedział na rozkładanym bambusowym krześle, palił papierosa i mierzył Frigate'a wzrokiem.

- Peter Jairus Frigate, tak? - odezwał się w końcu. - Amerykanin. Ze środkowego Zachodu. Zgadza się? Wyglądasz na silnego, ale jakie masz doświadczenie żeglarskie?

- Na Ziemi niewielkie - odpowiedział Peter. - Kiedyś pływałem niewielką łódką po rzece Illinois. Ale sporo żeglowałem tutaj. Przez trzy lata pływałem dużym jednomasztowym katamaranem, a przez rok dwumasztowym szkunerem podobnym do waszego.

Frigate kłamał. Na dwumasztowcu spędził tylko trzy miesiące, ale tyle mu wystarczyło, by poznać podstawy żeglugi.

- Czy te statki wypływały w krótkie, lokalne rejsy, czy też w dalekie? - spytał oficer.

- W dalekie rejsy - odpowiedział Frigate. Cieszył się, że nie nazwał jednostek, na których pływał, łodziami. Niektórzy marynarze byli przeczuleni na punkcie różnicy między „łodzią” i „statkiem”. Dla Petera nazwy nie miały znaczenia, ale Farrington to prawdziwy wilk morski, nawet jeśli w tym świecie nie istnieją morza. - W tych okolicach wiatr wieje zazwyczaj w dół Rzeki, więc przeważnie żeglowaliśmy ostro na wiatr.

- No tak, każdy potrafi żeglować z wiatrem - odparł Martin Farrington.

- Dlaczego chcesz się zaciągnąć? - spytał nagle Rider.

- Dlaczego? Mam dość życia tutaj. A raczej nie jestem usatysfakcjonowany robieniem codziennie tego samego. Chciałbym...

- Wiesz, jak to jest na statku - przerwał mu Farrington. - Ciasno i większość czasu spędza się z tymi samymi ludźmi. No i każdego dnia robi się to samo.

- Wiem o tym - odrzekł Frigate. - No cóż, chciałbym dotrzeć do końca Rzeki. Katamaran, którym płynąłem, zmierzał w tamtym kierunku, ale spłonął podczas ataku łowców niewolników. Z kolei szkuner został zatopiony przez rzeczno smoka, gdy pomagaliśmy tubylcom w połowach. Powtórzyła się historia Moby Dicka i *Pequoda*.

- A ty się okazałeś Iszmaelem? - spytał Rider.

Frigate uważnie mu się przyjrzał. O Riderze mówiło się, że potrafi cytować obszerne fragmenty Szekspira i jest bardzo czytany. Ale to mogła być jedynie hollywoodzka reklama.

- Chodzi ci o to, czy byłem jedynym ocalałym? Nie, do brzegu dotarło nas sześcioro.

Ale i tak najedliśmy się strachu.

- Czy...? - zaczął Farrington, po czym przerwał, odchrząknął i spojrzał na Ridera, a ten uniósł grube ciemne brwi.

Farrington najwyraźniej zastanawiał się, jak inaczej sformułować pytanie.

- Kim byli kapitanowie tych jednostek? - spytał w końcu.

- Kapitanem katamaranu był Francuz nazwiskiem DeGrasse - odpowiedział Peter. - Natomiast szkunerem dowodził niejaki Larsen, twardy kawał sukinsyna. Norweg urodzony w Danii. Na Ziemi podobno był kapitanem statku do polowań na foki.

Frigate zmyślił wszystko, co powiedział o Larsenie, ale nie mógł się powstrzymać przed sprawdzeniem reakcji Farringtona. Kapitan zmrużył oczy, po czym się uśmiechnął.

- Czy na Larsena wołano „Wilk”? - spytał powoli.

Twarz Petera nie zdradzała żadnych emocji. Nie miał zamiaru połknąć przynęty. Jeśli Farrington pomyśli, że Frigate stara się w zawołany sposób dać mu do zrozumienia, że go rozpoznał, to nie przyjmie Petera na pokład.

- Nie, nazywano go „bydlakiem”, oczywiście kiedy tego nie słyszał. Miał około sześciu i pół stopy wzrostu oraz bardzo ciemną karnację jak na Skandynawa, a oczy czarne niczym Arab. Znałeś go?

Farrington się uspokoił. Zgasił papierosa w glinianej popielniczce i zapalił kolejnego.

- Jak dobrze posługujesz się tym łukiem? - spytał Rider.

- Ćwiczyłem przez ostatnie trzydzieści lat - odparł Peter. - Żaden ze mnie Robin Hood, ale w ciągu dwudziestu sekund potrafię oddać sześć w miarę celnych strzałów. Ponadto, przez dwadzieścia lat trenowałem sztuki walki. Nigdy nie szukam konfrontacji i jeśli to tylko możliwe, staram się unikać przemocy, ale uczestniczyłem w około czterdziestu sporych bitwach i w wielu mniejszych potyczkach. Czterokrotnie zostałem ciężko ranny.

- W którym roku się urodziłeś - spytał Rider.

- W tysiąc dziewięćset osiemnastym – odpowiedział Frigate.

Martin Farrington popatrzył na Ridera.

- Zapewne w dzieciństwie widziałeś wiele filmów? - zwrócił się do Frigate'a.

- Jak wszyscy.

- Jakie masz wykształcenie?

- Zrobiłem licencjat z literatury angielskiej, a jako drugą specjalizację wybrałem filozofię. No i czytałem mnóstwo książek. Boże, jak mi tego tutaj brakuje!

- Mnie także - rzekł Farrington.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał Rider.

- Cóż, nasze wspomnienia z Ziemi bledną z każdym dniem.

Co oznaczało, że nawet jeśli Frigate widział Ridera w filmach, a Farringtona na obwolutach książek, to i tak ich nie pamięta. Ale pytanie o wykształcenie Petera mogło się okazać bardzo ważne. Kapitan z pewnością szuka członków załogi, z którymi będzie mógł porozmawiać na odpowiednim poziomie. Na Ziemi obracał się raczej w towarzystwie ludzi prymitywnych, do których zupełnie nie pasował. Podobny problem miał Frigate, dopóki nie poszedł na studia.

- Musimy porozmawiać w sumie z dziesięcioma osobami - poinformował go Farrington. - Na koniec podejmiemy decyzję. Damy ci znać przed południem.

Peter bardzo chciał zostać członkiem załogi, ale obawiał się, że zbyt duży zapal może zniechęcić oficerów. Skoro podróżowali pod pseudonimami, to mogli obawiać się ludzi zbyt mocno garnących się do wejścia na pokład. Choć Frigate nie wiedział dlaczego.

- Jeszcze jedno - odezwał się Rider. - Mamy miejsce tylko dla jednej osoby, więc nie będziesz mógł zabrać swojej kobiety. Czy to ci przeszkadza?

- Nie - odpowiedział Peter.

- Możemy podzielić się z tobą Abigail, jeśli taki układ ci odpowiada. No i oczywiście, jeśli się jej spodoba. Jak dotąd nie była zbyt wybredna.

- To bardzo namiętna kobieta, ale takie rozwiązanie mnie nie interesuje - odrzekł Frigate.

- Za to bez wątplenia podobasz się Mustafie - wtrącił z szerokim uśmiechem Farrington. - Od dawna nie może oderwać od ciebie wzroku.

Frigate spojrzał na Turka i splonął rumieńcem, gdy ten do niego mrugnął.

- To jeszcze mniej mi odpowiada - wymamrotał.

- Postaw sprawę jasno, a z pewnością, ani on, ani Binns nie będą cię zaczepiać - odparł Farrington. - Nie jestem homo, ale wiele w życiu widziałem. Każdy statek, od czasów arki Noego, to gniazdo sodomii. Ci dwaj to stuprocentowi mężczyźni, poza brakiem zainteresowania płcią piękną, a także świetni marynarze, dlatego po prostu powiedz im, żeby dali ci spokój. Oczywiście jeśli przyjmiecie cię na pokład. W każdym razie, nie życzę sobie żadnego narzekania. Będziesz mógł nadrobić braki, gdy zejdziemy na ląd, a jeśli stracimy jakiegoś członka załogi, pozwolimy ci znaleźć sobie w jego miejsce towarzyszkę. Pod warunkiem, że będzie się znała na żegludze. Nie przyjmujemy bezużytecznego balastu.

- Abigail coraz bardziej mi się podoba - odrzekł Frigate.

Farrington i Rider wybuchnęli śmiechem, a Peter się oddalił.

Na chwilę przystanął koło portu, który stanowiła niewielka zatoka, dzięki ciężkiej

pracy ludzi wyrwana z linii brzegowej. Krawędź zatoki wyłożono kamieniami odłupanymi z podstawy pobliskiej góry. Obok brzegu zbudowano drewniane pomosty, przy których zacumowano niewielkie żaglówki, łodzie holownicze, katamarany, a także dwie ogromne tratwy z masztami, używane do połowu rzecznych smoków. Niedaleko tratw wyciągnięto na brzeg kilka wojennych canoe, z których każde mogło pomieścić czterdziestu ludzi. Canoe i łodzie wiosłowe właśnie wypływały na połów. Do południa Rzeka zaroi się od różnorodnych jednostek pływających.

Zawrót Głowy był za duży, by zacumować koło mola. Zakotwiczone go więc przy wylocie zatoki, za falochronem z dużych czarnych skał. Był to piękny statek, długi i niski, zbudowany z dębu i sosny. Podczas budowy nie użyto ani jednego gwoździa, a jedynie drewnianych kołków wyciętych za pomocą krzemiennych narzędzi. Żagle wykonano z przetworzonych skór rzecznych smoków, tak cienkich, że aż prześwitujących. Dębowa figura na dziobie okrętu przedstawiała syrenę z dużym biustem trzymającą pochodnię.

Zakrawało na cud, że załozdze udało się zapobiec utracie tak wspaniałego statku. W Świecie Rzeki mordowano w celu zdobycia znacznie gorszych okrętów.

Zdenerwowany Frigate minął Farringtona i Ridera. Rozmowy z kandydatami jeszcze się nie zakończyły. Wieści rozniosły się po okolicy i teraz w kolejce stało już około dwudziestu mężczyzn i dziesięć kobiet. Peter nie miał żadnego wpływu na rozwój wydarzeń, więc wrzucił ramionami i wrócił do domu. Ewy nie było w chacie, co go wcale nie zmartwiło. Nie czuł potrzeby informowania jej o swoich planach, dopóki nie pozna ostatecznej odpowiedzi. Jeśli odrzucą jego kandydaturę, o niczym kobiecie nie powie.

Jednym z jego obowiązków jako obywatela Ruritanii było asystowanie przy wyrobieniu alkoholu. Postanowił zająć się pracą, żeby zapomnieć o zmartwieniach. Powędrował przełęczą, aż dotarł do pierwszego z szeregu czterech coraz bardziej stromych wzgórz. Ta okolica była znacznie rzadziej zamieszкана i porastały ją obszary gęstego lasu. Właśnie znajdował się na szczycie najwyższego ze wzgórz, znajdującego się u podnóża góry. Jej gładka skalna ściana wznosiła się na ponad tysiąc dwieście metrów. W odległości mniej więcej dziewięćdziesięciu metrów grzmiał wodospad przelewający każdej minuty tysiące litrów wody do stawu, z którego szeroki strumień spływał aż do Rzeki.

Frigate minął ogniska, drewniane, szklane i kamienne sprzęty oraz unoszący się w powietrzu zapach alkoholu. Wspiął się po bambusowej drabinie na platformę umieszczoną w miejscu, w którym ze skalnej ściany jeszcze nie usunięto porostów. Zgłosił się do brygadzysty, od którego otrzymał czertową skrobaczkę. Mężczyzna zdjął z półki sosnowy kijek z wyciętymi inicjałami Petera. Na kijku znajdowały się na przemian poziome i pionowe

linie. Te pierwsze oznaczały liczbę przepracowanych dni, a drugie liczbę miesięcy.

- W przyszłym roku będziesz zdrapywał porosty patykiem - odezwał się brygadzista. - Czert i krzemień zachowamy do produkcji broni.

Peter kiwnął głową i udał się do pracy.

W końcu zapasy krzemienia się wyczerpią i Świat Rzeki zacznie się cofać technologicznie. Zamiast przejść z epoki drewna do epoki kamienia, ludzkość będzie zmuszona obrać przeciwną drogę.

Frigate zastanawiał się, w jaki sposób uda mu się wywieźć z państwa broń o krzemiennym ostrzu. Jeśli wejdzie na pokład statku Farringtona, to zgodnie z prawem będzie musiał pozostawić wszystkie cenne minerały.

Ilość czasu przepracowywanego przez Frigate'a na oko szacował brygadzista, gdyż w Dolinie Rzeki istniało niewiele zegarów. Skąpe zasoby szkła wykorzystywano w procesie produkcji alkoholu, nie budowano więc nawet klepsydr. Piasek potrzebny do wyprodukowania szkła importowano z państwa położonego osiemset kilometrów w dół Rzeki, za cenę kilku łodzi wypełnionych tytoniem i alkoholem oraz całymi stertami skór i kości rzecznych smoków oraz rogaczy. Tytoń i alkohol pochodziły z rogów obfitości mieszkańców państwa. Na te dwa miesiące poświęceń Frigate rzucił palenie i picie. Potem przez pewien czas nadal obywatel się bez papierosów i cygar, wymieniając je na whisky, ale jak to często bywa, z czasem ponownie wpadł w szpony Demona Nikotyny.

Peter skupił się na intensywnej pracy, zdrapując grubą warstwę zielono-niebieskich roślin z czarnej skały i wpychając je do bambusowych wiader. Inni opuszczali za pomocą lin wiadra na ziemię, gdzie ich zawartość wrzucano do dużych kadzi.

Tuż przed południem Frigate urządził sobie godziną przerwę na obiad. Zanim zszedł po drabinie, spojrzął ponad wzgórzami. Biały kadłub *Zawrotu Głowy* lśnił w słońcu. Choćby nie wiem co, znajdzie sposób, aby znaleźć się na pokładzie, gdy statek podniesie kotwicę.

Peter wrócił do chaty, zobaczył, że Ewy jeszcze nie ma, po czym udał się na równinę. Kolejka kandydatów wcale się nie zmniejszyła. Przespacerował się krawędzią równiny, gdzie gwałtownie kończyła się krótka trawa i zaczynały wyrastać długie źdźbła pokrywające wzgórze. Jak uzyskano taką granicę? Czy w glebie pokrywającej wzgórze umieszczono chemikalia blokujące wzrost zwykłej trawy? A może odwrotnie? Ale po co?

Strzelnica znajdowała się około pół kilometra na południe od przystani. Przez pół godziny Peter strzelał z łuku do celu uplecionego z trawy i umieszczonego na bambusowym trójnogu. Potem poszedł na stadion, gdzie przez dwie godziny ćwiczył sprint, skok w dal, judo, karate i walkę na włócznie. Po ukończonym treningu czuł się zmęczony, ale bardzo

szczęśliwy. Cudownie było znów mieć ciało dwudziestopięciolatka i nie musieć się zmagać z dolegliwościami wieku średniego i podeszłego - z otyłością, przepukliną, wrzodami, bólami głowy i dalekowzrocznością. Móc biegać i pływać szybko i daleko oraz każdej nocy (i dnia) zaspokajać pożądanie.

Najgorszą rzeczą, jaką zrobił na Ziemi, było zdecydowanie się na pracę za biurkiem, najpierw w wieku trzydziestu ośmiu lat jako projektant, a następnie w wieku pięćdziesięciu jeden lat jako pisarz. Powinien był zostać w stalowni. To była ciężka praca, ale podczas gdy jego ciało znosiło niewygody, umysł zajmował się wymyślaniem ciekawych historii. W nocy Peter czytał lub pisał.

Gdy zaczął spędzać całe dnie, siedząc na tyłku, wpadł w alkoholizm. Poza tym, znacznie zaniedbał czytanie. Po ośmiu godzinach pracy przy maszynie do pisania o wiele łatwiej spędzić wieczór przed telewizorem ze szklaneczką bourbona lub szkockiej niż oddawać się lekturze. Telewizja to najgorsze, co przytrafiło się ludziom w dwudziestym wieku, oczywiście po bombie atomowej i przeludnieniu.

To nie tak, powiedział sam do siebie. Wcale nie musiał siedzieć jak idiota przed ekranem. Mógł użyć tej samej siły woli, która pozwalała mu systematycznie pisać, aby wyłączyć telewizor i zająć się czymś innym. Ale dopadł go syndrom sybaryty. Poza tym, w telewizji nadawano tyle znakomitych programów, które zarazem bawiły i uczyły.

Z pewnością zaletą tego świata jest brak telewizji, samochodów, bomb atomowych, produktu krajowego brutto, czeków, hipotek, rachunków za leczenie, kurzu oraz zanieczyszczeń powietrza i wody. Nikogo nie obchodzi komunizm, socjalizm czy kapitalizm, bo żaden z tych systemów nie istnieje. No, to nie do końca prawda. W większości państw funkcjonuje prymitywna odmiana komunizmu.

31

Poszedł nad Rzekę i zanurkował, splukując z ciała pot. Następnie potruczał wzdłuż brzegu (w odległości trzydziestu metrów od Rzeki nie wolno stawiać chat), docierając do portu. Pokręcił się po okolicy aż do obiadu, rozmawiając ze znajomymi. Podczas rozmowy obserwował dwójkę oficerów z *Zawrotu Głowy*. Mężczyźni wciąż rozmawiali z kandydatami, nawilżając gardła sporymi ilościami alkoholu. Czy ta kolejka chętnych nigdy się nie skończy?

Tuż przed kolacją Farrington wstał i ogłosił, że nie przyjmuje więcej zgłoszeń. Osoby stojące w kolejce zaprotestowały, ale kapitan miał już dość.

Do tego czasu w porcie pojawił się władca Ruritanii, „Baron” Thomas Bullitt, wraz ze swymi doradcami. Swego czasu Bullitt zakosztował pięciu minut sławy, gdy w 1775 roku na zlecenie William and Mary College w Wirginii zbadał wodospady na rzece Ohio w okolicy, w której później zbudowano miasteczko Luisville w stanie Kentucky. Potem nie wsławił się już niczym więcej. Razem z Bullitem w porcie stawił się jego adiutant, szesnastowieczny Holender Paulus Buys. Obaj zaprosili załogę *Zawrotu Głowy* na wieczorne przyjęcie zorganizowane na ich cześć. Głównym powodem zaproszenia była chęć posłuchania opowieści o przygodach marynarzy. Jako że Dolina Rzeki nie dostarczała zbyt wielu rozrywek, ludzie uwielbiali plotki i ekscytujące historie.

Farrington przyjął zaproszenie, ale pozostawił sześcioro członków załogi na statku jako straż. Frigate podążył za tłumem zmierzającym do ratusza, dużej, zadaszonej przestrzeni oświetlonej pochodniami i ogniskami. Orkiestra zaczęła grać i ludzie ruszyli do tańca. Frisco i Tex przez chwilę rozmawiali z przedstawicielami władz oraz ich żonami i przyjaciółmi. Frigate, jako przedstawiciel pospólstwa, nie miał dostępu do tego świętego kręgu, ale wiedział, że z czasem przyjęcie stanie się znacznie mniej oficjalne. Gdy stał w kolejce po litr darmowego alkoholu, który przysługiwał każdej osobie podczas podobnych uroczystości, dołączyła do niego jego kobieta.

Ewa Bellington pomachała Peterowi i stanęła w kolejce dwanaście osób za nim. Była wysoka, miała kształtną figurę, ciemne włosy i niebieskie oczy - prawdziwa piękność z Georgii. Przyszła na świat w 1850 roku, a zmarła dwa dni przed swoimi sto dwudziestymi pierwszymi urodzinami. Jej ojciec był bogatym plantatorem bawełny, który wsławił się jako major kawalerii w armii Konfederatów. Jego plantacja została spalona podczas przemarszu

wojsk Shermana przez Georgię, a Bellingtonowie zostali bez grosza przy duszy. Wtedy ojciec Ewy wyruszył do Kalifornii, gdzie znalazł wystarczająco dużo złota, żeby zostać współdziałowcem w towarzystwie żegludowym.

Ewie spodobał się powrót do luksusowego życia, ale nie potrafiła wybaczyć ojcu, że zostawił ją i matkę, by samotnie zmagaly się z okupacją i pierwszymi latami rekonstrukcji.

Podczas nieobecności ojca Ewa i matka mieszkały u jego brata, przystojnego mężczyzny zaledwie dziesięć lat starszego od Ewy, który zgwałcił dziewczynę (co prawda nie napotykając specjalnego oporu), gdy ta miała piętnaście lat. Kiedy matka dowiedziała się, że Ewa jest w ciąży, postrzeliła wyrodnego krewnego w nogi i genitalia. Zmarł kilka lat później w więzieniu jako kaleki kastrat.

Następnie pani Bellington przeprowadziła się razem z córką do Richmond w stanie Wirginia, gdzie dołączył do nich jej mąż. Syn Ewy wyrósł na wysokiego i przystojnego mężczyznę, oczko w głowie matki. Po straszliwej kłótni ze swoim wujkiem-dziadkiem odszedł, aby szukać szczęścia na Zachodzie. Ostatni list, jaki wysłał do domu, napisał w Silver City w Kolorado. Potem zaginął gdzieś w Górach Skalistych, jak wynikało z notki, którą otrzymała Ewa pocztą od oficera prowadzącego dochodzenie.

Matka Ewy zginęła w pożarze, a ojciec zmarł na atak serca podczas próby ratowania żony. Pierwszy mąż Ewy wkrótce potem zmarł na cholere, a przed pięćdziesiątką kobieta straciła kolejnych dwóch małżonków oraz sześcioro z dziesięciorga swoich dzieci.

Jej życie przypominało powieść stworzoną wspólnie przez Margaret Mitchell i Tennessee Williamsa. Nie rozbawił jej ten żart, gdy po raz pierwszy usłyszała go z ust Petera.

Po ponad trzydziestu latach życia w Świecie Rzeki Ewa przewyciężyła uprzedzenia wobec czarnuchów i nienawiść do Unionistów, a nawet zakochała się w Jankesie. Peter nigdy jej nie powiedział, że jego pradziadek był jednym z żołnierzy uczestniczących w „niesławnym” przemarszu Shermana. Nie chciał narażać na szwank ich uczucia.

Frigate dotarł do początku kolejki i otrzymał swój przydział alkoholu w steatytowym kubku. W bambusowym wiaderku wymieszał alkohol z wodą w proporcjach jeden do trzech i wrócił do kolejki, aby porozmawiać z Ewą. Spytał ją, gdzie spędziła cały dzień. Odpowiedziała, że włóczyła się po okolicy, pogrążona w myślach.

Nie spytał jej, o czym myślała. Dobrze znał odpowiedź. Próbowwała znaleźć jakiś sposób na bezbolesne zakończenie ich związku. Od kilku miesięcy oddalali się od siebie, a ich miłość gwałtownie stygła. Peter także sporo myślał na ten temat. Jednak oboje czekali na jakiś ruch z drugiej strony.

Peter powiedział Ewie, że spotka się z nią później, po czym przepchnął się przez

hałaśliwy tłum w stronę Farringtona. Rider szalał na parkiecie, wirując w tańcu z kobietą Bullitta.

Frigate odczekał, aż kapitan skończy opowiadać o gorączce złota w Jukonie w 1899 roku. Przygody Farringtona, podczas których stracił część zębów na skutek szkorbutu, rozbawiły słuchaczy.

- Panie Farrington, czy już pan podjął decyzję? - spytał Peter.

Mężczyzna znieruchomiał z otwartymi ustami, gotowy do rozpoczęcia kolejnej opowieści, po czym zamrugął zaczerwienionymi oczami.

- A tak! - odparł. - Nazywasz się... hmm... Frigate, czy tak? Peter Frigate. Ten, który dużo czytał. Tak, Tom i ja podjęliśmy decyzję. Ogłosimy ją jeszcze przed końcem przyjęcia.

- Mam nadzieję, że to mnie wybraliście - rzekł Peter. - Bardzo chcę z wami popłynąć.

- Entuzjazm to duża zaleta - odparł Farrington. - Jeszcze większa to doświadczenie. Jeśli połączymy te dwa elementy, otrzymamy świetny materiał na marynarza.

Peter wziął głęboki oddech i zaryzykował.

- Nie mogę wytrzymać tej niepewności. Czy mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, czy zostałem wyeliminowany? Jeśli tak, od razu pójdę topić smutki.

- Naprawdę tak bardzo ci na tym zależy? - spytał z uśmiechem Farrington. - Dlaczego?

- Cóż, chcę dotrzeć do ujścia Rzeki - odpowiedział Frigate.

Farrington uniósł brwi.

- Spodziewasz się tam znaleźć odpowiedzi na wszystkie swoje pytania? - spytał.

- „Myśl mnie wielka trapi i nie potrzebuję milionów, ale rozstrzygnięcia jej”⁸ - odparł Peter. - Tak powiedział jeden z bohaterów „Braci Karamazow” Dostojewskiego.

Na twarzy kapitana pojawił się uśmiech.

- Świetne! Słyszałem o Dostojewskim, ale nigdy nie miałem okazji go czytać. Za mojego życia chyba nie istniały angielskie tłumaczenia, a przynajmniej ja na żadne nie natrafiłem.

- Nietzsche przyznawał, że wiele się nauczył o psychologii z lektury jego powieści - dodał Peter.

- Nietzsche, co? Dobrze go znasz? - spytał Farrington.

- Czytałem jego dzieła po angielsku i niemiecku - odpowiedział Frigate. - Był

⁸ Na podstawie „Braci Karamazow” Fiodora Dostojewskiego w przekładzie Wacława Wireńskiego (Zielona Sowa, 2005).

świetnym poetą i jedynym z niemieckich filozofów, który potrafił się pięknie wysławiać. No, to nie do końca sprawiedliwy osąd, bo jeszcze Shopenhauer potrafił pisać książki, które nie usypiały i nie doprowadzały czytelnika do załamania nerwowego w oczekiwaniu na koniec zdania. Ale nie zgadzam się z nietzscheańską ideą nadczłowieka. „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem a nadczłowiekiem”⁹. Może to niedokładny cytat, cholernie dawno nie czytałem „Tako rzecze Zaratustra”. Tak czy inaczej, również uważam, że człowiek jest liną łączącą zwierzę z nadczłowiekiem, ale nie nadczłowiekiem w rozumieniu Nietzschego. Prawdziwy nadczłowiek to osoba, która pozbyła się wszelkich uprzedzeń, neuroz i psychoz, i która w pełni realizuje swój potencjał, w sposób naturalny kierując się łagodnością, współczuciem i miłością, oraz myśląc samodzielnie, a nie podążając za stadem. Weźmy za przykład nietzscheański model nadczłowieka przedstawiony w powieści „Wilk morski” Jacka Londona.

Peter na chwilę przerwał.

- Czytał ją pan? - spytał Farringtona.

Kapitan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiele razy - odpowiedział. - Co powiesz o Wolfie Larsenie?

- Wydaje mi się, że to bardziej nadczłowiek Londona niż Nietzschego - odparł Peter. -

Realizacja wyobrażenia Londona o tym, jaki powinien być nadczłowiek. Nietzschego zapewne odrzuciłaby brutalność Larsena. A jednak London uśmiercił swojego bohatera za pomocą guza mózgu. Wydaje mi się, że chciał w ten sposób pokazać, że taki nadczłowiek ma w sobie coś chorego. Może właśnie to chciał powiedzieć czytelnikom. A jeśli tak, to krytycy zupełnie to przegapili. Nigdy nie pojęli znaczenia przyczyny śmierci Larsena. Ale oprócz tego, myślę, że London pragnął pokazać, że człowiek, nawet nadczłowiek, ma swoje korzenie w świecie zwierząt. Jest częścią Natury i niezależnie od tego, jak bardzo się jej wyprze, i jak wiele osiągnie na płaszczyźnie intelektualnej, nie ucieknie przed fizycznością. Człowiek jest zwierzęciem i dlatego podlega chorobom, takim jak guz mózgu. „Jakże padli bohaterowie”¹⁰. Ale sądzę również, że Wolf Larsen w pewnym sensie utożsamia człowieka, jakim chciałby być sam Jack London. London żył w brutalnym świecie i uważał, że, aby przetrwać, trzeba być jeszcze brutalniejszym. Mimo to nosił w sobie współczucie i wiedział, jak wygląda życie w otchłani. Sądził, że cierpiące masy mogą znaleźć ulgę i szansę realizacji swojego potencjału

⁹ Na podstawie „Tako rzecze Zaratustra” Fryderyka Nietzschego w przekładzie Wacława Berenta (Tenet, 1991).

¹⁰ Biblia Tysiąclecia, 2Sam, 1:19

w socjalizmie. Walczył o to przez całe swoje życie. Jednocześnie pozostawał silnym indywidualistą, co kłóciło się z jego poglądami socjalisty i w ostatecznym rozrachunku jednak je zwyciężało. Z pewnością nie był Emmą Goldman. Jego córka, Joan, nawet go za to skrytykowała w książce, którą poświęciła jego życiu.

- Nie wiedziałem o tym - wtrącił Farrington. - Musiała ją napisać po mojej śmierci. Czy wiesz o tej kobiecie coś więcej? Co się z nią działo po śmierci Londona i jak umarła?

- Znałem pewną specjalistkę od twórczości Londona, która utrzymywała z Joan dość bliskie kontakty - odpowiedział Peter.

Tak naprawdę wspomniana kobieta zaledwie kilkakrotnie wymieniała korespondencję z córką Londona i tylko raz ją spotkała. Jednakże Frigate nie wahał się naciągać prawdy, jeśli mogło mu to zapewnić miejsce na pokładzie statku.

- Joan była aktywną socjalistką - kontynuował Peter. - O ile dobrze pamiętam, zmarła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Jej książka o ojcu okazała się niezwykle obiektywna, zważywszy na to, że Jack porzucił jej matkę dla młodszej kobiety. Tak czy inaczej, sądzę, że London chciał się stać Wolfem Larsenem, to bowiem uczyniłoby go nieczułym na cierpienia świata. Człowieka, który nie współczuje innym, nie sposób zranić. A przynajmniej tak mu się wydaje, bo naprawdę rani sam siebie. Być może London to dostrzegł i próbował przekazać w swojej książce. Jednocześnie pragnął być Larsenem, nawet jeśli miałyby się to równać z zupełnym brakiem uczuć. Ale pisarze, podobnie jak reszta śmiertelników, doświadczają przeciwnych prądów na morzach swego umysłu. Dlatego właśnie wielcy twórcy pozostają zagadką, nawet gdy uporają się z nimi krytycy. „Wieszaj niebiosa, zatapiaj morza, sekretem człowiek tylko być może”¹¹.

- Dobrze! - zawołał Farrington. - Kto to napisał?

- E.E. Cummings. Ale najbardziej lubię ten fragment: „Lecz słuchaj: jest śliczny, piekielnie dobry wszechświat tuż obok; chodź z nami”.

Peterowi przyszło do głowy, że trochę przesadza, ale Farringtonowi najwyraźniej się to podobało.

Kiedy Frigate znajdzie się na statku, będzie mógł poruszyć znacznie bardziej irytujące tematy. Na przykład wspomnieć, że wiedza kapitana na temat Nietzschego pochodzi głównie z rozmów z przyjacielem, Strawnem-Hamiltonem. Mężczyzna próbował czytać angielskie tłumaczenia dzieł filozofa, ale tak go ujęły poetyckie frazy i slogany, że nie do końca

¹¹ Wszystkie cytaty z wierszy E.E. Cummingsa na podstawie przekładów Stanisława Barańczaka (Wydawnictwo Literackie, 1983).

zrozumiał myśl Niemca. Wziął z Nietzschego to, co mu się podobało, i zignorował całą resztę - tak samo jak Hitler. Co prawda wcale nie uważał, że Farrington przypomina Hitlera.

Co powiedziała jego córka? „Ludzie z radością dążący do zagłady”, „nadludzie”, „życie niebezpiecznie! - słowa mocniejsze od wina”.

Co do znajomości socjalizmu, to Farrington nie przeczytał żadnego z dzieł Marksa poza „Manifestem komunistycznym”. Ale, jak wspomniała jego córka, ignorowanie Marksa było wtedy na porządku dziennym wśród amerykańskich socjalistów.

Można będzie porozmawiać jeszcze o wielu innych rzeczach i je potępić. London pragnął socjalizmu tylko dla dobra narodów germańskich. Niezachwianie wierzył, że mężczyźni stoją w hierarchii wyżej od kobiet. Kto ma siłę, ten ma rację. No i nie był, przynajmniej w jednym znaczeniu tego słowa, prawdziwym artystą. Sam przyznawał, że pisze tylko dla pieniędzy i gdyby zarobił ich wystarczająco dużo, porzuciłby pióro. Frigate wątpił w te zapewnienia. Kto raz zostaje pisarzem, jest nim do końca.

- Cokolwiek by mówić o Londonie, ostatnie słowo zapewne należało do Freda Lewisa Pattona - odezwał się Peter. - Patton stwierdził, że Londona łatwo krytykować i potępiać, ale nie sposób go uniknąć.

To jeszcze bardziej spodobało się Farringtonowi, ale przerwał wywód Frigate'a.

- Dość o Londonie, choć z pewnością chciałbym kiedyś spotkać tego człowieka. Słuchaj, twoja wizja nadczłowieka bardzo przypomina idee głoszone przez Kościół Jeszcze Jednej Szansy. A jeszcze bardziej przypomina to, co mówi jeden z członków mojej załogi, ten mały Arab, który tak naprawdę nie jest Arabem. To hiszpański Maur urodzony w dwunastym wieku naszej ery. Z pewnością nie należy do Kościoła.

Wskazał człowieka, którego Frigate już wcześniej zauważył wśród załogi *Zawrotu Głowy*. Mężczyzna stał otoczony wianuszkami Ruritania, trzymając w ręku drinka i papierosa. Najwyraźniej opowiadał coś zabawnego, bo zgromadzeni wokół ludzie głośno się śmiali. Miał około stu sześćdziesięciu czterech centymetrów wzrostu, bardzo ciemną karnację, duży nos i szczupłe, ale silne ciało. Wyglądał jak młody Jimmy Durante.

- Nur-ed-din el-Musafir - odezwał się Farrington. - W skrócie Nur.

- Po arabsku to oznacza Światło-Wiary Podróżnik - odrzekł Peter.

- Znasz arabski? - spytał kapitan. - Ja nigdy nie byłem w stanie nauczyć się żadnego obcego języka poza esperanto.

- Przynajmniej sporo słów, czytając „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” Burtona - odparł Frigate, po czym na chwilę umilkł. - No i jak będzie? - spytał w końcu. - Zostałem wyeliminowany?

- I tak, i nie - odpowiedział Farrington i roześmiał się, widząc zdumione oblicze Petera, po czym klepnął mężczyznę po ramieniu. - Potrafisz trzymać głowę na kłódce?

- Niczym mnich trapista - odparł Frigate.

- No to ci powiem. Widzisz, Pete, Tom i ja wybraliśmy tego wielkiego Kanakę. - Wskazał na Mauiego, olbrzymia pochodzącego z archipelagu Markizów. Mężczyzna był owinięty w pasie białym ręcznikiem, a bujne, czarne kręcone włosy przyozdobił ciemnoczerwonym kwiatem, co nadawało mu wygląd Polinezyjczyka. - Zajmował się żaglami na statku wielorybniczym, a potem przez trzydzieści lat rzucał harpunem. Wygląda na człowieka zaprawionego w bojach. Razem z Tomem stwierdziliśmy, że ma najlepsze kwalifikacje. Ale, niestety, nie wie nic na temat księżek, a ja potrzebuję wokół siebie wykształconych ludzi. Może brzmi to nieco snobistycznie, ale co z tego? Dlatego zmieniłem zdanie. Możesz się zaciągnąć, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Zaraz, zaraz! Jeszcze się nie ciesz. Muszę o tym porozmawiać z Tomem. Poczekaj tutaj, zaraz wrócę.

Zanurzył się w tłumie tańczących, złapał Ridera za rękę i pomimo protestów mężczyzny odciągnął go na bok. Peter patrzył, jak rozmawiali. Rider kilkakrotnie na niego spoglądał, ale wyglądało na to, że oponuje.

Frigate cieszył się, że nie zmuszono go do wyciągnięcia ostatniego asa z rękawa. Gdyby został odrzucony, powiedziałby obu oficerom, że zna ich prawdziwą tożsamość. Nie miał pojęcia, jak by na to zareagowali. Musieli mieć istotny powód dla podróżowania incognito. Może by uciekli, albo zabrali go na pokład tylko po to, by wyrzucić go za burtę w górze Rzeki.

Niewykluczone, że Farrington przejrzał jego plan. Musiał się zastanawiać, czemu ktoś tak obeznany z dziełami Londona go nie rozpoznał. W takim wypadku kapitan mógł dojść do wniosku, że Frigate prowadzi jakiś rodzaj gry. Zabierze więc Petera na pokład i z czasem dowie się, co on knuje.

Jednakże Frigate nie obawiał się, że grozi mu śmierć. Farrington i Rider nie byli mordercami. Choć z drugiej strony, skoro niektórzy zmieniali się w tym świecie na lepsze, inni mogli się zmienić na gorsze. Poza tym, Peter nie wiedział, jak bardzo zdesperowani mogą być obaj mężczyźni.

Podszedł do niego Rider, uściśnął mu dłoń i powitał na pokładzie. Po kilku minutach Farrington poprosił o ciszę i ogłosił wszystkim podjętą decyzję. Do tego czasu Peter znalazł Ewę, zabrał ją na zewnątrz i wszystko jej opowiedział.

Przez chwilę kobieta milczała.

- Tak, wiedziałam, że starasz się dostać na ten statek - rzekła w końcu. - Tutaj trudno

utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Nie jestem zadowolona, ale głównie dlatego, że nie powiedziałeś mi, że odchodzisz.

- Próbowałem cię znaleźć, ale poszłaś gdzieś bez słowa wyjaśnienia - odparł.

Ewa się rozplakała. Peter także czuł, że ma wilgotne oczy. Jednak kobieta szybko otarła łzy.

- Nie jest mi smutno dlatego, że mnie opuszczasz, Pete - powiedziała, pociągając nosem. - Płacę, ponieważ nasza miłość umarła. Kiedyś myślałam, że będzie trwać wiecznie, ale powinnam była mieć więcej rozsądku.

- Nadal jesteś mi bliska - odpowiedział Frigate.

- Ale nie dość, prawda? - odparła. - Oczywiście, że nie. Nie mam do ciebie pretensji, Peter. Sama czuję podobnie. Tylko... chciałabym, żeby nadal łączyło nas to samo, co na początku.

- Znajdziesz sobie kogoś innego. Przynajmniej nie rozstajemy się w nienawiści.

- Tak byłoby lepiej - odrzekła Ewa. - Nie jest dobrze, kiedy dwoje ludzi się kocha i nie potrafi dogadać. Ale kiedy miłość po prostu wygasa! Nie mogę znieść obojętności!

- Wytrzymałaś w swoim życiu o wiele więcej. Gdybyśmy nadal się kochali, zostałbym z tobą albo spróbował ich przekonać, żeby zabrali nas oboje.

- Wtedy byś mnie za to znienawidził - odparła. - Nie, może to nie najlepsze rozwiązanie, ale jedyne możliwe.

Chciał ją pocałować w usta, ale jedynie nadstawiła policzek.

- Żegnaj, Peter.

- Nigdy cię nie zapomnę.

- Tak, to z pewnością pomoże - odpowiedziała gorzko, po czym odeszła.

Peter wrócił na przyjęcie. Otoczył go tłum ludzi spieszących z gratulacjami. Nie czuł się szczęśliwy. Rozmowa z Ewą popsowała mu nastrój, a poza tym nie lubił znajdować się w centrum uwagi. Zobaczył przed sobą twarz Bullitta.

- Bardzo nam przykro, że musisz nas opuścić, Frigate - odezwał się „Baron”, potrząsając dłonią Petera. - Byłeś wzorowym obywatelem. Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Odwrócił się do sierżanta stojącego u jego boku.

- Panie Armstrong, proszę skonfiskować broń pana Frigate'a - rozkazał.

Peter nie protestował, w końcu złożył przysięgę, że odda broń w przypadku opuszczenia Ruritanii. Ale nie ślubował, że nie spróbuje jej ukraść z powrotem.

Zrobił to wczesnym rankiem, gdy było jeszcze ciemno.

Uznał, że włożył zbyt dużo pracy w wykonanie swojej broni, aby tak po prostu ją

oddać. Poza tym został kiedyś ranny w służbie Ruritanii, więc państwo miało wobec niego dług.

Oddalił się o niecały kilometr w górę Rzeki, gdy ogarnęło go pragnienie powrotu i złożenia broni. Ten nagły atak uczciwości minął po upływie jednego dnia.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Wrócił do niego sen, który tak często go nękał. Tym razem akcja nie zatrzymała się w chwili, gdy stał nagi przed domem. Rzucał kamyczkami w okno sypialni, ale nie udało mu się obudzić Roosevelta. Obszedł cały dom, próbując otworzyć kolejne drzwi i okna, a kiedy dotarł do drzwi frontowych, zobaczył, że nie są zamknięte. Ukradkiem przemknął przez salon do niewielkiej kuchni, po czym dotarł do drzwi naprzeciwko łazienki. Za nimi znajdowały się strome schody prowadzące na poddasze przekształcone w małą sypialnię. Musiał się wspinać bardzo powoli, stawiając nogi na brzegach stopni, gdyż w przeciwnym razie schody potwornie skrzypiały.

Wtedy zauważył, że drzwi do sypialni rodziców i pokoju jego młodszego rodzeństwa są otwarte. Wszystko było skąpane w jasnym świetle księżyca. (Nieważne, że wszedł do domu o świcie. To przecież sen). Peter zobaczył, że wielkie, staromodne, miedziane łóżko rodziców stoi puste. Podobnie łóżeczko jego młodszej siostry. Wyrzał zza rogu i stwierdził, że nikogo nie ma również w piętrowym łóżku zwykle zajmowanym przez Mungo i Jamesa juniora.

Także Roosevelt gdzieś zniknął.

Ogarnięty paniką, wyrwał przez okno. Psia buda stojąca na podwórku była pusta.

Wszyscy, nawet pies, odeszli bez słowa wyjaśnienia.

Jaką straszliwą zbrodnię popełnił?

- Budowa sterowca szkoleniowego zostanie ukończona w ciągu miesiąca - poinformował Firebrass. - Jill Gulbirra jest wśród nas najbardziej doświadczoną aeronautką, więc poprowadzi trening. Mianuję ją kapitanem jednostki szkoleniowej. Co ty na to, Jill? Skoro nie możesz zostać kapitanem dużego sterowca, to przynajmniej na małym będziesz prawdziwą szychą. I nie mów potem, że nic dla ciebie nie robię.

Pozostali mężczyźni złożyli Gulbirrze gratulacje, ale niektórzy nie kryli rozgoryczenia. Cyrano wydawał się szczerze zachwycony i gdyby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo Jill nie lubi być dotykana, z pewnością by ją objął i ucałował. Nie myśląc wiele, kobieta przyciągnęła go do siebie i uściśnęła. W końcu starał się odpokutować za swoje obraźliwe zachowanie na brzegu Rzeki.

Dwadzieścia minut później Gulbirra, Firebrass, Messnet, Piscator oraz dziesięciu inżynierów zaczęło wspólnie pracować nad projektem wielkiego sterowca. Specyfikacja powstała w efekcie trzech tygodni ciężkiej pracy po dwanaście do czternastu godzin dziennie. Zamiast rysować linie na papierze, nanosili plany na lampę katodową komputera. To pozwoliło na szybszą pracę i łatwe wprowadzanie poprawek i zmian, a komputer sam sprawdzał proporcje. Oczywiście należało go najpierw zaprogramować, a Jill chętnie w tym uczestniczyła. Uwielbiała takie zajęcia, kreatywne i pozwalające na zabawę z matematycznymi relacjami.

Mimo to, w pracy nie dało się uniknąć stresu. Aby go rozładować oraz utrzymać się w dobrej kondycji fizycznej, niemal każdego dnia Jill przez dwie godziny ćwiczyła szermierkę. Trening nie przypominał tego na Ziemi. Lekkie i giętkie florety zostały zastąpione ciężkimi i twardymi rapierami. Ponadto, każda część ciała stanowiła cel, co wymagało od szermierzy noszenia ochraniaczy na nogach.

- To nie zabawa - powiedział jej Cyrano. - Nauczysz się walczyć o coś więcej niż punkty. Pewnego dnia twoje życie może zależeć od tego, czy zdołasz jako pierwsza przebić przeciwnika ostrzem.

Jill była znakomitą szermierką. Od swojej świetnej nauczycielki, mistrzyni olimpijskiej, usłyszała kiedyś, że mogłaby walczyć na poziomie światowej czołówki, gdyby poświęciła wystarczająco dużo czasu na trening. To okazało się niemożliwe, Jill bowiem

zbyt pochłaniała praca, ale i tak ćwiczyła, kiedy tylko miała ku temu okazję. Kochała szermierkę, widząc w niej aktywną odmianę szachów, za którymi również przepadała.

Z prawdziwą przyjemnością ponownie ujęła w dłoń ostrze i przypomniała sobie od dawna nie stosowane ruchy. Jeszcze większą radość sprawiło jej odkrycie, że potrafi pokonać większość mężczyzn. Choć wyglądała na niezgrabną, to gdy tylko chwyciła rękojeść rapiera, stawała się wcieleniem gracji i szybkości.

Jednak dwóm mężczyznom nie potrafiła dać rady. Pierwszym był Radaelli, włoski mistrz, autor podręcznika „Instruzione per la scherma di spada a di sciabola”, wydanego w 1885 roku. Drugim, niekwestionowany król szpady Savinien Cyrano de Bergerac.

Jill to zaskoczyło. Po pierwsze, za życia de Bergeraca sztuka szermierki nie była jeszcze zbyt rozwinięta. Dopiero pod koniec osiemnastego wieku osiągnęła szczyt wyrafinowania. Cyrano umarł w połowie siedemnastego wieku, jeszcze przed wynalezieniem floretu, gdy walczono, często na śmierć i życie, za pomocą spektakularnych, ale dość prymitywnych technik. Co prawda Włosi opisali podstawy współczesnej sztuki szermierki na początku siedemnastego wieku, ale dopiero w dziewiętnastym te techniki zostały w pełni rozwinięte.

W ten sposób Cyrano zdobył reputację najlepszego szermierza wszech czasów, nie musząc stawiać czoła lepiej wyszkolonym mistrzom z późniejszych wieków. Jill zawsze uważała, że ta reputacja jest bardzo przesadzona. W końcu nikt nie wiedział, czy słynne wydarzenie w Porte de Nestle rzeczywiście nastąpiły. Nikt oprócz samego Francuza, a on nie chciał rozmawiać na ten temat.

A jednak Cyrano nauczył się wszystkich późniejszych technik od Radaelliego i Borsodiego. W ciągu czterech miesięcy prześcignął swoich mistrzów, a po upływie pięciu miesięcy już nikt nie potrafił go pokonać. Przynajmniej jak do tej pory.

Choć początkowo Jill brakowało świeżości, wkrótce nabrała wprawy i zaczęła stawiać Francuzowi coraz większy opór. Mimo to ani razu nie zdobyła więcej niż jeden punkt z pięciu możliwych podczas sześciominutowego pojedynku. Co więcej, Cyrano zawsze zdobywał pierwsze cztery punkty, co podsuwało kobiecie myśl, że otrzymuje od niego punkt w prezencie na osłodę porażki. Po jednej z walk, podczas której frustracja doprowadziła ją do furii, Jill oskarżyła Francuza o to, że traktuje ją w sposób protekcyjalny.

- Nawet gdybym był w tobie zakochany i za wszelką cenę nie chciał zranić twoich uczuć, nigdy nie uczyniłbym czegoś takiego! - odparł Bergerac. - To byłoby nieuczciwe i choć mawia się, że w miłości i na wojnie nie ma żadnych zasad, to ja się z tym nie zgadzam. Zdobyłaś swoje punkty uczciwie dzięki szybkości i technice.

- Ale gdybyśmy walczyli na poważnie, nie stęzionymi ostrzami, za każdym razem byś mnie zabił - odrzekła Jill. - Zawsze uderzałeś pierwszy.

Podniósł maskę i otarł czoło.

- To prawda - powiedział po chwili. - Ale z pewnością nie zamierzasz wyzwąć mnie na pojedynek? Nie jesteś już na mnie wściekła?

- Za to, co się wydarzyło na brzegu? Nie, o to nie jestem zła.

- W takim razie o co, jeśli mogę spytać?

Nie odpowiedziała mu wtedy, a on uniósł brwi i wzruszył ramionami.

Cyrano rzeczywiście był od niej lepszy. Nieważne, jak dużo ćwiczyła, i nieważne, jak bardzo chciała go pokonać (dlatego, że jest mężczyzną, i dlatego, że sama nie znosiła przegrywać), zawsze doznawała porażki. Gdy pewnego razu wyśmiała jego ignorancję i zabobonność, świadomie doprowadzając go do wściekłości, zaatakował ją z taką furją, że zdobył pięć punktów w ciągu półtorej minuty. Zamiast stracić głowę, upodobił się do zimnego płomienia, poruszając się z morderczą precyzją, nie popełniając żadnych błędów i przewidując jej wszystkie ruchy.

To ją spotkało upokorzenie.

Należała jej się ta kara, więc przeprosiła Francuza, choć w ten sposób upokorzyła się jeszcze bardziej.

- Popełniłam poważny błąd, śmiejąc się z twojego braku wiedzy naukowej i błędnych przekonań - rzekła. - To nie twoja wina, że urodziłeś się w tysiąc sześćset dziewiętnastym roku, i nie powinnam wykorzystywać tego przeciw tobie. Zrobiłam to tylko po to, żeby cię zdenerwować i zyskać nad tobą przewagę. To podła sztuczka. Obiecuję nigdy więcej tego nie próbować i pokornie proszę o wybaczenie. Wcale nie wierzę w to, co powiedziałam.

- A więc te złośliwości to była tylko sztuczka? - spytał. - Sposób na zdobycie punktów? Obrażliwe słowa, które wypowiedziałaś, to nic osobistego?

Jill przez chwilę się zastanawiała.

- Będę szczerą - odparła w końcu. - Za główny cel obrałam sobie wyprowadzenie cię z równowagi. Jednak sama też straciłam nad sobą panowanie. W tamtej chwili naprawdę myślałam, że jesteś prostackim ignorantem i żywą skamieliną, ale przemawiał przeze mnie gniew. Tak naprawdę wyprzedzałeś swoją epokę, odrzucając jej zabobony i barbarzyńskie zwyczaje, przynajmniej w stopniu, w jakim jesteśmy w stanie odrzucić własną kulturę. Byłeś wyjątkowym człowiekiem i za to cię szanuję. Nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie podobnych słów. - Zawahała się. - Ale czy to prawda, że nawróciłeś się na łożu śmierci? - spytała w końcu.

Francuz poczerwieniał, a usta wykrzywił mu nieprzyjemny grymas.

- Tak, Jill - odpowiedział. - Faktycznie ogłosiłem wtedy, że żałuję za swoje bluźnierstwa i niewiarę i poprosiłem dobrego Boga o przebaczenie. Mimo że byłem wojującym ateistą od trzynastego roku życia! Mimo że szczerze nienawidziłem wszystkich tłustych, zadowolonych z siebie, śmierdzących klechów, pasożytów pełnych ignorancji i hipokryzji, a także ich nieczulego, bezlitosnego Boga! Ale ty żyłaś w wieku wolności, więc cóż możesz wiedzieć o strachu przed ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, gdy ten strach cię przenika i gdy pogrążasz się w nim niczym w morskiej otchłani. Lęk przed piekłem wpajano nam od najmłodszych lat, aż zagnieździł się w naszym ciele i najgłębszych zakamarkach umysłu! Dlatego właśnie, gdy już byłem pewien, że umieram na skutek brudnej zarazy, którą znaleźliśmy pod sielankową nazwą syfilis, jak też przypadkowego bądź umyślnego uderzenia w głowę spadającą belką, a chciałem przecież kochać całą ludzkość... gdzie to ja byłem? Ach, no więc, wiedząc, że umrę, i poddając się lękowi przed diabłami i wiecznymi torturami, posłuchałem mej siostry, bezzębnej suki i zasuszonej zakonnicy, oraz mojego zbyt dobrego przyjaciela, Le Breta, i powiedziałem, że owszem, żałuję za grzechy, chcę zbawienia swojej duszy, a wy możecie się radować, droga siostrzo i drogi przyjacielu, bo choć zapewne wyląduję w czyścicu, to wydostaniecie mnie stamtąd swoimi modlitwami. Czemu nie? Bałem się, jak jeszcze nigdy w życiu, a jednak nie wierzyłem, abym miał być skazany na potępienie. Miałem co do tego pewne wątpliwości, ale nawrócenie na pewno w niczym nie mogło mi zaszkodzić. Jeśli rzeczywiście istniał Chrystus, który mógł mnie zbawić za darmo, a także niebo i piekło, to byłbym głupcem, gdybym nie spróbował ocalić skóry, nie wspominając o duszy. Na drugiej szali znajdowała się wizja pośmiertnej pustki i nicości, więc cóż miałem do stracenia? Postanowiłem sprawić radość siostrze i Le Bretowi, człowiekowi przesądnemu, ale dobrego serca.

- Gdy umarłeś, Le Bret napisał na twoją cześć panegiryk - odrzekła Jill. - Umieścił go jako wstęp do twojej „Podróży na księżyc”, którą zredagował dwa lata po twojej śmierci.

- Ach! Mam nadzieję, że nie zrobił ze mnie świętego! - zawołał Cyrano.

- Nie, ale przedstawił cię jako człowieka szlachetnego charakteru - odpowiedziała kobieta. - Natomiast inni pisarze... cóż, musiałeś mieć wielu wrogów.

- Te tchórzliwe świny postanowiły mnie oczernić, gdy już nie mogłem się bronić! - wybuchnął Francuz.

- Nie pamiętam szczegółów - odparła Jill. - A zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Poza tym, dzisiaj tylko znawcy literatury kojarzą nazwiska twoich krytyków. Niestety, większość ludzi zna cię jedynie jako romantycznego i napuszonego żartownisia w stylu Don

Kichota, takim bowiem przedstawił cię pewien Francuz w swojej sztuce napisanej pod koniec dziewiętnastego wieku. Przez wiele lat wierzono, że „Podróż na księżyc” i „Podróż na słońce” napisałeś pogrążony w szaleństwie, ponieważ oba dzieła zostały tak drastycznie ocenzurowane przez Kościół, że ich spore fragmenty przestały mieć jakikolwiek sens. Ale w końcu zrekonstruowano większość tekstów i gdy ja przyszedłam na świat, były już dostępne angielskie tłumaczenia pełnych wersji obu książek.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł Cyrano. - Clemens i inni opowiadali, że znalazłem się na literackim Olimpie, może nie jako Zeus, ale przynajmniej jako Ganimedes, podczaszy w szeregach sław. Jednak twoja złośliwa uwaga, jakobym był zabobonny, bardzo mnie zabolęła, mademoiselle. To prawda, jak byłaś łaskawa zauważyć, że wierzyłem, iż zmniejszający się księżyc wysysa szpik z kości zwierząt. Teraz mówisz mi, że to bzdury, i nie mam zamiaru się z tobą spierać. Myliłem się, podobnie jak miliony innych ludzi w moich czasach i Bóg raczej wiedzieć jak wiele osób przede mną. Tyle że ja błądziłem w nieszkodliwych drobiazgach. Cóż złego może wyniknąć z takiego mylnego przekonania? Prawdziwie szkodliwym zabobonem i wielkim błędem, który skrzywdził miliony ludzi, była idiotyczna i barbarzyńska wiara w magię, w zdolność ludzi do czynienia zła za pomocą zaklęć, uroków i czarnych kotów oraz w możliwość zawarcia paktu z diabłem. Napisałem kiedyś list przeciwko tym ignoranckim i szkodliwym wierzeniom, a raczej przeciwko opartemu na nich systemowi społecznemu. Oświadczyłem, że groteskowe wyroki śmierci wydawane w procesach o czary oraz okrutne tortury stosowane w imieniu Boga wobec niepoczytalnych lub niewinnych ludzi i cała ta walka z Szatanem same w sobie są złem w czystej postaci. Co prawda list, o którym mówię, zatytułowany „Przeciwko czarownikom”, nie ujrzał światła dziennego za mojego życia. Nie bez powodu. Zostałbym wtedy poddany torturom i spalony żywcem. Owo pismo krążyło wśród moich przyjaciół i jest dowodem na to, że wcale nie byłem tym, za kogo mnie dziś uważasz. W wielu sprawach wyprzedzałem swoje czasy, choć oczywiście nie byłem jedyną osobą w tym niefortunnym położeniu.

- Wiem o tym - odparła Jill. - Już raz cię przeprosiłam. Czy mam to zrobić ponownie?

- Nie musisz - odpowiedział. Szeroki uśmiech czynił go przystojnym, a przynajmniej atrakcyjnym, pomimo wielkiego nosa.

Jill podniosła swój róg obfitości.

- Zbliża się pora obiadu - powiedziała.

Słyszała kiedyś o mężczyźnie imieniem Odyseusz, który pojawił się znikąd, gdy ludzie Clemensa i króla Jana walczyli z najeźdźcami pragnącymi przejąć kontrolę nad żelazem z meteorytu. Przybysz zabił przywódcę wrogiej armii jednym celnym strzałem z łuku,

wprowadził chaos w szeregi pozostałych oficerów i dzięki temu umożliwił obrońcom zyskanie niezbędnej przewagi i wygranie bitwy.

Odyseusz z Itaki utrzymywał, że jest historycznym Odyseuszem, na którym wzorował się Homer, opisując swojego mitycznego bohatera. Mężczyzna walczył pod murami Troi, choć twierdził, że prawdziwa Troja nie znajdowała się tam, gdzie umiejscowili ją późniejsi badacze, ale znacznie dalej na południe, na wybrzeżu Azji Mniejszej.

Gdy Jill po raz pierwszy usłyszała tę opowieść, nie wiedziała co o niej myśleć. W końcu w Świecie Rzeki pojawiało się wielu oszustów. Jedno mogło ją przekonać, że tajemniczy przybysz nie kłamał. Mianowicie, czemu miałyby kwestionować prawdziwość Troi VIIa, którą nawet archeolodzy i helleniści z czasów Jill uznawali za autentyczne ruiny słynnego miasta? Czemu miałyby twierdzić, że historyczna Troja znajdowała się gdzie indziej?

Tak czy inaczej, mężczyzna zniknął, i to równie tajemniczo, jak się pojawił. Agenci wysłani jego tropem nie potrafili go odnaleźć. Firebrass kontynuował poszukiwania Odyseusza, po tym jak Clemens odpłynął na *Marku Twainie*, a jeden z jego ludzi, Jim Sorley, w końcu natrafił na ślad Greka, choć jedyny wniosek, jaki dało się na tej podstawie wyciągnąć, to że Odyseusz nie został zamordowany przez ludzi Jana.

Jill wielokrotnie się zastanawiała, czemu Odyseusz postanowił walczyć po stronie Clemensa. Czemu nieznajomy, który przypadkiem natrafił na bitwę, zdecydował się opowiedzieć po jednej ze stron i ryzykować własne życie? Co miał do zyskania, zwłaszcza że najwyraźniej nie znał żadnej spośród osób uczestniczących w starciu? Kiedyś Jill spytała o to Firebrassa, a on odpowiedział, że nie ma pojęcia. Być może mógłby ją oświecić Sam Clemens, ale on nigdy nie wspomniał o tej sprawie.

- Odyseuszowi mógł przyświecać ten sam cel co Cyrano i mnie - dodał Firebrass. - Wszyscy chcieliśmy się dostać na pokład bocznokołowca, by dotrzeć do polarnego morza.

Jill stwierdziła, że to dziwne, że nikomu wcześniej nie przyszło do głowy zbudowanie sterowca. Po co przez całe dziesięciolecia płynąć statkiem do strefy polarnej, skoro lecąc, można pokonać ten sam dystans w ciągu zaledwie kilku dni?

- Oto jedna z tajemnic życia - odpowiedział z uśmiechem Firebrass. - Czasami człowiek nie widzi własnego nosa. Wtedy pojawia się ktoś, kto pokazuje mu lustro.

- Gdyby każdy miał taki nos jak ja, nie byłoby problemu - odrzekł Cyrano.

W tym przypadku lustro pokazał niejaki August von Parseval, który na Ziemi służył jako major w niemieckiej armii i projektował sterowce dla jednej z niemieckich firm. Jego projekty były wykorzystywane przez rządy Niemiec i Wielkiej Brytanii między 1906 i 1914 rokiem.

Von Parseval przybył do Parolando na krótko przed odplynięciem *Marka Twaina*. Zdziwił się, że nikt nie wpadł na to, że *Luftschiff* byłby szybszym środkiem transportu niż statek.

Firebrass dał sobie w myślach kopniaka za to przeoczenie i szybko zabrał Niemca do Clemensa.

O dziwo, Clemens stwierdził, że już dawno zastanawiał się nad zbudowaniem aerostatu. W końcu napisał „Tomka Sawyera za granicą”. Czyż Tom, Jim i Huckleberry nie przelecieli balonem z Missouri na Saharę?

Zaskoczony Firebrass spytał, czemu Sam nigdy o tym nie wspomniał.

- Ponieważ wiedziałem, że jakiś nadgorliwy głupiec postanowi natychmiast przerwać pracę nad statkiem i z miejsca poświęci cały zapal i wszystkie nasze materiały na budowę maszyny latającej! - odparł Clemens. - Nic z tego, drogi panie! Ten statek jest najważniejszy, jak powiedział Noe swojej żonie, gdy ta chciała porzucić pracę i iść potaćzyć na deszczu. Na bolące boki byka z Bashan, nie będziemy budować żadnego sterowca! To niebezpieczna konstrukcja. Nawet nie mógłbym zapalić na pokładzie, a bez dobrego cygara życie nie ma sensu.

Clemens podał jeszcze kilka powodów, w większości nieco poważniejszych. Jednak Firebrass odniósł wrażenie, że Sam nie zamierza zdradzać prawdziwej przyczyny swojego sprzeciwu. Tak naprawdę Clemens wcale nie dbał o dotarcie do wieży, dla niego liczyła się jedynie sama podróż. Zbudować największy parostatek w historii, zostać jego kapitanem i władcą, przepłynąć miliony kilometrów na tej wspaniałej jednostce i stać się obiektem podziwu i uwielbienia dla miliardów ludzi. Tego pragnął Sam Clemens.

Poza tym chciał zemsty. Pragnął namierzyć, a następnie dogonić i zniszczyć króla Jana, odpłacając mu za kradzież pierwszej łodzi i miłości Sama, *Nie Do Wynajęcia*.

Dotarcie z Parolando do gór otaczających polarne morze mogło zająć około czterdziestu lat, ale dla Sama nie stanowiło to przeszkody. Nie tylko zostanie podziwianym właścicielem i kapitanem największego i najpiękniejszego parostatku, jaki widziało ludzkie oko, ale wybierze się w najdłuższą podróż w historii. Czterdzieści lat? Niech Kolumb i Magellan spróbują to pobić!

Poza tym, na swej drodze Sam spotka setki tysięcy osób, co bardzo go cieszyło, gdyż był równie ciekawy ludzi, jak gospodyni domowa nowych sąsiadów.

Gdyby poleciał sterowcem, nikogo by nie spotkał po drodze.

Choć Firebrass był równie towarzyski jak stado kaczek, nie rozumiał takiego podejścia do sprawy. Zbyt to zależało mu na poznaniu sekretu wieży. Ona może stanowić klucz do

odpowiedzi na wszystkie pytania dręczące ludzi.

Nie zdradził Clemensowi, co uznaje za prawdziwy powód jego niechęci do budowy sterowca. Nic by to nie dało. Sam popatrzyłby mu prosto w oczy i wszystkiemu zaprzeczył.

A jednak Sam wiedział, że nie ma racji, i na sześćdziesiąt dni przed wypłynięciem *Marka Twaina* wezwał do siebie Firebrassa.

- Kiedy odpłynę, możesz zbudować tę swoją łatwopalną zachciankę, jeśli tak ci na tym zależy - rzekł do Milтона. - Oczywiście to oznacza, że będziesz musiał zrezygnować ze stanowiska głównego inżyniera na najwspanialszym statku, jaki wyszedł spod ręki człowieka. Sterowca możesz używać jedynie do obserwacji.

- Dlaczego? - spytał Firebrass.

- Na bolące boki boskiego Baala, a do czegoż można go jeszcze użyć? Nie da się nim wylądować, ani na wieży, ani nigdzie indziej. Według Joe Millera zbocza gór są strome, a nad morzem nie ma plaży. Poza tym...

- Skąd Joe wie, że tam nie ma plaży? - przerwał Firebrass. - Przecież morze było przysłonięte mgłą i widział tylko górną część wieży.

Sam wypuścił z ust dym, niczym wściekły smok.

- To chyba logiczne, że ludzie, którzy stworzyli to morze, nie stworzyli plaży - odparł. - Czemu mieliby ułatwiać życie potencjalnym najeźdźcom? Tak czy inaczej, zależy mi na poznaniu ukształtowania terenu. Chcę sprawdzić, czy istnieje inna droga przez góry niż ta, o której opowiadał Joe, i czy do wieży można wejść inaczej niż przez dach.

Firebrass nie miał zamiaru się spierać. Gdy dotrze do bieguna, i tak zrobi to, co uzna za słuszne. Clemens nie będzie wtedy miał nad nim kontroli.

- Oddaliłem się, szczęśliwy jak pies, który pozbył się pcheł - kontynuował Milton. - Powiedziałem Parsevalowi o decyzji Sama i razem hucznie ją uczciliśmy. Ale dwa miesiące później biednego Augusta połknął rzeczny smok. Ja też ledwo uniknąłem wtedy śmierci.

Po czym Firebrass zdradził Jill tajemnicę.

- Musisz przysiąc na honor, że nikomu o tym nie powiesz. Nic bym ci nie mówił, ale statek już dawno odpłynął i na pewno nie przekażesz tej informacji królowi Janowi. Nie chodzi o to, że cię podejrzewam o skłonność do zdrady.

- Obiecuję zachować to, co powiesz, w tajemnicy - odpowiedziała Jill. - Cokolwiek to jest.

- No cóż... jednym z naszych inżynierów był naukowiec z Kalifornii, który potrafił zbudować laser o zasięgu czterystu czterech metrów. Taka broń mogłaby przeciąć *Reksa* na pół. Tak się złożyło, że mieliśmy akurat wystarczającą ilość materiałów, więc Sam polecił ją

zbudować. To był tajny projekt, o którym wie tylko sześć osób na pokładzie *Marka Twaina*. Laser ukryto w pomieszczeniu, o którego istnieniu wie jedynie ta szóstka, oczywiście wliczając Sama. Nawet Joe, najlepszy przyjaciel Clemensa, nie ma o niczym pojęcia. Kiedy *Mark Twain* dogoni *Reksa*, laser zostanie wyciągnięty na pokład i zamocowany na trójnożu. Walka nie potrwa długo i skończy się tragicznie dla Jana. Dzięki temu ograniczy się liczbę ofiar po obu stronach. Dopuszczono mnie do sekretu, ponieważ byłem jednym z inżynierów pracujących nad tym projektem. Zanim skończyliśmy pracę, zapytałem Sama, czy laser może zostać w Parolando. Chciałem go zabrać na sterowiec i użyć do wypalenia wejścia do wieży, gdyby nie udało się nam dostać do środka w inny sposób. Jednak Sam odmówił. Stwierdził, że gdyby cokolwiek stało się ze sterowcem, laser zostałby bezpowrotnie utracony i nie mógłby wrócić na pokład *Marka Twaina*. Kłóciłem się z całym siłą, ale nic nie wskórałem. Sam dysponował silnymi argumentami. W końcu nie mamy pojęcia, jakie niebezpieczeństwa mogą na nas czekać. Niemniej, to niezwykle frustrujące.

33

Jill właśnie miała spytać, czy Firebrass nie wysłał zwiadowców w poszukiwaniu materiałów do budowy drugiego lasera, gdy do drzwi zapukała sekretarka Milona i spytała, czy pan Firebrass przyjmie Piscatora.

Firebrass się zgodził. Japończyk wszedł do pomieszczenia i po krótkiej wymianie uprzejmości poinformował zgromadzonych, że ma dobre wieści. Inżynierowie zajmujący się produkcją syntetycznego oleju napędowego dostarczą pierwszą porcję na tydzień przed terminem.

- Wspaniale! - zawołał Firebrass i uśmiechnął się do Jill. - To oznacza, że już jutro możesz się wybrać w pierwszy lot *Minerwą* i rozpocząć szkolenie siedem dni wcześniej! Cudownie!

Jill wprost nie posiadała się z radości.

Firebrass zaproponował drinka, by uczcić dobre wiadomości. Gdy tylko napełnili naczynia porostówką, do pokoju ponownie weszła sekretarka.

- Nie przerywałabym państwu, gdyby sprawa nie była tak ważna - powiedziała z uśmiechem. - Chyba mamy nowego członka załogi, człowieka z dużym doświadczeniem. Przybył do nas zaledwie kilka minut temu.

Entuzjazm błyskawicznie opuścił Jill, niczym powietrze ulatujące z dziurawego balonu. Do tej pory wydawało się, że ma zapewnione stanowisko pierwszego oficera. Ale oto pojawił się ktoś, kto może dysponować równie dużym, a może nawet większym doświadczeniem. Oczywiście mężczyzna. Może to nawet oficer ze sterowca *Graf Zeppelin* lub z *Hindenburga*. Weteran zaznajomiony z takimi olbrzymami zyska więcej uznania w oczach Firebrassa niż osoba, która latała tylko na małych sterowcach niesztynnych.

Z biciem serca patrzyła na mężczyznę, który właśnie wszedł do gabinetu. Nie rozpoznała go, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Nie widziała zdjęć wielu spośród oficerów latających na sterowcach zarówno w jej czasach, jak i przed erą *Hindenburga*. Poza tym, wszystkie znane jej zdjęcia przedstawiały ludzi w średnim wieku odzianych w cywilne ubrania lub mundury, a do tego wielu mężczyzn miało zarost.

- Wodzu Firebrass - odezwała się Agata Rennick. - Oto Barry Thorn.

Nowo przybyły miał na sobie sandały z rybiej skóry, jaskrawy kilt w czerwone, białe i

niebieskie pasy oraz długi czarny ręcznik zapięty pod szyją. W jednej dłoni trzymał rączkę rogu obfitości, a w drugiej dużą torbę wykonaną z rybiej skóry.

Mężczyzna miał około stuśiedemdziesięciu centymetrów wzrostu i bardzo szerokie ramiona. Nieodparcie kojarzył się Jill z bykiem. W zestawieniu z masywnym tułowiem nogi przybysza, choć umięśnione, wydawały się nadzwyczaj długie. Ręce i klatka piersiowa przywodziły na myśl goryla, choć tors nieznanego prawie w ogóle nie był porośnięty włosami.

Szeroką twarz Barryego Thorna okalały krótkie kręcone żółte włosy. Mężczyzna miał brwi koloru słomy i ciemnoniebieskie oczy, a także długi prosty nos, pełne usta, śnieżnobiałe zęby, które odsłaniał w uśmiechu, masywną szczękę, wystający i zaokrąglony podbródek przedzielony głęboką bruzdą oraz małe uszy.

Na prośbę Firebrassa Thorn odłożył róg obfitości i torbę, po czym rozprostował palce, jakby długo dźwigał jakiś ogromny ciężar. Prawdopodobnie przepląnął długi dystans w swoim canoe. Mimo szerokich dłoni, miał długie i szczupłe palce.

Wyglądał na bardzo pewnego siebie, choć stanął przed nieznanymi i czekała go ważna rozmowa na temat posiadanych kwalifikacji. Wprost promieniowały z niego dobre samopoczucie i magnetyzm, które kojarzyły się Jill z bardzo nadużywanym i często błędnie stosowanym słowem „charyzma”.

Później kobieta miała odkryć zdolność Thorna do wyłączania tego magnetyzmu niczym światła lampy, dzięki czemu mężczyzna potrafił dosłownie wtopić się w tło jak mentalny kameleon.

Jill spojrzała na Piscatora i stwierdziła, że przybysz bardzo go zaciekał. Japończyk zmrużył czarne oczy i lekko przechylił głowę, jak gdyby słuchając jakiegoś delikatnego dźwięku dobiegającego z oddali.

Firebrass uściśnął dłoń Thorna.

- Hej! Co za uścisk! - zawołał. - Miło mi pana powitać na pokładzie, jeśli faktycznie jest prawdą to, co o panu mówiła Agata. Proszę usiąść i dać odpocząć nogom. Z daleka pan do nas przybywa? Tak? Czterdzieści tysięcy kamieni? Może coś do jedzenia? Kawa? Herbata? Alkohol lub piwo?

Thorn podziękował za wszystko poza fotelem. Mówił bardzo przyjemnym barytonem, bez przerw, zawahań czy niekompletnych zdań, które charakteryzują wypowiedzi większości ludzi.

Gdy Firebrass dowiedział się, że Thorn jest Kanadyjczykiem, szybko przeszedł z esperanto na angielski. Po kilku minutach rozmowy poznał zarys biografii nowego przybysza.

Barry Thorn urodził się w 1920 roku na farmie rodziców na przedmieściach Reginy w prowincji Saskatchewan. Po zdobyciu dyplomu inżyniera elektromechaniki w 1938 roku, podczas pobytu w Anglii mężczyzna wstąpił do brytyjskiej marynarki wojennej. W czasie wojny dowodził wojskowym sterowcem. Ożenił się z Amerykanką i po wojnie przeniósł do Stanów Zjednoczonych, aby umożliwić żonie, pochodzącej z Ohio, zamieszkanie blisko rodziców. Poza tym, w USA miał większe szanse rozwoju jako pilot sterowców.

Thorn zdobył licencję pilota komercyjnego, planując podjęcie pracy dla amerykańskich linii lotniczych. Jednak po rozwodzie odszedł z Goodyear i na kilka lat zatrudnił się jako pilot w Jukonie. Potem powrócił do Goodyear i powtórnie się ożenił. Po śmierci drugiej żony został pracownikiem nowo powstałej brytyjsko-niemieckiej spółki lotniczej. Przez kilka lat był kapitanem wielkiego sterowca transportowego przewożącego pojemniki z naturalnym gazem z Bliskiego Wschodu do Europy.

Jill zadała Thornowi kilka pytań, mając nadzieję, że przypomni sobie coś na jego temat. Znała kilku pracowników firmy, w której pracował mężczyzna, i mogła coś o nim słyszeć. Barry odpowiedział, że chyba pamięta jednego z wymienionych ludzi, ale po tylu latach nie może być tego pewien.

Thorn zmarł w 1983 roku podczas urlopu spędzanego w Friedrichshafen. Nie znał dokładnej przyczyny swojej śmierci. Prawdopodobnie był to atak serca. Położył się spać w swoim łóżku, a gdy się obudził, leżał nagi na brzegu Rzeki.

Od tamtej pory nieprzerwanie wędrował po Dolinie. Pewnego dnia usłyszał plotki o budowie olbrzymiego sterowca w dole Rzeki i postanowił się przekonać, czy to prawda.

- Co za szczęście! - zawołał rozpromieniony Firebrass. - Serdecznie cię witamy w Parolando. Agato, przygotuj chatę dla pana Thorna.

Thorn uściśnął dłoń wszystkim obecnym i wyszedł. Firebrass prawie tańczył z radości.

- Ale się nam poszczęściło - rzekł z zachwytem.

- Czy to zmienia moją sytuację? - spytała Jill.

- Oczywiście, że nie - odparł Firebrass, wyglądając na zaskoczonego. - Mianowałem cię główną instruktorką i kapitanem *Minerwy* i nie mam zamiaru zmieniać zdania. Ja zawsze dotrzymuję słowa. No, prawie zawsze. Wiem, co sobie teraz myślisz. Ale nikomu nic nie obiecywałem, jeśli chodzi o stanowisko pierwszego oficera na *Parsevalu*. Masz na nie duże szanse, Jill, ale jeszcze za wcześnie na ostateczną decyzję. Mogę tylko powiedzieć: niech wygra najlepszy. Lub najlepsza.

Piscator pogłaskała dłoń kobiety. W innych okolicznościach odrzuciłaby ten gest, ale teraz poczuła się dzięki niemu lepiej.

Kiedy wyszli z gabinetu, Piscator poprosił Jill o chwilę rozmowy na osobności.

- Nie jestem pewien, czy Thorn mówi prawdę - rzekł. - A przynajmniej nie całą prawdę. Nie twierdzę, że wymyślił to, co nam opowiedział, ale w jego głosie pobrzmiwa coś fałszywego. On może coś ukrywać.

- Czasami mnie przerażasz - odparła Jill.

- Oczywiście mogę się mylić - przyznał Japończyk.

Ale Jill odniosła wrażenie, że Piscator wcale tak nie uważa.

34

Każdego dnia przed świtem *Minerwa* startowała do lotu treningowego. Czasem pozostawała w powietrzu do godziny pierwszej po południu, a czasem latała przez cały dzień, lądując dopiero wieczorem. W ciągu pierwszego tygodnia Jill była jej jedynym pilotem. Potem kolejno pozwoliła przejmować kontrolę nad sterowcem wszystkim kandydatom na pilotów i oficerów.

Barry Thorn pojawił się na pokładzie dopiero po upływie czterech tygodni szkolenia. Jill nalegała, by zaczął od podstaw. Mimo doświadczenia, nie latał sterowcem od trzydziestu dwóch lat i należało się spodziewać, że wiele zapomniał. Thorn przyznał jej rację.

Obserwowała go uważnie, gdy siedział w fotelu pilota. Niezależnie od podejrzeń Piscatora, Thorn latał tak dobrze, jakby nie miał żadnej przerwy. Równie znakomicie radził sobie z nawigacją i zachowaniem w symulowanych sytuacjach awaryjnych, które wchodziły w skład szkolenia.

Jill czuła się zawiedziona. Miała nadzieję, że mężczyzna nie jest tak dobry, jak twierdzi. Teraz widziała, że to świetny materiał na kapitana.

A jednak Thorn okazał się dziwnym człowiekiem. Sprawiał wrażenie, że czuje się swobodnie w każdym towarzystwie i lubi dowcipy. Ale sam nigdy żadnego nie opowiedział, a po służbie trzymał się z boku. Choć dostał chatę oddaloną o zaledwie dwadzieścia metrów od domu Jill, nigdy jej nie odwiedził ani nie zaprosił do siebie. W pewnym sensie było to dla Jill ulgą, bo nie musiała się martwić odpieraniem jego zalotów. Thorn nigdy nawet nie spróbował zachęcić którejkolwiek z kobiet, aby się do niego wprowadziła. Mógł być homoseksualistą, ale nie wydawał się także zainteresowany innymi mężczyznami. Był samotnikiem, chociaż potrafił się otworzyć i pokazać czarującą stronę swej osobowości. Potem znów gwałtownie się zamykał i stawał obojętny niczym żywy posąg.

Cała potencjalna załoga *Parsevala* znajdowała się pod silnym nadzorem. Wszyscy musieli przejść testy psychologiczne badające poziom zrównoważenia. Thorn przeszedł przez obserwację i wspomniane testy z taką łatwością, jakby sam je opracował.

- Tylko dlatego że jest dziwakiem w życiu towarzyskim, nie oznacza, że nie może zostać wspaniałym aeronautą - stwierdził Firebrass. - Liczy się to, co robi na pokładzie.

Firebrass i de Bergerac okazali się urodzonymi pilotami. Nie było to zaskoczeniem w

przypadku Amerykanina, który spędził wiele tysięcy godzin na pokładach odrzutowców, helikopterów i statków kosmicznych. Jednak Francuz pochodził z epoki, w której nie istniały nawet balony, choć już je sobie wyobrażano. Najbardziej złożonym mechanizmem, z jakim Cyrano miał do czynienia, był pistolet skałkowy. Francuz nigdy nie mógł sobie pozwolić na zakup zegarka, a i to urządzenie wymagało od właściciela jedynie regularnego nakręcania.

Mimo to, de Bergerac szybko przyswoił teoretyczne i praktyczne podstawy nawigacji, a także nie miał problemów z wymaganą wiedzą matematyczną.

Firebrass był bardzo dobrym pilotem, ale nie dorównywał Francuzowi, który przewyższał talentem nawet Jill, co kobieta musiała uczciwie choć niechętnie przyznać. Cyrano oceniał sytuację i reagował z niemal komputerową precyzją.

Kolejnym zaskakującym materiałem na oficera okazał się John de Greystock. Ten średniowieczny baron zgłosił się na ochotnika do załogi, której zadaniem miało być zaatakowanie *Reksa* z pokładu *Minerwy*. Jill ze sporym sceptycyzmem podchodziła do kandydatury i zdolności Greystocka, ale po trzech miesiącach lotów szkoleniowych wspólnie z Firebrassem uznali Anglika za osobę najlepiej przygotowaną do dowodzenia małym sterowcem. John miał olbrzymie doświadczenie w walce, był bezlitosny i niezwykle odważny. No i nienawidził króla Jana. Został zraniony i wyrzucony za burtę przez jego ludzi podczas udanej próby uprowadzenia *Nie Do Wynajęcia* i pałał żądzą zemsty.

Jill przybyła do Parolando pod koniec miesiąca zwanego dektria, czyli „trzynasty”. Państwo przyjęło kalendarz składający się z trzynastu miesięcy, gdyż planeta nie miała ani pór roku, ani księżyca. Poza nostalgią nie istniał żaden powód, aby rok trwał tutaj trzysta sześćdziesiąt pięć dni, ale okazało się, że nostalgia wystarczy. Każdy miesiąc składał się z czterech siedmiodniowych tygodni, czyli dwudziestu ośmiu dni. Jako że dwanaście miesięcy dawało zaledwie 336 dni, dodano kolejny miesiąc. To pozostawiało jeden nadprogramowy dzień, który zwykle nazywano Wigilią Nowego Roku, Ostatnim Dniem lub Dniem Szaleństw. Jill zeszła na ląd na trzy dni przed tą datą w 31 roku p.z.

Teraz był styczeń 33 roku p.z. i choć praca nad wielkim sterowcem już się rozpoczęła, to miał upłynąć jeszcze niemal rok, zanim olbrzym będzie gotowy do swojej polarnej wyprawy. Wina leżała zarówno po stronie nieuniknionych nieprzewidzianych trudności, jak i ambitnych wizji Firebrassa, które spowodowały zmiany w pierwotnych planach.

Wybrano członków załogi, ale jeszcze nie mianowano oficerów. W opinii Jill lista już została ustalona, nie licząc stanowisk pierwszego i drugiego oficera. Jedno z nich zajmie Thorn, a drugie ona. Nie martwiło jej to (przynajmniej na jawie), Thornowi bowiem wydawało się obojętne, jakie stanowisko przypadnie mu w udziale.

Tej styczniowej środy czuła się szczęśliwa. Praca nad *Parsevałem* przebiegała na tyle dobrze, że Jill postanowiła wyjść wcześniej. Pomyślała, że weźmie wędkę i wybierze się nad jezioro w pobliżu swojej chaty. Gdy wspięła się na pierwsze ze wzgórz, ujrzała Piscatora. Mężczyzna również miał ze sobą sprzęt wędkarski oraz wiklinowy koszyk.

Zawołała Japończyka, a ten się odwrócił, ale nie przywitał jej zwyczajowym uśmiechem.

- Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił - odezwała się Jill.

- Owszem, ale to nie mój problem, choć dotyczy kogoś, w kim chciałbym widzieć przyjaciela - odpowiedział Piscator.

- Nie musisz mi mówić.

- Wydaje mi się, że muszę - odparł mężczyzna. - Chodzi o ciebie.

Jill się zatrzymała.

- Co się stało? - spytała.

- Właśnie dowiedziałem się od Firebrassa, że testy psychologiczne jeszcze się nie zakończyły. Pozostał jeden test i każdy członek załogi musi się mu poddać.

- Czy powinnam się tym martwić?

Piscator pokiwał głową.

- Jednym z elementów testu jest głęboka hipnoza - odpowiedział. - Celem tego badania jest wyłapanie wszystkiego, co mogło ujść uwagi specjalistów podczas poprzednich testów.

- Tak, ale ja... - zaczęła Jill, po czym przerwała.

- Obawiam się, że mogą wyjść na jaw te... hmm... halucynacje, z którymi od czasu do czasu się zmagasz.

Jill zrobiło się słabo. Przez chwilę wydawało jej się, że otaczający ją świat pociemniał. Piscator podtrzymał ją za ramię.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Pomyślałem, że powinnaś być przygotowana.

- Nic mi nie jest - odparła, odsuwając się od niego. - Na Boga! Nie miałam z tym żadnego kłopotu od ośmiu miesięcy. Nie używałam gumy snów od tamtego dnia, gdy znalazłeś mnie w chacie, i jestem pewna, że nie ma już ani śladu narkotyku w moim organizmie. Poza tym, halucynacje pojawiały się tylko późnym wieczorem, gdy przebywałam w domu. Chyba nie myślisz, że Firebrass się mnie pozbędzie? Nie ma ku temu powodów!

- Nie wiem - odparł Piscator. - Może hipnoza nie ujawni tych ataków. Tak czy inaczej, przepraszam, że ośmielam się wpływać na twoje zachowanie, ale uważam, że powinnaś powiedzieć Firebrassowi o swoich problemach. Zrób to jeszcze przed testami.

- A co to da? - spytała Jill.

- Jeśli się dowie, że coś przed nim ukrywałaś, zapewne od razu cię zwolni. Ale jeżeli szczerze się do wszystkiego przyznasz, zanim zostaniesz oficjalnie poinformowana o badaniu, to może wysłuchać twoich argumentów. Osobiście nie uważam, abyś stanowiła zagrożenie dla bezpieczeństwa sterowca, ale moja opinia nie ma tu żadnego znaczenia.

- Nie mam zamiaru błagać! - oburzyła się kobieta.

- I dobrze, bo to by ci z pewnością nie pomogło, wprost przeciwnie - odparł Piscator.

Jill głęboko odetchnęła i rozejrzała się, jak gdyby szukając drogi ucieczki do innego świata. Jeszcze przed chwilą była tak pewna siebie i szczęśliwa.

- Dobrze - odrzekła. - Nie ma sensu tego odkładać.

- Jesteś bardzo odważna - powiedział Japończyk - I rozsądna. Życzę ci powodzenia.

- Do zobaczenia - odpowiedziała Jill i odeszła. Na jej twarzy rysowała się determinacja.

Jednakże po wejściu na drugie piętro, gdzie znajdował się apartament Firebrassa, zauważyła, że ciężko oddycha, bynajmniej nie ze zmęczenia, ale ze zdenerwowania.

Sekretarka Firebrassa powiedziała, że Milton wyszedł z biura i udał się do domu. Jill nie spytała Agaty, czemu jej szef tak wcześniej zakończył pracę, choć ją to zaskoczyło. Być może on także potrzebował chwili odpoczynku.

Drzwi do apartamentu znajdowały się w połowie korytarza. Przed nimi stał ochroniarz, który zwykle towarzyszył Firebrassowi. To było konieczne, zważywszy na dwie próby zamachu, które nastąpiły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Niedoszli zabójcy zginęli, więc nie udało się z nich wydobyć żadnych informacji, ale podejrzewano, że za zamachami stoi władca wrogiego państwa leżącego w dole Rzeki, który nigdy nie krył chęci przejęcia kontroli nad zasobami naturalnymi Parolando oraz niezwykłymi maszynami i bronią. Być może miał nadzieję, że gdy usunie Firebrassa, będzie mógł najechać Parolando. Ale to były tylko spekulacje Miltona.

Jill podeszła do człowieka dowodzącego grupą czterech ciężko uzbrojonych strażników.

- Chciałabym porozmawiać z wodzem - powiedziała.

- Przykro mi - odparł dowódca, mężczyzna nazwiskiem Smithers. - Rozkazał, aby mu nie przeszkadzać.

- Dlaczego?

Smithers popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedział.

Jill poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Pewnie jest z kobietą! - warknęła.

- Nie, choć to nie pani sprawa - odparł dowódca, po czym uśmiechnął się złośliwie. - Pan Firebrass ma gościa, nowego przybysza nazwiskiem Fritz Stern. Stern przypląnął do nas przed godziną. To Niemiec i z tego, co się zorientowałem, prawdziwy spec od zeppelinów. Słyszałem, jak mówił kapitanowi, że pracował dla NDELAG, cokolwiek to znaczy. Tak czy owak, ma wylatane więcej godzin od ciebie.

Jill musiała się powstrzymać, żeby nie uderzyć mężczyzny w twarz. Wiedziała, że Smithers nigdy za nią nie przepadał, i czuła, jak bardzo mu się podoba ta gra.

- NDELAG - powtórzyła, nienawidząc się za to, że nie potrafi opanować drżenia głosu. - To może być skrót od *Neue Deutsche Luftshiffahrts-Aktien-Gesellschaft*.

Odniosła wrażenie, że jej głos dobiega z bardzo daleka, jak gdyby zamiast niej mówił ktoś inny.

- Przed pierwszą wojną światową istniała firma transportowa zwana DELAG - kontynuowała. - Sterowce tej linii przewoziły ludzi i towary na terenie Niemiec. Ale nigdy nie słyszałam o NDELAG.

- Ponieważ powstała po twojej śmierci - odparł Smithers i wyszczerzył zęby w uśmiechu, widząc zdenerwowanie Jill. - Słyszałem, jak Stern mówił kapitanowi, że ukończył akademię Friedtichshafen w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Podobno pod koniec kariery dowodził superzeppelinem *Wiktoria*.

Jill zrobiło się niedobrze. Najpierw Thorn, a teraz Stern.

Nie było sensu dłużej tu zostawać.

- Zobaczę się z nim później - powiedziała zdecydowanym głosem, jednocześnie prostując ramiona.

- Dobrze, proszę pani. Bardzo mi przykro - odparł z uśmiechem Smithers.

Jill ruszyła w stronę schodów, ale nagle usłyszała głośny huk i krzyk. Gwałtownie odwróciła się na pięcie. Z apartamentu Firebrassa wybiegł jakiś mężczyzna, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Przez kilka sekund stał bez ruchu, patrząc na strażników, którzy już wyciągali ciężkie pistolety z kabur. Smithers zdążył do połowy wydobyć miecz z pochwy.

Mężczyzna dorównywał Jill wzrostem. Miał pięknie zbudowane ciało, szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi, a także przystojną, choć nieco szorstką twarz, falujące, jasne włosy i duże ciemnoniebieskie oczy. Jednak jego skóra miała niezdrowy blady odcień i krwawił z rany na ramieniu. W lewej dłoni trzymał zakrwawiony sztylet. Nagle otworzyły się drzwi apartamentu i na korytarz wypadł Firebrass uzbrojony w rapier. Twarz wykrzywił mu

wściekły grymas, a z czoła płynęła krew.

- Stern! - krzyknął dowódca straży.

Mężczyzna zaczął uciekać korytarzem. Na jego końcu nie było schodów, jedynie duże okno.

- Nie strzelajcie! - wrzasnął Smittiers. - Już nam nie ucieknie!

- Ucieknie, jeśli wyskoczy przez okno! - krzyknęła Jill.

Stern skoczył z głośnym okrzykiem, obracając się w powietrzu, by uderzyć w plastikowe okno plecami, i jednocześnie osłaniając twarz ręką.

Szyba wytrzymała. Stern uderzył w nią z głośnym hukiem, odbił się i runął na podłogę, a Firebrass, dowódca straży i ochroniarze rzucili się ku niemu.

Po chwili ruszyła za nimi także Jill.

Zanim zdążyli do niego dopaść, Stern podniósł się z podłogi. Popatrzył na nadbiegających ludzi, a potem na sztylet, który upuścił na ziemię, gdy uderzył w okno. Następnie zamknął oczy i upadł.

35

Gdy Jill dogoniła mężczyzn, Firebrass sprawdzał puls Sterna.

- Nie żyje! - zawołał.

- Co się stało, panie kapitanie? - spytał dowódca straży.

Firebrass wstał.

- Chciałbym raczej wiedzieć, czemu to się stało - odrzekł. - Całkiem sympatycznie nam się rozmawiało. Piliśmy, paliliśmy i żartowaliśmy, a Stern opowiadał o swojej karierze. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. I nagle facet zrywa się z fotela, wyciąga sztylet i próbuje mnie zabić! Musiało mu się coś pomieszać pod sufitem, choć do chwili ataku wydawał się całkiem rozsądny. Coś się w nim nagle zmieniło. Inaczej, dlaczego padłby trupem na atak serca?

- Atak serca? - spytała Jill. - Jeszcze nie słyszałam, żeby ktokolwiek umarł tutaj na zawał, a ty?

- Zawsze musi być ten pierwszy raz. - Firebrass wzruszył ramionami. - W końcu wskrzeszenia też w pewnym momencie ustały.

- To mi nie wygląda na zawał - sprzeciwiła się Jill. - Może połknął truciznę? Chociaż nie widziałam, aby wkładał cokolwiek do ust.

- Cyjanek lub kwas pruski mógłby zdobyć tylko w Parolando - odparł Firebrass. - Nie przebywał u nas wystarczająco długo, by to zrobić.

Spojrzał na Smithersa.

- Zabierz ciało do jednej z moich sypialni - polecił dowódcy - Po północy wrzucisz je do Rzeki. Rzeczne smoki będą miały uciechę.

- Tak, panie kapitanie - odpowiedział Smithers. - A co z tym skaleczeniem na czole? Czy mam zawołać lekarza?

- Nie, sam je opatrzę. I nikomu ani słowa o tym, co tutaj zaszło, zrozumiano? Ciebie też to dotyczy, Jill. Ani słowa. Nie chcę niepokoić mieszkańców.

Wszyscy przytaknęli.

- Myślisz, że to ten drań Burr go przysłał? - spytał Smithers.

- Nie wiem - odpowiedział Firebrass. - I szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Po prostu się go pozbadźcie, dobrze? - Odwrócił się do Jill. - Co tu robisz? - spytał.

- Chciałam z tobą porozmawiać o czymś ważnym, ale w tej sytuacji zrobię to później - odparła kobieta. - Teraz pewnie nie masz do tego głowy.

- Bzdura! - zaproponował, po czym się uśmiechnął. - Chyba nie myślisz, że taki drobiazg wystarczy, żeby mnie wyprowadzić z równowagi? Wejdz, Jill. Porozmawiamy, jak tylko opatrzę to zadrapanie.

Jill usiadła na wyściełanym fotelu stojącym w salonie luksusowego apartamentu Firebrassa. Mężczyzna zniknął w łazience i po kilku minutach wrócił z czołem zalepionym białą taśmą, uśmiechając się wesoło, jak gdyby to był dla niego typowy dzień.

- Napijesz się czegoś? - zaproponował. - To cię trochę uspokoi.

- Mnie? - spytała.

- No dobrze, nas oboje - przyznał. - Nie będę ukrywał, że czuję się odrobinę roztrzęsiony. Nie jestem nadczłowiekiem, niezależnie od tego, co inni o mnie mówią.

Nalał purpurowej porostówki do dwóch szklanek do połowy napełnionych kostkami lodu. Jill wiedziała, że zarówno lód, jak i szklanki były dostępne jedynie w Parolando.

Przez chwilę w ciszy sączyli zimny, cierpki alkohol, wymieniając spojrzenia.

- No dobrze, wystarczy tej kurtuazji - odezwał się Firebrass. - Z czym do mnie przychodzisz?

Jill z trudem wydobywała z siebie słowa, które grzęzły jej w gardle, po czym gwałtownie wylatywały z ust pod wpływem rosnącego ciśnienia.

Zrobiła krótką przerwę na łyk alkoholu, po czym kontynuowała opowieść wolniej i spokojniej. Firebrass nie przerywał, tylko siedział nieruchomo, uważnie obserwując kobietę brązowo-zielonkawymi oczami.

- No i tak to wygląda - skończyła Jill. - Musiałam ci o tym opowiedzieć, choć bardzo wiele mnie to kosztowało.

- Dlaczego akurat teraz? - spytał. - Dowiedziałaś się o hipnozie?

Przez sekundę miała zamiar skłamać. Piscator z pewnością jej nie wyda, a przekonanie Firebrassa, że dobrowolnie przyznaje się do swoich problemów, postawiłoby ją w znacznie lepszym świetle.

- Tak, słyszałam o czekającym nas badaniu - odpowiedziała. - Ale już od jakiegoś czasu uważałam, że powinnam ci o tym powiedzieć. Po prostu... nie mogłam znieść myśli, że mogę zostać wykluczona z załogi. Naprawdę nie uważam, abym stanowiła zagrożenie dla naszej misji.

- Nie byłoby dobrze, gdybyś dostała ataku w kluczowym momencie lotu - odparł Milton. - Sama wiesz o tym najlepiej. Oto, co o tym wszystkim sądzę, Jill. Nie licząc Thorna,

jesteś najlepszym pilotem, jakiego mamy. Jednak w odróżnieniu od niego, sterowce to twoja życiowa pasja. Z pewnością zamieniłabyś dobry seks na godzinkę latania. Ja z kolei starałbym się połączyć jedno z drugim. Nie chcę cię stracić, a gdybym cię zwolnił, obawiałbym się, że się zabijesz. Proszę, nie protestuj, naprawdę tak uważam. To czyni cię trochę niezrównoważoną. A jednak muszę mieć na względzie przede wszystkim dobro sterowca i załogi, więc gdybym musiał, wyrzuciłbym cię, niezależnie od konsekwencji. Dlatego stawiam jeden warunek. Jeśli do dnia startu nie przydarzy ci się kolejny napad halucynacji, to polecisz z nami. Jedyny problem polega na tym, że muszę polegać na twoim słowie. No, to nie do końca prawda, bo mógłbym cię poddać hipnozie, żeby się dowiedzieć, czy mówisz prawdę, ale nie chcę tego robić. To by znaczyło, że ci nie ufam, a nie chcę mieć na pokładzie nikogo, kogo nie mogę obdarzyć stuprocentowym zaufaniem.

Jill miała ochotę podbiec do Firebrassa i rzucić mu się na szyję. Oczy zaszyły jej mgłą i niemal rozplakała się ze szczęścia. Ale pozostała na miejscu. Oficer nie powinien obejmować kapitana. Poza tym, Firebrass mógłby błędnie zinterpretować jej zachowanie i zabrać ją do swojej sypialni.

Zawstydziła się swoich myśli. Milton Firebrass nigdy nie wykorzystalby kobiety w ten sposób. Brzydził się nadużywaniem władzy. Przynajmniej tak sądziła.

- Nie bardzo rozumiem, co będzie z hipnozą - rzekła Jill. - W jaki sposób wyłączysz mnie z badania? Inni z pewnością się na to nie zgodzą...

- Zmieniłem zdanie - wszedł jej w słowo Firebrass.

Wstał i podszedł do sekretarzyka, po czym zapisał coś na kawałku papieru i podał go kobiecie.

- Proszę. Idź z tym do doktora Gravesa. Zrobi ci zdjęcie rentgenowskie.

- A po co? - spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jako twój kapitan mógłbym kazać ci się zamknąć i wykonać rozkaz - odparł. - Nie zrobię tego, ponieważ wiem, że byś się sprzeciwiła. Powiedzmy, że chodzi o coś, czego nauczyli się psychologowie w dwutysięcznym roku naszej ery. Jednak gdybym ci zdradził szczegóły, badanie straciłoby sens. Inni też będą musieli się mu poddać, ale ty pójdziesz na pierwszy ogień.

- Nie rozumiem - wymamrotała. - Ale oczywiście zrobię, jak każesz. - Wstała z fotela.

- Dziękuję.

- Nie musisz mi dziękować - odrzekł. - A teraz migiem do doktora Gravesa.

Kiedy dotarła do gabinetu, lekarz akurat rozmawiał przez telefon, marszcząc brwi i gwałtownie gryząc cygaro.

- Dobrze, Milt - mówił. - Zrobię to. Ale nie podoba mi się, że nie chcesz mi zaufać.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę Jill.

- Witaj - powiedział. - Musisz poczekać na Smithersa. On od razu zabierze zdjęcia do Firebrassa.

- Ma ciemnie? - spytała.

- Nie, tych zdjęć nie trzeba wywoływać - odpowiedział Graves. - Nie wiedziałaś o tym? Zostają elektronicznie przetworzone już w momencie wykonania. Firebrass sam zaprojektował cały sprzęt. Powiedział, że ten proces opracowano około tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

Graves zaczął spacerować po gabinecie, gryząc cygaro.

- Do diabła! - wybuchnął. - Nawet mi nie pozwoli zobaczyć zdjęć! Dlaczego?

- Powiedział, że nie chce, by ktokolwiek poza nim je oglądał. To część badania psychologicznego - wytłumaczyła Jill.

- Cholera, co rentgen głowy może powiedzieć o psychice człowieka? Czy on zwariował?

- Myślę, że wyjaśni nam to, gdy już obejrzy wszystkie zdjęcia.

Graves przystanął i jeszcze bardziej się skrzywił.

- Nie zasnę przez to w nocy. - Westchnął. - Szkoda, że nie żyłem dłużej. Opuściłem nasz padół łez w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, więc nie miałem okazji ujrzeć późniejszych wynalazków z dziedziny medycyny. Zresztą za życia i tak nie byłem w stanie nadążyć za postępem.

Odwrócił się w stronę Jill i podniósł w jej kierunku rękę z cygarem.

- Chciałbym się o coś spytać, Jill. Od pewnego czasu nie daje mi to spokoju. Firebrass jest jedyną znaną mi osobą, która umarła po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim. Czy ty spotkałaś jeszcze kogoś takiego?

- Nie... - odpowiedziała zaskoczona. - Jak się teraz nad tym zastanawiam, to nikogo takiego nie znam, poza Firebrassem.

Przez chwilę miała ochotę wspomnieć o Sternie. Trudno będzie zachować ten sekret.

- Ja też nie - odparł Graves. - Cholernie podejrzane.

- Nie wydaje mi się - odrzekła. - Oczywiście nie zwiedziłam całej Doliny, ale przepłynęłam kilkaset tysięcy kilometrów i rozmawiałam z kilkoma tysiącami osób. Ludzie pochodzący z dwudziestego wieku wydają się rozrzućni wzdłuż całej Rzeki, ale nie spotkałam się z sytuacją, by gdziekolwiek zostali wskrzeszeni w większej grupie. To oznacza, że wszędzie można znaleźć po kilka takich osób, ale większość populacji na każdym z

obszarów składa się z reprezentantów innych epok. Dlatego nie ma nic niezwykłego w tym, że rzadko trafiamy na ludzi urodzonych po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku.

- Czyżby? - spytał doktor. - Oho, nadchodzi Smithers i dwóch innych osiłeków. A więc zapraszam na badanie, jak to kiedyś powiedział pajak do muchy.

Urywki różnych artykułów opublikowanych na łamach *Przecieku*:

Dmitri „Mitja” Iwanowicz Nikitin jest obecnie pilotem w randze trzeciego oficera na sterowcu *Parseval*. Nikitin przyszedł na świat w 1885 roku w rosyjskim mieście Gomel w rodzinie należącej do klasy średniej. Jego ojciec był właścicielem fabryki szelek, a matka uczyła gry na pianinie. Dmitri zdobył wymagane doświadczenie lotnicze za sterem *Russie*, francuskiego sterowca zbudowanego w 1909 roku przez spółkę Lebaudy-Juillot dla rosyjskiego rządu.

Jill Gulbirra, główna instruktorka na sterowcu szkoleniowym, powiedziała nam, że jej zdaniem Mitja dysponuje dość ograniczonym doświadczeniem, ale wykazał się znakomitymi umiejętnościami. Plotka głosi jednak, że Rosjanin zbyt upodobał sobie porostówkę. Posłuchaj naszej rady, Mitja i nie chłaj tyle.

...Redaktor nie zdecyduje się na wniesienie oskarżenia przeciwko pilotowi Nikitinowi. Podczas krótkiego wywiadu udzielonego w szpitalu pan Bagg powiedział *Przeciekowi*: „Potykałem się z silniejszymi mężczyznami niż ten brudas. Następnym razem, gdy wpadnie do mojego biura, będę przygotowany. Jednak nie zamierzam go posyłać za kratki nie tylko dlatego, że mam wielkie serce. Chcę mu osobiście spuścić łomot”.

...Ettore Arduino jest Włochem (a jakżeby inaczej?), ale ma niebieskie oczy i blond włosy, dzięki czemu może uchodzić za Szweda, jeśli tylko nie otwiera ust i nie je czosnku. Jak wiedzą wszyscy poza nowymi mieszkańcami, Ettore przybył do Parolando przed dwoma miesiącami i od razu zapisał się na szkolenie lotnicze. Ma za sobą wspaniałą, choć tragiczną przeszłość. Pracował jako główny inżynier na sterowcu *Norge*, a potem na *Italii* kapitana Umberto Nobile. (Na stronie 6. znajdziecie minibiografię tego słynnego Rzymianina). 12 maja 1926 roku *Norge* wykonał swoją misję, przelatując nad biegunem północnym i potwierdzając, że między biegunem i Alaską nie ma żadnego lądu, o czym doniósł wielki odkrywca, komodor Robert E. Peary (1856-1920), który w 1909 roku jako pierwszy człowiek dotarł do bieguna północnego. (Choć towarzyszyli mu Murzyn, Matthew Henson, oraz czterech Eskimosów, których imion nie pamiętamy, i tak naprawdę to Henson najpierw stanął

na biegunie).

Italia po przeleceniu nad biegunem na drodze do Kings Bay napotkała bardzo silny przeciwny wiatr. Układ sterowniczy zablokował się z powodu oblodzenia i katastrofa wydawała się nieunikniona. Co prawda łódź się roztopił i sterowiec poleciał dalej, jednak po jakimś czasie zaczął powoli opadać. Załoga musiała bezsilnie patrzeć, jak królowa niebios uderza o lodową pokrywę. Gondola sterownicza oderwała się od reszty sterowca, co uratowało tych, którzy się w niej znajdowali. Ludzie wygramolili się na zewnątrz i zszokowani obserwowali, jak sterowiec uwolniony od ciężaru gondoli ponownie wzbija się w niebo.

Ettore Arduino ostatnio widziano, gdy stał na trapie prowadzącym do maszynowni na sterburcie. Jak doniósł nam jeden z członków załogi, dr Franciszek Behounek z Instytutu Radiowego w Pradze w Czechosłowacji, twarz Arduino wyrażała kompletne zaskoczenie. *Italia* odleciała i nigdy więcej nie widziano ludzi, którzy pozostali na jej pokładzie. Przynajmniej na Ziemi.

Arduino opowiedział *Przeciekowi*, że umarł na skutek wyziębienia organizmu, gdy *Italia* po raz drugi i ostatni spadła na lód. Pełna relacja z tego przerażającego wydarzenia pojawi się na naszych łamach w przyszły czwartek. Po tych przeżyciach nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby oczekiwać od Ettore, by ten ponownie zgłosił się na ochotnika do podróży sterowcem. A jednak tak się stało i dziś Arduino z entuzjazmem podchodzi do nowej polarnej wyprawy. Nie obchodzi nas, co ludzie mówią o Włochach, i gardzimy poglądami głoszonymi w Tombstone, gdzie wszystkich makaroniarzy uważa się za tchórze. Dobrze wiemy, że Włosi mają więcej odwagi niż rozumu, i jesteśmy pewni, że Ettore to prawdziwy skarb dla naszej załogi.

...Ostatnio widziano go, gdy desperacko wiosłował, płynąc w stronę środka Rzeki, a pan Arduino strzelał do niego z nowego pistoletu „Mark IV”. Albo ta broń nie jest tak dobra, jak o niej mówią, albo tego dnia celność pana Arduino pozostawiała wiele do życzenia.

...Wasz nowy redaktor zgadza się z sugestią prezydenta Firebrassa, by niniejszy dziennik oprócz wolności słowa cenił także powściągliwość.

...Pan Arduino został zwolniony po złożeniu obietnicy, że nigdy więcej nie będzie dochodził swoich praw, sprawiedliwie bądź niesprawiedliwie, na drodze przemocy. Nowo utworzona Rada Cywilna zajmie się rozstrzygnięciem takich kwestii, a ostateczną instancją pozostanie prezydent Firebrass. Choć będzie nam brakowało S.C. Bagga, musimy przyznać,

że...

...Metzing był dowódcą wojskowej jednostki sterowców w Imperium Niemieckim w 1913 roku. Pełnił funkcję *Korvettenkapitana* zeppelin L-1, gdy ten spadł na ziemię podczas manewrów 9 września 1913 roku. Był to pierwszy stracony wojskowy zeppelin. Wina nie leżała po stronie załogi ani samej jednostki. Katastrofa była spowodowana panującą w tamtych czasach ignorancją dotyczącą warunków meteorologicznych w górnych warstwach atmosfery. Innymi słowy, prognozowanie pogody w tamtym okresie znajdowało się w powijakach. Gwałtowny szkwał uniósł L-1 powyżej bezpiecznej wysokości, po czym cisnął go w dół. Z obracającymi się śmigłami i szybko wyrzucając balast, sterowiec spadł do morza u wybrzeży Heligoland. Metzing zginął wraz z większością załogi... Witamy tego doświadczonego oficera i sympatycznego człowieka w Parolando, choć mamy nadzieję, że nie przyniesie nam pecha.

...Z ostatniej chwili! Właśnie przybyła! Kolejna weteranka podniebnych podróży, Anna Karlovna Obrenova, która przyplęnęła do nas z państwa położonego o 40000 kilometrów w górę Rzeki. Podczas krótkiego wywiadu udzielonego przed udaniem się do gabinetu prezydenta Firebrassa, panna Obrenova poinformowała nas, że pełniła funkcję kapitana na radzieckim sterowcu transportowym *Lermontov* i ma na koncie 8584 godziny lotu na tej i innych jednostkach. To więcej niż Jill Gulbirra (8342 godziny) i pan Thorn (8452 godziny). Dokładna biografia panny Obrenovej znajdzie się w jutrzejszym numerze. W tej chwili możemy tylko powiedzieć, że to świetna babka!

To było nawet zabawne.

Od początku martwiła się, że w końcu zjawi się mężczyzna, który wylatał więcej godzin od niej. Jeden się pojawił, ale nie stanowił dużego zagrożenia, nie zależało mu bowiem na wysokim stanowisku. Jego jedyną ambicją było znalezienie się na pokładzie.

Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać zastąpiona przez inną kobietę. W jej czasach było niewiele kobiet-oficerów. Poza tym spotkała tak mało osób, które zmarły po 1983 roku (w zasadzie tylko jedną), że nie obawiała się konkurencji ze strony pilotów z tej epoki. Z tego, co mówił Firebrass, wynikało, że świat po 1983 roku został zdominowany przez duże sterowce sztywne, ale prawdopodobieństwo pojawienia się aeronautów z tego okresu było niewielkie.

Ale los rzucił kośćmi i oto przybyła Obrenova, kobieta, która wylatała 8584 godzin jako kapitan olbrzymiego radzieckiego sterowca.

Jeszcze nie ogłoszono listy oficerów, ale to nic. Jill wiedziała, że ta mała blondyneczka zostanie pierwszym oficerem. Patrząc na sprawę realnie, tak się powinno stać. Na miejscu Firebrassa Jill musiałaby podjąć właśnie taką decyzję.

Z drugiej strony, pozostały tylko dwa miesiące do startu *Parsevala*, a Rosjanka może potrzebować dłuższego szkolenia. Po trzydziestu trzech latach przerwy w lataniu z pewnością ma spore zaległości. Dostanie miesiąc na przypomnienie sobie tajników pilotażu na pokładzie *Minerwy*, a potem kolejny miesiąc na trening z resztą załogi na dużym sterowcu.

Czy to jej wystarczy? Oczywiście, że tak. Jill też by wystarczyło.

Gulbirra przebywała akurat w sali konferencyjnej z kandydatami na oficerów, gdy Agata przyprowadziła Annę Obrenową. Na widok Rosjanki Jill zamarło serce. Jeszcze zanim sekretarka podekscytowanym głosem przedstawiła nowo przybyłą, Jill wiedziała, co się święci.

Anna Obrenova była niską i szczupłą kobietą o długich nogach i dużym biuście. Miała długie lśniące jasne włosy, duże ciemnoniebieskie oczy, twarz kształtem przypominającą serce, wystające kości policzkowe, kształtne usta i opaloną skórę. Cytując jeden z artykułów: „ślicznotka”.

Ohydnie delikatna i kobieca. To niesprawiedliwe.

Takie dziewczyny mężczyźni jednocześnie pragną ochraniać i zaciągnąć do łóżka.

Firebrass już szedł do niej z rozpromienionym obliczem, a z oczu niemal wylewały mu się męskie hormony.

Ale Jill najbardziej zaskoczyła reakcja Thorn. Na widok Obrenovej mężczyzna zerwał się z miejsca i otworzył usta, po czym je zamknął, otworzył i znów zamknął. Jego rumiana twarz pobladła.

- Znasz ją? - spytała cicho Jill.

Usiadł i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

- Nie! - odpowiedział, zabierając ręce. - Choć przez sekundę tak myślałem. Ona jest taka podobna do mojej pierwszej żony! Aż trudno uwierzyć.

Roztrzęsiony Thorn pozostał w swoim fotelu, podczas gdy pozostali otoczyli Obrenową ciasnym kręgiem. Przywitał się z Anną na samym końcu i wspomniał, jak bardzo przypomina jego żonę. Kobieta uśmiechnęła się olśniewająco.

- Czy kochał pan swoją żonę? - spytała po angielsku z silnym akcentem.

Dziwne pytanie. Thorn cofnął się o krok.

- Tak, bardzo ją kochałem - odpowiedział. - Ale ode mnie odeszła.

- Przykro mi - odrzekła Obrenova i podczas tego zebrania nie zamienili już ze sobą ani słowa.

Firebrass posadził Rosjankę przy stole i zaproponował jej coś do jedzenia, papierosy oraz alkohol. Poprosiła tylko o to pierwsze.

- Czy to znaczy, że nie ma pani żadnych wad? - spytał Firebrass. - Miałem nadzieję, że chociaż jedna się znajdzie.

Obrenova zignorowała ten komentarz. Milton wzruszył ramionami i poprosił kobietę, żeby opowiedziała o swoich kwalifikacjach. Jill słuchała słów Rosjanki z rosnącym przygnębieniem. Obrenova przyszła na świat w Smoleńsku w 1970 roku, zdobyła dyplom inżyniera aeronautyki i w 1994 roku została praktykantką na sterowcu. W 2001 roku mianowano ją kapitanem pasażerskiego transportowca *Lermontov*.

Kończąc rozmowę, Firebrass stwierdził, że Anna z pewnością jest zmęczona, i poprosił Agatę, by znalazła dla niej kwatery.

- Najlepiej w tym budynku - dodał.

Agata odparła, że nie ma wolnych pokoi i Obrenova będzie się musiała zadowolić chatką w pobliżu kwater Gulbirry i Thorn.

- No cóż, może później uda nam się coś znaleźć - odparł z niezadowoleniem Firebrass.

- Pójdę z tobą, Anno, żeby się upewnić, że nie dostaniesz jakiejś rudery.

Jill poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Jak może oczekiwać od Firebrassa obiektywizmu, gdy ten najwyraźniej stracił dla Obrenovej głowę?

Przez chwilę fantazjowała o porwaniu tej Rosjanczki, związaniu jej i ukryciu tuż przed odlotem *Parsevala*. Firebrass z pewnością nie odkładałby startu i Jill Gulbirra zostałaby pierwszym oficerem.

A jeśli mogła to zrobić z Obrenową, to czemu nie z samym Firebrassem? Wtedy zostałaby kapitanem sterowca.

Te myśli sprawiały jej przyjemność, ale wiedziała, że nie jest w stanie wcielić ich w życie. Nie postąpiłaby w ten sposób wobec nikogo, niezależnie od swoich uczuć. Taki zamach na prawa i godność innych ludzi byłby zamachem na samą siebie.

W ciągu następnego tygodnia zdarzało jej się tłuc pięściami w stół lub płakać. Czasem i jedno, i drugie. W końcu powiedziała sobie, że zachowuje się w sposób niedojrzały. Trzeba zaakceptować to, czego nie da się uniknąć, i cieszyć się tym, co pozostało. Czy to takie ważne, by zostać kapitanem sterowca?

Dla niej tak. Dla kogokolwiek innego na świecie, nie.

Dlatego pogodziła się z sytuacją.

Piscator z pewnością wiedział, jak Jill się czuje. Często przyłapywała go na tym, że na nią patrzy. Uśmiechał się wtedy lub po prostu spoglądał w inną stronę. Ale wiedział!

Minęło pół roku. Firebrass zrezygnował z prób skłonienia Obrenovej do zamieszkania w jego apartamencie. Nie ukrywał swoich zamiarów i nie robił tajemnicy z tego, że dostał kosza.

- Nie można zawsze wygrywać - rzekł do Jill z cierpkim uśmiechem. - Może ona nie lubi mężczyzn? Wiem, że wielu innych też się na nią napalało, ale traktowała ich z całkowitą obojętnością, jakby była Wenus z Milo.

- Na pewno nie jest lesbijką - odparła Jill.

- Jedną drugą zawsze pozna, co? - Milton się zaśmiał.

- Cholera, dobrze wiesz, że jestem ambiwalentna - rzuciła ze złością i odeszła.

- Raczej niezdecydowana! - krzyknął za nią.

Wtedy Jill jeszcze mieszkała z Ablem Parkiem, wysokim, muskularnym, przystojnym i inteligentnym mężczyzną. Abel był jednym z milionów Dzieci Rzeki, co oznaczało, że umarł na Ziemi wkrótce po ukończeniu piątego roku życia i dorastał w Dolinie. Nie pamiętał, z jakiego kraju pochodzi, i jaki jest jego ojczysty język. Choć zmartwychwstał w okolicy zaludnionej głównie przez średniowiecznych Hindusów, został adoptowany i wychowany przez parę osiemnastowiecznych Szkotów pochodzących ze wsi na nizinach. Pomimo biedy,

przybrany ojciec Abła zdołał zostać lekarzem w Edynburgu.

Chłopak opuścił tę część Doliny, gdy jego rodzice zostali zabici, i ruszył w wędrowkę wzdłuż Rzeki, aż dotarł do Parolando. Jill bardzo go polubiła i zaproponowała, by się do niej wprowadził. Abel z chęcią na to przystał i przez kilka miesięcy żyli jak w bajce. Jednak pomimo inteligencji, Park był ignorantem. Jill nauczyła go wszystkiego, co sama wiedziała: historii, filozofii, poezji, a nawet podstaw arytmetyki. Chętnie zdobywał wiedzę, ale w końcu zarzucił kobiecie, że traktuje go w sposób protekcyjny.

Zszokowana Jill zaprzeczyła.

- Chciałam jedynie przekazać ci wiedzę, której nie mogłeś zdobyć na Ziemi, gdyż umarłeś w tak młodym wieku.

- Wiem, ale jesteś strasznie niecierpliwa - odparł. - Zapominasz, że wychowałem się w całkowicie odmiennych warunkach. Rzeczy, które tobie wydają się proste, bo miałeś z nimi styczność na co dzień, dla mnie są oszałamiające. - Zamilkł na chwilę. - Jesteś szowinistką w zakresie wiedzy. Krótko mówiąc... jak to się nazywa? Snobką.

Jill poczuła się jeszcze bardziej zszokowana. Oczywiście zaprzeczyła, choć zaczynała do niej docierać, że być może Abel ma rację. Było już jednak za późno, żeby się zrehabilitować, i Park odszedł do innej kobiety.

Gulbirra pocieszała się myślą, że jej partner był zbyt przyzwyczajony do tego, że to mężczyzna powinien odgrywać w związku pierwsze skrzypce. Trudno było mu zaakceptować relację na równych prawach.

Potem uświadomiła sobie, że to tylko po części prawda. Tak naprawdę, Jill podświadomie gardziła Ablem, gdyż nie dorównywał jej intelektualnie. Po fakcie żałowała tej postawy, a nawet się jej wstydziła.

Od tamtej pory nie starała się wiązać z nikim na dłużej. Wdawała się w przelotne romanse z mężczyznami i kobietami, szukając jedynie zaspokojenia seksualnego. Zazwyczaj je znajdowała, ale potem zawsze czuła się sfrustrowana. Potrzebowała prawdziwego uczucia i partnerstwa.

Doszła do wniosku, że Obrenova i Thorn zachowują się podobnie do niej. A przynajmniej nigdy nie pozwolili nikomu ze sobą zamieszkać. Choć z drugiej strony nie zauważyła, by kimkolwiek interesowali się pod względem erotycznym. Z tego, co wiedziała, nie zdarzały się im nawet przelotne miłosne przygody.

Thorn lubił towarzystwo Obrenovej. Jill często widziała, jak tych dwoje szczerze ze sobą rozmawia. Być może mężczyzna starał się skłonić Annę, by została jego kochanką, a ona odmawiała, uznając, że stanie się jedynie namiastką pierwszej żony Barry'ego.

Na trzy dni przed startem ogłoszono święto państwowe. Jill opuściła równinę, bo miała dość hałaśliwych tłumów. Oszacowała, że w Parolando bawiło już kilkaset tysięcy ludzi, i sądziła, że ta liczba ulegnie podwojeniu do momentu wzbicia się *Parsevala* w niebo. Wróciła do chaty i pozostała w niej do wieczora, wychodząc tylko raz, aby złowić kilka ryb. Następnego dnia, gdy siedziała nad brzegiem jeziora, wpatrując się bez celu w wodę, usłyszała kroki.

Początkowo ją to zdenerwowało, ale uspokoiła się, gdy zobaczyła Piscatora. Mężczyzna niósł wędkę i wiklinowy koszyk. Bez słowa usiadł obok Jill i poczęstował ją papierosem. Odmówiła. Przez chwilę wbijali wzrok w powierzchnię wody delikatnie poruszaną wiatrem.

- Niedługo będę zmuszony pożegnać swoich uczniów oraz zaprzestać połowów - odezwał się Piscator.

- Myślisz, że warto? - spytała Jill.

- Czy warto porzucić przyjemne życie, żeby wyruszyć na wyprawę, która może się skończyć śmiercią? Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję... A jak ty się czujesz? - spytał po chwili milczenia. - Czy tamta noc się powtórzyła?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała.

- A jednak nosisz w sercu sztylet.

- Co masz na myśli? - zapytała, spoglądając na Piscatora. Miała nadzieję, że jej zdziwienie nie wygląda sztucznie.

- A raczej trzy sztylety - dodał mężczyzna. - Stanowisko kapitana, Rosjanka i przede wszystkim ty sama.

- Owszem, mam problemy - odparła. - Ale czy wszyscy ich nie mamy? A może ty jesteś wyjątkiem? Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem?

- I to jeszcze jak - odrzekł z uśmiechem. - Nieskromnie powiem, że bardziej niż większość ludzi. Czemu? Ponieważ niemal w stu procentach rozwinąłem swój ludzki potencjał. Nie oczekuję, że to docenisz, i wątpię, by tobie udało się tego dokonać. Chyba że kiedyś... ale ten dzień może nigdy nie nadejść. A co do twoich wątpliwości, czy jestem człowiekiem, to sam kiedyś się zastanawiałem, czy niektóre napotkane przeze mnie osoby są ludźmi, a dokładniej, czy należą do gatunku *homo sapiens*. Bo czyż nie jest możliwe, a nawet wielce prawdopodobne, że ci, którzy za tym wszystkim stoją, umieścili między nami swoich agentów? Zapewne spytasz, w jakim celu. Tego nie wiem, jednak mogą oni być katalizatorami pewnych zachowań. Nie mam tu na myśli tak konkretnych działań, jak budowa parostatków czy sterowców, ale na przykład pojawianie się wśród ludzi określonych myśli i

dążeń. Agenci mogą sterować ludzkością. Dokąd ją wiodą? Być może ku duchowym celom podobnym do tych głoszonych przez Kościół Jeszcze Jednej Szansy. Ku rozwojowi ludzkiego ducha. A może chodzi im o oddzielenie owiec od kozłów, jak mówi chrześcijańsko-muzułmańska metafora.

Przerwał i zaciągnął się papierosem.

- Kontynuując religijną metaforę, w tym świecie mogą działać dwie siły, moc dobra i zła - dodał Piscator. - Jedna stara się przeszkodzić ludziom w osiągnięciu wspomnianego celu.

- Co takiego? - zdziwiła się Jill. - Czy masz na to jakieś dowody?

- Nie, to tylko spekulacje - odparł. - Nie zrozum mnie źle. Nie twierdzę, że Szatan, lub jeśli wolisz Lucyfer, prowadzi tutaj zimną wojnę przeciwko Allahowi, lub Bogu, którego my suffici wolimy nazywać Prawdziwym. Ale czasem zastanawiam się, czy w pewnym sensie nie mamy do czynienia z analogiczną sytuacją... No cóż, to tylko domysły. W każdym razie, jeśli są wśród nas agenci, to wyglądają tak jak my.

- Czy wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? - spytała Jill.

- Zauważyłem kilka rzeczy - odpowiedział Piscator. - Ty pewnie też, ale nie ułożyłaś ich w logiczną całość. Elementy tej układanki tworzą dość mroczny wzór. Choć możliwe, że patrzę na niego z niewłaściwej strony. Gdyby go odwrócić, być może wszystko stałoby się jasne.

- Chciałabym wiedzieć, o czym mówisz - odrzekła kobieta. - Czy mógłbyś pokazać mi ten... wzór?

Piscator wstał i wrzucił niedopałek papierosa do jeziora, gdzie od razu połknęła go ryba.

- Wiele różnych rzeczy dzieje się pod tą taflą wody - powiedział, wskazując jezioro. - Nie widzimy ich, ponieważ woda i powietrze to dwa różne żywioły. Ryby wiedzą, co się dzieje w ich świecie, ale to nam w żaden sposób nie pomaga. Możemy tylko zarzucić przynętę w ciemność i mieć nadzieję, że coś złapiemy. Kiedyś czytałem opowieść o rybie, która usiadła na dnie głębokiego, mrocznego jeziora, zarzuciła wędkę ponad powierzchnię wody i złowiła na swą przynętę ludzi.

- Czy to wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia? - spytała Jill.

Piscator pokiwał głową.

- Podejrzewam, że zjawisz się dziś wieczorem na pożegnalnym przyjęciu u Firebrassa? - spytał.

- Obecność jest obowiązkowa - odparła. - Ale wcale nie mam na to ochoty. Na pewno impreza zmieni się w pijatykę.

- Nie musisz przyłączać się do świń taplających się w błocie - odpowiedział Japończyk. - Możesz im towarzyszyć, ale jednocześnie trzymać się z boku. To pozwoli ci cieszyć się z tego, że jesteś od nich lepsza.

- Ale z ciebie głupek - prychnęła i natychmiast ugryzła się w język. - Przepraszam, Piscatorze. To raczej ja jestem głupia, a ty jak zwykle mnie rozszyfrowałeś.

- Myślę, że dziś wieczorem Firebrass ogłosi listę oficerów i pilotów.

Jill na moment wstrzymała oddech.

- Też mi się tak wydaje - odparła. - Ale do tego również mi niespieszne.

- Zbyt dużą wagę przywiązujesz do pozycji społecznej - odrzekł mężczyzna. - Co gorsza, doskonale o tym wiesz i nie masz zamiaru nic z tym faktem zrobić. Tak czy inaczej, sądzę, że masz bardzo dużą szansę.

- Mam taką nadzieję.

- Może masz ochotę dotrzymać mi towarzystwa podczas polowu? - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

Wstała niezgrabnie i wyciągnęła żyłkę. Przynęty nie było na haczyku.

- Chyba pójdę do domu i trochę porozmyślam.

Zanim dotarła do swojej chaty, minęła kwaterę Barryego Thorna. Ze środka dobiegały podniesione, gniewne głosy Thorna i Obrenovej.

A więc w końcu zostali parą. Ale chyba nie układało im się najlepiej.

Przez chwilę Jill się wahała, niemal ulegając pokusie podsłuchania kłótni. W końcu gwałtownie ruszyła w stronę domu, ale odchodząc, usłyszała, że Thorn krzyczy w nieznanym jej języku. Podsłuchiwanie nic by więc nie dało. Ale co to za język? Z pewnością nie brzmiał jak rosyjski.

Obrenova odpowiedziała w tym samym języku, dużo ciszej, ale na tyle głośno, że słowa dotarły do uszu Gulbirry. Wyglądało na to, że prosi Thorna, by tak nie krzyczał.

Potem zaległa cisza. Jill pospieszenie się oddaliła, mając nadzieję, że żadne z nich nie wyjrzy z chaty i nie pomyśli, że kobieta ich szpieguje. Teraz naprawdę miała o czym rozmyślać. Wydawało jej się, że Thorn zna tylko angielski, francuski, niemiecki i esperanto. Oczywiście mężczyzna mógł poznać wiele różnych języków podczas swoich wędrówek wzdłuż Rzeki. Nawet najmniej zdolni lingwiści nie mogli się przed tym uchronić.

Ale czemu ta dwójka nie rozmawiała w swoich ojczystych językach lub esperanto? Może nie chcieli, aby ktokolwiek zrozumiał ich kłótnię.

Powie o tym Piscatorowi. Może on rzuci na tę kwestię trochę światła.

Okazało się jednak, że już nie miała ku temu okazji i do startu *Parsevala* zapomniała o

całej sprawie.

Grasując w grodzie Disa

26 stycznia 20 r.p.z.

**Peter Jairus Frigate
na pokładzie Zawrotu Głowy
południowa strefa umiarkowana
Świat Rzeki**

**Robert F. Rohrig
w dole Rzeki (mam nadzieję)**

Drogi Robercie!

Podczas trzynastu lat rejsu na tym statku wysłałem dwadzieścia jeden takich listów. Łamigłówkę Łazarza. Chałturę Charona. Migawki z Mictlan. Pogaduszki z Po. Tyrady z Tyru. Tubalny głos Tuoneli. Alegorie z al-Sirat. Statut Styksu. Iskry z Issus, itd.

Ot, zabawy z aliteracją.

Trzy lata temu wrzuciłem do wody mój Telegram z Tartaru. Napisałem w nim o wszystkim, co mi się przydarzyło od chwili Twojej śmierci w St. Luis spowodowanej zbyt długim życiem. Oczywiście nie przeczytasz żadnego z tych listów, chyba że cudem.

Oto siedzę w jasne popołudnie na pokładzie dwumasztowego szkunera i piszę za pomocą pióra z ości i węglowego atramentu na bambusowym papierze. Kiedy skończę, zroluję kartki, owinę je rybią błoną i schowam do bambusowego cylindra. Potem zakorkuję go bambusowym dyskiem, pomodlę się do bogów, jeśli jacyś istnieją, i wyrzucę list za burtę. Mam nadzieję, że dotrze do Ciebie dzięki Rzecznej Poczcie.

Za sterem stoi teraz nasz kapitan, Martin Farrington, znany jako Frisco Kid. Jego czerwono-brązowe włosy lśnią w słońcu i powiewają na wietrze. Wygląda na mieszankę Polinezyjczyka z Celtem, ale nie jest ani jednym, ani drugim. To Amerykanin angielsko-walijskiego pochodzenia, urodzony w Oakland w Kalifornii w 1867 roku. Nie powiedział mi tego, ale ja znam jego prawdziwą tożsamość. Widziałem w życiu zbyt wiele jego zdjęć, aby go nie rozpoznać. Nie mogę zdradzić jego nazwiska, gdyż z jakiegoś powodu kryje się pod

pseudonimem, nb. zaczerpniętym od dwóch wymyślonych przez siebie bohaterów. Tak, to słynny pisarz. Być może sam się domyślisz, o kogo chodzi, ale wątpię. Kiedyś mi powiedziałeś, że czytałeś tylko jedną z jego książek, „Opowieści rybiego patrolu”, i uznałeś ją za wyjątkowo marną. Zawsze irytowało mnie, że nie chcesz zapoznać się z jego największymi dziełami, z których kilka uznaje się przecież za prawdziwe klasyki.

Z pierwotnej załogi statku pozostał jedynie kapitan, pierwszy oficer - Tom Rider, zwany „Tex” - oraz Arab imieniem Nur. Reszta się wykruszyła z różnych powodów. Niektórzy umarli, inni nie byli w stanie wytrzymać nudy, a jeszcze inni nie potrafili dogadać się z załogą. Tex i Frisco Kid to jak dotąd jedyne sławne osoby, jakie spotkałem nad Rzeką. Kiedyś byłem o krok od poznania Georga Simona Ohma (chyba słyszałeś o „ohmach”) i Janasa Nasmytha, wynalazcy młota parowego. I oto proszę! Rider i Farrington znajdowali się na samym szczycie listy dwudziestu osób, które najbardziej chciałem spotkać. To dość nietypowa lista, ale ja też taki jestem.

Tak naprawdę pierwszy oficer wcale nie nazywa się Rider. Dobrze pamiętam twarz tego człowieka, choć trudniej go rozpoznać bez wielkiego białego kapelusza. To jeden z ulubionych filmowych bohaterów mojego dzieciństwa, którego stawiam na jednej półce z Tarzanem, Johnem Carterem, Sherlockiem Holmesem, Dorotką z Krainy Oz i Odyseuszem. Z dwustu sześćdziesięciu westernów, które z nim nakręcono, oglądałem co najmniej czterdzieści. Wyświetlano je w tanich kinach Grand, Princess, Columbia i Apollo w Peorii. (Wszystkie je zamknęto, zanim skończyłem pięćdziesiąt lat). Z tymi filmami wiążą się niektóre z moich najpiękniejszych wspomnień, choć dziś nie potrafię sobie przypomnieć żadnych szczegółów ani konkretnych scen - wszystko zlewa się w jedną wspaniałą całość z Riderem pośrodku.

W wieku pięćdziesięciu dwóch lat zainteresowałem się pisaniem biografii. Wiesz, że długo miałem w planach spisanie wydarzeń z życia Sir Richarda Francisa Burtona, sławnego (lub też niesławnego) dziewiętnastowiecznego odkrywcy, pisarza, tłumacza, szermierza, antropologa itd.

Jednak sytuacja finansowa nie pozwalała mi na poświęcenie się tworzeniu „Nieokrzesanego rycerza królowej”. Kiedy w końcu byłem na to gotowy, Byron Farwell wydał znakomitą biografię Burtona. Postanowiłem więc poczekać kilka lat, dopóki rynek nie będzie gotowy na kolejne takie dzieło. I kiedy już miałem ponownie zabrać się do pracy, wyszła biografia Burtona autorstwa Fawn Brodie, przypuszczalnie najlepsza ze wszystkich, jakie powstały.

Dlatego podjąłem decyzję, że odłożę mój projekt na dziesięć lat. W tym czasie

zamierzałem napisać biografię mojego ulubionego bohatera filmowego (choć Douglasa Firebanka seniora podziwiałem równie mocno).

Czytałem wiele artykułów o moim idolu, przeważnie w czasopiśmie filmowych i gazetach. Wynikało z nich, że na co dzień prowadzi życie jeszcze barwniejsze niż bohaterowie, w których się wciela.

Ale wciąż nie było mnie stać na to, by porzucić pisanie książek i wyruszyć w podróż śladami ludzi, którzy znali Ridera. Istniały osoby, które mogłyby mi wiele opowiedzieć o jego karierze Strażnika Teksasu, urzędnika z władzą szeryfa w Nowym Meksyku, zastępcy szeryfa w Oklahomie, ujeżdżacza koni dla Roosevelta pod San Juan Hill i dla armii brytyjskiej, żołnierza w powstaniu filipińskim i podczas powstania bokserów, najemnika walczącego po obu stronach wojny burskiej, a także w szeregach armii Madero w Meksyku, cyrkowego showmana oraz najlepiej opłacanego aktora swoich czasów.

Artykułom nie można wierzyć. Nawet ludzie, którzy twierdzili, że dobrze znają Ridera, odmiennie opisywali jego życie. W jego nekrologach znalazło się pełno sprzecznych informacji. Ponadto wiedziałem, że wytwórnie Fox i Universal wypuszczały wiele zmyślonych opowieści, które miały na celu zaintrygowanie publiczności.

Jedną z biografii Ridera napisała kobieta, której się wydawało, że jest jego pierwszą żoną. Oczywiście, w książce nie ma wzmianki o tym, że aktor się z nią rozwiódł, po czym jeszcze dwukrotnie ożenił, ani o tym, że inna kobieta urodziła mu dwie córki. A także o jego „problemie alkoholowym” i nieślubnym synu, który pracował jako jubiler w Londynie.

Kobieta myślała, że jest pierwszą żoną Ridera, ale okazało się, że przed nią była jeszcze jedna. Lub dwie. Nie ma pewności co do dokładnej liczby.

Jednak to, że po wszystkich tych rewelacjach nadal uważała męża za nieskazitelnego bohatera, dużo nam o nim mówi. A jeszcze więcej o niej.

Mój dobry przyjaciel, Coryell Varoll (na pewno go pamiętasz: akrobata, zongler, linoskoczek, namiętny piwosz, fan Tarzana) w 1964 roku w jednym z listów do mnie napisał o Riderze takie słowa:

„Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy go spotkałem, czułem się, jakbym spotkał Boga... Potem przez lata wspólnej pracy (w cyrku) ten podziw stopniowo malał, ale ludzie zawsze go lubili, a dla dzieciaków był idolem, nawet kiedy przestał grać w filmach... Wiem, że na trzeźwo był przemiłym facetem, ale po pijaku bez powodu rzucał się do bójki i robił rzeczy całkowicie pozbawione sensu (jak my wszyscy)... Znam kilkadziesiąt opowieści o Riderze, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Usłyszysz je, kiedy znów się spotkamy”.

Jakoś nigdy do tego nie doszło.

W wątpliwość podawano nawet datę urodzin Ridera. Studia filmowe i żona twierdzili, że przyszedł na świat w 1880 roku. Ta sama data znajduje się na pomniku blisko Florence w Arizonie, gdzie zginął w wypadku, jadąc z prędkością 130 km/h po drodze gruntowej. Według innych źródeł Rider urodził się w 1870 roku. Tak czy inaczej, nie wyglądał na swój wiek i zawsze był w świetnej formie.

Znajomy, który widział go tuż przed tą tragiczną przejażdżką, powiedział, że Rider prowadził żółtego forda kabrioleta. Żona twierdziła, że samochód był biały. To tyle, jeśli chodzi o wiarygodność naocznych świadków. Studio filmowe utrzymywało, że aktor urodził się i wychował w Teksasie. Odkryłem, że to kłamstwo. Przyszedł na świat koło Mix Run w Pensylwanii, opuścił te okolice w wieku osiemnastu lat i wstąpił do wojska.

Właśnie miałem napisać do Ministerstwa Wojny, by zdobyć kopię karty Ridera i dowiedzieć się, jak przebiegała jego służba wojskowa, kiedy ukazała się powieść Darryla Ponicsana. Znowu byłem w kropce. Choć książka w połowie składała się z fikcji literackiej, autorowi udało się zdobyć informacje, do których sam zamierzałem dotrzeć.

A więc: mój bohater nie był wnukiem wodza Indian Cherokee, nie urodził się w El Paso w Teksasie i choć służył w wojsku, to nie został poważnie ranny, ani pod San Juan Hill, ani na Filipinach.

Tak naprawdę Rider zaciągnął się do armii dzień po wybuchu wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Jestem pewien - tak samo jak Ponicsan - że chciał od razu znaleźć się na froncie. Bez wątplenia był bardzo odważny i pragnął trafić w sam środek najcięższych walk.

Zamiast tego musiał pozostać w forcie, a potem został zwolniony. Natychmiast ponownie się zaciągnął, ale znowu nie trafił na front. Zdezercerował w 1902 roku.

Nie udał się do Południowej Afryki, jak twierdziły studia filmowe, ale ożenił się z młodą nauczycielką i pojechał z nią do Oklahomy. Potem albo ojciec dziewczyny doprowadził do unieważnienia ślubu, albo to wybranka Ridera postanowiła od niego odejść, nie składając pozwu rozwodowego. Nikt nie ma stuprocentowej pewności.

Pracując jako barman, wkrótce przed podjęciem pracy dla 101 Ranch w Oklahomie, ożenił się po raz drugi. Ten związek także nie przetrwał próby czasu, a małżonkowie ponownie nie zawracali sobie głowy rozwodem.

Większość tego, co ogłaszały studia filmowe i sam Rider, mijało się z prawdą. Wymyślano opowieści mające na celu gloryfikowanie człowieka, który tego nie potrzebował. Rider niczego nie dementował, a nawet sam uczestniczył w tworzeniu niektórych plotek. Po jakimś czasie zaczął w nie wierzyć. Wcale nie żartuję. Nadal przytacza większość tych nieprawdziwych anegdot i widać, że granica między fikcją a prawdą zatarła się w jego

umyśle. Oczywiście w żaden sposób nie wpływa to negatywnie na jego kompetencje.

A jednak Rider odrzucił propozycję wytwórni Fox, aby przedstawiać się jako syn Buffalo Billa. To mogłoby ułatwić co bardziej dociekliwym odkrycie całej prawdy.

Nigdy nie wspomina ani słowem o swojej wielkiej karierze filmowej. Owszem, zdarza mu się mówić o doświadczeniach z tą branżą, ale w jego opowieściach zawsze pozostaje jedynie statystą.

Czemu używa pseudonimu? Nie mam pojęcia.

Jego trzecia żona opisała go jako mężczyznę szczupłego, ciemnowłosego i wysokiego. Wydaje mi się, że na początku dwudziestego wieku faktycznie mógł za takiego uchodzić, mimo że jest niższy ode mnie. Pod jego skórą kryją się stalowe mięśnie. Farrington jest od niego niższy, ale jeszcze bardziej umięśniony. Ciągłe zachęca Toma do siłowania się na rękę, zwłaszcza kiedy się upije. Tom zazwyczaj przyjmuje wyzwanie, po czym obaj mężczyźni opierają łokcie na stole, stykają się przegubami i starają przygiąć dłoń przeciwnika do blatu. Zazwyczaj walka trwa dość długo, ale prawie zawsze wygrywa Tom. Farrington reaguje na porażki śmiechem, ale wydaje mi się, że jest nimi rozgoryczony.

Ja również wielokrotnie próbowałem sił w podobnych zmaganiach z oboma mężczyznami i mniej więcej w połowie przypadków udawało mi się wyjść z tych prób zwycięsko. Ponadto potrafię obu pokonać w biegach sprinterskich i skoku w dal, choć w pojedynkach bokserskich i walce na kije zwykle muszę uznać ich wyższość. Brakuje mi „instynku zabójcy”. Poza tym, nigdy nie przywiązywałem specjalnej wagi do bycia macho, ale może wynikało to z podświadomego strachu przed rywalizacją.

Taka postawa jest bardzo ważna dla Farringtona. Być może dla Toma także, choć nigdy tego nie okazuje.

Tak czy inaczej, to wspaniałe uczucie móc przebywać z tą dwójką, choć oczywiście z czasem początkowy entuzjizm ustępuje miejsca przyzwyczajeniu.

Tom Rider przemierzył setki tysięcy kilometrów i trzykrotnie został zabity. Raz zmartwychwstał w strefie arktycznej niedaleko ujścia Rzeki. Pisząc „niedaleko”, mam na myśli odległość około 20000 kilometrów. Samo ujście Rzeki, podobnie jak jej źródło, znajduje się w pobliżu bieguna północnego. Woda wypływa z gór na jednej półkuli i kończy bieg na drugiej.

Z tego, co słyszałem, biegun północny otacza morze, u brzegów którego piętrzy się pasmo górskie, przy którym Mount Everest to pryszcz. Rzeką wypływa z otworu u podnóża gór, zawraca tam, przemierzając powierzchnię jednej półkuli, po czym okrąży biegun południowy i wpływa na drugą półkulę. Tam wije się jak wąż, około tysiąca razy sięgając od

Antarktyki do Arktyki, po czym dociera do gór otaczających biegun północny. (Tak naprawdę jest to jedna góra przypominająca stożek wulkanu).

Gdybym miał naszkicować Rzekę, przypominałaby ona Węża Midgardu z mitologii nordyckiej, który otacza cały świat i trzyma w pysku własny ogon.

Tom powiedział, że obszary położone w pobliżu ujścia Rzeki są zamieszkane głównie przez ludzi pochodzących z epoki lodowcowej, starożytnych mieszkańców Syberii oraz Eskimosów. Znajdują się tam również niewielkie grupy współczesnych Alaskijczyków, Kanadyjczyków z północy i Rosjan, a także zwyczajowa mieszanka ludzi ze wszystkich miejsc i epok.

Tom uwielbia przygody, więc postanowił dotrzeć do ujścia Rzeki. Razem z sześcioma innymi osobami zbudowali kajaki i udali się z krainy żywych na mgliste i mroczne pustkowia. Odkryli, że pomimo niesprzyjających warunków tereny aż do samego ujścia Rzeki są porośnięte roślinnością, a linia kamieni obfitości zagłębia się w strefę mgły na tysiąc kilometrów. Uczestnicy wyprawy zjedli posiłek przy ostatnim z głazów, po czym powiosłowali dalej, obładowani zapasami złożonymi z suszonej ryby, chleba z żołądź i tego, co udało im się zachować z poprzednich posiłków. Prąd Rzeki coraz szybciej nioś ich ku obranemu celowi.

Na ostatnich stu kilometrach napotkali nurt, któremu nie sposób się było przeciwstawić. Nie mieli również szans przybić do brzegu, gdyż po obu stronach wznosiły się skaliste urwiska. Podróżnicy musieli jeść i spać w kajakach.

Wyglądało na to, że ich koniec jest bliski, i tak było w istocie. Wpadli do olbrzymiej jaskini, której sufit i ściany znajdowały się tak daleko, że nie docierało do nich światło pochodni. Następnie ze strasliwym hukiem Rzeką wpłynęła do tunelu, a Tom uderzył głową w obniżający się sufit. Niczego więcej nie pamięta. Zapewne jego kajak został rozdarty na strzępy.

Następnego dnia Rider obudził się gdzieś w pobliżu bieguna południowego.

(Ciąg dalszy listu Frigate'a)

- Pośrodku morza otoczonego polarnymi górami wznosi się wieża - powiedział Tom.
- Wieża? - spytałem. - Co masz na myśli?
- Nie słyszałeś o niej? - zdziwił się. - Myślałem, że wszyscy o niej wiedzą.
- Nikt nigdy mi o niej nie wspominał - odparłem.
- No cóż - odrzekł Rider, robiąc dziwną minę. - To faktycznie cholernie długa rzeka.

Pewnie w wielu miejscach ludzie nie słyszeli tej opowieści.

Po czym przyznał, że nie ma żadnych dowodów na jej prawdziwość. Teoretycznie mężczyzna, który opowiedział Tomowi tę historię, mógł kłamać. W tym świecie z pewnością nie brakuje oszustów. Nie była to jednak relacja z drugiej czy trzeciej ręki. Tom rozmawiał z kimś, kto twierdził, że na własne oczy widział wieżę.

Rider znał tego człowieka od wielu lat, ale jego opowieść usłyszał dopiero niedawno, podczas ostro zakrapianej imprezy. Gdy mężczyzna wytrzeźwiał, nie chciał już wracać do tego tematu. Za bardzo się bał.

Znajomy Toma urodził się w starożytnym Egipcie i w Świecie Rzeki należał do grupy dowodzonej przez faraona Akhenatena, który na Ziemi w trzynastym wieku p.n.e. próbował założyć religię monoteistyczną. Najwyraźniej Akhenaten został wskrzeszony w okolicy zamieszkaanej przez ludzi z ich epoki. Mężczyzna opowiadający tę historię, arystokrata Paheri, został zwerbowany przez Akhenatena wraz z czterdziestoma innymi osobami. Wspólnymi siłami zbudowali statek i wyruszyli w podróż ku źródłom Rzeki, nie wiedząc, jak daleka czeka ich droga ani co tak naprawdę jest ich celem. Akhenaten wierzył, że u kresu ich wędrówki mieszka bóg Aton, słońce, który z honorami przyjmie pielgrzymów i wpuści ich do raju, miejsca lepszego od Świata Rzeki.

W odróżnieniu od faraona, Paheri był konserwatywnym politeistą i wierzył w „prawdziwych” bogów: Ra, Horsa, Isis i całą resztę dawnych bóstw. Przyłączył się do swego faraona, mając nadzieję, że wędrówka doprowadzi ich do siedziby bogów, gdzie władzę spotka należna kara za odejście od starej religii, a on, Paheri, zostanie nagrodzony za swą wiarę.

Mieli to szczęście, że zostali wskrzeszeni na obszarze położonym na północnej półkuli, daleko w górze Rzeki. Ponadto płynęli głównie przez tereny zaludnione przez pokojowo nastawionych dwudziestowiecznych Skandynawów, dzięki czemu załoga nie trafiła do niewoli i mogła swobodnie korzystać z kamieni obfitości.

Gdy wyprawa zbliżyła się do polarnych pasm górskich, mężczyźni wpłynęli na obszary zamieszkałe przez gigantów, czyli istoty, których skamielin nigdy nie odkryto na Ziemi. Choć trudno w to uwierzyć, mierzyli oni od dwóch i pół do trzech metrów wzrostu. Ich nosy przypominały nosy małp. Używali mowy, ale w bardzo ograniczonym stopniu.

Każdy z tych behemotów mógłby jedną ręką zmiażdżyć całą załogę, ale na szczęście giganci bali się statku, biorąc go za smoka. Teren, na którym mieszkali, rozciągał się na kilka tysięcy kilometrów i był odcięty od dalszych obszarów przez bardzo wąską dolinę. Na tym odcinku Rzeka silnie się burzyła, co uniemożliwiało wiosłowanie pod prąd.

To nie powstrzymało Egipcjan. Przedostanie się przez dolinę zajęło im pół roku, ale w końcu tego dokonali. Za pomocą krzemienych i żelaznych narzędzi (nabyli minerały za tytoń i alkohol ze swoich rogów obfitości) wyrąbali w urwisku wąską półkę na wysokości około trzech metrów nad powierzchnią wody. Następnie rozebrali statek na części i przenieśli go na własnych grzbietach na drugą stronę przewężenia.

W krainie olbrzymów Egipcjanie zwerbowali osobnika, którego prawdziwego imienia nie potrafili wymówić. Nazywali go więc Djehuti, a po grecku Thot, gdyż jego okazały nos przypominał im boga noszącego to imię. Thot miał głowę ibisa, ptaka o długiej szyi.

Statek ruszył w dalszą podróż w górę Rzeki, wpływając na obszar, gdzie kończyły się kamienie obfitości, a ziemię pokrywała gęsta mgła. Choć Rzeka oddawała wiele ze swojego ciepła przepływając przez morze za polarnymi górami, woda wciąż miała wystarczająco wysoką temperaturę, by w zetknięciu z zimnym powietrzem tworzyć chmury.

Załoga dotarła do katarakty, tak szerokiej, że można by w niej zmieścić księżyc, a przynajmniej tak twierdził Paheri. W tym miejscu wędrowcy musieli zostawić swój statek, który zapewne wciąż stoi na platformie w osłoniętej zatoczce. Choć do tej pory wilgoć bez wątplenia sprawiła, że drewniana konstrukcja przegniła.

Teraz następuje jeden z najdziwniejszych fragmentów opowieści. Wyprawa dotarła do górskiego zbocza, które na pierwszy rzut oka wydawało się nie do pokonania. Jednakże podróżnicy znaleźli tunel, który ktoś wydrążył w skale, a przy kolejnym stromym zboczu, które zagrodziło im drogę, odkryli zwieszającą się z góry linę wykonaną z ręczników. Wspięli się po niej i choć dalsza wędrówka okazała się bardzo ciężka, w końcu dotarli do polarnego morza za górami.

Kto wydrążył tunel i pozostawił linę? I w jakim celu? Wydaje się oczywiste, że ktoś przetaił nam, Ziemianom, szlak. Wątpię, by zrobili to inni ludzie mieszkający nad Rzeką. Góra, w której znajdował się tunel, była zbudowana z twardego kwarcu. Wydrążenie takiego przejścia wymagałoby zużycia dużej liczby stalowych narzędzi, które były rzadkością. Co więcej, Paheri opowiadał, że nigdzie wokół nie znaleźli żadnych gruzów, ścinków ani wiórów, które powinny się piętzyć na zewnątrz tunelu. Nawet za pomocą żelaznych narzędzi nie da się wydrążyć podobnego przejścia, bo w takim oddaleniu od kamieni obfitości nie sposób gromadzić wystarczającej ilości jedzenia na czas pracy.

Poza tym, jak ktokolwiek mógłby się wspiąć na drugie urwisko bez użycia liny? Może poprzednia grupa wędrowców wystrzeliła linę za pomocą rakiety? Ale na górze znajdowało się tylko jedno miejsce, gdzie teoretycznie można było zaczepić sznur - wysoka, cienka iglica. Prawdopodobieństwo trafienia w nią rakieta i odpowiedniego zaczepienia bosaków wydawało się bardzo małe, zwłaszcza że z dołu iglica była niewidoczna.

Ponadto, nigdzie w pobliżu nie leżała łuska. Ktokolwiek zamocował linę na ścianie, przywiązał jej koniec do skalnego występu, który według Paheriego wyglądał jak fragment wycięty z większej iglicy.

Po przeczolganii się wąską skalną półką przez mroczną jaskinię, w której wiał zimny wicher, wędrowcy ujrzeli morze otoczone pasmami górskimi, między którymi rozciągały się chmury przykrywające wodę. Po przeciwległej stronie morza znajdowała się szeroka przełęcz między dwoma szczytami. Pierwszy ujrział ją Djehuti, który skręcił za róg w chwili, gdy słońce na moment wyjrzało zza obłoków i spomiędzy gór. Ludzie idący za nim usłyszeli krzyk, potem rozpaczliwy wrzask, a na końcu długi jęk. Ostrożnie podeszli dalej, a gdy dotarli do krawędzi półki, zobaczyli, jak ciało Djehutiego znika w chmurach.

Później mężczyźni odtworzyli prawdopodobny bieg wydarzeń. Olbrzym skręcił za róg i zobaczył tuż przed sobą róg obfitości. Tak, róg obfitości. Ktoś tam był przed nimi! A potem nagle zza chmur wyjrzało słońce, które oślepiło bądź przestraszyło Djehutiego i spowodowało, że zrobił krok do tyłu i potknął się o leżący pojemnik.

Słońce oświetliło okolicę na tyle, że zobaczyli jakiś kształt pośrodku morza. Wyglądał jak górna część gigantycznego rogu obfitości stercząca z chmur. Potem słońce schowało się za górskim szczytem i obłoki z powrotem zasłoniły obiekt.

Prawdopodobnie zastanawiasz się, w jaki sposób Egipcjanie mogli ujrzeć słońce. Nawet jeśli przełęcz sięgała horyzontu, to czy chmury nie powinny jej zasłaniać? Owszem, w normalnych warunkach obłoki przesłoniłyby przełęcz, ale wiatr rozpędził je akurat w chwili, gdy słońce znajdowało się między szczytami. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności, przynajmniej

dla Djehutiego.

Wiatry w tym regionie wieją w dziwaczny sposób. Dwukrotnie przepędziły chmury, umożliwiając Egipcjanom rzucenie okiem na górną część wieży. Poza tymi dwiema chwilami ponad morzem panował półmrok, w którym budowla przypominała jedynie czarną plamę. Ale to wystarczyło. Pośrodku morza wznosiła się potężna konstrukcja. Niekoniecznie zbudowana przez ludzi, nie wiemy bowiem, czy stwórcy i opiekunowie tej planety należą do naszego gatunku. Ale z pewnością nie jest to dzieło przyrody, choć wydaje mi się, że z daleka wieżę można wziąć za skalną iglicę.

Ale oto kolejny element układanki. Kilka godzin później Egipcjanie zobaczyli, jak ponad chmury otaczające wieżę wznosi się jakiś obiekt. Był okrągłego kształtu i wydawał się olbrzymi. Kiedy wzleciał wysoko w niebo, odbiły się od niego promienie nigdy niezachodzącego słońca. Potem wzbił się tak wysoko, że zniknął ludziom z oczu.

To mnie naprawdę zelektryzowało.

- Ta wieża może być główną siedzibą tych, którzy za tym wszystkim stoją - powiedziałem.

- Frisco Kid i ja też tak uważamy - odpowiedział Tom.

Egipcjanie polubili Djehutiego. Pomimo straszego wyglądu miał dobre serce i był skory do żartów. Lubił nawet gry słowne w języku egipskim, co świadczyło o jego dużej inteligencji. Ludzie to wyjątkowe istoty w królestwie zwierząt, jedyny gatunek, który potrafi żartować. *Homo agnominatio*? Sam nie wiem, coraz gorzej z moją łaciną. Gdybym znalazł tutaj jakiegoś starożytnego Rzymianina lub przynajmniej nauczyciela, to trochę bym się doszkolił.

Wróćmy do opowieści Paheriego i do osoby Djehutiego. Gdyby nie jego niezwykła siła, Egipcjanie nie dotarliby tak daleko. Dlatego zmówili za niego kilka modlitw i ruszyli dalej w dół ścieżki.

Wąska skalna półka opadała pod kątem czterdziestu pięciu stopni i była śliska od wilgoci. Mieściła się na niej tylko jedna osoba, ocierając się ramieniem o ścianę. Wędrowcy napotkali kilka przewężeń, które zmuszały ich do ostrożnego prześlizgiwania się na palcach z brzuchem przyciśniętym do skały. Palcami dłoni szukali wtedy każdej, nawet najmniejszej nierówności, której mogliby się chwycić.

W połowie drogi Akhenaten prawie spadł. W gęstej mgle potknął się o szkielet, prawdopodobnie należący do osoby, która porzuciła róg obfitości. Kości wydawały się całe, więc podróżnicy doszli do wniosku, że nieszczęśnik umarł z głodu. Faraon zmówił modlitwę nad szczątkami i zrzucił je do morza. Wkrótce dotarli do miejsca, w którym ścieżka zniknęła

pod wodą. Byli zrozpaczeni, ale Akhenaten jedną ręką chwycił się wystającej skały i z pochodnią w drugiej dłoni wyrzwał poza skalny występ.

Po drugiej stronie znajdowało się wejście do jaskini. Faraon pomaszerował dalej ścieżką, nie zważając na wodę sięgającą mu do kolan, i po chwili dotarł do gładkiej platformy wznoszącej się pod kątem trzydziestu stopni. Pozostali bez wahania podążyli za nim.

Wędrowcy pod przewodnictwem Akhenatena wspięli się na wzniesienie. Serca mocno im biły, a po plecach przebiegały dreszcze. Ze strachu szczękali zębami, a jeden z mężczyzn - nasz Paheri - tak bardzo się bał, że dostał biegunki.

Czy znaleźli się przed wejściem do siedziby bogów? Czy w środku czeka na nich szakalogłowy Anubis, aby przekazać ich wielkiemu sędziemu, który zważy ich dobre i złe uczynki?

Wtedy Paheri zaczął rozmyślać o wszystkich okrutnych i niesprawiedliwych rzeczach, jakie uczynił na Ziemi, o swojej małostkowości, zachłanności oraz zdradzie i postanowił nie iść dalej. Jednak, gdy tylko został sam w ciemności, zdecydował się podjąć marsz, choć w pewnym oddaleniu od swoich towarzyszy.

Jaskinia zmieniała się w tunel - najwyraźniej wykuty w skale za pomocą narzędzi - który po chwili zaczął lekko zakręcać, a po mniej więcej stu metrach doprowadził podróżników do bardzo dużej, okrągłej komnaty. Jej wnętrze oświetlało dziewięć czarnych metalowych lamp ustawionych na wysokich trójnogach. Lampy miały kulisty kształt i emitowały zimne, niezmiennie światło.

W komnacie ujrzeli kilka zadziwiających rzeczy. Najbliżej leżał kolejny szkielet, który, podobnie jak poprzedni, miał na sobie ubranie. Prawa ręka szkieletu była wyciągnięta, jak gdyby po coś sięgała. Obok spoczywał róg obfitości. Mężczyźni nie od razu przyjrzeni się kościom, ale pozwól, że przeskoczę teraz do tego miejsca opowieści. Szkielet należał do kobiety, a czaszka i kilka zachowanych kępek włosów wskazywały na to, że była to Murzynka.

Prawdopodobnie ona też umarła z głodu. Cóż za tragiczna ironia, zważywszy na to, że skonała kilka metrów od jedzenia.

Po śmierci swego towarzysza kobieta ruszyła dalej w dół ścieżki, prawdopodobnie część drogi pokonując na kolanach, a zmuszając się do wstawania jedynie, gdy było to konieczne w celu przebycia najwęższych fragmentów skalnej półki. Oddała ducha, kiedy ocalenie było w zasięgu wzroku.

Zastanawiam się, kim była, i co ją skłoniło do podjęcia tak wyczerpującej podróży? Jak wielu jej towarzyszy zginęło lub zawróciło przed dotarciem do tej wielkiej jaskini, przez

którą przepływają fale polarnego morza? Jak przedostali się przez krainę włochatych, wielkonosych olbrzymów? Jak miała na imię i czemu z taką determinacją wędrowała w stronę jądra ciemności?

Być może zostawiła jakąś wiadomość w swoim rogu obfitości, ale wieczko było zamknięte, a tylko ona mogła je otworzyć. Tak czy inaczej, wątpliwe, by Egipcjanie byli w stanie przeczytać to, co napisała kobieta. Przytaczane wydarzenia nastąpiły zanim Szansowcy rozprzestrzynieili esperanto po całej Dolinie, a poza tym miliardy osób posługujących się tym językiem w mowie nie potrafiły w nim czytać.

Egipcjanie odmówili modlitwę nad szczątkami zmarłej, Po czym w ciszy przyjrzeni się największym obiektom w komnacie, metalowym łodziom. Było ich jedenaście, w różnych rozmiarach, wszystkie poustawiane na niskich metalowych podporach w kształcie litery V.

W komnacie wędrowcy znaleźli także zapasy żywności. Początkowo nie zdawali sobie z tego sprawy, gdyż nigdy wcześniej nie widzieli plastikowych puszek. Jednak rysunki na opakowaniach informowały, w jaki sposób je otworzyć, a gdy mężczyźni to uczynili, w środku odkryli wołowinę, chleb i warzywa. Najedli się do syta, po czym zapadli w głęboki sen po wyczerpującej podróży.

Czuli, że bogowie (lub też Bóg w opinii Akhenatena) im sprzyjają. W końcu przygotowali dla nich ścieżkę, choć wcale nie było łatwo nią iść. Ale droga ku nieśmiertelności nigdy nie jest łatwa i mogą nią kroczyć tylko szlachetni i odważni ludzie. Być może Djehuti zgrzeszył i dlatego został zrzucony przez bogów w przepaść.

W łodziach znajdowały się obrazkowe instrukcje obsługi. Egipcjanie dokładnie je przestudiowali, po czym zabrali jedną z łodzi w drogę powrotną. Łódź mogła pomieścić trzydzieści osób, ale czterech mężczyzn było w stanie bez trudu ją udźwignąć, a jeden silny człowiek mógł ją ciągnąć za sobą. Opuścili łódź na powierzchnię wody i wsiedli do środka. Obok steru znajdowała się niewielka tablica kontrolna. Choć teoretycznie faraoni nie powinni się parać jakkolwiek pracą, Akhenaten postanowił pokierować jednostką. Zapoznawszy się z instrukcją, wcisnął jeden z guzików na tablicy. Przed jego oczami rozbłysnął ekran, a na nim pojawił się jaskrawopomarańczowy zarys wieży. Faraon wcisnął kolejny guzik i łódź ruszyła na pełne morze.

Wszyscy bardzo się bali, choć ich przywódca tego po sobie nie okazywał. A zarazem czuli, że znajdują się we właściwym miejscu i w pewnym sensie są tutaj mile widziani. Łódź kojarzyła im się z barką, na której według ich religii umarli przekraczają wody Drugiego Świata, Amenti.

(Nazwa Amenti pochodzi od imienia bogini Ament, które oznacza „mieszkanekę

Zachodu”. Jeden z elementów jej ubioru stanowi piórko, podobnie jak w przypadku mieszkańców Libii, położonej na zachód od Egiptu. Być może mamy więc do czynienia z libijską boginią zapożyczoną przez religię Egipcjan. Piórko w języku hieroglificznym oznacza „zachodni”. W późniejszych czasach określenia „Zachód” zaczęto używać w odniesieniu do Krainy Umarłych, a Ament stała się boginią zaświatów. To ona wita wędrowców przy bramie Drugiego Świata, gdzie częstuje ich chlebem i wodą, a jeśli ci je spożyją, stają się „przyjaciółmi bogów”).

Pokarm, jaki mężczyźni znaleźli w jaskini, od razu skojarzył im się z tym posiłkiem, tak jak łódź przywołała im na myśl barkę płynącą do Drugiego Świata. Egipcjanie, podobnie jak wielu innych ludzi, nie byli zachwyceni, gdy obudzili się nad brzegiem Rzeki. Ich kapłani zupełnie inaczej opisywali życie po śmierci. A jednak w tym świecie potrafili odnaleźć pewne analogie do ziemi obiecanej. Ponadto pocieszała ich obecność Rzeki, jako że całe życie spędzili nad brzegami Nilu. A teraz boska istota prowadziła ich do serca Drugiego Świata.

Zastanawiali się, czy nie powinni byli nazwać przyjaznego olbrzyma imieniem Anubis zamiast Djehuti. Anubis to szakalogłowy bóg, który prowadzi umarłych przez Podziemia do Podwójnego Pałacu Ozyrysa, Sędziego, który waży ludzkie dusze. Jednak Djehuti, pełniący rolę rzecznika bogów oraz dbający o ich archiwa, czasem przyjmuje postać małpy z głową psa. Zważywszy na swój wygląd, olbrzym mógł więc uchodzić za jego wcielenie.

Notka na marginesie: Te dwie cechy Totha (Djehutiego) wskazują na wcześniejsze połączenie dwóch bóstw.

Dolina Rzeki przypominała pod niektórymi względami Drugi Świat. Teraz, kiedy Egipcjanie dotarli do siedziby Ozyrysa, podobieństwo wydawało się jeszcze bardziej uderzające. Świat Rzeki mógł być łądem zawieszonym pomiędzy krainą żywych i zaświatami opisywanymi przez kapłanów, którzy opowiadali na ich temat niejasne i sprzeczne historie. Tylko bogowie znali całą prawdę.

Jakakolwiek by ta prawda była, wędrowcy mieli ją wkrótce poznać. Wieża nie przypominała wizerunku Podwójnej Sali Sprawiedliwości, jaki znali, ale być może bogowie coś zmienili. Wszak Świat Rzeki podlegał ciągłym zmianom, będąc odzwierciedleniem stanu umysłu samych bogów.

Akhenaten obrócił ster, aby pomarańczowy wizerunek wieży znalazł się na samym środku ekranu przedzielonego pionową linią. Od czasu do czasu upewniał się, że ma kontrolę nad prędkością łodzi, ściskając gałkę umieszczoną po prawej stronie steru. Prędkość wzrastała bądź malała, w zależności od siły uścisku.

Łódź przemierzała lekko wzburzone, zamglone morze z szybkością, która przerażała

podróżników. W ciągu dwóch godzin wizerunek wieży wypełnił cały ekran, a potem nagle rozblysnął jaskrawym płomieniem. Akhenaten zmniejszył prędkość łodzi, po czym wcisnął jeden z przycisków, a cała załoga krzyknęła ze strachu i zachwytu, gdy z dwóch okrągłych przedmiotów znajdujących się na dziobie wystrzeliły promienie światła.

Przed Egipcjanami wznosiła się potężna konstrukcja - wieża.

Faraon wcisnął przycisk wskazany na diagramie. W gładkiej i pozornie jednolitej ścianie powoli otworzyły się duże okrągłe wrota, wypuszczając na zewnątrz powódź światła. Przez otwarte drzwi wędrowcy ujrzeli obszerną salę o ścianach z szarego metalu.

Akhenaten zatrzymał łódź tuż pod wrotami, a kilku członków załogi chwyciło się krawędzi wejścia. Faraon nacisnął kolejny guzik, który wyłączył niewidzialną moc napędzającą łódź. Następnie wszedł po burcie do budowli i przywiązał cumy do haków, które znalazł w wielkiej sali. Pozostali mężczyźni, wyraźnie złęknięci, podążyli za nim w ciszy.

Wszyscy za wyjątkiem Paheriego, który był ledwie żywy z przerażenia. Nie kontrolował szczękania zębami i dygotania kolan. Serce trzepotało mu w piersi jak wystraszony ptak. W jego głowie myśli przepływały powoli, niczym rozmarzające błoto spływające ze wzgórza wraz z nadejściem wiosny.

Nie miał siły wstać z ławki i wejść do wieży. Był pewien, że spotka tam swego sędziego i nie przejdzie tej próby pomyślnie.

Jednej rzeczy nie można Paheriemu odmówić. A nawet dwóch, Miał sumienie oraz nie bał się przyznać Tomowi Riderowi, że zachował się jak tchórz. To wymagało nie lada odwagi.

Akhenaten doszedł pewnym krokiem do końca korytarza, jak gdyby nie obawiał się spotkania z Jedynym Bogiem. Reszta mężczyzn maszerowała w grupie, kilkanaście kroków za faraonem. Jeden z Egipcjan obejrzał się i z zaskoczeniem stwierdził, że Paheri wciąż siedzi w łodzi. Skinął na niego ręką, ale Paheri energicznie pokręcił głową i jeszcze mocniej chwycił się nadburcia.

Nagle, w całkowitej ciszy, mężczyźni idący korytarzem upadli na kolana, oparli się na rękach, bezskutecznie spróbowali wstać, po czym runęli na twarze, zamieniając się w bezwładne lalki.

Drzwi powoli się zamknęły, nie wydając przy tym żadnego dźwięku, i po chwili nie został po nich nawet najmniejszy ślad. Pod nieskazitelnie gładką ścianą, na lodowatych falach spowitego mgłą morza kołysała się łódź z samotnym Paherim na pokładzie.

Mężczyzna bez chwili wahania ruszył w drogę powrotną. Łódź pędziła z taką samą prędkością, jak poprzednio, ale teraz ekran nie pokazywał żadnego obiektu, w stronę którego

Egipcjanin mógłby się skierować. Nie potrafił odnaleźć jaskini, choć długo pływał tam i z powrotem wzdłuż skalnej ściany. W końcu dotarł do otworu, przez który morze wdzierało się w górskie pasmo, tłukąc o urwiska. Przedostał się przez długą, olbrzymią jaskinię, ale kiedy dotarł do wielkiego wodospadu, nie znalazł miejsca, w którym mógłby przybić do brzegu. Łódź spadła z katarakty, a ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał Paheri, był huk wody i obracający nim gwałtowny nurt. Potem stracił przytomność.

Obudził się nagi u stóp kamienia obfitości. Obok spoczywał nowy pojemnik oraz sterta ręczników. Paheri usłyszał głosy i po chwili z mrocznej mgły wyłoniły się sylwetki kilku osób zmierzających na posiłek. Mężczyzna był cały i zdrowy, ale na zawsze naznaczony przerażającym wspomnieniem siedziby bogów.

Tom Rider został wskrzeszony w tej samej okolicy, po tym jak zginął z rąk fanatycznych średniowiecznych chrześcijan. Został żołnierzem, spotkał Paheriego, którego przydzielono do tego samego oddziału, i usłyszał jego opowieść. Rider osiągnął stopień kapitana, po czym ponownie został zabity. Następnego dnia obudził się w pobliżu miejsca, w którym mieszkał Farrington.

Kilka miesięcy później obaj mężczyźni wyruszyli czólnem w podróż w górę Rzeki. Potem na jakiś czas osiedlili się w jednym miejscu, by zbudować *Zawrót Głowy*.

Jak zareagowałem na to wszystko? No cóż, opowieść Paheriego sprawiła, że sam chcę odkryć, czy to prawda. Jeśli Paheri niczego nie zmyślił, a Tom twierdzi, że Egipcjanin zdecydowanie nie grzeszył wyobraźnią, to w tym świecie, w odróżnieniu od Ziemi, mogą się znajdować odpowiedzi na Wielkie Pytania, odbicie Ostatecznej Rzeczywistości.

A więc: w stronę wieży!

40

(Ciąg dalszy listu Frigate'a)

Rider nie powiedział mi wszystkiego. Kilka dni temu przypadkiem podsłuchałem jego rozmowę z Frisco Kidem. Mężczyźni przebywali w głównej kajucie i zostawili otwarte okienko. Usiadłem na pokładzie, opierając się plecami o ścianę kajuty, i zapaliłem papierosa. (Owszem, wpadłem w sidła nikotynowego demona). Tak naprawdę nie przysłuchiwałem się im zbyt uważnie, gdyż rozmyślałem o mojej rozmowie z Nurem el-Musafirem.

Nagle usłyszałem donośny głos kapitana:

- Tak, ale skąd możemy wiedzieć, że on nas nie wykorzystuje dla swoich celów? Celów, które mogą być sprzeczne z naszymi? I skąd możemy wiedzieć, że będziemy w stanie dostać się do wieży? Egipcjaninowi się to nie udało. Czy istnieje inne wejście? A jeśli tak, to czemu o nim nie powiedział? Obiecał, że później powie nam więcej na temat wieży, ale to było szesnaście lat temu! Szesnaście! Od tamtej pory ani razu go nie widzieliśmy! Lub raczej ty go nie widziałeś, bo to z tobą rozmawiał. Może coś mu się stało? Może go złapali? A może już nas nie potrzebuje!

Rider odpowiedział coś, czego nie dosłyszałem.

- Pewnie, ale wiesz, co ja myślę? - odparł Farrington. - Myślę, że on nie ma zielonego pojęcia o tym, że ci Egipcjanie dotarli do wieży, ani że jeden z nich uciekł. Przynajmniej nie wiedział o tym wtedy, kiedy z nim rozmawiałeś.

Rider coś odpowiedział.

- Tunel, lina, łódzie i ścieżka zapewne zostały przygotowane dla nas - rzekł kapitan. - Ale inni nas uprzedzili.

Wtedy wzmógł się wiatr i przez jedną lub dwie minuty niczego nie słyszałem. Przysunąłem się bliżej do zejściówki.

- Naprawdę uważasz, że któryś z nich może się znajdować na tym statku? - spytał Farrington. - No cóż, Tex, to oczywiście jest możliwe, ale nawet jeśli, to co z tego? Czemu nam nie powiedział, kim są pozostali, żebyśmy mogli bez problemu się rozpoznać i stworzyć grupę? Kiedy się tego dowiemy? Kiedy się wszyscy spotkamy? Dopiero na krańcu Rzeki? A jeśli tam dotrzemy i nikt inny się nie zjawi? Czy mamy tam czekać sto lat, albo i dłużej? Co,

jeśli...

Rider ponownie mu przerwał. Mówił bardzo długo. Wytężalem słuch z całej siły, a ciekawość tak mnie zżerała, że moje oblicze zapewne świeciło niczym ognie świętego Elma. Mustafa, stojący za sterem, patrzył na mnie z dziwną miną. Pewnie odgadł, że podsłuchuję. To mnie trochę speszyło. Bardzo chciałem usłyszeć dalszy ciąg rozmowy, ale gdyby Turek na mnie doniósł, mógłbym zostać wyrzucony ze statku. Z drugiej strony, przecież nie mogłem wiedzieć, że dyskutują o czymś, czego nie powinienem słyszeć. Kilka razy zaciągnąłem się cygarem, a kiedy zgasło, udałem, że zasnąłem.

Cała sytuacja przypominała mi przygodę Jima Hawkinsa, bohatera „Wyspy skarbów”, schowanego w beczce na jabłka i podsłuchującego Długiego Johna Silvera, który po odnalezieniu skarbu knuł wraz z innymi piratami przejęcie *Hispanioli*. Tylko że w tym przypadku Farrington i Rider nie planowali niczego złego. To raczej ktoś inny knuł przeciwko nim.

- Chciałbym się dowiedzieć, do czego on nas właściwie potrzebuje - odezwał się kapitan. - Człowiek potężniejszy od tuzina bogów, który występuje przeciwko swoim towarzyszom. W czym możemy mu pomóc my, zwykli śmiertelnicy? Jeśli chce, żebyśmy dotarli do wieży, czemu nas tam nie przewiezie?

Tu nastąpiła kolejna krótka przerwa, a po niej usłyszałem brzdęknięcie dwóch kubków i donośny głos Ridera:

- ...musi mieć ważne powody. Tak czy inaczej, dowiemy się w swoim czasie. Co innego mamy do roboty?

Farrington ryknął śmiechem.

- No właśnie! - zawołał. - Co innego? Równie dobrze możemy poświęcić nasz czas na coś konkretnego, a potem się okaże, co na tym zyskamy. Wciąż jednak czuję się wykorzystywany, a tego mam już serdecznie dosyć w swoim życiu. W młodości zerowali na mnie bogaci i klasa średnia, a kiedy sam zdobyłem pozycję i pieniądze, jak pijawki przyssali się do mnie redaktorzy i wydawcy, a w końcu także rodzina i znajomi. W tym świecie nie pozwolę, by ktokolwiek mnie wykorzystywał, jakbym był jakimś półgłówkiem nadającym się tylko do przerzucania węgla czy puszki ryb!

- Sam się przyczyniłeś do takiego stanu rzeczy - odparł Rider. - Zresztą jak my wszyscy. Tak samo jak ty zarobiłem kupę kasy. I co się z nią stało? Wydawaliśmy więcej niż zarabialiśmy: na wielkie domy, szybkie samochody, kiepskie inwestycje, wódkę, dziwki i robienie dobrego wrażenia. Mogliśmy mądrzej to rozegrać, odłożyć sporą sumkę i dożyć późnej starości w luksusie. Ale...

Farrington ponownie wybuchnął śmiechem.

- Ale tego nie zrobiliśmy - dokończył za Ridera. - Taka już nasza natura, Tex, i nadal się nie zmieniliśmy. Zawsze żyliśmy szybko i intensywnie. Nie dla nas mieszanie się z szarym tłumem. Dobrze wiem, że potulne zwierzę trafia na zielone pastwisko zamiast do fabryki kleju, ale cóż z tego? Na co może liczyć, powoli żując trawę? Na długie szare życie i krótką szarą przyszłość?

Ponownie rozległ się stuk dwóch kubków. Potem Farrington zaczął opowiadać Riderowi o swojej podróży pociągiem z San Francisco do Chicago. Podczas jazdy poznał pewną piękną kobietę, w towarzystwie dziecka i służącej. Niecałą godzinę po spotkaniu zaprosił kobietę do swojego przedziału, gdzie przez kolejne trzy dni i noce kopulowali jak para oszalałych królików.

Wtedy postanowiłem się oddalić. Wstałem i jak gdyby nigdy nic udałem się w stronę fokmasztu, gdzie Abigail Rice rozmawiała z Nurem. Mustafa najwyraźniej niczego nie podejrzewał.

Od tamtej pory wciąż się zastanawiam nad kilkoma sprawami. O kim rozmawiali Farrington i Rider? To oczywiste, że o jednym z tych, którzy stworzyli Świat Rzeki i nas wskrzesili. Czy to w ogóle możliwe? Wydaje się to niewiarygodne i trudne do pojęcia. A jednak ktoś musiał to wszystko uczynić. W pewnym sensie można powiedzieć, że mamy do czynienia z bogami.

Jeśli Rider nie kłamie, z polarnego morza na północy wznosi się wieża, w której zamieszkują stwórcy tego świata, nasi utajeni władcy. Tak, wiem, że brzmi to jak paranoja lub opowieść science fiction, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi. Ale pisarze science fiction, może poza kilkoma, którzy dorobili się na swoich książkach, zawsze byli przekonani, że ich władcami są wydawcy. Nawet bogaci autorzy wyklócali się o tantiemy. Może wieżę zamieszkuje klika superwydawców? (Tylko żartuję... chyba).

Możliwe, że Rider kłamie. Albo kłamie jego informator, Paheri. Ale chyba raczej nie. Wydaje się oczywiste, że z Riderem i Farringtonem rzeczywiście skontaktował się jeden ze stwórców Świata Rzeki. Przecież nie wymyślili tej historii tylko po to, by oszukać kogoś, kto ich podsłuchuje.

A może właśnie tak zrobili?

Nie, istnieją jakieś granice paranoi.

Z pewnością rozmawiali o czymś, co się naprawdę wydarzyło. Nie zamknęli okienka i mówili podniesionymi głosami przez nieuważę, a nie rozmyślnie. Po tylu latach taki brak czujności jest czymś zrozumiałym. W takim razie, czemu nie opowiedzą o tym całej załodze?

Wspominali, że ktoś może ich szukać. Ale kto i dlaczego?

Gubię się w spekulacjach i domysłach. A jednocześnie myślę sobie: co za historia! Szkoda, że sam nie wpadłem na taki pomysł, gdy pisałem książki science fiction. Choć z drugiej strony motyw planety, przez którą płynie rzeka o długości milionów kilometrów, nad której brzegami zmartwychwstali wszyscy ludzie kiedykolwiek żyjący na Ziemi (a przynajmniej zdecydowana większość), to temat na więcej niż jedną książkę. Aby go wyczerpać, trzeba by napisać co najmniej dwanaście tomów. Po chwili zastanowienia cieszę się, że coś takiego nie przyszło mi do głowy.

Co mam teraz zrobić? Czy powinienem wysłać ten list, a może go podrzeć? Oczywiście nie ma najmniejszej szansy, żeby on do ciebie dotarł. A więc w czyje ręce wpadnie?

Prawdopodobnie znajdzie go ktoś, kto nie zna angielskiego.

Dlaczego się obawiam, że przeczyta te słowa ktoś niepowołany? Sam nie wiem. Ale jestem przekonany, że w cieniu pozornie sielankowego życia w Dolinie toczy się mroczna, tajemna walka i zamierzam poznać jej zasady. Muszę jednak zachować ostrożność. Coś mi mówi, że lepiej na tym wyjść, jeśli udam, że o niczym nie wiem.

Do kogo tak naprawdę piszę te listy? Pewnie do siebie samego, choć wbrew nadziei wierzę, że przynajmniej jeden trafi do rąk kogoś, kogo znałem i kochałem lub chociaż lubiłem.

Nawet w tej chwili, gdy spoglądam ponad wodą na tłum ludzi na brzegu, być może patrzę na kogoś, do kogo napisałem. Ale statek płynie środkiem Rzeki, a z tej odległości nie sposób nikogo rozpoznać.

Dobry Boże, ile ja widziałem twarzy przez te dwadzieścia lat! Całe miliony, o wiele więcej niż w ciągu całego życia na Ziemi. Niektóre z tych twarzy pochodzą nawet sprzed trzystu tysięcy lat. Twarze moich przodków, także neandertalczyków, bo przecież pewna liczba *homo neanderthalis* skrzyżowała się z przedstawicielami *homo sapiens*. Biorąc pod uwagę przepływy ludności zachodzące od czasów prehistorycznych, migracje, inwazje, niewolnictwo i indywidualne podróże, niektóre z mongolskich, indiańskich, aborygeńskich czy murzyńskich twarzy również należą do moich antenatów.

Zauważ, że gdy patrzysz wstecz, każde kolejne pokolenie Twoich przodków staje się dwukrotnie liczniejsze od poprzedniego. Przyszedłeś na świat w 1925 roku i miałeś dwoje rodziców, urodzonych w 1900 roku. (Dobrze wiem, że tak naprawdę przyszedłeś na świat w 1923, a twoja matka urodziła Cię w wieku czterdziestu lat, ale równam do średniej).

Rodzice Twoich rodziców urodzili się w 1875 roku. To już nam daje czworo

przodków. Pomnóż tę liczbę przez dwa dla każdego kolejnych dwudziestu pięciu lat, o które się cofasz. Do 1800 roku otrzymasz trzydzieści dwie osoby. Większość nawet się nie znała, ale ich przeznaczeniem było zostać Twoimi praprapradziadkami.

W 1700 roku docieramy do liczby pięciuset dwanaściorga przodków. W 1600 do 8192. W 1500 do 131072. W 1400 do 2097152. W 1300 do 33554432. W roku 1200 miałeś już 536870912 przodków.

Tak jak ja. Tak jak wszyscy ludzie. Zakładając, że w 1925 roku populacja świata wynosiła dwa miliardy (nie pamiętam dokładnie), pomnóż tę liczbę przez liczbę swoich przodków w roku 1200. Otrzymany wynik to ponad kwadrylion osób. Niemożliwe? No właśnie.

Przypadkiem wiem, że w 1600 roku na Ziemi żyło około pięciuset milionów ludzi, a w 1 roku n.e. - 138 milionów. Wniosek nasuwa się sam. W historii ludzkości bardzo często mieliśmy do czynienia z kazirodstwem, od samego zarania dziejów do czasów współczesnych. A więc ty i ja jesteśmy spokrewnieni, być może nawet wielokrotnie. Ilu Chińczyków i czarnych Afrykanów urodzonych w 1925 roku było naszymi dalekimi kuzynami? Bardzo wielu.

A więc twarze, które widzę na brzegu, należą do moich krewnych. Witaj, Hang Chow. Hej, Bulabula. Co słyhać, Hiawatha? Bądź pozdrowiony, Ogu, Synu Ognia! Ale nawet, gdyby oni o tym wiedzieli, nie czuliby wobec mnie większej sympatii, i vice versa. Najostrzejsze kłótnie i najkrwawsze konflikty pojawiają się w obrębie rodzin, a najgorsze wojny to wojny domowe. No, ale skoro wszyscy jesteśmy spokrewnieni, to każdą wojnę można tak nazwać. Oto paradoks relacji międzyludzkich. Odstrzelę ci łeb, mój bracie.

Mark Twain miał rację. Czy czytałeś jego „Opowieść o wyprawie kapitana Stormhelda do Nieba”? Stary Stormfield doznał szoku, gdy przekroczył bramy raj, gdyż ujrzął tam bardzo wielu czarnoskórych. Jak większość białych, wyobrażał sobie Niebo zaludnione głównie przez osoby o jasnej karnacji z niewielką domieszką Azjatów i Murzynów. Zapomniał, że czarnoskórzy zawsze przewyższali białych liczebnością. W raj, na każdego białego przypadało dwóch czarnych. Tak samo jest w Świecie Rzeki. Czapki z głów przed panem Markiem Twainem, który przewidział, jak to będzie wyglądać.

A więc znaleźliśmy się w Dolinie Rzeki, nie wiedząc, jak i dlaczego. Zupełnie jak na Ziemi.

Oczywiście wiele osób twierdzi, że zna odpowiedź na te pytania. Istnieją dwa dominujące Kościoły: Szansowcy i Nichirenicy, a także tysiąc sekt zreformowanych chrześcijan, muzułmanów, judaistów, buddystów, hinduistów itd. Byli taoiści i konfucjaniści

twierdzą, że nie obchodzą ich przyczyny. Dla nich liczy się jedynie to, że obecne życie, ogólnie biorąc, jest lepsze od poprzedniego. Totemiści są w kropce, nie ma tu bowiem zwierząt. Ale oczywiście nie przeszkadza im to wierzyć w totemistyczne duchy. Spotkałem wielu dzikusów, którzy wciąż widzą swoje totemy w snach lub wizjach. Jednakże większość została zwerbowana przez „wyższe” religie.

Jest także Nur el-Musafir, sufi. Po obudzeniu się na brzegu Rzeki był równie zszokowany jak reszta ludzi, ale nie wpadł w gniew i *tout de suite* zmienił swój sposób myślenia. Powiada, że ktokolwiek stworzył ten świat, uczynił to, mając na względzie nasze dobro. W przeciwnym razie, po co zadawałby sobie taki trud? (Co prawda brzmi przy tym jak naganiacz pracujący dla cyrku, ale mówi to szczerze. Co, rzecz jasna, nie oznacza, że ma rację).

Musafir twierdzi, że nie ma sensu się martwić tym, kto i jak to wszystko uczynił. Jedyne, co powinno nas obchodzić, to „dlaczego”. Pod tym względem przypomina Szansowców. Ale oto widzę, że kończy mi się przydział papieru. A więc adieu, adios, selah, amen, salaam, szalom i do usłyszenia.

Twój wierny przyjaciel zagubiony w tajemniczym świecie,

Peter Jairus Frigate

PS. Wciąż nie wiem, czy mam wysłać ten list w całości, ocenzurować go, a może wykorzystać jako papier toaletowy.

41

Średnia szerokość Rzeki wynosi 2,4135 kilometra, czyli półtorej mili. Czasem nurt się zwęża, tworząc kanały biegnące między wysokimi skalnymi ścianami, a gdy Rzeką się rozszerza, w Dolinie powstają jeziora. Niezależnie od szerokości, głębokość Rzeki zawsze wynosi około trzystu pięciu metrów, czyli trochę ponad tysiąc stóp.

Nigdzie nie zaobserwowano zjawiska erozji brzegów. Trawa występująca na równinach płynnie przechodzi w wodną trawę bujnie porastającą brzegi i dno kanału, a jej korzenie splatają się z korzeniami trawy rosnącej na powierzchni. Trawa nie składa się tutaj z pojedynczych źdźbeł, ale tworzy jeden olbrzymi organizm.

Wodne rośliny służą za pokarm różnym gatunkom ryb zamieszkującym Rzekę. Wiele z tych stworzeń pływa blisko powierzchni, gdzie dociera światło słoneczne. Niżej kłębią się inne gatunki, nie tak barwne, lecz wcale nie mniej żarłoczne, w mrocznych głębinach przy samym dnie Rzeki przemykają, pełzają, wiją się i pływają najdziwniejsze istoty.

Niektóre z ryb żywią się białymi, zakorzenionymi w dnie roślinami przypominającymi kwiaty lub też same są przez nie chwywane i trawione. Inne, zarówno duże, jak i małe, pływają z otwartymi pyskami, cierpliwie zbierając mikroskopijne organizmy unoszące się w wodzie.

Największa ze wszystkich, potężniejsza od ziemskiego płetwala błękitnego, jest mięsożerna ryba zwana rzecznym smokiem, która, podobnie jak pewne znacznie mniejsze stworzenie, może pływać zarówno przy dnie, jak i pod samą powierzchnią wody, nie przejmując się różnicą ciśnienia.

To drugie stworzenie ma wiele nazw, ale zazwyczaj nazywa się je „skrzekaczem”. Rozmiarem przypomina owczarka niemieckiego, jest powolne niczym leniwiec, a pod względem upodobań żywieniowych mniej wybredne od świni. W zasadzie zjada wszystko, co nie próbuje się bronić, dzięki czemu oczyszcza Rzekę, a jego jadłospis składa się głównie z ludzkich odchodów.

Jako zwierzę dwudyszne, w nocy zeruje na lądzie. Wielu ludzi solidnie się wystraszyło, widząc we mgle parę wielkich wyłupiastych oczu lub potykając się o oślizgłe cielsko pełzające w poszukiwaniu odpadków. Stworzenie straszy nie tylko wyglądem, ale także głośnym skrzekiem wywołującym skojarzenia z potworami i duchami.

Tego dnia 25 roku p.z. jeden z tych śmierdzących ścierwojadów znajdował się w pobliżu brzegu, gdzie prąd był słabszy niż na środku Rzeki. Mimo to stwór musiał z całej siły pracować płetwami, by nie zostać porwanym przez nurt. Nagle skrzekacz wyczuł zbliżającą się ku niemu zdechłą rybę. Trochę się przesunął i czekał, aż smakołyk sam wpłynie mu do pyska.

Po chwili nadpłynęła oczekiwana padlina, a tuż za nią jakiś duży przedmiot. Oba obiekty trafiły do paszczy skrzekacza, ale podczas gdy ryba gładko wślizgnęła się w głąb przełyku, dziwny przedmiot na chwilę utknął stworzeniu w gardle i dopiero rozpaczliwy haust pozwolił potworowi wciągnąć go do środka.

Przez pięć lat wodoszczelny bambusowy pojemnik zawierający list Frigate'a do Rohriga spokojnie płynął w dół Rzeki. Zważywszy na ogromną liczbę rybaków i podróżników, już dawno powinien zostać wyłowiony i otwarty. A jednak zignorowali go wszyscy poza tą jedną kreaturą, dla której główny cel stanowiło złowienie pysznego gnijącego klenia.

Pięć dni przed końcem swej podróży pojemnik przepływał obok krainy, w której mieszkał adresat listu. Jednak Robert Rohrig siedział wtedy w chacie, otoczony kamiennymi i drewnianymi rzeźbami, które wyrabiał na handel, i odsypiał ciężką imprezę.

Może to wynik zbiegu okoliczności, a może telepatycznej więzi między nadawcą i adresatem listu, ale tego ranka Rohrigowi przyśnił się Frigate. We śnie Rohrig cofnął się do 1950 roku, gdy był studentem anglistyki utrzymującym się dzięki pracującej żonie oraz ustawie o darmowej edukacji dla zdemobilizowanych żołnierzy.

Był ciepły majowy dzień. Mężczyzna siedział w małej sali naprzeciwko trojga doktorów. Oto nadszedł dzień próby. Po pięciu latach harówki i stresu w świątyni wiedzy miał zawalczyć o ostateczną nagrodę, dyplom magistra. Jeśli obroni swoją pracę magisterską, to zostanie nauczycielem angielskiego w szkole średniej. Jeśli zawiedzie, będzie musiał studiować przez kolejne pół roku, po czym otrzyma drugą, ostatnią szansę.

Trzej inkwizytorzy, uśmiechając się, strzelali w jego kierunku pytaniami, niczym łucznicy do tarczy, a Robert faktycznie czuł się jak cel na strzelnicy. Nie denerwował się zbyt, jego praca bowiem dotyczyła średniowiecznej poezji walijskiej, o której, jak sądził, profesorowie mieli niewielkie pojęcie.

Nie mylił się. A jednak Ella Ruthford, czarująca, choć przedwcześnie posiwiła czterdziestosześcioletnia kobieta nie darzyła go sympatią. Jeszcze niedawno była kochanką Rohriga i spotykała się z nim dwa razy w tygodniu w swoim mieszkaniu. Pewnego popołudnia wywiązała się między nimi wściekła pijacka kłótnia na temat talentu poetyckiego

Byrona. Rohrig nie był wielkim miłośnikiem wierszy poety, ale podziwiał jego styl życia, który uznawał za prawdziwą poezję. Tak czy inaczej, zawsze lubił mieć przeciwne zdanie.

Skończyło się na wybiegnięciu z mieszkania kobiety, po uprzednim powiedzeniu pod jej adresem kilku bardzo nieprzyjemnych rzeczy. Między innymi Robert wykrzyczał, że nie chce się więcej spotykać z Ellą poza uczelnią.

Rutheford uważała, że Rohrig uwiódł ją tylko po to, by uzyskać dobrą ocenę z jej kursu, a kłótnia była sposobem na uwolnienie się od podstarzałej kochanki. Myliła się. Roberta pociągały starsze kobiety, ale nie radził sobie z oczekiwaniami Elli. Nie był dłużej w stanie zaspokajać zarówno jej, jak i swojej żony, dwóch studentek pierwszego roku, żon swoich dwóch kolegów, barmanki, od której dostawał darmowe drinki, oraz dozorczyńni apartamentowca, w którym mieszkał.

Z pięcioma kobietami jeszcze potrafił sobie poradzić, ale nie z ośmioma. Brakowało mu czasu, energii oraz nasienia i zasypiał podczas zajęć. Dlatego umyślnie zaczął prowokować ostre kłótnie ze swoją wykładowczynią, jedną ze studentek (pojawiły się plotki, że dziewczyna ma trypra) oraz żoną jednego z kolegów (która i tak była zbyt męcząca emocjonalnie).

Teraz doktor Rutheford patrzyła na niego zażawionymi niebieskimi oczami spod przymrużonych powiek.

- Bardzo ładnie panu idzie, panie Rohrig - powiedziała. - Jak na razie.

Tu przerwała. Mężczyzna poczuł, jak po całym ciele przebiegają mu dreszcze, napinają mu się pośladki, a pot spływa po twarzy i plecach. Wyobrażał sobie, jak Rutheford siedzi do późna i obmyśla sposoby jak najdotkliwszego upokorzenia swojego byłego kochanka.

Doktorzy Durham i Pur przestali bębnić palcami o blat. Zaczynało się robić ciekawie. Ich koleżanka przypominała tygrysa, który przygotowuje się do ataku na bezbronną owieczkę. Za chwilę błyskawica przesyje powietrze, a nieszczęsny student nie ma piorunochronu.

Rohrig mocno chwycił się poręczy krzesła. Krople potu pędziły mu w dół czoła niczym myszy odstraszone od kawałka szwajcarskiego sera. Kwaśny pot wgryzał się w materiał koszuli pod pachami. Co go czeka, do cholery?

- Wydaje się, że znakomicie pan opanował swój temat - rzekła Rutheford. - Wykazał się pan niezwykłą znajomością tego raczej zaniedbanego obszaru poezji. Wszyscy jesteśmy z pana dumni i z pewnością czas, który panu poświęciliśmy w tej sali, nie był czasem zmarnowanym.

Przebiegła suka właśnie mu powiedziała, że uznaje za zmarnowany czas, jaki z nim

spędziła poza tą salą. Ale to tylko mały prztyczek. Morderczy cios miał dopiero nadejść. Rzadko kiedy egzaminatorzy gratulowali kandydatowi jeszcze przed zakończeniem tortur. Zwykle czynili to dopiero później, gdy komisja przegłosowała pozytywny wynik obrony.

- Proszę mi powiedzieć... - niespiesznie zaczęła Rutheford, po czym na chwilę umilkła.

Kolejny obrót koła, którym go łamano.

- Proszę mi powiedzieć, panie Rohrig, gdzie właściwie leży Walia?

Robert poczuł nagły skurcz w żołądku. Uderzył się dłonią w czoło i jęknął.

- O matko! Ale wpadłem! Kurwa mać!

Pani dziekan Pur pobladła. Po raz pierwszy w życiu usłyszała to plugawe słowo.

Doktor Durham, który ze łzami w oczach recytował poezję swoim studentom, wyglądał, jakby miał zemdleć.

Doktor Rutheford uśmiechnęła się bez cienia współczucia dla swojej ofiary. Piorun trafił w cel.

Rohrig gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji. Jeśli już miał polec, to z honorem. Uśmiechnął się wesoło, zupełnie jakby złoto na krańcu tęczy wcale nie zamieniło się w gówno.

- Nie wiem, jak to się stało, ale rzeczywiście mnie pani zagięła! - wypalił. - Dobra, nigdy nie twierdziłem, że jestem idealny. To co teraz będzie?

Werdykt: egzamin obłany. Wyrok: sześć miesięcy okresu próbnego zakońzonego kolejnym, ostatecznym przesłuchaniem.

Rutheford podeszła do niego, gdy stał na korytarzu.

- Następnym razem proponuję pouczyć się także geografii, Rohrig - powiedziała. - Pozwól, że ci trochę podpowiem: Walia leży niedaleko Anglii. Ale wątpię, by moja rada ci w czymś pomogła. Nie potrafiłbyś znaleźć własnej dupy, nawet gdyby ktoś ci ją podał na srebrnej tacy.

Jego przyjaciel, Peter Frigate, czekał na niego po drugiej stronie korytarza. Peter należał do grupy starszych studentów, których jedna z dziewczyn z pierwszego roku nazwała „Brodaczami”. Wszyscy oni byli weteranami, którym wojna przerwała naukę. Razem ze swoimi żonami lub kochankami tworzyli tak zwaną „Bohemę”, będąc nieznanymi prekursorami bitników i hipisów.

Gdy Rohrig się zbliżył, Frigate spojrział na niego pytająco. Choć Robert był bliski płaczu, szeroko się uśmiechnął i zarechotał.

- Nie uwierzysz, jak ci opowiem, Pete!

Frigate faktycznie miał trudności z uwierzeniem, że ktokolwiek, kto skończył szkołę

podstawową, może nie wiedzieć, gdzie leży Walia. Kiedy w końcu dał się przekonać, również się roześmiał.

- Jak do cholery ta siwa lisica mogła się dowiedzieć, co jest moim słabym punktem?! - wykrzyknął Rohrig.

- Nie wiem, ale świetnie się spisała - odrzekł Frigate. - Nie przejmuj się, Bob. Znam szanowanego chirurga, który nie pamięta, czy to słońce kręci się wokół Ziemi, czy może odwrotnie. Twierdzi, że ta wiedza nie jest mu potrzebna, kiedy grzebie we wnętrznościach ludzi. Choć z drugiej strony potencjalny magister anglistyki... powinien przynajmniej wiedzieć... Ha, ha!

W bardzo typowy dla snów, nielogiczny sposób Rohrig nagle znalazł się w innym miejscu. Teraz w gęstej mgle gonił pięknego motyla. Zdawał sobie sprawę, że motyl to jedyny okaz swojego gatunku i że tylko on wie o jego istnieniu. Owad miał skrzydełka w błękitne i złote paski, szkarłatne czułki oraz szmaragdowe oczy. Został stworzony przez króla krasnoludów w jego jaskini w Czarnych Górach, a następnie zanurzony w wodzie życia przez Czarnoksiężnika z Krainy Oz.

Motyl leciał zaledwie kilka centymetrów przed wyciągniętą dłonią Rohriga, prowadząc go poprzez mgłę.

- Zatrzymaj się, ty sukinsynu! - wrzeszczał Robert. - Zatrzymaj się!

Biegł za nim już wiele kilometrów. Kątem oka dostrzegał nieruchome kształty stojące w chmurach, przypominające rzeźby wykonane z kości, a także dwie postaci. Jedna nosiła koronę, a druga miała głowę konia.

Nagle przed Rohrigiem stanął jeden z tajemniczych obiektów. Mężczyzna się zatrzymał, z jakiegoś powodu nie będąc w stanie obejść przeszkody. Motyl przez chwilę nad nią wisiał, po czym usiadł na jej szczycie. Jego zielone oczy płonęły, a przednie nóżki poruszały czułkami.

Robert powoli ruszył do przodu i stwierdził, że na drodze stoi mu Peter Frigate.

- Nie waż się go dotykać! - wyszeptał Rohrig z pasją. - On należy do mnie!

Twarz Frigate'a nie wyrażała żadnych emocji. Zawsze zachowywał kamienne oblicze, gdy Robert się złościł i wyżywał się na wszystkich w zasięgu wzroku. To jeszcze bardziej rozsierdziło Rohriga, który teraz wpadł w prawdziwą furję.

- Z drogi, Frigate! - ryknął. - Odsuń się, bo oberwiesz!

Spłoszony motyl zniknął we mgle.

- Nie mogę - odparł Frigate.

- Czemu?! - wrzasnął Rohrig, aż podskakując z frustracji. Frigate wskazał palcem w

dół. Stał na dużym czerwonym kwadracie, z którym stykały się inne kwadraty, czerwone i czarne.

- Zostałem ustawiony w złym miejscu - rzekł do Rohriga. - Nie wiem, co się teraz stanie. To wbrew zasadom, umieszczać mnie na czerwonym kwadracie. Ale kto dba o zasady? Oczywiście poza pionkami.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytał Robert.

- Niby w jaki sposób? - zdziwił się Frigate. - Nawet nie potrafisz pomóc samemu sobie.

Peter wskazał palcem za plecy Rohriga.

- Zaraz cię złapie - powiedział. - Podczas gdy ty goniłeś motyla, to goniło ciebie.

Nagle Rohrig poczuł przerażenie. Coś go ścigało, by wyrzucić mu straszną krzywdę.

W desperacji spróbował ruszyć do przodu, żeby jakoś się przedostać ponad Frigate lub obok niego, ale czerwony kwadrat trzymał go tak samo jak Petera.

- Ale wpadłem!

Wciąż widział motyla, który najpierw zamienił się w małą kropkę, a potem w drobinę pyłu, a w końcu zniknął. Na zawsze.

Mgła stała się gęstsza. Robert widział już tylko zarys sylwetki Frigate'a.

- Ja sam ustanawiam zasady! - krzyknął.

Z mgły dobiegł go szept:

- Cicho, bo cię usłyszy.

Na chwilę się przebudził, wyrываяc ze snu także swoją towarzyszkę.

- Co się dzieje, Bob?

- Tonę w falach nieustanności - wybełkotał.

- Co?

- Nadustanności.

Z powrotem pogrążył się w pierwotnym oceanie, gdzie zatopieni bogowie pochylali się pod dziwnymi kątami, patrząc rybio zimnymi oczami spod porośniętych glonami koron.

Ani Rohrig, ani Frigate nie wiedzieli, że ten pierwszy mógłby odpowiedzieć na jedno z pytań zawartych w liście. W dniu zmartwychwstania Robert obudził się daleko na północy w towarzystwie prehistorycznych Skandynawów, Indian z Patagonii, Mongołów z epoki lodowcowej oraz dwudziestowiecznych Syberyjczyków. Rohrig szybko przyswajał nowe języki i wkrótce sprawnie porozumiewał się kilkunastoma z nich, choć nigdy nie opanował poprawnej wymowy i mocno kaleczył składnię. Czuł się jak u siebie w domu i nawiązał liczne przyjaźnie, a nawet na krótko został kimś w rodzaju szamana. Jednakże szamani muszą

podchodzić do swej funkcji z powagą, a Rohrig poważnie traktował jedynie swoje rzeźby. Poza tym zaczynał mieć dosyć ciąglego zimna. Ubóstwiał słońce, a najszcześniejsze dni swojego życia spędził w Meksyku jako pierwszy oficer na małym statku transportującym mrożone krewetki z Jukatana do Brownsville w stanie Teksas. Przez pewien czas zajmował się również przemysłem broni, ale zrezygnował z tego procederu, zanim na kilka dni trafił do meksykańskiego więzienia. Władze nie były w stanie dowieść jego winy, ale zasugerowały, by wyjechał z kraju.

Właśnie miał popłynąć czółnem w dół Rzeki w poszukiwaniu cieplejszego klimatu, gdy pojawiła się Agata Croomes. Była to czarnoskóra kobieta, która przysłała na świat w 1713 i umarła w 1783 roku, wyzwolona niewolnica, kaznodzieja-baptystka pochodząca z głębokiej prowincji, członkini ruchu zielonoświątkowego, czterokrotnie zamężna, matka dziesięciorga dzieci i namiętna palaczka fajkowego tytoniu. Zmartwychwstała sto tysięcy kamieni obfitości stąd, ale dotarła aż tutaj. Bóg zesłał kobiecie wizję, w której polecił jej udać się do Jego domu na biegunie północnym, gdzie miał jej wręczyć klucze do bram raj, do wiecznej chwały i zbawienia, do zrozumienia czasu i wieczności, przestrzeni i nieskończoności, tworzenia i niszczenia, śmierci i życia. Miało jej także przypaść w udziale zrzucenie diabła do otchłani, zamknięcie za nim drzwi i wyrzucenie klucza.

Rohrig uważał kobietę za szaloną, niemniej bardzo go ona zaintrygowała. Ponadto wcale nie przeczył, że rozwiązanie zagadki tego świata może znajdować się u źródeł Rzeki.

Wiedział, że jeszcze nikt nie zapuszczał się w głąb mglistej krainy położonej na północy. Jeśli przyłączy się do jedenastoosobowej grupy dowodzonej przez Agatę, to dotrze do bieguna północnego jako jeden z pierwszych ludzi, przy czym z całą pewnością postara się wyprzedzić pozostałych wędrowców. Gdy tylko cel znajdzie się w zasięgu wzroku, Rohrig puści się biegiem i umieści na biegunie kamienną figurkę przedstawiającą jego samego z napisem „Robert F. Rohrig” wyrzeźbionym na podstawie.

Od tamtej pory każdy, kto dotrze do bieguna, dowie się, że został uprzedzony przez Rohriga. Agata jednak nie zabrałaby go ze sobą, gdyby uznała, że Robert nie wierzy w Boga i Pismo Święte. Rohrig nie lubił kłamać, ale stwierdził, że tak naprawdę wcale nie oszukuje kobiety. W głębi duszy wierzył w Boga, choć szczerze powiedziawszy nie był pewien, czy jego imię to Jehowa, czy może Rohrig. Co zaś do Biblii, to przecież wszystkie książki w pewnym sensie mówią prawdę, jeśli wierzą w to ich autorzy.

Zanim wyprawa dotarła do ostatnich kamieni obfitości, pięć osób zawróciło. Kiedy pozostali wędrowcy dotarli do olbrzymiej jaskini, z której wypływała Rzeka, kolejna czwórka zdecydowała, że kontynuowanie marszu grozi śmiercią głodową. W dalszą drogę ruszyli

Rohrig, Agata Croomes oraz Winglat, amerykański Indianin, który w epoce lodowcowej wraz ze swoim plemieniem przywędrował z Syberii na Alaskę. Rohrig miał ochotę zawrócić, ale nie chciał się przyznać do tego, że jakaś czarna wariatka i prehistoryczny dzikus mają więcej odwagi od niego.

Poza tym, Agata niemal go przekonała, że jej wizje były autentyczne. Być może Bóg Wszechmogący i Jezus faktycznie czekają na Roberta. W takim razie nie wypada się spóźnić.

Gdy przebyli wąską skalną półkę w jaskini, a Winglat poślizgnął się i spadł w odmęty Rzeki, Robert stwierdził, że musi być równie szalony jak Agata. Mimo to poszedł dalej.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym obniżająca się dróżka znikła we mgle zakrywającej morze, padali z głodu. Ale już nie było odwrotu. Wiedzieli, że jeśli w ciągu tego samego dnia nie znajdą pożywienia, to umrą. Agata twierdziła, że jedzenie jest już na wyciągnięcie ręki. Gdy spali w jaskini, miała kolejną wizję, w której ujrzała miejsce pełne mięsa i warzyw.

Rohrig patrzył, jak kobieta się oddala, pełzając na kolanach, i po chwili ruszył jej śladem. Zostawił swój róg obfitości, bo nie miał siły go dźwigać. Wróci po niego, jeśli przeżyje. W pojemniku znajdowała się figurka, którą miał postawić na biegunie, więc przez chwilę zastanawiał się, czy nie wziąć jej ze sobą, ale zrezygnował z tego pomysłu.

Nie udało mu się. W końcu pokonała go słabość i nie miał siły poruszać rękami ani nogami.

Umarł z pragnienia, zanim zdążył go uśmiercić głód. Cóż za ironia losu, skoro tuż obok płynęła Rzeka. Niestety, on nie miał liny, by opuścić na niej pojemnik i zaczerpnąć drogiego płynu. Fale morza rozbijały się o skały u podnóża urwiska, a on nawet nie był w stanie rzucić się w dół.

Coleridge'owi by się to spodobało, pomyślał. Szkoda, że mnie się nie podoba.

- Już nigdy nie znajdę odpowiedzi na swoje pytania - wyszeptał. - Może to i lepiej. Pewnie wcale nie byłbym nimi zachwycony.

Teraz Rohrig spał niespokojnie w chacie nad brzegiem Rzeki w strefie równikowej, a Frigate stał na warcie na pokładzie statku i chichotał. Przypominał sobie przeprawę Roberta z egzaminem magisterskim.

Być może to telepatia sprawiła, że obaj mężczyźni jednocześnie pomyśleli o tym samym wydarzeniu. Jednak lepiej zrobić użytek z brzytwy Ockhama, niezawodnego, choć tak rzadko stosowanego ostrza, i pozostać przy zbiegu okoliczności.

Skrzekacz ustawił się dokładnie na drodze zdechłej ryby. Smakołyk wpłynął do paszczy płaza, a zaraz za nim list Frigate'a w bambusowym opakowaniu. Oba kąski

prześlizgnęły się do brzucha stworzenia.

Żołądek skrzekacza potrafi przetrawić śmieci, ekskrementy i gnijące mięso. Jednak celulozowe włókna bambusa okazały się zbyt ciężko przyswajalną potrawą. Zwierzę długo zmagало się z ostrym bólem, by w końcu wyzionąć ducha, bezskutecznie próbując wydalić pojemnik z organizmu.

Bywa, że list zabija niczym nóż. Czasem czyni to koperta.

42

Prawie wszyscy wiwatowali. Ludzie tłoczyli się wokół Jill, obejmując ją i całując, a ona po raz pierwszy w życiu nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że ta wylewność jest w dużej mierze spowodowana wypitym alkoholem, ale i tak odczuwała radość. Gdyby mieszkańcy Parolando nie byli zadowoleni, ich pijaństwo zapewne doprowadziłoby do wrogości. Może więc Jill wcale nie była aż tak nielubiana, jak sądziła. Nawet David Schwartz, który kiedyś nazwał ją „starą zmrożoną gębą”, teraz klepał ją po ramieniu i serdecznie gratulował.

Anna Obrenova stała obok Barry’ego Thorna, choć oboje przez cały wieczór prawie się do siebie nie odzywali. Obrenova nie wydawała się rozgoryczona tym, że przegrała rywalizację z Gulbirrą. Być może wcale nie zależało jej na wysokim stanowisku. Jill wołała z góry założyć, że drobna blondynka pała do niej nienawiścią, choć przecież mogła się mylić. Niewykluczone, że Annę stać na racjonalną ocenę sytuacji. W końcu dopiero co tutaj przybyła, a Jill poświęciła tysiące godzin na budowę sterowca i szkolenie załogi.

Wcześniej tego wieczoru Firebrass poprosił o ciszę. Kiedy gwar i śpiewy ustały, mężczyzna zapowiedział, że ogłosi listę oficerów, po czym uśmiechnął się do Gulbirry. Jill zrobiło się niedobrze. Była pewna, że to złośliwy uśmiech, a Firebrass za chwilę odpłaci jej za wszystkie cięte uwagi, na jakie sobie pozwalała. Oczywiście miała do nich pełne prawo, gdyż nikomu nie wolno jej poniżać ze względu na to, że jest kobietą. Ale teraz Milton mógł się srodze zemścić.

A jednak postąpił tak jak należało i wydawał się z tego niezwykle zadowolony.

Jill z uśmiechem na ustach przepchnęła się przez tłum, zarzuciła Firebrassowi ręce na szyję i wybuchnęła płaczem. Nieoczekiwanie Milton wepchnął jej język do ust, po czym poklepał ją po pupie. Tym razem nie odrzuciła niechcianej poufałości. Wbrew pozorom mężczyzna nie wykorzystywał sytuacji, ani nie traktował jej protekcjonalnie. On naprawdę lubił Jill, a być może także ulegał jej wdziękom. Albo po prostu był wredny.

Nie przestając się uśmiechać, Anna zbliżyła się do Jill i wyciągnęła rękę.

- Moje szczere gratulacje - powiedziała.

Jill uścisnęła delikatną, zimną dłoń i poczuła irracjonalną, trudną do opanowania chęć, aby wyrwać rywalce rękę ze stawu.

- Bardzo ci dziękuję, Anno - odpowiedziała.

Thorn pomachał do Gulbirry i coś wykrzyknął, zapewne gratulacje. Nie pofatygował się, aby podejść do kobiety.

Chwilę później Jill z płaczem wybiegła z sali balowej. Zanim dotarła do domu, zdążyła znienawidzić się za to, że w tak otwarty sposób okazała uczucia. Nigdy w życiu nie płakała publicznie, nawet na pogrzebach swoich rodziców.

Jej łzy wyschły, gdy pomyślała o ojcu i matce. Gdzie teraz przebywali? Co robili? Miło byłoby się z nimi spotkać. Właśnie: miło. Za nic nie chciałyby mieszkać z nimi w tej samej okolicy. Już nie przypominali rodziców, jakich zapamiętała, siwych i pomarszczonych staruszków myślących tylko o wnukach. Teraz wyglądali równie młodo jak ona i zapewne nie łączyło ich nic poza wspólnymi wspomnieniami. Zanudziliby się nawzajem na śmierć. Nie sposób byłoby udawać, że wciąż jest między nimi dawna więź.

Poza tym, Jill postrzegała swoją matkę jako bezwolny dodatek do ojca, brutalnego, hałaśliwego i dominującego mężczyzny. Nie przepadała za nim, choć było jej żal, kiedy zmarł. Ale ten smutek dotyczył raczej tego, co mogłoby być, a nie tego, co było.

Równie dobrze oboje mogli ponownie zginąć.

Jakie to ma teraz znaczenie?

Żadnego. W takim razie, skąd ponowna powódź łez?

43

- Dobra, ludzie, zaczynamy! Żarty się skończyły. Nadeszła chwila wielkiego startu. Nasi śmiałkowie wyruszają na spotkanie Wielkiego Rogu Obfitości, Wieży Mgieł, do siedziby Świętego Mikołaja, który mieszka na biegunie północnym i podarował nam zmartwychwstanie, wieczną młodość oraz darmowe żarcie, alkohol i tytoń. Zgromadziło się was tutaj chyba z milion. Widzę pełne trybuny, tłumy na wzgórzach, gapie spadają z drzew. Policja ma pełne ręce roboty. Cóż za piękny dzień, ale czyż każdy dzień nie jest piękny? Dokoła panuje niesamowita wrzawa, więc chyba i tak nie słyszycie tego, co mówię, nawet pomimo wzmacniaczy. A więc, moi drodzy, pocałujcie mnie w dupę! Aha! Widzę, że niektórzy jednak mnie słyszą. Spokojnie, tylko żartowałem. Staralem się zwrócić waszą uwagę. Pozwólcie, że jeszcze raz wam opowiem o *Parsevalu*. Wiem, że dostaliście ulotki opisujące tego kolosa, ale większość z was i tak nie potrafi czytać. Oczywiście to nie wasza wina. Porozumiewacie się w esperanto, ale nigdy nie mieliście okazji nauczyć się czytać w tym języku. A więc posłuchajcie... Zaraz, tylko zwilżę sobie gardło porostówką. Pycha! Jedyny problem w tym, że gaszę w ten sposób pragnienie od świtu, więc czasem widzę podwójnie. Boję się pomyśleć o jutrzejszym poranku, ale co tam. Wszystko co dobre w tym świecie ma swoją cenę. Nie mówiąc o innych światach. Oto i on, drodzy ludzie, choć, prawdę mówiąc nie trzeba go pokazywać palcem. *Parseval*. Nazwę wymyślił Firebrass, a musicie wiedzieć, że długo się nad nią spierano. Trzeci oficer Metzinger zaproponował nazwę *Graf Zeppelin III*, ku czci człowieka, który stworzył pierwszą komercyjną linię przewoźniczą, a także wydatnie przyczynił się do powstania wojskowych zeppelinów. Pierwszy oficer Gulbirra wpadła na pomysł nazwy *Adam i Ewa*, jako symbolu całej ludzkiej rasy, którą reprezentuje sterowiec. Zasugerowała także nazwy *Królowa Niebios* oraz *Titania*. Odrobinę szowinistyczne pomysły. Zresztą *Titania* niebezpiecznie kojarzy się z *Titanikiem*, a przecież dobrze wiecie, jak skończył ten statek. Nie, w zasadzie to nie wiecie, większość z was nigdy o nim nie słyszała. Jeden z inżynierów, w tej chwili nie pamiętam jego nazwiska, na Ziemi członek załogi feralnego *Shenandoah*, optował za nazwą *Srebrny Obłok*. Tak nazywał się zeppelin w książce „Tom Swift i jego wielki sterowiec”. Kolejna osoba pragnęła przeforsować nazwę *Henri Giffard*, ku czci Francuza, który jako pierwszy wzleciał w niebo samobieżnym, lżejszym od powietrza pojazdem. Szkoda, że stary Henri nie może być tu dziś

z nami, by ujrzeć to najnowsze i największe osiągnięcie aeronautyki. Szkoda, że cała ludzka rasa nie może nam towarzyszyć, aby zobaczyć, jak rzucamy wyzwanie bogom! Przepraszam na chwilkę. Czas na kolejny toast, tym razem za zdrowie bogów. Nie ma sensu marnować dobrego trunku, lepiej niech zwilży to wyschnięte gardło. Ach! Cudownie, moi drodzy! Pijcie do dna! Alkohol jest za darmo, na koszt lokalu, czyli krainy Parolando. A więc, ludziska, nasz szacowny były prezydent, Milton Firebrass, były Amerykanin, były astronauta, postanowił nazwać naszego kolosa *Parsevalem*. A skoro Milton jest tu szefem, największą szyczą, to przy tej nazwie pozostano. Więc... a tak, zacząłem podawać dane techniczne. Kapitan Firebrass chciał zbudować największy sterowiec w historii i mu się to udało. To także największy sterowiec, jaki kiedykolwiek zostanie zbudowany, bo następny już nie powstanie. Może powinniśmy go nazwać *Najlepsze na Koniec*? Tak czy inaczej, *Parseval* ma dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt stóp, czyli osiemset dwadzieścia metrów długości, do tysiąca stu dwunastu stóp, czyli trzystu dwudziestu ośmiu metrów średnicy oraz pojemność stu dwudziestu milionów stóp sześciennych, co równa się sześciu milionom trzystu sześćdziesięciu tysiącom metrów sześciennych. Powłoka została zbudowana z pracującego duraluminium i zawiera osiem dużych poduszek gazowych oraz kilka mniejszych w okolicy owiewek dziobowych i ogonowych. Pierwotnie dwanaście gondoli zawierających po dwa silniki każda oraz gondola sterownicza miały być zawieszane na zewnątrz kadłuba, by uniknąć niebezpieczeństwa związanego z łatwopalnym wodorem. Testy materiału, z którego zbudowano poduszki gazowe, czyli jelit rzeczno smoka, wykazały, że nie jest on całkowicie szczelny, więc Firebrass polecił naukowcom, aby stworzyli plastikową powłokę, która, mówiąc najogólniej, nie puszcza gazów! To był żart, ludzie! Oczywiście naukowcy go posłuchali, bo kiedy Firebrass każe ludziom skakać, każdy bije rekord świata. No więc... Co? Mój asystent, Randy, mówi, że wszyscy nie mogą równocześnie pobić rekordu. Kogo to obchodzi? W każdym razie, specjaliści uporali się z przeciekami wodoru, a sterówka i maszynownie znajdują się teraz wewnątrz kadłuba, poza tymi na nosie i ogonie sterowca. Warto wspomnieć, że wodór jest czysty w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcznych procentach. Poza załogą złożoną z dziewięćdziesięciu ośmiu mężczyzn i dwóch kobiet, *Parseval* zabierze dwa helikoptery, każdy przeznaczony dla trzydziestu dwóch osób, oraz dwuosobowy szybowiec. Aeronauci nie zabierają ze sobą spadochronów. Sto sztuk takiego sprzętu to nie lada ciężar, więc postanowiono z nich zrezygnować. To dowód niesamowitej pewności siebie. Ja na ich miejscu nie byłbym aż tak odważny. Tylko na niego popatrzcie! Czyż nie jest piękny? Skąpany w słońcu, niczym w świetle boskiej chwały! Cudowny, po prostu cudowny! To

wielki dzień dla ludzkości! Orkiestra zaczyna grać *Uwerturę do Samotnego Strażnika*. Ha! Ha! To mój mały żart, którego nie mam teraz czasu tłumaczyć. Tak naprawdę to *Uwertura do Wilhelma Tella*¹² Rossiniego, o ile się nie mylę. Firebrass sam wybierał muzykę towarzyszącą startowi, a bardzo lubi ten ognisty utwór. Ale, patrząc na tłum, widzę, że nie tylko on. Podaj mi jeszcze jedną szklaneczkę ambrozji, Randy. Randy to mój asystent, ludzie, na Ziemi pisywał bajki, a w Parolando kontroluje proces produkcji alkoholu. To trochę tak, jakby wilka poprosić o pilnowanie steku. Aah! Niebo w gębie! A oto *Parseval* wyjeżdża z hangaru! Jego nos przymocowano do jedyne go na świecie przenośnego masztu cumowniczego. Start nastąpi już za kilka minut. Przez szybę sterowni albo mostka widzę, co się dzieje wewnątrz. Mężczyzna, który siedzi pośrodku - z pewnością widzicie jego głowę - to główny pilot, Cyrano de Bergerac. Swego czasu także był pisarzem i stworzył powieści o podróży na Księżyc i Słońce. Teraz poleci w podniebnej maszynie, o jakiej nawet mu się nie śniło na Ziemi. Uda się na biegun północny tajemniczej planety, jakiej nie opisano w najbardziej niezwykłych opowieściach. Będzie przemierzał przestworza największym zeppelinem w historii, kierując się ku legendarnej wieży wynurzającej się z zimnego, mglistego morza. Podniebny rycerz, pozaziemski Galahad szukający wielkiego graala! Cyrano samodzielnie poprowadzi całą operację. Sterowiec jest w pełni zautomatyzowany, a silniki, stery i windy kontroluje się za pomocą jednej tablicy sterowniczej i nie trzeba do tego całego zastępu ludzi kontaktujących się za pośrednictwem telegrafu. Jeden człowiek mógłby polecieć *Parsevałem* do samego bieguna, gdyby potrafił nie zasnąć przez około trzy i pół doby. Teoretycznie sterowiec mógłby tam dolecieć sam, bez udziału załogi. Po prawej stronie Bergeraca siedzi kapitan, nasz Milton Firebrass. Teraz macha do człowieka, który zastąpił go na stanowisku prezydenta, lubianego przez wszystkich Judasza P. Benjamina, pochodzącego z Luizjany, byłego ministra sprawiedliwości już nie tak lubianych Skonfederowanych Stanów Ameryki. Co? Zabieraj te łapy, przyjacielu! Nie miałem zamiaru obrazić żadnych byłych Konfederatów. Policja, zabierzcie tego pijaka! Pierwszy od lewej to pilot w randze trzeciego oficera, Mitia Nikitin. Obiecał nie pić w trakcie lotu i nie chować butelek z wódką pod poduszkami gazowymi, ha, ha! Po prawej stronie Nikitina widzimy pierwszego oficera, Jill Gulbirrę. Dałaś się nam we znaki, Jill, ale podziwiamy... Znow rozlegają się fanfary. Cóż za ryk! Kapitan Firebrass do nas macha. Żegnaj, *mon capitaine, bon voyage!* Przekazuj nam wieści drogą radiową. Zwolniono liny trzymające ogon. Sterowiec trochę się kołysze, ale szybko

¹² Nawiązanie do amerykańskiego serialu radiowego „The Lone Ranger”, w którym wykorzystano ten motyw.

powraca do równowagi. Został tak świetnie wyważony, że człowiek mógłby go unieść jedną ręką. Teraz nos sterowca odczepiono od masztu cumowniczego. Załoga wyrzuca część wodnego balastu. Przykro mi, ludzie, mówiłem, żebyście się odsunęli, a zresztą niektórym z was przyda się prysznic. *Parseval* się unosi. Wiatr popycha go do tyłu, na południe. Ale już obrócono śmigła w taki sposób, aby kolos ruszył w górę i na północ. Poleciał! Większy od góry, lżejszy niż piórko! W drogę, ku biegunowi północnemu i mrocznej wieży! Mój Boże, popłakałem się! Chyba przesadziłem z porostówką!

Wysoko ponad światem sterowiec migotał w słońcu niczym igła przesywająca powierzchnię błękitnego materiału.

Z wysokości 6,1 kilometra, czyli ponad 20000 stóp, załoga *Parsevala* miała znakomity widok na Świat Rzeki. Jill stała przy przedniej szybie i patrzyła na wijącą się w dole dolinę, która biegła na zmianę z południa na północ i z północy na południe, a około 20 kilometrów przed nimi gwałtownie zakręcała na wschód, by po mniej więcej 100 kilometrach zwrócić się w kierunku północno-wschodnim.

Od czasu do czasu światło słońca odbijało się od powierzchni wody. Z tej wysokości Jill nie widziała milionów ludzi znajdujących się nad brzegami, a nawet największe okręty do złudzenia przypominały grzbiety rzecznych smoków. Świat Rzeki wyglądał jak przed Zmartwychwstaniem.

Fotograf usadowiony w przedniej części kadłuba dokonywał pierwszej i zarazem ostatniej powietrznej dokumentacji ukształtowania powierzchni planety. Później zdjęcia zostaną dopasowane do opisów biegu Rzeki przekazywanych drogą radiową przez załogę *Marka Twaina*. Jednakże mapy wykonane przez kartografa z pokładu *Parsevala* będą miały wiele braków. Co prawda bocznokołowiec wielokrotnie dopływał do granic południowej strefy polarnej, jednak, by uzyskać pełny obraz, kartograf ze sterowca będzie musiał porównać swoje fotografie także z mapami otrzymywanymi od statków podróżujących po północnej półkuli.

Lecz teraz wystarczy jeden ruch aparatu, by uwiecznić wygląd okolic, które *Mark Twain* odwiedzi w przyszłości.

Za pomocą radaru załoga mierzyła wysokość mijanych pasm górskich. Jak dotąd najwyższy napotkany szczyt sięgał 4564 metrów, czyli 15000 stóp. Średnio góry wznosiły się na wysokość 3048 metrów (10000 stóp), a miejscami osiągały zaledwie 1524 metry (5000 stóp).

Przed przybyciem do Parolando Jill (podobnie jak wszyscy, których znała) sądziła, że wysokość górskich szczytów waha się między 4500 a 6100 metrów. Oczywiście były to jedynie szacunkowe dane, gdyż nie spotkała nikogo, kto by spróbował dokonać dokładnych pomiarów. Dopiero w Parolando, gdzie ludzie mieli dostęp do technologii znanych z końca

dwudziestego wieku, kobieta poznała prawdziwą wysokość gór.

Być może to bliskość skalnych ścian powodowała błędy w ocenie ich wysokości. Zbocza były niezwykle strome, a po jakichś 300 metrach stawały się tak gładkie, że uniemożliwiały wspinaczkę. Często szczyty rozszerzały się ku górze, tworząc przewieszki, które odstraszyłyby nawet alpinistów dysponujących stalowymi karabińczykami. Zresztą taki sprzęt był dostępny jedynie w Parolando.

Szerokość górskich zboczy wynosiła średnio około 400 metrów. A jednak nie sposób byłoby się przez nie przedostać bez stalowych narzędzi i dynamitu. Można by pożeglować pod prąd na północ, docierając do miejsca, w którym Rzeka zawraca i tam za pomocą odpowiedniego sprzętu przewiercić się przez skalną ścianę. Ale kto wie, czy dalej nie wznoszą się pasma górskie jeszcze trudniejsze do zdobycia?

Parseval poradził sobie z przeciwnymi, północno-wschodnimi wiatrami strefy równikowej. Po złapaniu tylnego wiatru w strefie umiarkowanej przeleciał przez końskie szerokości. W ciągu dwudziestu czterech godzin przebył dystans odpowiadający odległości z Mexico City do Zatoki Hudsona w Kanadzie. Pod koniec drugiego dnia podróży miał natrafić na przeciwny wiatr wiejący z terenów arktycznych. Siła tego wiatru pozostawała wielką niewiadomą. Wichry w tym świecie rzadko dorównywały mocą tym spotykanym na Ziemi, z powodu braku wyraźnej różnicy temperatur między wodą i lądem.

Zaobserwowano wyraźną różnicę w wysokości gór i szerokości doliny między strefą równikową i umiarkowaną. W cieplejszych rejonach góry wznosiły się wyżej, a doliny stawały węższe.

Wąskie doliny i wysokie pasma górskie przywodziły na myśl krajobraz Szkocji. W strefach umiarkowanych każdego dnia około godziny piętnastej zaczynał padać deszcz. W strefie równikowej około godziny trzeciej w nocy pojawiały się burze i ulewy. Nie było to naturalne zjawisko w tropikach, a przynajmniej tak uważano. Naukowcy z Parolando sądzili, że są za to odpowiedzialne ukryte w górach urządzenia wywołujące opady. Co prawda wymagałoby to ogromnych nakładów energii, ale przecież istoty, które potrafiły stworzyć taki świat i zapewnić trzy posiłki dziennie dla trzydziestu sześciu miliardów ludzi za pomocą konwerterów energii w materię, nie powinny mieć problemów ze sterowaniem pogodą.

Skąd stwórca czerpali energię? Tego nikt nie wiedział, ale podejrzewano, że z jądra planety.

Pojawiły się spekulacje, że między skorupą planety a jej głębszymi warstwami znajduje się metalowa powłoka. To, że w Świecie Rzeki nie zdarzały się trzęsienia ziemi ani erupcje wulkaniczne, najwyraźniej działało na korzyść tej hipotezy.

Skoro na planecie nie było wielkich ilości lodu ani wody, które mogłyby powodować różnice temperatur porównywalne z tymi występującymi na Ziemi, także warunki wietrzne powinny znacznie się różnić od tych znanych z macierzystej planety. A jednak bardzo je przypominały.

Firebrass postanowił zniżyć się na wysokość 3600 metrów, licząc na to, że napotka tam słabszy wiatr. Szczyty gór znajdowały się zaledwie 610 metrów pod brzuchem sterowca, a o tej porze dnia występowały silne prądy wstępujące i zstępujące. Jednak możliwość zmiany kąta ustawienia śmigieł pozwalała uniknąć wrażeń jazdy kolejką górską. Prędkość sterowca względem ziemi wzrosła, Przed godziną piętnastą Firebrass rozkazał wnieść sterowiec ponad deszczowe chmury. Opuścił go z powrotem godzinę później i *Parseval* majestatycznie żeglował ponad dolinami. Wraz z opuszczaniem się słońca po nieboskłonie wiatry osłabły, umożliwiając równiejszy lot.

Z nadejściem nocy wodór ulegnie schłodzeniu i sterowiec będzie musiał wyżej unieść nos, aby utrzymać się w powietrzu.

Mimo że sterownię ogrzewano elektrycznymi grzejnikami, przebywający w niej ludzie byli grubo ubrani. Firebrass i Piscator palili cygara, większość pozostałych osób papierosy. Wentylatory wciągały dym, ale nie pozwalały pozbyć się smrodu, którego Jill tak nienawidziła.

Wykrywacze umieszczone przy poduszkach z gazem miały za zadanie ostrzegać przed wyciekami wodoru. Palenie było dozwolone jedynie w pięciu strefach: w gondoli sterowniczej lub na mostku, w kajucie znajdującej się w połowie długości sterowca, w dodatkowej sterowni położonej w dolnym stateczniku na ogonie oraz w pokojach przylegających do kwater załogi na dziobie i na rufie *Parsevala*.

Barry Thorn, pierwszy oficer części rufowej, przedstawił odczyty magnetyczne, z których wynikało, że biegun północny Świata Rzeki jest położony w tym samym miejscu co północny biegun magnetyczny. Samo pole magnetyczne okazało się znacznie słabsze niż na Ziemi, tak że jego wykrycie nie byłoby możliwe bez użycia przyrządów pochodzących z końca lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

To był świetny dzień na nawiązanie kontaktu radiowego. Sterowiec leciał wysoko nad górami, a aparat nadawczo-odbiorczy *Marka Twaina* zwieszał się z balonu holowanego przez statek.

- Może pan mówić - odezwał się Aukuso.

Firebrass usiadł obok Samończyka.

- Sam, tu Firebrass - powiedział. - Właśnie dostaliśmy informacje od Greystocka. Już

jest w drodze. Zmierza na północny-wschód i jest gotów zmienić kurs, gdy tylko pozna dokładne położenie *Reksa*.

- Poniekąd mam nadzieję, że nie znajdziecie tego zgniłka - odparł Sam. - Chciałbym sam go dogonić i mieć satysfakcję z posłania go na dno. Może to niezbyt praktyczny punkt widzenia ale za to jaka satysfakcja! Nie jestem mściwy, Milt, ale nawet święty Franciszek chciałby strącić tę hienę w przepaść.

- *Minerwa* ma na pokładzie cztery czterdziestosześcioletnie bomby oraz sześć rakiet o dziewięciokilogramowych głowicach bojowych - odrzekł Firebrass. - Wystarczy, że dwie bomby trafią w cel i statek zatoni.

- Ale Jego Złodziejska Mość może bezpiecznie dotrzeć do brzegu - zirytował się Clemens. - Złego diabli nie biorą. Jak ja go wtedy znajdę? Nie, chcę zobaczyć jego trupa, a jeśli trafi do niewoli, to pragnę samodzielnie skrócić mu kark.

- Mocne słowa jak na kogoś, kto się brzydzi przemocą - szepnął de Bergerac do Jill. - Łatwo tak gadać, gdy wróg jest sześć tysięcy kilometrów stąd.

- No cóż, jeśli nie będziesz w stanie ukręcić mu głowy, to Joe z pewnością cię wyręczy. - Firebrass się zaśmiał.

- Nie, ja mu urwę ręce i nogi - rozległ się nienaturalnie niski głos. - Szam może mu obracać głowę, asz ten szobaczy, szkąd pszyszedł. A na pewno mu się nie szpodoła, dokąd zmieszka.

- Urwij mu też ucho w moim imieniu - dorzucił Milton. - Staruszek Jan kiedyś prawie mnie postrzelił.

Jill pomyślała, że Firebrass zapewne wspomina walkę, która rozgorzała na pokładzie *Nie Do Wynajęcia*, gdy Jan postanowił przejąć statek.

- Zgodnie z naszymi wyliczeniami *Rex* znajduje się w okolicy, do której dolecimy za godzinę - rzekł Firebrass. - Wy znajdujecie się około stu czterdziestu kilometrów na zachód od niego. Oczywiście możemy się mylić. W końcu *Rex* może podróżować wolniej niż zakładamy, a król Jan mógł zarządzić dłuższy postój na lądzie, na przykład w celu dokonania napraw.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę. Clemens zamienił kilka słów z niektórymi członkami załogi, przeważnie tymi, których poznał przed opuszczeniem Parolando. Jill zauważyła, że nie poprosił o rozmowę z de Bergerakiem.

Sam właśnie miał się rozłączyć, gdy na radarze *Parsevala* pojawił się *Rex Grandissimus*.

45

Pozostając na pułapie czterystu pięćdziesięciu dwóch metrów, *Parseval* okrążył parostatek. Z tej wysokości cel wyglądał jak zabawka, ale po powiększeniu fotografii nie było wątpliwości, że to rzeczywiście statek króla Jana. Bocznołowiec robił niesamowite wrażenie. Jill pomyślała, że szkoda niszczyć tak piękną jednostkę, ale nie powiedziała tego na głos. Firebrass i de Bergerac pałali rządzą zemsty na człowieku, który ich okradł.

Aukuso przekazał dane o położeniu statku Greystockowi, a ten stwierdził, że *Minerwa* powinna dogonić *Reksa* w ciągu jednego dnia. Mężczyzna sprawdził także lokalizację *Marka Twaina*.

- Chciałbym przelecieć nad statkiem Clemensa, aby ten mógł się przyjrzeć sterowcowi, który zatopi *Reksa* - zaproponował Greystock.

- Dobrze, nie musisz w tym celu zbaczać z kursu - odpowiedział Firebrass. - Poza tym, to na pewno bardzo ucieszy Sama.

Milton skończył rozmawiać z Clemensem, po czym odwrócił się w stronę swojej załogi.

- Tak naprawdę uważam, że Greystock pakuje się w samobójczą misję - stwierdził. - *Rex* jest po brzegi wyładowany rakietami i ma na pokładzie dwa samoloty uzbrojone w rakiety i karabiny maszynowe. Wszystko zależy od tego, czy Greystockowi uda się wykorzystać element zaskoczenia. Ale nie liczyłbym na to, jeśli Jan dostrzeże *Minerwę* na ekranie radaru. Oczywiście może mieć wyłączony radar, w końcu do dziennej nawigacji wystarczy sonar.

- Owszem - odparł Piscator. - Jednak załoga *Reksa* z pewnością nas widziała. Już się zastanawiają, kim jesteśmy, i włączą radar z czystej przezorności.

- Też mi się tak wydaje - wtrąciła Jill. - Bez trudu wpadną na to, że sterowiec mógł powstać jedynie w Parolando.

- No cóż, zobaczymy - odrzekł Firebrass. - To bardzo możliwe. Kiedy *Minerwa* dogoni *Reksa*, my już będziemy za polarnymi górami. Wątpię, abyśmy mogli tam liczyć na dobrą łączność radiową. Będziemy musieli poczekać do powrotu.

Firebrass wyglądał na strapionego, jakby się zastanawiał, czy *Parseval* w ogóle wróci ze swojej wyprawy.

Słońce schowało się za horyzontem, ale na tej wysokości niebo długo pozostawało jasne. W końcu zapadła noc, rozświetlona gwiazdami i obłokami kosmicznego gazu. Przed udaniem się do swojej kajuty Jill zamieniła kilka słów z Anną Obrenową. Rosjanka pozostawała serdeczna, ale coś w jej zachowaniu wskazywało, że nie czuje się swobodnie. Czy rzeczywiście nie mogła przeboleć, że to nie ona została pierwszym oficerem?

Przed snem Jill przespacerowała się długim korytarzem do części rufowej sterowca. Tam napiła się kawy i porozmawiała z kilkoma oficerami. Spotkała tam również Barry'ego Thorna, który sprawiał wrażenie lekko zdenerwowanego. Być może wciąż cierpiał z powodu odrzucenia przez Obrenową. Jeśli faktycznie tego dotyczyła ich rozmowa.

Nagle Gulbirra przypomniała sobie, że słyszała, jak tych dwoje rozmawia w nieznanym języku. To jednak nie był właściwy moment, aby o to pytać. Możliwe, że nigdy nie będzie w stanie nawiązać do tego tematu, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do podsłuchiwania.

Choć z drugiej strony, zżerała ją ciekawość. Któregoś dnia, gdy nie będą jej zajmować ważniejsze sprawy, na pewno spyta Thorna o tamten dzień. Powie, zgodnie z prawdą, że usłyszała ich kłótnię przypadkiem, gdy przechodziła w pobliżu chaty Barry'ego. Przecież skoro nie zrozumiała ani słowa, to jak mogła podsłuchiwać?

Jill wróciła do swojej kajuty, położyła się na koi i prawie od razu zasnęła. O czwartej nad ranem obudził ją gwizd interkomu.

Udała się do sterowni, by zmienić Metzinga, trzeciego oficera.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę dotrzymywał im towarzystwa opowiadając o swoich doświadczeniach jako dowódca LZ-1, po czym wyszedł. Jill nie miała dużo roboty, gdyż Piscator świetnie pilotował, a warunki atmosferyczne nie odbiegały od normy Japończyk nawet włączył autopilota, choć uważnie nadzorował wskaźniki na tablicy sterowniczej.

W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie osoby, obsługujące radiostację i radar.

- Powinniśmy ujrzeć góry około trzynastej - odezwała się Jill, Piscator zaczął się zastanawiać, czy szczyty są równie wysokie, jak donosił Joe Miller. Tytanrop oszacował ich wysokość na jakieś sześć tysięcy sto metrów, czyli dwadzieścia tysięcy stóp, ale nie dało się ukryć, że Joe nigdy nie słyszał ze zdolności właściwej oceny odległości, nie mówiąc o umiejętności posługiwania się systemem metrycznym.

- Dowiemy się, kiedy dotrzemy na miejsce - odparła Jill.

- Ciekawe, czy ci tajemniczy mieszkańcy wieży pozwolą nam wrócić - rzekł Piscator. -

I czy w ogóle pozwolą nam wejść do środka?

Odpowiedź na to pytanie brzmiała tak samo, jak na poprzednie, więc kobieta się nie

odezwała.

- Może przynajmniej pozwolą nam ją obejrzeć - zastanawiał się Japończyk.

Jill zapaliła papierosa. Na razie się nie denerwowała, ale wiedziała, że kiedy zbliżą się do górskiego pasma, zaczną odczuwać niepokój. Wkroczą na zakazany, niebezpieczny teren.

Piscator się uśmiechnął, a w jego czarnych oczach pojawił się błysk.

- Czy kiedykolwiek brałaś pod uwagę to, że niektórzy z Nich mogą się znajdować na tym sterowcu? - spytał.

Kobieta zachłysnęła się dymem z papierosa. Przez chwilę zanosiła się kaszlem.

- Co masz na myśli, do cholery? - wychrypiła w końcu.

- Mogą mieć wśród nas swoich agentów - odparł Piscator.

- Skąd taka myśl?

- To tylko teoria - odrzekł mężczyzna. - Ale to chyba dość prawdopodobne, że Oni nas obserwują?

- Wydaje mi się, że wiesz więcej, niż nam powiedziałeś - stwierdziła Jill. - Co cię skłania do takich podejrzeń? Mnie chyba możesz to zdradzić?

- To tylko jałowe rozważania - odrzekł spokojnie.

- I te jałowe rozważania, jak je nazywasz, doprowadziły cię do wniosku, że jest wśród nas ktoś, kto może być jednym z Nich?

- Nawet gdybym tak uważał, to nie mam prawa wskazywać palcem na być może niewinną osobę - odparł Japończyk.

- Podejrzewasz mnie? - spytała.

- Byłbym na tyle głupi, żeby ci o tym powiedzieć? Ja tylko głośno myślę. To taki zły nawyk, którego powinienem się pozbyć.

- Nie pamiętam, abys kiedykolwiek wcześniej głośno myślał - odparła Jill.

Nie drażyła tematu, gdyż Piscator najwyraźniej nie miał zamiaru powiedzieć nic więcej, ale do końca warty zastanawiała się, co mężczyzna mógł zaobserwować i na podstawie jakich poszlak zbudował swoją teorię. W efekcie nabawiła się bólu głowy i poszła spać sfrustrowana. Może Piscator tylko ją nabierał?

Ujrzeni szczyty polarnych gór zaledwie dwie minuty przed przewidywaną godziną. Z tej odległości wyglądały jak chmury, ale radar pokazywał prawdziwy obraz - skalną ścianę otaczającą morze. Firebrass jęknął, gdy odczytał jej wysokość.

- Dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt trzy metry! Jest wyższa niż Mount Everest!

Mieli powody do niepokoju. Sterowiec mógł się wznieść tylko na wysokość dziewięciu tysięcy sto czterdziestu czterech metrów, a i tak wątpliwe, by kapitan zdecydował

się wzlecieć na tak wysoki pułap. Na większej wysokości automatyczne zawory bezpieczeństwa zaczynały wypuszczać wodór z poduszek gazowych. W przeciwnym razie poduszki mogły eksplodować po przekroczeniu maksymalnego naprężenia.

Firebrass nie miał zamiaru ryzykować. Napotkanie warstwy ciepłego powietrza mogłoby spowodować jeszcze szybsze rozszerzanie poduszek z wodorem, naruszając stateczność sterowca. *Parseval* zacząłby bardzo szybko nabierać wysokości, a pilot musiałby błyskawicznie pochylić nos maszyny i zmienić kąt ustawienia śmigieł, aby skierować ją w dół. Gdyby mu się to nie udało, nastąpiłoby rozdarcie poduszek z gazem, gwałtownie rozszerzających się pod wpływem obniżonego ciśnienia atmosferycznego.

Nawet gdyby sterowiec to przetrwał, utrata spuszczonego gazu spowodowałaby wzrost ciężaru jednostki. Załoga musiałaby wyrzucić balast, a pozbycie się zbyt dużej jego ilości również groziło utratą stateczności.

- Jeśli góry są równie wysokie z każdej strony, to mamy przechlapane - odezwał się Firebrass. - Ale Joe powiedział...

Zamilkł i przez chwilę stał zamyślony i wpatrzony w mroczny masyw rosnący przed nosem sterowca. Pod nimi Dolina wiła się niczym wąż ukryty we mgle, która w tej okolicy nigdy nie ustępowała. Już dawno minęli ostatnią parę kamieni obfitości, a jednak radar pokazywał, że wzgórza porasta bujna roślinność. Kolejna zagadka. Jakim cudem drzewa mogą się rozwijać w takich warunkach?

- Cyrano, opuść sterowiec na trzy tysiące pięćdziesiąt metrów - rozkazał Milton. - Chcę się przyjrzeć górnemu biegowi Rzeki.

Oczywiście miał na myśli „przyjrzenie się” Rzece na ekranie radaru. Kłębiące się chmury skutecznie zasłaniały olbrzymi otwór u podnóża gór, z którego Rzeki wypływała na światło dzienne, by po trzech kilometrach runąć w dół z szerokiego na pięć kilometrów i wysokiego na dziewięćset pięćdziesiąt metrów wodospadu.

- Może Joe przesadził, mówiąc, że zmieściłby się tu ziemski Księżyc, ale ten widok i tak robi wrażenie! - stwierdził Firebrass.

- O tak - zgodził się Cyrano. - Coś wspaniałego. Ale bardzo ciężko się tutaj leci.

Kapitan rozkazał wznieść *Parsevala* wyżej i obrać kurs pozwalający na okrążenie pasma górskiego w odległości dwunastu kilometrów. Cyrano musiał obrócić śmigła, by przeciwstawić się wiatrowi spychającemu ich na południe, i po chwili sterowiec leciał wzdłuż potężnej skalnej ściany.

Tymczasem starano się nawiązać kontakt radiowy z *Markiem Twainem*.

- Próbuje dalej! - zawołał Firebrass do człowieka obsługującego radiostację. - Sam na

pewno chce wiedzieć, jak nam idzie, a mnie również ciekawi, jak sobie poradziła *Minerwa*.

Odwrócił się do pozostałych członków załogi.

- Szukam przełęczy między górami - wyjaśnił. - Musi gdzieś tutaj być. Joe opowiadał, że oślepiło go słońce, które na moment wyjrzało zza szczytu. Skoro w tej okolicy słońce ledwie się wznosi ponad horyzont, to mogło być widoczne tylko w głębokiej przełęczy.

Jill zastanawiała się, po co Oni mieliby wznosić tak potężną przeszkodę i jednocześnie zostawiać otwartą furtkę.

O godzinie piętnastej pięć na ekranie radaru dostrzegli przerwę w skalnej ścianie. Sterowiec leciał teraz ponad szczytami zewnętrznego pasma gór, osiągającymi wysokość do trzech tysięcy czterdziestu metrów. Gdy *Parseval* zbliżył się do celu, załoga zobaczyła, że między niższym pasmem a skalną barierą znajduje się rozległa dolina.

- To prawdziwy Wielki Kanion, z tego co o nim słyszałem - odezwał się Cyrano. - Cóż za otchłań! Żaden człowiek nie mógłby zejść na dno, chyba że miałby linę o długości sześciuset dziesięciu metrów. No ale wtedy i tak nie byłby w stanie wspiąć się na drugą ścianę. Jest równie wysoka, a jej ściany gładkością dorównują pośladowcom mojej kochanki.

Po drugiej stronie zewnętrznego pasma wznosiły się góry otaczające Rzekę. Nawet gdyby komuś się udało pokonać pierwszą przeszkodę i wydostać z Doliny, musiałby następnie przedostać się przez postrzępione granie o szerokości osiemdziesięciu jeden kilometrów, tylko po to, by się znaleźć u wrót doliny nie do przebycia.

- *Ginnungagap* - rzekła Jill.

- Słucham? - zdziwił się Firebrass.

- To z mitologii nordyckiej - wyjaśniła kobieta. - Pierwotna otchłań, w której narodził się Ymir, pierwszy z żyjących, potomek złowrogiej rasy gigantów.

- Zaraz mi powiesz, że w tym morzu mieszkają demony - prychnął kapitan.

Firebrass sprawiał wrażenie spokojnego, ale Jill podejrzewała, że to tylko maska. Z pewnością odczuwał stres, a w jego organizmie szalała adrenalina i rosło ciśnienie krwi. Czy podobnie jak ona uważał, że za sterami powinien teraz siedzieć bardziej doświadczony pilot? Francuz zapewne dysponował najlepszym refleksem i orientacją przestrzenną, a podczas szkolenia z powodzeniem uczył się postępowania w sytuacjach krytycznych. Nie miał jednak na koncie kilku tysięcy godzin lotu w ziemskich, czyli bardzo zmiennych, warunkach atmosferycznych. Na razie podróż przebiegała bez większych zakłóceń, lecz pogoda w okolicach bieguna stanowi zagadkę, a przelot nad górami może wystawić sterowiec na działanie nieoczekiwanych i gwałtownych sił przyrody. To wręcz pewne.

Tutaj, na szczycie świata, promienie słońca świeciły słabiej, więc panowała niższa

temperatura. Rzeka wpadała do polarnego morza po drugiej stronie kolistego pasma górskiego, gdzie pozbywała się resztek nagromadzonego ciepła. W wyniku kontaktu zimnego powietrza z ciepłą wodą powstawała mgła, którą opisał Joe Miller. Mimo wszystko, wewnątrz skalnego kręgu było zimniej niż po zewnętrznej stronie gór. Panowało tam wysokie ciśnienie, a lodowate powietrze parło do góry. Joe opowiadał o silnych wichrach wiejących pośród skał.

Jill bardzo chciała poprosić Firebrassa, by pozwolił jej zająć miejsce Cyrano. W ostateczności za sterami może zasiąść nawet Anna Obrenova bądź Barry Thorn, jedyni ludzie, którzy dorównywali jej doświadczeniem i umiejętnościami. Ale Gulbirra wiedziała, że poczuje się bezpieczna dopiero wtedy, gdy sama pokieruje sterowcem. Oczywiście w miarę bezpieczna - na ile pozwala obecna sytuacja.

Być może Firebrass myślał podobnie. Jeżeli tak, to nie dawał tego po sobie poznać, podobnie jak Jill. Nie pozwalał im na to niepisany, a nawet niewypowiedziany kodeks. To był dyżur Cyrano. Poproszenie, by odstąpił miejsce za sterem bardziej wykwalifikowanemu pilotowi, upokorzyłoby Francuza i świadczyło o braku wiary załogi w jego możliwości.

Śmieszne. Po prostu śmieszne. Przecież chodzi o powodzenie całej misji i życie setki ludzi.

Mimo to, Jill nie miała zamiaru się odzywać, nawet jeśli uważała, że jest potrzebna. Tak jak innych, obowiązywał ją kodeks. Nieważne, że jego postanowienia nie były zbyt praktyczne. Nie mogła potraktować w ten sposób innego członka załogi. Poza tym, wysunięcie takiej propozycji upokorzyłoby także ją samą.

Znajdowali się już naprzeciwko przełęczy. Nie przypominała ona kształtem litery V, jak oczekiwali. Był to idealny okrąg o średnicy trzech kilometrów wycięty w skale na wysokości tysiąca metrów nad ziemią. Wylatywały z niego obłoki pędzone przez silny wiatr. Cyrano musiał skierować się dokładnie w środek otworu, by uniknąć zdmuchnięcia sterowca na południe. Mimo że silniki pracowały z pełną mocą, *Parseval* przemieszczał się z prędkością zaledwie szesnastu kilometrów na godzinę.

- Co za wicher! - zawołał Firebrass.

Przez chwilę się wahał. Wkrótce powietrze zstępujące ze szczytu góry doda swą siłę do tego wylatującego z otworu. Pilot będzie zmuszony polegać na radarze, by stwierdzić, w jakiej się znajduje odległości od ścian.

- Jeśli te pasma górskie nie są szersze od tych wznoszących się wzdłuż Rzeki, to możemy przelecieć przez otwór szybciej niż pies przeskakuje przez obręcz - rzekł kapitan. - Ale...

Zamilkł i zacisnął zęby na cygarze.

- Naprzód, przez bramy piekła! - rzucił w końcu.

46

Spotykanie się ścieżek przeznaczenia zawsze fascynowało Petera Frigate'a.

Wszak jedynie czysty przypadek zmienił jego *in potentio* w *essemis*.

Ojciec Petera przyszedł na świat i wychował się w Terre Haute w Indianie, a matka w Galenie w Teksasie. Teoretycznie tych dwoje miało niewielkie szanse, by się spotkać i począć Petera Jairusa Frigate'a, zwłaszcza w 1918 roku, gdy ludzie niewiele podróżowali. Jednak dziadek Petera, William Frigate, przystojny i wpływowy hazardzista, pijak i uwodziciel, pewnego razu został zmuszony do wybrania się w interesach do Kansas City w stanie Missouri. Doszedł do wniosku, że jego najstarszy syn James powinien poznać tajniki robienia interesów, i zabrał dwudziestolatka ze sobą. Zamiast nowym packardem mężczyźni pojechali pociągiem.

Matka Petera mieszkała wtedy u swoich niemieckich krewnych w Kansas City, gdzie uczęszczała do szkoły handlowej. Przyszli rodzice Petera nigdy wcześniej o sobie nie słyszeli i nie mieli ze sobą nic wspólnego, może poza przynależnością do rasy ludzkiej i zamieszkiwaniem na Środkowym Zachodzie, czyli terenie większym od niejednego europejskiego kraju.

Pewnego upalnego popołudnia przyszła matka Petera wybrała się do sklepu spożywczego po kanapkę i koktajl mleczny. W tym samym czasie przyszły ojciec Petera nudził się, słuchając biznesowej dyskusji między jego tatą i producentem maszyn rolniczych. W godzinie lunchu obaj mężczyźni udali się do baru, a James, nie mając ochoty tak wcześnie zaczynać pijaństwa, poszedł do pobliskiego sklepu spożywczego. Tam powitał go miły zapach lodów, wanilii i czekolady, szum dwóch wielkich wiatraków zamocowanych pod sufitem oraz widok długiej marmurowej lady, stojaka z czasopismami i trzech ładnych dziewczyn siedzących na metalowych krzesłach wokół niewielkiego stolika o marmurowym blacie. James uważnie przyjrzał się dziewczętom, jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Usiadł i zamówił napój czekoladowy oraz kanapkę z szynką, po czym postanowił zbadać zawartość stojaka. Przekartkował kilka magazynów i książkę traktującą o podróżach w czasie. Nigdy nie interesowały go takie historie. Swego czasu zapoznał się z dziełami H.G. Wellsa, Juliusza Verne'a, H. Ridera Haggarda i Franka Reade'a juniora, ale jego praktyczny umysł odrzucał podobne fantazje.

Wracając do swojego stolika i przechodząc obok trójki rozchichotanych dziewcząt, musiał gwałtownie uskoknąć przed strumieniem brązowego płynu. Jedna z dziewczyn machnęła ręką podczas rozmowy i przewróciła swoją szklankę z colą. Gdyby nie zręczny unik, James skończyłby z mokrą nogawką, a tak miał jedynie zachlapane buty.

Dziewczyna przeprosiła, a James odparł, że nic strasznego się nie stało. Grzecznie się przedstawił i spytał, czy może się do nich przysiąść. Dziewczęta chętnie na to przystały, gdyż miały ochotę porozmawiać z przystojnym chłopakiem z Indiany. I tak od słowa do słowa... Zanim dziewczęta wróciły do pobliskiej szkoły, James zdążył umówić się na randkę z „Teddy” Griffiths, najspokojniejszą z całego grona i może nie najpiękniejszą, ale zdecydowanie intrygującą. Dziewczyna miała germańskie rysy, proste czarne włosy jak u Indianki oraz duże czarne oczy.

Peter Frigate nazwał to potem „powinowactwem z wyboru”, pożyczając ten termin od Goethego.

W tamtych czasach zaloty nie były tak łatwe i bezpośrednie jak w czasach Petera. James musiał się udać w długą podróż tramwajem do rezydencji Kaiserów na Locust Street, gdzie został przedstawiony wujkowi i ciotce dziewczyny. Potem wszyscy razem usiedli na werandzie, by skosztować lodów i ciasteczek domowej roboty. Około ósmej wieczorem chłopak zabrał Teddy na spacer po okolicy, podczas którego rozmawiali o tym i owym. Po powrocie James podziękował krewnym dziewczyny za gościnność i pożegnał się z Teddy, oczywiście jej nie całując. Młodzi zaczęli ze sobą korespondować i dwa miesiące później James ponownie odwiedził dziewczynę, wybierając się w drogę jednym z samochodów ojca. Tym razem już się zaczęli obłapiać, głównie w ostatnim rzędzie lokalnej sali kinowej.

Podczas trzecich odwiedzin James ożenił się z Teddy. Zaraz po ślubie młoda para wsiadła do pociągu zmierzającego do Terre Haute. James lubił opowiadać swojemu najstarszemu synowi, że ten został poczęty w kolejowym wagonie. „Nawet chciałem nadać ci jakieś nietypowe imię upamiętniające to wydarzenie, ale twoja matka się sprzeciwiła”.

Peter nie wiedział, czy powinien wierzyć swojemu ojcu. W końcu ze staruszka był niezły żartowniś. Poza tym jakoś nie wyobrażał sobie, by matka mogła się w czymkolwiek sprzeciwić mężowi. James nie grzeszył posturą, ale przypominał małego kogucika rządzącego całym kurnikiem, domowego Napoleona.

Właśnie ta długa seria przypadkowych zdarzeń sprawiła, że Peter Jairus Frigate pojawił się na świecie. Gdyby stary William nie zdecydował się zabrać syna do Kansas City, gdyby James nie wolał czekoladowego napoju od piwa, gdyby jedna z dziewcząt nie przewróciła szklanki, Peter Jairus Frigate nigdy by się nie urodził, a przynajmniej nie jako

osoba o tym nazwisku. Gdyby ojciec Petera użył prezerwatywy w noc poślubną bądź poprzedniej nocy miał erotyczny sen, Peter także nie przyszedłby na świat. Albo gdyby jego rodzice z jakiegoś powodu odsunęli w czasie swój wspólny pierwszy raz... Wtedy komórka jajowa znalazłaby się na podpasce.

Czym szczególnym wyróżniał się ten jeden plemnik, który pokonał pozostałe trzysta milionów w szaleńczym wyścigu?

Niech wygra najzwinniejszy. I tak się też stało, ale Petera niepokoiło, że ta rywalizacja była tak wyrównana.

A co z całą armią jego potencjalnych braci i siostr? Wszyscy zginęli; nie docierając do celu lub docierając do niego zbyt późno. Cóż za strata ciała i ducha. Czy którykolwiek z plemników mógł dysponować jego wyobraźnią i talentem pisarskim? A może te cechy znajdowały się w komórce jajowej? Czy też powstały dopiero na skutek połączenia obu elementów? Trzej bracia Petera nie mieli bogatej wyobraźni, ani biernej, ani czynnej. Jego siostra przejawiała wyobraźnię bierną, gdyż lubiła książki fantasy i science fiction, ale nie ciągnęło jej do pisania. W czym tkwiła różnica?

Na pewno nie w samym środowisku. Rodzeństwo wychowywało się przecież w takich samych warunkach. Ich ojciec kupił im całą serię małych czerwonych książek oprawionych w imitację skóry. Jak też się one nazywały? W czasach dzieciństwa Petera była to bardzo popularna seria. Jednak jego bracia i siostra nie zakochali się w Sherlocku Holmesie i Irenie Adler z „Czeskiego skandalu”, nie współczuli potworowi z „Frankensteina”, nie walczyli wraz z Achillesem pod murami Troi, nie towarzyszyli Odyseuszowi w jego tułaczce, nie zeszli wspólnie z Beowulfem na dno lodowatego jeziora w poszukiwaniu Grendela, nie podróżowali w czasie razem z bohaterem Wellsa, nie ujrzeli dziwacznych gwiazd Olive Schneider, ani nie uciekali przed Mohikanami u boku Sokolego Oka. Rodzeństwa Petera nie interesowały też inne książki, które kupowali rodzice: „Wędrowni Pielgrzymi”, „Przygody Tomka Sawyera” i „Przygody Huckleberry Finna”, „Wyspa skarbów”, „Baśnie z tysiąca i jednej nocy” czy „Podróże Guliwera”. Nie uczestniczyli w poszukiwaniach, jakie Peter prowadził w bibliotece, odkrywając samorodki złota w postaci dzieł Franka Bauma, Hansa Andersena, Andrew Langa, Jacka Londona, Arthura Conan Doyle'a, Edgara Rice Burroughsa, Rudyarda Kiplinga i H. Ridera Haggarda, a także rudę srebra, za jaką uznawał książki Irvinga Crumpa, A.G. Henty'ego, Roya Rockwooda, Oliyera Curwooda, Jeffreya Farnola, Roberta Service'a, Anthony'ego Hope'a i A. Hyatta Verrilla. W końcu w prywatnym panteonie Petera neandertalczyk, Og i Rudolf Rassendyll niemal dorównywali rangą Tarzanowi, Johnowi Carterowi z planety Barsoom, Dorotce Gale z Krainy Oz, Odyseuszowi, Sherlockowi

Holmesowi i profesorowi Challengerowi, Jimowi Hawkinsowi Ayeshy, Allanowi Ojuatermainowi i Umslopogaasowi.

Peter czuł podekscytowanie na myśl, że znajduje się na tym samym statku co człowiek, który posłużył za model fikcyjnej postaci Umslopogaasa, a także służy jako marynarz u pisarza, który wymyślił Bucka i Białego Kłā, Wolfa Larsena, bezimiennego nieludzkiego narratora „Przed Adamem” oraz Bellewa-Zawieruchę. Cieszył się, że codziennie ma okazję rozmawiać z wielkim Tomem Miksem, któremu pod względem talentu i klasy aktorskiej dorównywał chyba tylko Douglas Fairbanks senior. Gdyby jeszcze Fairbanks był na pokładzie. Ale Peter nie pogardziłby także towarzystwem Doyle'a, Twaina, Cervantesa czy Burtona, a zwłaszcza tego ostatniego. Poza tym... Nie, zaczynało się robić ciasno. Lepiej poprzestać na tym, co się ma. Ale Frigate zawsze miał z tym kłopoty.

O czym rozmyślał? A tak, o losie, inaczej zwanym przeznaczeniem.

Nie wierzył tak jak Mark Twain, że wszystkie wydarzenia i postaci zostały wcześniej ustalone. „Od czasów, gdy zderzyły się pierwsze dwa atomy w pierwotnym oceanie, nasz los jest przesądzony”. Twain napisał coś w tym stylu, prawdopodobnie w swoim przygnębiającym eseju „Czym jest człowiek?”. Jednak ta filozofia to usprawiedliwienie dla ucieczki przed poczuciem winy. Unikanie odpowiedzialności.

Nie wierzył wzorem Kurta Vonneguta, nowego wcielenia Marka Twaina z końca dwudziestego wieku, że naszym postępowaniem kieruje jedynie chemia. Bóg nie jest ani Mechanikiem w Niebiosach, ani Wielkim Farmaceutą. Oczywiście jeśli istnieje jakiś Bóg. Frigate nie wiedział, kim On jest, i często wątpił w Jego istnienie.

Być może nie ma Boga, ale wolna wola istnieje na pewno. Owszem, mogą ją ograniczać wpływy środowiska, chemia, uszkodzenia mózgu, choroby umysłowe czy lobotomia. Ale człowiek nie jest jedynie białkowym robotem. Żaden robot nie potrafi zmieniać zdania, sam się przeprogramowywać lub podnosić na duchu.

A jednak przychodzimy na świat z różnymi zestawami genów, a te w pewnym stopniu determinują nasz intelekt, zdolności, skłonności i reakcje, czyli, mówiąc w skrócie, nasz charakter, który zdaniem Heraklita określa przeznaczenie. Człowiek jednak może zmienić swój charakter. Gdzieś w naszym wnętrzu tkwi jakaś siła bądź istota, która mówi: „Nie zrobię tego!” lub „Nikt mnie przed tym nie powstrzyma!” bądź też „Do tej pory byłem tchórzem, ale teraz będę odważny jak lew!”.

Czasami potrzebujemy bodźca z zewnątrz, tak jak Blaszyński Drwał, Strach na Wróble i Tchórzliwy Lew. Jednak Czarnoksiężnik z Krainy Oz dał tej trójce to, co mieli od zawsze. Mózg z trocin, otrębów, szpilek i igieł, jedwabne serce wypchane trocinami oraz płyn z

zielonej buteleczki podpisanej *Odwaga* to tylko placebo.

Myśl może wpływać na emocje. Frigate mocno w to wierzył, choć nie przydarzyło mu się w życiu nic, co potwierdzałoby tę teorię.

Wychował się w rodzinie należącej do ruchu scjentyistycznego. Kiedy miał jedenaście lat, pod wpływem religijnej obojętności rodzice zaczęli go posyłać do kościoła prezbiteriańskiego. W niedzielne poranki matka sprzątała w kuchni i opiekowała się młodszymi dziećmi, a ojciec czytał *The Chicago Tribune*. W tym czasie Peter wędrował najpierw do szkoły niedzielnej, a prosto z niej na kazanie.

Pod względem religijnym został więc wychowany w dwóch wykluczających się tradycjach.

Według jednej z nich powinien uznawać istnienie wolnej woli, iluzoryczność zła i materii oraz dominację świata duchowego.

Według drugiej powinien wierzyć w predestynację. Bóg wybiera grupę ludzi, którzy zostaną zbawieni, i pozwala reszcie iść do piekła. Dzieje się tak bez żadnego konkretnego powodu i nie można nic zrobić, aby to zmienić. Klamka zapada i nie ma odwrotu. Można spędzić całe życie na modlitwie i dobrych uczynkach, a po śmierci i tak trafia się do wcześniej ustalonego miejsca. Owieczki, z niewyjaśnionych powodów obdarzone łaską, zasiadają po prawicy Boga. Kozły, odrzucone z tej samej tajemniczej przyczyny, ześlizgują się w ognistą otchłań, grzesznicy razem ze świętymi.

W wieku dwunastu lat Peterowi wielokrotnie śnił się koszmar, w którym Mary Baker Eddy i Jan Kalwin walczyli o jego dusze.

Nic dziwnego, że dwa lata później postanowił dać sobie spokój z jakąkolwiek religią. Mimo to, nadal zachowywał się niczym najbardziej pruderyjny spośród purytan. Nigdy nie przeklinał i rumienił się po opowiedzeniu nieprzyzwoitego dowcipu. Nie mógł znieść zapachu piwa i whisky, a nawet gdyby je uwielbiał, to i tak odrzuciłby z pogardą alkohol, żeby potem rozkoszować się uczuciem moralnej wyższości.

Okres dojrzewania okazał się drogą przez mękę. W siódmej klasie podczas odpowiedzi na środku sali czerwony jak burak zmagął się z erekcją wywołaną widokiem obfitego biustu nauczycielki. Na szczęście nikt niczego nie zauważył, ale za każdym razem, gdy Peter wychodził z ławki, obawiał się upokorzenia. Kiedy wybrał się z rodzicami do kina na film, w którym główna bohaterka paradowała po ekranie w sukience z dużym dekoltem, musiał zasłonić krocze dłonią, by ukryć wzwód.

Migoczące światło padające z ekranu nie pozwalało całkowicie ukryć grzechu. Peter był pewien, że rodzice wiedzą, o czym myśli, i są przerażeni, a on nie będzie mógł im

spojrzeć w oczy do końca życia.

Ojciec dwukrotnie rozmawiał z nim na temat seksu, za pierwszym razem, kiedy Peter miał dwanaście lat. Matka zauważyła ślady krwi na ręczniku chłopca i poinformowała o tym męża który, szczerząc zęby i chrząkając znacząco, spytał syna, czy ten się masturbuje. Peter był przerażony i rozdrażniony oskarżeniem. Zaprzeczył, ale po minie ojca widział, że go nie przekonał.

Jednak dalsze dochodzenie wykazało, że podczas kąpieli Peter nie ściągał napletka, nie chcąc dotykać prącia, na skutek czego pod skórą nagromadziła się mastka. Nikt nie wiedział, jak mogło to doprowadzić do krwawienia, ale chłopcu polecono dokładnie i regularnie się myć. Przy okazji poinformowano go, że onanizm prowadzi do degeneracji, a jako przykład wskazano wioskowego idiotę z północy Terre Haute, chłopca, który publicznie się masturbował. Z poważną miną ojciec pouczył Petera, że każdy, kto tak postępuje, zmieni się w śliniącego się półgłówka. Być może James Frigate rzeczywiście w to wierzył, podobnie jak wielu ludzi z jego pokolenia. A może jedynie przekazywał dalej tę przerażającą nowinę, którą wymyślił Bóg wie jak wiele wieków temu, by straszyć dorastających młodzieńców.

Z czasem Peter doszedł do wniosku, że to jedynie przesąd, podobny do wiary w to, że jedzenie kanapki z masłem orzechowym i galaretką w wychodku grozi porwaniem przez diabła.

Peter nie kłamał. Nigdy nie popełnił grzechu Onana. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czemu tak nazywano ten występki, skoro Onan się nie masturbował, a jedynie zastosował technikę antykoncepcyjną, którą ojciec chłopca nazwał kiedyś „metodą kolejową”, czyli wyskakiwanie na czas.

Niektórzy z bardziej wulgarnych szkolnych kolegów Petera wręcz przechwalali się waleniem konia. Jednemu z tych zgniłków, chłopakowi o imieniu Vernon (zginął w katastrofie lotniczej w 1942 roku, gdy się szkolił na bombardiera), zdarzało się onanizować w tramwaju w drodze powrotnej z meczów koszykówki. Peter patrzył na to z mieszanką fascynacji i obrzydzenia. Reszta dzieciaków tylko chichotała.

Któregoś wieczoru Peter wraz ze swoim przyjacielem Bobem Allwoodem, wychowanym równie purytańsko jak on, wracali tramwajem z kina. W wagonie oprócz nich znajdował się tylko motorniczy oraz tleniona blondynka o wyzywającym wyglądzie siedząca z przodu. Gdy tramwaj zbliżał się do pętli na Elizabeth Street, motorniczy nagle zasunął zasłonkę, odgradzając siebie i blondynkę od reszty wagonu, a kobieta zgasła górne światło. Bob i Pete zobaczyli, jak nogi kobiety odrywają się od ziemi i znikają. Dopiero po kilku minutach chłopiec zrozumiał, co się dzieje. Blondynka zapewne siedziała na tablicy

rozdzielczej, przodem do motorniczego, a ten ją pieprzył. Peter wspomniał o tym Bobowi dopiero, kiedy wysiedli. Chłopak mu nie uwierzył.

Petera najbardziej zdziwiła własna reakcja. Zamiast oburzenia poczuł rozbawienie, może nawet z nutką zazdrości. Dopiero potem w jego głowie pojawiły się „właściwe” myśli. Mężczyzna i nierządnicą z pewnością pójda do piekła.

To było bardzo dawno temu. Potem nadeszła pamiętna chwila, gdy Peter po pijaku uprawiał seks przed ołtarzem w pustym kościele. Zdarzyło się to w katolickiej katedrze w Syracuse, a kobieta, z którą Frigate się zabawiał, była Żydówką i to ona wpadła na ten pomysł. Nienawidziła religii katolickiej, gdyż w bostońskim liceum, do którego uczęszczała, ze względu na swoje pochodzenie wielokrotnie spotykała się z szykanami i przemocą ze strony dzieci polskich katolików. Pomysł zbezczeszczenia kościoła bardzo się wtedy Peterowi spodobał, choć następnego ranka wzdrygał się na myśl o tym, co by się stało, gdyby ich złapano. Niestety, podobne zachowanie w świątyni protestanckiej nie stanowiło aż takiej atrakcji. Protestanckie kościoły zawsze wydawały się Peterowi nieciekawe. Zapewne podobnie myślał sam Chrystus, skoro wisiał zazwyczaj w katolickich świątyniach. Frigate'a zawsze pociągał rzymski obrządek i dwukrotnie był o krok od zmiany wyznania. W końcu świętokradztwo można popełnić tylko tam, gdzie jest obecny Bóg.

Trzeba przyznać, że to dość dziwne podejście. Skoro nie wierzy się w Boga, to po co zwracać sobie głowę świętokradztwem?

Jakby tego było mało, Peter i Sarah weszli do kilku apartamentowców stojących przy ulicy, której nazwy Frigate już nie pamiętał. Kiedyś była to bardzo elegancka dzielnica, w której bogacze pobudowali olbrzymie bogato zdobione domy poprzykrywane kopułami. Kiedy krezusi się wyprowadzili, ich siedziby przekształcono w domy mieszkalne, w których żyli wpływowi starsi ludzie, głównie wdowy i wieloletnie małżeństwa. Frigate z dziewczyną przeszli korytarzami trzech budynków, wszędzie napotykając pozamykane drzwi, zza których dobiegały jedynie przytłumione odgłosy z telewizorów. Zostali przyłapani, gdy znajdowali się na trzecim piętrze czwartego budynku, a Sarah klęczała przed Peterem. Jakaś staruszka wystawiła głowę na korytarz, wrzasnęła, po czym zatrzasnęła drzwi. Ze śmiechem wybiegli na ulicę i poszli do mieszkania dziewczyny.

Potem Frigate aż się spocił, myśląc o tym, co by się stało, gdyby zostali złapani przez policję. Więzienie, publiczna kompromitacja, utrata pracy w General Electric, upokorzenie dla jego dzieci, gniew żony. A gdyby tamta staruszka dostała ataku serca? Przeszukał rubrykę nekrologów i odetchnął z ulgą, upewniwszy się, że w nocy nie zmarł nikt z mieszkańców tej okolicy. Samo w sobie było to dosyć dziwne, gdyż Sarah twierdziła, że praktycznie za

każdym razem, gdy wyglądała przez okno, widziała orszak żałobny.

Peter poszukał także choćby drobnej wzmianki o wieczornym incydencie. Ale jeśli nawet starsza pani zadzwoniła na policję, to gazeta o tym nie wspominała.

Trzydziestoosmioletni mężczyzna nie powinien robić takich głupot, zwłaszcza gdy w ten sposób może skrzywdzić niewinne osoby. Nigdy więcej. Ale i tak zawsze się uśmiechał, gdy wspominał tamten dzień.

Choć Frigate został ateistą w wieku piętnastu lat, nigdy nie pozbył się wątpliwości. Mając dziewiętnaście lat wybrał się do kościoła razem z Bobem Allwoodem. Allwood wychował się w rodzinie gorliwych fundamentalistów. Potem również stał się ateistą, ale ten stan trwał u niego tylko rok. W tym czasie oboje jego rodzice zmarli na raka. Przeżyty szok skłonił Boba do zastanowienia się nad nieśmiertelnością. Nie mogąc znieść myśli, że jego rodzice odeszli na zawsze i że już nigdy ich nie spotka, zaczął uczęszczać na spotkania odnowy religijnej. Nawrócił się w wieku osiemnastu lat.

Peter i Bob spędzali ze sobą dużo czasu, będąc najlepszymi kolegami w szkole podstawowej i w liceum. Często spierali się o kwestie religijne i autentyczność Biblii. W końcu Peter zgodził się towarzyszyć Bobowi podczas nabożeństwa prowadzonego przez słynnego pastora Roberta Ransoma.

Peter ze zdziwieniem odkrył, że choć przyszedł do kościoła z kpiącym nastawieniem, poczuł się głęboko poruszony. Był jeszcze bardziej zaskoczony, gdy znalazł się na klęczkach przed pastorem, obiecując uznać Jezusa Chrystusa za swego Pana.

Złamał tę obietnicę w ciągu miesiąca. Nigdy nie potrafił wytrwać w swoich przekonaniach i szybko „utracił stan łaski”, jak by to powiedział Allwood.

Frigate wyjaśnił Bobowi, że za jego nagłym „nawróceniem” stoi religijna indoktrynacja, jaką przeszedł w dzieciństwie, a także inspirujące świadectwa osób obecnych na nabożeństwie.

Allwood nie ustawał w wysiłkach, aby „powalczyć o duszę” Petera, ten jednak pozostał niewzruszony.

Frigate zbliżył się do sześćdziesiątki. Jego szkolni koledzy i przyjaciele z dzieciństwa zaczęli umierać, on sam także podupadł na zdrowiu. Śmierć już nie wydawała mu się czymś odległym. W młodości często myślał o miliardach ludzi, którzy pojawili się na Ziemi przed nim: przyszli na świat, cierpieli, śmiali się, kochali, płakali i umarli. Myślał także o kolejnych miliardach, które przyjdą po nim, aby doznać bólu, nienawiści i miłości, a potem zniknąć. Gdy skończy się świat, ze wszystkich ludzi, zarówno z jaskiniowców, jak i z astronautów, pozostanie jedynie proch i pył.

Jaki to wszystko ma sens? Bez nieśmiertelności, żadnego.

Niektórzy twierdzą, że życie samo w sobie jest powodem i celem istnienia.

To głupcy, okłamujący samych siebie. Niezależnie od tego, jak wiele wiedzą o innych sprawach, w tej kwestii są ignorantami i zaślepienymi idiotami.

Z drugiej strony, niby czemu ludzkość miałaby otrzymać drugą szansę w zaświatach? Przecież to banda żalonych, przebiegłych, zakłamanych hipokrytów. Nawet ci najlepsi. Peter nie znał żadnych świętych, choć nie przeczył, że tacy ludzie byli i są na świecie. W każdym razie uważał, że tylko prawdziwym świętym należy się nieśmiertelność. Jednocześnie kwestionował kandydatury tych, którym już przyznano aureole.

Na przykład taki święty Augustyn. Pasuje do niego jedynie określenie „duppek”. Egocentryczny i samolubny potwór.

Święty Franciszek to kwintesencja świętości, ale bez wątpienia osoba chora psychicznie. Całowanie ran trędowatego, by okazać pokorę? Litości!

Choć przecież, jak stwierdziła żona Petera, nikt nie jest doskonały.

No i przede wszystkim sam Jezus, choć nie mamy żadnego dowodu na to, że faktycznie był świętym. Prawdę mówiąc, z Nowego Testamentu jasno wynika, że ograniczał Zbawienie do Żydów, którzy jednak go odrzucili. Widząc, że Żydzi nie mają zamiaru zrezygnować z religii, o którą ciężko walczyli i za którą tyle wycierpieli, święty Paweł zwrócił się do gojów. Poszedł na kilka kompromisów i tak powstało chrześcijaństwo, czy może raczej „pawłoizm”. Ale święty Paweł był zboczeńcem, bo trudno inaczej nazwać pełną abstynencję seksualną.

To czyniło zboczeńcem także Jezusa.

Ale przecież niektórzy ludzie nie mają silnie rozwiniętego popędu seksualnego. Może Jezus i Paweł należeli do takich osób? Albo wykorzystywali tę energię do ważniejszych celów, starając się pomóc ludziom w poznaniu Prawdy.

Budda mógł być świętym. Dziedzic tronu, na którego czekały władza i bogactwo, ożeniony z piękną księżniczką, która urodziła mu dzieci. A jednak zrzekł się tego wszystkiego. Cierpienia nędzarzy i rozmyślenia nad nieuchronnością śmierci sprawiły, że wyruszył na tułaczkę po Indiach w poszukiwaniu Prawdy. W końcu stworzył buddyzm, odrzucony przez tych samych ludzi, którym próbował pomóc, Hindusów. Jego uczniowie ponieśli tę filozofię w inne rejony świata, gdzie zyskała popularność. Tak jak święty Paweł, który przekazał naukę Jezusa cudzoziemcom.

Religie Jezusa, Pawła i Buddy zostały zafalszowane jeszcze przed śmiercią swoich założycieli. Podobnie jak zakon świętego Franciszka, do którego wkradło się zepsucie, zanim

rozkładowi uległo ciało świętego.

48

Pewnego popołudnia, gdy *Zawrót Głowy* spokojnie unosił się na falach Rzeki, popychany silną bryzą, Frigate podzielił się swoimi myślami z Nurem el-Musafirem. Mężczyźni siedzieli wsparci plecami o gródz dziobówki, palili cygara i leniwie obserwowali ludzi na brzegu. Frisco Kid stał za sterem, a reszta załogi rozmawiała lub grała w szachy.

- Twój problem, a przynajmniej jeden z problemów, polega na tym, że zbyt się martwisz zachowaniem innych ludzi - odezwał się Nur. - No i stawiasz im zbyt wysokie wymagania, których sam nawet nie próbujesz spełnić.

- Dobrze wiem, że nie jestem w stanie tego zrobić, więc przynajmniej nie udaję - odparł Frigate. - Ale denerwują mnie osoby, które twierdzą, że żyją według szlachetnych zasad, a kiedy wytknie się im niekonsekwencję, od razu wpadają w gniew.

- Oczywiście - zachichotał Maur. - Twoja krytyka zagraża ich wizerunkowi samych siebie. Gdy ten legnie w gruzach, będzie to oznaczać ich całkowitą klęskę. Tak przynajmniej sądzą.

- Wiem - odrzekł Frigate. - Dlatego właśnie już dawno przestałem to robić. Nauczyłem się, że lepiej unikać podobnych komentarzy, gdyż często wywołują one wściekłość, a nawet przemoc, której nienawidzę.

- A jednak nosisz w sobie silny gniew - odparł Nur. - Wydaje mi się, że twoja niechęć wobec przemocy wynika ze strachu przed własną brutalnością. Boisz się kogoś skrzywdzić i dlatego właśnie zdusiłeś w sobie przemoc. Jednakże mogłeś ją swobodnie wyrażać jako pisarz. Książki zapewniały ci pewien rodzaj anonimowości i brak bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział Peter.

- Więc czemu nic z tym nie zrobiłeś?

- To nieprawda. Próbowałem różnych terapii, filozofii i religii: psychoanalizy, dianetyki, scjentologii, zen, medytacji transcendentalnej, nichirenizmu, terapii grupowej, scjentyzmu i chrześcijańskiego fundamentalizmu. Kusił mnie także katolicyzm.

- Nie słyszałem o większości tych ruchów - odparł Maur. - I prawdę mówiąc, zbyt mnie one nie interesują. Wina i tak leży po twojej stronie, gdyż, jak sam przyznałeś, nigdy nie potrafiłeś dłużej pozostać przy jednej filozofii.

- Działo się tak dlatego, że kiedy już się w którąś zaangażowałem, szybko zauważałem wady - wyjaśnił Frigate. - Poza tym miałem okazję przyjrzeć się innym wyznawcom. Większość religii i filozofii ma pozytywny wpływ na ludzi, którzy je praktykują, ale nie aż tak korzystny, jak się powszechnie utrzymuje. Wierni sami się oszukują co do zalet swojego wyznania.

- Co więcej, nie potrafisz zdecydować się na jedną drogę życiową - kontynuował Nur.
- Wydaje mi się, że wynika to ze strachu przed zmianą własnego wnętrza, której w głębi duszy pragniesz, ale się obawiasz. Jak dotąd zawsze zwyciężał w tobie strach.

- O tym również doskonale wiem - przytaknął Peter.

- Nie zrobiłeś nic, aby przezwyciężyć ten lęk.

- Trochę zrobiłem.

- Za mało.

- Owszem - zgodził się Frigate. - Choć pod koniec życia poczyniłem pewne postępy, a w tym świecie kontynuuję pracę nad sobą.

- Tyle że bez zadowalających rezultatów, prawda?

- Niestety.

- Co komu po samoświadomości, skoro brakuje chęci zmian? - spytał Maur.

- Zgadza się.

- W takim razie musisz znaleźć sposób, by twoja chęć działania przewyciężyła chęć braku działania - stwierdził Nur, po czym się uśmiechnął, a w jego czarnych oczach pojawił się błysk. - Oczywiście, zaraz powiesz, że dobrze o tym wszystkim wiesz, a potem spytasz, czy mogę pokazać ci właściwą drogę. Ja z kolei odpowiem, że najpierw musisz naprawdę tego chcieć. Jeszcze nie jesteś gotowy, choć tak ci się wydaje. Niestety, ta chwila może nigdy nie nadejść. Szkoda, bo masz potencjał.

- Każdy ma potencjał - odparł Frigate.

Nur podniósł wzrok na Amerykanina.

- W pewnym sensie masz rację - odrzekł. - Ale nie do końca.

- Mógłbyś wyjaśnić?

Nur potarł olbrzymi nos drobną, chudą dłonią, po czym cisnął cygaro za burtę. Wziął do ręki swój bambusowy flet i przez chwilę na niego patrzył, ale odłożył go z powrotem na pokład.

- Wyjaśnię, kiedy przyjdzie ku temu odpowiednia chwila - odpowiedział. - Jeśli w ogóle kiedykolwiek przyjdzie.

Zerknął na Frigate'a.

- Czujesz się odrzucony? - spytał. - Tak, wiem, że zbyt silnie reagujesz na odrzucenie. To jeden z powodów, dla których zawsze starasz się unikać podobnych sytuacji. Ale w takim razie, dlaczego zdecydowałeś się zostać pisarzem? W swojej karierze przetrwałeś początkowy okres odrzucenia, choć z twojej opowieści wynika, że nie raz musiało mijać sporo czasu, zanim ponownie sięgałeś po pióro. Ale wytrwałeś. Teraz tylko od ciebie zależy, czy zniechęcisz się moją odmową. Spróbuj ponownie za jakiś czas, kiedy będziesz wiedział, że się nadajesz.

Frigate długo milczał. Maur podniósł flet do ust i po chwili rozległ się dziwny, falujący dźwięk. Po skończeniu służby Nur nie rozstawał się ze swoim instrumentem. Czasami zadowalał się wygrywaniem krótkich utworów, zapewne liryków. Jednak zdarzały się dni, kiedy godzinami siedział po turecku na dziobówce, w całkowitej ciszy i z zamkniętymi oczami. W takich chwilach zawsze szanowano prywatność Maura i nikt z załogi mu nie przeszkadzał. Frigate wiedział, że Nur wprowadza się w jakiś rodzaj transu, ale jak dotąd tylko raz go o to spytał.

- Nie musisz wiedzieć. Na razie - odpowiedział mężczyzna.

Nur-ed-din ibn Ali el-Hallaq (Światło-Wiary, syn cyrulika Aliego) od początku fascynował Frigate'a. Nur przyszedł na świat w 1164 roku n.e. w Kordowie, od 711 roku będącej się we władaniu muzułmanów. Saraceńska cywilizacja w mauretańskiej Iberii znajdowała się wtedy w szczytowej fazie rozwoju. W porównaniu z niezwykle kulturą muzułmańską chrześcijańska Europa tkwiła wówczas w mrokach wczesnego średniowiecza. Kwitła islamska sztuka, nauka, filozofia, medycyna, literatura i poezja. Miasta na zachodzie - Kordowa, Sewilla i Granada - oraz wschodzie - Bagdad i Aleksandria - nie miały sobie równych, może poza słynnymi ośrodkami kulturalnymi w dalekich Chinach.

Bogaci chrześcijanie posyłali swoich synów na iberyjskie uniwersytety, by umożliwić im zdobycie edukacji nieosiągalnej w Londynie, Paryżu czy Rzymie. Synowie biedaków również przybywali do Iberii i zebrali o chleb, aby tylko móc zdobywać wiedzę. Potem powracali z muzułmańskich uczelni do domu, gdzie dzielili się tym, co przekazali im mistrzowie odziani w długie szaty.

Mauretańska Iberia była dziwnym i wspaniałym krajem rządzonym przez ludzi o różnym poziomie wiary i dogmatyzmu. Niektórzy byli surowi i nietolerancyjni. Inni mieli na tyle otwarte umysły, że czynili chrześcijan i żydów swoimi wezyrami, zdradzali zamiłowanie zarówno do nauk humanistycznych, jak i ścisłych, lubili cudzoziemców, chętnie się od nich ucząc, i mieli dość liberalne podejście do kwestii religijnych.

Ojciec Nura prowadził swój zakład w dużym pałacu poza Kordową, w pobliskim

miasteczku Medinat Az-Zahra, które w czasach Nura słynęło na cały świat, a o którym w epoce Frigate'a nikt już nie pamiętał. Nur właśnie tam przyszedł na świat i wyuczył się zawodu ojca, ale jako że pragnął zostać kimś więcej i zdradzał dużą bystrość umysłu, Ali użył swoich znajomości wśród bogatych mecenasów, aby pomóc synowi w zdobyciu lepszej pozycji. Nur miał talent w dziedzinie literatury, muzyki, matematyki, alchemii i teologii, trafił więc do najlepszej szkoły w Kordowie. Tam wmieszał się w tłum bogatych i biednych, ważnych i nieistotnych, chrześcijan z północy i czarnoskórych Nubijczyków.

Spotkał tam również Muyida-ed-dina ibn el-Arabiego. Młodzieniec ten miał w przyszłości zostać najwybitniejszym poetą miłosnym swoich czasów, a echa jego pieśni odnajdywano w dziełach prowansalskich i niemieckich trubadurów. Bogaty i przystojny chłopak polubił biednego i brzydkiego syna cyrulika i w 1202 roku zaproponował mu wspólną pielgrzymkę do Mekki. Podczas podróży przez Afrykę Północną napotkali grupę perskich imigrantów, wyznawców sufizmu. Nur spotkał się już wcześniej z tą religią, a po rozmowie z Persami postanowił zostać ich uczniem. Nie był jednak w stanie znaleźć nikogo, kto chciałby zostać jego mistrzem, więc wyruszył w dalszą podróż z el-Arabim, docierając do Egiptu, gdzie obaj młodzieńcy zostali oskarżeni o herezję przez fanatyków i ledwie uszli z życiem.

Kiedy już dotarli do Mekki i zakończyli *hadżdż*, udali się w dalszą wędrówkę do Palestyny, Syrii, Persji i Indii. Podróż ta zajęła im cztery lata. Następnie postanowili wrócić do rodzinnego miasta, spędzając tym samym kolejny rok w drodze. W Kordowie obaj przez jakiś czas byli uczniami Fatimy bint Waliyyi. Sufi wierzyli w równouprawnienie kobiet i mężczyzn, czym oburzali ortodoksyjnych muzułmanów, którzy uważali, że obie płcie powinny spędzać ze sobą czas tylko w celach rozrodczych.

Fatima posłała Nura do Bagdadu po naukę u słynnego mistrza. Po kilku miesiącach mistrz odesłał chłopaka z powrotem do Kordowy do innego wielkiego nauczyciela. Kiedy chrześcijanie zdobyli miasto po krwawym oblężeniu, Nur udał się wraz ze swym mistrzem do Granady.

Spędzili tam kilka lat, po czym Nur rozpoczął serię tułaczek, którym zawdzięcza swój *lackab*, czyli swoje przezwisko: el-Musahr, Podróżnik. Najpierw wybrał się do Rzymu, gdzie dotarł bezpiecznie dzięki listom polecającym od el-Arabiego i Fatimy, a następnie do Grecji, Turcji, ponownie do Persji, do Afganistanu, Indii, Cejlonu, Indonezji, Chin i Japonii.

Osiadł w świętym Damaszku, gdzie zarabiał na życie jako muzyk oraz nauczyciel, do czego upoważniał go tytuł *tasawwuf*, czyli mistrza sufi. Po siedmiu latach znów wyruszył w podróż. Tym razem udał się w górę Wołgi, przez Finlandię i Szwecję, a następnie przeprowił

się przez Bałtyk do krainy bałwochwalczych i dzikich Prusów. Po wyrwaniu się z rąk ludzi chcących złożyć go w ofierze drewnianemu posągowi bóstwa, ruszył dalej na zachód przez Niemcy, Francję, aż do Anglii i Irlandii.

Kiedy Nur przybył do Londynu, na tronie angielskim zasiadał Ryszard I, zwany Ryszardem Lwie Serce. Króla nie było wtedy w kraju, prowadził bowiem oblężenie zamku Chalus we francuskim Limousin. Miesiąc później Ryszard zginął, trafiony przez strzałę wystrzeloną z murów zamku, a w maju koronowano jego brata, Jana. Nur był świadkiem ceremonii, a wkrótce udało mu się uzyskać prywatną audiencję u króla. Zapamiętał Jana jako przemilego i wesołego człowieka żywo zainteresowanego kulturą islamu i sufizmem, a zwłaszcza opowieściami Maura o dalekich krajach.

- W tamtych czasach podróżowanie było niezwykle uciążliwe i niebezpieczne - odezwał się Frigate. - Nawet w tak zwanych cywilizowanych krajach sytuacja nie wyglądała za dobrze. Wszędzie panowała nietolerancja religijna. Ciekawi mnie, w jaki sposób ty, muzułmanin, mogłeś samotnie, bez żadnej protekcji i dużych pieniędzy, podróżować bezpiecznie po chrześcijańskiej ziemi? Zwłaszcza w okresie, gdy szalały krucjaty?

Nur wzruszył ramionami.

- Zwykle starałem się o ochronę ze strony dostojników kościelnych, a oni gwarantowali mi bezpieczeństwo - odparł. - Bardziej martwili ich heretycy na łonie ich własnej religii niż innowiercy, przynajmniej w ich własnych prowincjach. Często chroniła mnie także moja bieda. Kiedy wędrowałem przez obszary wiejskie, zarabiałem na utrzymanie grą na flecie, zonglowaniem oraz sztuczkami akrobatycznymi i magicznymi. Poza tym jestem utalentowany językowo, więc szybko uczyłem się miejscowych dialektów. Czasem opowiadałem ciekawe historie i dowcipy. Ludzie zawsze pragną nowin ze świata i dobrej rozrywki. W większości miejsc przyjmowano mnie z otwartymi rękami, choć od czasu do czasu spotykałem się także z wrogim powitaniem. Ale zazwyczaj ludzi nie obchodziło, że jestem muzułmaninem, skoro byłem niegroźny i sprawiałem im radość. No i emanowało ze mnie przyjazne nastawienie.

Po powrocie do Granady i odkryciu, że zapanowały tam nastroje niekorzystne dla sufich, Nur udał się do Chorasanu. Nauczał tam przez kilka lat, po czym ponownie wybrał się w podróż do Mekki. Z południa Arabii przepłynął statkiem handlowym do wybrzeży Zanzibaru, a następnie do południowo-wschodniej Afryki. Potem wrócił do Bagdadu, gdzie zginął w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat.

Mongołowie pod wodzą Hulagu, wnuka Czyngis-chana, wdarli się do Bagdadu, mordując mieszkańców i plądrując miasto. W ciągu czterdziestu dni straciło życie kilkaset

tysięcy ludzi, między nimi Nur-ed-din ibn Ali el-Hallaq. Mężczyzna siedział właśnie w swojej izdebce i grał na flecie, gdy do środka wpadł przysadzisty skośnooki żołnierz, cały we krwi. Nur nie przerwał pieśni, aż do chwili gdy Mongoł ściął go mieczem.

- Mongołowie doprowadzili Bliski Wschód do ruiny - rzekł Frigate. - Nigdy w historii nikt w tak krótkim czasie nie dokonał tylu zniszczeń. Zanim odeszli, wymordowali połowę populacji i zrównali z ziemią wszystko, co mogli, od kanałów po budynki. W moich czasach, czyli sześćset lat później, Bliski Wschód nadal nie mógł się po tym pozbierać.

- Faktycznie, to była prawdziwa plaga - zgodził się Nur. - Ale wśród nich trafiali się dobrzy ludzie.

Siedząc obok Maura i obserwując zgromadzonych na brzegu czarnoskórych tubylców żujących betel, Frigate rozmyślał o przypadku. Jakie gwiazdy skrzyżowały ścieżki dwóch mężczyzn, z których jeden przyszedł na świat w 1918 roku na amerykańskim Środkowym Zachodzie, a drugi w 1164 roku w muzułmańskiej Hiszpanii? Czy to przeznaczenie, czy tylko przypadek? Zapewne to drugie. Na Ziemi byłoby to niemożliwe. Świat Rzeki zwiększał nasze możliwości.

Tego wieczoru rzucili kotwicę w pobliżu brzegu, a cała załoga zebrała się w kajucie kapitana, by w blasku tranowych lamp pograć w pokera. Gdy Tom Rider zgarnął całą pulę (grali na papierosy), mężczyźni urządzili sobie wieczór opowieści. Kiedy nadeszła kolej Nura, ten uraczył towarzyszy dwiema opowiadkami o Mullahu Nasruddinie (Orle-Wiary), bohaterze muzułmańskich podań ludowych, szalonym derwiszu i prostaczku, którego przygody stanowiły lekcje mądrości.

Nur pociągnął mały łyk szkockiej, której nigdy nie pijał więcej niż dwie uncje dziennie.

- Kapitanie, opowiedziałeś nam o Pacie i Mike'u, księdzu, rabinie i ministrze. To zabawna historia, która mówi nam coś o schematach ludzkiego myślenia. Pat i Mike są postaciami zakorzenionymi w zachodnim folklorze. Pozwólcie, że teraz ja opowiem wam o bohaterze pochodzącym ze świata Wschodu. Oto pewien mężczyzna odwiedził Mullaha Nasruddina i zobaczył, że ten chodzi wokół domu i rozrzuca okruchy chleba.

„Czemu to robisz, Mullahu?” - zdziwił się jego gość.

„Aby odstraszyć tygrysy” - odpowiedział Mullah”.

„Przecież w tej okolicy nie ma tygrysów”.

„No właśnie” - odparł Nasruddin. - „To działa!”.

Wszyscy się roześmiali.

- Nur, jak stara jest ta opowieść? - spytał Frigate.

- Kiedy przyszedłem na świat, miała już co najmniej dwa tysiące lat - odrzekł Maur. - Pojawiła się wśród sufich jako część ich nauczania. Czemu pytasz?

- Ponieważ słyszałem ją w trochę innej wersji w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku - odpowiedział Frigate. - Tylko że według niej to pewien Anglik klęczał na ulicy i kredą rysował linię na krawężniku. Przechodzący znajomy spytał go, czemu to robi.

„Aby odstraszyć lwy”.

„Ale przecież w Anglii nie ma lwów”.

„A widzisz?”.

- Na Boga, słyszałem tę samą opowieść jako dzieciak w San Francisco! - zakrzyknął Farrington. - Tylko że wtedy traktowała o Irlandczyku.

- Wiele z pouczających opowiadań o Nasruddinie stało się zwykłymi dowcipami - odezwał się Nur. - Dziś ludzie się z nich śmieją, ale pierwotnie traktowano je bardzo poważnie. Oto kolejna: Nasruddin wielokrotnie przekraczał na swym osiołku granicę między Persją i Indiami. Za każdym razem osioł niósł na grzbiecie wiązki słomy, a kiedy Mullah wracał, osioł nie miał na sobie ładunku. Celnik zawsze skrupulatnie przeszukiwał Nasruddina, ale nigdy nie znalazł kontrabandy. Pytał mężczyznę, co przewozi, a Mullah z uśmiechem odpowiadał, że jest przemytnikiem. Po wielu latach Nasruddin przeniósł się do Egiptu. Któregoś dnia odwiedził go celnik i powiedział:

„No dobrze, Nasruddinie. Teraz już możesz mi odpowiedzieć bez ryzyka. Coś ty takiego przemycił?”.

„Osiołki” - odparł Mullah.

Załoga znów wybuchnęła śmiechem.

- Słyszałem tę samą opowieść w Arizonie - rzekł Frigate. - Tylko że tym razem przemytnik miał na imię Pancho i przekraczał granicę między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi.

- Wydaje mi się, że wszystkie opowieści są bardzo stare - wtrącił się Tom Rider. - Pewnie pochodzą jeszcze z epoki jaskiniowców.

- Możliwe - odrzekł Nur. - Według tradycji historyjki te zostały wymyślone przez sufich na długo przed przyjściem na świat Mahometa. Mają na celu nauczyć ludzi zmieniać utarte schematy myślenia, choć nie można im odmówić humoru. Oczywiście mistrzowie stosują je tylko na pierwszym, podstawowym etapie nauczania. Od tamtej pory opowiadki o Nasruddinie rozprzestrzeniły się po całym Wschodzie i Zachodzie. Z niemałym zaskoczeniem odkryłem, że niektóre opowiadają w swym ojczystym języku mieszkańcy Irlandii. Historie sufich przemierzyły więc tysiące mil i dwa tysiąclecia, z Persji do Hibernii.

- Skoro sufi wymyślili je jeszcze przed narodzeniem Mahometa, to początkowo musieli być wyznawcami zoroastryzmu - stwierdził Frigate.

- Islam nie ma wyłączności na sufizm - odparł Nur. - Muzułmanie silnie rozwinęli ten ruch, ale kandydatem na sufię może zostać każdy, kto wierzy w Boga. Co więcej, sufi dostosowują swoje metody nauczania do lokalnych kultur. To, co się sprawdza w przypadku perskich muzułmanów w Chorasanie, niekoniecznie zadziała wobec czarnoskórych muzułmanów w Sudanie, nie wspominając o chrześcijanach w Paryżu. Miejsce i czas wpływają na obraz nauczania.

Później tego samego wieczoru Nur i Frigate spacerowali wokół wielkiego ogniska, przeciskając się przez tłum hałasujących Drawidyjczyków.

- Jak planujesz zaadaptować swoje średniowieczne iberyjsko-mauretańskie metody do potrzeb tego świata? - zapytał Peter. - Przecież żyje tu mieszanka ludzi ze wszystkich miejsc i czasów. Nie ma żadnych monolitycznych kultur, a te, które istnieją, podlegają ciągłym zmianom.

- Pracuję nad tym - odpowiedział Nur.

- Czy więc jednym z powodów, dla których nie chcesz, abym został twoim uczniem, jest to, że nie czujesz się gotowy do nauczania?

- Jeśli chcesz, możesz się w ten sposób pocieszać - odrzekł ze śmiechem Maur. - Ale owszem, to jeden z powodów. Prawdziwy nauczyciel ciągle musi uczyć samego siebie.

49

Szare obłoki przepływały przez statek, wypełniając każde pomieszczenie.

- O nie, nie znowu! - jęknął Sam Clemens, choć sam nie wiedział dlaczego.

Mgła nie tylko napierała na grodzie i atakowała wszystko, co mogło nasiąknąć wodą, ale też wdzierała się mężczyźnie do gardła i otulała mu serce. Z niego krople skapywały do brzucha, bulgotały w kroczu, po czym przelewały się i spływały po nogach, zalewając mu stopy.

Clemensa sparaliżował bezimienny strach, którego już wcześniej doświadczył.

Był sam w sterówce. Sam na całym statku. Stał przy pulpicie sterowniczym i wyglądał przez okno zaklejone mgłą. Widoczność wynosiła zaledwie kilkadziesiąt centymetrów, a jednak skądś wiedział, że brzegi Rzeki są puste. Nikogo tam nie ma. Oto płynie samotnie na gigantycznym statku, a nawet on nie jest tu potrzebny, gdyż działa automatyczny nawigator.

A jednak, chociaż czuje się samotny, teraz nic mu nie przeszkodzi w dotarciu do źródeł Rzeki. Na świecie nie ma już nikogo, kto mógłby mu stanąć na drodze.

Odwrócił się i zaczął spacerować tam i z powrotem pomiędzy grodziami sterówki. Jak długo potrwa ta podróż? Kiedy podniesie się całun z mgły, zaświeci słońce i pojawią się góry otaczające polarne morze? Kiedy Sam znów usłyszy ludzką mowę?

- Teraz! - rozległ się czyjś donośny głos.

Sam podskoczył jak wyrzucony na sprężynie. Serce waliło mu z szybkością skrzydeł kolibra, wypompowując na zewnątrz wodę i strach, które tworzyły sporą kałużę na podłodze. Clemens bezwiednie się odwrócił i stanął naprzeciwko właściciela głosu, mrocznej postaci spowitej w obłok mgły wirującej w sterówce. Nieznajomy podszedł bliżej, zatrzymał się, po czym wyciągnął bezkształtną kończynę w kierunku tablicy kontrolnej i coś przełączył.

Sam próbował protestować, ale słowa zderzyły się ze sobą w jego krtani i rozsypały na tysiące kawałków, jakby były zbudowane z cienkiego szkła.

Choć brak światła nie pozwalał dostrzec, którego przełącznika dotknęła postać, Clemens wiedział, że statek znajduje się teraz na kursie kolizyjnym z lewym brzegiem Rzeki.

W końcu z gardła mężczyzna wydostał się głos, a raczej pisk.

- Nie możesz tego zrobić!

Postać powoli zbliżyła się do Sama. Teraz Clemens widział, że ma do czynienia z

człowiekiem, mniej więcej jego wzrostu, lecz o znacznie szerszych ramionach. Na jednym z ramion przybysza wisiał długi drewniany trzonek zakończony trójkątnym ostrzem.

- Eryk Krwawy Topór! - krzyknął Sam.

Rozpoczął się straszliwy pościg. Clemens przebiegł kolejno przez wszystkie pomieszczenia trypoziomowej sterówki, przemierzył pokład załogowy i dopadł do drabinki prowadzącej do górnej ładowni. Następnie, po kolejnej drabince zszedł na górny pokład, potem na pokład główny, a w końcu znalazł się w obszernej kotłowni.

Zdając sobie sprawę z wody napierającej na kadłub i wiedząc, że znajduje się pod powierzchnią Rzeki, przebiegł przez cały ciąg mniejszych i większych pomieszczeń, pomiędzy gigantycznymi elektrycznymi silnikami napędzającymi koła łopatkowe, które popychały statek ku zagładzie. Pędził w stronę magazynu, w którym przechowywano dwie szalupy. Zamierzał uszkodzić silnik jednej z nich i uciec na pokładzie drugiej. Ale ktoś zamknął drzwi.

Teraz siedział skulony w malutkim pomieszczeniu, starając się uspokoić oddech. Nagle otworzył się właz i we mgle zamajaczyła sylwetka Eryka. Wiking powoli zbliżał się do Sama, trzymając w dłoniach wielki topór.

- Ostrzegalem cię - odezwał się Eryk, po czym uniósł broń.

Clemens nie mógł się poruszyć ani zaprotestować. To przecież jego wina. Wiedział, że na to zasłużył.

50

Obudził się z głośnym jękiem. W kajucie paliło się światło, a nad sobą Clemens ujrzał piękną twarz Gwenafry otoczoną długimi miodowymi włosami.

- Sam! Obudź się! - wołała kobieta. - Znow męczą cię koszmary!

- Tym razem prawie mnie dopadł - wymamrotał Sam.

Usiadł. Z innych pokładów dobiegał dźwięk gwizdków. Po chwili zagwizdał także interkom. Statek wkrótce przybije do brzegu w pobliżu kamienia obfitości i załoga pójdzie na śniadanie. Sam lubił spać do późna i mógłby nawet poświęcić posiłek, ale jako kapitan miał obowiązek wstać razem z innymi.

Wygramolił się z łóżka i powłókł do łazienki, gdzie wziął prysznic i umył zęby. Kiedy wrócił, Gwenafra miała już na sobie swój poranny strój, w którym wyglądała jak Eskimoska, która zamieniła futra na ręczniki. Sam włożył podobne ubranie, ale zamiast kapturem nakrył głowę kapitańską czapką. Zapalił cygaro i zaczął spacerować po kajucie, wypuszczając z ust kłęby dymu.

- Znowu śnił ci się Krwawy Topór? - spytała Gwenafra.

- Tak - odparł Clemens. - Zrobisz mi kawę?

Kobieta wsypała łyżeczkę ciemnych kryształków do szarego metalowego kubka, a woda natychmiast zaczęła wrzeć.

- Dzięki - powiedział Sam, biorąc kubek.

- Nie musisz czuć się winny z jego powodu - odezwała się Gwenafra, pociągając łyk kawy.

- Powtarzałem to sobie tysiąc razy - odparł Sam. - Wiem, że to nie ma sensu, ale ta świadomość w niczym mi nie pomaga. Ludzie kierują się w życiu właśnie tym co irracjonalne. Władca Snów może nie grzeszy rozumem, ale jest wielkim artystą. To częsta kombinacja, która zapewne dotyczy także mnie samego.

- Nie ma najmniejszych szans na to, żeby Krwawy Topór kiedykolwiek cię odnalazł - uspokoiła go Gwenafra.

- Wiem, ale powiedz to Władcy Snów - odparł Clemens.

Na tablicy kontrolnej zabłysła lampka i rozległ się gwizd. Sam wcisnął jeden z guzików i w kajucie rozległ się głos:

- Panie kapitanie? Tutaj Detweiller. Dotrzemy do kamienia obfitości za pięć minut.

- Zrozumiałem, Hank - odpowiedział Clemens. - Zaraz tam będę.

Razem z Gwenafrą wyszli z sali recepcyjnej i ruszyli wąskim korytarzem na mostek znajdujący się na górnym poziomie sterówki. Pozostali oficerowie mieli kajuty na drugim i trzecim pokładzie.

W sterowni znajdowały się trzy osoby: Detweiller, który niegdyś pełnił funkcję pilota na Mississipi, następnie kapitana parowca, a potem został właścicielem spółki przewoźniczej w Illinois; John Byron, oficer naczelny, były admirał w Królewskiej Marynarce Wojennej oraz Jean Baptiste Antoine Marcellin de Marbot, brygadier, były generał w armii Napoleona.

Ten ostatni był niskim, szczupłym i wesołym mężczyzną o czarnych włosach, zadartym nosie i jasnoniebieskich oczach. Zasalutował Clemensowi i zameldował się w esperanto, zgłaszając gotowość do działania.

- Bardzo dobrze, Marc - odpowiedział Sam. - Teraz zajmij swoje stanowisko.

Francuz ponownie zasalutował i wyszedł ze sterówki, ześlizgując się po słupie na skąpany w sztucznym świetle pokład załogowy, gdzie żołnierze stali w szyku bojowym. Chorąży trzymał flagę parostatku - błękitny kwadrat ze szkarłatnym feniksem. Obok w kilku szeregach stali strzelcy, mężczyźni i kobiety w szarych duraluminiowych hełmach przypominających wiadra. Na szczycie hełmów sterczały kępki tłustych włosów. Oprócz tego strzelcy mieli na sobie plastikowe kamizelki, skórzane buty do kolan i szerokie pasy, za którymi tkwiły pistolety „Mark IV”.

Za strzelcami stała piechota uzbrojona we włócznie oraz łucznicy. Tuż obok prezentowała się grupa żołnierzy z bazookami.

Niedaleko krawędzi pokładu stał olbrzym odziany w zbroję, trzymając w garści dębowy kij, który Clemens z trudem podnosił obiema rękami. Oficjalnie Joe Miller pełnił obowiązki ochroniarza kapitana, ale w takich chwilach zawsze przyłączał się do żołnierzy. Jego główne zadanie polegało na wzbudzaniu respektu u tubylców.

- Jak to zwykle bywa, Joe odrobinę przesadza - zwykł mawiać Sam. - Wprawia ich w śmiertelne przerażenie samą obecnością.

Ten dzień rozpoczął się podobnie jak inne, lecz miał się stać wyjątkowy. Dziś *Minerwa* zaatakuje *Reksa Grandissimusa*. Clemens powinien się cieszyć, ale wcale nie odczuwał radości. Nie podobało mu się, że taki piękny statek, który on sam zaprojektował i zbudował, musi pójść na dno. Poza tym, pozbawiało go to przyjemności osobistej zemsty na Janie.

Choć z drugiej strony, tak będzie znacznie bezpieczniej.

Na prawym brzegu, mniej więcej pół kilometra przed nimi, płonęło ognisko. W jego blasku ujrzeli grzybopodobny kamień obfitości i ludzi ubranych w białe rękawiczki. W tej okolicy mgła pokrywająca Rzekę wydawała się rzadsza. Gdy tylko słońce wyjrzy zza górskich szczytów, szary całun całkowicie zniknie. Światło dnia powoli wymazywało z nieba gwiazdy i obłoki kosmicznego gazu.

Zgodnie ze zwyczajową procedurą przed parostatkem płynął *Ognisty Smok III*, czyli opancerzona amfibia. Kiedy konieczne okazywało się naładowanie akumulatora, kapitan amfibii negocjował z tubylcami warunki skorzystania z dwóch kamieni obfitości. Zwykle miejscowi chętnie się na to zgadzali, choćby dlatego, że mieli ochotę obejrzeć z bliska olbrzymi statek.

Tubylcy, którzy odmawiali, musieli się liczyć z chwilową konfiskatą kamieni obfitości. Mogli jedynie protestować, gdyż *Mark Twain* dysponował potężną siłą ognia, choć Clemens niechętnie z niej korzystał. Nawet wtedy, gdy przemoc okazywała się nieunikniona, Sam pragnął uniknąć masakry i ograniczał się do kilku serii z parowych karabinów maszynowych wystrzeliwujących plastikowe pociski. W większości przypadków nie trzeba było nikogo zabijać.

W końcu, co tracili tubylcy na chwilowym udostępnieniu dwóch kamieni obfitości? Nikt nie musiał rezygnować z posiłku, bo na pobliskich głazach zawsze znalazły się wolne zagłębienia. Zresztą większość wołała zostać i podziwiać parostatek.

Cztery olbrzymie silniki elektryczne wymagały niesamowitej ilości energii. Każdego dnia za pomocą dźwigu przykrywano kamień obfitości wielką metalową pokrywą. W tym czasie szalupa zabierała rogi obfitości do sąsiedniego kamienia w celu zdobycia pożywienia. Podczas wyładowania energia z głazu płynęła grubymi kablami do akumulatora, dużego metalowego pudła wznoszącego się z kotłowni aż na główny pokład. Akumulator pełnił zarówno funkcję kondensatora, jak i baterii, wedle życzenia przechowując lub uwalniając pobraną energię.

Sam Clemens zszedł na brzeg i zamienił parę słów z wodzem tubylców, który znał esperanto. W tej krainie uniwersalny język uległ sporej degradacji, ale Samowi udało się zrozumieć słowa wodza. Podziękował mu za gościnność i wrócił na statek w małej prywatnej szalupie. Dziesięć minut później *Ognisty Smok IV* powrócił z ładunkiem pełnych rogów obfitości.

Hałasując za pomocą gwizdków i dzwonek, aby dać trochę radości tubylcom, parostatek ruszył w dalszą podróż w górę Rzeki. Sam i Gwenafra zasiedli na szczycie wielkiego, dziewięciobocznego stołu w jadalni znajdującej się na głównym pokładzie. Do

posiłku usiedli z nimi wysocy rangą oficerowie, którzy aktualnie nie pełnili służby. Po wydaniu kilku poleceń Clemens rozegrał partyjkę bilarda z tytanotropem. Z powodu swoich dużych dłoni Joe nie radził sobie za dobrze ani z kijem ani z kartami, i Sam prawie zawsze zwyciężał. Później planował zagrać z lepszym przeciwnikiem.

O godzinie 7:00 miał w planach inspekcję statku. Nie lubił dużo chodzić, ale wiedział, że to dobrze wpływa na jego zdrowie. Poza tym, inspekcje pozwalały utrzymać wrażenie, że na *Marku Twainie* obowiązuje wojskowa dyscyplina, bez której załoga zapewne dość szybko by się rozleniwiała i straciła respekt wobec kapitana.

Clemens często się przechwalał, że na jego statku panuje żelazny rygor, a żaden z członków załogi nigdy nie upił się na służbie.

Tego ranka inspekcja się nie odbyła. Sama wezwano do sterówki, gdyż radiooperator otrzymał wiadomość z *Minerwy*. Zanim Clemens zdążył wysiąść z windy, na radarze pojawił się jakiś obiekt nadlatujący ponad górami od strony lewej burty.

51

Sterowiec opuścił się z nieba niczym srebrne jajo złożone przez słońce. Poruszonym ludziom na łodzi, którzy w większości nigdy nie widzieli podobnego pojazdu, ani nawet o nim nie słyszeli, wydał się przerażającym potworem. Nic dziwnego, że część tubylców doszła do wniosku, że na pokładzie znajdują się tajemnicze istoty, które ich wskrzesiły. Niektórzy witali sterowiec z mieszanką strachu i radości, pewni, że oto zbliża się rozwiązanie zagadki.

W jaki sposób *Minerwa* tak łatwo odnalazła *Marka Twaina*? Parostatek ciągnął za sobą balon, do którego przymocowano silny nadajnik. Hardy, nawigator *Minerwy*, znał ogólne położenie statku dzięki mapie Doliny Rzeki, która leżała na jego stoliku. Podczas całej podróży, trwającej już wiele lat, *Mark Twain* wysyłał dane umożliwiające mieszkańcom Parolando śledzenie trasy rejsu. Ponadto, po zauważeniu parostatku nawigator *Parsevala* przesłał *Minerwie* namiary na statek Clemensa.

Znając położenie *Reksa*, kapitan *Minerwy* wiedział, że w linii prostej statek Jana bez Ziemi od bocznokołowca Sama dzieli zaledwie 140 kilometrów. Jednakże, biorąc pod uwagę kręty bieg Rzeki, faktyczna przewaga Anglika wzrastała do 571195 kilometrów.

Greystock poprosił przez radio o zgodę na przelot nad *Markiem Twainem*.

- Po co? - spytał Sam, a przekaz radiowy wymazał z jego głosu wszelkie emocje.

- Aby was pozdrowić - odpowiedział Anglik. - A poza tym, pomyślałem, że pan i pana załoga chcielibyście się przyjrzeć jednostce, która wkrótce zniszczy króla Jana. Prawdę mówiąc, moi ludzie i ja też mamy ochotę zobaczyć wasz wspaniały parostatek z bliska. - Na chwilę zamilkł. - To może być nasza ostatnia szansa - dodał.

Sam nie odpowiedział od razu. Po chwili się odezwał, ale jego głos brzmiał tak, jakby mężczyzna powstrzymywał łzy.

- No dobrze, Greystock. Możecie przelecieć obok nas, ale nie nad nami. Może mam paranoję, ale czułbym się nieswojo, mając nad głową sterowiec niosący cztery wielkie bomby. A co, gdybyście je przypadkiem zrzucili?

Greystock przewrócił oczami z obrzydzeniem, po czym wyszczerzył się do pozostałych oficerów w gondoli.

- Nie ma takiego zagrożenia - odpowiedział.

- Czyżby? To właśnie powiedział dowódca *Maine*, zanim położył się spać - odparł

Clemens. - Nie, Greystock. Zrobicie, jak ja wam każę.

Greystock, wyraźnie niezadowolony, odpowiedział, że postąpią zgodnie z życzeniem Sama.

- Tylko was okrążymy, po czym ruszamy w drogę.

- Powodzenia - odrzekł Sam. - Wiem, że możecie...

Nie był w stanie dokończyć zdania.

- Wiemy, że możemy nie wrócić - odpowiedział Greystock. - Ale sądzę, że mamy dużą szansę zaskoczyć *Reksa*.

- Też mam taką nadzieję - rzekł Sam. - Pamiętajcie, że na pokładzie *Reksa* znajdują się dwa samoloty. Dlatego najpierw zbombardujcie pokład startowy, żeby nie mogły wznieść się w powietrze.

- Nie potrzebuję rad - odparł chłodno Greystock.

Znów zapadła cisza, tym razem nieco dłuższa. Przerwał ją donośny głos Sama.

- Lothar von Richthofen chce was powitać w powietrzu. Zbliży się do was i udzieli wam swojego osobistego błogosławieństwa. Tyle mogę dla niego zrobić. Nie było łatwo go przekonać, że nie powinien was konwojować. Oczywiście chciałby uczestniczyć w ataku, ale nasze samoloty osiągają pułap zaledwie trzech tysięcy sześciuset sześćdziesięciu metrów, co czyni je zbyt podatnymi na prądy zstępujące pojawiające się nad górami. Poza tym, piloci musieliby zabierać dodatkowy zbiornik paliwa, by móc wrócić...

- Mówiłem mu, że możesz nam użyczyć paliwa ze swojego sterowca - wtrącił się Lothar.

- Nie ma mowy! - sprzeciwił się Clemens.

Greystock wyrzwał przez przednie okno. Załoga parostatku właśnie ściągała balon z nadajnikiem. Zajmie im to pewnie jeszcze około dwudziestu minut.

Parostatek robił niesamowite wrażenie. Był o jedną czwartą dłuższy od *Reksa* i dużo wyższy. Jill Gulbirra twierdziła, że *Parseval* to najpiękniejsze dzieło rąk ludzkich w Świecie Rzeki, wspanialsze od wszystkiego, co stworzono na Ziemi. Greystock uważał, że to statek Clemensa nie ma konkurencji.

Greystock patrzył, jak na pokładzie parostatku pojawił się samolot, wyniesiony przez wiatr, a załoga zaczęła przygotowywać katapultę.

Rozejrzał się po gondoli sterowniczej. Newton, lotnik z czasów II wojny światowej, siedział za sterami. Nawigator Hardy oraz pierwszy oficer Samhradh stali przy oknie. Pozostała szóstka znajdowała się w maszynowniach.

Greystock podszedł do szafki z bronią i wyjął dwa ciężkie pistolety „Mark IV” -

stalowe czterostrzałowe rewolwery z duraluminiowymi magazynkami, w których tkwiły plastikowe pociski kalibru 69 milimetrów. Uważnie obserwując dwóch oficerów przy oknie, podszedł do Newtona i uderzył go ręką pistoletu w czubek głowy. Pilot upadł na podłogę.

Greystock szybko wyłączył radiostację. Mężczyźni przy oknie gwałtownie się odwrócili, słysząc uderzenie metalu o kość. Zamarli, patrząc na całkowicie nieoczekiwaną scenę.

- Nie ruszać się - odezwał się Greystock. - Ręce za głowę.

Hardy wytrzeszczył oczy.

- Co ty robisz, człowieku? - spytał.

- Bądź cicho!

Wskazał pistoletem pobliską szafkę.

- Załóżcie spadochrony - rozkazał. - I nie próbujcie mnie zaskoczyć, bo mogę bez trudu zastrzelić was obu.

Twarz Samhradha poczerwieniała.

- T... t... ty draniu! - wyjąkał. - Zdrajco!

- Mylisz się, nie jestem zdrajcą - zaprzeczył Greystock. - Jedynie lojalnym poddanym króla Jana. - Uśmiechnął się. - Choć nie ukrywam, że w zamian za ten sterowiec Jego Wysokość zaproponował mi stanowisko zastępcy dowódcy *Reksa*. To utwierdziło mnie w mojej lojalności.

Samhradh wyjrzał przez okno. Wydarzenia rozgrywające się w gondoli sterowniczej były doskonale widoczne z maszynowni.

- Nie pamiętasz, że wyszedłem na pół godziny, żeby zobaczyć, co słychać u inżynierów? - odezwał się Greystock. - Leżą związani, więc wam nie pomogą.

Dwaj mężczyźni podeszli do szafki i zaczęli zakładać spadochrony.

- A co z nim? - spytał Hardy.

- Możecie założyć Newtonowi spadochron i wypchnąć go z gondoli przed sobą.

- A inżynierowie?

- Będą sobie musieli sami poradzić - odparł Greystock.

- Zginą, jeśli zostanieie zestrzeleni!

- Trudno.

Obaj mężczyźni zapięli ostatnie paski, po czym wyciągnęli Newtona na środek pomieszczenia. Greystock trochę się cofnął i trzymał oficerów na muszce. Następnie wcisnął guzik otwierający pleksiglasowe okno. Półprzetyomny, pojękujący pilot został wypchnięty z

gondoli. Przedtem Samhradh pociągnął za linkę jego spadochronu, a po chwili sam rzucił się w otchłań. Hardy zatrzymał się z jedną nogą poza krawędzią otworu.

- Jeśli kiedykolwiek cię spotkam, Greystock, to cię zabiję - syknął.

- Nie sądzę - odparł Anglik. - Skacz, zanim postanowię nie dawać ci takiej szansy.

Włączył nadajnik.

- Co się tam dzieje, do jasnej ciasnej?! - wrzasnął Clemens.

- Moi oficerowie zagrali w marynarza, żeby zdecydować, kto opuści pokład - odparł spokojnie Greystock. - Doszliśmy do wniosku, że sterowiec jest zbyt obciążony. Bez tej trójki polecimy szybciej.

- Czemu mnie nie uprzedziłeś, do cholery? - warknął Sam. - Teraz będę ich musiał wyłowić z Rzeki.

- Wiem - szepnął Greystock.

Wyjrzał przez okno. *Minerwa* już minęła *Marka Twaina*. Na wszystkich pokładach parostatku zgromadziły się tłumy obserwujące sterowiec. Jednomiejscowy samolot stał na katapultcie ustawionej pod wiatr. Marynarze wciąż ściągali balon z nadajnikiem.

Greystock usiadł przed tablicą sterowniczą. W ciągu kilku minut zszedł na wysokość dziewięćdziesięciu jeden metrów, po czym zawrócił i ruszył w stronę statku.

Olbrzymi biały bocznokołowiec zatrzymał się na środku Rzeki, a z otworu na jego rufie wypłynęła szalupa, by wyłowić trzech mężczyzn walczących z nurtem.

Na obu brzegach roilo się od gapiów, a w stronę spadochroniarzy płynęła co najmniej setka łodzi i okrętów.

Katapulta plunęła parą wodną i samolot wystrzelił w powietrze. Jego srebrzysty kadłub i skrzydła lśniły w słońcu, gdy nabierał wysokości, zbliżając się do sterowca.

- John, co ty najlepszego wyprawiasz, do stu tysięcy diabłów?! - krzyczał Clemens.

- Zawracam, by upewnić się, że moim ludziom nic się nie stało - odparł Greystock.

- Co za matoł! - pinił się Sam. - Gdyby powiększyć twój mózg dziesięciokrotnie, i tak byłby mniejszy od jaj komara! Tak to jest, kiedy próbuje się zrobić elegancki kapelusz ze świńskiej dupy! Mówiłem Firebrassowi, żeby nie wpuszczał tego głąba na pokład sterowca! Ostrzegałem go, że średniowieczna szlachta to najgłupsza, najbardziej arogancka i zdrażliwa kasta! Jezus Maria! Ale nie, on uważał, że masz potencjał i warto sprawdzić, jak się dopasujesz do nowych czasów!

- Szpokoynie, Szam - rozległ się głos Joe Millera. - Jeszli go szdenerwujesz, to nie szaatakuje sztatku Jana.

- Wszadź szobie te rady w dupę! - zakpił Clemens. - Kiedy będę potrzebował

wskazówek od tytanropa, to sam o nie poproszę.

- Nie musisz mnie obraszać tylko dlatego, że jeszcze wszciekły, Szam - odparł Miller. - A czy przyszło ci może do głowy, że Greystock coś knuje? Może się szpzedał temu szukinszynowi, Janowi?

Greystock zaklął. Ten włochaty, śmiesznie wyglądający olbrzym miał więcej rozumu niż się wydawało. Ale w swojej wściekłości Clemens może go zignorować.

Pochylił nos sterowca pod kątem dziesięciu stopni i leciał prosto na *Marka Twaina*. Znajdował się na wysokości trzydziestu jeden metrów i wciąż schodził w dół.

Samolot von Richthofena przeleciał w odległości piętnastu metrów od sterowca. Niemiec pomachał Greystockowi, ale wyglądał na zaskoczonego. Na pewno słyszał ich rozmowę.

Anglik wcisnął jeden z guzików na konsoli i od gondoli oderwała się rakietka. Sterowiec wzbił się wyżej, uwolniony od jej ciężaru. Długi, smukły pocisk popędził w stronę srebrzystego samolotu, namierzając go za pomocą czujnika ciepła. Greystock nie widział twarzy Lothara, ale wyobrażał sobie jego przerażoną minę. Niemiec miał około sześciu sekund na wydostanie się z kokpitu. Nawet gdyby mu się to udało, na tej wysokości miał niewielkie szanse na bezpieczne otworzenie spadochronu.

Ale Lothar nie zamierzał skakać. Zamiast tego skierował maszynę gwałtownie w dół i wykonał zwrot tuż nad powierzchnią wody. Niestety, rakietka pomknęła za nim i po chwili samolot zniknął w kuli ognia.

Załoga parostatku gorączkowo starała się umieścić na katapulcie kolejny samolot. Marynarze ściągający nadajnik przerwali pracę, zaskoczeni dźwiękiem syren i nagłą nerwową bieraniną.

Greystock miał nadzieję, że nie okażą się na tyle przytomni, by odciąć linę. Wielki balon utrudnił statkowi manewrowanie.

Z głośnika dobiegał jęk syren i niemal równie wysoki wrzask Clemensa.

Bocznokołowiec zaczął przyspieszać, jednocześnie się obracając. Greystock się uśmiechnął. Po cichu liczył na to, że *Mark Twain* obróci się bokiem. Nacisnął kolejny guzik i sterowiec znów nabral wysokość, uwolniony od ciężaru dwóch torped. Anglik skierował nos maszyny w dół i ustawił przepustnicę na pełny ciąg.

Torpedy uderzyły o powierzchnię wody z głośnym pluskiem i popędziły w stronę statku, pozostawiając za sobą ślad z piany. Radiostacja ryczała głosem Clemensa. Parostatek przestał się obracać i ruszył w stronę lewego brzegu. Z pokładu wystrzelono kilka rakiet. Niektóre skierowały się w stronę nadpływających torped, lecz eksplodowały zaraz po

zatknięciu z powierzchnią wody. Pozostałe pomknęły w kierunku sterowca.

Greystock zaklął normańską francuszczyzną. Jak widać nie był dostatecznie szybki. Ale torpedy z pewnością trafią w statek, a tym samym rozkazy króla Jana zostaną wykonane.

John jednak nie miał zamiaru umierać. Miał swoją misję.

Być może powinien był zrzucić bomby, kiedy przelatywał nad statkiem. Ale bocznokołowiec zmienił położenie, kiedy Greystock próbował znaleźć się dokładnie nad nim, a Anglik nie chciał zbyt gwałtownie korygować kursu. Powinien był wcześniej zneutralizować załogę, po czym poinformować Clemensa, że podlatuje bliżej, aby wszyscy mogli się dobrze przyjrzeć *Minerwie*.

W tym czasie wcisnął guzik uwalniający wszystkie rakiety, które pomknęły w kierunku pocisków wystrzelonych z pokładu Parostatku.

Eksplozja zderzających się ze sobą rakiet wstrząsnęła sterowcem i *Minerwę* spowily kłęby dymu. Gdy Greystock się przez nie przebił, znalazł się tuż nad *Markiem Twainem*.

Rany boskie! Jedna z torped o centymetry minęła prawą stronę rufy, ale druga zaraz trafi w cel! Nie! Tylko się otarła o krawędź statku! Obie torpedy spudłowały!

Usłyszał głos Clemensa, który rozkazywał, aby nie wystrzeliwać już żadnych rakiet. Sam obawiał się, że sterowiec wybuchnie, stanie w płomieniach i spadnie na parostatek.

Odcięty balon odlatywał w górę Rzeki, wznosząc się coraz wyżej.

Clemens zapomniał, że sterowiec jeszcze nie zrzucił bomb.

Pod *Minerwą* przemknął drugi samolot. Pilot spojrzał na Greystocka z frustracją. Maszyny znajdowały się zbyt blisko siebie, a samolot leciał za szybko, by móc wykonać zwrot i ostrzelać sterowiec z przedniego działka. Jednak strzelec siedzący za pilotem już obracał swój dwulufowy karabin maszynowy. Co dziesiąta kula to pocisk smugowy pokryty fosforem. Wystarczy jedna seria, żeby zapalić wodór w poduszkach gazowych. *Minerwa* znajdowała się w odległości zaledwie stu pięćdziesięciu dwóch metrów od *Marka Twaina* i szybko się do niego zbliżała. Silniki pracowały pełną mocą. Biorąc pod uwagę także tylny wiatr wiejący z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę, bocznokołowiec nie miał najmniejszych szans na ucieczkę.

Gdyby tylko udało się zrzucić bomby, zanim pociski smugowe trafią w cel. A może strzelec chybi? Przecież kiedy obróci karabin, samolot znajdzie się już w sporej odległości od sterowca.

Statek był już bardzo blisko. Nawet jeśli sterowiec nie zostanie trafiony, bomby zrzucone z tej wysokości zniszczą obie jednostki.

Greystock oszacował spodziewany moment przelotu nad bocznokołowcem i jednym

ruchem nadgarstka ustawił mechanizm zrzucający bomby. Następnie wstał z fotela i wyskoczył przez otwarte okno. Nie miał czasu na założenie spadochronu, zresztą na tej wysokości zdałby się on na nic. W Anglika uderzył potężny podmuch powietrza i Greystock stracił przytomność. Spadał bezwładnie, nawet nie mając okazji pomyśleć o tym, że właśnie pogrzebał swoją szansę na stanowisko zastępcy dowódcy, oraz że spalił na panewce jego plan pozbycia się Jana i zostania kapitanem *Reksa Grandissimusa*.

52

Peter Frigate wszedł na pokład *Zawrotu Głowy* tydzień po Nowym Roku w 7 roku p.z. Dwadzieścia sześć lat później nadal znajdował się na szkunerze i powoli zaczynał mieć dość marynarskiego życia, stopniowo tracąc początkowy entuzjazm. Czy ten statek kiedykolwiek dotrze do źródeł Rzeki?

Od chwili wypłynięcia z krainy, w której mieszkał Frigate, minęli 810000 kamieni obfitości, co oznaczało, że przebyli około 810000 mil, czyli 1303390 kilometrów.

Wyruszyli ze strefy równikowej i w ciągu półtora roku dotarli do strefy polarnej. Gdyby Rzeka płynęła prosto, potrzebowaliby na to niecałych sześciu miesięcy, może nawet pięciu, ale jej bieg był równie pokręcony jak słowa polityków.

Gdy statek po raz pierwszy znalazł się w strefie arktycznej, tuż przed skrzętem Rzeki z powrotem na południe Frigate zaproponował, aby kontynuowali wędrówkę na północ pieszo. Co prawda na horyzoncie nie było jeszcze widać polarnych gór, ale musiały być stosunkowo niedaleko, drażniąc swoją bliskością.

- A jak do licha przedostaniemy się przez to? - spytał Farrington, wskazując skalną ścianę na północy, wznoszącą się w niebo na jakieś dwanaście tysięcy stóp, czyli trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt metrów.

- Balonem - odpowiedział Frigate.

- Czyś ty zwariował? Tutaj wiatr wieje w kierunku południowym, więc będzie nas odpychał od gór.

- Owszem, ale tylko wiatr nad samą powierzchnią ziemi - odparł Peter. - Jeśli działają tu znane nam schematy meteorologiczne, to górne wiatry polarne powinny wiać w kierunku zachodnim. Kiedy balon wzniesie się na odpowiednią wysokość, poniosą go w stronę bieguna. Wylądujemy przed górami otaczającymi morze. Jeśli są tak wysokie, jak się o nich mówi, to nie pokonamy ich w balonie.

Farrington pobladł, słysząc propozycję Frigate'a.

- Czyżbyś nie wiedział, że Frisco Kid nie lubi nawet słuchać o powietrznych podróżach? - spytał Rider, szczerząc zęby w uśmiechu.

- To nie tak! - zaprotestował Martin. - Gdyby balon rzeczywiście mógł nas tam zanieść, wszedłbym na pokład jako pierwszy. Ale to niemożliwe! A poza tym, jak do licha

mielibyśmy zbudować taki pojazd?

Frigate musiał przyznać, że nie dało się tego zrobić, a przynajmniej nie w tej okolicy. Nie było tu materiałów potrzebnych do zbudowania powłoki balonu i wypełnienia jej wodorem. Z tego, co wiedział, nie było ich też nigdzie indziej.

A jednak mogli rozważyć inny plan. Czemu nie użyć balonu napełnionego ciepłym powietrzem do wyniesienia liny na szczyt góry?

Zaczął się śmiać, jeszcze nim skończył przedstawiać swój nowy pomysł. Niby w jaki sposób mieliby wykonać linę o długości trzech tysięcy sześciuset pięćdziesięciu metrów i to na tyle mocną, żeby się nie urwała pod swoim ciężarem? Jak duży musiałby być balon zdolny ją unieść? Pewnie większy od *Hindenburga*.

No i jak umocowaliby linę na szczycie?

Frigate zaproponował z uśmiechem wysłanie na górę aerostatu niosącego zarówno linę, jak i człowieka, który ją tam przywiąże.

- Daj spokój! - prychnął Farrington.

Frigate chętnie go posłuchał.

Zawrót Głowy popłynął z wiatrem dalej na południe, a załoga ucieszyła się, że opuszcza tę ponurą okolicę. Zamieszkiwali ją ludzie pochodzący z epoki kamienia, którzy na Ziemi także całe życie spędzili w strefie polarnej, więc trudne warunki im nie przeszkadzały.

Od tamtej pory szkuner dziewięciokrotnie przekraczał równik i docierał w okolice bieguna południowego, a w tej chwili ponownie znajdował się w strefie równikowej.

Peter Frigate miał już dość życia na statku. Nie on jeden. Od pewnego czasu zejścia na ląd trwały coraz dłużej.

Pewnego dnia podczas lunchu spożywanego na brzegu Frigate w krótkim czasie dwukrotnie przeżył miłe zaskoczenie. Najpierw ucieszyła go zawartość rogu obfitości. Przez lata miał nadzieję jednocześnie znaleźć w pojemniku masło orzechowe i banana, a teraz jego marzenie wreszcie się spełniło.

Szary metalowy kubek wypełniała delikatna, smakowicie pachnąca, brązowa substancja. Z kolei na jednym z talerzyków spoczywał podłużny, żółto-brązowy owoc.

Szczerząc zęby, śliniąc się i rechocząc z uciechy, Frigate obrał banana i posmarował jeden koniec owocu masłem orzechowym. Mruczając z rozkoszy, pochłonął smakołyk.

Choćby dla samego jedzenia warto było zostać wskrzeszonym.

Wtem jego uwagę zwróciła przechodząca kobieta. Była bardzo atrakcyjna, ale wzrok mężczyzny przykuło coś innego. Wstał i podszedł do nieznanym.

- *Pardonu min, sinjorino* - odezwał się w esperanto. - Zauważyłem, że ma pani

niezwykłą bransoletkę. Wygląda na mosiężną!

Kobieta spojrzała z uśmiechem na nadgarstek.

- *Estas brazo* - odpowiedziała.

Przyjęła zaproponowanego papierosa, mrużąc „*Dankon*”, po czym go zapaliła. Zachowywała się bardzo przyjaźnie. Najwyraźniej zbyt przyjaźnie, bo nagle podszedł do nich wysoki, ciemnoskóry mężczyzna o nieprzyjemnym wyrazie twarzy.

Frigate pospiesznie uspokoił przybysza, że interesuje go wyłącznie bransoletka. Mężczyzna odetchnął z ulgą, natomiast kobieta wyglądała na lekko zawiedzioną. Mimo to wzruszyła ramionami i kontynuowała rozmowę.

- Bransoletkę kupiłam w górze Rzeki - wyjaśniła. - Kosztowała sto papierosów i dwa rogi rogacza.

- Nie wspominając o pewnych osobistych usługach - wtrącił się mężczyzna.

- Och, Emilu, przecież to było, zanim z tobą zamieszkałam - zaproponowała kobieta.

- Czy wiesz, skąd pochodzi? - spytał Frigate. - Gdzie została wykonana?

- Człowiek, który mi ją sprzedał, twierdził, że w Nova Bohemujo - odpowiedziała.

Frigate poczęstował mężczyznę papierosem, co ostatecznie rozładowało sytuację. Emil wyjaśnił, że Nowa Bohema to spore państwo położone w odległości około dziewięciuset kamieni obfitości w górę Rzeki. Większość jego populacji stanowią dwudziestowieczni Czesi, dzielący teren z plemieniem starożytnych Galów i zwyczajową mieszanką ludzi z różnych miejsc i epok.

Jeszcze trzy lata temu Nowa Bohema była niewielką i niczym się niewyróżniającą krainą słowiańsko-galijską.

- Mniej więcej sześć lat temu wódz państwa, Ladislas Podebrad, rozpoczął pewien projekt. Stwierdził, że głęboko pod powierzchnią ziemi mogą się znajdować bogate złoża, przede wszystkim żelaza. Jego ludzie zaczęli kopać u podnóża góry i wykonali olbrzymi, głęboki otwór. Zużyli przy tym mnóstwo narzędzi. Sam wiesz, jak twarda rośnie tu trawa.

Frigate przytaknął. Trawę w Świecie Rzeki zaprojektowano tak, aby mogła wiele wytrzymać. Jej korzenie sięgały bardzo głęboko i spletały się ze sobą. Peter nie był pewien, czy nie jest to jedna roślina, potężny organizm rozciągający się po obu stronach Rzeki, a może także pod jej dnem. Korzenie trawy były źródłem wytrzymałego silikonu.

- Dużo czasu zajęło im przedostanie się przez trawę, a kiedy wreszcie tego dokonali, pod spodem znaleźli jedynie brudną ziemię. Nie zamierzali się poddawać, jednak po zagłębieniu się w grunt na sześćdziesiąt metrów napotkali skałę, bodajże wapień. Wtedy chcieli zrezygnować, ale Podebrad, który jest kimś w rodzaju mistyka, powiedział im, że we

śnie zobaczył, że pod warstwą skały znajdują się olbrzymie złoża żelaza.

- Oczywiście, ty nigdy tak ciężko nie pracujesz - wtrąciła kobieta.

- Przyganiał kocioł garnkowi.

Frigate nie wróżył im zbyt długiej wspólnej przyszłości, ale nic nie powiedział. Mógł się mylić. Znał na Ziemi podobne pary, które raniły się słowami od małżeństwa do śmierci. Z jakiegoś chorego powodu ci ludzie potrzebowali się nawzajem.

Trzy lata temu sen Podebrada się spełnił i ciężka praca jego ludzi przyniosła efekty.

Dokopali się do rozległych złóż żelaza, siarczku cynku, piasku, węgla, soli, ołowiu, siarki, a nawet platyny i wanadu.

- W jednym miejscu? - zdziwił się Frigate. - To nie powinno być możliwe.

- Owszem - zgodził się Emil. - Tak przynajmniej ten facet powiedział Marii. Twierdził, podobnie jak inne osoby z Nowej Bohemy, że wyglądało to tak, jakby przyjechała gigantyczna ciężarówka i wsypała wszystkie rudy w jeden otwór. Ktokolwiek stworzył ten świat, właśnie w ten sposób umieścił pod ziemią złoża minerałów. Potem przykrył je skałą, ziemią i trawą.

Podebrad wydobyl minerały, a mówiąc ściślej, cały czas je wydobywa. Wszyscy jego ludzie dysponują stalową bronią, a długość granic Nowej Bohemy zwiększyła się z dwunastu do sześćdziesięciu kilometrów, obejmując obszary na obu brzegach Rzeki.

A jednak wcale nie dokonano się to na drodze podbojów. Sąsiadujące państwa same poprosiły o włączenie do powstającego imperium, a Podebrad nie miał nic przeciwko temu. Bogactwa wystarczy dla wszystkich.

Tymczasem kilka pobliskich państweczek również zaczęło kopać w poszukiwaniu złóż minerałów. Robią to od trzech lat, ale bez rezultatu.

Jak dotąd rudy odkryto tylko w miejscu wskazanym przez Podebrada. Być może tam znajdowały się na mniejszej głębokości niż w innych rejonach.

Emil wskazał wzgórze.

- My też wykopaliliśmy dziurę głęboką na sześćdziesiąt metrów, ale zasypujemy ją z powrotem - wyjaśnił. - Natrafiliśmy na warstwę dolomitu. Podebrad miał szczęście i dokopał się do miękkiego wapienia.

Frigate podziękował za informacje i pospiesznie się oddalił, z trudem kryjąc podekscytowanie. Jedenaście dni później *Zawrót Głowy* rzucił kotwicę przy brzegu krainy Podebrada.

Załoga wyczuła Nową Bohemę już pół dnia przed dotarciem do jej południowych granic. W powietrzu unosił się smród siarki i węgla.

Wzdłuż brzegów wzniesiono wysokie mury. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć było widać stalową broń, nawet pistolety kurkowe. Rzekę patrolowały cztery duże parowce, każdy uzbrojony w dwa działa, oraz spora liczba mniejszych jednostek dysponujących karabinami maszynowymi.

Załoga *Zawrotu Głowy* nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jednocześnie marynarze patrzyli z przygnębieniem na zdewastowaną przyrodę. Jak dotąd brali czyste powietrze, błękitne niebo oraz zielone równiny i wzgórza za pewnik.

Nur spytał jednego z tubylców, czemu tak zniszczono tę krainę, i po co wyprodukowano tyle broni.

- Musieliśmy to zrobić - odparł mężczyzna. - W przeciwnym razie inne państwa spróbowałyby siłą zabrać nam nasze bogactwa naturalne. Teraz mamy się czym bronić. Oczywiście produkujemy też inne przedmioty, które przeznaczamy na handel, dzięki czemu zdobywamy całą masę tytoniu, alkoholu, jedzenia i ozdób - dodał, klepiąc się po grubym brzuchu.

Nur się uśmiechnął.

- Rogi obfitości zapewniają wystarczająco dużo jedzenia i innych produktów - rzekł do tubylca. - Po co doprowadzać swój kraj do ruiny i zatruwać powietrze? Żeby zdobyć więcej niż się potrzebuje?

- Już ci odpowiedziałem na to pytanie.

- Najlepiej byłoby zasypać tę dziurę w ziemi - odparł Nur. - Albo wcale jej nie wykopywać.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Nagle z wyrazem zaskoczenia na twarzy podszedł do Ridera.

- Hej, czy ty przypadkiem nie jesteś tym słynnym aktorem, Tomem Milesem? - spytał.

- Nie, nie jestem nim, *arniko* - odpowiedział z uśmiechem Tom. - Ale ludzie często mi mówią, że jestem do niego podobny.

- Widziałem cię... to znaczy jego... kiedy przyjechał do Paryża podczas swojej europejskiej trasy - rzekł mężczyzna. - Byłem wtedy w podróży służbowej i stałem w tłumie, bijąc ci... jemu... brawo, gdy jechał ulicą na Tonym. Bardzo miło wspominam tę chwilę. To był mój ulubiony aktor grający w westernach.

- Mój także - odpowiedział Tom, po czym się oddalił.

Frigate poprosił kapitana i pierwszego oficera na stronę.

- Wyglądasz na bardzo poruszonego, Pete - zauważył Martin Farrington. - Pewnie myślisz o tym samym, o czym przed chwilą rozmawialiśmy z Tomem.

- Bardzo możliwe - odparł Frigate. - A więc też zastanawiacie się, jak to zrobić?

- Jasne - rzekł z uśmiechem Martin, zerkając na Toma. - Właśnie sobie myśleliśmy, oczywiście tylko spekulując, że byłoby miło mieć jeden z tych małych parostatków.

Frigate zdębiał.

- Ależ ja wcale nie o tym myślałem - wydukał. - Chcecie go ukraść?

- W pewnym sensie - niespiesznie odpowiedział Tom. - Zawsze mogą sobie zbudować nowy, a nam taki statek znacznie przyspieszyłby podróż.

- Przecież to nie tylko nieetyczne, ale przede wszystkim strasznie ryzykowne - odparł Frigate. - Na pewno w nocy parostatków pilnują uzbrojeni strażnicy.

- I kto tu mówi o etyce? - prychnął Martin. - Już zapomniałeś, jak ukradłeś swój łuk i strzały?

- To nie to samo - zaprotestował Peter. - Sam je wykonałem i należały do mnie.

- Kradzież to kradzież - odparł Martin, po czym obdarzył Petera jednym ze swoich czarujących uśmiechów i klepnął go w ramię. - Nie ma co się obruszać. Tobie ten łuk przyda się bardziej niż twojemu państwu, a poza tym zabrałeś coś, czego oni mieli pod dostatkiem. Tu mamy do czynienia z analogiczną sytuacją. Potrzebujemy szybszego środka transportu.

- I wygodniejszego - dodał Tom.

- Chcesz, żebyśmy ryzykowali życie? - oburzył się Frigate.

- A pragniesz się zgłosić na ochotnika? Przecież nikomu nie wydam takiego rozkazu. Jeśli nie chcesz tego robić, to przynajmniej nas nie zakapuj, dobra?

- Jak możesz tak myśleć! - krzyknął Frigate, czerwieniąc na twarzy. - Nie sprzeciwiam się ze strachu! Zgodziłbym się, gdyby to było konieczne. Ale ja myślałem o czymś zupełnie innym. O czymś, dzięki czemu moglibyśmy podróżować o wiele szybciej niż parostatkami.

- Chciałeś poprosić Podebrada, żeby nam zbudował motorówkę? - zakpił Martin. - A może jacht?

- Nie - odparł Peter. - Miałem na myśli coś, co zamiast płynąć, polecą nad Rzeką!

- Czy ja dobrze słyszę? - zdziwił się Tom. - Chodzi ci o samolot?

Rider wyglądał na zaintrygowanego, ale Martin wyraźnie pobladł.

- Nie, samolot by się nie sprawdził - zaprzeczył Frigate. - Co prawda moglibyśmy nim szybko i daleko podróżować, ale musielibyśmy kilkakrotnie lądować i za każdym razem produkować paliwo, a to w tym świecie nierealne. Myślałem o innym środku powietrznego transportu.

- Chyba nie chodzi ci o balon?

- A dlaczego nie? Balon, albo jeszcze lepiej sterowiec.

53

Pomysł spodobał się Riderowi.

- Nie! To zbyt niebezpieczne! - zaprotestował Martin. - Nie ufam tym delikatnym poduszkom gazowym. Poza tym musielibyśmy użyć wodoru, nieprawdaż? Wodór jest strasznie łatwopalny! Jakby tego było mało, sterowce są łatwym łupem dla silnych wiatrów i burz. No i skąd wytrząsniesz pilota? Co innego piloci samolotów, z nimi nie ma tutaj problemu, choć osobiście spotkałem tylko dwóch, ale pilot sterowca? Nawet gdyby się udało znaleźć taką osobę, to musielibyśmy zostać jego załogą, co wymaga specjalnego przeszkolenia. A jeśli się okaże, że nie mamy do tego talentu? Jest jeszcze jeden powód...

- Cykoria? - spytał z uśmiechem Tom.

Martin poczerwieniał na twarzy i zacisnął pięści.

- Chcesz stracić zęby? - warknął.

- Nie byłby to pierwszy raz - odparł Rider. - Ale uspokój się, Frisco. Chciałem ci tylko pomóc wymyślać kolejne powody, dla których nie powinniśmy tego robić.

Frigate wiedział, że Jack London nigdy nie interesował się lataniem. A jednak człowiek, który wiódł życie pełne przygód, zawsze imponował odwagą i charakteryzował się nieposkromioną ciekawością świata, powinien chętnie podjąć podobne wyzwanie.

Czyżby się bał wznieść w przestworza?

Możliwe. Wielu osobom, które sprawiały wrażenie, że się niczego nie lękają, brakowało odwagi, by oderwać stopy od ziemi. To jedna z licznych przypadłości ludzkiego charakteru, której absolutnie nie należy się wstydzić.

Jednakże Martin mógł się czuć upokorzony, okazując strach.

Frigate przyznał przed samym sobą, że odczuwa ten sam rodzaj wstydu. Przez lata tylko częściowo uporał się z tym problemem. Nie bał się przyznać do lęku mającego racjonalne podstawy, ale ujawnienie absurdalnej obawy to coś zupełnie innego.

Reakcja Farringtona była w pewnym sensie uzasadniona. Lot sterowcem w nieprzewidywalnych warunkach atmosferycznych to duże ryzyko, być może nawet graniczące z głupotą.

Zawołano Nura i Pogaasa, by przedstawić im nowy pomysł Frigate'a, a Peter zapoznał załogę z potencjalnymi zagrożeniami.

- Tak czy inaczej, zważywszy na oszczędność czasu, podróż sterowcem jest znacznie bardziej wydajna - dodał. - Można śmiało założyć, że podczas tak długiego rejsu statkiem napotkamy więcej niebezpieczeństw niż podczas krótkiego lotu.

- Cholera, nie boję się niebezpieczeństw! - wybuchnął Martin. - Dobrze o tym wiecie! Po prostu... - Zamilkł.

Na twarz Toma wypłynął szeroki uśmiech.

- Czego się szczerzysz? - warknął Farrington. - Wyglądasz jak skunks, który się nażarł gówna!

Teraz uśmiechnął się także Pogaas.

- Na razie nie ma potrzeby tak się nakręcać - odparł Tom. - Najpierw musimy się dowiedzieć, co może dla nas zrobić Wielka Szycha, Podebrad. Zapewne nie zbuduje nam sterowca, bo niby dlaczego? Ale przespacerujmy się do jego domu i sprawdźmy, co nam powie.

Nur i Pogaas mieli pilniejsze sprawy do załatwienia, więc do wielkiej wapiennej budowli wskazanej przez tubylca udali się tylko kapitan, pierwszy oficer i Firebrass.

- Chyba nie mówiliście poważnie o kradzieży parowca? - spytał Peter.

- To zależy - odpowiedział Tom.

- Nur nigdy się na to nie zgodzi - odparł Frigate. - Wielu innych także.

- Możemy to zrobić bez nich. - Tom wzruszył ramionami.

Zatrzymali się przed domem Podebrada na wzgórzu. Sterczący bambusowy dach budynku sięgał dolnych gałęzi wysokiej sosny rosnącej obok. Strażnicy wpuścili mężczyzn do sali recepcyjnej. Tam wysłuchał ich sekretarz wodza, po czym na chwilę wyszedł z pomieszczenia. Gdy wrócił, poinformował załogę, że Podebrad spotka się z nimi za dwa dni, zaraz po obiedzie.

Postanowili spędzić resztę dnia na łowieniu ryb. Rider i Farrington złapali kilka prądkowanych ryb przypominających okonie, ale większość czasu poświęcili na planowanie kradzieży parowca.

Ladislav Podebrad był rudym mężczyzną średniego wzrostu, bardzo potężnym i muskularnym, o grubej szyi, wąskich ustach i masywnym podbródku. Pomimo surowego wyglądu i zachowania, pozwolił, aby spotkanie trwało dłużej niż na to liczyła załoga. Rozmowa okazała się w miarę udana, choć przyniosła trochę inny rezultat niż oczekiwali.

- Czemu tak się wam spieszy na biegun północny? - spytał władca. - Słyszałem o tej wieży, która podobno stoi na środku morza za niezdołym pasmem górskim. Nie jestem pewien, czy wierzę w tę opowieść, ale wydaje się ona prawdopodobna. Ten świat pierwotnie

mógł zostać stworzony przez Boga, ale nie da się ukryć, że potem ludzie, bądź jakieś podobne istoty, przekształcili powierzchnię planety. Ponadto, jako naukowiec nie mam wątpliwości, że nasze zmartwychwstanie dokonało się na gruncie fizycznym, a nie nadprzyrodzonym. Nie wiem, czemu tak się stało, ale Kościół Jeszcze Jednej Szansy zaproponował rozwiązanie, które brzmi w miarę logicznie, chociaż kapłanom brakuje faktów na poparcie własnej teorii. A jednak wydaje mi się, że Kościół wie o tym całym zamieszaniu więcej niż ktokolwiek inny.

Umilkł i zaczął bębnić chudymi palcami w blat stołu. Frigate pomyślał, że palce wodza zupełnie nie pasują do jego potężnej postury i szerokich, grubych dłoni.

Podebrad wstał, podszedł do szafki i wyjął z niej jakiś przedmiot.

Gdy się odwrócił, trzymał w dłoni spiralną kość rogacza.

- Wszyscy wiecie co to takiego - rzekł do załogi. - Szansowcy noszą to jako symbol swojej religii, choć wolałbym, aby mieli większą wiedzę na poparcie swoich wierzeń. Lecz z drugiej strony, gdyby posiadali wiedzę, to nie potrzebowaliby wiary, nieprawdaż? Pod tym względem przypominają wszystkie inne religie znane na Ziemi i w Świecie Rzeki. Jednakże jedno wiemy na pewno - istnieje życie po śmierci. A przynajmniej istniało. Teraz, kiedy wskrzeszenia ustały, nie mamy pojęcia, czego oczekiwać. Nawet Kościół nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czemu umarli nagle przestali zmartwychwstawać. Kapłani podejrzewają, że być może ludzie otrzymali już wystarczająco dużo czasu na odkupienie win i dalsze wskrzeszenia nie mają sensu. Jeśli do tej pory nie zdążyłeś osiągnąć zbawienia, to twoja strata. Sam nie wiem, jaka jest prawda. Panowie, na Ziemi byłem ateistą, członkiem Czechosłowackiej Partii Komunistycznej. Jednak tutaj spotkałem człowieka, który przekonał mnie, że religie, a przynajmniej ich podstawy, nie mają nic wspólnego z racjonalnością. Gdy pojawia się wiara, próbujemy ją racjonalizować, usprawiedliwiać w pseudologiczny sposób. Okazuje się jednak, że ani Jezus, ani Marks, Budda, Mahomet, Hindusi, konfucjaniści, taoiści czy żydzi nie mieli racji co do zaświatów. Opisywali życie po śmierci jeszcze bardziej błędnie niż świat doczesny.

Podebrad usiadł za biurkiem i położył na blacie spiralną kość.

- *Sinjoroj*, zamierzałem dziś ogłosić moje wstąpienie w szeregi wyznawców Kościoła Jeszcze Jednej Szansy - oznajmił. - A także rezygnację ze stanowiska władcy państwa Nova Bohemujo. Za kilka dni planowałem wybrać się w podróż w górę Rzeki do Virolando, co do którego mam pewność, że faktycznie istnieje. Tam chciałem zadać kilka pytań La Viro, przywódcy i założycielowi Kościoła. Gdyby udzielił satysfakcjonujących odpowiedzi lub chociaż przyznał, że niektórych rzeczy nie wie, oddałbym mu się do dyspozycji. Jeśli jednak moi informatorzy są wiarygodni, a nie mam powodu, by posądzać ich o kłamstwo, Virolando

znajduje się w odległości milionów kilometrów. Dostanie się tam zajęłoby mi pół ziemskiego życia. Lecz nagle pojawiaacie się wy i składacie mi propozycję, a ja się dziwię, że nie wpadłem wcześniej na ten pomysł. Być może dlatego, że bardziej interesowała mnie sama wędrówka niż jej cel. W końcu wartość podróży polega na odkrywaniu samego siebie, czyż nie? Zapewne dlatego nie pomyślałem o czymś tak oczywistym. Owszem, panowie, mogę wam zbudować sterowiec. Pod jednym warunkiem. Zabierzecie mnie ze sobą.

Zapadła długa cisza, którą w końcu przerwał Farrington.

- Jakże moglibyśmy odmówić, *Sinjoro* Podebrad. Myślę, że mówię w imieniu nas wszystkich.

Frigate i Rider przytaknęli.

- Naprawdę trzyma nas pan za pysk - kontynuował Farrington. - Proszę nie pomyśleć, że mam coś przeciwko pana udziałowi w wyprawie. Przeciwnie, bardzo się cieszę. Tylko że... no cóż, zastanawiam się, co się stanie, jeśli nie znajdziemy ludzi mających doświadczenie w lataniu sterowcami. Bez dobrej znajomości maszyny i wiedzy na temat potencjalnych problemów taki lot to czyste szaleństwo.

- Rzeczywiście - zgodził się Podebrad. - Ale zbudowanie sterowca zajmie nam bardzo dużo czasu, chyba że znajdziemy inżynierów, którzy się na tym znają, a przynajmniej będą w stanie dokonać wstępnych wyliczeń. W przeciwnym razie będziemy musieli zacząć od zera. Tymczasem możemy poszukać pilota. Choć nie ma ich wielu, gdzieś nad Rzeką w promieniu dwóch tysięcy kilometrów musi się znajdować ktoś odpowiedni. No, może nie musi, ale w każdym razie jest to możliwe... Choć szczerze mówiąc, mało prawdopodobne.

- Kiedyś latałem balonem i dużo czytałem o aerostatach - odezwał się Frigate. - Uczestniczyłem także w dwóch krótkich lotach sterowcem. Oczywiście to nie czyni ze mnie eksperta.

- Możliwe, że sami będziemy musieli się wyszkolić, *Sinjoro* Frigate - odparł Czech. - W takim wypadku pana wiedza może się okazać bardzo cenna.

- Tylko że to było dawno temu i dużo już zdążyłem zapomnieć - tłumaczył się Frigate.

- Obawiam się, że w tej chwili nie dodajesz nam pewności siebie, Pete - powiedział z naciskiem Frisco Kid.

- Pewność siebie przychodzi wraz z doświadczeniem - odrzekł Podebrad. - No dobrze, panowie, od razu zabieram się do pracy. Odłożę moje oznajmienie o nawróceniu do chwili, gdy sterowiec będzie gotowy. Tym państwem w żadnym wypadku nie może rządzić członek Kościoła głoszącego zasadę biernego oporu.

Frigate zastanawiał się, jak głęboka jest duchowa przemiana mężczyzny. Wydawało mu się, że ktoś, kto naprawdę wierzy w nauczanie Kościoła, powinien od razu to oznajmić,

niezależnie od konsekwencji.

- Zaraz po zakończeniu naszego zebrania zajmę się uruchomieniem procesu produkcji wodoru - obiecał Podebrad. - Wydaje mi się, że przy naszych zasobach mineralnych najlepszą metodą będzie otrzymanie gazu poprzez reakcję rozcieńczonego kwasu siarkowego z cynkiem. Już od dłuższego czasu wytwarzamy taki kwas, dzięki odnalezieniu niewielkich złóż platyny i wanadu. Szkoda, że nie możemy otrzymać aluminium, ale...

- Sterowce Schutte-Lanz były zbudowane z drewna - przerwał mu Frigate. - Zresztą do budowy sterowca nie potrzeba dużych ilości tego surowca.

- Z drewna?! - zawołał Farrington. - Chcecie, żebym wzniósł się w niebo w drewnianym sterowcu?

- Z drewna będą zbudowane tylko kil i gondola - wyjaśnił Frigate. - Powłokę można wykonać z jelit rzecznych smoków.

- Co oznacza, że trzeba będzie rozpocząć intensywne połowy - rzekł Podebrad, wstając z fotela. - Dziś czeka mnie dużo pracy, ale spotkajmy się jutro w porze obiadu. Podyskutujemy o szczegółach. A na razie życzę panom miłego dnia.

Po wyjściu z budynku Farrington nie miał wesołej miny.

- Moim zdaniem to szaleństwo! - zwrócił się do Ridera.

- A mnie ten pomysł się bardzo podoba - odparł Tom. - Prawdę mówiąc, mam już dość żeglowania.

- No tak, ale wcześniej możemy się pozabijać, próbując się nauczyć pilotować to cholerstwo! A co, jeśli się okaże, że to nas przerasta? Stracimy strasznie dużo czasu!

- Czy tak mówi człowiek, który dla zarobku przewoził innych przez bystrza White Horse na Alasce? Albo człowiek, który nielegalnie łowił ostrygi... - Peter przerwał i pobleął.

Rider i Farrington stanęli i popatrzyli na Frigate'a surowym wzrokiem.

- Opowiadałem wiele historii o Jukonie, ale nigdy nie wspominałem o bystrzach White Horse - powoli powiedział Farrington. - A przynajmniej nie tobie. Czyżbyś nas podsłuchiwał? Frigate zaczerpnął tchu.

- Cholera, wcale nie musiałem podsłuchiwać! - odparł. - Od razu was rozpoznałem!

Nagle Rider znalazł się za plecami Petera, a Farrington oparł dłoń na rękojeści krzemienego noża.

- No dobrze, kimkolwiek jesteś, idź przede mną - syknął Rider. - Wracamy na statek. Nie próbuj żadnych sztuczek.

- To nie ja tutaj podróżuję incognito, ale wy! - odparł Frigate.

- Rób, co mówię.

Peter wzruszył ramionami i spróbował się uśmiechnąć.

- To jasne, że robicie znacznie więcej niż ukrywanie swojej prawdziwej tożsamości. Dobrze, pójdę z wami. Ale chyba nie macie zamiaru mnie zabić?

- To zależy - odparł Rider.

Zeszli ze wzgórza i przecięli równinę. Z członków załogi na przystani znajdował się tylko Nur, rozmawiający z jakąś kobietą.

- Ani słowa, Pete - ostrzegł Rider. - Uśmiechaj się.

Frigate popatrzył na Maura i wykrzywił usta. Miał nadzieję, że Nur domyśli się, że coś jest nie w porządku - potrafił świetnie odczytywać wyraz twarzy - ale mężczyzna tylko im pomachał. Kiedy znaleźli się w kabinie kapitana, Frisco zamknął drzwi i kazał Frigate'owi usiąść na brzegu koi.

- Przebywałem z wami dwadzieścia sześć lat - odezwał się Peter. - Dwadzieścia sześć! I nigdy nikomu nie zdradziłem waszych prawdziwych nazwisk.

Farrington usiadł w fotelu i zaczął się bawić nożem.

- To wbrew ludzkiej naturze - stwierdził. - Jak mogłeś tak długo trzymać gębę na kłódkę? I dlaczego?

- No właśnie, dlaczego? - spytał Rider.

Stał przy drzwiach, trzymając w dłoni sztylet z rogu rogacza.

- Po pierwsze, wydawało się oczywiste, że nie chcecie, żeby ktokolwiek poznał prawdę - odpowiedział Frigate. - Więc jako wasz przyjaciel nie puszczałem pary z gęby. Choć przyznaję, że nie raz zastanawiałem się, czemu trzymacie swoją tożsamość w tajemnicy.

Farrington zerknął na Ridera.

- Co o tym sądzisz, Tom? - spytał.

Rider wzruszył ramionami.

- Popęiliśmy błąd - przyznał. - Powinniśmy byli obrócić to wszystko w żart. Przyznać się, kim jesteśmy, i wymyślić jakieś przekonujące wytłumaczenie.

Farrington odłożył nóż i zapalił papierosa.

- Tak, teraz to się wydaje proste - westchnął. - Co więc zrobimy?

- Po tym całym przedstawieniu Pete z pewnością wie, że mamy coś do ukrycia - odparł Rider.

- Już nam to powiedział.

Rider schował sztylet do pochwy i także zapalił papierosa. Frigate zastanawiał się, czy nie powinien spróbować ucieczki, ale uznał, że ma na to niewielkie szanse. Choć mężczyźni nie dorównywali mu wzrostem, obaj byli bardzo silni i szybcy. Poza tym, próba ucieczki to

przyznanie się do winy.

Tylko jakiej winy?

- Tak już lepiej - odezwał się Tom. - Zapomnij o ucieczce. Uspokój się.

- Podczas, gdy wy dwaj planujecie morderstwo?

Rider się roześmiał.

- Po tych wszystkich latach powinieneś wiedzieć, że nie jesteśmy zabójcami - odparł. - Nie potrafilibyśmy zamordować nawet kogoś obcego, a ciebie przecież lubimy.

- A gdybym rzeczywiście był tym, za kogo mnie uważacie, to co byście zrobili? - spytał Frigate.

- Pewnie byśmy spróbowali straszenie się na ciebie wściec, żeby nie musieć cię zabijać z zimną krwią - odpowiedział Tom.

- Czemu?

- Jeśli nie jesteś Peterem Frigate, to doskonale znasz odpowiedź.

- A kim innym do cholery miałbym być? - zirytował się Peter. Zapadła długa cisza. W końcu Farrington zgasił papierosa w popielniczce stojącej na biurku.

- Widzisz, Tom, chodzi o to, że on był z nami dłużej niż którkolwiek z naszych żon - odezwał się do Ridera. - Gdyby był jednym z Nich, to po co włączyłby się z nami tyle czasu? Zwłaszcza skoro twierdzi, że od razu nas rozpoznał. Jestem przekonany, że zabraliby nas jeszcze pierwszej nocy.

- Możliwe - odparł Tom. - Nie wiemy jednej czwartej tego, co się dzieje. Może nawet jednej osiemdziesiątej. A to, co wiemy, może być kłamstwem. Może cały czas robią z nas frajerów.

- Jednym z Nich? Zabraliby? - przerwał mu Frigate.

Martin Farrington spojrzał na Toma.

- I co my teraz zrobimy? - spytał. - Nie ma sposobu, aby Ich rozpoznać. Jesteśmy głupcami, Tom. Powinniśmy byli go okłamać. Teraz musimy doprowadzić sprawę do końca.

- Jeśli faktycznie jest jednym z Nich, to już wie - odparł Rider. - Tak więc niczego nowego się od nas nie dowie, może poza opowieścią o Etyku. Ale jeśli jest agentem, to nie wysłałby go za nami, gdyby nie podejrzewali, że On się z nami skontaktował.

- Racja, trochę się pospieszyliśmy - zgodził się Martin. - Słuchaj, jeśli Pete jest agentem, to dlaczego zaproponował budowę sterowca? Czy agent chciałby nam pomóc w dotarciu do wieży?

- Racja, chyba że...

- Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Chyba że coś się pogmatwało i on wie tyle samo co my - dokończył Farrington.

- Co masz na myśli?

- Widzisz, Tom, ostatnio nocami, zamiast spać lub się pieprzyć, wiele rozmyślałem - odpowiedział kapitan. - Doszedłem do wniosku, że dzieje się tutaj coś tajemniczego. Nie chodzi mi o to, co nam powiedział Etyk. Mówię między innymi o tym, że wskrzeszenia ustały. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że tego mogło nie być w planie?

- Myślisz, że ktoś im nabruździł i teraz nikt nie wie, co się tak naprawdę dzieje? - spytał Rider.

- Właśnie - odpowiedział Farrington. - Agenci wcale nie muszą być lepiej poinformowani od nas. A to oznacza, że Pete może być agentem, który po prostu stara się wrócić do domu.

- Sugerujesz, że nas odnalazł, ale nie mógł nic zrobić, więc przyłączył się do wyprawy? - spytał Rider. - A potem zaproponował budowę sterowca, żeby samemu móc szybciej wrócić do bazy?

- Coś w tym stylu.

- A więc jesteśmy w punkcie wyjścia. Pete może być jednym z Nich.

- Jeśli tak, to nie dowie się od nas niczego nowego - odrzekł Martin.

- Owszem, ale za to on może nam dużo ciekawego opowiedzieć! - zauważył Tom.

- Wydobędziesz to z niego biciem? A jeśli to rzeczywiście Frigate?

- I tak bym tego nie zrobił - odparł Rider. - Chyba że bardzo wiele by od tego zależało. Ale nie, nawet wtedy nie posunąłbym się tak daleko.

- Moglibyśmy go tu zostawić i popłynąć dalej - zaproponował Farrington.

Tom uśmiechnął się złośliwie.

- Podobałoby ci się to, prawda? - spytał. - Nie musiałbyś odrywać swoich dygoczących nóg od ziemi.

- Za chwilę bardzo mnie rozzłościś, Tom - ostrzegł Martin.

- W porządku, ani słowa więcej z mojej strony na ten temat - odparł Rider. - Dobrze wiem, że nie ma w tobie nic z tchórza. Co więc zrobimy? Warto zauważyć, że jeżeli zdecydujemy się pozełgować dalej, to zanim dotrzemy do bieguna północnego, a raczej jeśli kiedykolwiek tam dotrzemy, Pete zdąży nas uprzedzić.

- Do diabła z tym wszystkim! - rzucił Farrington. - Jak on mógłby być jednym z Nich? Przecież to istoty stojące od nas wyżej w rozwoju, a Pete z całą pewnością nie jest nadczołowiekiem. Bzdura!

Tom popatrzył na Frigate'a spod przymrużonych powiek.

- Może tylko udaje człowieka - rzekł po chwili. - Choć nie sądzę, by ktokolwiek potrafił się tak dobrze maskować przez dwadzieścia sześć lat.

- W takim razie mu powiedzmy - zaproponował Farrington. - Co mamy do stracenia? Mam już dość trzymania tego w tajemnicy.

- Ty nigdy nie potrafiłeś trzymać języka za zębami.

- I kto to mówi? - odparł Martin. - Wódz Kłapiąca Jadaczka we własnej osobie.

Farrington zapalił kolejnego papierosa, a Rider poszedł w jego ślady.

- Masz ochotę zapalić, Pete? - spytał.

- A więc to w taki sposób postanowiliście mnie zabić - zażartował Frigate, po czym wyciągnął papierosa z torby zawieszanej na ramieniu. - Chętnie bym się też czegoś napił - dodał.

- My również - zgodził się kapitan. - Tom, czy zechcesz pełnić honory domu? Potem wszystko opowiemy. Boże, co za ulga!

- Była ciemna, burzliwa noc... - zaczął Tom i uśmiechnął się, by podkreślić, że świadomie imituje klasyczny początek historii o duchach. - Jack i ja...

- Pozostań przy imieniu Martin, dobrze? - przerwał mu Farrington. - Nawet kiedy rozmawiamy bez świadków.

- Dobrze, ale wtedy jeszcze byłeś Jackiem - odpowiedział Tom. - Tak czy inaczej, znałem już wtedy Kida, ale jeszcze nie byliśmy przyjaciółmi. Mieszkaliśmy blisko siebie i obaj pływaliliśmy na patrolowym słupie we flocie lokalnego watażki. Pewnej nocy po zakończonej służbie obudziłem się w swojej chacie. Ale ze snu nie wyrwały mnie odgłosy burzy, ale klepnięcie w ramię. Początkowo myślałem, że to Howardina, moja kobieta. Pamiętasz ją, Kid?

- Prawdziwa piękność - wyjaśnił Frigate'owi Martin. - Ognistowłosa Szkotka.

- Nie mogę się doczekać dalszego ciągu - odpowiedział Peter.

- Dobra, a więc bez zbędnych ozdobników - kontynuował Tom. - To nie Howardina mnie obudziła. Błyskawica wydobyla z ciemności mroczną sylwetkę siedzącą na brzegu łóżka. Chciałem sięgnąć po tomahawk schowany pod poduszką, ale nie mogłem się ruszyć. Pewnie przybysz czymś mnie odurzył lub rzucił na mnie jakiś urok. Pomyślałem sobie: Oho! Ten facet chce mnie dorwać i udało mu się mnie sparaliżować. Zaraz niżej podpisany kopnie w kalendarz. Oczywiście obudziłbym się wtedy cały i zdrowy w innym miejscu, ale wcale nie miałem na to ochoty. Kolejne kilka błyskawic pozwoliło mi się dokładniej przyjrzeć nieznanemu. To, co zobaczyłem, bardzo mnie zaskoczyło. Jeszcze raz podkreślam - zaskoczyło, a nie wystraszyło. Tajemniczy gość nosił czarną pelerynę i... nie miał głowy! To znaczy może miał, ale zakrywała ją wielka kula przypominająca akwarium. Była czarnego koloru, więc nie mogłem dojrzeć twarzy przybysza, ale on w jakiś sposób mnie widział. Skoro nie mogłem się poruszyć, postanowiłem się odezwać. Spytałem nieznanego, kim jest i czego chce. Starłem się mówić na tyle głośno, żeby obudzić Howardinę, ale ona nawet nie drgnęła. Przypuszczam, że także została odurzona, jeszcze silniej ode mnie. Tajemnicza postać odpowiedziała mi po angielsku niskim głosem: „Nie mam wiele czasu, więc nie będę wchodził w szczegóły. Moje imię nie ma znaczenia. Zresztą i tak nie mogę ci go podać, gdyż oni mogliby cię znaleźć i odczytać twoją pamięć”.

Spytałem, co ma na myśli, mówiąc o odczytywaniu pamięci. Cała sprawa zaczynała wyglądać naprawdę dziwnie. Wiedziałem, że to nie sen, i bardzo tego żałowałem.

„Gdyby to zrobili, dowiedzieliby się o wszystkim, co się tutaj dzieje”, odparł nieznajomy. „Wyobraź sobie, że twoje wspomnienia to film. Oni mogą wyciąć fragmenty, których według nich nie powinieneś pamiętać. Ale jeśli tak się stanie, to ja ponownie się z tobą skontaktuję”.

„O kim mówisz?”, spytałem.

„O ludziach, którzy przebudowali tę planetę i cię wskrzesili”, odrzekł. „Teraz słuchaj mnie uważnie i nie przerywaj”.

- Znasz mnie, Kid, i wiesz, że nie pozwalałam sobą pomiatać. Jednak ten facet zachowywał się tak, jakby należał do niego cały świat. Zresztą, co mogłem zrobić?

„Oni mieszkają w wieży zbudowanej na środku morza na biegunie północnym”, opowiadał przybysz. „Być może już o niej słyszałeś. Niektórym ludziom udało się przedostać przez góry otaczające morze”.

- Gdyby ta rozmowa odbywała się dzisiaj, to w tym miejscu spytałbym, czy to on zostawił linę umożliwiającą wejście na urwisko i wywiercił tunel w skalnej ścianie. Ale wtedy jeszcze nie znałem opowieści Egipcjanina.

„Jednak ludzie ci nie dostali się do wieży”, kontynuował nieznajomy. „Jeden zginął, spadając ze skały do morza, po czym pozwolono mu zmartwychwstać w Dolinie”.

- Zaciekawilo mnie, skąd on się o tym dowiedział - dodał Tom po chwili przerwy.

- „Pozostałych spotkał inny los”, ciągnął przybysz. „Oni... a zresztą mniejsza z tym”.

- A więc nie wiedział wszystkiego o Egipcjanach - rzekł z uśmiechem Tom. - Nie zdawał sobie sprawy, że jeden uciekł. Bądź też specjalnie o tym nie wspomniał, ale to wątpliwe. Gdyby wiedział, to nie pozwoliłby Egipcjaninowi na ucieczkę. Choć z drugiej strony... może by pozwolił.

- „Wiadomości rozprzestrzeniają się w Świecie Rzeki ze zdumiewającą szybkością”, powiedział nieznajomy. „Człowiek, który spadł do morza, wkrótce po zmartwychwstaniu opowiedział innym swoją historię i ta szybko rozniosła się po całej Dolinie. Teraz możesz mówić. Czy już słyszałeś tę opowieść?”.

Zaprzeczyłem.

„No cóż, z pewnością usłyszysz ją w przyszłości. Udasz się w górę Rzeki i na pewno natrafisz na jakąś wersję tej historii, być może mocno zniekształconą. Pamiętaj, że jest oparta na prawdziwych podstawach. Niewątpliwie zastanawiałeś się, czemu zostaliście wskrzeszeni i umieszczeni na tej planecie?”.

Kiwnąłem głową, a on odpowiedział: „Dla mojej rasy, Etyków, to jedynie eksperyment naukowy. W ten sposób badają wasze reakcje, rejestrują je i klasyfikują. A potem!”. Tu w jego głosie zabrzmiał gniew. „Kiedy już napelnia was nadzieją na wieczne życie, po prostu zamkną projekt! A wy umrzecie na zawsze! Skończą się zmartwychwstania i wszyscy obrócicie się w proch!”.

„To straszliwie okrutne”, odpowiedziałem, zapominając, że nie otrzymałem pozwolenia na zabranie głosu.

„Nieludzko okrutne”, zgodził się przybysz. „Mają moc, dzięki której mogą was uczynić nieśmiertelnymi, a przynajmniej pozwolić wam żyć tak długo, jak wasze słońce. Nawet dłużej, bo mogą was przetransportować na inną planetę. Ale nie! Nie chcą tego zrobić! Twierdzą, że nie zasługujecie na nieśmiertelność!”.

„To wysoce nieetyczne”, odparłem. „W takim razie, czemu nazywają siebie Etykami?”. To na chwilę przerwało jego wywód.

„Ponieważ sądzą, że bardziej nieetyczne byłoby danie wiecznego życia tak żalosemu i niegodnemu gatunkowi”.

„Widzę, że nie mają o nas najlepszego mniemania”, odpowiedziałem.

„Podobnie jak ja”, odparł nieznajomy. „Jednak dobra lub zła opinia o ludzkości, oparta głównie na generalizacjach, nie ma nic wspólnego z etyką”.

„Jak można kochać kogoś, kogo się nienawidzi?”, spytałem.

„To niełatwe”, odrzekł. „Żadne prawdziwie etyczne zachowanie takie nie jest. Ale nie traćmy czasu”.

Nagle w pomieszczeniu rozlał się błękitny blask i zobaczyłem, że mężczyzna wyjął prawą rękę spod peleryny. Wokół nadgarstka nosił urządzenie przypominające duży kieszonkowy zegarek, które emitowało niebieskawe światło. Nie widziałem tarczy przyrządu, ale słyszałem, że dobiega z niego cichy szmer, niczym ze ściszonego radia. Brzmiało to jak jakaś obca mowa, ale nie potrafiłem rozpoznać słów. Blask wydobył z ciemności czarną, szklistą kulę maskującą twarz przybysza, a także jego dłoń, szeroką, o długich i chudych palcach.

„Mój czas dobiega końca”, odezwał się nieznajomy, po czym schował dłoń z powrotem pod pelerynę, a pomieszczenie znów pogrążyło się w ciemności, którą od czasu do czasu na krótko rozpraszało światło błyskawic.

„Teraz nie mogę zdradzić, czemu akurat ciebie wybrałem”, rzekł Etyk. „Powiem tylko, że po twojej aurze widać, że jesteś odpowiednią osobą do tego zadania”.

„Co to jest aura?”, pomyślałem. Znałem definicję słownikową, ale odniosłem

wrażenie, że przybysz ma na myśli coś innego. „No i o jakie zadanie mu chodzi?”.

Nagle, jak gdyby czytając mi w myślach, mężczyzna ponownie wyjął rękę spod peleryny. Tym razem niebieskawe światło było tak jaskrawe, że prawie mnie oślepiło. Dostrzegłem jednak dłonie, które chwyciły szklistą kulę i ją uniosły. Myślałem, że jeśli wytężę wzrok, to uda mi się dojrzeć rysy twarzy nieznajomego lub chociaż zarys jego głowy, ale widziałem tylko dużą kulę. Nie chodzi mi o szklaną osłonę, którą trzymał w rękach, ale o wirujący, różnokolorowy i jaskrawo świecący obiekt znajdujący się nad jego głową. Co jakiś czas z tego dziwnego tworu wystrzeliwały jakieś macki czy promienie, które po chwili chowały się z powrotem. Nie ukrywam, że się wtedy solidnie wystraszyłem. No, może niekoniecznie się wystraszyłem, ale z pewnością poczułem się oszołomiony. Zupełnie jakbym stanął twarzą w twarz z aniołem, a bać się anioła to przecież żaden wstyd.

- Lucyfer też był aniołem - wtrącił Frigate.

- Tak, wiem - odparł Tom. - Czytałem Biblię. Szekspira też. Może nie skończyłem szkoły podstawowej, ale jestem zdolnym samoukiem.

- Wcale nie sugerowałem, że jesteś ignorantem - odrzekł Frigate.

- Tylko mi nie mówcie, że naprawdę wierzycie w anioły - prychnął Martin.

- Ja nie wierzę - odparł Tom. - Ale ten nieznajomy z pewnością wyglądał jak anioł. Zresztą nie wydaje mi się, by aura była widoczna gołym okiem. Pewnie pokazał mi ją za pomocą tego urządzenia, które nosił na nadgarstku. Potem kolorowy obiekt znikł, a razem z nim niebieskawe światło. Nie zdążyłem zobaczyć twarzy przybysza. Kiedy oświetliła go kolejna błyskawica, zauważyłem, że ponownie założył na głowę szklistą kulę. Teraz już wiedziałem, co miał na myśli, wspominając o aurze. Z tego, co mówił, wywnioskowałem, że ja również ją mam, i że pozostaje niewidoczna.

- Zaraz nam powiesz, że też jesteś aniołem - zakpił Martin.

- Nieznajomy powiedział: „Możesz i musisz mi pomóc. Chcę, żebyś wyruszył w górę Rzeki, w stronę wieży. Ale najpierw musisz opowiedzieć Jackowi Londonowi o wszystkim, co się tu dziś wydarzyło. Musisz go przekonać, że mówisz prawdę, i skłonić do przyłączenia się do ciebie. Jednak pod żadnym pozorem nie wolno ci wspominać o naszej rozmowie nikomu innemu. Absolutnie nikomu. Nas Etyków jest niewielu i rzadko opuszczamy wieżę, ale moi wrogowie mają pośród was swoich agentów. W porównaniu z wami nie jest ich wielu, ale z powodzeniem udają zwykłych ludzi. Z pewnością będą mnie szukać. Któregoś dnia mogą nawet zacząć podejrzewać, że poprosiłem o pomoc mieszkańców Doliny, i spróbują was odnaleźć. Jeśli im się to uda, zabiorą was do wieży, odczytają wasze wspomnienia i usuną fragmenty, które mnie dotyczą, po czym ponownie umieszczą was w

Dolinie. London także ma tygrysią aurę, dlatego musisz go zwerbować. Powiedz mu, że następnym razem odwiedzę was obu i wtedy we wszystko uwierzy. Kiedy to się stanie, opowiem więcej o czekającym was zadaniu”. Nieznajomy wstał. Patrzyłem na jego sylwetkę, ponownie wydobytą z mroku przez błyskawicę, na pelerynę i szklistą kulę. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zwariowałem. Próbowałem wstać, ale bezskutecznie. Pół godziny później paraliż ustąpił i wyszedłem przed chatę. Burza już minęła i ciemne chmury ustępowały z nieba, ale po tajemniczym przybyśzu nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

Martin kontynuował opowieść zaczęta przez Toma. Rider przyszedł do niego następnego dnia i skłonił do złożenia przysięgi, że utrzyma w tajemnicy to, co za chwilę usłyszy. Martin się zgodził, ale gdy usłyszał historię nocnych odwiedzin, nie wiedział, czy powinien w nią uwierzyć. Przekonało go to, że Tom nie miał żadnego powodu, by wymyśleć tak dziwną opowieść.

A może odwiedziny faktycznie nastąpiły, ale było to oszustwo dokonane przez nieznaną sprawców?

Tom także się nad tym zastanawiał, biorąc nawet pod uwagę, że to London jest tajemniczym nieznajomym i robi sobie z niego żarty. Jednak wkrótce mężczyźni doszli do wniosku, że nikt, kogo znają, nie jest w posiadaniu urzędzeń, jakie miał przy sobie przybysz. Poza tym, w jaki sposób można sfabrykować aurę?

Frisco Kid i tak zaczynał się niecierpliwie. Podobał mu się pomysł zbudowania statku i odpłynięcia w siną dal. Niezależnie od tego, czy opowieść Toma była prawdziwa, Jack zyskał nowe źródło motywacji i chęci życia. Tom myślał podobnie. Wieża stała się ich Świętym Graalem.

- Trochę głupio było mi zostawiać Howardinę bez słowa wyjaśnienia - rzekł Tom. - Kidowi nie układało się najlepiej z jego kobietą, typową przewrażliwioną babą (do dziś nie wiem, co on w niej widział), więc nie żałował rozstania. Oddaliliśmy się o kilkaset kamieni obfitości w górę Rzeki i zaczęliśmy budować nasz szkuner. Wtedy pojawił się Nur i pomógł nam w pracy. To jedyny członek pierwotnej załogi, który wciąż jest z nami.

Trzymając palec przy ustach, Tom powoli podkraść się do drzwi kajuty. Na chwilę przyłożył do nich ucho, po czym energicznie szarpnął za klamkę.

Za drzwiami stał Nur el-Musafir.

56

Nur nie wydawał się zaskoczony ani przestraszony.

- Czy mogę wejść? - spytał po angielsku.

- Nie masz innego wyjścia! - ryknął Tom.

A jednak nie spróbował wciągnąć Maura do środka. Patrząc na niewysokiego ciemnoskórego mężczyznę podświadomie czuł, że podniesienie na niego ręki może się wiązać z przykrymi konsekwencjami.

Nur wszedł do kajuty. Wściekły Farrington zerwał się na nogi.

- Podśluchiwałeś? - warknął.

- Oczywiście - odpowiedział Maur.

- Dlaczego? - spytał Tom.

- Ponieważ kiedy mnie mijaliście, zauważyłem po waszych minach, że coś jest nie w porządku. Peter był w niebezpieczeństwie.

- Dziękuję, Nur - odezwał się Frigate.

Tom Rider zamknął drzwi.

- Muszę się jeszcze napić - westchnął Martin, po czym wychylił dwie szklaneczki whisky.

Maur usiadł na niskiej szafce.

- Słyszałeś wszystko? - spytał go Tom.

Nur przytaknął.

- Równie dobrze możemy teraz stanąć na pokładzie z megafonem w dłoni i ogłosić naszą historię całemu światu! - krzyknął Martin.

- Jezu! No to mamy kolejny problem! - zżymał się Tom.

- Nie ma potrzeby mnie zabijać, podobnie jak nie było potrzeby zabijać Petera - odezwał się Nur. Wyjął papierosa z torby na ramieniu i go zapalił. - Wasze kobiety wspominały, że zaraz wrócą, więc nie mamy dużo czasu.

- Patrzcie jaki spokojny - syknął Tom.

- Jak doświadczony agent - dodał Martin.

Nur się roześmiał.

- Nie, raczej jak ktoś, kto został wybrany przez Etyka! - odparł. - Widzę, że robicie

wielkie oczy, ale czy nigdy się nie zastanawialiście, czemu od razu się do was przyłączyłem i znosiłem u waszego boku wszystkie niewygody?

Martin i Tom otworzyli usta ze zdumienia.

- Wiem, co sobie myślicie - rzekł Nur. - Gdybym był agentem, to z pewnością udawałbym jednego z wybrańców Etyków. Ale zapewniam was, że nie kłamię.

- A skąd mamy to wiedzieć? Czy możesz to udowodnić?

- A skąd ja mam wiedzieć, że to wy dwaj nie jesteście agentami? Czy możecie to udowodnić?

Kapitan i pierwszy oficer zaniemówili.

- Kiedy tajemniczy nieznajomy z tobą rozmawiał? - spytał Frigate. - I czemu nie powiedział Tomowi, że ty także zostałeś wybrany?

Nur wzruszył chudymi ramionami.

- Pojawił się wkrótce po swojej wizycie u Toma - odpowiedział. - Dokładnie nie wiem kiedy. Na drugie pytanie nie znam odpowiedzi. Podejrzewam, że Etyk może nie mówić całej prawdy, ale przedstawiać nam tylko część faktów. Nie wiem, czemu miałby to robić, ale mnie to intryguje.

- Może powinniśmy zostawić tych dwóch - zaproponował Martin.

- Jeśli to zrobicie, to Peter i ja zbudujemy sterowiec i dotrzemy do wieży przed wami - odparł Nur.

- Tom, oni nie mogą być agentami - stwierdził Farrington. - W przeciwnym razie już dawno by nas wydali. Musimy im uwierzyć. Chociaż wciąż nie rozumiem, czemu Etyk nic nam nie powiedział o Nurze.

Tom zaproponował toast za nowo powstałą grupę. Po chwili usłyszeli, że ich kobiety weszły na pokład. Kiedy pojawiły się w kabinie, mężczyźni akurat śmiali się z jednego z dowcipów Martina. Przedtem zdążyli się umówić na wieczorne spotkanie na wzgórzach.

Następnego dnia udali się do domu Podebrada, a on przedstawił im swój zespół inżynierów. Od razu zaczęli dyskutować o szczegółach technicznych sterowca.

Frigate stwierdził, że ostateczny obraz projektu zależy od celu, jaki chcą osiągnąć. Jeżeli pragną jedynie dotrzeć w okolice źródeł Rzeki, to będą potrzebować sterowca na tyle dużego, by zabrał niezbędną ilość paliwa. W takim przypadku wystarczy, aby jednostka osiągała pułap piętnastu tysięcy stóp, czyli czterech tysięcy pięciuset siedemdziesięciu dwóch metrów. Jednak jeżeli chcą przelecieć nad pasmem górskim otaczającym polarne morze, ich sterowiec musi być w stanie wznieść się na wysokość co najmniej dziewięć tysięcy sto czterdzieści cztery metry.

Oczywiście zakładając, że usłyszane opowieści nie miały się z prawdą, a tego nikt nie mógł być pewien.

Znacznie dłużej potrwa zaprojektowanie i zbudowanie sztywnego sterowca przeznaczonego do długiego lotu na dużej wysokości. Taka jednostka będzie wymagać o wiele liczniejszej załogi, co pociągnie za sobą dłuższy okres szkolenia. Na większych wysokościach silniki sterowca będą potrzebować dodatkowego doładowania. Poza tym więcej tam silniejsze wiatry niż w dolnych warstwach powietrza, być może nawet zbyt silne. Na pokładzie zeppelinu musi się znaleźć zapas tlenu dla załogi i silników, co znacznie zwiększy masę ładunku. No i nie można zapominać o zamarzaniu silników.

Byłoby miło, gdyby mogli użyć silników odrzutowych, one jednak są niepraktyczne podczas powolnego lotu na niskim pułapie. Sterowiec mógłby z nich zrobić użytek jedynie na dużej wysokości. Poza tym brakowało metali niezbędnych do produkcji takiego napędu.

Podebrad odparł, że budowa sztywnego sterowca w ogóle nie wchodzi w rachubę i trzeba się ograniczyć do mniejszej jednostki. Do przelecenia nad górami wystarczy, aby zeppelin przekraczał pułap 13000 stóp, czyli 3962,4 metra. To prawda, że szczyty miejscami wznoszą się na ponad sześć kilometrów, ale wystarczy polecieć wzdłuż górskiego pasma i poszukać miejsca, w którym skalna ściana nie jest tak wysoka.

- To wydłuży lot, będzie więc wymagało zabrania większej ilości paliwa - odezwał się Frigate.

- Oczywiście - odparł Podebrad. - Sterowiec musi być wystarczająco duży, by to umożliwić.

Było jasne, że to *Sinjoro* Podebrad jest tutaj szefem.

Następnego dnia ruszyła realizacja Projektu Sterowiec. Pracę zakończono w ciągu ośmiu miesięcy, czyli cztery miesiące przed czasem. Pod kierownictwem Podebrada nie było miejsca na lenistwo.

Nur spytał wodza, w jaki sposób ten odnajdzie Virolando bez pomocy mapy.

Czech odpowiedział, że rozmawiał z kilkoma misjonarzami, którzy stamtąd pochodzą. Według nich Virolando znajduje się w pobliżu strefy polarnej, około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od źródeł Rzeki i łatwo je dostrzec z powietrza, gdyż leży nad brzegiem wielkiego jeziora w kształcie klepsydry, a na terenie państwa wznosi się dokładnie sto wysokich skalnych iglic. Nie sposób pomylić tej okolicy z żadną inną.

Oczywiście pod warunkiem, że gdzieś nie znajduje się jej dokładna kopia.

- Mam wątpliwości, czy on rzeczywiście jest Szansowcem - stwierdził Frigate po zakończeniu spotkania. - Ci spośród nich, których do tej pory spotkałem, to ludzie bardzo

ciepli i pełni Współczucia, a ten facet ma w sobie więcej chłodu niż lodówka.

- Może to agent - odparł Nur.

Pozostali zamilkli porażeni tą myślą.

- Chociaż w takim razie, czy nie powinien zaproponować zbudowania sterowca, który przeleci nad górami? - dodał Maur.

- Nie sądzę, aby jakikolwiek sterowiec mógł się wznieść tak wysoko - odparł Frigate.

Podobradowi nie można było odmówić skuteczności. Choć nie znalazł żadnych pilotów mających doświadczenie w lataniu sterowcem, to zgromadził zespół inżynierów, którymi można było obsadzić tuzin takich jednostek. Wódz postanowił, że piloci sami się wyszkolą.

Wybrano trzy pełne składy załogi, aby w razie czego mieć wystarczającą liczbę zastępców. Jednak podczas szkolenia naziemnego Frigate, Nur, Farrington, Rider i Pogaas zaczęli mieć wątpliwości. Żaden z nich nie znał się na silnikach, co oznaczało, że muszą przejść specjalny kurs. Czemu Podobrad miałby skorzystać z ich usług, skoro miał do dyspozycji doświadczonych inżynierów i mechaników?

Załoga miała się składać zaledwie z ośmiu osób, jednak zgodnie z obietnicą wodza na pokładzie znalazło się pięciu członków załogi *Zawrotu Głowy*. Sam Podobrad uczestniczył w każdym locie, lecz jedynie w charakterze obserwatora.

Frigate bardzo się denerwował podczas swojego pierwszego lotu, ale doświadczenie, jakie zdobył, latając balonem, pomogło mu przezwyciężyć treść.

Załogi kolejno zrealizowały pełny cykl szkoleniowy. Potem wielki półsłotywny sterowiec odbył kilka lotów próbnych, za każdym razem pokonując dystans sześciuset kilometrów i przelatując nad czterema pasmami górskimi, za którymi załoga odkryła doliny, które, choć tak bliskie, jak dotąd pozostawały ukryte przed ich wzrokiem.

Ostatniego dnia przed startem wszyscy zgromadzili się na imprezie zorganizowanej ku czci załogi. Wzięli w niej udział marynarze z *Zawrotu Głowy* poza towarzyszkami kapitana, pierwszego oficera i Petera Frigate'a. Kobiety nie mogły wybaczyć tego, że zostały porzucone, choć już zdążyły sobie znaleźć nowych kochanków.

Nur przybył do Nowej Bohemy bez kobiety, nie miał więc takich żartów.

Wkrótce przed północą Podobrad odesłał wszystkich do domów. Start miał się odbyć tuż przed świtem, a załoga musiała wstać jeszcze wcześniej. Farrington i jego ludzie nocowali w chacie stojącej w pobliżu olbrzymiego bambusowego hangaru. Przed snem jeszcze chwilę rozmawiali. Oczekiwali, że podczas imprezy Podobrad ogłosi swoją rezygnację i zapowie opuszczenie Nowej Bohemy, teraz jednak widzieli, że zamierza się wstrzymać do ostatniej

chwili.

- Może boi się linczu - zgadywał Martin.

Frigate zasnął jako ostatni, a przynajmniej tak mu się wydawało. Martin mógł tylko udawać, że śpi. Choć nie okazywał strachu, zdecydowanie nie podobało mu się przebywanie w przestworzach.

Peter wiercił się na łóżku, zbyt spięty, by zasnąć. Zawsze miał podobne kłopoty przed ważnymi wydarzeniami, na przykład w przeddzień meczu bądź występu na mityngu lekkoatletycznym. Zbyt często bezsenność skutkowałą zmęczeniem i niezdolnością do wykorzystania pełnego potencjału. Strach przed wypadnięciem poniżej możliwości powodował, że właśnie tak się działo.

Poza tym, mając doświadczenie jako pilot samolotów w amerykańskim lotnictwie oraz pilot balonów, wiedział, jak wiele niebezpieczeństw może na nich czekać.

Obudził się z płytkiego snu i usłyszał ryk silników oraz szum śmigieł.

Wytoczył się z łóżka, otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Choć widział tylko mgłę, wiedział, że może być tylko jedno źródło tych hałasów.

W ciągu minuty obudził pozostałych. Ubrani tylko w kilty i długie, grube rękawiczki zarzucone na plecy, puścili się biegiem w stronę hangaru. Po drodze kilka razy wpadali na ściany chatki i co chwila się potykali. W końcu wspięli się na wzniesienie i ich głowy znalazły się powyżej poziomu mgły.

W świetle gwiazd ujrzeli to, czego tak się obawiali.

Na równinie stał tłum kobiet i mężczyzn wiwatujących bez większego entuzjazmu. Przed chwilą ludzie za pomocą lin wyciągnęli sterowiec z hangaru, a teraz patrzyli, jak potężny kształt unosi się w niebo. Nagle załoga zeppelinu wyrzuciła wodny balast, na skutek czego wielu gapiów zostało całkowicie przemoczonych. Pojazd w kształcie cygara nabral wysokości i ruszył w górę Rzeki. W kabinie umiejscowionej pod trójkątnym kilem płonęły światła. W oknie było widać sylwetkę Podebrada.

Wrzeszcząc i klnąc na czym świat stoi, pobiegli w stronę sterowca, choć już wiedzieli, że nie uda im się powstrzymać go przed odlotem.

Farrington chwycił włócznie opartą o ścianę hangaru i cisnął nią w stronę zeppelinu. Nie dorzucił do celu i omal nie trafił jednej z kobiet. Upadł na ziemię i zaczął tłuc pięściami trawę.

Tom Mix podskakiwał w miejscu, krzycząc i wygrażając.

Nur tylko kręcił głową.

Pogaas rzucał kłatwy w swoim ojczystym języku.

Frigate płakał. Z jego powodu pozostali stracili dziewięć miesięcy. Gdyby nie zaproponował budowy sterowca, znajdowałiby się teraz o pięćdziesiąt tysięcy kilometrów bliżej celu, spokojnie żeglując w górę Rzeki.

Najgorsze jednak było to, że *Zawrót Głowy* został sprzedany. Za pięćset papierosów, alkohol i pewne osobiste usługi.

Mężczyźni siedzieli zasmuceni pod kamieniem obfitości, czekając, aż erupcja energii napelni pojemniki. Zgromadzeni wokół mieszkańcy Nowej Bohemy głośno dyskutowali i przeklinali swojego wodza. Niosząca załoga sterowca nie odzywała się ani słowem. W końcu Martin Farrington przerwał milczenie.

- Zawsze możemy z powrotem ukraść mój statek - zaproponował.

- To by było nieuczciwe - odparł Nur.

- Co to znaczy nieuczciwe? - zaperzył się Martin. - Nie mam zamiaru zabierać go bez płacenia. Zostawimy im tyle samo papierosów i alkoholu, ile nam dali.

- Nigdy się na to nie zgodzą - odrzekł Tom.

- Nie będą mieli nic do gadania!

Ich rozmowę przerwało nagłe zamieszanie w tłumie. Jakiś mężczyzna ogłosił, że rada wybrała nowego przywódcę, zastępcę Podebrada, Karela Novaka. Kilka osób zaczęło wiwatować, ale większość była zbyt przygnębiona, żeby okazywać entuzjazm.

- Jak myślicie, dlaczego wystawił nas do wiatru? - spytał Martin. - Wcale nie radzieliśmy sobie gorzej od innych, a poza tym przecież obiecał nam miejsce na pokładzie.

- Prawda jest taka, że jako pilot nie dorównywałem Hronowowi i Zelenyemu - odpowiedział łamiącym się głosem Frigate. - Podebrad wiedział, że jeśli mnie odrzuci, to zaczniecie sprawiać kłopoty, więc odleciał bez nas.

- Brudny oszust! - syknął Tom. - Nie, Pete, to wcale nie było tak. Zresztą, jesteś dostatecznie dobrym pilotem.

- Nigdy się nie dowiemy - odparł Martin. - Myślicie, że Podebrad jest agentem? Może w jakiś sposób się o nas dowiedział i postanowił pokrzyżować nam szyki?

- Wątpię - odrzekł Nur. - Choć faktycznie mógłby nim być. Być może początkowo zamierzał zbudować szybki parowiec, aby popłynąć nim w górę Rzeki. Potem pojawiliśmy się my i jak na tacy podsunęliśmy mu lepszy pomysł. No i nie wyszliśmy na tym najlepiej.

- Gdyby był agentem, to skąd mógłby się o nas dowiedzieć?

Frigate uniósł głowę.

- Słuchajcie! Może jedna z kobiet usłyszała waszą rozmowę. Nie da się ukryć, że czasem zachowywaliście się dosyć głośno. A może Eloiza lub Nadia usłyszały, jak mówicie

przez sen? Potem, żeby się zemścić za porzucenie, wszystko opowiedziały Podebradowi, a on postanowił nas nie zabierać.

- Żadna z nich nie potrafi trzymać gęby na kłódkę - prychnął Tom. - Wygadałyby się znacznie wcześniej.

- Nigdy się nie dowiemy - westchnął Martin, kręcąc głową.

- Tak sądzisz? - zdenerwował się Tom. - Jeśli kiedykolwiek złapię Podebrada, to skreczę mu kark.

- Najpierw ja połamię mu nogi - odparł Farrington.

- A ja zbuduję sześciopiętrowy dom z tylko jednym oknem na ostatnim piętrze - rozmarzył się Frigate. - A potem stracę tego drania w typowo czeski sposób. Poprzez defenestrację.

- Co takiego? - zdziwił się Tom.

- Wyrzucę go przez okno.

- Fantazjowanie o zemście to dobry sposób na pozbycie się gniewu - odezwał się Nur.

- Lepiej w ogóle nie odczuwać potrzeby zemsty. Musimy działać, a nie tracić czas na czcze pogrożki.

Frigate zerwał się na nogi.

- Mam pomysł! - wykrzyknął. - Nur, popilnuj mojego rogu obfitości. Idę porozmawiać z Novakiem.

- Ty i te twoje pomysły! - zawołał za nim Farrington. - Już wystarczająco nas pogrążyłeś! Wracaj natychmiast!

Frigate nawet nie zwolnił kroku.

Powoli i majestatycznie *Parseval* płynął przez otwór w skalnej ścianie. Cyrano skierował nos sterowca oraz śmigła w górę. Musiał uważać, aby prąd zstępujący pojawiający się przy krawędzi tunelu nie ściągnął zeppelinu na skały. Pilot dokładnie obliczył siłę wiatru i utrzymywał stałą wysokość, celując w sam środek otworu. Nawet najmniejszy błąd mógł doprowadzić do katastrofy.

Jill pomyślała, że gdyby to ona była kapitanem, nie zaryzykowałaby tego manewru. Lepiej okrążyć górę i poszukać innej drogi. Choć z drugiej strony kosztowałyby to znacznie więcej paliwa, zwłaszcza przy tak silnym wietrze, więc mogłoby uniemożliwić powrót do *Parolando*, a może nawet dotarcie do *Marka Twaina*.

Cyrano obficie się pocił, ale jego oczy i wyraz twarzy zdradzały entuzjazm. Jeśli nawet się bał, to tego nie okazywał. Jill musiała przyznać, że nikt inny nie sprawdziłby się równie dobrze w tej sytuacji. Francuz dysponował znakomitym refleksem i nigdy nie paraliżował go strach. Musi mu to przypominać pojedynek szermierski, pomyślała kobieta. Wiatr wykonuje pchnięcie, Cyrano je odparowuje, wiatr ripostuje, Francuz kontruje.

W tej chwili lecieli przez gęste chmury wydobywające się z otworu.

Nagle znaleźli się po drugiej stronie.

Choć wciąż oślepiła ich mgła, mieli do dyspozycji radar. Jego wskazania informowały, że znajdują się na wysokości około kilometra nad powierzchnią polarnego morza. Przed nimi, w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów, wznosiła się masywna budowla.

- Wieża! - oznajmił Cyrano, patrząc na monitor.

Członek załogi obsługujący radar potwierdził jego słowa.

Firebrass rozkazał zwiększyć pułap do dziesięciu tysięcy stóp, czyli mniej więcej trzech tysięcy metrów. Niestety, nie dało się przyspieszyć wznoszenia poprzez ustawienie śmigieł w pozycji poziomej, gdyż sterowiec wciąż musiał walczyć z wiatrem.

Jednak kiedy zaczęli nabierać wysokości, stwierdzili, że wiatr słabnie. Na docelowym pułapie mogli już lecieć bez przeszkód z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zbliżając się do wieży, jeszcze nabrali szybkości.

Niebo było jaśniejsze niż zwykle w porze zmierzchu, gdyż rozświetlało je nie tylko

słabe słońce, ale również duże skupiska gwiazd.

Teraz na radarze widzieli już całe morze oraz szczyt najdalszej góry. Niemal doskonale okrągły zbiornik miał średnicę dziewięćdziesięciu siedmiu kilometrów, a otaczające go ściany były równej wysokości.

- Wieża! - wykrzyknął Firebrass. - Ma wysokość ponad półtora kilometra i szerokość szesnastu!

Główny inżynier Hakkonen zameldował, że na kadłubie zeppelinu gromadzi się lód. Problem ten nie dotyczył szyb sterowni, które wykonano z plastiku odpornego na zamarzanie.

- Cyrano, obniżmy się na tysiąc pięćset trzydzieści metrów - polecił Firebrass. - Powietrze jest tam cieplejsze.

Wpadając do morza, Rzeka wciąż niosła w sobie dużo ciepła, pomimo przepłynięcia przez strefę polarną. Dzięki temu na wysokości tysiąca pięćset dwudziestu czterech metrów temperatura wynosiła dwa stopnie powyżej zera. Jednak wyżej wilgotne powietrze tworzyło lodową pułapkę.

Podczas gdy zmniejszali pułap lotu, obsługa radaru zgłosiła, że wewnętrzna strona skalnej ściany nie jest tak gładka jak zewnętrzne zbocze. Znajdowały się w niej liczne otwory i wybrzuszenia, zupełnie jakby stwórcom nie zależało na wykończeniu wnętrza.

Na radarze zauważono wąską skalną półkę, o której opowiadał Joe Miller. Prowadziła od szczytu do podnóża góry. Druga podobna półka biegła poziomo nad powierzchnią morza i kończyła się otworem szerokim na trzy i wysokim na dwa metry.

Nikt nie skomentował tego odkrycia. Jill jednak zastanawiała się, po co wykonano wielki otwór, przez który wleciał sterowiec.

- Może korzystają z niego ich własne pojazdy latające? - zastanawiał się Firebrass. - Dzięki temu nie muszą przelatywać nad górami.

To mogło być jakieś wytłumaczenie.

- Możliwe - odezwał się Piscator. - Ale Joego Millera w żadnym wypadku nie mogło oślepić słońce widoczne przez otwór w ścianie. Po pierwsze, zasłaniają go chmury. Po drugie, nawet gdyby słońce przedostało się przez obłoki, to nie oświetliłoby szczytu wieży. Co prawda Joe powiedział, że mgła w jednej chwili się rozproszyła, jednak w takim przypadku światło i tak nie dosięgłoby górnej części budowli. A gdyby nawet tak się stało, to, żeby to zobaczyć, Joe musiałby się znajdować w jednej linii z promieniami słońca i wieżą, a to jest niemożliwe, ponieważ półka skalna, na której stał, nie sięga wystarczająco daleko.

- Błysk mógł pochodzić z powietrznego pojazdu, który Joe zobaczył chwilę później - odrzekł Firebrass. - Pojazd lądował i być może jego silniki musiały uwolnić trochę energii,

żeby wyhamować, a Miller wziął to za światło słońca.

- Bardzo możliwe - odezwał się Cyrano. - Albo to był sygnał świetlny nadany z wieży. Ale skoro Joe patrzył na budowlę z odległości prawie pięćdziesięciu kilometrów, to jakim cudem dostrzegł dużo mniejszy pojazd?

- Może on wcale nie był dużo mniejszy - odparł Firebrass.

Przez chwilę milczeli. Jill próbowała oszacować wielkość pojazdu, który byłby widoczny z takiej odległości. Nie potrafiła podać dokładnych wymiarów, ale obiekt musiał mieć szerokość co najmniej kilometra.

- Nie chcę nawet o tym myśleć - odparł Cyrano.

Firebrass polecił pilotowi okrążyć morze. Radar pokazał, że ściany wieży są całkowicie gładkie, za wyjątkiem otworów znajdujących się dwieście czterdzieści trzy metry poniżej szczytu budowli. Na tej samej wysokości po wewnętrznej stronie ścian rozciągało się płaskie lądowisko o średnicy niemal szesnastu kilometrów.

- Przez te otwory pewnie jest odprowadzana woda - zauważył Firebrass.

Najbardziej zainteresowała ich jedyna wypukłość na „lądowisku” - półkula o średnicy szesnastu i wysokości ośmiu metrów umiejscowiona pod jedną z południowych ścian (patrzac od środka wieży wszystko znajdowało się na południu).

- Jeśli to nie jest wejście, to zjem swój ręcznik! - zawołał Firebrass, po czym pokręcił głową. - Sam będzie zawiedziony, kiedy się o tym dowie. Jak widać nie sposób dostać się do wieży inaczej niż drogą powietrzną.

- Jeszcze nie jesteśmy w środku - szepnął Piscator.

- Owszem, ale zaraz się o to postaramy - odparł Milton. - Słuchajcie, Sam poprosił nas, abyśmy ograniczyli się do wyprawy zwiadowczej, ale myślę, że próba wejścia do wieży mieści się w granicach zwiadu.

Firebrass prawie zawsze zachowywał się żywiołowo, ale teraz aż się trząsał z podekscytowania, a jego twarz lśniła niezwykłym światłem. Nie panował nad drżeniem głosu.

- Mogą tam na nas czekać systemy obronne, automatyczne lub sterowane ręcznie - kontynuował. - Istnieje tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać, ale nie chcę narażać sterowca bardziej niż to konieczne. Jill, polecę tam śmigłowcem z kilkoma osobami, a ty na ten czas przejmij obowiązki kapitana. Jak widzisz spełnia się twoje marzenie, nawet jeśli potrwa to tylko chwilę. Utrzymuj sterowiec tysiąc metrów ponad wieżą i w takiej samej odległości od jej ścian. Jeśli coś nam się stanie, jak najszybciej wracaj do Sama. To rozkaz. Gdybym zauważył coś podejrzanego, to krzyknę, a ty masz wtedy odlecieć i nie martwić się tym, w jaki sposób wrócę. Zrozumiałaś?

- Tak, panie kapitanie! - odpowiedziała Jill.

- Jeśli ta kopuła jest rzeczywiście wejściem, to do jej otwarcia możemy potrzebować jakiegoś urządzenia elektronicznego lub mechanicznego. Ale niekoniecznie. Myślę, że oni się nie spodziewają, że ktokolwiek mógłby tutaj dotrzeć. Być może w wieży nikogo nie ma. A może nas obserwują i czekają na nasz pierwszy krok? Miejmy nadzieję, że tak nie jest.

- Chciałbym polecieć z tobą, kapitanie - odezwał się Cyrano.

- Zostaniesz tutaj - odparł Firebrass. - Jesteś naszym najlepszym pilotem. Wezmę Annę, Haldorssona, on potrafi pilotować śmigłowiec, Metzginga, Arduino, Chonga i Singha. Oczywiście, jeśli zgłoszą się na ochotnika.

Obrenova skontaktowała się z pozostałymi wybrańcami i po chwili przekazała, że wszyscy wręcz pałają entuzjazmem.

Firebrass poinformował całą załogę przez głośniki o wskazaniach radaru oraz o planowanej eskapadzie.

Gdy tylko skończył, skontaktował się z nim Thorn. Firebrass przez minutę milczał ze słuchawką przy uchu.

- Nie, Barry. Mam już wystarczająco dużo ochotników - odpowiedział w końcu.

Odwrócił się do pozostałych.

- Thorn koniecznie chce ze mną polecieć i był bardzo niezadowolony, kiedy odmówiłem. Nie wiedziałem, że aż tak mu na tym zależy.

Jill zadzwoniła do hangaru i poprosiła Szentesa, starszego bosmana sztabowego, żeby przygotował helikopter numer jeden do lotu.

Firebrass uściskał dłoń każdemu z członków załogi zgromadzonych w sterowni oprócz Jill, którą serdecznie uściskał. Kobiecte nie do końca się to spodobało. Takie gesty nie licowały ze stanowiskiem oficera, a poza tym zbyt przypominały pożegnanie. Czyżby Milton obawiał się, że nie wróci? A może to ona przenosiła na niego swoją niepewność?

Tak czy inaczej, znów targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony nienawidziła tego, że kapitan traktuje ją inaczej niż pozostałych, a z drugiej cieszyła się, że aż tak ją lubi. To dziwne, że przy ciągłych wewnętrznych zmaganiach jeszcze nie nabawiła się wrzodów. Choć z tego co wiedziała, w tym świecie nikt nie chorował na tę przypadłość. Napięcie nerwowe dawało o sobie znać na płaszczyźnie psychicznej, na przykład w postaci halucynacji. Po chwili przestała być wyjątkiem. Cyrano poprosił Piscatora, żeby na moment zastąpił go za sterami, po czym podszedł do kapitana i mocno go uściskał, a po policzkach pociekły mu łzy.

- Nie smuć się, mój drogi przyjacielu! - zawołał Francuz. - Mogą tam na ciebie czekać

straszliwe niebezpieczeństwa, ale porzuć strach! Ja, Savinien de Cyrano de Bergerac, będę przy tobie!

Firebrass uwolnił się z uścisku przyjaciela i ze śmiechem poklepał go po ramieniu.

- Ejże, wcale nie miałem zamiaru sugerować, że coś może pójść nie tak! - rzekł do załogi. - Przecież się z wami nie żegnam! A zresztą... Nie! Cyrano, wracaj za stery.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami doskonale widocznymi na tle jego ciemnej twarzy.

- Do zobaczenia! - zawołał, machając swoim towarzyszom.

Anna Obrenova podążyła za nim, sprawiając wrażenie zatroskanej. Po niej pomieszczenie opuścił Metzing, który w tej chwili wyglądał wyjątkowo ponuro i germańsko.

Jill natychmiast poleciła sprowadzić sterowiec na wysokość wskazaną przez Firebrassa i *Parseval* zaczął się obniżać, lecąc po okręgu. Kiedy zeppelin zanurzył się we mgle, załoga włączyła reflektory, jednak w takich warunkach oświetlały one zaledwie najbliższe sto pięćdziesiąt metrów. Sterowiec ustawił się w odpowiedniej pozycji, nosem pod wiatr, dostosowując prędkość do siły podmuchów. Cztery snopy światła przesywały mgłę, ale nie pozwalały dojrzeć niczego poza ciemnoszarymi obłokami. Wieża znajdowała się pod sterowcem, niewidoczna, lecz działająca na wyobraźnię. Wydawało się, że wyciąga macki i obejmuje zeppelin.

Nikt się nie odzywał. Cyrano zapalił papierosa. Piscator stał za plecami operatora radaru i patrzył na ekran. Radiotelegrafista skupiał się na swoich obowiązkach, systematycznie przeszukując eter. Jill zastanawiała się, co mężczyzna ma nadzieję znaleźć.

Po piętnastu minutach, które dłużyły się niczym godzina, Szentes skontaktował się z tymczasową panią kapitan i poinformował, że otwarto drzwi hangaru i rozgrzano silnik śmigłowca, a start nastąpi za minutę.

Szentes wydawał się zdenerwowany.

- Mamy mały problem i właśnie dlatego do pani dzwonię - wyjaśnił. - Pojawił się Thorn i próbował skłonić kapitana, by go zabrał. Kapitan kazał mu wrócić na posterunek.

- Czy Thorn to uczynił? - spytała Jill.

- Tak, ale na wszelki wypadek kapitan kazał mi panią o tym poinformować - odpowiedział Szentes. - Pan Thorn jeszcze nie zdążył wrócić do części ogonowej sterowca.

- Bardzo dobrze, Szentes. Ja się tym zajmę.

Rozłączyła się i zaklęła pod nosem. Dowodziła sterowcem dopiero od kwadransa, a już miała pierwszy problem dotyczący dyscypliny. Co opętało Thorna?

Mogła zrobić tylko jedno. Jeśli zignoruje zachowanie Thorna, straci kontrolę nad

Parsevalem i szacunek załogi.

Zadzwoiła do drugiej sterowni położonej w dolnej części ogona. Odezwał się Surinamczyk Salomo Coppename, drugi oficer rufowy.

- Proszę natychmiast aresztować pana Thorna, zaprowadzić go do jego kabiny i postawić przed drzwiami strażnika - rozkazała.

Coppename z pewnością zastanawiał się, co jest grane, ale nie kwestionował otrzymanego polecenia.

- Proszę skontaktować się ze mną, gdy tylko pan Thorn się pojawi - dodała.

- Tak jest, pani kapitan.

Czerwone światełko na tablicy sterowniczej przestało migać. Drzwi hangaru zostały zamknięte. Radar pokazał helikopter numer jeden zmierzający w kierunku szczytu wieży.

Nagle przez radio dotarł do nich znajomy głos.

- Tu Firebrass!

- Słyszymy pana głośno i wyraźnie - odpowiedział radiotelegrafista.

- To dobrze, ja was także. Zamierzam wylądować w odległości około stu metrów od kopuły. Nasz radar funkcjonuje bez zarzutu, więc nie powinniśmy mieć problemów. Sądzę, że podczas lądowania ściany osłonią nas przed wiatrem. Jill, jesteś tam?

- Jestem, panie kapitanie - odpowiedziała Gulbirra.

- Co zrobiłaś w sprawie Thorna?

Jill odpowiedziała.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo - odrzekł Firebrass. - Kiedy wrócę, spytam go, czemu tak się palił do tego, by z nami polecieć. Jeśli... jeśli z jakiegoś powodu nie wrócę, sama go przesłuchaj. Ale cały czas trzymaj go pod strażą, dopóki nie skończy się to zamieszanie z wieżą.

Jill poleciła Aukuso podpiąć radiostację pod system głośników. Nie było powodu, żeby cała załoga nie miała słyszeć słów kapitana.

- Podchodzimy do lądowania - zameldował Firebrass. - Wiatr staje się słabszy. Jill, myślę...

- Dolne drzwi się otwierają! - krzyknął Cyrano i wskazał na błyskającą czerwoną lampkę na tablicy sterowniczej - *Mon Dieu!*

Tym razem wskazał palcem na przednią szybę. Nie musiał. Wszyscy w sterowni jak zahipnotyzowani patrzyli na ognistą kulę, która nagle wykwitła na ciemnym niebie. Jill jęknęła.

- Panie kapitanie! Niech się pan zgłosi, panie kapitanie! - wołał Aukuso do mikrofonu.

Nikt nie odpowiadał.

58

W pomieszczeniu rozbrzmiewał sygnał interkomu.

Ruszając się powoli, jak gdyby powietrze miało konsystencję waty cukrowej, Jill włączyła urządzenie.

- Pani kapitan, Thorn właśnie ukradł drugi śmigłowiec! - rozległ się głos Szentesa. - Ale chyba dorwałem sukinsyna! Władowałem w niego cały magazynek!

- Mamy go na radarze! - odezwał się Cyrano.

- Szentes, co się stało? - spytała Jill.

Starła się przezwyciężyć uczucie otępienia i odzyskać bystrość umysłu.

- Oficer Thorn opuścił hangar, tak jak mu rozkazał kapitan - odpowiedział bosman. - Ale wrócił, gdy tylko śmigłowiec wystartował. Miał przy sobie pistolet. Kazał nam wejść do ładowni i zamknął nas tam, przedtem roztrzaskując interkom. Zapomniał, że w ładowni znajduje się broń. A może myślał, że zdąży uciec, zanim się wydostaniemy? Tak czy inaczej, przestreliliśmy zamek i wybiegliśmy na zewnątrz. Thorn już siedział w śmigłowcu i podrywał maszynę do lotu. Strzeliłem do niego, gdy opuszczał hangar przez otwarte drzwi. Inni też strzelali. Pani kapitan, co się dzieje?

- Powiadomię załogę, kiedy sama się dowiem - odparła Jill.

- Pani kapitan

- Tak?

- Dziwna sprawa - rzekł Szentes. - Thorn płakał, kiedy zamykał nas w ładowni, nawet wtedy gdy groził, że nas powystrzela.

- Bez odbioru - ucięła Gulbirra i wyłączyła interkom.

- Tam wciąż płonie ogień - odezwał się mężczyzna obserwujący czujnik podczerwieni.

- To helikopter - dodał radiotelegrafista, coraz bardziej blednąc. - Stoi na lądowisku wieży.

Jill próbowała przebić wzrokiem mgłę, ale nie widziała niczego poza wirującymi obłokami.

- Mam drugi śmigłowiec - zameldował mężczyzna obsługujący radar. - Leci w stronę podstawy wieży... Teraz wylądował na powierzchni wody - dodał po chwili.

- Aukuso, połącz się z Thornem - poleciała Jill.

Powoli opuszczała ją otępienie. Wciąż czuła się zagubiona, ale zaczynała dostrzegać jakiś porządek w otaczającym ją chaosie.

- Thorn nie odpowiada - odrzekł Aukuso.

Według wskazań radaru helikopter-amfibia unosił się na powierzchni morza w odległości około trzydziestu metrów od wieży.

- Próbuj dalej - rozkazała kobieta.

Prawdopodobnie Firebrass zginął, więc teraz to ona była kapitanem. Spełniło się jej marzenie.

- Boże! Ale nie w taki sposób! - jęknęła.

Wezwała do sterowni Coppenname'a i przekazała mu obowiązki pierwszego oficera. Alexandrosa mianowała pierwszym oficerem rufowym.

- Thornem zajmiemy się później - rzekła do Francuza. - Na razie musimy sprawdzić, co się stało z Firebrassem... i pozostałymi. Musimy wylądować na szczycie wieży.

- Oczywiście, czemu nie? - odrzekł Cyrano.

Był bardzo błądy i mocno zaciskał zęby, ale panował nad sobą.

Parseval ruszył poprzez chmury, badając otoczenie za pomocą radaru. W pobliżu wieży załoga musiała uważać na silny prąd wstępujący, który jednak stracił impet, gdy sterowiec znalazł się dokładnie ponad budowlą.

Reflektory przeszukiwały szarą metalową powierzchnię lądowiska. Ludzie zgromadzeni w sterowni widzieli płomienie, ale nie potrafili dostrzec samego helikoptera.

Powoli zeppelin minął strefę pożaru. Śmigła ustawiono w pozycji poziomej, by sprowadzić olbrzyma w dół.

Pilot obniżył maszynę najdelikatniej jak potrafił. W idealnych warunkach powinna tu panować całkowita cisza, ale tysiące otworów u podnóża ściany otaczającej lądowisko sprawiały, że odczuwali ciągle podmuchy wiatru o sile ośmiu kilometrów na godzinę. W skali Beauforta oznaczało to lekką bryzę - taką, która rozwiewa włosy, szeleści liśćmi i wprawia w ruch łopatkę wiatraczka.

Dla laika to drobiazg niewart uwagi. Jednak taki wiatr z łatwością może przepchnąć duży sterowiec i rozbić go o ścianę.

Niestety, na lądowisku nie było masztu cumowniczego. Sterowiec nie mógł bezpośrednio dotknąć podłoża, gdyż w odróżnieniu od *Grafa Zeppelina ery Hindenburga* nie został wyposażony w podwieszoną gondolę z kółkiem, zapobiegającą szorowaniu o ziemię dolnej części ogona. Jako że sterownia *Parsevala* znajdowała się w części dziobowej, podczas lądowania nie dałoby się uniknąć uszkodzenia tylnego statecznika.

Na szczęście na pokładzie znajdowały się liny, które zabrano na wypadek konieczności wylądowania na równinie. Według planu miały one zostać zrzucone do ludzi zgromadzonych na dole, którzy, przy odrobinie szczęścia, pomogliby załodze w przycumowaniu zeppelinu.

Jill wydała kilka rozkazów. Cyrano obrócił jednostkę bokiem do wiatru. Przez kilka kilometrów pozwalał słabnącym podmuchom pchać sterowiec w stronę ściany. Potem wiatr zmienił kierunek, docierając od strony otworów w murze.

Kiedy radar wskazał, że nos zeppelinu znajduje się w odległości pół kilometra od ściany, Francuz uruchomił silniki i zmienił ustawienie śmigieł. Gdy sterowiec zawisł w powietrzu, otwarto dolne drzwi.

Opuszczono liny, po których kolejno, czwórkami, zsunęło się pięćdziesięciu członków załogi. Gdy dotknęli stopami lądowiska, sterowiec stał się lżejszy i mniej stabilny. Jill niechętnie rozkazała uwolnić część wodoru z poduszek gazowych. Nie było innego sposobu na zahamowanie wznoszenia zeppelinu, lecz kobieta z niezadowoleniem pozbywała się zapasów gazu. Aby ponownie wystartować, trzeba będzie wyrzucić balast.

Kolejne liny opuszczono z nosa i ogona sterowca. Chwycili je mężczyźni stojący na lądowisku.

Cyrano pozwolił jednostce dryfować z wyłączonymi silnikami w stronę ściany. Zanim sterowiec jej dotknął, Francuz ponownie wprowadził śmigła w ruch i maszyna się zatrzymała.

Dwaj mężczyźni podbiegli do muru i przyjrzeni się otworom. Droga radiową potwierdzili, że wydobywające się z nich powietrze zapobiegnie zepchnięciu sterowca bokiem na ścianę.

Opuszczono kolejnych członków załogi i uwolniono następną porcję wodoru. Nowi pomocnicy chwycili liny zwieszające się z części rufowej.

Inni pospieszyli z pomocą ludzi trzymającym liny zrzucone z nosa sterowca. Wspólnie przyciągnęli powoli *Parsevala* do ściany i za pomocą haków przewlekli liny przez otwory w murze, po czym mocno je przywiązali. Następnie załoga ustawiła sterowiec równoległe do ściany i w ten sam sposób zamocowała liny zrzucone z rufy.

Zeppelin unosił się w powietrzu w odległości około dwudziestu metrów od ściany.

Jill nie spodziewała się zmiany kierunku i siły wiatru. Trudno było przewidzieć, jak wielkie zniszczenia by to spowodowało. Jedno uderzenie o ścianę mogłoby zmiążdżyć koła zębate i śmigła znajdujące się po lewej stronie kadłuba.

Przez otwarte dolne drzwi zsunięto drabinę. Jill i Piscator pospiesznie opuścili sterownię i zeszli na płytę lądowiska. Czekał tam na nich doktor Graves z czarną torbą w

dłoni.

Helikopter rozbił się w odległości około trzydziestu metrów od kopuły. Kierując się blaskiem ognia, ruszyli poprzez mgłę w stronę maszyny. Gdy zbliżali się do wraku, Jill poczuła, jak serce tłucze się jej w piersi. To niemożliwe, żeby ten ekstrawagancki i energiczny człowiek zginął.

Firebrass leżał kilka metrów od płonącej maszyny, gdzie rzuciła go siła uderzenia. Pozostali wciąż znajdowali się w śmigłowcu. Zwęglone ciało jednego z pasażerów tkwiło w fotelu.

Graves podał lampę Piscatorowi i pochylił się nad ciałem. Dym mieszał się z mgłą, przynosząc obrzydliwy smród płonącej benzyny i mięsa. Jill czuła, że zaraz zwymiotuje.

- Trzymaj lampę równo! - skarcił ją Graves.

Jill posłuchała, zmuszając się do spojrzenia na trupa. Zwłoki były pozbawione ubrania i przypalone na całej powierzchni. Mimo poparzeń wciąż można było rozpoznać rysy twarzy. Mężczyzna musiał przebywać w płomieniach tylko przez chwilę. Być może eksplozja wyrzuciła go z kokpitu przed katastrofą i cisnęła na lądowisko. To by tłumaczyło brak górnej części czaszki. Jill nie rozumiała, czemu lekarz bada ciało Firebrassa. Miała go o to spytać, kiedy Graves wstał i wyciągnął do niej otwartą dłoń.

- Spójrz.

W świetle lampy zobaczyła kulkę wielkości główki od zapalki.

- To się znajdowało na jego płatach czołowych - wyjaśnił doktor. - Nie mam zielonego pojęcia, co to takiego - Wytarł obiekt z krwi. - Jest czarne - dodał.

Owinął kulkę w kawałek szmatki i schował ją do torby.

- Co zrobimy z ciałami? - spytał.

Jill popatrzyła na płonącą górę poskręcane metalu.

- Nie ma sensu marnować piany na gaszenie pożaru - odpowiedziała beznamiętnym głosem. Spojrzała na mężczyzn stojących obok. - Peterson, zanieś ciało kapitana do sterowca. Tylko najpierw je czymś owiń. Reszta ze mną! - rozkazała.

Po kilku minutach znaleźli się przed kopułą, która w świetle reflektorów wyglądała niczym duch eskimoskiego igloo. Przyświecając sobie lampą, Jill stwierdziła, że kopułę wykonano z tego samego szarego metalu co resztę wieży. Kobieta nie zauważyła żadnego łączenia, zupełnie jakby konstrukcja była naturalnym wybrzuszeniem na powierzchni lądowiska.

Reszta załogi odsunęła się od łukowatego wejścia, czekając na decyzję pani kapitan. W świetle ich lamp Jill ujrzała otwór przypominający wlot jaskini, który po mniej więcej

dziesięciu metrach przechodził w korytarz o szerokości trzech i wysokości dwóch i pół metra. Jego ściany zbudowano z tej samej szarej substancji. W odległości około trzydziestu metrów od wejścia korytarz gwałtownie skręcał. Jeśli rzeczywiście było to wejście do wieży, to zapewne znajdowało się zaraz za zakrętem.

Powyżej otworu ujrzeli dwie płaskorzeźby. Górna przedstawiała półokrąg w siedmiu barwach podstawowych, dolna okrąg, w którego wnętrzu umieszczono krzyż zwieńczony pętlą, egipski *ankh*.

- Tęcza powyżej symbolu życia i zmartwychwstania - stwierdziła Jill.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale krzyż wpisany w okrąg jest również astrologicznym i astronomicznym symbolem Ziemi - odezwał się Piscator. - Choć w takim przypadku stosuje się raczej zwykły krzyż, a nie *ankh*.

- Z kolei tęcza to symbol nadziei, a także, jak pewnie pamiętasz ze Starego Testamentu, znak przymierza Boga z Jego ludem - dodała Jill. - Kojarzy się również z baśniowym garnkiem złota na końcu tęczy, Szmaragdowym Miastem w Krainie Oz i wieloma innymi rzeczami.

Piscator zerknął na kobietę z zaciekawieniem.

Jill przez chwilę milczała, nie mogąc wyjść z podziwu i starając się zapanować nad strachem.

- Wchodzę - stwierdziła w końcu. - Piscatorze, poczekaj tutaj. Kiedy dojdę do końca korytarza, dam ci znak, abyś poszedł za mną, oczywiście, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Jeżeli cokolwiek mi się stanie, uciekajcie do sterowca i odlatujcie jak najdalej stąd. To rozkaz. W takiej sytuacji to ty przejmiesz obowiązki kapitana. Coppename to dobry człowiek, ale brakuje mu twojego doświadczenia. Poza tym jesteś najbardziej zrównoważoną osobą jaką znam.

Piscator się uśmiechnął.

- Firebrass rozkazał ci nie lądować na wieży, gdyby coś mu się stało - rzekł do Jill. - A jednak wylądowałaś. Czy myślisz, że zostawię cię samą w niebezpieczeństwie?

- Nie chcę, żebyś narażał sterowiec i życie prawie setki osób - odparła Gulbirra.

- Zobaczymy - odparł Piscator. - Postąpię tak, jak będzie tego wymagała sytuacja. Ty zachowalabyś się tak samo. Pozostaje jeszcze sprawa Thorna.

- Wszystko po kolei - przerwała mu Jill.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wejścia. Gdy podeszła bliżej, wstrzymała oddech.

Korytarz wypełniała delikatna poświata.

Po chwili wahania poszła dalej. Gdy minęła łuk okalający wejście, nagle otoczyło ją

jaskrawe światło.

59

Jill się zatrzymała.

- Skąd się bierze ten blask? - spytał Piscator.

- Nie wiem - odparła kobieta, odwracając się w stronę Japończyka. - Nie widzę żadnego źródła światła. Spójrz, nie rzucam cienia.

Powoli przeszła kilka kroków, po czym znów się zatrzymała.

- Co się dzieje? - zawołał Piscator. - Czy...

- Nie mam pojęcia, do cholery. Czuję się, jakbym tkwiła w gęstej galarecie! Mogę oddychać, ale ledwo idę naprzód!

Jill naparła na niewidzialną przeszkodę, jak gdyby zmagając się z silnym przeciwnym wiatrem, i zrobiła jeszcze trzy kroki. Potem się zatrzymała, ciężko dysząc.

- To musi być jakiś rodzaj pola siłowego - stwierdziła. - Nie ma tu żadnej materialnej bariery, ale czuję się jak mucha złapana w sieć!

- A może pole reaguje na magnetyczne klamry w twoim ubraniu? - spytał Piscator.

- Nie sądzę - odparła. - Gdyby tak było, to klamry napinałyby materiał, a tak się nie dzieje. Ale sprawdzę.

Czuła lekkie zażenowanie, obnażając się przed pięćdziesiątką mężczyzn, ale odpięła klamry. Powietrze miało temperaturę nieco powyżej zera. Drżąc i szcękając zębami, Jill ponownie spróbowała przedrzeć się przez niewidzialną barierę, ale nie udało jej się przesunąć nawet o centymetr.

Schyliła się, by podnieść ręczniki, i zauważyła, że ten ruch nie sprawia jej kłopotu. Pole siłowe działało tylko w poziomie. Wycofała się o dwa kroki, a gdy poczuła, że opór osłabł, włożyła ubranie.

Wyszła przed kopułę.

- Teraz ty spróbuj - zaproponowała Piscatorowi.

- Myślisz, że mogę odnieść sukces tam, gdzie ty zawiodłeś? - spytał Japończyk. - Cóż, warto sprawdzić.

Rozebrał się do naga i ruszył w głąb korytarza. Ku zaskoczeniu Jill, pole siłowe wcale go nie spowolniło. Przynajmniej do chwili, gdy znalazł się w odległości kilku metrów od zakrętu. Wtedy napotkał pierwsze problemy.

Szedł coraz wolniej, a jego ciężki oddech było słychać aż na zewnątrz kopuły.

Dotarł do zakrętu i tam się zatrzymał, aby chwilę odpocząć.

- Na końcu korytarza znajduje się otwarta winda. - zawołał. - To chyba jedyna droga na dół.

- Możesz się do niej dostać? - spytała Jill.

- Spróbuję.

Poruszając się niczym bohater filmu puszczonego w zwolnionym tempie, Japończyk uparcie parł przed siebie. Po chwili zniknął za zakrętem.

Minęła minuta. Dwie. Jill ponownie poszła w głąb korytarza, najdalej jak była w stanie dotrzeć, i stamtąd zawołała Piscatora.

Jej głos zabrzmiał bardzo dziwnie. Najwyraźniej w korytarzu była nietypowa akustyka.

Japończyk nie odpowiadał, choć teoretycznie powinien ją słyszeć, jeśli znajdował się zaraz za zakrętem.

Zawołała go jeszcze kilkakrotnie, ale bez rezultatu.

Mogła jedynie cofnąć się do wejścia i pozwolić spróbować szczęścia innym.

Mężczyźni wchodzili dwójkami, aby oszczędzić czas. Niektórzy dotarli trochę dalej od niej, inni sporo bliżej. Wszyscy zrzucili ubrania, ale w niczym im to nie pomogło.

Jill skontaktowała się przez radio z załogą pozostającą na pokładzie sterowca i poprosiła, by oni także spróbowali przedostać się przez korytarz. Jeśli udało się to jednemu człowiekowi na pięćdziesięciu dwóch, którzy do tej pory podjęli wyzwanie, być może wśród czterdziestu jeden pozostałych osób również znajdzie się ktoś taki.

Jednak najpierw wszyscy poza nią musieli wrócić do zeppelinu. Mężczyźni odmaszerowali, przypominając we mgle armię upiórów. Jill jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna, choć przecież na Ziemi wiele godzin spędziła w odosobnieniu. Mgła obejmowała jej twarz wilgotnymi palcami, zmieniając ją w lodową maskę. Stos pogrzebowy Obrenovej, Metzanga i innych płonął wściekłym ogniem. Piscator zniknął gdzieś za zakrętem korytarza. Co się z nim dzieje? Czy nie jest w stanie ani iść naprzód, ani się cofnąć? Przecież powrót nie sprawił kłopotu jej i reszcie załogi. Dlaczego Japończyk miałby mieć z tym problem?

Ale z drugiej strony, nie wiadomo, jakie przeszkody czają się za tym ponurym szarym tunelem.

Wyszeptała do siebie linijkę z Wergilusza: „*Facilit descensus Averni*” („Łatwe jest zejście do Awernu”).

Jak brzmiał dalszy ciąg? Po tylu latach z trudem go sobie przypominała. Gdyby tylko

w tym świecie istniały książki.

Wyrecytowała obszerniejszy fragment.

„Łatwe jest zejście do Awernu: nocą i dniem na oścież jest otwarta brama Mrocznego Disa. Lecz zawrócić kroki stamtąd i znów się wymknąć do przestworza pod słońcem - to jest trud, to jest zadanie”¹³.

Piękny cytat, choć nie całkiem pasuje do sytuacji, gdyż w ich przypadku bardzo trudno się dostać do bramy i udało się to tylko jednej osobie. Z kolei powrót nie nastęczał większych kłopotów nikomu oprócz Piscatora.

Włączyła krótkofalówkę.

- Cyrano! Mówi kapitan - powiedziała.

- Słucham, o co chodzi, pani kapitan?

- Czy ty płaczesz?

- Ależ oczywiście - odrzekł Francuz. - Czyż nie kochałem Firebrassa jak brata? Nie wstydę się swego smutku. Nie jestem zimnym Anglosasem.

- Mniejsza o to. Weź się w garść, czeka nas dużo pracy.

Cyrano pociągnął nosem.

- Wiem - odparł. - Jestem gotowy, smutek nie odebrał mi sił. Jakie są rozkazy?

- Już słyszałeś, że wkrótce za sterami zmieni cię Nikitin - odpowiedziała Jill. - Chcę, żebyś wziął ze sobą dwadzieścia pięć kilogramów plastiku.

- Rozumiem. Czy zamierza pani wysadzić wieżę?

- Nie, tylko wejście - odparła Gulbirra.

Minęło pół godziny. W tym czasie nastąpiła zmiana załogi. Nie był to łatwy proces, gdyż każdą osobę opuszczającą pokład natychmiast musiał zastępować ktoś inny. Jednoczesne opuszczenie sterowca przez zbyt dużą liczbę ludzi spowodowałoby utratę stateczności. Sterowiec wzniosłby się w niebo, a drabina znalazłaby się poza zasięgiem osób pozostających na lądowisku.

W końcu Jill zobaczyła zbliżające się światła i usłyszała głosy. Opowiedziała mężczyznom, co się wydarzyło, mimo że już o wszystkim wiedzieli. Potem poinformowała ich, co mają zrobić. Przewidywali, jaki dostaną rozkaz.

Żadnemu nie udało się dostać równie daleko jak Piscatorowi.

- Trudno - stwierdziła Jill.

Umieścili materiały wybuchowe na zewnętrznej stronie kopuły dokładnie naprzeciwko

¹³ Na podstawie „Eneidy Wergiliusza w przekładzie Zygmunta Kubiaka (Oficyna Literacka, 1994).

środką korytarza. Jill wolałaby ułożyć plastik pomiędzy tylną częścią kopuły i ścianą wieży, ale obawiała się, że eksplozja może zabić Piscatora.

Wycofali się do sterowca i pirotechnik uruchomił detonator. Choć plastik znajdował się po przeciwległej stronie kopuły, huk i tak był ogłuszający. Pobiegli w stronę budowli, ale zatrzymał ich dławiący dym. Kiedy się rozwiął, Jill przyjrzała się kopule.

Była nieuszkodzona.

- Tak myślałam - mruknęła.

Wcześniej, drogą radiową przekazała Piscatorowi, aby pozostał w ukryciu i wyszedł dopiero po eksplozji. Nie uzyskała odpowiedzi. Przeczowała, że mężczyzny nie ma w okolicy, ale nie miała co do tego pewności.

Ponownie pomaszzerowała korytarzem i dotarła najdalej jak mogła. Zauważyła, że pole siłowe nie powstrzymuje bosaka, który wysunęła przed siebie. Była także w stanie rzucić w głąb tunelu ręcznik obciążony kawałkiem metalu. A więc pole nie blokowało nieożywionych przedmiotów.

Gdyby mieli peryskop na tyle długi, aby dosięgnąć zakrętu, mogliby zobaczyć, co się za nim kryje. Niestety, taki przyrząd nie należał do wyposażenia sterowca.

Jill to nie zniechęciło. Przypomniała sobie, że na pokładzie *Parsevala* znajduje się warsztat mechaniczny. Można w nim zbudować niewielki pojazd będący w stanie dotrzeć do końca korytarza, a do pojazdu przymocować aparat fotograficzny uruchamiany drogą radiową.

Technik ocenił, że budowa takiego urządzenia zajmie około godziny. Jill kazała mu się zabrać do pracy, po czym ustawiła przed kopułą trzech strażników.

- Jeśli pojawi się Piscator, dajcie mi znać - rozkazała.

Po powrocie na pokład ponownie skontaktowała się z technikiem.

- Czy możesz pracować podczas lotu? - spytała. - Uprzedzam, że może nami trochę rzucać.

- Nie ma problemu, pani kapitan - odpowiedział mężczyzna.

Odcumowanie sterowca i wzbicie się w powietrze zajęło piętnaście minut. Nikitin wznosił *Parsevala* wysoko nad wieżę, a potem zaczął się obniżać ku podstawie budowli, gdzie według wskazań radaru znajdował się helikopter. Choć morze było dość spokojne, to fale zapewne i tak zepchnęły maszynę na ścianę. Przy odrobinie szczęścia, zniszczenia mogą się okazać niewielkie.

Aukuso ponownie spróbował się skontaktować z Thornem. Bezskutecznie.

Z powodu silnych prądów wznoszących w pobliżu wieży, nie mogli się zbliżyć do

śmigłowca. Nikitin obniżył sterowiec nad powierzchnię wody i utrzymywał go w miejscu, przeciwstawiając się podmuchom wiatru. Otwarto dolne drzwi i opuszczono ponton-motorówkę z trójką mężczyzn na pokładzie. Kierując się wskazówkami od obsługi radaru, ruszyli oni w stronę wieży.

Boynton, dowódca trzyosobowej grupy, zameldował Jill o postępach akcji.

- Jesteśmy teraz obok helikoptera. Maszyna co chwila uderza o ścianę, ale pływak uchronił śmigła przed zniszczeniem. Same też nie wydają się uszkodzone. Cholera, nieźle nami kołysze. Zgłoszę się za chwilę.

Po dwóch minutach Jill ponownie usłyszała głos mężczyzny.

- Propp i ja weszliśmy do śmigłowca. Jest tutaj Thorn! Cały we krwi, chyba dostał kulkę w klatkę piersiową, a dodatkowo rykoszet trafił go w twarz. Ale żyje.

- Czy widzisz jakieś wejście do wieży? - spytała kobieta.

- Zaraz, muszę zapalić flarę, bo lampy są za słabe - odparł Boynton. - Nie, nic tu nie ma, tylko gładka ściana.

- Ciekawe, czemu akurat tutaj wylądował? - rzekła Jill do Cyrano.

- Pewnie chciał jak najszybciej posadzić maszynę, bo tracił przytomność. - Francuz wzruszył ramionami.

- Ale dokąd leciał?

- To nie jedyna zagadka - stwierdził Cyrano. - Może uda nam się znaleźć sposób na przekonanie Thorna do udzielenia nam kilku odpowiedzi.

- Za pomocą tortur? - spytała Gulbirra.

- To by było nieludzkie - odparł z powagą Francuz. - Poza tym, cel nie uświęca środków. A może uważa pani, że to fałszywa filozofia? W każdym razie, nigdy w życiu nie użyłbym tortur i nie pozwoliłbym komuś innemu na ich zastosowanie w moim imieniu. Być może Thorn z własnej woli udzieli nam kilku wyjaśnień, gdy zrozumie, że to jedyny sposób na odzyskanie wolności. Chociaż, szczerze powiedziawszy, mocno w to wątpię. Wygląda na bardzo upartego człowieka.

- Jeśli mogę coś zaproponować - rozległ się głos Boyntona. - Pani kapitan, helikopter wygląda na cały, więc spróbuję nim wystartować. Moi ludzie zabiorą Thorna pontonem.

- Zgoda - odpowiedziała Jill. - Jeśli uda ci się odpalić maszynę, to wyląduj na szczycie wieży. Spotkamy się tam później.

Po upływie dziesięciu minut obsługa radaru poinformowała, że śmigłowiec wystartował. Boynton zameldował przez radio, że lot przebiega bez zakłóceń.

Jill przekazała dowodzenie Coppename'owi i zeszła do hangaru, gdzie właśnie

wydobywano z pontonu nieprzytomnego Thorna owiniętego w ręczniki. Gulbirra poszła za mężczyznami niosącymi nosze do pomieszczenia szpitalnego, gdzie rannym od razu zajął się Graves.

- Jest w szoku, ale chyba mogę mu pomóc - poinformował ją lekarz. - Oczywiście, teraz nie może go pani przesłuchać.

Jill postawiła przed drzwiami dwóch uzbrojonych strażników i wróciła do sterowni. Zeppelin już się wznosił, zmierzając ku szczytowi wieży. Pół godziny później *Parseval* ponownie zawisł nad lądowiskiem. Tym razem zatrzymał się w odległości około dwustu metrów od kopuły, leniwie kręcąc śmigłami, aby zrównoważyć lekki przeciwny wiatr.

Po chwili przez dolne drzwi opuszczono mały pojazd zbudowany przez technika. Dwaj członkowie załogi wpełchnęli wagonik w głąb korytarza, tak daleko, jak tylko mogli. Potem za pomocą długich żerdzi przesunęli go aż do przeciwległej ściany.

Wykonano serię sześciu zdjęć, po czym przyciągnięto pojazd z powrotem na długiej linie. Jill pospiesznie wydobyła z aparatu duże elektroniczne płytki, na których błyskawicznie pojawiały się wykonane fotografie.

Przyjrzała się pierwszej z nich.

- Nie ma go - stwierdziła.

Podążyła zdjęciem Francuzowi.

- Co to takiego? - zaniepokoił się Cyrano. - Krótki korytarz zakończony drzwiami. Przypomina szyb windy, prawda? Ale... gdzie jest kabina i liny?

- Nie wydaje mi się, aby Oni musieli polegać na tak prymitywnej technologii - odrzekła Jill. - Wygląda na to, że Piscator przedostał się przez pole siłowe i zjechał windą.

- Ale czemu nie wraca? - zdziwił się Francuz. - Przecież zdaje sobie sprawę z tego, że się o niego martwimy. - Na chwilę zamilkł. - I wie, że nie możemy czekać w nieskończoność - dodał.

Istniało tylko jedno wyjście z sytuacji.

Jill rozkazała ponownie zacumować sterowiec. Następnie wezwała całą załogę do hangaru i pokazała wszystkim fotografie oraz opowiedziała ze szczegółami, co się wydarzyło.

- Jeśli będzie trzeba, poczekamy nawet tydzień - oświadczyła. - Ale w końcu będziemy musieli odlecieć. Piscator nie chciałby, żebyśmy pozostawali tutaj zbyt długo. Jeśli nie wróci w ciągu dwunastu godzin, to możemy założyć, że został złapany lub miał wypadek, w wyniku którego zginął bądź został ranny. Nie ma sposobu, abyśmy poznali prawdę. Możemy jedynie czekać, oczywiście w granicach rozsądku.

Nikt nie miał zamiaru opuszczać Piscatora. Nie dało się jednak ukryć, że załodze nie uśmiecha się pozostawanie przez siedem dni w tym zimnym, ciemnym, wilgotnym i przerażająco cichym miejscu. Przypominało to biwakowanie przed bramami piekła.

Helikopter numer 1 przestał płonąć. Na lądowisko zeszła grupa operacyjna, by wydobyć z wraku ciała i zbadać przyczynę eksplozji. Mechanicy zabrali się za sprawdzanie stanu technicznego drugiego śmigłowca, szukając ewentualnych uszkodzeń pływaków. Wymienili także podziurawioną kulami przednią szybę i drzwi maszyny.

Za progiem kopuły ustawiono trzech strażników. Jill właśnie udawała się do mesy, gdy skontaktował się z nią doktor Graves.

- Thorn nadal nie odzyskał przytomności, ale jego stan się poprawia - poinformował kobietę lekarz. - Przyjrzałem się także temu, co zostało z mózgu Firebrassa. Co prawda niewiele mogę zdziałać bez mikroskopu, ale mógłbym przysiąc, że ta czarna kulka była połączona z systemem nerwowym kapitana i znajdowała się w jego płatach czołowych. Dopuszczam możliwość, że znalazła się tam na skutek eksplozji, ale mechanicy utrzymują, że taki przedmiot nie znajdował się w śmigłowcu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że kulka została chirurgicznie umieszczona w mózgu Firebrassa? - spytała Jill.

- Zbyt duży fragment czaszki uległ zniszczeniu, bym mógł to stwierdzić z całą pewnością - odparł Graves. - Ale zbadam pod tym kątem pozostałe ofiary. Planuję przeprowadzić pełną sekcję zwłok każdego ze zmarłych. To zajmie trochę czasu, zwłaszcza że muszę mieć oko na Thorna.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co to odkrycie może oznaczać? - zapytała Jill, z trudem

powstrzymując drżenie głosu.

- Zastanawiałem się nad tym - odpowiedział lekarz. - Za cholerę nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Wiem tylko, że to coś niezwykle ważnego. Wykonuję sekcje zwłok od lat, nie dlatego że muszę, ale po to, by nie wyjść z wprawy, i do tej pory nie natrafiłem na nic nietypowego. Ale powiem ci jedno. Teraz już wiem, czemu Firebrass tak nalegał na wykonanie rentgena czaszki wszystkim kandydatom. Szukał ludzi, w których mózgu tkwi czarna kulka. Powiem ci coś jeszcze. Myślę, że kapitan dlatego tak pospiesznie rozkazał wrzucić ciało Sterna do Rzeki, bo wiedział, co znajduje się w jego mózgu. Jak powiedziała Alicja: „Ach, jak zdumiewająco! Coraz zdumiewającej!”¹⁴, nieprawdaż?

Jill wyłączyła interkom drżącą ręką. Serce tłukło jej się w piersi.

Firebrass był jednym z Nich.

Po chwili ponownie skontaktowała się z Gravesem.

- Firebrass obiecał, że powie nam, czemu musieliśmy się poddać prześwietleniu. Ale nigdy tego nie uczynił, przynajmniej wobec mnie. Czy tobie coś zdradził? - spytała.

- Nie - odparł Graves. - Prosiłem, aby mi powiedział, ale mnie zbył.

- A więc nie wiesz, czy Thorn także ma taką kulkę w głowie? Jeśli umrze, koniecznie przeprowadź sekcję zwłok.

- Tak uczynię - odpowiedział doktor. - Oczywiście mógłbym i tak zajrzeć mu do mózgu. Ale nie teraz, najpierw musi dojść do siebie.

- Czy to by go nie zabiło? - zdziwiła się Jill. - Wiem, że czasem podczas operacji usuwa się górną część czaszki, ale czy możesz odsłonić płaty czołowe Thorna?

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

Minęły dwadzieścia cztery godziny. Jill starała się zająć czymś załogę, ale nie potrafiła wymyśleć nic poza nadprogramowym sprzątaniami i polerowaniem sprzętu. Żałowała, że nie ma ze sobą kilku filmów nakręconych w Parolando. Oprócz rozmowy i gry w warcaby, szachy, karty i rzutki ludzie nie mieli nic do roboty. Od czasu do czasu Jill zarządzała intensywne ćwiczenia fizyczne, żeby zmęczyć podwładnych, ale wkrótce stało się to równie nudne jak bezczynność.

Załodze powoli zaczynały doskwierać ciemność i przenikliwy ziąb. Trudno było wytrzymać myśl, że gdzieś poniżej mogą się skrywać tajemnicze istoty, które stworzyły ten świat. Co teraz robiły? Czemu nie wyszły z wieży?

¹⁴ Na podstawie „Alicji w Krainie Czarów” w przekładzie Antoniego Marianowicza (Nasza Księgarnia, 1969).

No i przede wszystkim: co się stało z Piscatorem?

Najgorzej radził sobie Cyrano de Bergerac. Jego milczenie i ponury wyraz twarzy mogły być spowodowane śmiercią Firebrassa, ale Jill odnosiła wrażenie, że Francuza trapi coś jeszcze.

Doktor Graves zaprosił ją do swojego gabinetu. Gdy weszła, siedział na krawędzi biurka. Bez słowa wyciągnął w jej kierunku otwartą dłoń. Leżała na niej malutka czarna kulka.

- Wszystkie ciała są tak spalone, że przed przeprowadzeniem sekcji nawet nie mogłem ustalić płci ofiar - rzekł lekarz. - Jednak Obrenova była najniższa, więc najpierw zbadałem najmniejsze zwłoki. Znalazłem to od razu. Początkowo cię nie informowałem, bo chciałem sprawdzić wszystkie ciała. Tylko ona to miała.

- A więc to już dwoje! - jęknęła Jill.

- Owszem. Teraz Thorn jeszcze bardziej mnie ciekawi.

Jill usiadła i zapaliła drżącymi rękami papierosa.

- Słuchaj, jedyny alkohol na pokładzie znajduje się w mojej szafce - odezwał się Graves. - Trzymam go dla celów medycznych, ale wydaje mi się, że przydałaby ci się teraz taka terapia. Mnie zresztą też.

Gdy wyjmował butelkę, Jill opowiedziała mu o podsłuchanej kłótni między Thornem i Obrenową.

Graves podał kobiecie kubek purpurowego płynu.

- A więc nie znali się tylko z widzenia? - spytał.

- Nie sędzę - odrzekła Jill. - Ale nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

- A któż to może wiedzieć? Oczywiście poza Thornem. Na zdrowie!

Gulbirra przełknęła rozgrzewający, owocowy alkohol.

- Nie znaleźliśmy nic podejrzanego w kajutach Firebrassa, Obrenovej i Thorna - powiedziała. - Choć zwróciliśmy uwagę na pewien znaczący brak. To tak jak w przypadku Sherlocka Holmesa i psa, który nie czekał. Nigdzie nie natrafiliśmy na róg obfitości Thorna, ani w helikopterze, ani w kajucie. Nakazałam dokładniejsze przeszukanie śmigłowca. Kilka godzin temu powiedziałaś, że Thorn jest przytomny. Czy można go przesłuchać?

- Radziłbym poczekać, aż nabierze więcej sił - odparł lekarz. - Teraz, jeśli nie będzie miał ochoty na rozmowę, może po prostu udać, że śpi.

Odezwał się dzwonek interkomu. Graves pstryknął palcem w przełącznik.

- Doktorze? Tutaj starszy bosman sztabowy Cogswell. Chciałbym rozmawiać z kapitanem.

- Mówi kapitan - odpowiedziała Jill.

- Znaleźliśmy bombę w helikopterze numer dwa! - zameldował Cogswell. - To plastik, około dwóch kilogramów. Zapalnik podłączono do odbiornika radiowego. Odkryliśmy ją pod schowkiem z bronią w tylnej części maszyny.

- Niczego nie ruszajcie, dopóki się tam nie zjawię - rozkazała Jill - Chcę obejrzeć bombę, zanim ją usuniecie.

Zerwała się na nogi.

- Raczej nie ma wątpliwości, że Thorn zdetonował ładunek wybuchowy w śmigłowcu Firebrassa - rzekła do Gravesa. - Co prawda ekipa badawcza nie ustaliła dokładnej przyczyny eksplozji, ale ich dowódca przyznał, że to wyglądało na bombę.

- Owszem - zgodził się doktor. - Pytanie brzmi, czemu Thorn miałby to zrobić?

Jill ruszyła w stronę drzwi, ale po chwili się zatrzymała.

- Mój Boże! - krzyknęła. - Skoro Thorn podłożył bomby w obu helikopterach, to równie dobrze mógł ukryć ładunki wybuchowe na pokładzie sterowca!

- W jego kajucie nie znaleźliście ani jednego nadajnika - zauważył Graves. - Może gdzieś je poukrywał.

Jill natychmiast powiadomiła cały personel. Nakazała Coppename'owi zorganizowanie ekip poszukiwawczych, po czym udała się do hangaru. Bomba znajdowała się w miejscu wskazanym przez bosmana. Jill uklękła i przyjrzała się ładunkowi w świetle latarki. Potem opuściła pokład śmigłowca.

- Usuńcie zapalnik i odbiornik - rozkazała. - Potem umieście plastik w magazynie z materiałami wybuchowymi. Skontaktujcie się z elektronikiem i powiedzcie mu, że chciałabym się dowiedzieć, na jaką częstotliwość nastawiono odbiornik. Nie, czekajcie, sama do niego zadzwonię.

Chciała się upewnić, że testy zostaną przeprowadzone w osłoniętym pomieszczeniu. Bomby - jeśli rzeczywiście znajdowały się na pokładzie - zostały podłożone w tym samym czasie, ale Thorn z pewnością ustawił odbiornik każdej z nich na inną częstotliwość. Nie było sensu niepotrzebnie ryzykować.

Po upewnieniu się, że Deruyck, główny elektronik, wszystko zrozumiał, Jill udała się do sterowni. Coppename siedział przy interkomie i wysłuchiwał raportów ekip poszukiwawczych.

Cyrano zajmował fotel pilota i wpatrywał się w tablicę sterowniczą, jak gdyby nadzorując lot. Podniósł wzrok, gdy Jill weszła do pomieszczenia.

- Czy wolno spytać, co odkrył doktor Graves?

Jak dotąd Gulbirra niczego nie ukrywała przed załogą. Czowała, że mają prawo być poinformowani równie dobrze jak pani kapitan.

Gdy kobieta skończyła opowiadać, Cyrano jeszcze długo milczał, bębniąc długimi palcami w pulpit i skupiając wzrok na suficie. W końcu wstał.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać na osobności - stwierdził. - Teraz, jeśli to możliwe.

- Przy tym całym zamieszaniu?

- Możemy przejść do pomieszczenia z mapami - zaproponował.

Tak też zrobili. Cyrano zamknął za nimi drzwi, a Jill usiadła i zapaliła kolejnego papierosa. Francuz spacerował tam i z powrotem, trzymając ręce za plecami.

- Wygląda na to, że Firebrass, Thorn i Obrenova byli agentami - odezwał się po chwili.
- Trudno mi jednak uwierzyć w to, że Firebrass był jednym z Nich. Wydawał się taki ludzki! Choć możliwe, że Oni też są ludzcy. Ta istota, która nazwała siebie Etykiem, twierdziła, że ani ona, ani agenci nie stosują przemocy i się nią brzydzą. Natomiast Firebrass potrafił się zachowywać bardzo brutalnie i z całą pewnością nie można go było nazwać pacyfistą. Przypomnijmy sobie chociażby incydent z nowo przybyłym Sternem. Z tego, co mi opowiadałaś, wynika, że to Firebrass mógł go pierwszy zaatakować.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odrzekła Jill. - Może lepiej zacznij od początku.

- No dobrze, w takim razie powiem ci coś, co obiecałem zachować w tajemnicy - odparł Francuz. - Jak dotąd zawsze dotrzymałem danego słowa, ale tym razem być może złożyłem przysięgę komuś, kto jest moim ukrytym wrogiem. Wydarzyło się to siedemnaście lat temu, choć wydaje się, jakby to było wczoraj! Przebywałem wtedy w okolicy zamieszanej głównie przez ludzi pochodzących z mojego kraju i epoki. Na drugim brzegu Rzeki żyli brązowoskórzy dzikusy, Indianie, którzy zaludniali Kubę, zanim odkrył ją Krzysztof Kolumb. Wydaje mi się, że nie zdawali sobie sprawy z tego, że w przyszłości ich plemię utraciło swoją ojczyznę. Zachowywali się w miarę pokojowo i po drobnych początkowych konfliktach udawało nam się żyć obok siebie w zgodzie. Moim państwem dowodził wielki Conti, w którego armii miałem zaszczyt służyć podczas oblężenia Arras. To wtedy otrzymałem pamiętne pchnięcie w szyję, drugą spośród poważnych ran, które przekonały mnie, wraz z innymi okropieństwami wojny, że Mars to najgłupszy z bogów. We wspomnianej okolicy odnalazłem także mojego dobrego przyjaciela i mentora, słynnego Gassendiego. Jak zapewne wiesz, sprzeciwiał się on niesławnemu Kartezjuszowi i popierał przekonania oraz teorie naukowe Epikura. Wywarł także wielki wpływ na Moliere'a, Chapelle'a i Dehenaulta, którzy również zaliczali się do grona moich przyjaciół. Gassendi

skłonił ich do przetłumaczenia dzieł Lukrecjusza, niezrównanego rzymskiego atomisty...

- Czy mógłbyś przejść do sedna sprawy? - przerwała Francuzowi Jill. - Daruj sobie ozdobniki i ogranicz się do samej prawdy.

- Skoro już mówimy o prawdzie, to czymże ona jest, parafrazując innego rzymskiego...

- Cyrano!

61

- Dobrze, zatem do rzeczy. Była późna noc, a ja smacznie spałem u boku mojej pięknej Livy, gdy nagle coś mnie obudziło. W pomieszczeniu panowała ciemność, rozpraszana jedynie światłem gwiazd sączącym się między drewnianymi prętami w otwartym oknie. Nade mną stała potężna postać o olbrzymiej okrągłej głowie przypominającej księżyc w pełni. Usiadłem na pościeli, ale zanim zdążyłem sięgnąć po włócznię, którą zawsze miałem przy sobie, postać przemówiła.

- W jakim języku? - spytała Jill.

- Cóż, w jedynym, jakim się wtedy porozumiewałem, czyli w mojej ojczystej mowie, najpiękniejszym języku świata - odpowiedział Cyrano. - Nieznajomy może nie posługiwał się całkowicie poprawną francuszczyzną, ale i tak go rozumiałem.

„Savinien de Cyrano II de Bergerac”, odezwał się do mnie, używając mojego pełnego nazwiska.

„Ma pan nade mną przewagę”, odparłem. Choć serce tłukło mi się w piersi i straszliwie chciało mi się sikać, w pełni nad sobą panowałem. Pomimo ciemności, już widziałem, że tajemniczy gość nie wygląda na agresywnego. Jeśli miał przy sobie broń, to ukrył ją pod obszerną peleryną. Zastanawiałem się, czemu Livy się nie zbudziła. Zwykle miała bardzo płytki sen, a teraz spała w najlepsze, cichutko i uroczo pochrapując.

„Możesz się do mnie zwracać wedle uznania”, rzekł nieznajomy. „Moje imię nie jest w tej chwili istotne. A jeśli się zastanawiasz, czemu twoja kobieta nadal śpi, to wiedz, że ja się o to postarałem. Ależ nie!”, krzyknął, gdy z wściekłością spróbowałem wstać z pościeli. „Możesz być spokojny, że jej nie skrzywdziłem. Została odurzona i obudzi się rankiem, nie odczuwając nawet bólu głowy”.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że ja także zostałem odurzony, przynajmniej częściowo. Nie mogłem poruszać nogami, choć wcale nie czułem, aby były odrętwiałe. Po prostu nie funkcjonowały. Oczywiście zirytowało mnie takie pogwałcenie mojej wolności, ale niewiele mogłem zrobić. Nieznajomy usiadł na taborecie tuż obok łóżka.

„Wysłuchaj mnie i sam oceń, czy było warto”, rzekł przybysz, po czym opowiedział mi najbardziej niesamowitą historię, jaką w życiu słyszałem. Twierdził, że jest jednym z tych, którzy nas wskrzesili. Istoty te nazywają samych siebie Etykami. Nie zdradził, kim są, lub

skąd pochodzą, gdyż nie miał na to czasu. Gdyby został złapany przez swoich ludzi, źle by się to dla niego skończyło. Oczywiście miałem wiele pytań, ale gdy tylko otworzyłem usta, kazał mi zamilknąć i uważnie słuchać. Zapowiedział, że odwiedzi mnie ponownie, być może nawet kilkakrotnie, i wtedy rozwieje moje wątpliwości. Na razie miałem przyswoić następującą informację: Nie zostaliśmy wskrzeszeni po to, by żyć wiecznie. Jesteśmy jedynie obiektem naukowego eksperymentu, a gdy ten dobiegnie końca, nadejdzie także nasz kres. Umrzemy po raz ostatni i już na zawsze.

- Co to za eksperyment? - spytała Jill.

- Cóż, to coś w rodzaju projektu historycznego - odrzekł Cyrano. - Jego ludzie chcieli zebrać dane historyczne, antropologiczne i tak dalej. Interesowało ich, jaki rodzaj społeczeństwa stworzymy, gdy się nas w takim stopniu przemiesza, oraz jakie zmiany zachodzą w ludziach pod wpływem różnych warunków. Nieznajomy powiedział, że wielu społecznościom Etycy pozwalają się rozwijać bez przeszkód, ale w przypadku niektórych interweniuje, czasem subtelnie, a czasem dość bezpośrednio. Projekt ma potrwać bardzo długo, może nawet kilkaset lat. Potem zostanie zamknięty i przestaniemy być potrzebni. Na zawsze obrócimy się w proch. Stwierdziłem, że nie wydaje się to zbyt etyczne i spytałem, czemu pozbawia się nas tego, co nam ofiarowano, czyli wiecznego życia.

„Dzieje się tak dlatego, że stwórcy tego świata tak naprawdę nie kierują się etyką”, odparł nieznajomy. „Mimo wysokiego mniemania o sobie, są równie okrutni jak naukowiec, który torturuje zwierzę, aby dokonać nowego odkrycia. Usprawiedliwienia szukają w racjonalizacji. Osiągnięcia naukowca są przydatne, co czyni jego postępowanie etycznym. To prawda, że w wyniku tego projektu niektórzy z was otrzymają nieśmiertelność, ale tylko kilkoro”.

„Jak to możliwe?”, spytałem. Wtedy opowiedział mi o czymś, co Kościół Jeszcze Jednej Szansy nazywa *ka*. Czy słyszałaś o tym, Jill?

- U Szansowców wysłuchałam wielu wykładów - odrzekła kobieta.

- W takim razie wiesz wszystko o *ka*, *akh* i całej reszcie. Nieznajomy stwierdził, że teologia Kościoła jest częściowo zgodna z prawdą, głównie dlatego, że jeden z Etyków odwiedził mężczyznę zwanego La Viro i skłonił go do założenia tej religii.

- Myślałam, że to tylko jedna z bajek wymyślonych przez misjonarzy - odparła Jill. - Nigdy nie przywiązywałam do niej większej wagi, podobnie jak do opowieści ziemskich proroków: Mojżesza, Jezusa, Zaratustry, Mahometa, Buddy, Smitha, Eddy i całej tej hałastry.

- Ja również - zgodził się Francuz. - Jednakże na łożu śmierci się nawróciłem. Uczyniłem to, by uszczęśliwić moją biedną siostrę i bliskiego przyjaciela, Le Breta. Poza tym,

nie miałem nic do stracenia. No i nie ukrywam, że bałem się ognia piekielnego. W końcu...

- Uwarunkowanie z dzieciństwa - przerwała mu kobieta.

- Właśnie. Ale oto stała przede mną istota, która twierdziła, że istnieje coś takiego jak dusza. No i miałem namacalny dowód na to, że życie po śmierci jest możliwe. Wciąż jednak zastanawiałem się, czy ktoś nie robi sobie ze mnie żartów. Może ten mężczyzna to jeden z moich sąsiadów, tylko udający wysłannika bogów? Uwierzę w jego słowa, a następnego dnia stanę się pośmiewiskiem całej okolicy. A więc to tak? De Bergerac, racjonalista i ateista, dał się nabrać na opowieść wyssaną z palca. Jednak, kto mógłby uczynić coś takiego? Nie znałem nikogo, kto miałby powód i możliwość zrobienia mi podobnego kawału. A co z narkotykiem, za pomocą którego uspiono Livy i sparaliżowano mi nogi? Nigdy nie słyszałem o takiej substancji. No i skąd żartowniś wziąłby czarną, nieprzejrzystą kulę, która zasłaniała mu twarz? W tym momencie, jak gdyby wyczuwając moje wątpliwości, nieznajomy podał mi soczewki wykonane z jakiegoś dziwnego materiału.

„Zakryj tym oczy i popatrz na Livy”, rozkazał.

Wykonałem polecenie i zaniemówiłem z wrażenia. Tuż ponad głową kobiety unosiła się różnokolorowa kula, płonąca własnym światłem. Niezwykły obiekt wirował i co jakiś czas się rozszerzał, wypuszczając macki o sześciu bokach, które po chwili chowały się z powrotem. Następnie przybysz wyciągnął do mnie dłoń i poprosił, abym upuścił na nią soczewki. Nie powiedział tego wprost, ale wydawało się oczywiste, że nie chce, abym go dotykał. Oczywiście zrobiłem jak kazał.

„To, co zobaczyłeś, to *wathan*, czyli nieśmiertelna cząstka człowieka”, wyjaśnił, gdy już schował soczewki. „Wybrałem kilkoro z was, abyście mi pomogli w walce z tym potwornym złem, które czynią moi ludzie. Wybrałem was właśnie ze względu na wasze *wathany*. Potrafimy je odczytywać z równą łatwością, z jaką wy czytacie książeczki dla dzieci. *Wathan* odzwierciedla charakter człowieka, choć może nie powinienem używać słowa »odzwierciedla«, gdyż *wathan* faktycznie jest charakterem danej osoby. Teraz nie mam czasu tego tłumaczyć. Niestety, jeśli nie otrzymacie więcej czasu, tylko niewielki procent ludzkości osiągnie ostateczny etap rozwoju *wathanu*”.

Potem opowiedział mi o tym, co z takimi detalami opisują Szansowcy. Niespełniony *wathan* martwej osoby bez końca błąka się w przestrzeni, zawierając wszystko to, czym był dany człowiek, za wyjątkiem świadomości. Tylko kompletny, w pełni rozwinięty *wathan* ma świadomość. Dostępnić tego stanu mogą wyłącznie ludzie, którzy za życia osiągnęli etyczną doskonałość, a przynajmniej byli jej bliscy.

„Słucham?”. Nie potrafiłem ukryć zdziwienia. „Celem dążenia do moralnej

perfekcyjności jest tułaczka w postaci ducha i odbijanie się jak piłka od ścian wszechświata, a do tego pełna świadomość tego potwornego stanu i brak możliwości porozumiewania się z kimkolwiek poza samym sobą? Do tego mamy dążyć?”.

„Nie powinienes mi przerywać”, odparł nieznajomy. „Ale udzielę ci odpowiedzi. Istota, która osiągnie ten stan, przechodzi dalej. Nie pozostaje w tym świecie, ale wędruje poza niego!”.

„Dokąd?”, spytałem. „Gdzie jest to poza?”.

„Przejście poza ten świat oznacza wchłonięcie przez *Nadwathan*”, odpowiedział. „Połączenie z jedyną Rzeczywistością, lub też Bogiem, jeśli wolisz używać tej nazwy. Taka osoba staje się jedną z komórek Boga, doświadczając wiecznej i nieskończonej rozkoszy boskości”.

W tym momencie byłem prawie pewien, że mam do czynienia z szalonym panteistą, ale pytałem dalej:

„Czy to wchłonięcie oznacza utratę indywidualności?”.

„Tak”, odpowiedział przybysz. „Jednak stajesz się wtedy *Nadwathanem*, Bogiem. Zamiana indywidualności na świadomość Najwyższej Istoty z pewnością się opłaca. To największy i ostateczny zysk”.

„Coś potwornego”, odparłem. „Czy to jakiś przerażający żart Boga? W czym taka nieśmiertelność jest lepsza od śmierci? Nie! To nie ma sensu! Patrząc logicznie, czemu ma służyć stworzenie *wathanu*, czy też duszy? Po co powoływać do istnienia twory, z których większość zostanie zmarnowana, niczym muchy, które wykluwają się tylko po to, by zostać zjedzone lub zabite? A co z tymi *wathanami*, które za życia osiągają doskonałość, a na końcu zostają oszukane? Bo jak inaczej nazwać utratę świadomości, indywidualności i człowieczeństwa? O nie, jeśli mam się stać nieśmiertelny, to tylko jako Savinien de Cyrano de Bergerac, a nie nieświadoma, bezmyślna i bezimienna komórka w ciele Boga!”.

„Jak większość przedstawicieli swojego gatunku, zbyt wiele mówisz”, odparł nieznajomy. „Chociaż...”. Przez chwilę się wahał. „Istnieje trzecia alternatywa, która z pewnością ci się spodoba. Nie chciałem ci o niej mówić... i na razie tego nie zrobię. Nie mam czasu, a poza tym, to nienajlepszy moment. Może następnym razem. Wkrótce będę cię musiał pożegnać. Najpierw jednak muszę wiedzieć, czy mogę liczyć na twoją lojalność i pomoc?”.

„Jak mogę obiecać wsparcie, skoro nie wiem, czy twoja sprawa jest tego warta? Przecież możesz być choćby i samym Szatanem!”.

Nieznajomy głucho zachichotał. „Rozmawiam z człowiekiem, który odrzucił zarówno Boga, jak i Szatana. Nie jestem Diabłem, ani nikim podobnym. Tak naprawdę stoję po twojej

stronie, po stronie oszukanej, cierpiącej ludzkości. Nie potrafię tego udowodnić, przynajmniej nie teraz. Zastanów się nad jednym. Czy moi towarzysze się z tobą skontaktowali? Czy uczynili cokolwiek oprócz wskrzeszenia was z martwych bez podania powodu? Czyż nie wybrałem cię spośród miliardów ludzi, aby poprosić o wsparcie w mojej tajnej walce? Ciebie i jedenastu innych osób. Czemu tak cię wyróżniłem? Powiem ci. Ponieważ wiem, że jesteś jednym z niewielu, którzy mogą mi pomóc. Twój *wathan* mówi mi, że staniesz po mojej stronie”.

„A więc to przesądzone?”, spytałem. „Nie wierzę w przeznaczenie”.

„Nie, nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie, a przynajmniej nie w sensie, który byłbyś w stanie zrozumieć i zaakceptować. W tej chwili mogę ci jedynie powiedzieć, że jestem twoim sojusznikiem. Beze mnie ty i większość twojej rasy jesteście skazani na zagładę. Musisz mi uwierzyć”.

„Ale co możemy działać my, żałośni ludzie?!”, zawołałem. „Jakie mamy szanse w walce przeciwko istotom, które przewyższają nas pod każdym względem!”.

Nieznajomy odpowiedział, że niczego nie zwojujemy bez wysoko postawionego przyjaciela, jakim jest on sam. Nasza dwunastka musi połączyć siły i razem ruszyć na biegun północny do wieży wznoszącej się na środku morza. Musimy tam dotrzeć samodzielnie, bez pomocy tajemniczego nieznajomego. Na razie przybysz nie mógł podać powodu.

„Muszę działać powoli i ostrożnie”, stwierdził. „A ty obiecaj, że nie powiesz nikomu o naszej rozmowie. Nikomu oprócz pozostałych przedstawicieli dwunastki, którą wybrałem. Jeśli nie dotrzymasz słowa, możesz zostać wykryty przez agenta. Wtedy Etycy usuną z twojej pamięci wszystkie wspomnienia dotyczące naszych spotkań, a ja znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie”.

„Ale jak rozpoznam pozostałych?”, spytałem. „Jak dotrę do miejsca, w którym przebywają? A może to oni mnie znajdą?”.

Zadając te pytania, czułem zarówno przerażenie, jak i dumę. Oto jedna z istot, które wskrzesiły nas z martwych i stworzyły ten świat, prosi mnie o pomoc! Mnie, Saviniena de Cyrana de Bergeraca, zwykłego człowieka, choć nie pozbawionego kilku talentów. Zostałem wybrany spośród miliardów ludzi! Nieznajomy dobrze wiedział, że nie będę w stanie oprzeć się takiemu wyzwaniu. Gdybym mógł wstać, skrzyżowałbym z nim ostrze - gdybyśmy je mieli - i przypieczetowałbym moją lojalność toastem - gdybyśmy mieli wino.

„Czy zrobisz to, o co cię proszę?”, spytał przybysz.

„Ależ oczywiście!”, odpowiedziałem. „Masz na to moje słowo, a ja zawsze go dotrzymuję”.

Nie będę wchodził w szczegóły. Wspomnę jeszcze tylko, że miałem poinformować Sama Clemensa, by wypatrywał człowieka o nazwisku Richard Francis Burton, który także został wybrany. Mieliśmy przez rok czekać w Virolando na zebranie się całej dwunastki. Gdyby niektórzy nie dotarli, powinniśmy ruszyć w dalszą drogę i czekać na kolejną wiadomość od nieznanego. Dostałem wskazówki mające mi umożliwić odnalezienie Clemensa, który znajdował się w odległości około dziesięciu tysięcy mil morskich w dół Rzeki. Clemens budował wielki statek, używając do tego celu żelaza pochodzącego z meteorytu. Doskonale wiedziałem, kim jest Sam, choć umarłem sto osiemdziesiąt jeden lat przed jego urodzeniem. W końcu dzieliłem posłanie z jego ziemską żoną. Gdy powiedziałem o tym nieznanemu, roześmiał się i odrzekł: „Wiem”.

„Czyż nie jest to dla mnie upokarzające?”, rzekłem. „Nie mówiąc o Livy. Czy w takiej sytuacji wielki Sam Clemens w ogóle przyjmie mnie na pokład?”.

„Co jest dla ciebie ważniejsze?”, spytał przybysz, lekko zniecierpliwiony. „Kobieta czy zbawienie świata?”.

„To zależy od moich uczuć wobec danej kobiety”, odparłem. „Obiektywnie i po ludzku patrząc, odpowiedź może być tylko jedna. Ale ja nie jestem obiektywny”.

„Udaj się na miejsce i sprawdź, co się stanie”, zaproponował nieznanomy. „Być może kobieta wybierze właśnie ciebie”.

„Gdy Cyrano płonie z miłości, nie uspokoi się na zawołanie”, odrzekłem.

Wtedy przybysz wstał, pożegnał się i wyszedł z chaty. Wyczołgałem się z łóżka, wlokąc za sobą bezwładne nogi i otworzyłem drzwi. Tajemniczy gość znikł. Następnego ranka oznajmiłem Livy, że mam dość tego miejsca. Chcę podróżować i zwiedzać nowy świat. Odpowiedziała, że co prawda zmęczyły ją podróże, ale jeśli zdecyduję się wyjechać, to podąży ze mną. A więc wyruszyliśmy. Resztę już znasz.

Jill czuła się jak we śnie. Wierzyła w opowieść Cyrano, ale cały świat zaczynał jej przypominać teatralną scenę, za kulisami której kryje się coś przerażającego. Jill była w tym układzie aktorką, która nie dostała scenariusza.

- Nie, nie znam reszty - odrzekła. - A co z tobą i Clemenserem? Czy wiedział coś, o czym ty nie zostałeś poinformowany? I czy spotkaliście innych wybrańców Etyka?

- Etyk odwiedził Clemensa dwukrotnie - odpowiedział Francuz. - Sam nazywał go Tajemniczym Nieznajomym.

- Kiedyś napisał książkę o takim tytule - wyjaśniła Jill. - To bardzo smutna, gorzka i pesymistyczna historia. Nieznajomym był w niej Lucyfer.

- Opowiadał mi o niej - przytaknął Cyrano. - Ale Clemens wcale nie wiedział dużo

więcej ode mnie. Poza tym, że Nieznajomy w jakiś sposób zmienił tor lotu meteorytu, aby ten spadł w miejscu, do którego Sam mógł dotrzeć.

- Zdajesz sobie sprawę, jakiego nakładu energii by to wymagało? - spytała Gulbirra.

- Tak, już mi to wyjaśniono. Tak czy inaczej, Sam złamał obietnicę daną przybyszowi, opowiadając o nocnej wizycie Joemu Millerowi i Lotharowi von Richthofenowi. Twierdził, że nie mógł się powstrzymać. Pojawiło się jeszcze dwóch wybrańców. Wielki rudy dzikus John Johnston i... Milton Firebrass!

Jill prawie upuściła papierosa.

- Firebrass! - zawołała. - Ale przecież on...!

- Właśnie - przytaknął Bergerac. - W świetle ostatnich wydarzeń wydaje się, że Milton był jednym z agentów, o których wspomniał Etyk. Nigdy więcej nie spotkałem Tajemniczego Nieznajomego, więc nie poznałem odpowiedzi na moje pytania. Myślę, choć oczywiście nie mogę mieć stuprocentowej pewności, że byłby zaskoczony, słysząc, że Firebrass przedstawia się jako jeden z dwunastki. Może Milton był jego szpiegiem, ale w takim razie co z Thornem i Obrenową?

- Czy Johnston lub Firebrass przekazali wam coś, czego wcześniej nie wiedzieliście? - spytała kobieta.

- Na temat Etyka? Nie - zaprzeczył Cyrano. - Johnston został przez niego odwiedzony tylko raz, a Firebrass okazał się oszustem. Wątpię, by Etyk o tym wiedział, chyba że sam przebywał wśród nas w przebraniu. To oczywiście możliwe. Ale nawet jeśli zdawał sobie sprawę z tego, że Firebrass jest agentem, to widocznie miał swoje powody, aby nas o niczym nie informować. Najbardziej martwi mnie, że Tajemniczy Nieznajomy nie odwiedził nas ponownie.

Jill wyprostowała się na krześle.

- Czy myślisz, że Piscator może być agentem? - spytała.

Cyrano przestał spacerować po pomieszczeniu i wzruszył ramionami.

- Jeśli nie wróci, nigdy się tego nie dowiemy - odrzekł.

- Plany wewnątrz planów... Mechanizmy wewnątrz mechanizmów... Maya odgradza nas od prawdy siedmioma całunami złudzeń.

- Słucham? - zdziwił się Francuz. - Aha, chodzi ci o hinduistyczne pojęcie iluzji.

- Nie sądzę, aby Piscator był agentem - rzekła Jill. - Gdyby tak było, nie wspomniałby mi o swoich podejrzeniach, że w tym świecie toczy się jakaś mroczna rozgrywka ukryta przed naszym wzrokiem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Pani kapitan! Tutaj Greeson, dowódca trzeciej ekipy poszukiwawczej. Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia w tej strefie oprócz pokoju z mapami. Jeśli pani chce, możemy wrócić później.

- Wejdźcie - odpowiedziała Jill, wstając. - Jeszcze porozmawiamy - rzekła do Cyrano.
- Stoi przed nami tak wiele zagadek i pytań.

- Wątpię, bym potrafił na nie odpowiedzieć - odparł Francuz.

Minęły trzy doby.

Ciała zmarłych owinięto w ręczniki niczym egipskie mumie i zrzucano do morza przez otwory w ścianie wieży. Jill stała we mgle rozświetlanej lampami i patrzyła, jak zwłoki kolejno ześlizgują się w przepaść, obliczając czas ich spadania. Nie kierowała nią nieczułość, ale przyzwyczajenie, które pozwalało bronić się przed potwornością śmierci.

Śmierć powróciła na dobre, wypierając nadzieję na zmartwychwstanie. W tym lodowatym, wilgotnym i mrocznym miejscu jej obecność wydawała się jeszcze bardziej namacalna. Wystarczyło zrobić kilka kroków, aby na zawsze zniknąć ze świata żywych. W gęstej mgle Jill nie widziała własnych stóp i metalowego podłoża, po którym stąpała.

Gdyby wystawiła głowę przez otwór w ścianie, nie usłyszałaby odgłosu zimnych fal uderzających o wieżę. Powierzchnia wody była zbyt daleko. Tutaj wszystko znajdowało się zbyt daleko.

Prawdziwe pustkowie. Nie mogła się doczekać, kiedy je opuści.

Piscator nadal nie dawał znaku życia. Podejrzewała, że już nie wróci. W żadnym wypadku z własnej woli nie pozostałby tak długo w wieży. Prawdopodobnie zginął, został ciężko ranny lub trafił do niewoli. Tak czy inaczej, ludzie pozostający na zewnątrz nie mogli mu pomóc, a zaproponowany tydzień oczekiwania na jego powrót wydawał się przesadą. Jill skróciła ten okres do pięciu dni.

Załoga przyjęła tę wiadomość z wyraźną ulgą. Podobnie jak Gulbirra mieli już serdecznie dosyć tej okolicy. Do tego stopnia, że kobieta musiała zmniejszyć liczbę strażników przy kopule z czterech do dwóch. Niektórzy strażnicy doświadczali halucynacji, widząc we mgle upiorne kształty i słysząc głosy dobiegające z korytarza. Jeden z mężczyzn nawet wystrzelił do czegoś, co wziął za potężną postać biegnącą w jego kierunku.

Podczas pierwszego przeszukania sterowca nie znaleziono żadnych bomb ani nadajników. Obawiając się, że załoga mogła nie sprawdzić wszystkich zakamarków, a także chcąc dać ludziom coś do roboty, Jill zarządziła ponowne poszukiwania, które tym razem objęły także zewnętrzną powłokę i ogon sterowca.

Niczego nie znaleziono.

Jill wcale nie odczuła ulgi. Jeśli Thorn od samego początku planował ukryć gdzieś

materiały wybuchowe, to mógł je umieścić w poduszkach z gazem. Jeśli tak, to osiągnął swój cel, nie było bowiem sposobu na dostanie się do poduszek bez utraty bezcennego wodoru. To prawda, że do odpalenia ładunków jest potrzebny nadajnik, ale tak mały obiekt bardzo łatwo ukryć.

Ten pomysł sprowokował kolejne poszukiwania, podczas których zbadano wszystkie niewielkie urządzenia mechaniczne i elektroniczne. Nie znaleziono niczego podejrzanego, ale sama myśl, że na pokładzie może się znajdować coś tak niebezpiecznego, jeszcze bardziej wyprowadziła załogę z równowagi.

Oczywiście dopóki Thorn przebywał w zamkniętym pomieszczeniu, dopóty nie mógł się dostać do ukrytego nadajnika. Dlatego salę szpitalną zamknięto na klucz, a po obu stronach drzwi postawiono strażników.

Jill zwróciła się do Cyrano z kolejnym problemem.

- Sam wpadnie we wściekłość, kiedy się dowie, że nawet jeśli tu dotrze, to nie wejdzie do wieży - zauważyła. - Nie ma sposobu na dostanie się na szczyt budowli z powierzchni morza. A nawet gdyby Clemensowi udało się to osiągnąć, to i tak nie przejdzie korytarzem.

- Może ktoś z jego załogi tego dokona - odparł Francuz. - Chociaż jaką mamy gwarancję, że nie przytrafi im się to samo co Piscatorowi?

Mówiąc to, Cyrano wyraźnie posmutniał. Lubił Japończyka prawie tak samo jak Firebrassa.

- Czy Firebrass ci wspominał o laserze ukrytym na pokładzie *Marka Twaina*? - spytała Jill.

Francuz nagle się ożywił.

- Ha! Ależ ze mnie głupiec! - wykrzyknął. - Laser! Tak, oczywiście, że Firebrass mi o nim mówił. Czy myślisz, że powiedziałby tobie, a o mnie zapomniał? Nigdy w życiu!

- Cóż, możliwe, że ten metal wytrzyma nawet promień lasera - odrzekła Gulbirra. - Ale nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

Z Francuza szybko wyparował entuzjazm.

- A co z paliwem? - spytał. - Nie wystarczy, aby polecieć do Clemensa, wrócić tutaj z laserem, a potem ponownie udać się do Parolando bądź na parostatek.

- Weźmiemy laser od Sama, po czym polecimy do Parolando. Tam wyprodukujemy więcej paliwa i dopiero wtedy wrócimy do wieży - zaproponowała Jill.

- To zajmie strasznie dużo czasu - zmartwił się Cyrano. - Jednak nie widzę innego rozwiązania. A co zrobimy, jeśli Clemens się uprze i nie pozwoli nam wykorzystać lasera?

- Nie wyobrażam sobie, żeby nam odmówił - odrzekła Jill. - To jedyny sposób

dostania się do wnętrza wieży.

- Tak, to prawda - zgodził się Francuz. - Ale nie bądź taka pewna, że ten argument przekona Clemensa. Sam jest tylko człowiekiem, co oznacza, że nie zawsze kieruje się logiką. Zobaczymy.

Jill tak bardzo spodobał się ten pomysł, że nie widziała potrzeby, by nadal czekać na Piscatora. Jeśli został ranny, wpadł w pułapkę lub trafił do niewoli, to i tak nie uwolnią go bez pomocy lasera.

Jednakże najpierw trzeba było przesłuchać Thorn'a. Jill poleciła Coppenname'owi, aby poczekał na jej powrót, po czym udała się wraz z Cyranem do pomieszczenia szpitalnego. Thorn siedział na pościeli. Prawą nogę miał zakutą w kajdany połączone łańcuchem z ramą łóżka.

Nie odezwał się ani słowem, gdy weszli. Jill również milczała, uważnie mu się przyglądając. Thorn patrzył na nich spod przymrużonych powiek i mocno zaciskał zęby, co dodatkowo uwydatniało jego sterczący podbródek. Sprawiał wrażenie równie upartego jak sam Lucyfer.

- Opowiesz nam, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała kobieta.

Thorn nie odpowiedział.

Jill zadbała o to, by nikt nie poinformował mężczyzny o katastrofie helikoptera.

- Wiemy, że to ty odpaliłeś bombę - odezwała się po chwili. - Zamordowałeś Firebrassa, Obrenową i resztę pasażerów śmigłowca.

Thorn szeroko otworzył oczy, ale wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, choć kąćki jego ust delikatnie drgnęły. Czyżby się uśmiechał?

- Jesteś winny morderstwa z premedytacją - oświadczyła Jill. - Mogę kazać cię rozstrzelać i pewnie tak zrobię. Chyba że wszystko mi powiesz.

Czekała, a Thorn w milczeniu wbijał w nią wzrok.

- Wiemy o małych kulkach na płatach czołowych Firebrassa i Obrenovej - rzekła Jill.

Nareszcie trafiła w czuły punkt. Thorn pobladł, a jego twarz wykrzywił grymas.

- Czy w twoim mózgu też jest taka kulka? - spytała kobieta.

Thorn jęknął.

- Przecież zostałem prześwietlony - odparł. - Myślisz, że Firebrass by mnie zabrał, gdyby tak było?

- Nie wiem - odrzekła Jill. - Zabrał Obrenową, więc czemu miałby odrzucić ciebie?

Mężczyzna tylko pokręcił głową.

- Jeśli to będzie konieczne, rozkażę Gravesowi, aby rozciął ci czaszkę i zajrzał do

środku - ostrzegła Jill.

- Strata czasu - odparł Thorn. - Nie mam w mózgu takiego przedmiotu.

- Myślę, że kłamiesz. Czemu służą te kulki?

Cisza.

- Nie udawaj, że nie wiesz - rzekła kobieta.

- Dokąd chciałeś polecieć skradzionym helikopterem? - spytał Cyrano.

Thorn zagryzł wargi.

- Zakładam, że nie dostaliście się do wieży? - spytał.

Jill się zawahała. Czy powinna wspomnieć o Piscatorze? Czy przypadkiem nie da to Thornowi przewagi? Teoretycznie nie powinna, ale, z drugiej strony, nie знаła położenia żadnego z elementów tej układanki.

- Jeden człowiek dostał się do środka - odparła.

Thorn zadrzał i jeszcze bardziej pobladł.

- Tylko jeden? Kto to taki? - spytał.

- Powiem ci, jeśli zdradzisz, o co w tym wszystkim chodzi.

Mężczyzna nabrał powietrza do płuc, po czym powoli je wypuścił.

- Nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie *Marka Twaina* - odparł. - Chcę porozmawiać z Samem Clemensem. Wy niczego się ode mnie nie dowiedzie. Jeśli chcecie, możecie mi otworzyć czaszkę, ale to by było okrutne i niepotrzebne, a poza tym mogłoby mnie zabić.

Jill poprosiła Cyrano, by przeszli do sąsiedniego pomieszczenia.

- Czy na pokładzie *Marka Twaina* znajduje się rentgen? - spytała.

- Nie pamiętam. - Francuz wzruszył ramionami. - Ale możemy się dowiedzieć, gdy tylko nawiążemy kontakt radiowy z parostatkiem.

Wrócili do Thornu. Mężczyzna wpatrywał się w nich w milczeniu. Widać było, że bije się z myślami. Gdy w końcu podjął decyzję, wyglądał na bardzo niezadowolonego.

- Czy ten człowiek wrócił? - spytał.

- A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Przez chwilę Thorn sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko się uśmiechnął.

- Dobrze, w takim razie lecimy do Clemensa - zgodziła się Jill - Porozmawiam z tobą, kiedy tam dotrzemy, chyba że przedtem zmienisz zdanie.

Testy sprzętu zajęły godzinę. Odwiązano i wciągnięto liny, po czym obsługa naziemna i strażnicy weszli na pokład. Cyrano zasiadł za sterami i *Parseval* wzniósł się w niebo.

Wyrzucono wodny balast, aby zrekompensować stratę części zapasów wodoru. Prądy wznoszące uniosły sterowiec wyżej niż planowano, więc Francuz zmniejszył pułap i ruszył w stronę wielkiego otworu w skalnym zboczu.

Jill stała przy oknie i starała się przeniknąć wzrokiem mgłę.

- Do zobaczenia, Piscatorze - szepnęła. - Wrócimy po ciebie.

Sterowiec wyskoczył z otworu, niczym kawałek zgniłego mięsa wypluty przez olbrzyma lub dziecko nadmiernie spieszące się na świat. Te przesadzone metafory były dziełem Cyrano.

Czyste powietrze, słońce i zieleń od razu poprawiły załodze nastrój.

- Gdybym nie był na służbie, to chyba bym zatańczył! - zawołał Cyrano z uśmiechem.

- Wcale nie mam ochoty wracać do tego okropnego miejsca.

Gdy tylko wznieśli się na odpowiednią wysokość, Aukuso spróbował nawiązać łączność z *Markiem Twainem*. Udało mu się to dopiero po godzinie.

Jill zaczęła opowiadać Clemensowi o tym, co się wydarzyło, ale Sam jej przerwał i z wściekłością doniósł o zdradzieckim ataku Greystocka. Ta wiadomość zszokowała kobietę, ale nadmiernie długa i szczegółowa opowieść Clemensa po chwili zaczęła ją irytować. Statek nie został poważnie uszkodzony. To historia Jill była ważniejsza.

W końcu kapitan skończył.

- No, trochę odreagowałem, przynajmniej na razie - stwierdził. - Ale czemu to ty ze mną rozmawiasz? Gdzie jest Firebrass.

- Nie dałeś mi dojść do głosu - odparła Jill, po czym dokładnie opisała wszystkie wydarzenia od chwili pokonania pasma górskiego otaczającego polarne morze.

Teraz to Clemens doznał szoku. Pozwolił Jill skończyć opowieść, klnąc od czasu do czasu.

- A więc Firebrass zginął i podejrzewacie, że był jednym z Nich? - zapytał w końcu. - Może wcale tak nie było, Jill. Czy przyszło ci do głowy, że te czarne kulki mogły zostać wszczepione niektórym z nas jako część naukowego eksperymentu? Być może ma je na przykład co tysięczna osoba? Nie wiem, jaki miałby być cel takiego działania, ale może w ten sposób Oni odczytują ludzkie fale mózgowe? Albo nadzorują wybrane jednostki.

- Nie pomyślałam o tym - przyznała Jill. - Chciałabym, żebyś miał rację, bo nie mogę znieść myśli, że Firebrass mógł być agentem.

- Ja również - odrzekł Sam. - Jednak najważniejszą wiadomością jest to, że wyprawa lądowa mija się z celem. Okazuje się, że zbudowałem dwa statki całkowicie na próżno. Cóż, może nie na próżno, gdyż życie na tej łajbie ma swoje zalety. Gdzie indziej trudno o podobne

luksusy, a poza tym to bardzo szybki sposób podróżowania, choć właśnie zostałem pozbawiony celu. Jednak nie zapomniałem o Janie. Dogonię go i zemszczę się za wszystko, co uczynił.

- Mylisz się co do jednej sprawy, Sam - odrzekła Jill. - Myślę, że można się dostać do wieży. Będziemy do tego potrzebować lasera.

Clemens wydał z siebie nieartykułowany odgłos, zupełnie jakby się dusił.

- Chcesz powiedzieć, że... Firebrass ci o tym powiedział? - spytał. - Co za nierozsądny, niewdzięczny, pozbawiony zasad... Przecież prosiłem, aby nikomu o tym nie wspominał! Wiedział, jak ważne jest zachowanie sekretu! A teraz prawdę znają wszyscy na statku, bo słyszeli naszą rozmowę przez głośniki. Będę ich musiał skłonić do złożenia przysięgi, że nie pisną o tym ani słowem, ale jaką mam na to gwarancję? Gdyby Firebrass tu był, jedną ręką bym go udusił, a drugą wepchnął mu cygaro w dupę! Poza tym, trzeba było poczekać z tymi rewelacjami, aż tu dotrzesz. Podejrzewam, że radiotelegrafści Jana podsłuchują nas od lat! Teraz pewnie cieszą się jak świnia, która znalazła świeży krowi placek!

- Bardzo mi przykro - odpowiedziała Jill. - Musiałam o tym wspomnieć właśnie teraz. Powinniśmy ustalić, w jaki sposób zabierzemy laser bez lądowania na statku. Potrzebuję tego urządzenia. To jedyny sposób na dostanie się do wnętrza wieży. W przeciwnym razie cały nasz trud i śmierć kilku osób pójdą na marne.

- A ja potrzebuję lasera, żeby pokroić na kawałki Jana i jego statek - odparł Clemens. - Ta broń to gwarancja szybkiego zwycięstwa.

Jill starała się ukryć gniew.

- Zastanów się, Sam. Co jest ważniejsze? Zemsta na Janie czy rozwiązanie zagadki tego świata i odkrycie, kto za tym wszystkim stoi? Poza tym nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli osiągnąć obu celów. Przecież zwrócimy ci laser.

- Niech to jasna cholera! - wybuchnął Clemens. - A skąd mam wiedzieć, że zwrócicie? Równie dobrze możecie trafić do niewoli. Ci ludzie pewnie teraz siedzą sobie w środku cichutko jak myszki, ale kiedy zaczniecie ciąć ściany laserem, raczej nie pozwolą wam harcować do woli! Złapią was tak samo jak Piscatora. I co wtedy? Poza tym, metal wieży może być odporny na promień lasera.

- To prawda - odrzekła Jill. - Tylko, żeby się o tym przekonać, musimy spróbować.

- Dobrze, dobrze! - zachnął się Sam. - Wiedz, że masz po swojej stronie tylko logikę i słuszność, a to za mało, by zwyciężyć w dyskusji. Na szczęście jestem rozsądnym człowiekiem, więc możesz pożyczyć laser! Ale pod jednym, bardzo ważnym warunkiem... Najpierw musisz mi przyprowadzić Jana Zgniłka!

- Nie rozumiem, o czym mówisz - zdziwiła się Jill.

- Chcę, żebyś zaatakowała *Reksa* - odparł Clemens. - Wyślij śmigłowiec na nocną akcję i porwij Jana. Najlepiej dostarcz mi go żywego, ale jeśli się nie uda, to możesz go zabić!

- Co za idiotyzm! - oburzyła się kobieta. - Mamy zaryzykować utratę naszego jedyne go helikoptera i jego załogi w tak bezsensownej i próżnej akcji?

Sam uspokoił oddech i przemówił z beznamiętnym chłodem.

- To ty zachowujesz się idiotycznie, Jill. Gdy Jan zniknie z horyzontu, nie będę miał potrzeby atakowania jego statku. Pomyśl o tym, ile istnień pozwoli to uratować. Zastępca tego gada może przejąć dowództwo i płynąć, dokąd tylko ma ochotę. Życzę mu wszystkiego najlepszego. Chcę jedynie, żeby Janowi nie uszły płazem wszystkie popełnione zbrodnie i żeby nie cieszył się ani chwili dłużej tym pięknym statkiem, którego zbudowanie kosztowało mnie tyle ciężkiej pracy. Nie zapominaj, że ta żalosna namiastka człowieka ostatnio próbowała zatopić także *Marka Twaina!* Niech stanie przede mną, bym mógł mu wygarnąć prosto w oczy, za kogo go uważam. To wszystko. Obiecuję, że go nie zabiję ani nie zrobię mu żadnej krzywdy, skoro to dla ciebie takie ważne. Niech to piorun trzaśnie! Właściwie dlaczego cię to obchodzi? A kiedy już z nim skończę i zmieszam go z błotem tak, jak jeszcze nikt nikogo od stworzenia świata, wtedy wysadzę go na brzeg i odpłynę. Oczywiście wybiorę krainę zamieszkaną przez kanibali lub łowców niewolników. Tyle mogę ci obiecać, Jill.

- A co, jeśli trzeba będzie go zabić? - spytała Gulbirra.

- Będę musiał jakoś znieść to rozczarowanie.

- Nie mogę zmuszać moich ludzi do udziału w tak niebezpiecznej misji - odparła Jill.

- Wcale o to nie proszę - odrzekł Sam. - Poślij ochotników. Jeśli nie zgłosi się wystarczająco dużo osób, to trudno, nie dostaniesz lasera. Choć nie przewiduję, by zabrakło chętnych. Znam się na ludziach.

- Ja z chęcią się zaciągnę, Sam! - zawołał Bergerac.

- Czy to ty, Cyrano? Cóż, muszę przyznać, że nie byłeś moim najlepszym przyjacielem, ale jeśli rzeczywiście się zgłosisz, to życzę ci szczęścia. Mówię szczerze.

Jill na chwilę zaniemówiła ze zdziwienia.

Czy to ten sam człowiek, który niedawno nazwał Marsa najgłupszym z bogów?

- Czemu to robisz, Cyrano? - spytała, gdy odzyskała głos.

- Czemu? - zdziwił się Francuz. - Nie zapominaj, że ja także znajdowałem się na pokładzie *Nie Do Wynajęcia*, kiedy Jan i jego piraci porwali statek. Prawie wtedy zginałem. Chciałbym się zemścić i zobaczyć minę tego drania, gdy się zorientuje, że wpadł w pułapkę. Tu nie chodzi o wielką, bezosobową wojnę, którą rozpętują chciwi idioci opętani żądzą

władzy, niedbający o to, ile tysięcy ludzi zostanie zabitych, zmasakrowanych, oszaleje, zamarnie, umrze z głodu lub od chorób, a także ile dzieci wyleci w powietrze i ile kobiet zostanie zgwałconych i osamotnionych. Nie, to sprawa osobista. Znam człowieka, któremu mogę wypowiedzieć moją małą, całkowicie usprawiedliwioną wojnę. Tak samo Clemens, który przecież nienawidzi przemocy równie mocno jak ja.

Jill nie miała zamiaru się z nim kłócić. W tej chwili przypominał małe dziecko, i to niezbyt rozgarnięte. Wciąż chciał się bawić W wojnę, choć ujrzał jej okropieństwa.

Musiała przystać na propozycję Clemensa. Co prawda nie mógł jej niczego narzucić, ale przecież potrzebowała lasera.

Liczyła jeszcze po cichu, że nie zgłosi się wystarczająca liczba osób, ale ta nadzieja przysła, gdy tylko powiadomiła załogę o żądaniu Sama. Ochotnikami mogłaby obsadzić trzy helikoptery.

Być może ludzie byli tak sfrustrowani przebywaniem w okolicy wieży, że potrzebowali odrobiny brutalnej rozrywki i walki z wrogiem, którego mogli zobaczyć. Ale Jill tak naprawdę w to nie wierzyła.

Clemens miał rację. Faktycznie znał się na ludziach, a przynajmniej znał męską naturę. Nie, to niesprawiedliwe twierdzenie. Lepiej powiedzieć - naturę niektórych mężczyzn.

Potem przez godzinę dyskutowali o czekającej ich misji, a Cyrano obiecał przygotować dokładne szkice poszczególnych pokładów *Reksa*. Clemens w końcu się rozłączył, ale dopiero wtedy, gdy otrzymał zapewnienie, że dowie się o wynikach akcji, gdy tylko helikopter powróci.

- Jeśli powróci - dodała Jill.

63

Wydawało się, że torpedy namierzyły *Marka Twaina*, ale Sam rozkazał obrócić statek i dać całą naprzód. Po chwili obserwator stojący na rufie doniósł, że torpedy minimalnie chybiły. Olbrzymi sterowiec szybko się zbliżał, lecąc prosto na sterówkę. Clemens krzyknął do artylerzystów, aby oddali kolejną salwę, ale nim załoga zdążyła wykonać ten rozkaz, zeppelin eksplodował.

Jednoczesny wybuch czterech bomb powinien wybić wszystkie okna i uszkodzić kadłub statku. Faktycznie, kilka okien zostało zniszczonych i wepchniętych do środka, a ludzie na pokładzie stracili równowagę. Pomimo swojej ogromnej masy, parostatek zadrżał. Sam upadł na podłogę, podobnie jak wszyscy marynarze w pomieszczeniu oprócz sternika, który był przypięty do fotela. Byron dostał w twarz przednią szybą i stracił przytomność.

Clemens wstał, oślepiony przez kłęby dymu wpadające do sterówki. Powietrze wypełniał gryzący smród, powodując gwałtowny kaszel, a huk eksplozji chwilowo pozbawił mężczyznę słuchu. Sam po omacku wodził rękami po tablicy sterowniczej. Znał położenie wszystkich wskaźników, przycisków i przełączników, więc bez trudu stwierdził, że statek wciąż płynie obranym kursem, oczywiście zakładając, że ster funkcjonuje prawidłowo. Następnie odpiął zakrwawionego i nieprzytomnego Detweillera i położył go na podłodze. Zanim usiadł w fotelu, dym zdążył się rozwiać. Sterowiec, lub raczej to, co z niego zostało, unosił się na wodzie. Jego płonące fragmenty były rozrzucone na powierzchni kilkuset metrów kwadratowych. Sam wprowadził korektę kursu i ruszył w górę Rzeki. Włączył automatyczną nawigację, upewnił się, że działa prawidłowo; po czym udał się na rufę, by przyjrzeć się uszkodzeniom.

Joe coś do niego mówił. Clemens wskazał palcem na swoje ucho, dając przyjacielowi znak, że nic nie słyszy, Joe jednak nie przerywał przemowy. Sam zauważył, że olbrzym jest cały pokaleczony.

Później, kiedy wszyscy już się uspokoili, Clemens doszedł do wniosku, że musiała wybuchnąć tylko jedna ze zrzucanych bomb. Siła eksplozji powinna odpalić także trzy pozostałe ładunki, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało.

Nikt na statku nie zginął, ale wiele osób zostało ciężko rannych. Na szczęście wybuch nie spowodował odpalenia rakiet znajdujących się na pokładzie.

Detweiller odniósł najpoważniejsze obrażenia, ale stanął na nogi w ciągu trzech dni. Parostatek rzucił kotwicę w pobliżu brzegu, niedaleko kamienia obfitości. Załoga zbudowała szeroki trap umożliwiający zejście na ląd. Szybko naprawiono zniszczenia i marynarze mogli sobie pozwolić na odpoczynek na brzegu. Sam postanowił, że to dobry moment na wyprodukowanie prochu i alkoholu. W zamian za tytoń, whisky i wino pochodzące z rogów obfitości tubylcy zgodzili się dostarczyć załodze drewno i porosty.

Von Richthofen zginął. Jedynymi ocalałymi z *Minerwy* byli Samhradh i Hardy, Newton bowiem utonął, gdy nieprzytomny wpadł do wody. Sam zapłakał, kiedy wrzucano do Rzeki ciało Niemca, owinięte obciążonym workiem. Bardzo lubił tego energicznego i niefrasobliwego człowieka.

- Wiem, czemu Greystock to zrobił - rzekł Clemens. - Jan bez Ziemi złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Tej dwulicowej świni prawie się udało. Zawsze miałem Greystocka za okrutnego człowieka, ale nie podejrzewałem go o zdradę. Chociaż jeśli pilnie uczyliście się historii (nie mówię do ciebie, Joe, tylko do Marca), to wiecie, że średniowieczni szlachcice byli znani z takiego postępowania. Ich bogiem był oportunizm, niezależnie od tego, jak wiele pobudowali kościołów na chwałę Stwórcy. Wszyscy bez wyjątku charakteryzowali się moralnością hieny.

- Nie wszyscy - sprzeciwił się de Marbot. - William Marshal nigdy nie przeszedł na stronę wroga.

- Czy on przypadkiem nie służył królowi Janowi? - spytał Sam. - Musiał być bardzo twardy, skoro to wytrzymał. Tak czy inaczej, Jan już raz próbował nas tak podejść i był bliski sukcesu. Martwi mnie, ilu jeszcze sabotażystów umieścił w naszym otoczeniu. Teraz rozumiecie, czemu zawsze ustawiam strażników dwójkami, a w pobliżu zbrojowni i składu amunicji nawet czwórkami. Z tego samego powodu kazałem członkom załogi meldować o wszystkim, co wyda im się choćby odrobinę podejrzanę. Wiem, że niektórych to zdenerwowało, ale muszę być realistą.

- Nic dziwnego, sze masz koszarne szny - odezwał się Joe. - Ja tam się niszczę nie troszkam.

- Dlatego to ja jestem kapitanem, a ty moim ochroniarzem - odpowiedział Clemens. - Mam rozumieć, że nie przejmujesz się moim bezpieczeństwem?

- Ja tylko robię, szo do mnie naleszy, a pszejmuję się wyłącznie długimi pszerwami między posiłkami - odparł olbrzym.

Kilka minut później radiooperator poinformował kapitana, że nawiązano łączność z *Parsevalem*. Gdy Sam skończył rozmawiać z Gulbirrą, poczuł się jak na polu minowym.

Wszędzie dookoła czyhały zdrada, kłamstwo, frustracja, niepewność i zagubienie.

Zaciągając się cygarem, pomimo jego cierpkiego smaku, Sam chodził tam i z powrotem po pokładzie. Na razie tylko dwóch ludzi na statku wiedziało o nocnej wizycie Etyka: Joe Miller i John Johnston. Clemens wiedział jeszcze o pięciu osobach, które słyszały o niezwykłym przybyszu. Byli to: Firebrass (martwy), de Bergerac, Odyseusz (zaginiony wiele lat temu), von Richthofen (martwy) i Richard Francis Burton. Istota, którą Clemens nazywał Tajemniczym Nieznajomym (a czasem także sukinsynem i draniem), twierdziła, że wybrała dwunastu ludzi, których zadanie polega na dostaniu się do polarnej wieży. Po kilku latach przybysz miał powrócić i przekazać Samowi dodatkowe informacje. Jak dotąd się nie pojawił.

Być może złapali go pozostali Etycy i teraz przebywał... no właśnie, gdzie?

Sam powiedział o Nieznajomym Millerowi i von Richthofenowi. Pozostawało więc sześciu wybrańców, których nie znał. Choć możliwe, że wszyscy oni znajdują się na jego statku. Czemu Nieznajomy nie dał każdemu z dwunastki specjalnego hasła, które umożliwiłoby bezproblemowe rozpoznanie? Może zamierzał to uczynić, ale coś mu przeszkodziło? Plan postępowania Etyka był równie nieprzewidywalny jak rozkład jazdy meksykańskiej kolei.

Cyrano powiedział Samowi o Richardzie Burtonie. Clemens nie miał pojęcia, gdzie przebywa Anglik, ale doskonale wiedział, o kogo chodzi. Za życia Sama gazety co chwila donosiły o wyczynach Burtona, a Clemens czytał jego „Osobistą relację z pielgrzymki do El-Medinah”, „Pierwsze kroki w Afryce Wschodniej”, „Jeziora Środkowej Afryki” oraz tłumaczenie „Baśni z tysiąca i jednej nocy”.

Poza tym, Gwenafra poznała Richarda osobiście i opowiedziała Samowi wszystko, co pamiętała. Gdy została wskrzeszona, miała zaledwie około siedmiu lat. Richard Burton wziął ją pod swoje skrzydła i przyjął na pokład statku, na którym Gwenafra spędziła rok, płynąc w górę Rzeki. Potem utonęła, ale nigdy nie zapomniała tego gwałtownego, ciemnowłosego mężczyzny.

Greystock także im wtedy towarzyszył, ale ani on, ani Gwen nie wiedzieli o Tajemniczym Nieznajomym. A może Greystock był agentem?

Na Ziemi Richard Francis Burton poprowadził ekspedycję w poszukiwaniu źródeł Nilu. Tutaj również z dużym zaangażowaniem wędrował do źródeł Rzeki, choć z całkowicie odmiennych powodów. De Bergerac twierdził, że jeśli Sam odnajdzie Burtona, to ten będzie udawał, że nie pamięta niczego, co ma związek z Etykami. Clemens powinien odpowiedzieć, że mu nie wierzy, a wtedy Richard wyjaśni, czemu udaje amnezję. Bardzo dziwne.

Byli jeszcze Stern, Obrenova oraz Thorn. No i Firebrass. Odgrywali w tym całym zamieszaniu równie tajemniczą rolę jak Eryk i jego towarzysze. Po czyjej stali stronie?

Sam potrzebował pomocy w dotarciu do sedna. Pora zwołać zebranie.

W ciągu pięciu minut znalazł się w swojej kajucie wraz z Joem Millerem i Johnem Johnstonem, potężnym góralem o imponującej muskulaturze. John miał przystojną choć pobrużdżoną twarz, niesamowicie błękitne oczy i jaskraworude włosy. Choć przewyższał wzrostem większość ludzi, przy tytanotropie wyglądał jak karzeł.

Sam Clemens przekazał towarzyszom najnowsze wieści. Początkowo Johnston nic nie mówił, ale w końcu słyszał z tego, że odbywał się tylko w wyjątkowych sytuacjach.

- Co to wszysztko znaczy? - spytał Joe. - Chodzi mi o tę bramę, pszesz którą mógł pszejść tylko Piszcator.

- Dowiemy się od Thorna - odrzekł Sam. - Na razie bardziej mnie martwi problem zdrajców.

- Chyba nie sądzisz, że Greystock był agentem Etyków? - odezwał się Johnston. - Myślę, że ten skunks po prostu pracował dla króla Jana.

- Jedno nie wyklucza drugiego - odparł Sam.

- Jak to? - zagrzmiął Miller.

- A skąd mam wiedzieć? - zniecierpliwiał się Clemens. - Poza tym, powinniśmy raczej spytać: dlaczego. To właśnie powiedział do Jezusa jeden z łotrów przybitych do krzyża. Dlaczego? Owszem, wydaje mi się, że Greystock mógł być agentem. Przyłączył się do króla Jana, gdyż miało mu to ułatwić wykonanie misji.

- Ale przecież agenci nie używają przemocy - zauważył Johnson. - Przynajmniej tak według ciebie twierdził Nieznajomy. Oni brzydzą się nawet dotykać ludzi.

- Nic takiego nie mówiłem - zaprzeczył Sam. - Powiedziałem tylko, że Etycy uznają przemoc za nieetyczną. Przynajmniej według słów tajemniczego przybysza, co do którego nie możemy mieć pewności, że mówił prawdę. Równie dobrze może on być Księciem Ciemności, który, jak pamiętamy z Biblii, jest także Księciem Kłamców.

- W takim razie, co my najlepszego robimy? - odezwał się Johnston. - Czemu wykonujemy jego polecenia?

- Ponieważ nie mam absolutnej pewności, że on kłamie, a jego towarzysze nie uznali za stosowne, by się ze mną skontaktować - odparł Sam. - To jedyny trop, jaki mam. Owszem, wspominałem, że Tajemniczy Nieznajomy nie wydawał się zachwycony, gdy próbowałem się do niego zbliżyć, niczym abolicjonista, który wietrzy dom po zaproszeniu czarnoskórego na obiad, ale wcale nie twierdziłem, że agenci również są braminami. Z całą pewnością nie byli

nimi Thorn i Firebrass. Niestety, nie znam całej prawdy. Przy okazji muszę przyznać, że Joe ma niezłego nosa do Etyków. Kiedyś wszedł do mojej chaty wkrótce po wizycie Nieznajomego i od razu stwierdził, że wyczuwa kogoś, kto nie jest człowiekiem.

- Jego szmród różnił się od szmrodu Szama - rzekł z uśmiechem Joe. - Wcale nie twierdziłem, że Szam pachniał lepiej.

- Taki z siebie szpryciasz? - odparł Clemens. - Tak czy inaczej, Joe nigdy wcześniej nie wyczuł podobnego zapachu. Dlatego zakładam, że agenci są ludźmi.

- Szam cały czas pali cygara - dodał Miller. - W takim szmrodzie nie wyczułbym nawet szkunksza.

- Wystarczy, Joe - przerwał mu Clemens. - Zaraz zapędzę cię z powrotem na palmę, żebyś zrywał banany.

- Nigdy w szyciu nie widziałem banana! - zaprotestował Joe. - Dopóki go nie doształem w rogu obfitości. Nawet wtedy nie byłem pewien, że to nie truciszna.

- Trzymajcie się - przerwał Johnston.

Sam ze zdziwieniem uniósł brwi przypominające dwie włochate gąsienice.

- Dlaczego mamy się trzymać? - spytał. - Mam nadzieję, że...

- Trzymajcie się tematu!

- Aha, no tak. Cóż, jestem pewien, że wśród nas znajdują się agenci. Ten statek może się od nich roić. Pytanie brzmi: czy są to agenci Tajemniczego Nieznajomego, czy pozostałych Etyków? A może i jedni, i drudzy?

- Jak dotąd nikt nie próbował ingerować w naszą misję - odrzekł Johnston. - Ale kiedy zbliżymy się do źródeł Rzeki...

- Nie byłbym taki pewny, czy nikt nie ingerował - odezwał się Sam. - Choć Tajemniczy Nieznajomy o tym nie wspominał, możemy założyć, że to on wywiercił tunel w skale i zostawił linę dla Joego i jego egipskich przyjaciół. Tak naprawdę nie mamy dowodu na to, że inni Etycy mają coś przeciwko temu, żebyśmy my, nędzni Ziemianie, dostali się do wieży. Po prostu nam tego nie ułatwiają. Poza tym, co z Odyseuszem? Pojawił się w odpowiednim miejscu i czasie, gdy walczyliśmy z von Radowitzem, i powiedział, że jest jednym z dwunastki wybrańców. Początkowo zakładałem, że wysłał go Tajemniczy Nieznajomy, jednak Odyseusz stwierdził, że skontaktowała się z nim kobieta. Czy więc pomaga nam jeszcze jeden renegat? Gdy spytałem o to Nieznajomego, on tylko się roześmiał i odmówił odpowiedzi. Może ta kobieta wcale nie jest jego sojuszniczką? Może to Etyczka, która w jakiś sposób dowiedziała się o tym, co się dzieje, i posłała swojego własnego agenta, podającego się za słynnego Odyseusza? Mam takie podejrzenia, ponieważ później spotkałem

dwóch Mykeńczyków, którzy uczestniczyli w oblężeniu Troi, a przynajmniej tak utrzymywali. W Świecie Rzeki można znaleźć wielu oszustów. Obaj zgodnie twierdzili, że Troja wcale nie znajdowała się tam, gdzie w swojej opowieści umieścił ją Odyseusz, który przekonywał, że miasto leżało znacznie dalej w głąb Azji Mniejszej. Grecy potwierdzili, że Troja znajdowała się tam, gdzie umiejscowili ją archeolodzy, czyli w pobliżu Hissarlik w Turcji. Oczywiście nie posłużyli się tymi nazwami, gdyż nie istniały one w ich czasach. Jednak posiedzieli, że Troja leżała niedaleko Hellespontu, gdzie później zbudowano Hissarlik. I co na to powiecie?

- Jeśli ten Grek był agentem, to w jakim celu wymyślił takie kłamstwo? - zdziwił się Johnston.

- Może po to, by przekonać mnie o swojej autentyczności - odrzekł Clemens. - Raczej nie musiał się obawiać, że ktoś nazwie go kłamcą. Zresztą zniknął równie nagle jak się pojawił. Jest jeszcze jedna sprawa. Wszyscy historycy w moich czasach twierdzili, że koń trojański to tylko mit, w którym jest tyle samo prawdy, co w przedwyborczych obietnicach polityków. Jednak Odyseusz przekonywał, że taki koń faktycznie istniał i że zgodnie ze słowami Homera to on sam zaproponował jego zbudowanie, aby przemycić greckie wojsko do miasta. Być może uraczył mnie podwójnym kłamstwem. Utrzymując, że wszyscy badacze się mylą, sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście tam był. Łatwo dać się przekonać komuś, kto mówi ci bez ogródek, że historycy gadają bzdury, a on wie lepiej, ponieważ widział wszystko na własne oczy. Badaczy można porównać do marynarzy, którzy wypływają w poszukiwaniu Przejścia Północno-Zachodniego, próbując kierować się wskazaniem sekstansu podczas śnieżnej burzy i nie wiedząc, czy bukszpryt znajduje się na dziobie, czy na rufie statku.

- Przynajmniej próbują - odrzekł Johnston.

- Tak jak eunuch w haremie szejka - odparł Sam. - Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale niestety, jesteśmy w kropce, jak powiedział Holmes do Watsona.

- Kim są Holmes i Watson? - spytał Joe.

Johnston jęknął.

- Przykro mi, John - rzekł Clemens. - Miałem nadzieję, że uda nam się rozplątać chociaż tę jedną nitkę, ale wygląda na to, że nawet nie potrafimy odnaleźć jej końca!

- Mosze Gwenafra powinna nam pomóc - zaproponował Joe. - Jeszt kobietą, jak pewnie zauważyłeś, Szam. Mówiłeś mi, że kobiety potrafią doszszegać szeczy, których nie widzą męszczyszni, ponieważ mają kobiecą intuicję. Tak czy inaczej, nie szpoda się jej, że coś pszed nią ukrywamy. Nie jeszt głupia. Wie, że jusz od dawna dzieje się coś, o czym jej nie mówisz. Nawet terasz siedzi naburmuszona w holu. Ma czerwone oczy za kaszdym

razem, kiedy kaszesz jej wyjść, bo chcesz zrobić zebranie.

- Nie wierzę w kobiecą intuicję - odparł Sam. - Kobiety są po prostu kulturowo uwarunkowane, żeby zwracać uwagę na inne zachowania, słowa i gesty niż mężczyźni. To dlatego są bardziej wyczulone na pewne sytuacje.

- To na to szamo wychodzi - stwierdził Miller. - Czy to waszne, jak to nazwiemy? Jusz wystarczająco długo się nad tym głowimy. Szpróbujmy dopuścić do sztołu nowego gracza.

- Baby za dużo gadają - mruknął Johnston.

- Według ciebie każdy za dużo gada - odparł Sam. - Gwen nie ustępuje inteligencją nikomu w tym pomieszczeniu, a wręcz przeciwnie.

- Skończy się na tym, że dowie się cały świat - odrzekł Johnston.

- Skoro już o tym mowa, to czemu nie powiedziec o tym całemu światu? - spytał Sam.

- W końcu ta sprawa dotyczy wszystkich.

- Nieznajomy musiał mieć jakiś powód, skoro kazał nam milczeć.

- Tylko czy to dobry powód? - odparł Clemens. - Choć z drugiej strony, gdybyśmy wszystko wypaprali, to teraz w stronę bieguna północnego ciągnęłyby prawdziwe tłumy, przy których nawet gorączka złota z roku czterdziestego dziewiątego wyglądałaby skromnie. Setki tysięcy ludzi próbowałoby się dostać do wieży, a miliony innych starałyby się ich w jakiś sposób wykorzystać.

- Zagłoszujemy w sprawie Gwen - zaproponował Joe.

- Czy kiedykolwiek słyszeliście o kobiecie na naradzie wojennej? - spytał Johnston. - Zanim się obejrzymy, będzie chciała nami rządzić. Dajesz spódniczce palec, a ona chwyta całą rękę.

- Kobiety już nie noszą spódnic - odrzekł Sam. - Jak pewnie zauważyłeś, prawie nic nie noszą.

Sam i Joe przegłosowali Johnstona.

- Jak sobie chcecie - odparł góral. - Ale kiedy będzie siadać, niech krzyżuje nogi.

- Nie tak łatwo ją skłonić, aby chociaż zakrywała piersi - odpowiedział Clemens. - Niezły z niej numer. Ale to nie jej wina. Zresztą prawie wszyscy pływają nago, więc nic nie zaszkodzi, jeśli czasem odkryje trochę ciała.

- Nie chodzi o ciało, tylko o włosy - wyjaśnił Johnston. - Ciebie to nie drażni?

- Kiedyś tak było - zgodził się Sam. - W końcu żyłem w tej samej epoce co ty, choć nie spędziłem życia wśród Indian w Górach Skalistych. Jednak od trzydziestu trzech lat przebywamy na planecie, gdzie nawet królowa Wiktoria paraduje w stroju, który na Ziemi przyprawiłby ją o atak serca i biegunkę. Teraz nagość wydaje się równie naturalna jak

drzemanie w kościele.

64

Gwenafra, uprzedzona przez Sama, włożyła pod kilt przepaskę na biodra. Usiadła w fotelu i z szeroko otwartymi oczami słuchała Clemensa opowiadającego, czemu została dopuszczona do rady.

Kiedy Sam skończył, przez chwilę milczała, sącząc herbatę z kubka.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje - odezwała się w końcu. - Często mówisz przez sen. Wiedziałaś, że ukrywasz przede mną coś ważnego i bardzo mnie to bolało. Nosiłam się nawet z zamiarem zażądania od ciebie wyjawienia prawdy i zagrożenia, że w przeciwnym wypadku od ciebie odejdę.

- Czemu nic nie mówiłaś? - zdziwił się Sam. - Nie miałem pojęcia, że tak to odbierasz.

- Ponieważ przypuszczałam, że musisz mieć ku temu istotny powód - odpowiedziała kobieta. - Doszłam jednak do punktu, w którym już dłużej nie mogłam wytrzymać. Czy nie zauważyłeś, jaka byłam ostatnio rozgniewana?

- Zauważyłem - odparł Clemens. - Myślałem, że to tylko kobiece kaprysy. Jedną z waszych tajemnic. Ale to nie miejsce na rozmowę o naszych prywatnych sprawach.

- Dlaczego nie? - sprzeciwiła się Gwenafra. - Ja na pewno coś bym powiedziała, gdybyś to ty chodził taki rozdrażniony. Zresztą kobiety są równie tajemnicze jak kopalnia. Trzeba tylko mieć ze sobą latarnię i wszystko doskonale widać. Ale mężczyźni wolą nas uważać za zagadkę nie do rozwiązania. To oszczędza wam trudu zadawania pytań.

- Z pewnością jednak jesteście niezmiernie gadatliwe - odrzekł Sam. - Nie można się doczekać, kiedy dojdziecie do sedna sprawy.

- Wam obojgu rzadko zamykają się usta. - Johnston się skrzywił.

- Niektórzy przesadzają w drugą stronę - odparła Gwen, przesywając mężczyznę wzrokiem. - Ale masz rację. Być może jest coś, co można uznać za klucz do rozwiązania tajemnicy wieży. Czy zastanawialiście się, jakim człowiekiem był Piscator?

- Taa... Rozumiem, o co ci chodzi - odpowiedział Clemens. - Czemu udało mu się wejść do wieży, podczas gdy wszyscy inni zawiedli? Cóż, po pierwsze, mógł być agentem. Chociaż jeśli agenci mogą się przedostać do środka, to czemu Thorn tego nie zrobił? Ponadto, czemu Thorn potrzebował *Parsevala*, by znaleźć się na biegunie? Przecież Etycy i ich agenci dysponują własnym środkiem transportu, rodzajem latającego pojazdu.

- Nie wiem - odrzekła Gwenafra. - Skupmy się na Piscatorze. Czym się różnił od pozostałych? Nie mogło chodzić o wygląd zewnętrzny, na przykład element ubioru, gdyż wszyscy próbowali pokonać pole siłowe nago. Jednak poszczególne osoby docierały do różnych punktów korytarza. Jakie cechy charakteru pozwalały niektórym dojść dalej?

- Aby to ustalić, potrzebowalibyśmy komputera - odrzekł Sam. - Ale Gulbirra zna swoją załogę i może dokładnie opisać jej członków, gdy się tutaj zjawi. Poza tym, trzeba by poznać dokładną odległość, jaką pokonała każda z osób, i zestawić te dane z informacjami dotyczącymi ich charakteru. Nikt nie dokonywał takich pomiarów, więc nie ma o czym mówić.

- W takim razie skoncentrujemy się na samym Piscatorze.

- On był jednym z tych samurajów? - wtrącił się Johnston.

- Nie wydaje mi się, by rasa miała w tym przypadku jakiegokolwiek znaczenie - odparł Clemens. - Jak dotąd nie odkryliśmy żadnych agentów pochodzenia mongolskiego, choć pewnie jest ich wielu. Pamiętajmy, że Thorn nie chciał, żeby Firebrass i Obrenova dostali się do wieży, więc z zimną krwią ich zamordował, a także niewinnych ludzi, którzy im towarzyszyli. A może Thorn nie wiedział, że Firebrass był agentem. W takim razie upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Może nawet więcej niż dwie... - odezwała się Gwen. - Chociaż nie, tylko ta dwójka miała w głowie czarne kulki.

- Jasna cholera! - zdenerwował się Sam. - Nie komplikuj niepotrzebnie sytuacji!

- Gdyby tych dwoje weszło do wieży, moglibyśmy porównać ich charaktery z osobowością Piscatora - stwierdziła kobieta.

- Szpędziłem duszo czasu z Firebraszem i pachniał tak szamo jak inni ludzie - rzekł Joe. - Ten Etyk odwiedzający Szama pozostawił po sobie nieludzki zapach. Piscator też był człowiekiem, choć czuć go było Japończykiem. Potrafię odróżniać poszczególne typy ludzi dzięki ich jadłoszpiszowi.

- Ale poza tym jednym przypadkiem nigdy nie spotkałeś kogoś, kto nie pachniał jak człowiek, więc nie mamy podstaw, aby podejrzewać, że agenci nie są ludźmi - odparł Clemens. - Z pewnością wyglądają jak ludzie.

- Racja - zgodził się Miller. - Pszesz lata musiałem wielu szpotkać. Szkoło nigdy więcej nie poczułem tego zapachu, to agenci muszą być ludźmi.

- Na pewno tak jeszt - odrzekł Johnston z przekąsem. - A nie przyszło ci do głowy, że skoro te istoty potrafią przybrać ludzką postać, to są również w stanie naśladować ludzki zapach?

- Mosze po prostu pszczepimy w holu ogłoszenie? - Joe się zaśmiał. - „Niech wszyscy Etycy i agenci pszebywający na pokładzie szatku zgłoszą się do kapitana Clemensa”.

Gwenafra nie wyglądała na zadowoloną.

- Dlaczego ignorujecie pytanie, które zadałam? - spytała. - Co z Piscatorem?

- Może jesteśmy jak karzeł, który znalazł pod łóżkiem swojej żony buty olbrzyma - odpowiedział Sam. - Boimy się spytać... No dobrze. Nie znałem zbyt dobrze tego przybysza z Cipangu. Pojawił się mniej więcej dwa miesiące przed wypłynięciem *Marka Twaina*. Wszyscy mieli go za bardzo spokojną i sympatyczną osobę, przy czym nie zamkniętą w sobie lub wyniosłą, ale po prostu pokojowo nastawioną. Piscator dobrze się dogadywał ze wszystkimi, co w moich oczach czyni go człowiekiem podejrzanym. Ale nie był pokorny i uległy. Pamiętam, że kiedyś pokłócił się z Firebrassem na temat wielkości budowanego sterowca. Uważał, że lepiej zbudować mniejszą jednostkę. Sprzeczka skończyła się tym, że Japończyk stwierdził, iż nadal uznaje swoje zdanie za słuszne, ale skoro to Firebrass jest dowódcą, to podporządkuje się jego poleceniom.

- Czy miał jakieś dziwactwa? - spytała Gwenafra.

- Uwielbiał wędkować, ale osobiście nie uznaję tego za coś ekscentrycznego - odrzekł Sam. - Ale przecież sama go znałaś, więc czemu mnie pytasz?

- Chciałam poznać inny punkt widzenia - odparła kobieta. - Kiedy dotrze tutaj Gulbirra, dokładnie ją wypytamy. Ona zna go lepiej od nas.

- Nie zapominaj o de Berszeracu - wtrącił Joe. - On też go znał.

- Joe wprost kocha Cyrano - rzekł Sam. - Francuz to jedyny człowiek, który ma większy nos od niego.

- Szpiepszaj! - zdenerwował się Miller. - Szaden z wasz, pigmeje, nie ma nosza, z którego mógłby być naprawdę dumny. Bardzo lubię Cyrano i nie obchodzi mnie, sze pałacie do siebie równą szypatią co dwa szamce hieny w okresie godów!

- Kiepskie porównanie - odparł Sam chłodno. - A co ty myślisz o Piscatorze, Gwen?

- Promieniował od niego... jak by to nazwać? Nie zwierzęcy magnetyzm, bo to nie miało nic wspólnego z seksem, ale raczej jakiś rodzaj ciepłej atrakcyjności - odpowiedziała Gwenafra. - Piscator nie lubił głupców. Potrafił się z nimi porozumieć, ale w końcu zawsze grzecznie się ich pozbywał. Nie wydaje mi się, by był fundamentalistą bądź fanatycznym muzułmaninem. Twierdził, że Koran należy rozumieć alegorycznie, podobnie jak Biblię. Zresztą potrafił cytować obie te księgi. Wielokrotnie z nim rozmawiałam i zdziwiłam się, gdy powiedział, że Jezus był największym prorokiem po Mahomecie. Wspominał także, że

muzułmanie wierzą, iż pierwszą osobą, która trafi do nieba, będzie Maryja, matka Jezusa. Sam, przecież mówiłeś mi, że muzulmanie nienawidzą Jezusa.

- Ależ nie, powiedziałem, że nienawidzą chrześcijan, zresztą z wzajemnością - odrzekł Clemens.

- Nieprawda - zaprzeczyła Gwen. - Ale w tej chwili to nieważne. Podsumowując, Piscator wydał mi się mądrym i dobrym człowiekiem. Ale było w nim coś jeszcze. Nie potrafię tego dobrze opisać. Żył obok nas, ale wydawało się, że nie jest z tego świata.

- Chcesz powiedzieć, że przewyższał innych ludzi moralnie, czy też duchowo? - spytał Sam.

- Nigdy nie zachowywał się w sposób sugerujący, że tak uważa, ale coś w tym jest - zgodziła się kobieta.

- Szkoda, że nie poznałem go lepiej.

- Byłeś zbyt zajęty budowaniem parostatku, Sam.

65

Frigate zjawił się w chacie dopiero godzinę przed kolacją. Zapytany przez Nura, gdzie się podziewał, odpowiedział, że przez cały dzień bezskutecznie czekał na spotkanie z Novakiem. W końcu sekretarz wodza kazał mu przyjść następnego dnia rano. Wtedy Novak miał znaleźć chwilę wolnego czasu.

Frigate wyglądał na zdeglustowanego. Stanie w kolejce bardzo go znecierpliwilo i zwiększyło jego determinację. Na razie jednak nie chciał zdradzić reszcie załogi, co wymyślił.

- Jeśli Novak się zgodzi, to wam powiem - stwierdził.

Farrington, Rider i Pogaas nie zwracali na niego większej uwagi. Byli zbyt zajęci omawianiem sposobów na odzyskanie *Zawrotu Głowy*. Gdy spytali Frigate'a, czy im pomoże, ten odparł, że jeszcze się nie zdecydował. W odpowiedzi na to samo pytanie Nur tylko się uśmiechnął i odrzekł, że poczeka do chwili, gdy oni sami będą przekonani o etyczności swojego wyboru.

Maur jak zwykle wiedział najwięcej ze wszystkich. Tuż przed śniadaniem poinformował resztę załogi, że ich plany i tak pozostaną tylko w sferze teorii, gdyż nowi właściciele *Zawrotu Głowy* załadowali statek towarami na handel i zaraz po porannym posiłku wyruszają w dół Rzeki.

- Czemu wcześniej nam o tym nie powiedziałaś?! - wybuchnął Martin.

- Obawiałem się, że zrobicie coś lekkomyślnego, na przykład spróbujecie porwać statek za dnia na oczach setek świadków - odrzekł Nur. - Nie uszłoby wam to płazem.

- Nie jesteśmy aż tak głupi!

- Nie, ale jesteście bardzo impulsywni, a to forma głupoty - odparł mężczyzna.

- Wielkie dzięki - zachnął się Tom. - No cóż, może to i lepiej. Znacznie chętniej zaopatrzyłbym się w jeden z tych patrolowych parowców. Jednak najpierw musielibyśmy zebrać starą załogę i znaleźć zastępstwo dla kobiet, a to wymaga czasu i starannego planowania.

Niestety, pojawiły się pewne komplikacje. Przedstawiciel władz poinformował załogę, że musi jak najszybciej zacząć pracować dla państwa lub je opuścić. Frigate'a przy tym nie było, ale kiedy wrócił, wcale się nie przejął tą wiadomością.

- Namówiłem Novaka! - rzekł z uśmiechem.

- Na co? - spytał Farrington.

Frigate rozsiadł się w bambusowym fotelu i zapalił papierosa.

- Najpierw spytałem, czy zbuduje nam kolejny sterowiec - wyjaśnił. - Nie oczekiwałem, że się zgodzi, i miałem rację. Okazało się, że zamierza zbudować dwa zeppelin, ale nie dla nas, tylko do celów patrolowych i obronnych, na wypadek wojny.

- Chcesz im ukraść sterowiec! - zawołał Farrington.

Choć Milton także wpadł we wściekłość, gdy Podebrad ich zdradził, to w głębi duszy odczuł ulgę, że nie musi wzbijać się w przestworza.

- W żadnym wypadku - zaprzeczył Peter. - Ani Nur, ani ja nie chcemy mieć nic wspólnego z kradzieżą, a zresztą nie wierzymy, że bylibyście zdolni do jej popełnienia, chociaż lubicie o tym fantazjować. Kiedy Novak odrzucił moją pierwszą propozycję, wysunąłem kolejną. Wódz długo się zastanawiał, ale ostatecznie wyraził zgodę. Realizacja tego projektu nie wymaga tyle czasu i materiałów co budowa sterowca, a Novak czuje się po części odpowiedzialny za to, że zostaliśmy oszukani, i chce nam jakoś wynagrodzić doznaną krzywdę. Poza tym bardzo interesują go balony. Jego syn był pilotem balonowym.

- Balony?! - zawołał Martin. - Nadal nie zrezygnowałeś z tego wariackiego pomysłu?

Tom wydawał się zainteresowany, ale także miał pewne wątpliwości.

- Nic nie wiemy o wiatrach wiejących nad górami - odrzekł. - Mogą nas zepchnąć na południe.

- Racja, ale znajdujemy się trochę na północ od równika - odpowiedział Frigate. - Jeśli górne wiatry w tym świecie wieją według tych samych zasad co na Ziemi, to mogą nas ponieść na północny wschód. Co prawda sytuacja może się pogorszyć, gdy minimy „końskie szerokości”, ale mam w głowie projekt balonu, który będzie w stanie dolecieć do strefy polarnej.

- Szaleństwo! Czyste szaleństwo! - powtarzał Martin, kręcąc głową.

- Mam rozumieć, że nie chcesz tego robić? - spytał Peter.

- Tego nie powiedziałem - odparł Farrington. - Sam też często miewam dziwne pomysły. Ale nie wydaje mi się, żeby wiatry rzeczywiście mogły nas zanieść tam, gdzie chcemy dotrzeć. Powinniśmy przestać fantazjować i zabrać się za budowę zwykłego statku.

Farrington nie miał racji i zapewne sam dobrze wiedział, że wyraża jedynie swoje pragnienia. Masy powietrza na wysokości, na której planowali lecieć, przemieszczały się w kierunku północno-wschodnim.

Kiedy pozostali dowiedzieli się, jaki rodzaj balonu chce zbudować Frigate, gwałtownie zaprotestowali.

- Wiem, że takie pojazdy istniały tylko na papierze - przyznał Peter. - Ale to nasza szansa na stworzenie czegoś wyjątkowego.

- Tak, ale jeśli Juliusz Verne zaproponował ten pomysł w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku, to czemu nikt go nigdy nie zrealizował, skoro to taki znakomity projekt? - spytał Martin.

- Nie wiem - odpowiedział Frigate. - Sam bym to zrobił na Ziemi, gdybym miał pieniądze. Zrozumcie, że to jedyny sposób, aby dotrzeć do celu. W zwykłym balonie pokonamy najwyżej czterysta osiemdziesiąt kilometrów. To i tak zaoszczędzi nam miliona kilometrów rejsu, ale dzięki *Juliuszowi Verne'owi* i sporej dozie szczęścia możemy dolecieć aż do polarnych gór.

Po długiej dyskusji pozostali w końcu przystali na pomysł Frigate'a. Jednakże, kiedy ruszyła realizacja projektu, Peter zaczął odczuwać niepokój, który wraz ze zbliżaniem się dnia startu zmienił się w strach, najsilniej ujawniający się w sennych koszmarach. Mimo to, przed innymi członkami załogi Frigate udawał niezachwianą pewność siebie.

W swojej powieści „Pięć tygodni w balonie” Juliusz Verne zaproponował pomysł, który wydawał się niebezpieczny, ale możliwy do zrealizowania. Niestety, choć projekt sprawdził się na kartach książki, Frigate wiedział, że rzeczywistość rzadko kiedy przypomina literaturę.

Balon został ukończony i załoga wykonała dwanaście lotów próbnych, które, ku zdziwieniu wszystkich, a w szczególności Petera, przebiegły bez większych zakłóceń. Jednak każdy z lotów odbywał się na niskiej wysokości, a aerostat ani razu nie wzniósł się ponad góry otaczające Dolinę. Groziło to zbyt dużym oddaleniem od Nowej Bohemy i trudnościami z powrotem.

Załoga musiała się liczyć z koniecznością zdobywania doświadczenia dopiero podczas właściwej wyprawy.

Dr Fergusson, bohater Verne'a, zaprojektował swój balon w oparciu o fakt, że podgrzany wodór się rozszerza. Konstruktorzy aerostatów próbowali wykorzystać to zjawisko w 1785 i 1810 roku, w obu przypadkach z katastrofalnym skutkiem. Jednak pojazd Verne'a był znacznie lepiej zaprojektowany od ich modeli i działał, przynajmniej na papierze. Frigate miał do dyspozycji bardziej zaawansowaną technologię niż ludzie żyjący w czasach pisarza, a także dokonał pewnych modyfikacji pierwotnego projektu. Gdy balon został ukończony, Peter chełpił się, że to pierwsza taka konstrukcja w historii.

Frisco dość ostro zareagował na te słowa, twierdząc, że jak dotąd nie zrealizowano projektu Verne'a, nikt bowiem nie był na to wystarczająco szalony. Frigate w duchu przyznał

mu raczej, ale nie powiedział tego na głos. To jedyny rodzaj aerostatu, który mógł ich zanieść do celu, i Peter nie miał najmniejszego zamiaru wycofywać się ze swojego pomysłu. Zbyt wiele razy, w obu światach, zaczynał coś, czego nie potrafił skończyć. Nawet gdyby miał zginąć, tym razem zamierzał doprowadzić swoje dzieło do końca.

Co prawda zginąć mogli także inni ludzie znajdujący się na pokładzie, ale przecież znali ryzyko. Nikt nie zmuszał ich do udziału w wyprawie.

Start odbył się zgodnie z planem, tuż przed świtem. Lampy łukowe i pochodnie oświetlały tłum zgromadzony na równinie. Powłoka balonu, pokryta farbą w kolorze aluminium, przypominała pomarszczoną parówkę wiszącą na niewidzialnym haku.

Na tym etapie lotu *Juliusz Verne* nie wyglądał jak typowy, kulisty balon. Dopiero po starcie miał szybko napęcznieć dzięki rosnącej temperaturze gazu i zmniejszającemu się ciśnieniu powietrza.

Wygłoszono przemowy i toasty. Tom Rider zauważył, że Frisco pije z dwukrotnie większego pucharu niż pozostali. Bąknął coś o „holenderskiej odwadze”, ale nie na tyle głośno, by Farrington go usłyszał. Wchodząc do gondoli, Martin się uśmiechał i wesoło machał do gapiów.

Peter Frigate wszedł na pokład jako ostatni. Zwykle przed startem balonu należy się upewnić, czy jego całkowita waga - wliczając powłokę, gaz, siatkę, rękaw ładunkowy, liny, gondolę, balast, ekwipunek, zapasy i załogę - nie przekracza siły nośnej. *Juliusz Verne* był pierwszym wyjątkiem od tej reguły.

Gondola miała kształt dyni, a jej podwójne ściany wykonano ze stopu magnezu. W samym środku znajdowała się skrzynka w kształcie litery L, mieszcząca instalację gazową. Dwie pionowe, plastikowe rurki biegły do metalowych obręczy umieszczonych w suficie. Całość dokładnie uszczelniono, żeby zapobiec ucieczce powietrza z gondoli.

Wyżej rurki prowadziły do wnętrza hermetycznie zamkniętej powłoki, gdzie łączyły się z dwiema innymi rurkami różnej długości wykonanymi z lekkiego stopu. Rurki te miały otwarte końcówki.

Przed wejściem na pokład członkowie załogi prowadzili ożywioną rozmowę. Teraz w milczeniu patrzyli na Frigate'a.

- Zamknijcie główny włącznik - polecił Peter i rozpoczął się rytuał startu.

Frigate skontrolował miernik i dwa zawory odcinające umieszczone na rurkach, po czym otworzył małe drzwiczki w ścianie. Zmienił ustawienie kolejnego zaworu, aż usłyszał ciche syczenie dochodzące z wąskiego wylotu stalowej rurki kończącej się w balonie.

Wsadził rozżarzony pręcik elektrycznej zapalniczki do pieca. U wylotu rurki pojawił

się mały płomień. Peter go zwiększył, przekręcając jeden z zaworów, a następnie za pomocą dwóch kolejnych uregulował dopływ mieszanki tlenu i wodoru podsycającej ogień. Płomień zaczął podgrzewać wierzchołek dużego platynowego stożka powyżej. Znajdujący się w środku wodór powędrował do góry, napęlniając powłokę balonu. Krótsza z rurek zaczęła zasysać chłodniejszy wodór z dolnej części powłoki i przesyłać go do stożka, gdzie gaz był podgrzewany, zamykając obieg.

W podstawie skrzynki z instalacją gazową znajdowała się bateria elektryczna, znacznie lżejsza i silniejsza od tej zastosowanej przed Fergussona na kartach powieści. Rozkładała ona wodę na wodór i tlen. Oba pierwiastki trafiały do osobnych pojemników, a następnie do komory łączącej, skąd rury wysyłały mieszanekę do spalania.

Jedną z modyfikacji projektu Verne'a, którą wprowadził Frigate, było zamontowanie rury łączącej komorę zawierającą wodór z krótszą rurką prowadzącą do wnętrza powłoki balonu, dzięki czemu w wyjątkowej sytuacji pilot mógł zwiększyć dopływ wodoru. Wiązało się to z wygaszeniem płomienia, gdyż wodór był łatwopalny.

Po piętnastu minutach balon uniósł się łagodnie. Kilka sekund później Frigate wyłączył palnik.

Okrzyki gapiów stawały się coraz cichsze, aż wreszcie całkiem umilkły. Olbrzymi hangar skurczył się do rozmiarów domku dla lalek. Słońce wychyliło się zza gór i wzdłuż Rzeki rozległ się grzmot towarzyszący wyładowaniu energii z kamieni obfitości.

- Oto salwa na naszą cześć - odezwał się Frigate.

Po tym stwierdzeniu na jakiś czas zaległa cisza niczym na dnie głębokiej jaskini. Jednak ściany kadłuba słabo pochłaniały dźwięki, więc gdy Frisco Kidowi zaburczało w brzuchu, odgłos przypominał odległy pomruk burzy.

Pojawiły się lekkie podmuchy wiatru popychające balon na południe, czyli w kierunku przeciwnym do pożądanego. Pogaas wystawił głowę przez otwarte okno. Nie odczuwał żadnego ruchu powietrza, gdyż aerostat poruszał się z tą samą prędkością co wiatr. Wokół kadłuba panowała cisza niczym w zamkniętym pomieszczeniu. Płomień świecy w tych warunkach nie odchyliłby się nawet o milimetr.

Choć Frigate często miał okazję latać na pokładzie aerostatów, zawsze upajały go pierwsze minuty po starcie. Żaden inny rodzaj lotu, nawet szybowanie, nie robił na nim takiego wrażenia. Czuł się jak pozbawiony ciała duch, uwolniony z okowów grawitacji i pozbawiony cielesnych i intelektualnych trosk.

Oczywiście było to tylko złudzenie, grawitacja bowiem trzymała balon silną ręką, bawiła się nim i w każdej chwili mogła go solidnie sponiewierać. Także wolność od trosk i

kłopotów była jedynie uluda. Na pokładzie nie brakowało okazji do ciężkiej pracy fizycznej i umysłowej.

Frigate otrząsnął się niczym pies wychodzący z wody, po czym zajął się tym, co należy do obowiązków pilota. Sprawdził wskazania wysokościomierza. Tysiąc osiemset dwadzieścia dziewięć metrów, czyli trochę ponad sześć tysięcy stóp. Stoskop wskazywał, że balon wznosi się coraz szybciej, zapewne dlatego, że słońce podgrzewało wodór. Po upewnieniu się, że komory z tlenem i wodorem są pełne, Peter wyjął baterię z wody. Chwilowo nie miał nic do roboty poza pilnowaniem wskazań wysokościomierza i statoskopu.

Dolina stała się węższa. Niebiesko-czarne góry pokryte plamami szarzielonych i niebieskozielonych porostów zostawały coraz dalej pod brzuchem gondoli. Mgła zalewająca równiny znikła równie szybko jak myszy, które zobaczyły kota.

Wiatr coraz szybciej znosił ich na południe.

- Oddalamy się od celu - mruknął Frisco.

Odezwał się w zasadzie tylko po to, by rozładować napięcie. Loty próbne pokazały, że wiatry wiejące w stratosferze poniosą ich na północny wschód.

- Ostatnia szansa, żeby zapalić - rzekł Frigate.

Z okazji skorzystali wszyscy poza Nurem. Palenie było zabronione na wszystkich balonach wypełnionych wodorem, jednak na *Juliuszu Vernie* zakaz ten nie obowiązywał na niewielkich wysokościach. Nie było sensu martwić się paleniem tytoniu, gdy we wnętrzu powłoki płonął ogień.

Balon wzniósł się jeszcze wyżej i załoga zachwyciła się widokiem kilku dolin rozciągających się równoległe do siebie. Po lewej stronie widzieli doliny, a raczej szerokie i głębokie kaniony, które minęli, płynąc na pokładzie *Zawrotu Głowy*. Gdy zwiększyli wysokość, horyzont gwałtownie się oddalił, jakby uciekając w panice. Frigate i Rider znali to zjawisko z Ziemi, ale pozostali patrzyli całkowicie zauroczeni. Pogaas powiedział coś w języku Swazi.

- Zupełnie, jakby Bóg rozkładał przed nami świat niczym obrus - wyszeptał Nur.

Frigate kazał zamknąć wszystkie okna, po czym włączył dopływ tlenu oraz mały wentylator pochłaniający dwutlenek węgla. Na wysokości szesnastu kilometrów, czyli prawie dziesięciu mil, *Juliusz Verne* wleciał w tropopauzę, strefę przejściową między troposferą i stratosferą. Temperatura na zewnątrz kabiny wynosiła minus siedemdziesiąt dwa stopnie Celsjusza.

Podmuch przeciwnego wiatru uderzył w balon i wprowadził go w ruch obrotowy. Wiedzieli, że jeśli nie napotkają wiatru wiejącego w przeciwnym kierunku, czeka ich podróż

niczym na powolnej karuzeli.

Nur zmienił Petera na stanowisku pilota. Po nim za sterami miał zasiąść Pogaas, a następnie Rider. Gdy przysła kolej Farringtona, Martina opuściła nerwowość. Teraz miał nad wszystkim kontrolę, a to zupełnie zmieniało sytuację. Frigate przypomniał sobie fragment jednej z książek Farringtona, gdzie ten opisywał niezwykle uczucie uniesienia, jakiego doznał w wieku siedemnast lat, gdy pozwolono mu zasiąść za sterem szkunera podczas sztormu. Kapitan przez chwilę obserwował młodego Martina, po czym zszedł pod pokład, powierzając chłopakowi bezpieczeństwo statku i załogi. Farrington w całym swoim późniejszym życiu pełnym przygód nie doświadczył czegoś równie poruszającego.

Kiedy jednak Frigate zmienił go na fotelu pilota, Martin od razu stracił entuzjazm i z powrotem pogąrzył się w niepewności.

Słońce wspinało się po nieboskłonie, a razem z nim *Juliusz Verne*. Powłoka balonu była już napięta do granic bezpieczeństwa, co zwiastowało koniec swobodnego wznoszenia. W odróżnieniu od większości załogowych aerostatów, *Juliusz Verne* miał hermetycznie zapieczętowaną powłokę, co oznaczało, że balon mógł nabierać wysokości aż do chwili rozerwania materiału. Potem załodze pozostawało pożegnać się ze światem żywych. Jednak podczas budowy jednostki podjęto odpowiednie kroki celem uniknięcia podobnej sytuacji.

Frigate sprawdził wskazania wysokościomierza, po czym obrócił metalowe pokrętko znajdujące się nad jego głową i połączone linką z drewnianym zaworem w dolnej części powłoki. To spowodowało uwolnienie części gazu i balon zmniejszył wysokość. Frigate wiedział, że wkrótce znów wzbiją się wyżej i będą musieli wypuścić kolejną porcję gazu. Utrzymanie odpowiedniego pułapu będzie wymagało naprzemiennego zapalania płomienia oraz jego gaszenia przy jednoczesnym pompowaniu wodoru do wnętrza balonu.

Wymagało to dużego skupienia i właściwej oceny sytuacji. Uwolnienie zbyt dużej ilości gazu wiązałoby się ze zbyt szybkim opadaniem, a zbyt gwałtowne napełnienie powłoki spowodowałoby wzniesienie się na wysokość grożącą rozerwaniem balonu. Zawór bezpieczeństwa umieszczony na szczycie balonu automatycznie wypuściłby wodór, aby zapobiec katastrofie (jeśliby wcześniej nie zamarzał), ale aerostat stałby się wtedy zbyt ciężki.

Co więcej, pilot musiał uważać na ciepłe warstwy powietrza, które mogły spowodować nagle, niebezpieczne zwiększenie wysokości lotu. Z kolei gwałtowne ochłodzenie mogło zepchnąć *Juliusza Verne'a* w stronę ziemi.

W tym drugim przypadku pilot mógł zarządzić wyrzucenie balastu, ale to groziło rozpoczęciem całej serii gwałtownych zmian wysokości, a poza tym stracenie całego balastu nie wróżyło niczego dobrego. Jedynym sposobem na szybkie zmniejszenie pułapu było

uwolnienie wodoru, co z kolei oznaczało, że palnik mógł nie zdążyć ponownie podgrzać wystarczającej ilości gazu, aby balon utrzymał się w powietrzu.

Jednakże dzień minął bez dramatycznych wydarzeń. Zaszło słońce, a wraz z nim obniżył się *Juliusz Verne*, gdy wieczorne powietrze ochłodziło wodór. Pilot musiał jedynie od czasu do czasu używać palnika, by utrzymywać balon ponad tropopauzą. Członkowie załogi, którzy nie pełnili służby, wślizgnęli się pod grube ręczniki i zasnęli.

Bycie jedyną osobą, która nie śpi w nocy, to dziwne uczucie. Przez okna wpadało światło gwiazd, ale nawet w połączeniu ze słabym blaskiem lamp nie tworzyło atmosfery komfortu. Ściany kadłuba wzmacniały każdy odgłos: uderzenie czyjejś dłoni o podłogę, mamrotanie Pogaasa, zgrzytanie zębami Frisco Kida, końskie pojękiwanie Ridera, szum wentylatora.

Kiedy Peter zapalił płomień, nagła eksplozja i następujący po niej ryk zbudziły wszystkich na pokładzie. Nadeszła kolej Frigete'a, by zwinąć się na posłaniu, zasnąć, a potem zostać przebudzonym przez huk zapalanego ognia lub przez koszmarny sen o spadaniu.

Nadszedł świt. Członkowie załogi wstawali o różnych porach, korzystali z chemicznej toalety, pili błyskawiczną kawę lub herbatę i jedli śniadanie złożone z pokarmów zachowanych z rogów obfitości oraz chleba z żołądź i suszonej ryby. Nie opróżniono toalet, gdyż otwarcie luku na tej wysokości groziło niebezpiecznym spadkiem ciśnienia, a każde zmniejszenie ciężaru powodowało zwiększenie wysokości lotu.

Frisco Kid, który najlepiej potrafił oszacować prędkość balonu względem ziemi, ocenił, że lecą z prędkością pięćdziesięciu węzłów.

Przed południem napotkali wiatr, który przez kilka godzin cofał ich na południe. Potem znów udało im się obrać poprawny kurs, ich radość jednak nie trwała długo. Po kolejnych trzech godzinach podmuchy ponownie skierowały ich w niewłaściwą stronę.

- Jak tak dalej pójdzie, to będziemy się kręcić w kółko - odezwał się ponurym głosem Frigate. - Nic z tego nie rozumiem.

Późnym popołudniem wrócili na właściwy kurs. Frigate zaproponował zmniejszenie wysokości i poszukanie odpowiednich prądów powietrznych bliżej ziemi. Tak daleko na północ wiatry powierzchniowe zazwyczaj wiały w kierunku północno-wschodnim.

Gdy zgasili płomień, gaz zaczął się powoli ochładzać, a *Juliusz Verne* się obniżał, najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Po jakimś czasie Nur na kilka minut włączył palnik, aby spowolnić opadanie. Na wysokości trzynastu kilometrów wiatr osłabł, ale po chwili znów przybrał na sile, kierując ich w niewłaściwą stronę i zmieniając kierunek wirowania balonu. Nur zmniejszył pułap do poziomu dwóch tysięcy metrów powyżej górskich szczytów.

Przemieszczali się teraz nad dolinami biegnącymi z południa na północ.

- Znow lecimy na północny wschód! - oznajmił radośnie Frigate.

Trzeciego dnia około południa płynęli w powietrzu z prędkością około dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Tylko *Juliusz Verne* mógł ich zanieść tak daleko. Żaden inny balon nie byłby w stanie wznieść się do stratosfery lub obniżyć nad samą ziemię bez straty zbyt dużej ilości gazu.

Załoga otworzyła okna, aby wpuścić do środka rzadkie, lecz orzeźwiający powietrze. Prądy wstępujące i zstępujące nieco zmniejszyły komfort podróży, głównie za sprawą wahań ciśnienia. Wszyscy musieli często przełykać ślinę i ziewać, aby złagodzić ucisk w uszach. Na szczęście wraz z zapadnięciem zmroku ruchy powietrza stały się mniej gwałtowne.

Następnego dnia po południu zaskoczyła ich burza. Za sterami siedział wtedy Farrington. Wydawało się, że czarne chmury przepływające pod brzuchem balonu znajdują się w bezpiecznej odległości, jedynie od czasu do czasu wyciągając w *stronę Juliusza Verne'a* czarne macki. Jednak nagle burza gwałtownie rzuciła się na nich, okrywając aerostat ciemnym całunem haftowanym błyskawicami. Balon zaczął wirować niczym zabawkowy bączek.

- Spadamy jak kamień - spokojnie oznajmił Frisco. Rozkazał wyrzucić część balastu, ale to nie powstrzymało spadania. Światło błyskawic co jakiś czas wydobywało gondolę z mroku, nadając twarzom ludzi zielonkawy odcień. Grzmoty towarzyszące wyładowaniom przetaczały się przez wnętrze kadłuba, ogłuszając załogę. Deszcz wdzierał się przez otwarte okna, zalewając podłogę i zwiększając ciężar balonu.

- Zamknąć okna! - rozkazał Frisco. - Tom i Nur, wyrzucicie balast numer trzy!

Mężczyźni rzucili się wykonać rozkaz. Wydawało im się, że ich ciała nic nie ważą, zupełnie jakby na skutek szybkiego opadania gondoli załoga unosiła się w powietrzu.

Kolejna błyskawica rozświetliła okolicę. Mężczyźni z przerażeniem ujrzeli czarny, płaski szczyt góry zbliżający się do nich z zawrotną prędkością.

- Wyrzucić dwie sztuki balastu numer jeden!

Nur wyjrzał przez okno.

- Worki wcale nie spadają dużo szybciej od nas - rzekł głośno, ale spokojnie.

- Jeszcze dwie!

Kolejna ognista smuga przeszła powietrze w pobliżu *Juliusza Verne'a*.

- Nie uda się nam! - krzyknął Frisco. - Wyrzucicie jeszcze dwie jedyńki! Przygotujcie się do wyrzucenia całego balastu!

Krawędź kadłuba uderzyła w szczyt góry. Gondola podskoczyła i cała załoga

wylądowała na podłodze. Mężczyźni zaczęli się podnosić, ale gdy chwilowo poluzowane liny się napięły, ponownie runęły na pokład. Na szczęście gondola nie oderwała się od balonu.

Nie zwracając uwagi na odniesione obrażenia, wstali z podłogi i wyjrzeni przez okno. Otaczała ich całkowita ciemność. Gdy kolejna błyskawica rozświetliła niebo, zobaczyli, że balon znajduje się bardzo blisko skalnej ściany. Prąd zstępujący ciągnął *Juliusza Verne'a* w dół, a czubki drzew żelaznych pędziły w ich kierunku niczym rzucone oszczepy.

Włączenie palnika nie mogło już w niczym pomóc. Poza tym istniała obawa, że uderzenie w górski szczyt uszkodziło rury, a w takim wypadku zapalenie płomienia zmieniłoby wnętrze kadłuba w rozgrzany piec.

- Wyrzucić cały balast! - wrzasnął Frisco.

Nagle wylecieli z chmur, a zamiast ciemności otoczyła ich gęsta szarość. Dojrżeli czubki drzew wirujące tuż pod gondolą.

Frisco opuścił swoje stanowisko, by pomóc reszcie załogi wyrzucać worki i pojemniki z wodą. Zanim zdążyli to uczynić i zanim Nur wcisnął przycisk zwalniający balast, gondola uderzyła w górne gałęzie drzewa żelaznego. Mężczyźni ponownie znaleźli się na podłodze, po czym usłyszeli odgłos miażdżenia. Gałęzie ugięły się pod ciężarem metalowej konstrukcji i wyrzuciły ją do góry, prosto w powłokę balonu.

Gondola odbiła się od materiału i jeszcze raz spadła na prawie niezniszczalne gałęzie. Członkowie załogi bezwładnie przetaczali się po pomieszczeniu, niczym kości w kubku potrząsanym przez szulera.

Frigate był cały potłuczony i posiniaczony. Mimo to zachował wystarczającą jasność umysłu, by się zastanowić, co się stało z plastikowymi rurkami biegnącymi między gondolą i powłoką balonu.

Jeśli... proszę, Boże, spraw, aby tak się nie stało... jeśli rurki zostały wyrwane... jeśli gałęzie przedziurawiły powłokę... gondola spadnie na ziemię... chyba że liny zaplączą się w konary drzewa.

Nie. Zaczynali się wznosić.

Ale gdzie polecą balon? Prosto w górę? W stronę Rzeki? A może uderzy w skalne zbocze, a powłoka ulegnie rozdarciu?

Sterowiec nadleciał nad górskie pasmo od północy, gdy nawałnica osiągnęła apogeum. Jedynym źródłem światła w panującej ciemności były błyskawice rozdzierające niebo. Radar badał Dolinę, rejestrując czubki drzew, skalne iglice i nurt Rzeki, aż w końcu namierzył wielki bocznokołowiec. Czujnik wskazywał, że radary na pokładzie obserwowanej jednostki są wyłączone. Nic dziwnego, skoro statek zakotwiczył w pobliżu brzegu, a załoga nie spodziewała się ataku wrogów.

W brzuchu sterowca otworzyły się olbrzymie drzwi hangaru, a stojący w środku helikopter wprawił w ruch śmigła. Na pokładzie maszyny znajdowało się trzydziestu jeden mężczyzn. Za sterami zasiadał Boynton, a miejsce u jego boku zajmował de Bergerac. W tylnej części śmigłowca piętrzyły się pudła z plastikiem i bronią.

Gdy tylko rozgrzano silniki, Boynton zgłosił gotowość do startu. Starszy bosman Szentes stał ze słuchawką przy uchu, przyjmując najnowszy raport na temat warunków wietrznych. Kiedy skończył, machnął małą chorągiewką. Start!

Helikopter uniósł się nad platformę startową, po czym zawisł nad otwartymi drzwiami hangaru. Światło lamp odbijało się od przedniej szyby maszyny i końcówek jej wirujących śmigieł. Następnie śmigłowiec spadł w ciemny otwór niczym kamień. Gdy Cyrano spojrział w górę, zobaczył, jak olbrzymi kształt sterowca stopniowo zlewa się z czarnymi chmurami, a w końcu całkiem znika.

Francuz wiedział, że w ciągu minuty z pokładu *Parsevala* wystartuje dwuosobowy szybowiec pilotowany przez Boba Winkelmeyera. Drugą osobą na pokładzie będzie James McParlan. Na Ziemi Winkelmeyer ukończył akademię wojskową West Point, a jako pilot został zestrzelony przez Mitsubishi Zero podczas patrolowego lotu nad jedną z wysepek u północnych wybrzeży Australii. Z kolei McParlan zdobył dość dużą sławę w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku jako detektyw pracujący dla agencji Pinkerton. James przeniknął do wnętrza Mollie Maguires, tajnej organizacji terrorystycznej założonej przez irlandzkich górników w Pensylwanii. Pod przybranym nazwiskiem James McKenna stał się szpiegiem wewnątrz gangu, wielokrotnie cudem unikając zdemaskowania i śmierci. Dzięki jego wysiłkom członkowie Maguires zostali aresztowani. Dziewiętnastu zawisło na szubienicy, a właściciele kopalni mogli dalej wykorzystywać pracowników.

Winkelmeyer i McParlan mieli za zadanie wylądować na powierzchni Rzeki i zatopić szybowiec, a następnie zaciągnąć się na pokład *Reksa*. Wydawało się wątpliwe, by udało się porwać króla Jana bez konieczności uśmiercenia chociaż kilku członków jego załogi, więc na statku powinno się zwolnić parę miejsc.

Jak powiedział Sam Clemens: „Jan nie ma monopolu na podwójnych agentów. Zbliżcie się do niego, chłopcy, i zdobądźcie jego zaufanie. Oczywiście tylko wtedy, gdy nie powiedzie się nasza misja. Być może nie będziecie musieli nic robić, ale ja dobrze znam tego człowieka. Potrafi się wyślizgnąć z najgorszych tarapatów, jak węgorz. Jeśli więc nie uda się go porwać, to przyłączcie się do załogi *Reksa*. A kiedy nadejdzie Armagedon, wysadźcie statek w powietrze. To zupełnie jakby Gabriel umieścił w piekle dwóch aniołów przebranych za diabły!”.

Helikopter zanurzył się w chmurach. Błyskawice rozrywały świat na pół, niczym ognisty miecz odcinający niebo od ziemi. Burzowe chmury groźnie pomrukiwały, a deszcz zalewał okna, oślepiając załogę. Jednak parostatek był doskonale widoczny na radarze i już po dwóch minutach mężczyźni ujrzeli w dole światła jednostki.

Boynton pochylił nos maszyny pod kątem czterdziestu pięciu stopni i helikopter zaczął pikować. Pilot wyrównał lot tuż nad powierzchnią wody i śmigłowiec pomknął w kierunku parostatku na wysokości zaledwie jednego metra. Światła bocznokołowca stawały się coraz większe i jaśniejsze.

Maszyna gwałtownie zwiększyła wysokość tuż przed statkiem, wyhamowała i zawisła nad pokładem załogowym. Po chwili jej koła dotknęły podłoża, lekko się od niego odbijając. Śmigła zaczęły zwalniać i otworzyły się drzwi.

Kiedy de Bergerac znalazł się na pokładzie, silniki już nie pracowały. Boynton pomagał członkom załogi wysiadać z helikoptera. Cyrano polecił jednemu z mężczyzn, aby ten zaczął rozdawać pozostałym pudełka z materiałami wybuchowymi.

Francuz zerknął w stronę górnego pokładu sterówki. Jak dotąd nikt nie wyjrzał przez tylne okno i nie wszczął alarmu. De Bergerac nie przypuszczał, że będą mieli tyle szczęścia. O dziwo, na statku nie było żadnych strażników, a jeśli nawet się tu znajdowali, to najwyraźniej nie zauważyli przybycia nieproszonych gości. Być może załoga *Reksa* czuła się bezpieczna w tej okolicy. Spora część marynarzy mogła odpoczywać na lądzie, a strażnicy pewnie się objali, spali, pili, bądź byli zajęci swoimi kobietami.

De Bergerac wyjął zza paska pistolet „Mark IV” i pogładził dłonią rękojeść rapiera.

- Za mną! - zawołał.

Ruszyło za nim pięciu mężczyzn. Kolejne dwie grupy pobiegły w kierunku

wyznaczonych celów. Boynton został w helikopterze, gotowy do natychmiastowego uruchomienia maszyny.

Pokład załogowy był przedłużeniem górnej części teksasu. Francuz poprowadził swoją grupę w stronę sterówki. Stopy mężczyzn bębniły na dębowej podłodze. Gdy dotarli do wejścia, za którym znajdowały się schody wiodące na drugi pokład, de Bergerac na chwilę się zatrzymał. Jakiś człowiek krzyczał przez otwarte okno nad jego głową. Cyrano go zignorował i wbiegł do środka, a pozostali mężczyźni ruszyli za nim po stalowych stopniach. Zanim ostatni z nich zdążył się wspiąć na wyższy poziom, rozległ się strzał. De Bergerac obejrzał się na swoich towarzyszy.

- Czy ktoś dostał?! - zawołał.

- Spudłował! - odpowiedział Cogswell za jego plecami.

Na wyższych pokładach rozbrzmiewały alarmy, a w oddali wyła samotna syrena. Po kilku sekundach dołączyły do niej kolejne.

Drugi pokład składał się z jasno oświetlonego korytarza, wzdłuż którego znajdowały się kabiny oficerów i ich kobiet. Cyrano miał nadzieję, że Jan bez Ziemi wybrał dla siebie kajutę po lewej stronie, tuż pod schodkami prowadzącymi na mostek. Pierwotnie to Clemens zamierzał z niej skorzystać, była bowiem największa. Mało prawdopodobne, by Jan ją komuś odstąpił.

Z obu stron korytarza znajdowały się po cztery kabiny. Nagle otworzyły się drzwi jednej z nich i jakiś mężczyzna wystawił głowę na zewnątrz. De Bergerac wycelował do niego z pistoletu i marynarz zatrzasnął się z powrotem w kajucie.

Każdy z członków sześciuosobowej grupy wyjął z paska krótki duraluminiowy pręt zakończony z obu stron długimi, ciężkimi stalowymi gwoździami. Przedmioty zostały wykonane w warsztacie zaledwie godzinę przed startem. Dwóch członków załogi miało przy sobie zapasowe sztuki. Za pomocą ciężkich młotków mężczyźni zaczęli wbijać pręty w dębowe grodzie w taki sposób, aby zablokować drzwi. Co prawda dostatecznie zdeterminowana osoba mogła sobie poradzić z tą przeszkodą, ale do tego czasu akcja powinna się zakończyć sukcesem.

Z kabiny dobiegały krzyki i wrzaski. Jeden z marynarzy próbował otworzyć drzwi, ale Cogswell odłożył młotek i wypalił z pistoletu w powstałą szczelinę, starając się nie trafić mężczyzny. Drzwi natychmiast się zatrzasnęły.

Do tej pory Jan z pewnością już został poinformowany przez interkom, że na jego statek wdarli się intruzi, a hałasy dobiegające z korytarza upewniły go, że nieproszeni goście dotarli aż tutaj, więc jeden strzał więcej nie robił różnicy.

Kolejni trzej mężczyźni powinni okrążyć sterówkę i wspiąć się na górę od strony dziobowej. Jednakże... aha, oto nadchodził jeden ze strażników. Wysunął bladą twarz zza zakrętu korytarza, tuż obok szczytu schodów, którymi weszli na drugi pokład. Po chwili wyszedł z ukrycia, trzymając w obu rękach ciężki pistolet kalibru 69. Nie nosił zbroi.

- *Peste!*

Cyrano nie miał ochoty krzywdzić człowieka, którego nigdy wcześniej nie spotkał, ale mimo to wycelował i strzelił.

- *Quelle merde!*

Francuz spudłował i plastikowy pocisk rozbił się o gródź obok głowy strażnika. Jednak kilka odłamków musiało trafić mężczyznę, bo ten krzyknął i zatoczył się do tyłu, upuszczając pistolet i chwytając się za twarz.

Cyrano nigdy nie był dobrym strzelcem. To nic, pomyślał. Skoro udało mu się pozbyć napastnika bez konieczności poważnego zranienia go lub zabicia, to tym lepiej.

Ze sterówki dobiegały strzały i okrzyki. Najwyraźniej wspomniana trójka wspięła się po schodach od strony rufy i teraz zajmowała się strażnikami.

Francuz podszedł do drzwi kajuty Jana. Nie było sensu prosić, aby mężczyzna wyszedł z podniesionymi rękami. Cokolwiek by mówić o byłym władcy Anglii i połowy Francji, z całą pewnością nie był on tchórzem.

Oczywiście nie można wykluczyć, że tego wieczoru nie ma go na pokładzie. Być może hula na lądzie, pijąc i uwodząc kobiety.

Cyrano stanął obok futryny i ostrożnie sięgnął do klamki. Drzwi były zamknięte. A więc kapitan *Reksa* jest u siebie, choć nikogo nie wpuszcza do kajuty.

- Co się dzieje? - zapytał ktoś w esperanto.

Francuz się uśmiechnął. Rozpoznał baryton króla Jana.

- Kapitanie, zostaliśmy zaatakowani! - krzyknął.

Chwilę odczekał. Może Jan nabierze się na tę sztuczkę i otworzy drzwi, biorąc go za członka swojej załogi.

Rozległ się huk i drzwi kajuty przebił pocisk, który z pewnością trafiłby de Bergeraca, gdyby ten nie stał w ukryciu. Nie był to plastikowy nabój, który rozbiłby się o dębowe drzwi, ale kulka z ołowiu, która zrobiła w nich dużą dziurę.

Cyrano przywołał gestem jednego ze swoich ludzi, a ten wyjął z małego pudełka kawałek plastiku. Francuz pozostał na swoim miejscu, podczas gdy jego kolega, Sheehan, kucnął przed drzwiami i zaczął umieszczać materiały wybuchowe wokół zamka i obok zawiasów.

Jan wystrzelił kolejny pocisk, tym razem mierząc niżej, i trafił Sheehana prosto w czoło. Mężczyzna upadł na plecy i znieruchomiał z szeroko otwartymi ustami.

- *Quel damage!* - krzyknął Cyrano.

Sheehan był dobrym człowiekiem. Szkoda, że jego mowa pogrzebowa ograniczyła się do stwierdzenia „Co za pech!”.

Z drugiej strony nie powinien był się tak lekkomyślnie ustawiać na linii ognia.

Cogswell podbiegł do trupa, zabrał kabel i baterię, po czym szybko się wycofał, rozwijając przewód. Na szczęście Sheehan zdążył umieścić zapalnik w plastiku, dzięki czemu podarował swoim towarzyszom kilka sekund, które w obecnej sytuacji mogły zadecydować o powodzeniu akcji.

Cyrano przywarł do grodzi, odwrócił głowę, zatkał uszy i otworzył usta.

Choć nie widział Cogswella, wyobrażał sobie, jak mężczyzna podłącza końcówkę kabla do jednego z zacisków baterii, po czym za pomocą drugiej końcówki zamyka obwód.

Wybuch wstrząsnął Francuzem i prawie pozbawił go słuchu. Chmury gryzącego dymu wypełniły korytarz. Kaszląc, Cyrano wymacał futrynę. Kątem oka zdołał dostrzec ciało Sheehana przygniecione wyrwanymi drzwiami, po czym wskoczył do pomieszczenia.

Przetoczył się po podłodze, choć nie ułatwiała mu tego pochwa ze szpadą przytroczona do pasa.

Zatrzymał się przy nogach łóżka, a bezpośrednio nad nim rozległ się krzyk kobiety. Gdzie jest Jan bez Ziemi?

Huknął strzał. Francuz zobaczył błysk ognia z lufy i rzucił się poprzez kłęby dymu w kierunku strzelca. Na osłep chwycił go w pasie i przewrócił na podłogę. Usłyszał stęknienie i otrzymał słaby cios w głowę, po czym poczuł, że ciało powalonego mężczyzny wiotczeje.

Cyrano wyszarpnął zza paska sztylet i przyłożył go do szyi przeciwnika.

- Jeśli się ruszysz, poderżnę ci gardło! - ostrzegł.

Nie było odpowiedzi. Albo mężczyznę sparaliżował strach, albo udawał omdlenie.

Drugą ręką Francuz dotknął jego ramienia, szyi, a w końcu głowy. Żadnej reakcji. Aha! Wymacał coś lepkiego. A więc Jan, jeśli to rzeczywiście on, uderzył się w głowę i stracił przytomność.

Cyrano wstał i po omacku znalazł włącznik światła. Z ciemności wyłonił się duży, luksusowo urządzony pokój. Dym już się rozwiewał, odsłaniając bardzo ładną i zupełnie nagą kobietę klęczącą na środku łóżka. Kobieta przestała krzyczeć i patrzyła na Francuza wielkimi niebieskimi oczami.

- Schowaj się pod nakrycie i nie wychodź, a nic ci się nie stanie, mademoiselle -

odezwał się Cyrano. - De Bergerac nie walczy z kobietami, chyba że te próbują go zabić.

Mężczyzna rozciągnięty na podłodze był niski i muskularny. Miał płowe włosy i niebieskie, szeroko otwarte oczy. Mamrotał coś pod nosem. Zapewne lada chwila w pełni odzyska świadomość.

Cyrano odwrócił się i zobaczył, do kogo strzelał Jan. Na ziemi leżał Hoijes z wielką dziurą w klatce piersiowej.

- *Mordioux!*

Biedak musiał wbiec do pomieszczenia zaraz za Francuzem i na tle światła wpadającego z korytarza stał się łatwym celem dla króla Jana. De Bergerac uniknął tego losu, bo zasłonił go gęsty dym.

Jak dotąd zginęło dwóch jego ludzi, a być może było więcej ofiar w innych częściach statku. Wszyscy pozostaną na pokładzie *Reksa*, gdyż dźwiganie ciał zbyt spowolniłoby ucieczkę.

Ale gdzie reszta? Czemu nie podążyli za nim?

Aha, nadchodzą Cogswell i Propp!

Nagle Cyrano został trafiony czymś twardym i odrzucony do tyłu. Odbił się plecami od ściany i runął na twarz. Dzwoniło mu w uszach, a jego głowa jakby się rozciągała i kurczyła, niczym akordeon. Do pomieszczenia wpadło jeszcze więcej dymu, gryząc mężczyznę w oczy i powodując u niego napad kaszlu.

Dopiero po dłuższej chwili dźwignął się na kolana, a następnie wstał. Zrozumiał, że w korytarzu wybuchła bomba. Czyżby zrzuciono ją z górnego pokładu?

Ktokolwiek to zrobił, zabił Cogswella i Proppa. Był także bliski uśmiercenia Saviniena de Cyrano de Bergeraca.

Jan klęczał, kołysząc się na boki i kaszląc. W zasięgu jego ręki leżał pistolet, ale Anglik najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

A jednak! Łobuz już sięgał po broń!

Nie mając pod ręką ani pistoletu, ani sztyletu, Cyrano dobył rapiera. Postąpił krok naprzód i uderzył Jana ostrzem w tył głowy jak kijem. Mężczyzna upadł na twarz i znieruchomiał.

Kobieta wciąż leżała na łóżku, zakrywając rękoma uszy i dygocząc.

Francuz ruszył przez gęsty dym, omal nie potykając się o ciało Proppa. Zatrzymał się przed drzwiami. Powoli wracał mu słuch, ale odgłosy strzałów dobiegające z korytarza nadal brzmiały bardzo cicho. Uklęknął i ostrożnie wyjrzał z pomieszczenia. Dym już się rozwiewał dzięki przeciągowi z otwartych drzwi na szczycie schodów. U ich podnóża leżało ciało

jednego ze strażników, być może tego, który rzucił bombę. Na końcu korytarza przykucnęło dwóch mężczyzn, ostrzeliwując się z za futryny. Byli to towarzysze de Bergeraca: Sturtevant i Velkas.

W tym momencie dwaj kolejni mężczyźni, cali czarni od dymu, zeszli po schodkach. Reagan i Singh. Widocznie oczyścili górny pokład sterówki i postanowili pomóc reszcie grupy. Ich wsparcie mogło się okazać bardzo cenne.

Cyrano wstał i przywołał ich gestem. Coś mu odpowiedzieli, ale nie dosłyszał. To musiała być naprawdę spora bomba. Z pewnością kompletnie zdemolowała korytarz.

Reagan i Singh weszli do kajuty i podnieśli bezwładne ciało Jana. Cyrano schował rapier do pochwy, przeładował broń i ruszył za nimi. Kobieta na łóżku nadal chowała twarz w materacu i zasłaniała uszy rękoma. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam.

Wychodząc z pomieszczenia, Cyrano zobaczył, że Sturtevant i Velkas zniknęli. Najwyraźniej wyeliminowali swoich przeciwników. Reagan i olbrzymi sikh ciągnący za sobą króla Jana już prawie dotarli do drzwi.

Nagle pojawił się Velkas i coś do nich krzyknął. Mężczyźni poszli dalej, a Velkas podbiegł do Cyrano.

Przyłożył usta do ucha Francuza i wykrzyczał najnowszą wiadomość. Część załogi *Reksa* dostała się do parowego karabinu maszynowego, ale można ich było ostrzelać z kajuty Jana.

Wbiegli do pomieszczenia i wyjrzeni przez okno. Po prawej stronie ujrzeli platformę rozciągającą się ponad krawędzią pokładu załogowego. Na platformie stał masywny karabin maszynowy, a za jego tarczą stało dwóch mężczyzn, którzy właśnie kierowali broń w stronę helikopter.

Po lewej stronie byli Sturtevant oraz dwójka ludzi niosących Jana. Oni także za chwilę mieli się znaleźć na linii ognia.

Cyrano otworzył duże, okrągłe okno, oparł pistolet na parapecie i wystrzelił. Po chwili to samo uczynił Velkas, jeszcze bardziej ogłuszając Francuza.

Wypalili ze wszystkich pistoletów. Z tej odległości nie mogło być mowy o precyzyjnym celowaniu. Pistolety „Mark IV” strzelały ołowianymi kulkami, ale ładunki konieczne do wyrzucenia z lufy pocisków o kalibrze 69 powodowały silny odrzut. Poza tym, trzeba było brać pod uwagę podmuchy wiatru.

Pierwsze dwa strzały chybiły. Jednakże po chwili jeden z mężczyzn obsługujących karabin upadł na pokład, a kilka sekund później ten sam los spotkał jego towarzysza. Zapewne nie zostali trafieni bezpośrednio, ale dostali rykoszetami. Nie miało to znaczenia,

liczył się efekt.

Sturtevant i Singh dotarli już do połowy pokładu. Śmigła helikoptera zaczęły się obracać, ale Cyrano ich nie słyszał. Nawet gdyby odzyskał słuch, to i tak wszystkie dźwięki utonęłyby w jęku syren.

Francuz przyciągnął do siebie Velkasa. Krzycząc mu do ucha, rozkazał, aby mężczyzna stanął za karabinem i odpierał ataki załogi. Wskazał palcem uzbrojonych strażników, którzy właśnie wyszli na pokład przez otwarty właz.

Velkas kiwnął głową i wybiegł z pomieszczenia.

Francuz ponownie wyjrzał przez okno. Nigdzie nie mógł dojrzeć grup wysłanych w celu wysadzenia silników statku i składu amunicji. Albo wciąż wykonywali swoje zadania, albo zostali osaczeni i próbowali przebić się z powrotem na zewnątrz.

Cyrano wbiegł po schodkach na górny poziom sterówki. Na podłodze leżało ciało jednego z jego ludzi oraz dwóch martwych strażników. Lampy oświetlały ich niebieskoszare twarze oraz szeroko otwarte oczy i usta.

De Bergerac wyłączył syreny alarmowe i wyjrzał przez przednią szybę. Nie zauważył nikogo żywego, tylko zwłoki leżące u podnóża schodów prowadzących na dół i kilka kolejnych ciał rozciągniętych na pokładzie w okolicy dziobu statku.

Bocznokołowiec unosił się na wodzie obok dobrze oświetlonej przystani, znacznie masywniejszej i dłuższej od tych zazwyczaj spotykanych w Dolinie Rzeki. Być może zbudowała ją załoga *Reksa*, by urządzić dłuższy postój. A może parostatek wymagał gruntownych napraw?

Mniejsza z tym. Najważniejsze, że napastnicy napotkali na pokładzie jedynie strażników i kilku oficerów, a Jan postanowił spędzić tę noc na statku.

Jednakże hałasy obudziły marynarzy przebywających na brzegu, którzy teraz wybiegali na równinę z chat i fortec otoczonych palisadami. W blasku świateł statku było widać ogromny tłum pędzący w stronę przystani. Wielu z biegnących mężczyzn trzymało w rękach metalową broń.

Co prawda plan nie zakładał odbicia od brzegu, ale widząc, że za chwilę statek zostanie opanowany przez przeważające siły wroga, Cyrano zaczął działać. Usiadł w fotelu sternika i wcisnął przycisk uruchamiający silniki. Uśmiechnął się, widząc, jak zapalają się światełka na pulpicie. Do tej chwili nie był pewien, czy silniki funkcjonują. W końcu Jan mógł się zabezpieczyć przed kradzieżą parostatku poprzez rozłączenie instalacji.

Francuz miał nadzieję, że jego ludziom jeszcze przez chwilę nie uda się wysadzić silników. W przeciwnym razie statek nigdzie nie popłynie, a oni mogą nie zdążyć wrócić do

śmigłowca.

Niestety, nie było czasu na odwiązanie lin cumowniczych, ale potężna moc silników powinna sobie z nimi poradzić.

Cyrano pociągnął za dwie długie, metalowe dźwignie zakończone gałkami, umiejscowione po obu stronach fotela i koła łopatkowe zaczęły się obracać do tyłu. Jednak poruszały się zbyt wolno, aby zerwać cumy. Francuz z całej siły szarpnął za dźwignie i koła przyspieszyły.

Grube liny szybko się napięły, ale zamiast pęknąć, spowodowały przechylenie się słupów cumowniczych stojących wzdłuż przystani.

Przez chwilę mocowanie słupów wytrzymało napięcie, a nadbiegający ludzie próbowali skakać na pokład statku. Na szczęście wkrótce olbrzymie pale oderwały się od przystani ze straszliwym trzaskiem, wybijającym się nawet ponad odgłosy toczonej walki.

Krawędź platformy cumowniczej gwałtownie się zachwiała, zrzucając większość znajdujących się na niej ludzi do wody. Tylko jednemu mężczyźnie udało się wskoczyć na pokład parostatku.

Rex powoli się wycofał, ciągnąc za sobą masywne, drewniane słupy. Cyrano wcisnął ze śmiechem jeden z guzików na tablicy sterowniczej i parowe gwizdki głośno zakpiły z ludzi pozostawionych na brzegu i w wodzie.

- Jak ci się to podoba, mości Janie! - zawołał Francuz. - Porwaliśmy nie tylko ciebie, ale cały statek! Sprawiedliwości stało się zadość!

Popchnął prawą dźwignię i bocznokołowiec ruszył z prądem. *De Bergerac* wypłynął na środek Rzeki i włączył automatyczną nawigację. Urządzenie na bieżąco określało za pośrednictwem sonarów głębokość oraz odległość od brzegów i utrzymywało kurs wiodący środkiem Rzeki, chyba że groziło to kolizją z jakimś dużym obiektem. W takim przypadku automat skręcał, aby ominąć przeszkodę.

Mężczyzna, który wskoczył na statek, przebiegł w poprzek pokładu i zniknął Francuzowi z oczu. Pół minuty później pojawił się na schodach prowadzących na wyższy poziom. Najwyraźniej zmierzał do sterówki.

Deszcz przestał padać.

Cyrano wychylił się z pomieszczenia i wypalił do marynarza biegnącego niższym pokładem. Mężczyzna schronił się pod okapem, ale po chwili wyjrzał z ukrycia i strzelił do Francuza. Pocisk trafił w schody w połowie ich wysokości.

De Bergerac wyjrzał przez tylne okno. Helikopter wciąż stał na pokładzie załogowym, a Jan i eskortująca go trójka znajdowali się w środku. W stronę teksasu biegła czwórka

mężczyzn. Cyrano wychylił się przez okno i gestem poinformował ich, że to on kieruje statkiem. Zatrzymali się i pomachali mu z uśmiechem, po czym zawrócili i ruszyli w stronę śmigłowca.

Kilku marynarzy wciąż strzelało do helikoptera przez otwarty właz na skraju pokładu, jednak przy silnym przeciwnym wietrze duże plastikowe pociski nie dolatywały do celu. Cyrano nie widział, ile osób ostrzeliwuje śmigłowiec, ale wydawało mu się, że nie może ich być więcej niż trzy lub cztery.

Oczywiście, inni strażnicy mogą się chować w kotłowni i tam walczyć z napastnikami.

Nagle statek zadrżał i spod pokładu buchnął gęsty dym.

Zaraz potem rozległa się kolejna, znacznie silniejsza eksplozja, tym razem po stronie sterburty. Wybuch wyrzucił w górę kawałki pokładu załogowego. Niektóre spadły w pobliżu helikoptera. Dym szybko się rozwiął, odsłaniając olbrzymią dziurę tuż obok prawego koła łopatkowego.

Światła zgasły, po czym ponownie się zapaliły, gdy włączył się system awaryjny. Kiedy stanęły silniki, statek zaczął się powoli obracać w prawo, dryfując ku brzegowi. Jednak kolizja powinna nastąpić dopiero po kilku kilometrach.

Sturtevant wysiadł ze śmigłowca i pomachał do Bergeraca, dopingując go do pośpiechu.

Po prawej stronie pokładu załogowego pojawiło się czterech mężczyzn. Dwóch kolejnych wyszło na powierzchnię od strony bakburty.

Cyrano zaklął. Czy to jedyni pirotechnicy, którzy ocaleli?

Wtem niewielkie smużki dymu uniosły się z otwartego włazu, z którego marynarze wcześniej ostrzeliwali helikopter. Jeden z mężczyzn zmierzających w stronę maszyny upadł. Pozostali zaczęli osłaniać swoich towarzyszy ogniem, a dwóch mężczyzn chwyciło rannego i zaczęło go ciągnąć do helikoptera. Po chwili jeden z nich runął na pokład. Dźwignęła go kolejna dwójka kolegów. Inny mężczyzna zarzucił sobie na plecy pierwszego rannego i z trudem poniosł go do maszyny.

Cyrano pobiegł na drugą stronę sterówki i przez okno zobaczył, jak człowiek, który wskoczył na statek, biegnie w poprzek pokładu. Drań pozbył się pustego pistoletu i teraz w prawej dłoni trzymał szpadę.

Francuz zauważył jakiś ruch u podnóża schodów prowadzących na niższy poziom. Jeden z jego towarzyszy, którego wziął za martwego, żył i wołał o pomoc. Zapewne zobaczył w oknie twarz swojego dowódcy.

Cyrano nie wahał się ani chwili. Kazano im zostawić zabitych, ale nic nie wspomniano

o porzucaniu rannych. A nawet gdyby tak się stało, to Francuz zlekceważyłby podobny rozkaz. Helikopter wydawał się bezpieczny. Kilku pozostałych strażników nie mogło wyjść z ukrycia bez wystawienia się na ogień załogi śmigłowca. Oczywiście mogli poszukać innej drogi, ale do tego czasu Cyrano zanieś rannego biedaka do maszyny. Jak najszybciej zbiegł po schodach, przeskakując po kilka stopni i ześlizgując się dłońmi po poręczach. Tsoukas zdołał się dźwignąć na kolana. Zwiesił głowę i nią potrząsał.

- Nie martw się, przyjacielu, jestem tutaj - odezwał się de Bergerac, klękając przy mężczyźnie.

Tsoukas jęknął i upadł na twarz w kałużę krwi.

- *Mordioux!*

Cyrano sprawdził puls towarzysza.

- *Merde!*

Tsoukas umarł.

Ale może przeżyła pozostała dwójka rannych?

Nadzieje okazały się płonne.

Francuz wstał i szybko się odwrócił, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu. Nadbiegał mężczyzna, który wskoczył na pokład z przystani, odważny człowiek i niezwykle uciążliwy przeciwnik. Czemu nie mógł wpaść do wody jak wszyscy? Zaoszczędziłby de Bergeracowi kłopotu, a sam uniknąłby pewnej śmierci.

- *Ajii!*

Lufa pistoletu była pusta, zapomniał go naładować. Nie miał czasu, by podnieść broń palną upuszczoną przez martwego kompana. W ostatniej chwili zdołał wydobyć rapier z pochwy i odeprzeć atak śmiałka.

Boynton nie zdążyłby tego zrobić. Podobna szarża wystarczyłaby, żeby go zabić.

- *En garde!*

Mężczyzna był trochę niższy od Francuza, ale podczas gdy Cyrano sylwetką przypominał rapier, napastnika można było porównać do trzonka bojowego topora. Miał szerokie ramiona, obszerną klatkę piersiową i grube ręce, a także ciemną, arabską twarz o imponującej urodzie, choć odrobinę zbyt mięsistych ustach. Błyszczące czarne oczy i śnieżnobiałe zęby wyszczerzone w uśmiechu upodabniały go do pirata. Miał na sobie tylko ręcznik owinięty wokół bioder.

Z takimi nadgarstkami zapewne świetnie posługuje się szablą, pomyślał Cyrano. Oczywiście, jeśli jego umiejętności dorównują warunkom fizycznym.

Tyle że w walce rapierem liczy się szybkość, a nie siła.

Już po kilku sekundach Francuz wiedział, że jeszcze nigdy nie walczył z tak wymagającym przeciwnikiem.

Wszystkie jego ataki, zasłony, natarcia, odwroty i pchnięcia spotykały się z równie sprawną odpowiedzią. Na szczęście wróg nie przewyższał Cyrano szybkością. Gdyby tak było, bez trudu przebiłby Francuza na wylot.

Mężczyzna z pewnością również zdawał sobie sprawę, że walczy z prawdziwym mistrzem, ale mimo to uśmiech nie zniknął z jego twarzy, choć w głębi duszy musiał wiedzieć, że nawet najmniejszy błąd będzie go kosztował życie.

Czas działał na korzyść ciemnoskórego. Nigdzie się nie spieszył i mógł myśleć tylko o walce, podczas gdy Cyrano musiał się wkrótce znaleźć w helikopterze. Boynton bez wątplenia wie, że de Bergerac żyje, gdyż Sturtevant widział swojego dowódcę w sterówce. Prawdopodobnie już się zastanawia, co go zatrzymało.

Czy poczeka jeszcze kilka minut, a potem uzna Francuza za martwego i odleci? A może wyśle kogoś na zwiady?

Nie było czasu o tym myśleć. Przeciwnik kontrował każdy ruch Cyrano z równą wprawą, z jaką de Bergerac odpowiadał na jego ataki. Walczący znaleźli się w sytuacji patowej. Ostrza ich rapierów poruszały się coraz rytmiczniej.

Aha! Mężczyzna też to zauważył i zmienił rytm, mając nadzieję, że jego przeciwnik wpadnie w pułapkę powtarzalności ruchów. Ale nie docenił Cyrano. Francuz dostosował się w ułamku sekundy, co uchroniło go przed poważnym zranieniem. Czubek rapiera tylko lekko drasnął go w ramię.

Wycofując się, de Bergerac zadał cios, który co prawda został sparowany, ale dość niedokładnie i na rękę ciemnoskórego szermierza również pojawiła się niewielka rana.

- Przypadł ci zaszczyt pierwszej krwi - odezwał się Cyrano w esperanto. - A musisz wiedzieć, że nikomu przed tobą się to nie udało.

Tracenie oddechu na rozmowę nie było najmądrzejszym posunięciem, ale de Bergeraca zżerała ciekawość.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Mężczyzna nie odpowiedział. W jego imieniu przemawiało ostrze rapiera, szybsze od języka przekupki.

- Być może o mnie słyszałeś. Jestem Savinien de Cyrano de Bergerac!

Mężczyzna tylko się uśmiechnął i jeszcze gwałtowniej natarł na Francuza. Jak widać słynne nazwisko nie zrobiło na nim wrażenia i nie miał zamiaru tracić sił na pogaduszki. Oczywiście istniała niewielka możliwość, że nigdy nie słyszał o de Bergeracu.

Ktoś krzyknął. Być może hałas rozproszył mężczyznę, a może wreszcie dotarło do niego, z kim krzyżuje broń, w każdym razie na chwilę stracił pewność reakcji. Robiąc użytek z pchnięcia wymyślonego przez Jarnaca, Cyrano wbił rapier w udo przeciwnika.

Jednak równocześnie sam otrzymał cios w prawe ramię i upuścił broń na pokład.

Ciemnoskóry mężczyzna upadł, ale próbował dźwignąć się na jedno kolano, by dalej się bronić. Obficie broczył krwią z rany na nodze.

Cyrano usłyszał za plecami stukot stóp. Obejrzał się i ujrzał Sturtevant'a i Cabell'a z pistoletami w dłoniach.

- Nie zabijajcie go! - krzyknął do swoich towarzyszy, a ci się zatrzymali, mierząc do klęczącego mężczyzny.

Francuz podniósł rapier lewą ręką. Prawe ramię potwornie go bolało, a krew płynęła z niego niczym wino ze świeżo odbitej beczki.

- Ten pojedynek mógł się skończyć inaczej, gdyby nam nie przerwano - rzekł do przeciwnika.

Ten zapewne bardzo cierpiał z bólu, ale tego nie okazywał. Jego czarne oczy płonęły niczym oczy samego Szatana.

- Rzuć broń, a opatrzę ci ranę - odezwał się de Bergerac.

- Idź do diabła!

- Jak wolisz. Życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia.

- Pospiesz się, Cyrano - popędził go Cabell.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Francuz usłyszał strzały. Dobiegały z lewej strony pokładu, co oznaczało, że strażnikom udało się znaleźć inne przejście i zbliżyć do helikoptera.

- Śmigłowiec kilka razy oberwał - relacjonował Cabell. - Żeby się do niego dostać, będziemy musieli przebiec pod ostrzałem.

- Rozumiem - odparł Cyrano i wskazał na krótkofalówkę przytroczoną do paska Sturtevant'a. - Przyjacielu, czemu nie przywołasz tutaj Boyntona? Wtedy bezpiecznie wejdziemy na pokład.

- No tak - odrzekł Sturtevant. - Dlaczego na to nie wpadłem?

Cabell owinął ranę na ramieniu dowódcy ręcznikiem zerwanym z jednego z ciał. Ciemnoskóry mężczyzna pobałdł, a jego oczy straciły blask. Gdy helikopter wylądował obok nich, Cyrano podszedł do swojego przeciwnika i wytrącił mu rapier z ręki. Nie spotkał się z żadną reakcją, ani protestem, gdy obwiązywał ręcznikiem ranę na udzie mężczyzny.

- Twoi towarzysze na pewno zajmą się tobą, gdy tylko się tu zjawią - powiedział.

Pobiegł do maszyny i wspiął się do środka. Zanim zdążył zamknąć drzwi, Boynton

błyskawicznie wystartował i ruszył w górę Rzeki. Nagi i nieprzytomny Jan leżał na siedzeniu w drugim rzędzie.

- Ubierzcie go, a potem zwiążcie mu ręce i nogi - rozkazał Cyrano.

Spojrzał w dół na *Reksa*. Na pokładzie załogowym znajdowało się około dwudziestu marynarzy. Skąd się ich tyłu wzięło? Strzelali do helikoptera, a lufy ich pistoletów błyskały niczym oszalałe świetliki. Nie mieli jednak najmniejszych szans trafić do celu. Poza tym, czy nie wiedzieli, że ich kapitan znajduje się na pokładzie? Widocznie nie.

Coś uderzyło go w tył głowy. Znalazł się w ciemnej szarości, w oddali słysząc głosy mówiące bardzo dziwne rzeczy. Przed sobą widział brzydką twarz swojego nauczyciela z dzieciństwa, a zarazem wiejskiego lekarza i księdza, który miał zwyczaj bić swoich uczniów kijem po głowie i całym ciele. W wieku dwunastu lat zdesperowany i oszalały z wściekłości Cyrano zaatakował mężczyznę, przewrócił go na ziemię, skopał i pobił własnym kijem.

Powoli wizja małych rysów belfra się rozplynęła i Francuz zaczął odzyskiwać przytomność. Usłyszał wrzask Boyntona.

- Nie do wiary! Uciekł!

- Walnął mnie łokciem w żebra i kopnął Cyrano w głowę - opowiadał Cabell.

Śmigłowiec się przechylił, tak że de Bergerac mógł wyjrzeć przez otwarte drzwi. Reflektor parostatku na chwilę oświetlił spadającą nagą postać króla. Jan młócił rękami, próbując się utrzymać w pionie. Potem zniknął w ciemności.

- Niemożliwe, żeby przeżył! - stwierdził Boynton. - To co najmniej trzydzieści metrów!

Niestety, nie mogli wrócić, aby się upewnić. Marynarze wciąż strzelali, a kilku z nich biegło w stronę wyrzutni rakiet. Pociski wystrzelone z pistoletów nie mogły osiągnąć helikoptera, ale rakietom kierowanym za pomocą termolokacji nie sposób uciec, jeśli nie jest się odpowiednio daleko.

Jednak Boynton nie dawał się łatwo wystraszyć, a ucieczka jeńca wprawiła go we wściekłość.

Zamiast odlecieć, ruszył w kierunku statku. Zbliżył się na mniej więcej dziewięćdziesiąt metrów i odpalił cztery rakietki niesione przez śmigłowiec.

Wyrzutnia pocisków na pokładzie *Reksa* zamieniła się w kulę ognia i dymu, a ciała marynarzy oraz kawałki drewna i metalu pofrunęły we wszystkie strony.

- To ich powstrzyma! - rzekł Boynton.

- A może ich jeszcze podziurawimy? - zaproponował Sturtevant.

- Co? - zdziwił się Cyrano. - Aha, chcesz użyć karabinu maszynowego? Nie, lepiej już

się stąd zbierajmy. Jeśli ktoś przeżył, to może się dostać do drugiej wyrzutni rakiet i będzie po nas. Nasza misja się nie powiodła i straciliśmy zbyt wielu towarzyszy. Nie ma sensu ryzykować dalszych strat.

- Dlaczego się nie powiodła? - sprzeciwił się Boynton. - Owszem, nie udało nam się zatrzymać Jana, ale przecież zginął. A parostatek jeszcze długo nie będzie się nadawał do użytku.

- Sądzisz, że Jan nie żyje? - spytał Cyrano. - Chciałbym mieć twoją pewność. Ale nie uwierzę, dopóki nie zobaczę jego martwego ciała.

Pojękując z bólu, członkowie załogi *Parsevala* pospiesznie sprawdzali swoje obrażenia. Trzy osoby odczuwały tak silny ból żeber, że podejrzewały pęknięcie lub złamanie. Frigate czuł, że naderwał lub poważnie naciągnął mięśnie szyi. Tex i Frisco mieli krwotok z nosa, a ten drugi skarżył się także na ból kolana. Pogaas obtarł skórę z czoła, które teraz silnie krwawiło. Tylko Nur wyszedł z wypadku bez szwanku.

Nie mieli jednak czasu, żeby martwić się o siebie. Balon zaczął się wznosić i oddalać od górskiego zbocza. Chmury burzowe uciekały równie szybko jak włamywacze, którzy usłyszeli policyjne syreny. Na szczęście wciąż działało oświetlenie i Frisco widział wskaźniki na tablicy sterowniczej. Nur przyniósł latarkę i wspólnie z Frisco posmarował rzadkim płynem łączenia rur. Maur przyjrzał się im przez lupę i stwierdził, że nie widzi żadnych pęcherzyków gazu. Najwyraźniej wodór nie ulatniał się z instalacji.

Nur otworzył górny właz, po czym razem z Pogaasem wy dostał się na zewnątrz gondoli. Swazi przyświecał Nurowi latarką, a ten wspiął się na liny sprawnie niczym małpa. Co prawda nie mógł się dostać do zamknięcia powłoki, by nałożyć płyn, ale przekazał, że wygląda na to, że rury tkwią w niej szczelnie.

Frisco przyjął tę wiadomość ze sceptycyzmem.

- Owszem, wszystko chyba jest w porządku, ale upewnimy się dopiero, kiedy wylądujemy i spuścimy gaz z balonu - odparł.

- Dopóki mamy odpowiednią siłę nośną, utrzymamy się w powietrzu - odrzekł Frigate.

- Sądzę, że nie powinniśmy lądować, zanim nie napotkamy polarnych wiatrów. Jeśli właściwie obliczyliśmy czas podróży, powinno to nastąpić już jutro. Jeżeli posadzimy balon, to możemy go stracić. Po pierwsze, nie wiemy, jak na niego zareagują tubylcy. Na początkach baloniarstwa na Ziemi wiele aerostatów zostało zniszczonych przez zacofanych i przesądnych wieśniaków, którzy brali je za dzieło Szatana lub pojazdy złych czarowników. Tutaj też możemy spotkać takich ludzi.

Frigate przyznał, że bardzo niepokoi go brak balastu. Oczywiście, w razie potrzeby mogli odłączyć i wyrzucić chemiczną toaletę, choć taki manewr wymagał nieco czasu.

Juliusz Verne wznosił się ponad Dolinę, a wiatr zaczął go pchać na północny wschód. Po godzinie podmuchy osłabły, ale balon nadal leciał we właściwym kierunku, powoli

zwiększając pułap. Frigate zasiadł za sterami, gdy znajdowali się na wysokości czterech tysięcy ośmiuset siedemdziesięciu siedmiu metrów, czyli ponad szesnastu tysięcy stóp. Aby powstrzymać dalsze wznoszenie, stopniowo uwalniał niewielkie porcje wodoru. Gdy aerostat zaczął opadać, mężczyzna włączył palnik. Od tej pory pilot musiał utrzymywać stałą wysokość około dwóch tysięcy metrów, tracąc przy tym jak najmniej gazu i jak najrzadziej używając palnika.

Peterowi bardzo dokuczały boląca szyja i ramię. Z utęsknieniem czekał na koniec dyżuru, by wyciągnąć się na koi pod ręcznikami. Łyk alkoholu także mu nie zaszkodzi, a być może uśmierzy ból.

Jak dotąd cała podróż upłynęła pod znakiem ciężkiej i pospiesznej pracy, stresujących niebezpieczeństw oraz straszliwej nudy. Frigate nie mógł się doczekać ostatecznego lądowania. Wtedy ich trudne doświadczenia zaczęły nabierać znamion fascynującej przygody, a z czasem będą wspomniane z nutką nostalgii. Załoga zacznie opowiadać barwne historie, wyolbrzymiając i tak niemałe niebezpieczeństwa, z którymi się zmagają.

Wyobraźnia potrafi wspaniale wygładzać wspomnienia.

Wszyscy członkowie załogi spali. Stojąc w ciemności rozpraszanej jedynie światłem gwiazd i wskaźników na pulpicie, Frigate czuł się samotny. Jednak nad tym uczuciem górowała duma. Dzięki *Juliuszowi Verne'owi* pobili rekord długości lotu balonem bez lądowania. Od chwili startu przelecieli już cztery tysiące osiemset dwadzieścia cztery kilometry, czyli około trzy tysiące mil, a wszystko wskazywało na to, że pokonają jeszcze solidny kawałek drogi, zanim zostaną zmuszeni do przerwania podróży

Dokonała tego piątka amatorów. Oprócz Frigate'a żaden z członków załogi nigdy nie leciał aerostatem. Peter co prawda wylatał czterdzieści godzin na pokładzie balonu napelnionego ciepłym powietrzem i trzydzieści na pokładzie balonu wypełnionego gazem, ale to także nie czyniło go doświadczonym aeronautą. Obecna podróż trwała dłużej niż wszystkie jego loty na Ziemi.

Taka wyprawa na ojczystej planecie przeszłaby do historii. Ich twarze zagościłyby na ekranach telewizorów na całym świecie. Staliby się honorowymi gośćmi na przyjęciach i bankietach. Napisałiby książki, na podstawie których powstałyby filmy, a ich konta spuchłyby od tantiem.

W tym świecie tylko nieliczni usłyszą o ich wyczynie, a spora część w niego nie uwierzy. Jeśli załoga zginie, dowie się o tym najwyżej kilka osób.

Peter wyjrzał przez okno. Świat składał się z jasnych gwiazd i mrocznych cieni, a doliny przypominały węże pełzające w równym szeregu. Zarówno pośród gwiazd, jak i pośród

dolin panowała całkowita cisza. Świat Rzeki milczał jak trup.

Cóż za ponure porównanie.

Świat był cichy jak skrzydła motyla. Frigate przypomniał sobie swoje dzieciństwo i letnie wakacje: różnokolorowe kwiaty rosnące za domem, zwłaszcza słoneczniki, ach, wysokie, żółte słoneczniki, śpiew ptaków, wspaniały aromat potraw gotowanych przez matkę, pieczeni wołowej, ciasta z wiśniami... dźwięki pianina, na którym grał ojciec...

Przypomniał sobie jedną z ulubionych piosenek ojca, którą on sam też wyjątkowo lubił. Często ją śpiewał podczas nocnej wachty na szkunerze. Stawał mu wtedy przed oczami odległy blask przypominający gwiazdę, który prowadził go do nieznanego, ale bardzo pożądanego celu.

Świeć, świetliku, moja iskierko,

Świeć, świetliku, moja iskierko.

Prowadź nas, prowadź, gdy droga daleka.

Do miejsca, w którym miłość na nas czeka.

Świeć, świetliku, moja iskierko,

Świeć, świetliku, moja iskierko.

Rozjaśnij dróżkę, dróżkę pod stopami.

Byśmy do miłości trafili sami.

Nagle Frigate się rozplakał, myśląc o wszystkich dobrych rzeczach, które przeminęły lub nigdy nie nadeszły, oraz o złych rzeczach, które nie powinny się były wydarzyć.

Otarł łzy i po raz ostatni sprawdził wskazania przyrządów, po czym obudził Nura. Wpełzł pod ręczniki, ale ból nie pozwalał mu usnąć. Po pewnym czasie zrezygnował z beznadziejnej walki i wstał, by porozmawiać z Maurem. Mężczyźni kontynuowali rozmowę, którą prowadzili dniem i nocą już od wielu lat.

- Pod wieloma względami nauczanie Kościoła Jeszcze Jednej Szansy jest zgodne z przekonaniem sufich - stwierdził Nur. - Chociaż Szansowcy używają trochę innej terminologii, przez co może się wydawać, że odnoszą się do innych kwestii. Ostateczny cel Szansowców i sufich pozostaje taki sam. I jedni, i drudzy uważają, że świadomość człowieka musi zostać wchłonięta przez świadomość uniwersalną, czyli Allaha, Boga, Stwórcę, Rei, czy jakkolwiek inaczej ją nazwiemy.

- Czy to oznacza unicestwienie indywidualności? - spytał Frigate.

- Nie, tylko jej wchłonięcie - odparł Maur. - Unicestwienie oznacza zniszczenie. Poprzez wchłonięcie dusza, *ka*, czy też Brahman staje się częścią większej całości.

- Ale czy nie jest to równoznaczne z utratą indywidualności? - drążył Peter. - W końcu osoba nie jest już świadoma siebie.

- Owszem, ale staje się częścią Wielkiej Świadomości - odrzekł Nur. - Czymże jest utrata indywidualności w porównaniu z udziałem w świadomości Boga?

- Szczerze powiedziawszy, trochę mnie to przeraża - odrzekł Peter. - Równie dobrze można być martwym. Przecież kiedy człowiek traci świadomość, umiera. Nie potrafię zrozumieć, czemu Szansowcy, buddyści, hinduiści czy sufi tego pragną.

- Bez świadomości osoba rzeczywiście jest martwa - zgodził się Maur. - Ale gdybyś doświadczył ekstazy, jakiej sufi doznają na jednym z etapów rozwoju, zwanym odchodzeniem, to byś zrozumiał. Czy człowiek ślepy od urodzenia może zaznać radości, jaką czują ludzie patrzący na wspaniałą zachód słońca?

- Pewnie masz rację - stwierdził Peter. - Mnie także zdarzyło się doświadczyć mistycznych przeżyć. I to aż trzykrotnie. Za pierwszym razem miałem dwadzieścia sześć lat i pracowałem w stalowni. Codziennie obserwowałem, jak dźwigi opróżniają formy, do których wlewano roztopioną stal. Potem stygnące wlewki ponownie podgrzewano w piecach i przekazywano do walcowni. Wyobrażałem sobie, że patrzę na dusze oczyszczane w płomieniach czyścica. Na chwilę zanurzano je w ogniu, a następnie przenoszono do miejsca, w którym nadawano im kształt odpowiedni do przebywania w niebie. Olbrzymie walce ścisnęły stal, przesuwając wszystkie nieczystości ku brzegom, które następnie odcinano, aby dusze stały się nieskazitelne. Jednak nie ma to zbyt wiele wspólnego z tematem naszej rozmowy. A

może się myłę? Tak czy inaczej, pewnego dnia odpoczywałem przed wielkimi otwartymi drzwiami stalowni i z daleka patrzyłem na ogień paleniska. Nie pamiętam, o czym wtedy myślałem. Prawdopodobnie o tym, jaki jestem zmęczony ciężką pracą w nieznośnym gorącu za psie pieniądze. Pewnie zastanawiałem się także, czy kiedykolwiek zostanę sławnym pisarzem. Jak dotąd wszystkie moje opowiadania zostały odrzucone, choć dostałem kilka zachęcających listów od wydawców, między innymi od Whita Burnetta, redaktora naczelnego prestiżowego, choć kiepsko płażącego magazynu *Story*, który dwukrotnie prawie kupił moje teksty, ale ostatecznie został od tego odwiedziony przez żonę. A więc stałem i oglądałem otaczającą mnie brzydotę, niezbyt podatny na przyjemne myśli, a już na pewno nie na mistyczne przeżycia. Czułem się bardzo przygnębiony, a mój paskudny nastrój pogłębiał widok torów przecinających podwórze, szarego pyłu przykrywającego błoto i wszystko dookoła, olbrzymiego, szkaradnego budynku z blachy, w którym znajdowały się piece, oraz śmierdzącego dymu zwiewanego do samej ziemi. I wtem, w niewytłumaczalny sposób, wszystko się zmieniło. W jednej chwili. Nie chodzi mi o to, że moje otoczenie stało się piękne. Było równie odrażające jak zawsze. Jednak nagle poczułem, że każdy element we wszechświecie znajduje się na właściwym miejscu i że wszystko będzie dobrze. Mój punkt widzenia uległ lekkiej ale istotnej zmianie. Zobaczyłem, że wszechświat składa się z nieskończonej liczby szklanych cegiełek, które co prawda pozostają prawie niewidzialne, ale nie do końca, a ja jestem w stanie dostrzec ich krawędzie. Wcześniej cegielki wydawały się ułożone nierówno, jakby Bóg był pijanym murarzem, ale nagle się poruszyły i dopasowały do siebie nawzajem. Powrócił porządek. Boski porządek i piękno. Kosmiczna konstrukcja już nie miała krzywych ścian i nie groziło jej odrzucenie przez kosmicznych inspektorów budowlanych. Poczułem przypływ niesamowitego entuzjazmu. Przez chwilę ujrzałem najgłębszą strukturę świata, znajdującą się pod warstwą gipsu, który rozmazano na powierzchni, aby wywołać wrażenie gładkości. Wiedziałem, *wiedziałem*, że wszystko we wszechświecie znajduje się na właściwym miejscu, oraz że ja sam pasuję do tego obrazu. Uświadomiłem sobie, że jestem żywą istotą, ale jednocześnie jedną z cegiełek ułożonych właśnie tam, gdzie trzeba. A raczej, nagle zdałem sobie sprawę, że zawsze tak było. Do tej chwili wydawało mi się, że nie pasuję do świata i jego pozostałych elementów. Jakże mógłbym pasować, skoro cegielki zostały nierówno ułożone? Na tym polegał mój błąd. Wszystko było na swoim miejscu, tylko moja skrzywiona perspektywa nie pozwalała mi tego dostrzec.

- Jak długo trwał ten stan? - spytał Nur.

- Kilka sekund - odpowiedział Frigate. - Ale nawet kiedy minął, dalej czułem się

szczęśliwy. Choć już następnego dnia efekt tego... objawienia... minął, mimo że potrafiłem je sobie dokładnie przypomnieć. Zacząłem żyć jak dawniej. Wszechświat znów stał się konstrukcją wzniesioną przez pijanego budowniczego. A może raczej przez złośliwego oszusta. Jednak później także pojawiło się kilka chwil...

- Kolejnych podobnych doświadczeń?

- Drugie z nich w zasadzie nie powinno się liczyć, gdyż byłem wtedy pod wpływem marihuany - odrzekł Peter. - Wypaliłem w życiu może z tuzin skrętów, wszystkie w ciągu jednego roku, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego, jeszcze zanim młodsze pokolenie wciągnęło się w narkotyki. W tamtych czasach marihuanę i haszysz palono właściwie tylko w środowiskach artystów w dużych miastach oraz w gettach zamieszkałych przez czarnych i Meksykanów. To konkretnie wydarzyło się w Peorii w stanie Illinois. Razem z żoną spotkaliśmy pewną parę z Nowego Jorku, ludzi w typie Greenwich Village... później wyjaśnię, co to znaczy... i oni namówili nas na spróbowanie marihuany. Czułem się bardzo niepewnie i w myślach już widziałem brygadę antynarkotykową wpadającą do naszego domu, aresztującą nas i posyłającą do więzienia. Bałem się kompromitacji i tego, co się stanie z naszymi dziećmi. Jednak alkohol pozbawił mnie zahamowań i wypaliłem skręta. Początkowo miałem trudności z wciąganiem dymu i utrzymywaniem go w płucach, gdyż nigdy w moim trzydziestosiedmioletnim życiu nie paliłem papierosów. W końcu mi się udało, ale nic szczególnego nie poczułem. Później tego wieczoru znalazłem resztkę mojego skręta i go dopaliłem. I wtedy poczułem, że wszechświat składa się z kryształów rozpuszczonych w nasyconym roztworze. Nagle wszystkie te kryształy się wytrąciły, nabrały pięknych kolorów i ustawiły niczym anioły na paradzie. Jednak tym razem doświadczeniu nie towarzyszyło poczucie, że wszystko jest na swoim miejscu, a ja idealnie pasuję do reszty wszechświata.

- A trzeci raz? - spytał Maur.

- Miałem wtedy pięćdziesiąt siedem lat i jako jedyny pasażer leciałem balonem nad polami kukurydzy w mieście Eureka w Illinois. Pilot właśnie wyłączył palnik, więc nic nie zakłócało ciszy, poza stadem bażantów, które wystraszyliśmy. Zachodziło słońce i jaskrawe letnie światło ustępowało miejsca szarości. Unosiłem się w powietrzu niczym na latającym dywanie, popychany przez niewyczuwalny wiaterek. W gondoli balonu można zapalić zapalkę nawet podczas silnego wiatru, a płomień pozostanie równie nieruchomy jak w zamkniętym pomieszczeniu. I wtedy nagle, bez żadnego ostrzeżenia, poczułem się tak, jakby słońce ponownie wychyliło się zza horyzontu. Świat zalało jasne światło, tak że wydawało mi się, że będę musiał mrużyć oczy, by cokolwiek zobaczyć. Było jednak inaczej. Światło pochodziło z mojego wnętrza. To ja byłem płomieniem, a wszechświat przyjmował mój blask

i ciepło. Po sekundzie, może kilku, światło znikło. Nie stopniowo, ale nagle. Ale przez tę sekundę czułem, że niezależnie od tego, co się stanie ze mną, z kimkolwiek innym, z całym wszechświatem, wszystko będzie w porządku. Pilot niczego nie zauważył, najwyraźniej nie okazywałem emocji. To był ostatni raz, kiedy przeżyłem podobne doświadczenie.

- Najwyraźniej te mistyczne doznania nie wpłynęły na twoje zachowanie i poglądy? - odezwał się Nur.

- Pytasz, czy stałem się dzięki nim lepszym człowiekiem? Nie.

- Doznania, które opisałeś, przypominają to, co my nazywamy *tajalli* - wyjaśnił Maur.
- Twoje *tajalli* były fałszywe, bo nie zaowocowały trwałą zmianą i rozwojem w ramach właściwej ścieżki. Istnieje kilka rodzajów nieprawdziwych *tajalli*. Ty doświadczyłeś jednego z nich.

- Czy to oznacza, że nie jestem w stanie doświadczyć prawdziwej odmiany tego przeżycia? - spytał Peter.

- Nie. Poczuleś jego namiastkę.

Na chwilę zamilkli. Frisco, schowany pod stertą ręczników, mamrotał coś przez sen.

- Nur, od jakiegoś czasu zastanawiam się, czy nie przyjąłbyś mnie na ucznia? - niespodziewanie rzekł Frigate.

- Czemu wcześniej mnie o to nie spytałeś?

- Bałem się odrzucenia.

Znów zapadła cisza. Nur sprawdził wskazania wysokościomierza i na chwilę włączył dopływ gazu. Pogaas odrzucił nakrycie i wstał z posłania. Zapalił papierosa, a za sprawą blasku zapalniczki na jego twarzy pojawiły się dziwne cienie, upodabniające ją do głowy świętego sokoła wyrzeźbionej z czarnego diorytu przez starożytnych Egipcjan.

- I co? - spytał Frigate.

- Zawsze uważałeś się za poszukiwacza prawdy, czyż nie? - odrzekł Nur.

- Za niezbyt systematycznego poszukiwacza - odparł Peter. - Zbyt dużo czasu spędziłem, dryfując bez celu jak balon. Przez większość życia akceptowałem wszystko takim, jakie jest lub się wydaje. Kilkakrotnie próbowałem badać, a nawet praktykować różne filozofie i religie, ale mój entuzjazm zawsze słabł i dawałem sobie spokój. Rzadko odżywało we mnie zainteresowanie czymś, co porzuciłem, i ponownie ruszałem do dawnego celu, ale zazwyczaj dawałem się unosić wiatrom lenistwa i obojętności.

- Łatwo osiągasz dystans do świata?

- Zawsze próbowałem zachowywać obiektywne spojrzenie, nawet gdy rozpałały mnie emocje - odpowiedział Peter.

- Aby osiągnąć prawdziwy dystans, musisz wyzwolić zarówno swój intelekt, jak i uczucia - odrzekł Nur. - To oczywiste, że choć szcycisz się brakiem uprzedzeń, to nie jesteś od nich wolny. Gdybym przyjął cię na ucznia, musiałbyś całkowicie poddać się mojej kontroli oraz bez wahania i z entuzjazmem wykonywać wszystkie moje polecenia. - Nur na chwilę zamilkł. - Czy gdybym ci teraz kazał wyskoczyć z gondoli, uczyniłbyś to? - spytał.

- Pewnie, że nie!

- Ja także - zgodził się Maur. - Ale co, jeśli poproszę cię o zrobienie czegoś, co jest intelektualnym odpowiednikiem tej czynności? Czegoś, co będziesz postrzegał jako intelektualne bądź emocjonalne samobójstwo?

- Nie będę wiedział, dopóki nie wydasz mi takiego polecenia - odpowiedział Frigate.

- Nie zrobiłbym tego, jeśli nie byłbym pewien, że jesteś na to gotowy - rzekł Nur. - Zakładając, że taki moment kiedykolwiek nadejdzie.

Pogaas od dłuższego czasu wyglądał przez okno. Wtem wydał z siebie głośny pomruk.

- Tam jest jakieś światło! - zawołał. - Porusza się!

Frigate i el-Musafir do niego dołączyli. Także Tex i Frisco, obudzeni przez podekscytowane głosy towarzyszy, wstali i wyjrzeni przez okno, mrużąc zaspane oczy.

Na tle obłoku gwiazdnego gazu zobaczyli długi kształt lecący na podobnej wysokości co ich balon.

- To sterowiec! - wykrzyknął Frigate.

Ze wszystkich rzeczy, jakich doświadczyli w Świecie Rzeki, ten widok był najdziwniejszy i najbardziej nieoczekiwany.

- Ma światła na dziobie - odezwał się Rider.

- Nie może pochodzić z Nowej Bohemy - stwierdził Frigate.

- W takim razie istnieje inne miejsce, w którym znaleziono metale - rzekł Nur.

- Chyba że to Oni go zbudowali! - dodał Farrington. - Może to wcale nie sterowiec, a tylko coś, co zostało zbudowane w podobny sposób.

Jedno ze świateł obok nosa jednostki zaczęło migać. Frigate przez dłuższą chwilę uważnie mu się przypatrywał.

- To alfabet Morse'a! - powiedział w końcu.

- Co nam przekazują? - spytał Rider.

- Nie wiem, nie znam alfabetu Morse'a.

- To skąd wiesz, że to na pewno on?

- Po długości sygnałów. Długie i krótkie.

Nur odszedł od okna i wyłączył dopływ wodoru. W kabinie rozbrzmiewały teraz tylko

ciężkie oddechy załogi. Wszyscy patrzyli, jak olbrzymi, złowrogi kształt skręca i kieruje się prosto na nich. Światło nie przestawało migać. Nur włączył palnik na jakieś dwadzieścia sekund, po czym wrócił do okna. Nagle zamarł.

- Uciszcie się na chwilę! - rzucił ostro.

Mężczyźni odwrócili się od okna i spojrzeli na Maura, który właśnie wyłączał wentylator zasysający dwutlenek węgla.

- Po co to zrobiłeś? - spytał Frisco.

Nur szybko podszedł do skrzynki z instalacją.

- Chyba usłyszałem syczenie! - odrzekł. Spojrzał na Pogaasa.

- Zgaś tego papierosa! - warknął.

Maur pochylił się i zbliżył ucho do miejsca połączenia rury wlotowej ze stożkiem wewnątrz skrzynki.

Pogaas upuścił papierosa i uniósł stopę, by go rozdeptać.

69

Jill Gulbirra wysłuchiwała raportu Cyrano dotyczącego ataku na parostatek jeszcze zanim śmigłowiec wrócił do hangaru. Przeraziły ją straty w ludziach i była wściekła na siebie, że zgodziła się na podjęcie misji. Czemu nie dyskutowała z Clemensem bardziej stanowczo?

A jednak... cóż innego mogła uczynić? Laser to jedyny sposób na dostanie się do wieży, a wydostanie go od Clemensa wymagało wyświadczenia mu tej przysługi.

Gdy helikopter wylądował, Jill rozkazała wznieść sterowiec nad Dolinę. *Parseval* odwrócił nos na południowy zachód i ruszył na spotkanie *Marka Twaina*. Cyrano udał się do pomieszczenia szpitalnego, gdzie zabandażowano mu rany, a następnie zgłosił się do sterowni. Tam złożył pani kapitan bardziej szczegółowy raport, a kiedy skończył, Gulbirra skontaktowała się z parostatkami.

Clemens wcale nie był tak zadowolony, jak oczekiwała.

- Więc wydaje się wam, że Jan Zgnilek zginął? - spytał Sam. - Ale nie jesteście tego pewni na sto procent?

- Niestety nie - odrzekła Jill. - Ale zrobiliśmy wszystko, o co nas prosiłeś, więc zakładam, że użyczysz nam LB?

Kodem LB określała laser.

- Dobrze, dostaniecie LB - odparł Clemens. - Śmigłowiec może go odebrać z pokładu załogowego.

- Pani kapitan, NOL od strony bakburty - odezwał się mężczyzna obsługujący radar. - Mniej więcej na naszej wysokości.

- Co takiego? NOL? - wtrącił się Sam, który też usłyszał komunikat.

Jill zignorowała jego pytanie. Przez chwilę wydawało jej się, że ekran radaru pokazuje dwa obiekty. Potem zrozumiała, na co patrzy.

- To balon! - zawołała.

- Balon? A więc to nie Oni! - odrzekł Clemens.

- Może to inna wyprawa zmierzająca do wieży? - odezwał się Cyrano. - Nasi nieznanymi towarzyszami?

Jill poleciła zwrócić reflektor w stronę balonu i zacząć nadawać komunikat alfabetem Morse'a.

- Tu sterowiec *Parseval*. Tu sterowiec *Parseval*. Kim jesteście? Kim jesteście?

Poprosiła radiotelegrafistę, by wysłał ten sam komunikat drogą radiową. Nie nadeszła żadna odpowiedź.

- Skieruj się prosto na balon - rozkazała Nikitinowi. - Spróbujemy mu się przyjrzeć z bliska.

- *Jes, kapitano.*

Nagle Rosjanin aż podskoczył w fotelu i wskazał palcem czerwone migające światełko na tablicy sterowniczej.

- Drzwi hangaru! Otwierają się!

Pierwszy oficer dopadł do interkomu.

- Hangar! Hangar! Tutaj Coppenname! Czemu otwieracie drzwi?

Nikt nie odpowiedział.

Jill włączyła alarm i na pokładzie sterowca rozległ się jęk syren.

- Mówi kapitan! Mówi kapitan! Główna kwatery załogi, zgłóście się, zgłóście się!

- Tak, pani kapitan, zgłaszam się! - odezwał się głos Katamury, głównego elektronika.

- Jak najszybciej sprowadź ludzi do hangaru - rozkazała Gulbirra. - Oficer Thorn uciekł!

- Naprawdę myślisz, że to on? - spytał Cyrano.

- Nie wiem, ale na to wygląda - odparła. - Chyba że... ktoś inny...

Spróbowała się skontaktować z pomieszczeniem szpitalnym. Bez rezultatu.

- A więc to Thorn! Cholera! Czemu nie zainstalowałam systemu ręcznego sterowania drzwiami!

Błyskawicznie wysłała dwie grupy mężczyzn do hangaru i jedną do pomieszczenia szpitalnego.

- Ale w jaki sposób on mógł uciec, Jill? - odezwał się Francuz. - Przecież był ranny i przykuty do łóżka. Zamknęliśmy drzwi i postawiliśmy przy nich czterech strażników, a ci w kajucie nie mieli przy sobie klucza!

- To nie jest zwykły człowiek - odparła Jill. - Trzeba mu było skuć ręce! Tyle, że to zakrawało na niepotrzebne okrucieństwo!

- Może w helikopterze nie uzupełniono paliwa?

- Jeśli tak, to Szentes zaniedbał swoje obowiązki, a to niemożliwe! - odrzekła.

- Drzwi już się otworzyły - poinformował Nikitin.

Z głośnika dobiegł głos Gravesa.

- Jill! Thorn...

- Jak się wydostał? - przerwała mu Gulbirra.

- Nie znam szczegółów - odpowiedział lekarz. - Siedziałem w swoim gabinecie, popijając alkohol, gdy nagle usłyszałem krzyki i straszliwy łoskot. Zerwałem się na równe nogi i wtedy w drzwiach stanął Thorn. Z kajdanów na jego ręce zwisał kawałek łańcucha. Musiał go zerwać gołymi rękoma! Wepchnął mnie z powrotem do gabinetu z taką siłą, że wpadłem na ścianę. Przez chwilę byłem ogłuszony i nie mogłem wstać. Wtedy Thorn wyrwał interkom ze ściany! Także gołymi rękami! Próbowałem się podnieść, ale nie byłem w stanie. Związał mi nogi oraz ręce za plecami za pomocą pasków, które zabrał dwóm strażnikom. Mógł mnie zabić bez najmniejszego problemu, skrócić mi kark. Ale darował mi życie. W końcu się oswobodziłem i pobiegłem na oddział. Wszyscy czterej strażnicy leżeli na podłodze. Dwóch przeżyło, ale są ciężko ranni. Thorn zniszczył wszystkie interkomy, zamknął drzwi i zabrał pistolety oraz noże strażnikom stojącym na zewnątrz. Wciąż bym tam siedział, gdybym nie potrafił się sprawnie posługiwać wytrychem lub gdyby zamek był bardziej skomplikowany. Potem pobiegłem do najbliższego telefonu...

- Jak dawno się wydostał? - spytała Jill.

- Dwadzieścia pięć minut temu.

- Dwadzieścia pięć?

Ogarnęło ją przerażenie. Co tak długo zatrzymało Thorna?

- Zajmij się rannymi - rzuciła do słuchawki i rozłączyła się. - Musiał gdzieś schować nadajnik - powiedziała do Cyrano.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Nie mam, ale co innego zajęłoby mu tyle czasu? Nikitin, zejdź nad samą ziemię! - rozkazała. - Jak najszybciej!

- Pani kapitan, śmigłowiec odleciał.

Cyrano zaklął po francusku.

Nikitin włączył system głośników i poinformował załogę, że sterowiec wykona ryzykowny manewr. Poleciał wszystkim zająć bezpieczną pozycję.

- Czterdzieści pięć stopni. Pełna szybkość - rzuciła Jill.

Obsługa radaru doniosła, że widzi helikopter na ekranie. Maszyna zmierzała na południe i obniżała się z maksymalną prędkością, również lecąc pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Podłoga sterówki gwałtownie się przechyliła. Członkowie załogi pospiesznie przypinali się paskami do foteli. Jill usiadła obok Nikitina. Chętnie przejęłaby stery, ale protokół na to nie zezwalał. Jednak dobrze wiedziała, że Rosjanin sprowadzi *Parsevala*

równie szybko jak ona. Jej zadanie polegało na kontrolowaniu, czy Nikitin nie przesadza.

- Jeśli Thorn ma nadajnik, to może go użyć w każdej chwili - odezwał się Cyrano. - Nie damy rady.

Choć Francuz był blady jak ściana i wybałuszał oczy, uśmiechnął się do Gulbirry.

Jill przeniosła wzrok na wskaźniki na tablicy sterowniczej. Sterowiec leciał dokładnie nad Rzeką, więc nie musieli się martwić, że zahaczą o górskie szczyty. Dolina stawała się coraz szersza. Na dole widzieli światła, prawdopodobnie ogniska, wokół których gromadzili się strażnicy lub nocni wędrowcy. Chmury deszczowe jak zwykle szybko się rozwiały, a rozgwieżdżone niebo oświetlało przestrzeń między zboczami. Czy ktoś tam w dole na nich patrzył? Jeśli tak, to pewnie się zastanawiał, co to za potężny obiekt, i czemu tak szybko się obniża.

Jednak Jill wołałaby lecieć jeszcze szybciej.

Cyrano miał rację. Jeśli Thorn zamierza zdetonować bombę, to i tak to zrobi. Chyba że... chyba że chce poczekać, aż wylądują. W końcu oszczędził Gravesa i dwóch strażników.

Nie spuszczając wzroku z ekranu radaru, skontaktowała się z hangarem.

Zgłosił się Szentes.

- Wszyscy byliśmy w kajutach - wyjaśnił. - W hangarze nie ustawiono straży.

- Wiem - odparła Gulbirra. - Powiedz mi... w miarę szybko... co się stało?

- Thorn zajrzał do pomieszczenia i wycelował do nas z pistoletu. Potem wyrwał ze ściany interkom i powiedział, że zamyka drzwi. Twierdził, że jeśli je otworzymy, to wybuchnie bomba. Nie wiedzieliśmy, czy mówi prawdę, ale nikt nie miał ochoty tego sprawdzić. W końcu Katamura otworzył drzwi. Nie było na nich żadnej bomby, Thorn skłamał. Bardzo nam przykro, pani kapitan.

- Zrobiliście to co należało - uspokoiła go Jill.

Poprosiła radiotelegrafistę, by poinformował o ich sytuacji *Marka Twaina*.

Gdy osiągnęli pułap dziewięciuset piętnastu metrów, czyli trochę ponad trzech tysięcy stóp, rozkazała Nikitinowi zmienić ustawienie śmigieł, żeby poderwać *Parsevala* do góry, a także poleciła podnieść nos sterowca o trzy stopnie. Siła inercji pozwoli im opadać dalej, pomimo hamowania. Po minucie Jill rozkaże podnieść nos aerostatu o kolejne dziesięć stopni, co jeszcze bardziej złagodzi pikowanie.

Co robić, gdy sterowiec już wyrówna lot na wysokości dziewięciuset piętnastu metrów? Jeśli wyrówna lot. Podejmowała spore ryzyko, choć przecież znała możliwości *Parsevala* równie dobrze jak swoje własne.

Czy powinni wylądować? Nie mieli jak zacumować, a poza tym musieliby spuścić

sporą część wodoru, żeby sterowiec nie odleciał po opuszczeniu pokładu przez załogę. W przeciwnym razie część mężczyzn zostałaby porwana w przestworza.

A co jeśli Thorn nie ma nadajnika i nie umieścił na pokładzie żadnej bomby? Na darmo tracą sterowiec.

- Za szybko! Za szybko! - zawołał Nikitin.

Jill już się pochylała, by wcisnąć guzik zwalniający tysiąc kilogramów wodnego balastu. Gdy to uczyniła, *Parseval* gwałtownie poderwał się do góry.

- Przepraszam, Nikitin - odezwała się do pilota. - Nie było czasu do stracenia.

Radar wskazywał, że helikopter zawisł w powietrzu na północ od nich na wysokości trzystu metrów. Czy Thorn czeka na to, co zrobią? Skoro tak, to najwyraźniej nie ma zamiaru odpalać bomby, jeśli się rozbiją lub opuszczą pokład.

Co powinna uczynić? Obie alternatywy przyjmowała ze złością. Nie mogła znieść myśli o zniszczeniu lub porzuceniu tego cacka. Ostatniego sterowca.

Jednakże na pierwszym miejscu powinno stać bezpieczeństwo załogi.

- Sto pięćdziesiąt dwa metry - podał wysokość Nikitin. Ustawione w pozycji poziomej śmigła łączywie wgrzyzały się w powietrze. Po obu stronach *Parsevala* piętrzyły się górskie masywy. Rzeka migotała w świetle gwiazd, a pod brzuchem sterowca rozciągały się gładkie równiny.

W dole widzieli zabudowania, delikatne bambusowe chaty wypełnione ludźmi, w większości pogrążonymi we śnie. Gdyby sterowiec tutaj wylądował, zabiłby co najmniej kilkaset osób. Gdyby się zapalił, spłonęłyby kolejne setki.

Jill rozkazała Nikitinowi skierować się nad Rzekę.

Co robić?

Wśród ludzi zamieszkujących brzegi Rzeki, którzy tej nocy nie mogli lub nie chcieli spać, znalazło się kilka osób, które popatrzyły w niebo usiane gwiazdami i zobaczyły dwa obiekty, jeden dużo większy od drugiego. Mniejszy obiekt składał się z dwóch kul umieszczonych ponad sobą, a większy przypominał kształtem grube cygaro.

Obiekty zbliżały się do siebie. Mniejszy emitował słabe światło z niższej kuli, a większy wysyłał jasne promienie, które po chwili zaczęły na zmianę zapalać się i gasnąć w regularnych odstępach czasu.

Nagle większy obiekt opuścił nos i zaczął szybko opadać. Gdy zbliżył się do ziemi, wydał z siebie dziwny dźwięk.

Wiele osób nie rozpoznało kształtu obiektów. Ludzie ci nigdy nie widzieli balonu ani

sterowca, a większość nich żyła na Ziemi zbyt wcześnie, by poznać jakikolwiek pojazd latający, może poza fantastycznymi ilustracjami przedstawiającymi technologiczne proroctwa.

Tylko bardzo niewielka grupa ludzi wiedziała, że ma do czynienia ze sterowcem.

Niezależnie od stanu wiedzy, wszyscy budzili swoich śpiących towarzyszy i podnosili alarm.

Niektórzy ujrzeli także helikopter, co wzbudziło w nich jeszcze większą ciekawość, a zarazem obawę.

Zaczęto bić w bębny. Rozległy się krzyki. Nikt już nie spał i chaty opustoszały. Wszyscy wbijali wzrok w niebo, pełni zachwyty i niepewności.

Pytania i okrzyki zlały się w jeden wielki wrzask, gdy jeden z obiektów stanął w płomieniach. Ludzie wpadli w panikę, gdy olbrzym runął w dół, wlokąc za sobą pomarańczowy płomień, niczym strącony anioł.

Tai-Peng miał na sobie jedynie strój z liści drzewa żelaznego i kwitnących pnączy. Trzymając w lewej dłoni kielich z winem, spacerował tam i z powrotem, improwizując wiersze z taką łatwością, z jaką woda spływa ze wzgórza. Każdy z wierszy powstawał w dworskiej mowie dynastii T'ang, która dla osoby nieznającej chińskiego brzmiała niczym kości stukające w kubku. Potem mężczyzna tłumaczył wiersze na lokalny dialekt esperanto.

Powodowało to utratę sporej części subtelności i odwołań, jednakże to, co pozostawało, i tak doprowadzało słuchaczy do śmiechu i łez.

Kobieta Tai-Penga, Wen-Chun, cicho grała na bambusowym flecie. Głos mężczyzny, zwykle wyjątkowo głośny i skrzeczący, teraz złagodniał. W esperanto brzmiał niemal równie melodyjnie jak muzyka fletu. Specjalny strój poety składał się z liści w czerwono-zielone paski i czerwono-biało-niebieskich kwiatów, które powiewały, gdy Tai-Peng chodził wkoło niczym dziki kot w klatce.

Mężczyzna był wysoki jak na przedstawiciela swojej rasy i epoki, czyli ósmego wieku naszej ery, gibki, a jednak szeroki w barach i silnie umięśniony. Jego długie włosy lśniły w popołudniowym słońcu, przypominając lustro z ciemnego jadeitu. Miał duże bladezielone oczy, które błyszczały jak ślepią głodnego i rannego tygrysa.

Choć Tai-Peng był poprzez konkubinę potomkiem cesarza, to jego ród w ciągu kolejnych dziewięciu pokoleń zatracił wszelkie znamiona szlachectwa. Najbliższa rodzina mężczyzny składała się z samych złodziei i morderców. Niektórzy z przodków Tai-Penga należeli do plemion zamieszkujących wzgórza i to po tych ludziach Chińczyk odziedziczył swoje dzikie, zielone oczy.

Poeta i jego publiczność znajdowali się na wysokim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na równinę, Rzekę oraz górskie pasmo. Słuchacze, jeszcze bardziej pijani od Tai-Penga, choć żaden nie wypił tyle co on, utworzyli półkole, dzięki czemu Chińczyk mógł swobodnie spacerować. Tai-Peng nie lubił ograniczeń. Ściany go niepokoiły, a kraty doprowadzały do obłędu.

W połowie publiczność składała się z szesnastowiecznych Chińczyków. Reszta widowni pochodziła z różnych miejsc i czasów.

Tai-Peng skończył układać wiersze i wyrecytował utwór autorstwa Chen Tzu-Anga.

Najpierw poinformował wszystkich, że Chen zmarł kilka lat przed jego narodzeniem. Choć był bogaty, skonał w więzieniu w wieku czterdziestu dwóch lat. Wtrącił go tam sędzia, który pragnął położyć rękę na majątku jego ojca.

*Ważni ludzie chlubią się swym sprytem i zdolnościami,
Ale w Tao muszą się jeszcze wiele nauczyć.
Są dumni ze swoich osiągnięć,
Ale nie wiedzą, co się dzieje z ciałem.
Czemu nie uczą się od Mistrza Mrocznej Prawdy,
Który ujrział cały świat w buteleczce z nefrytu?
Którego jasna dusza uwolniła się od Ziemi i Nieba,
Gdyż poprzez Zmianę wkroczył do Wolności.*

Tai-Peng przerwał, aby dopić wino i powtórnie napełnić kielich.

- Nie ma już wina - odparł jeden ze słuchaczy, czarnoskóry Tom Turpin. - Może być biber?

- Skończył się napój bogów? - oburzył się Chińczyk. - Nie chcę waszego barbarzyńskiego napitku! On tylko ogłupia umysł, podczas gdy wino go ożywia!

Rozejrzał się i uśmiechnął niczym tygrys w okresie godowym, po czym podniósł z ziemi Wen-Chun i udał się z nią do swojej chaty.

- Gdy kończy się wino, czas się zabrać za kobiety!

Kolorowe liście i kwiaty posypały się na ziemię, gdy Wen-Chun zaczęła się na żarty mocować ze swoim mężczyzną. Tai-Peng przypominał istotę ze starożytnych mitów, człowieka-roślinę unoszącego porwaną kobietę.

Reszta publiczności się roześmiała, po czym ludzie zaczęli się rozchodzić, jeszcze nim Chińczyk zamknął za sobą drzwi chaty. Jeden z widzów powędrował wokół wzgórza do swojego domu. Po wejściu zaryglował drzwi i zaciągnął rolety wykonane z bambusa i skóry. W półmroku usiadł na taborecie, otworzył wieczko rogu obfitości i przez chwilę patrzył na metalowy pojemnik.

Koło drzwi przeszła jakaś para rozmawiająca o tajemniczych wydarzeniach sprzed miesiąca w dole Rzeki. Wielki, hałaśliwy potwór nadleciał nocą znad gór na zachodzie i wylądował na powierzchni wody. Najodważniejsi lub najgłupszy tubylcy popłynęli w jego stronę w swych łodziach. Zanim dotarli do celu, bestia zanurzyła się w Rzece i więcej nie wypłynęła.

Czy był to smok? Niektórzy ludzie twierdzą, że smoki nigdy nie istniały. Jednak to

tylko sceptycy pochodzący ze zwyrodniałego wieku dziewiętnastego i dwudziestego. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, doskonale wie, że smoki kiedyś chodziły po Ziemi. Z drugiej strony, mogła to być latająca maszyna zbudowana przez istoty, które stworzyły ten świat.

Powiadano, że niektórzy widzieli postać przypominającą człowieka odpływającą z miejsca, w którym zatonął potwór.

Mężczyzna w chacie się uśmiechnął.

Pomyślał o Tai-Pengu. Było to przybrane nazwisko Chińczyka. Jego prawdziwe miano znało tylko kilka osób. Nowe nazwisko znaczyło tyle co „Wielki Feniks”, co było wskazówką pomagającą go rozpoznać, często bowiem określał się w ten sposób na Ziemi.

Obaj mężczyźni spotkali się dawno temu, ale Chińczyk o tym nie wiedział.

Człowiek w chacie wypowiedział hasło i w mgnieniu oka zewnętrzna powłoka rogu obfitości rozbłysła jasnym światłem.

Światło nie dobiegało z całej powierzchni pojemnika, ale tworzyło dwa duże okręgi po jego obu stronach. Wewnątrz każdego z okręgów, odpowiadających półkulom planety, znajdowały się tysiące cieniutkich, świecących, poskręcanych linii, które z kolei przecinały wiele małych, błyszczących okręgów. W jeden z nich był wpisany pentagram, pięcioramienna gwiazda.

Każdy z okręgów, poza tym opisującym pentagram, emitował długie i krótkie błyski.

Była to mapa. Linie odpowiadały dolinom, a okręgi mężczyznom i kobietom. Częstotliwość pulsowania każdego z nich oznaczała kod identyfikacyjny.

Clemens, Burton i inni zostali poinformowani przez Tajemniczego Nieznajomego, że wybrał on tylko dwanaścioro pomocników. Jednak na powierzchni pojemnika znajdowało się dwanaście tuzinów okręgów, nie licząc tego oznaczonego pentagramem. Razem sto czterdzieści cztery osoby.

Część okręgów pulsowała w takim samym rytmie. Mężczyzna westchnął i wypowiedział hasło. Symbole emitujące sygnał kreska-kreska-kreska-kropka błyskawicznie znikły.

Kolejne hasło. Teraz obok górnej krawędzi rogu obfitości pojawiły się dwa świecące symbole.

Tylko siedemdziesięcioro wybrańców wciąż żyło. Mniej niż połowa.

Ilu pozostanie za czterdzieści lat?

Ilu z nich wcześniej zrezygnuje ze swej misji?

Jednakże istniało wiele osób, które co prawda nie zostały wybrane, ale wiedziały o

wieży. Niektóre nawet słyszały o postaci, którą Clemens nazwał Tajemniczym Nieznajomym. Sekret się wydał, a część z tych, którzy go poznali, była równie silnie zmotywowana do działania jak wybrańcy.

Zważywszy na nową sytuację, nie dało się uniknąć tego, że inni wyruszą w kierunku bieguna. Być może nie dotrze tam ani jeden z wybrańców, a cel osiągną przypadkowe osoby.

Mężczyzna podał kolejne hasło i obok okręgów pojawiły się inne symbole: trójkąty, pentagram oraz heksagram, czyli sześcioramienna gwiazda. Każdy z trójkątów pulsował w indywidualnym rytmie. Figury te oznaczały Etyków drugiego rzędu - agentów.

Heksagram to Operator.

Mężczyzna znów przemówił. Na środku dużego okręgu pojawił się świetlisty kwadrat, po czym obraz poza jego obrębem stopniowo znikł. Wtedy kwadrat się rozszerzył. Było to powiększenie mapy obszaru, na którym znajdowały się trzy gwiazdy i kilka okręgów.

Kolejne hasło wywołało ponad kwadratem świecące liczby. A więc heksagram znajdował się w dole Rzeki w odległości kilku tysięcy kilometrów. Operatorowi nie udało się dostać na pokład *Reksa*. Jednak później przypłylnie w to miejsce drugi parostatek.

W sąsiedniej dolinie, patrząc na wschód, znajdował się Richard Francis Burton. Tak blisko, a zarazem daleko. W linii prostej to tylko dzień drogi, gdyby człowiek potrafił przenikać przez kamienne ściany jak duch.

Burton niewątpliwie płynął na pokładzie *Reksa Grandissimusa*. Jego okrąg poruszał się zbyt szybko, aby Anglik mógł podróżować łodzią żaglową.

Operator... cóż on takiego zrobi, gdy dostanie się na pokład *Marka Twaina*? Wyjawi Clemensowi część prawdy? Całą prawdę? A może będzie milczał?

Nie sposób tego przewidzieć. Sytuacja uległa zbyt drastycznej zmianie. Nawet komputer w głównej bazie potrafił wskazać tylko niewielki procent możliwości.

Jak dotąd statkiem podróżował tylko jeden agent, który należał do załogi *Reksa*. Co najmniej dziesięciu miało szansę zaciągnąć się na *Marka Twaina*, ale wątpliwe, by udało się to więcej niż jednemu. Być może żadnemu się nie powiedzie.

Pięćdziesięciu znajdowało się pomiędzy *Reksem* i *Violando*.

Z całej sześćdziesiątki mężczyzna potrafił rozpoznać zaledwie dziesięciu agentów wyższego szczebla, dowódców swoich sekcji.

Przy odrobinie szczęścia nie napotka ich na swej drodze.

Ale... Co, jeśli nie uda mu się dostać na pokład żadnego z parostatków?

Zrobiło mu się niedobrze.

Nie ma wyjścia, musi to osiągnąć.

Mimo to, patrząc realistycznie przyznał, że może ponieść porażkę.

Kiedyś wierzył, że stać go na uczynienie wszystkiego, do czego są zdolni zwykli ludzie, a także kilku rzeczy, które przekraczają ich możliwości. Z czasem ta pewność siebie została wystawiona na ciężką próbę.

Być może zbyt długo żył wśród mieszkańców Doliny.

Tak wielu ludzi zmierzało w górę Rzeki, wszyscy powodowani tym samym wielkim pragnieniem. Większość usłyszała opowieść Joego Millera, a raczej to, co z niej pozostało po stukrotnym przekazaniu z ust do ust. Oczekiwali liny, po której będą się mogli wspiąć na urwisko. Oczekiwali tunelu, który umożliwi im pokonanie skalnej ściany. Oczekiwali ścieżki prowadzącej wzdłuż zbocza.

Ale ich już tam nie było.

Znikł także tunel na końcu ścieżki u podnóża góry. Jego ściany stopiły się niczym lawa.

Mężczyzna ponownie popatrzył na heksagram. Blisko. Zdecydowanie za blisko. W tej chwili to on stanowił największe zagrożenie.

Kto wie, jak zmieni się sytuacja?

Do chaty wdarł się głośny skrzek Tai-Penga. Chińczyk widocznie już skończył się zabawiać ze swoją kobietą i teraz stał na zewnątrz, wykrzykując niezrozumiałe słowa. Ależ ten człowiek niesamowicie hałasuje! Wokół niego zawsze coś się dzieje!

Jeśli nie mogę wstrząsnąć bogami w niebiosach, to przynajmniej wzburzę wody Acheronu.

Tai-Peng się zbliżył i mężczyzna wyraźniej usłyszał jego przemowę.

- Jem jak tygrys! Sram jak słoń! Potrafię wypić trzysta kielichów wina za jednym posiedzeniem! Ożeniłem się z trzema kobietami i kochałem się z tysiącem! Gram na lutni i flecte lepiej od wszystkich! Setkami piszę wspaniałe wiersze, ale od razu wrzucam je do strumienia i patrzę, jak woda, wiatr i duchy niosą je ku zagładzie! Woda i kwiaty! Woda i kwiaty! To je Kocham najbardziej! Zmiana i niestałość! One mnie ranią i torturują! A jednak to zmiana i efemeryczność tworzą piękno! Czy bez umierania i śmierci piękno może istnieć? Czy może istnieć doskonałość? Piękno jest piękne, jest bowiem skazane na zagładę! A może nie? Ja, Tai-Peng, kiedyś miałem się za płynącą wodę, za kwitnący kwiat! Za smoka! Kwiaty i smoki! Smoki są kwiatami ciała! Żyją w pięknie, podczas gdy całe pokolenia kwiatów kwitną i umierają! Kwitną i obracają się w pył! Biały człowiek, blady jak duch, niebieskooki jak demon, powiedział mi kiedyś, że smoki żyją całe wieki! Tak długo, że umysł tego nie obejmie! A jednak... wszystkie umarły miliony lat temu, na długo zanim Nukua stworzył

mężczyzn i kobiety z żółtego błota! Pomimo swego piękna i dumy, wszystkie umarły! Woda! Kwiaty! Smoki!

Głos Tai-Penga stał się cichszy, gdy Chińczyk zszedł ze wzgórza. Jednak mężczyzna w chacie zdążył usłyszeć jeden wyjątkowo donośny fragment monologu.

- Cóż to za zły człowiek przywrócił nas do życia, a teraz chce, żebyśmy ponownie umarli na zawsze?

- Ha! - zakrzyknął mężczyzna.

Choć wiersze Tai-Penga często mówiły o kruchości życia ludzi i kwiatów, nigdy bezpośrednio nie traktowały o śmierci. Chińczyk nigdy się też nie odnosił do tego tematu podczas rozmowy. A jednak teraz głośno i ze śmiałością o nim rozprawał.

Jak dotąd wydawał się bardzo szczęśliwy. Mieszkał w tym państewku od sześciu lat i najwyraźniej nie miał zamiaru go opuszczać.

Czy już był gotowy?

Człowiek pokroju Tai-Penga stałby się dobrym kompanem podczas podróży w górę Rzeki. Agresywny, bystry, do tego świetny szermierz. Gdyby udało się go subtelnie nakierować na porzucony szlak...

Co się może wydarzyć w ciągu następnych dziesięcioleci?

W tej chwili mężczyzna w chacie także był tylko jedną z nitek w tym mrocznym wzorze. Już nie siedział przy wrzeczonie i mógł jedynie przewidywać, że niektórzy dotrą do Virolando, a innym się to nie uda.

Co sprytniejsi odkryją tam wiadomość, a niektórzy z pewnością ją odszyfrują, zarówno wybrańcy, jak i agenci.

Kto pierwszy dotrze do wieży?

To on musi to uczynić.

Musi także przetrwać trudy podróży, a zwłaszcza nieuniknioną bitwę między dwoma parostatkami. Clemens za wszelką cenę pragnie dogonić króla Jana, by go zabić lub porwać. Wielce prawdopodobne, że obie jednostki zostaną zniszczone.

Dzikość! Głupota tygrysa!

Wszystko to przez obsesyjną żądzę zemsty, która opanowała Clemensa, skądinąd najspokojniejszego z ludzi.

Czy Sama można odwieść od tych dziecinnych planów?

Nieraz mężczyzna musiał się zgodzić z tym, co kiedyś powiedział Operator, gdy miał wyjątkowo zły nastrój.

„Ludzkość stoi okoniem w przetyku Boga”.

Ale cóż... Kiedyś zło stanie się dobrem, a woda ogniem.

Mistrz Mrocznej Prawdy poległ na nieprzewidywalnej Zmianie.

- Co...?

Świetliste linie i symbole znikły.

Przez kilka sekund mężczyzna patrzył z szeroko otwartymi ustami na pojemnik. Potem wypowiedział kilka haseł. Powierzchnia rogu obfitości pozostała szara.

Zacisnął pięści i zęby.

A więc w końcu stało się to, czego się obawiał.

Jakiś element w złożonym systemie satelitarnym przestał działać. Nic dziwnego. Po tysiącu lat należało sprawdzić obwody, ale nikt nie zrobił tego w terminie.

Od tej pory nie mógł śledzić położenia innych kobiet i mężczyzn. Tak jak pozostali, znalazł się w ciemnym domu spowitym mgłą. Zniknięcie blasku jeszcze bardziej pogłębiło ciemność. Mężczyzna czuł się jak zmęczony i samotny pielgrzym na opuszczonym brzegu, cień pośród cieni.

Co jeszcze się popsuje? A co już wcześniej mogło się popsuć? Może przynajmniej... nie, na pewno nie. Ale gdyby jednak, to będzie mu brakować czasu.

Wstał i wyprostował plecy.

Czas ruszać w drogę.

Cień pośród cieni, któremu kończy się czas.

Tak jak wybrańcy i agenci, jak mieszkańcy Doliny, jak wszystkie inteligentne istoty, będzie musiał sam stać się dla siebie światłem.

Niech i tak będzie.